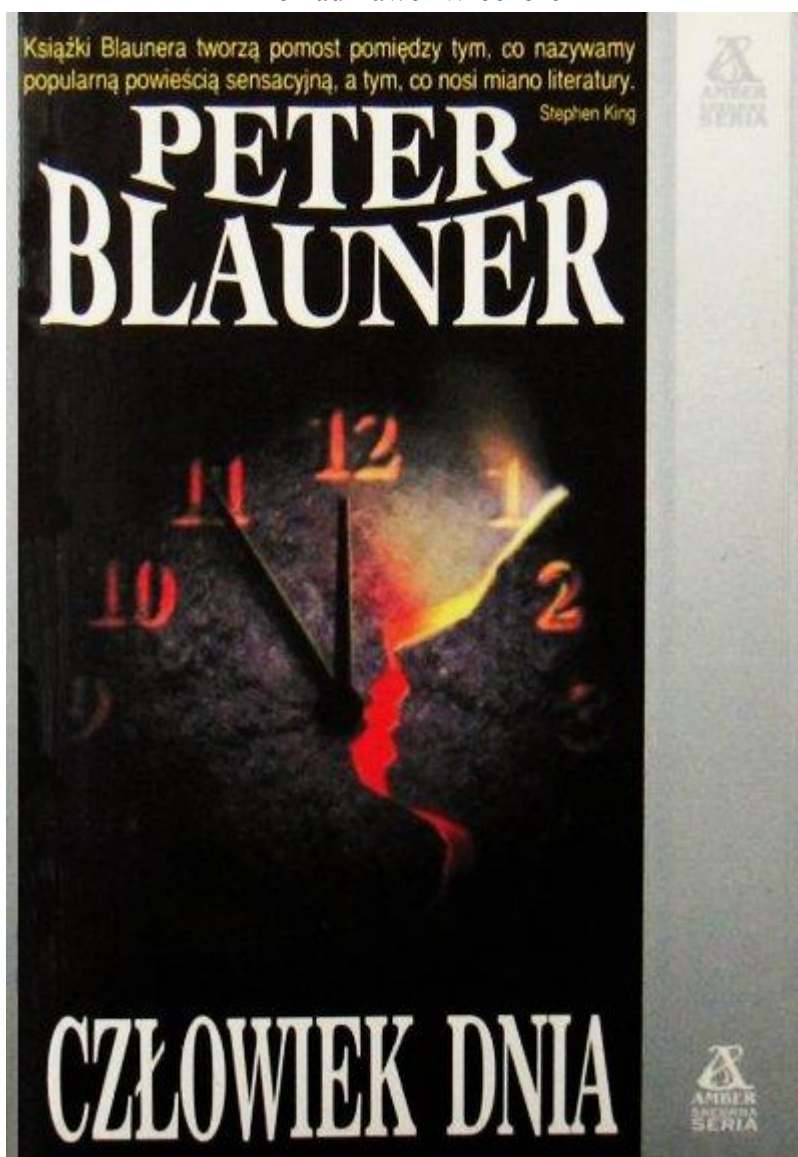


Peter Blauner

Człowiek dnia

Tytuł oryginału *MAN OF THE HOUR*

Przekład Paweł Wieczorek



Mojej pięknej i utalentowanej żonie Peggy.

*Biada temu, kto usiłuje oliwę lać na fale, gdy Bóg rozkolebał je wichurą!
Biada takiemu, który usiłuje raczej się przypodobać, niżli lęk budzić.
Biada onemu, dla którego własne dobre imię więcej znaczy niż sama dobroć.*

Herman Melville Moby Dick, przeł. Bronisław Zieliński

Prolog

Uczniowie wychodzili z klasy. Przypominało to falę, która cofa się od brzegu i pozostawia samotny przedmiot - kilkunastolatka stojącego pod ścianą.

Chłopak popatrzył na zegarek, spojrzął na podłogę, wyjrzał przez okno na ruiny Dreamlandu - wesołego miasteczka przy nadmorskiej promenadzie biegnącej skrajem Coney Island. Robił, co mógł, aby uniknąć uważnego spojrzenia nauczyciela, pana Fitzgeralda, obserwującego go zza biurka.

- Nasser wiesz, dlaczego poprosiłem, żebyś został?

Chłopak wzruszył ramionami; chciał w ten sposób podkreślić niechęć do nauczyciela. Miał osiemnaście lat i był specjalistą od demonstrowania biernego oporu.

- Przeczytałem, co mi dałeś. - Fitzgerald uniósł kartkę, zapisaną po obu stronach kanciastymi czerwonymi bazgrołami.

- Dobrze... - mruknął młodzieniec z obcym akcentem.

- Trzydzieści pięć razy napisałeś „Nienawidzę Ammeryki”.

Chłopak zaczął się uśmiechać, lecz zaraz spoważniał.

- Może powinieneś wiedzieć, że w słowie „Ameryka” jest tylko jedno „m”. - Nauczyciel podszedł do niego z kartką w dłoni i usiadł obok, wskazując błędy ortograficzne.

Nawet kiedy siedział, górował nad uczniem jak olbrzym.

- Ya habela - odparł chłopak. - Coosa mach.

- Jak uważasz. Nauczyciel nie zrozumiał słów, ale wyczuł ich sens. - Jeśli tak to odczuwasz, niech będzie. Ja też byłem nastolatkiem i też przepełniała mnie złość. - Przyniósł bliżej krzesło. - Chcę tylko, żebyś wiedział, że dopóki chodzisz do szkoły, możesz coś na tym skorzystać.

Chłopak zignorował jego słowa i zaczął nucić pod nosem.

- Istnieją bardziej wyszukane sposoby wyrażenia swego zdania. - Nauczyciel wyjął z kieszeni cienką książeczkę i zaczął czytać na głos fragment Skowytu Allena Ginsberga. „Widziałem najlepsze umysły zniszczone szaleństwem...”

Czytanie tego wiersza było ostatnią, rozpaczliwą próbą porozumienia się z dziećmi, do których nie udało mu się dotrzeć innymi metodami. Albo coś im wchodziło głowy, albo uciekały z przerażeniem i odrazą. Tak czy inaczej, zawsze wzbudzał emocje.

Fitzgerald widział, że Nasser kręci się na krześle, ale czytał dalej. Kiedy doszedł do „anielogłowych hipstersów”, którym objawiały się „natchnione anioły Mahometa rozkołysane na dachach czynszówek”, chłopak zasłonił uszy dłońmi i zamknął oczy.

- Pan przestanie! - zawołał. - To bluźnierstwo!

- Dobrze, dobrze. - Nauczyciel zamknął książkę. Może rzeczywiście posunął się za daleko. Zawsze unikał czytania bardziej obrazowych fragmentów wiersza, ale o tym wersie zapomniał. - Nie musimy czytać całego.

„Nie mówcie mi, że ostatecznie go straciłem...” Chłopak powoli opuścił ręce i popatrzył na nauczyciela.

- Nie rozumiem, jak można pozwolić coś takiego pisać - powiedział urażony.

- Chcę ci tylko udowodnić, że nie jesteś sam. Inni ludzie też czują złość. Na świecie jest mnóstwo sposobów jej wyrażania, nie musisz po nim krążyć z ustami otwartymi w bezsilnym, niemym krzyku.

Przez ułamek sekundy chłopiec okazał zainteresowanie, w oczach zabłysła mu iskierka, a krzesło, na którym siedział, drgnęło. Nauczyciel pochylił się ku niemu, ale krzesło znieruchomiało. Stosowna chwila minęła.

- Nie zrozumie pan tego - powiedział zdecydowanie chłopak i znowu spuścił wzrok. - Za milion lat pan tego nie zrozumie.

Nauczyciel podjął ostatnią próbę.

- Posłuchaj mnie. Jesteś bystrym i wrażliwym chłopakiem, ale wyraźnie źle się tu czujesz. Nie mogę do ciebie dotrzeć. Powiedz, co mam zrobić, dostać się do twojej głowy.

- Nie chcę, by się pan tam dostawał!

- W porządku. W takim razie powiedz, jak ci pomóc.

Chłopak obojętniał, zamykał się. Nigdy nie było wiadomo, z jakim bagażem przeżyć dzieciaki przychodzą do szkoły - niektóre trafiały tu prosto ze stref objętych wojną, a inne z więzień. Inne były po prostu asocjalne.

- Niech mnie pan zostawi w spokoju - powiedział Nasser, odwracając krzesło.

- Jak sobie życzysz. - Nauczyciel miał wielką ochotę położyć chłopcu rękę na ramieniu, lecz uznał, że lepiej tego nie robić. - Ale musisz wiedzieć, że z takimi wynikami nie mogę cię przepuścić do następnej klasy. Gdybyś jednak zechciał poświęcić nauce więcej czasu, chętnie ci pomogę. Może nawet mógłbym ci pomóc w ukończeniu szkoły. Potem resztę życia spędziłbyś na nienawidzeniu Ameryki, ale nie byłby to już mój problem. - Stwierdzenie nie wywołało u Nassera najmniejszej reakcji. - Daj spokój. Przecież nie znajdujemy się w stanie wojny.

Chłopak słuchał, lekko się wzdrygnął, a kiedy Fitzgerald skończył, wstał i wyszedł, nawet się nie odwracając.

Cztery lata później

1

O północy brooklyńska Church Avenue była niemal martwa. Środkiem pustej ulicy jechał powoli stary chevrolet z urwanym, drapiącym o jezdnię tłumikiem. Wydawał dźwięk przypominający zrzucanie w dół kanionu blaszanych puszek. Sodowe latarnie oświetlały metalowe żaluzje, chroniące sklep z alkoholem, salon kosmetyczny i pra-

cownię specjalizującą się w wytwarzaniu peruk „ze stuprocentowych ludzkich włosów”. Jedynym otwartym o tej porze lokalem był punkt realizacji czeków; zapraszał niebieskim neonem w oknie wystawowym i namalowanym nad wejściem ogromnym banknotem dolarowym.

Po drugiej stronie ulicy w poobijanym dziesięcioletnim plymoucie siedziało dwóch mężczyzn i uważnie obserwoowało lokal. Rozmawiali po arabsku.

- Ayna Loa - powiedział ten za kierownicą wielki mężczyzna o głowie przypominającej cebulastą kopułę cerkwi, z gęstą siwiejącą brodą i w okularach przeciwsłonecznych, jakich używają piloci. - Gdzie on jest? Dupa mi drętwieje.

- Tak się chyba nie mówi - powiedział siedzący obok Nasser.

- Dlaczego nie? - odparł, Jusuf przechodząc na arabski - To znaczy po angielsku, że jest się zmęczonym czekaniem.

Wyglądali jak ojciec i syn. Jusuf był umięśniony, ale mięśnie wyraźnie zaczynały mu wiotczeć. Miał na sobie koszulę wypuszczoną na spodnie, która ukrywała zatknięty za pasek rewolwer. Na piersi, w rozpięciu koszuli widać było grubą ciemnoczerwoną szramę - pamiątkę po operacji serca. Dwudziestodwuletni, chudy jak szczapa Nasser miał brązowe wodniste oczy, delikatne usta i włosy zaczesane w stylu Elvisa Presleya. Jak na razie nie udało mu się zapuścić nadającej pobożnego wyglądu brody, więc gładko się golił. Z szyi zwisał mu na łańcuszku zardzewiały kluczyk.

- Może powinniśmy iść?

- Nigdzie nie idziemy - odparł Jusuf, Wielki Niedźwiedź. - Pamiętaj, o co tu chodzi. Chodzi o dżihad.

- Wiem, co to dżihad - odparł jego młodszy towarzysz o śniadej cerze. - Święta wojna, ale nie rozumiem, co ma do tego ta sytuacja. To zwykle złodziejstwo.

- Wszystko jest dżihadem - powiedział jego przyjaciel Jusuf, Wielki Niedźwiedź. - Wszystko, co robisz odkąd wstaniesz z łóżka. Wypijesz filiżankę kawy po turecku zamiast amerykańskiej rozpuszczalnej - dżihad. Powiesz bratu o Świętej Księdze - dżihad. Jeśli wyłączysz telewizor, myślisz o dżihadzie. Najważniejsze, co możesz zro-

bić dla dżihadu, to walczyć. Pamiętaj - jedna godzina na polu walki jest warta stu lat modlitw.

- Wiem.

- To, co zamierzamy, jest jak napad na karawany w dawnych czasach, po hidrze. Prorok pozwolił na nie. Jesteś gotów?

Nasser wyjął palce z ust. Zastanawiał się, czy to, co zamierzali, było rozsądne. Jusuf umiał cytować wersety, na ich poparcie nawet całe sury, ale słowa można wykręcać i obracać tak, by znaczyły co tylko się chce...

- Nie wiem... Nie możemy zdobyć funduszków inaczej? Czy to nie jest haram!

- Oczywiście, że to nie jest haram. - Ramiona Jusufa drgnęły, jakby zamierzał nimi wzruszyć, nagle jednak chwycił Nassera za bark. - To on - powiedział cicho, wyraźnie podekscytowany. - Pójdziemy za nim.

Wyciągnął rękę i wskazał wysokiego, chudego rastafarianina w panterce i zielonej, zrobionej na szydełku czapce, który człapał chodnikiem. Stawiał nogi w rytm grającej tylko w jego głowie muzyki.

- Zawsze się spóźnia - powiedział Jusuf Wielki Niedźwiedź. - Obserwuję go od tygodni. To dlatego, że pali marihuanę. Na pewno. Dlatego nigdy nie przychodzi na czas, żeby zmienić poprzedniego kasjera. To świnia, tyle tylko ci powiem. Widziałem jak je. Odrywa rękami kawały kurczaka, tak samo je wieprzowinę. Pfuj! Mówię ci, na samą myśl robi mi się niedobrze.

Nasser siedział i obserwował rastafarianina, próbując usłyszeć muzykę. Potem spróbował sobie wyobrazić, jak je wieprzowinę i pali marihuanę. Starał się wzbudzić w sobie nienawiść. Nie był pewien, czy wystarczy mu odwagi do zrobienia tego, co planowali.

Rastafarianin wszedł do punktu realizacji czeków.

- Idziemy. - Wielki Niedźwiedź wyciągnął rękę do klamki. - Nie zapomnij, co masz robić, to nikomu nic się nie stanie. Jak otworzy drzwi na zaplecze, wchodzimy za

nim.

Kiedy Jusuf wysiadł i włożył czapkę baseballową z wyszytym na przodzie wielkim X, o mało go nie przejechał samochód dostawczy. Nasser włożył taką samą czapkę i wysiadł po swojej stronie. Żeby dojść do krawężnika, musiał się precyzyjnie przemieszczać między zderzakami. Dwudziestkadwójka ciążyła mu w kieszeni bordowej wiatrówki niczym cegła.

Popatrzył przez ulicę: szklane drzwi właśnie się otwierały i Jusuf wchodził za rastafarianinem do środka. Niedźwiedź ścigał psa. Nasser wahał się chwilę, czując, jak otula go ciemna wilgoć sierpniowej nocy. Ciekawe, ile przecznic dzieliło go od najbliższego przystanku metra. Nerwy... co się działo z jego nerwami? Gdy spękane szklane drzwi zaczęły się zamykać za Wielkim Niedźwiedziem, sięgnął do szyi i pomacał klucz na łańcuszku. Nie miał wyboru - musiał iść za Jusufem. Krew dudniła mu w uszach. W końcu zdecydował się, szybko przeciął pas asfaltu, otworzył drzwi i wszedł.

Punkt realizacji czeków miał wymiary cztery na sześć metrów, podłogę wyłożoną zniszczonym czarno-białym linoleum, a ściany pokryte byle jaką boazerią. W kącie znajdowała się niewielka kabina, gdzie miejscowi jubilerzy i rozwścieczeni sprzedawcy mogli się targować o cenę. Za brudną kuloodporną szybą siedział łyсы Murzyn w koszuli i liczył pieniądze. W powietrzu unosił się odór amoniaku i marihuany, a ze stojącego przy kasie radia dudniła piosenka reggae, wyśpiewywana przez kogoś basem tak głębokim, że nie powstydziliby się go słoń morski.

Rastafarianin w zielonej czapeczce pukał w drewniane drzwi obok szklanego przepierzenia. Nasser przygotował się do sięgnięcia po broń, w tym jednak momencie drzwi za nim otworzyły się i weszła korpulentna młoda kobieta w czerwonym berecie. Pchała przed sobą wózek, w którym siedział mały, najwyżej dwuletni chłopiec w czarnych sportowych bucikach i z przyczepioną na piersi, zrobioną z aluminiowej folii gwiazdą szeryfa. Widząc kobietę i dziecko, Nasser zamarł. Co oni tu robili o tej porze? Tak późno lokal powinien być pusty. Popatrzył na Jusufa, oczekując znaku, że zmieniają plan. Lecz Wielki Niedźwiedź stał przy wysokim pulpicie pod ścianą, nie okazywał najmniejszego zainteresowania otoczeniem i udawał, że wypełnia czek.

- Spróbowałam twojego lekarstwa i czuję się znacznie lepiej - powiedziała kobieta. - Ale aloes jest niesmaczny.

- A cóżes ty zrobiła, dziecino? Wypiłaś lek? - Rastafarianin rozłożył ręce.

- Chcesz powiedzieć, że miałam go wcierać?

Rastafarianin roześmiał się i zapukał w poszczerbione drzwi obok pancерnej szyby, gotów zastąpić kolegę.

Drzwi się otworzyły i wszystko nagle wywróciło się do góry nogami. Wydawało się, że czas jednocześnie zwolnił i przyspieszył biegu. Kobieta nachyliła się do syna, żeby zawiązać mu buciki, a Nasser kątem oka dostrzegł, jak Jusuf odsuwa poły koszuli i sięga po broń. Uświadomił sobie, że przestał oddychać, więc zmusił się do głębokiego wdechu. Jusuf natarł na rastafarianina i wepchnął go przez uchylone drzwi do pomieszczenia kasowego.

- Otwieraj szufladę z gotówką albo coś się komuś stanie! - krzyczał.

Nasser wyciągnął rewolwer i z ociąganiem, niepewnie wycelował w kobietę, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie zamierza go użyć. Miał ochotę powiedzieć jej coś uspokajającego, w końcu uznał, że lepiej tego nie robić, bo Jusuf strasznie by się wściekł. Wbił wzrok w pięcioramienną cynfaliową gwiazdę na piersi chłopca i zastanawiał się, ile czasu zajęło kobiecie zrobienie tej ozdoby.

W pomieszczeniu za szybą rozległ się strzał, który zabrzmiał jak pęknięcie balonika. Nasser poczuł skurcz, jak gdyby coś wewnątrz niego wyszło. Powietrze zrobiło się gęstsze i miał wrażenie, że wokół uszu zacisnęła mu się niewidzialna obręcz. Świadoma tego, że ktoś zginął, kobieta zaczęła krzyczeć. Nasser chciał powiedzieć, żeby się uspokoiła, zanim jednak otworzył usta, w pomieszczeniu kasowym rozległ się kolejny strzał.

Podszedł szybko do drzwi i ujrzał rastafarianina rozciągniętego na podłodze niczym wielka szmaciana lalka, z rozrzuconymi na boki rękami i nogami oraz nienaturalnie przekręconą głową. Przód jego panterki nasiąkał krwią, która obok utworzyła kałużę. Jusuf grzebał w szufladzie z pieniędzmi. Wpychał banknoty do niewielkiej niebieskiej torby z pralni, przywiezionej w tylnej kieszeni spodni. Nie widział czarnego kasjera z zakrwawioną twarzą, który wstawał i mierzył do niego z małego srebrnego rewolweru.

Nasser patrzył na własną rękę z dwudziestkądwójką - unoszącą się powoli, jak gdyby pokonywała opór wody. Polecenie pociągnięcia za spust nadeszło spoza jego umysłu. Broń podskoczyła, wierzgnęła w dłoni, a powietrze przeszył ostry dźwięk. Murzyn zachwiał się, od potylicy odleciał mu kawałek kości, impet rzucił go na stół. Nie wypuszczając broni, osunął się po ścianie na podłogę. Na boazerii nad jego głową pozostała czarnoczerwona, złowieszczą plama, z której spływały cienkie strużki.

Kobieta w pomieszczeniu dla klientów szamotała się jak szalona, żeby uciec z wózkiem na ulicę. Nic w życiu nie przygotowało jej na tę chwilę, za to Nassera przygotowywało do tego całe jego życie. Ta chwila i miejsce były jego przeznaczeniem, tak samo jak to, co planowali zrobić potem - dlaczego więc stał jak słup soli i bał się poruszyć?

Jusuf skończył pakować pieniądze i przeszedł obok stojącego w drzwiach Nassera do sali dla klientów. Kobieta odwróciła się do niego, ale natychmiast spuściła wzrok. Wiedziała, że zobaczenie któregoś z napastników oznacza dla niej śmierć, lecz wiedza ta nie uratowała jej. Jusuf podszedł i jakby nigdy nic strzelił jej w skroń.

Skończyła życie, nie mając nawet szansy spojrzeć na dziecko. Nasserowi przemknęło przez głowę, że jest to nieskończenie smutne i nie należy do naturalnego porządku rzeczy. Pomyślał o tym, chociaż wiedział, że ci, z którymi mają do czynienia, to niewierni i zasługują na śmierć. Gdy Jusuf wycelował rewolwer w krzyczącego, kulącego się w wózku chłopca, Nasser delikatnie szturchnął go w plecy.

- Chodź szejku, musimy iść.

Dwie minuty później, kiedy pędzili Flatbush Avenue, Nasser ciągle czuł w dłoni kopnięcie rewolweru i widział wylatujący z lufy płomyk. Próbował wrócić do normalnie upływającego czasu. Kiedy oświetliły ich reflektory nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu, a w oddali zawyły policyjne syreny, pomacał kluczyk na szyi.

- Nie przejmuj się, przyjacielu, nie jadą za nami - powiedział Jusuf, trzymając kierownicę jedną ręką, a drugą szukając w kieszonce koszuli tabletek z nitrogliceryną. - Jedziemy do domu.

- Co się stało?

- Jak to „stało się”? Wygraliśmy. Jestem tak podniecony, że chyba zwymiotuję. Jeszcze nie liczyłem, ale jestem pewien, że mamy dość na sfinansowanie kolejnego etapu.

Nasser zauważył, że drży.

- Szejku - powiedział, używając tego określenia w sposób, w jaki Amerykanie mówią do siebie „sir” - muszę cię o coś zapytać.

- O co?

- Naprawdę zamierzałeś go zastrzelić? Tego dzieciaka?

- To jest dżihad. - Wielki Niedźwiedź patrzył prosto przed siebie. - Zrobiłbym to, gdyby taka była wola Boga.

- Ale to ja cię wypchnąłem. - Nasser puścił klucz i zerknął przez ramię, czy nikt ich nie ściga.

Jusuf wzruszył ramionami.

- Więc Bóg tak chciał.

2

Znad Atlantyku napływały kłęby porannej mgły. Na balustradzie biegnącej wzdłuż sławnej nadmorskiej promenady na południowo-zachodnim skraju Brooklynu siedziały mewy.

Nasser szedł na sztywnych nogach schodami prowadzącymi do frontowego wejścia Coney Island High School - ponadżeranego morską solą, poznaczonego kolorowymi plamami graffiti ceglanego budynku przy Surf Avenue. Na dzisiejszą okazję związał na szyi czarny dziany krawat, który kupił od murzyńskiego ulicznego sprzedawcy w East Flatbush i włożył kupioną w sklepie z używaną odzieżą wełnianą marynarkę, o wiele za ciepłą na początek października. Ze zdenerwowania odruchowo wydymał usta. Sprawa, z którą przychodził, była najwyższej wagi, ale kiedy minął hol i

stał ze zniszczoną aktówką w dłoni przed detektorem metalu, nie bardzo wiedział, co dalej.

- Mam się spotkać z panem Fitzgeraldem - powiedział do szkolnego ochroniarza.

Jeszcze trochę. Staraj się przykuć ich uwagę. Jeszcze pozostało dziesięć minut do dzwonka.

David Brian Fitzgerald, potężny brodac z okularami, chodził po klasie na trzecim piętrze tak ostrożnie, jakby każdy nieopatrzny krok mógł coś zniszczyć, i czytał na głos ze Szkarłatnego godła odwagi Stephena Crane'a.

- „Tu jednak stanął wobec sprawy ogromnej wagi” - wyrecytował basowym, płynącym z głębi klatki piersiowej głosem, w którym pobrzmiwał akcent z Long Island. - „Nagle przyszło mu do głowy, że a nuż ucieknie podczas bitwy. Musiał przyznać, że jeśli chodzi o sprawy wojny, nie wie o sobie nic”.

Zamknął książkę z głośnym trzaśnięciem, co ściągnęło uwagę wszystkich trzydziestu sześciu uczniów. Siedzieli ciasno stłoczeni w źle oświetlonym pomieszczeniu o spaczonych drewnianych podłodze, u szczytu którego stało zalatujące lekko formaliną nauczycielskie biurko. Piętro wyżej nieustannie wiercono.

- No dobrze, sprawdźmy, co na to publiczność w studiu - powiedział. - Rozmawiamy o sytuacjach, w których jesteście sprawdzani, o niedoskonałym bohaterze. Ilu z was uważa, że uciekliby w takiej chwili?

Dzieciaki zaczęły patrzeć po sobie, poparskiwać z niedowierzaniem, rzucać niby dowcipne zaczepki i wtedy zrozumiał, że podszedł do sprawy zbyt bezpośrednio. Nie wolno było zapominać, że to dzieciaki z Coney Island i nie przyznają się łatwo do strachu ani słabości.

- No, nie wystawiajcie mnie do wiatru... - Wziął do ręki noszącą ślady długiego używania rękawicę baseballową, która leżała na jego biurku od czasu lekcji poświęconej Buszującemu w zbożu. - Nie chcę, byście mechanicznie zapamiętywali te książki. Chciałbym, żebyście odnaleźli w ich bohaterach coś z siebie, a przynajmniej coś, co mogłoby się stać częścią każdego z was. - Rozejrzał się, niestety, widział błyski tylko w niewielu oczach.

Wsunął dłoń w rękawicę i uderzył w nią pięścią drugiej ręki, aż głośny dźwięk odbił się echem od ścian. Czuł, jak ogarnia go aktorska gorączka.

- Świetnie, pozwólcie, że dam wam przykład - powiedział, ruszając przejściem między rzędami. - Kiedy byłem młody, pracowałem pewnego lata w Westbury Beach Club w Atlantic Beach. Możecie sobie wyobrazić mnie w slipkach?

Podniósł ręce i wciągał brzuch, aż dzieciaki, na widok jego upozorowanej teatralnie potężnej sylwetki, zaczęły chichotać.

- Naprawdę wyglądałem jak postać z reklam preparatów do rozbudowy mięśni, które wiszą w metrze. Mój ojciec był wielkim bohaterem wojennym z piersią pełną medali i często marzyłem, że dokonam czegoś wspaniałego, co zrobi na nim wrażenie. No i na reszcie świata. Ale to częste fantazje u dorastającej młodzieży, prawda? O tym, jak ratuje się dziewczynę, a ona mdleje nam w ramionach...

Mniej więcej trzy czwarte chłopców uśmiechnęło się pod nosem, wiedząc o czym mówi, podczas gdy dziewczęta siedziały bez ruchu i czekały, aż Fitzgerald je przekona.

- Tak więc pewnego dnia siedzę na stanowisku ratownika, czekam, aż zostanę bohaterem, i nagle co widzę? - podskakującą na falach głowę. Natychmiast ruszam. Rozumiecie? - Przeszedł w głąb klasy niczym rozbijający krę lodolamacz, słychać było tylko szuranie krzeseł o linoleum, kiedy z pośpiechem usuwano się przed nim z drogi. - Zaraz uratuję dziewczynę moich marzeń, biegnę więc, nurkuję w przybój i płynę, machając z całych sił ramionami, walcząc z prądem... - Zamachał rękami jak śmigający kraulem pływak, który błyskawicznie pokonuje fale Atlantyku. - W końcu dotarłem na miejsce, jakieś dwieście metrów od brzegu, i okazało się, że to stara gruba baba w czepku!

- O w mordę! - wykrzyknął siedzący w trzecim rzędzie Ray-Za, który jeszcze przed chwilą gapił się tępo w ekranik gry komputerowej.

Żywo zareagowało też kilkoro innych dzieci. Udało się, pomyślał Dawid. Zaczynali się budzić z umysłowej hibernacji. Nadeszła chwila, żeby nawiązać z nimi kontakt i nie pozwolić, aby znów popadli w odrętwiałą obojętność.

- No to zaczynam ją wyciągać - kontynuował David, udając, że dyszy. - Na każdym kursie dla ratowników uczą łapać delikwenta za włosy, nigdy za rękę albo ramię, bo tonący może chwycić ratownika i pociągnąć za sobą na dno. Sięgam więc do czepka, ściągam go i okazuje się, że baba jest prawie łysa!

- O kurde! - Meny Tyrone w drugim rzędzie zasłoniła dłonią usta.

- Tak jest! - zawołał David i ruszył z powrotem w kierunku tablicy. - Nie dość, że łysa, to jeszcze łapie mnie za szyję i zaczyna ciągnąć w dół. Wielka łysa kobieta próbuje mnie utopić na środku Atlantyku. Zupełnie jak we freudowskim koszmarnym śnie. Krótko mówiąc, do wody musiała wskoczyć i uratować nas oboje chuda ratownicza z sąsiedniego klubu, w której się durzyłem.

- UHHHUUUU, panie Fitzgerald!

Cała klasa wybuchła krzykiem zarówno chłopcy, jak i dziewczyny. Co prawda w rzeczywistości wszystko odbyło się inaczej, ale co z tego? Lubili, jak opowiadał historie ze swego życia. W końcu jego zadaniem było wykrzesać z uczniów iskrę zainteresowania, rozbudzić ich emocjonalnie, rozbić lodową otoczkę znajdującą się w każdym z nich.

- Świetnie, czy ktoś z was mógłby podać przykład sprawdzianu charakteru - powiedział, wbijając pięść w rękawicę. - Kupię wszystko wzięte z życia albo z książek, które czytaliście. - Potem parodiując właścicieli bud w wesołym miasteczku dodał: - Tylko się nie pchać! Szybko podchodzimy, nic się nie boimy! Raz dwa, bo okazja ucie-ka!

Bez ostrzeżenia ściągnął rękawicę i rzucił ją siedzącej w pierwszym rzędzie Elizabeth Hamdy. Ta bystra, promieniejąca wewnętrznym blaskiem dziewczyna zazwyczaj przychodziła do szkoły w czerwonej arabskiej chuście na głowie i przynosiła do klasy wrotki. Chciał, żeby jej wypowiedź była przykładem dla pozostałych. Złapała rękawicę i rozejrzała się, na pół zażenowana, na pół dumna. Dziś nie miała na głowie chusty.

- Hm, może Holden Caulfield? - powiedziała cicho.

- Aha... może być. Ale o co dokładnie chodzi? Mów, masz rękawicę.

- No, ma pod koniec ten sen. O tym, jak stoi na straży, żeby chwycić bawiące się i zagrożone upadkiem z urwiska dzieci, od czego książka bierze tytuł Buszujący w zbożu. ^{*1}

- Zgadza się, ale on tylko o tym myśli. - David pochylił się ku niej. - Nigdy tego nie zrobił w rzeczywistości. Mogłabyś podać konkretniejszy przykład?

- Tak. Mojego ojca, kiedy przeszedł rzekę - powiedziała szybko i uśmiechając się skromnie, spuściła wzrok.

- To ciekawe - zauważył David, nie wiedząc, czy naciskać dalej. - Jaka to była rzeka?

- Jordan.

- To na Bliskim Wschodzie - wyjaśnił David reszcie klasy. W dzisiejszych czasach trudno liczyć na jakąkolwiek znajomość geografii.

- Aha. On jest Palestyńczykiem. - Elizabeth nieco się zaczerwieniła.

- Dlaczego przejście Jordanu okazało się tak wielkim wydarzeniem?

- Ponieważ Izraelczycy zbombardowali jego rodzinną wioskę - odparła, niezbyt zachwycona zainteresowaniem nauczyciela, chcąc jednak jak najlepiej odpowiedzieć na zadane pytanie. - Dziadkowie poprosili ojca, żeby przeszedł rzekę i zabrał brata i siostrę do Jordanii. Bali się, że ten, kto zostanie, będzie zgwałcony i zamordowany przez żołnierzy.

- I zrobił to? - Nie zamierzał drążyć tak głęboko, ale okazja sama się nadarzyła.

- Tak. - Przełknęła ślinę i zwiesiła głowę. - Nie wszystkim w mojej rodzinie się to podobało. - Zacisnęła palce na brzegu ławki. - Niektórzy uważali, że powinien wstąpić do wojska i walczyć z Izraelczykami albo coś w tym stylu. Moim zdaniem więcej od-

¹ * Catcher - z oryginalnego angielskiego tytułu The Catcher in the Rye można tłumaczyć także jako „łapiący, chwytający”, (przyp. tłum.).

wagi wymagało to, co zrobił.

- Czyli co? - David widział pana Hamdy'ego tylko raz, na zeszłorocznym spotkaniu rodzicielskim i zapamiętał go jako sympatycznego przysadzistego handlarza warzyw w średnim wieku. - Czyli co?

- Przyjechać do tego kraju, nie mając niczego, i spróbować zacząć nowe życie.

David czuł, że w tej opowieści kryje się coś jeszcze, ale postanowił nie ciągnąć dziewczyny za język. Dość już powiedziała. Gdyby ktoś inny z klasy mówił tak długo jak ona, zostałby zakrzyczany i wyzwany od przemądrzałych popaprańców, lecz wobec Elizabeth klasa zachowywała się dość powściągliwie. Wyczuwali otaczającą ją aurę i akceptowali jako kogoś szczególnego. A niech to diabli - pomyślał David - jest cholerną gwiazdą i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy!

- Świetnie, dziękuję ci, Elizabeth. - Uniósł kciuk i patrzył, jak dziewczyna opada ciężko na krzesło, zadowolona, że nie musi więcej mówić. - Proszę bardzo, kto następny? - zapytał podniesionym głosem, przekrzykując hałas, jaki piętro wyżej robili budowlańcy. - Tylko się nie pchać! Podchodzić i gadać. Mile będą widziane wszelkie opowieści o odwadze i tchórzostwie.

Zapadła cisza, a on nie spieszył się, żeby ją przerwać. Po piętnastu latach nauczania wiedział, że nie wolno wyciągać z nich odpowiedzi na siłę. Niech to, co ma się stać, nastąpi z ich inicjatywy - to jedyny sposób, w jaki czeokolwiek się nauczą.

W końcu podniósł rękę siedzący w ostatnim rzędzie Kevin Hardison, mały, cherlawy chłopaczek marzący o zostaniu gangsterem, który dla nadania sobie groźnego wyglądu kazał założyć na przednie zęby złote korony z inicjałami KH. Nosił czapkę z wyhaftowanym symbolem dolara i codziennie przychodził w innym z dwóch posiadanych ubrań. W młodości David sam bywał w poważnych tarapatach i miał sentyment do rozrabiaków i tępaków. Dał Elizabeth znak, żeby rzuciła Kevinowi rękawicę.

- Chciałem powiedzieć o tym, jak się w zeszłym roku pseprowadziłem - zaczął chłopak lekko sepleniąc.

David chciał mu przerwać i powtórzyć, że dyskusja ma się koncentrować na przykładach heroizmu z literatury, przypomniał sobie jednak, że w ciągu ostatnich czterech

tygodni Kevin zabiera głos dopiero drugi raz. Wobec tego lepiej będzie go zachęcić i pozwolić mu mówić.

- No dobrze, jaki to ma związek z byciem sprawdzanym?

Chłopak zawahał się i usiłował usiąść, załując, że podniósł rękę. Był to moment decydujący o tym, czy dzieciak włączy się w życie klasy, czy też wybierze wycofanie się z grupy i w końcu zrezygnuje ze szkoły.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Proszę bardzo, mów dalej.

Chłopak obliznął wargi.

- Dobra - rozpoczął powoli, jakby odbijał piłkę tuż przed autem. - To było w zeszłym roku, moja rodzina wyprowadziła się z Marlboro Houses i dostała mieszkanie w O'Dwyer Gardens. - Mówił o dwóch ogromnych kompleksach mieszkalnych na Coney Island, oddalonych od siebie o kilka przecznic. - W każdym razie kumple z mojej starej paczki w Marlboro walczyli z moimi nowymi kumplami z O'Dwyer. Najpierw jedni, potem drudzy przyszli do mnie i spytali, co zrobię, kiedy zaczną się łać w piątek wieczorem. Po czyjej stronie stanę?

- I co zrobiłeś? - spytał delikatnie David, próbując nie zaprzepaścić chwili i ułatwić chłopcu wypowiedź.

- Zostałem w domu z mamą - powiedział Kevin, starając się mówić odważnie i nie okazać wstydu. - Zupełnie jakbym zwał i podkręcał radio, żeby nie słyszeć huku rozwalanych łbów, syren za oknem i całej reszty. Następnego dnia okazało się, że mój kumpel Shawn De Shawn został postrzelony w głowę. Przez miesiąc trzymali go podłączonego do aparatów, potem je wyłączyli. Co za syf, człowieku. A miał grać dla St. Johns...

Zamilkł i stał, patrząc na swoje dłonie, zażenowany, że tyle ujawnił. Paru chłopców za jego plecami zaczęło pomrukiwać i z zadowoleniem pokazywać go palcami, ale David skarcił ich lodowatym spojrzeniem.

- Dobrze, wystarczy! - rzucił w ich stronę i skoncentrował się ponownie na Kevinie. - Dziękuję, Kevin. Trzymam z tobą sztamę za szczerą wypowiedź. Shawn był w

mojej klasie, a dla uzupełnienia chcę powiedzieć, że moim zdaniem zrobiłeś dobrze. Kto się z tym nie zgadza, może mi to powiedzieć po lekcji.

Cóż, nie była to Elegia na wiejskim cmentarzu, ale fakt, że dzieciak pokroju Kevina na ryle się otworzył, graniczył z cudem. Właśnie tego typu wydarzenia - oczywiście poza posiadaniem w klasie perełek takich jak Elizabeth - powodowały, że mimo ciągłych cięć budżetowych, polityki zarządu szkoły i sypiącego się mu na biurko tynku, David nie zmieniał pracy.

Podszedł do ławki Kevina, wziął od niego rękawicę i powiedział cicho:

- Jeśli chcesz, przyjdź do mnie porozmawiać.

Dzień stawał się niezwykły, nieczęsto bowiem zdarzało się, żeby dzieciaki opowiadały publicznie, co im leży na sercu. Zawrócił i poszedł na przód klasy. Korzystając z donośnego głosu, spróbował uczynić dyskusję nieco lżejszą.

- Świetnie, nie chcę zamienić naszej lekcji w terapię grupową ani w talk-show - powiedział i wziął do ręki kredę. - Wróćmy do literatury. O niej przecież rozmawialiśmy? Mam rację? Czy ktoś mógłby mi wskazać w którejś z książek postać, która została poddana sprawdzianowi albo sama coś sprawdzała?

W piątym rzędzie pod kaloryferami podniósł rękę Rosjanin, Jurij Ehrlich, błyskotliwy, aczkolwiek pozbawiony skrupułów chłopak o długich, prostych, ciemnych włosach i nieznośnym przyzwyczajeniu oszukiwania w sytuacjach, w których najmniej było to potrzebne. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nie mógł się pozbyć nawyku radzieckich obywateli sprzeciwiania się władzy, kiedy tylko się da. Davida ciekawiło, czy w tym roku coś się zmieni w jego zachowaniu.

- Raskolnikow - powiedział Jurij z mocnym akcentem.

- Raskolnikow, który zarabiał siekierą starą wdowę i jej siostrę? - David rzucił mu rękawicę. - Może zamiast rękawicy powinienem dziś przynieść siekierę?

Rozległo się kilka niepewnych parsknięć. Zbrodnię i karę czytano dopiero na kursie dla zaawansowanych, a nie w ich klasie. Nie chciał jednak się spierać, jeśli chłopak chciał mówić akurat o tej książce.

- Niech będzie, podejmuję temat. Dlaczego Raskolnikow?

Jurij siedział cichy i zadumany, nie złapał rękawicy, która spadła z ławki na podłogę.

- Może ma na myśli, że Raskolnikow sprawdzał, co znaczy być niezwykłym człowiekiem - wtrąciła z powagą Elizabeth Hamdy. Ona także chodziła na zajęcia dla zaawansowanych.

- Mógłbym się z tym zgodzić - odparł David. Cóż za dzień ciężkich tematów... - No i udało mu się czy nie?

- Moim zdaniem nie, ponieważ jego definicja niezwykłości była błędna - powiedziała Elizabeth z idealnie amerykańską dykcją, wyraźnie zadowolona, że nie musi mówić o sobie.

- Jurij, zgadzasz się, że dlatego mu się nie udało?

Nastąpiła pełna napięcia chwila oczekiwania. Dzieciaki zaczęły się rozglądać i spoglądać nerwowo na zegarki, ale David uciszył je przez podniesienie rąk.

- Nie - odparł Jurij, patrząc na swoje buty. - Nie udało mu się, ponieważ oddał się w ręce policji.

Zabrzęczał dzwonek na przerwę.

- Jurij, przerażasz mnie - powiedział David, podnosząc rękawicę. - Pozostali napiszą i oddadzą do piątku od trzech do pięciu stron na ten temat.

Na przerwach, w trakcie których wędrowano od klasy do klasy, na korytarzach panowało kompletne zamieszanie. Uczniowie leniwie krążyli dookoła i stali w luźnych grupach, jakby specjalnie chcieli utrudniać przejście.

Nasser ostrożnie mijał kolejne grupy i czuł się tak samo niewidzialny jak cztery lata temu, kiedy powtarzał klasę. Korytarz wyglądał niemal identycznie, przybyło tylko tu i ówdzie parę białoczerwono-niebieskich chorągiewek. Poza tym nic się nie

zmieniło: zielone kafelki na ścianach, matowa podłoga, w którą powrastał brud, poszczerbione mahoniowe poręcze, namalowane złotymi literami na brązowych tabliczkach nazwiska najlepszych absolwentów oraz tych, którzy zostali weteranami wojennymi, trofea sportowe w szklanych gablotach, plansze zrobione z okazji Tygodnia Włoskich Amerykanów ze zdjęciami sławnych aktorów, piosenkarzy pop, Krzysztofa Kolumba, Leonarda da Vinci i dań z makaronu. Czuł się jednak całkiem inaczej niż wtedy. Nie chciał pasować do tego miejsca. Nie chciał być jednym z nich. Niech przechodzą, gadają jakimś tylko sobie znanym językiem, flirtują, walczą, robią niezrozumiałe dowcipy. Dzieciaki z gołymi brzuchami, przekłutymi nosami, farbowanymi włosami, czarnym lakierem na paznokciach, posługujący się wulgarnym językiem, ubrane w zbyt obcisłe albo workowate ubrania, z jawnie taksującymi spojrzeniami. Oczy, które patrzyły na niego, ale wydawały się go nie widzieć. Pewnego dnia spadnie na nich wielka kara.

W drugim końcu budynku David Fitzgerald powoli przeciskał się przez tłum w kierunku swego gabinetu. Utrudniała mu to noszona niemal przez wszystkich uczniów czarna torba na książki firmy Jansport, która zwisała mu z ramienia. Budynek szkoły wyglądał i funkcjonował tak, jak gdyby przy jego budowie zrealizowano majaki senne projektanta domów grozy dla wesołych miasteczek. Długie ciemne korytarze prowadziły donikąd, schody kończyły się na kolejnych piętrach, a przez maleńkie okna wpadało niewiele światła. Plany poruszania się zaprojektowano, dokonując swobodnej interpretacji schematów istniejących w Bostonie i Tijuanie, akustyka odpowiadała potrzebom koncertu zespołu heavymetalowego albo restauracji na Manhattanie, nieustannie i bez najmniejszej potrzeby dzwoniły dzwonki.

Z mijającej męską toaletę grupy, udającej się nie wiadomo dokąd młodzieży, rozległy się skierowane ku niemu okrzyki:

- Hej, jak leci, panie Fitz?!
- Zara moment, nie włącz pan na mnie, panie Fitzgerald!
- Aua, aleś mnie pan przeraził, panie Fitzgerald!

Choć starał się nie ocierać o żadne z dzieci, od czasu do czasu wyciągała się czyjaś ręka i dotykała jego głowy lub ramienia - złośliwie albo czule. Nie zawsze udawało się to odróżnić, ale otuchy dodawał sam fakt, że go dotykano. Potwierdzał, że ma swo-

je miejsce w tym małym ludzkim ulu.

- Hej, panie Fitz, zadzwoni pan za mnie do mojego kuratora?

- Panie Fitz, porozmawia pan z moją mamą? Dobrze?

- Hej, panie Fitz, jak rower?

O tak... rower. Chodziło o staromodnego schwinna z wyścigowym siodełkiem, którego nabył za pięć dolarów na ulicznej wyprzedazy. Z powodu roweru wyrobił sobie opinię ekscentryka, a to dlatego, że kilka lat temu mieszkali z Renee, z którą obecnie się rozwodził, w Park Slope i zamiast metrem kilka razy w tygodniu przyjeżdżał do pracy na rowerze. W ten sposób został „rowerzystą”. Dla dzieciaków pozostał nim nawet po przeprowadzeniu się na Manhattan, kiedy znów jeździł pociągiem. O tak, miał niezłą reputację. Śmieszny pan Fitzgerald. Dziwny pan Fitzgerald. Co w tym złego - w końcu dzięki temu nie był anonimowy. Ludzie myśleli o nim. Pewnego razu, gdy omawiał Buszującego w zbożu, przyniósł do klasy rękawicę baseballową, co stało się kolejnym elementem jego mitologii: pan Fitz przyniósł na lekcję rękawicę łapacza. Teraz musiał ją przynosić co rok na dyskusję o niedoskonałym bohaterze - dzieciaki oczekiwały tego.

- Hej! - wrzasnął na Dominikańczyka z siódmej klasy, nazwanego Krnąbrny Q, który przy schodach pożarowych bajerował dziewczyną. - Wpadnij do mnie potem. Mam dla ciebie ten tomik poezji Lorki, o którym mówiłem.

Kiedy dotarł do drzwi wydziału literatury angielskiej, ujrzał Donnę Vitale. Czekala na niego. Miała kręcone, farbowane na słomiany kolor włosy, wspaniałe, ciepłe, promienny uśmiech i lekkiego zezę w jednym oku.

- Masz gościa - powiedziała.

- Tylko nie mów, że to znów przyszedł Larry ponarzekać na mój program.

Dyrektor szkoły Larry Simonetti był od tygodnia w stanie wielkiego wzburzenia - dokładnie biorąc, od momentu opublikowania raportu, w którym określono jego szkołę jako, jedną z najgorzej prowadzonych” w mieście. Co prawda uczniowie osiągnęli niezłe wyniki, ale w ostatnim roku skandal gonił za skandalem. Najpierw ochroniarz

uciekł z dziewięcioklasistką, na wiosnę spadające cegły poważnie raniły ucznia z jedenaściej klasy, do tego doszło niewyjaśnione zniknięcie siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów z rocznego budżetu. W przyszłym tygodniu miał do szkoły przybyć gubernator i wygłosić przemówienie na temat „odzyskania naszych szkół” - prawdopodobnie w ramach preludium przed ogłoszeniem, że zamierza kandydować na prezydenta.

- Nie, to nie Larry - odpowiedziała Donna. - To duch przeszłości. Powiedziałam, że może poczekać za twoim biurkiem.

- Dzięki, pani Vitale.

Mijał ją, gdy przytrzymała go za łokieć.

- Może moglibyśmy też porozmawiać o kolacji u mnie w przyszłym tygodniu...

Zatrzymał się w pół kroku, mile połechtany, aczkolwiek zdziwiony; nagle poczuł się jak nieśmiała małpa. Ciekawe, jak kobiety radzą sobie z podobnymi objawami zainteresowania.

- Hm... moglibyśmy porozmawiać o tym później, Donno?

- Masz mój numer telefonu.

Możliwe, że próbując dogadać się z Renee, tracił świetną okazję z Donna - była bystra, doświadczona, a jej zachowanie sugerowało, że jest do wzięcia i można przeżyć z nią wspaniałą przygodę. David bez trudu wyobrażał ich sobie siedzących w łóżku i popijających piwko.

- Ale nie zwlekaj za długo... - Otarła się o niego, odchodząc do powielarni. - Nie będę czekać wiecznie.

Poszedł dalej. Biuro wydziału mieściło się w wąskim, pomalowanym na niebiesko pomieszczeniu obok głównego korytarza. Stało w nim dwanaście biurek dla dwudziestu nauczycieli literatury angielskiej. Od młodszych stażem oczekiwano, że będą wędrować jak nomadowie i kłaść swoje papiery oraz książki na zwolnionym gdziekolwiek miejscu, podczas gdy starsi, wczepieni w stałe miejsca, bronili swoich rewirów niczym wyliniałe stare goryle. Nie wiadomo dlaczego koło fontanny kręciło się trzech

uczniów, a na drabinie stał robotnik, wrywając kawały tynku z sufitu i szukając Bóg wie czego. Ścianę nad przepelnioną aktami szafą zdobiła ponaddzierana reprodukcja „Krzyku” Edwarda Muncha, wokół szafy stało kilku malarzy z wałkami malarskimi, z których skąpy wała farba, i próbowało odświeżyć pomieszczenie na zapowiedzianą wizytę gubernatora.

Gość siedział w fotelu Davida i patrzył na leżące na biurku dokumenty oraz wi-
szący na ścianie plakat z cytatem z Melville’a:

NIECH BÓG MNIE UCHRONI PRZED SKOŃCZENIEM CZEGOKOLWIEK.

Co to miało znaczyć? Nasser nie mógł zrozumieć tego zdania. Kiedy pan Fitzgerald był jego nauczycielem, nigdy mu nie ufał. Przez cały czas siedział w ostatnich rzędach, znudzony, ale i zbyt przestraszony, żeby się odzywać. Wszystko, co się działo w klasie, działo się gdzieś poza nim. Większości tego, o czym mówiono, nie rozumiał, nie pojmował dowcipów, bardzo mu nie odpowiadało też powtarzanie klasy i to, że był starszy od uczniów w swojej klasie. Szczególnie nie lubił, gdy pan Fitzgerald wywoływał go do odpowiedzi, każąc wyjaśniać, co myśli o Wielkim Gatsbym, Pogromcy zwierząt czy innej niemoralnej amerykańskiej książce. Było to poniżające, jakby kaza-
no mu się publicznie rozbierać. Jąkał się wtedy i zacinał, marzył o zapadnięciu się pod ziemię, podczas gdy nauczyciel czytał mu niemoralne wiersze i próbował zmusić go do myślenia i mówienia w sprawiający mu przykrość sposób.

Wkrótce po tym Nasser rzucił szkołę. Choć przyszedł teraz kierowany nienawi-
ścią, pewna część jego osobowości reagowała na powrót inaczej. Słabsza część cha-
rakteru pragnęła porozmawiać o tym, co niedawno przeżył. Nieraz obserwował, jak
inni uczniowie rozmawiali z panem Fitzgeraldem, opowiadali mu po lekcjach dowci-
py, dzielili się z nim tajemnicami i doskonale pamiętał, jak bardzo chciał w taki sam
sposób zrzucić z siebie to, co ciążyło mu na duszy.

- Nasser, prawda? - David odstawił torbę i podał chłopakowi rękę.

Kątem oka zauważył leżącą między żółtymi kartkami do zapisywania notatek,
materiałami do końcowego sprawdzianu i stertami niesprawdzonych wypracowań z
pięciu klas, w których uczył, różową kartkę informującą, że miał telefon z Visy. Sama
myśl o tym, że o dwa i pół tysiąca dolarów przekroczył przyznany limit kredytowy,
wywoływała ból w karku.

Gość podniósł głowę. W błyszczących brązowych oczach - identycznych jak u siostry - widać było zaskoczenie.

- Jestem zaskoczony, że mnie pan pamięta - powiedział. Uścisk jego dłoni był słaby i ostrożny.

- Pamiętam prawie wszystkich moich uczniów.

Była to prawda, chociaż Nasser nie zrobił nic godnego zapamiętania. Ot siedział w ostatnim rzędzie z miną, jakby cały świat go wkurzał. Każdego roku do szkoły chodziła pewna liczba podobnej młodzieży - dwadzieścia, może trzydzieści procent. Takich, z którymi nie udało się porozumieć, niemówiących po angielsku albo wszystko ignorujących. Po tylu latach pracy David wiedział, że w każdej klasie jest pewna liczba przypadków beznadziejnych. Pomagało się tym, którzy chcieli i mogli skończyć szkołę, a z pozostałymi należało obchodzić się tak, żeby zminimalizować szkody. Raz na jakiś czas w żwirze znajdowało się klejnot. Pojawiały się takie dzieciaki jak Kevin Hardison - początkowo niezbyt obiecujące, ale podatne na ukierunkowanie, co sprawiało, że zaczynały błyszczeć. Pokazywało się im, że za wielką granicą zwaną dorosłości istnieje życie, idee i tajemnice, a świat nie składa się tylko z jeżdżenia po autostradzie, hamburgerów w barze i sprzedawania narkotyków na rogu. Szkoła średnia jest w Ameryce ostatnią szansą doświadczenia prawdziwej demokracji, gdzie wszyscy są mniej więcej równi. Dlatego starał się o te dzieciaki, pomagał im własnym kosztem - kupował za własne pieniądze ponadprogramowe książki, chodził w piątkowe wieczory na mecze koszykówki, rozmawiał z pracownikami socjalnymi, kiedy któryś z jego uczniów miał problemy z rodzicami albo popadał w konflikt z prawem, nie odmawiał rozmowy, gdy dzwoniły z zakładu dla nieletnich w Rikers.

Zaoferował Nasserowi pomoc, uważał bowiem, że dostrzega w nim coś niezwykłego. Niestety, chłopak wyszedł z klasy, ignorując tę propozycję.

David Fitzgerald nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że jego młodsza siostra Elizabeth została jedną z najlepszych uczennic, jakie miał kiedykolwiek w szkole.

Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- No więc, jak ci się wiedzie? Co robisz?

- Jest dobrze. Bardzo dobrze. Wiedzie mi się świetnie. - Nasser nerwowo szarpał krawat. - Jeżdżę jako kierowca. Wszystko jest u mnie w najlepszym porządku. Zarabiam dużo.

- Cieszę się. Wygląda też na to, że poprawiłeś angielski.

- Dalej trudno mi się mówi. - Owinął krawat wokół palca i zapatrzył się na porzwieszane na korytarzu patriotyczne dekoracje. Na jego twarzy walczyły ze sobą duma i zażenowanie.

- W przyszłym tygodniu ma do nas przyjechać gubernator, bez wątpienia po to, aby podzielić się z nami poważnym niepokojem o los dzieci i nauczycieli tego stanu - powiedział David. Przysunął krzesło do Nassera, niemal dotknął go kolanami. - Co cię sprowadza? Chcesz zdawać zaocznie?

Nasser popatrzył Davidowi prosto w oczy.

- Nie. Muszę porozmawiać o czymś bardzo poważnym. - Puścił krawat, a jabłko Adama podskoczyło mu nad zapiętym kołnierzykiem. - Muszę porozmawiać o mojej siostrze.

- O Elizabeth?

Nasser położył aktówkę na kolanach, jakby chciał się nią zasłonić.

- Co się stało? Jest wspaniała. To mistrzyni świata. W teście uzdolnień szkolnych zdobyła tysiąc pięćset punktów. Może sobie wypisać bilet na dowolną uczelnię, do-
kądkolwiek zechce pójść.

- Tak nie wypada, żeby robiła to dziewczyna taka jak ona.

- Dlaczego?

Nasser w napięciu zmarszczył czoło, poprawił krawat i chwycił rączkę aktówki. David przez chwilę myślał, czy nie zaoferować mu kawy, lecz zrezygnował z tego, ponieważ chłopak był już wystarczająco pobudzony.

- Dziewczyna taka jak ona powinna zostać w domu i dobrze wyjść za mąż - powiedział Nasser. - Dziewczyna jak ona musi pomagać tworzyć muzułmańską rodzinę.

David aż się zjeżył. Dlaczego ktoś chce zapanować nad dziećmiakami i zamykać je w klatkach? Połowę swojej pracy poświęcał na otwieranie klatek, w których siedziały... Spróbował jednak delikatnie.

- Hm, dlaczego sądzisz, że nie może wyjść za mąż mimo studiów?

- Nie - Nasser gwałtownie pokręcił głową. - To się nie uda. Są na świecie sprawy...

- Sprawy?

- Złe sprawy. Sprawy, z którymi nie może się zetknąć. Niemoralność i lubieżność. Jeżdżę po okolicy, widzę narkotyki i prostytutki na chodnikach. Co dzień w gazecie piszą, że zgwałcono dziewczynę. Ludzie giną, bo byli w złym miejscu. Bez powodu. To straszne.

Do pokoju weszła Donna Vitale z naręczem kupionych w antykwariacie książek, machnęła na powitanie, precyzyjnie się między nimi i podeszła do swego biurka. Davida niepokoiło to braterskie zainteresowanie. W tradycyjalistycznych rodzinach niechęć wypuszczenia dziecka w szeroki świat nie była niczym niezwykłym. Zazwyczaj wynikała z reguł kulturowych, czasem jednak David odnosił wrażenie, że tak naprawdę rodzice chcą zatrzymać dzieci przy sobie, żeby mieć przyjemniejsze życie.

- Czy mógłbym zapytać, dlaczego ty z tym do mnie przychodzisz, a nie wasi rodzice? - David uniósł brew i pochylił tułów, tak że niemal dotknął barkiem ucha Nasser.

Chłopak odsunął się.

- Nasza matka nie żyje i ktoś musi dbać o moją siostrę - powiedział wyraźnie wzburzony.

- Ale ojciec żyje. Rozmawiałem z nim w zeszłym roku. - Znając fakty, które Eli-

zabeth opowiedziała na lekcji, David czuł potrzebę obrony pana Hamdy'ego.

- Ojciec... - Nasser wydał pogardliwie wargi i pociągnął silnie za krawat. - Ojciec nie nadaje się do chronienia mojej siostry. Ożenił się z niemoralną Amerykanką i ma z nią córki, którym wolno jeść wieprzowinę i oglądać w telewizji brudy! Przykro o tym mówić, ale to prawda. Mój ojciec nie jest pobożny. Próbuje, ale zbyt słabo. Ktoś inny musi być bardziej odpowiedzialny.

Nagle Nasser zamilkł, odwrócił się i zaczął obserwować korytarz. Szła nim właśnie jego siostra ze swą najlepszą przyjaciółką Merry Tyrone, elegancką Murzynką, która nosiła krótkie spódniczki i buty na grubej podeszwie, i nie lubiła, żeby wiedziało, jaka jest bystra.

- Widzi pan? - Nasser z rozpaczą złączył dłonie. - Nie ma dziś hijab.

- Czego?

- Chusty na głowę. Dobra muzułmańska dziewczyna powinna ją nosić.

- O! - David wpatrywał się w czubek głowy Nassera, jak gdyby chciał zobaczyć, co jest tam w środku. - Daj spokój, Nasser. Twoja siostra jest dobrym dzieciakiem. Nie wplączę się w nic złego.

- Nie? - Nasser otworzył aktówkę. - To niech pan zobaczy, co znalazłem w jej pokoju.

Zaczął wyjmować różne rzeczy: egzemplarz „Cosmopolitan”, katalog firmy Crew oraz egzemplarze Buszującego w zbożu i Koloru purpury z pozaginanymi rogami i popodkreślanymi na czerwono akapitami. Znalazła się nawet wejściówka na wtorek do Museum of Metropolitan Art.

- Widzi pan? Haram. Haram. Haram'. - wykrzykiwał, wskazując na każdą przyniesioną rzecz. - Nic z tego nie jest dozwolone!

Haram. Słowo brzmiało jak wycie nagle przyspieszającego silnika. David gwałtownie się wyprostował i oparł plecami o oparcie krzesła, jakby w twarz poleciała mu porcja spalin.

- Nasser, nie wiem, co ci powiedzieć... - westchnął, uniósł podbródek do góry i potarł grdykę dłonią. - Taki jest współczesny świat. Ja też nie lubię wszystkiego, co się na nim dzieje, ale nie mogę zaciągnąć zasłon i udawać, że czegoś nie ma.

- Nie widzi pan, że to może zaszkodzić młodej dziewczynie?

- Bo ja wiem... - David nie chciał mówić, że część lektur sam polecił. - Nie sądzisz, że trochę przesadzasz?

- Nie, nie przesadzam.

Patrzył jak Nasser wsuwa palce między guziki koszuli, jakby próbował zapanować nad wielkim ciśnieniem. Był strasznie spięty, coś tłumił w sobie. Czyżby chciał jeszcze coś powiedzieć?

- Nasser, naprawdę uważam, że wszystko będzie dobrze. - Próbował powiedzieć to uspokajająco.

- A więc nie pomoże mi pan powstrzymać jej przed pójściem do college'u? - spytał Nasser. Oczy mu błyszczały, niemal się jarzyły. - Tak?

David pojął, że mylił się co do chłopaka. Dotychczas uważał, że jest przede wszystkim zazdrosny o stopnie siostry i łatwość, z jaką się asymiluje, teraz jednak widział, że sprawa jest poważniejsza: miał przed sobą młodzieńca przestraszonego końcem dwudziestego wieku. Sam borykał się z takim problemem, kiedy chodził do szkoły - był zbyt przerażony, aby wyjść poza znane mu ramy myślenia i spróbować nowych idei.

- Obawiam się, że nie byłbym w stanie zmusić kogokolwiek do zrobienia tego, na co nie ma ochoty. Na pewno nie chcesz porozmawiać o czymś jeszcze?

Jeszcze raz przyjrzał się uważnie Nasserowi. Zdziwiająco - nie był podobny do siostry, ale mieli identyczne oczy. Bez chusty na głowie Elizabeth wyglądała jak dziewczyna urodzona w Nowym Jorku, natomiast Nasser miał w sobie coś z ociężałości Starego Świata, jakby dopiero co przybył z Betlejem. Choć Elizabeth urodziła się pięć lat później, dzieliło ich dwadzieścia wieków.

- Nie, nic innego się nie liczy. - Nasser spakował rzeczy siostry do aktówki. - Jestem rozczarowany. Miałem nadzieję, że pan pomoże.

Przybywali co roku i znikali jak odpływ. Zjawiali się młodzi i nagle robili się starzy.

- Przykro mi, Nasser. To wolny kraj. Chcę powiedzieć, że szanuję twoją wiarę i staram się o dobro twojej siostry tak samo jak o dobro wszystkich uczniów, ale każdy ma prawo do popełniania własnych błędów.

- Nie, ja tak nie myślę. - Zatrzasnął aktówkę i wstał.

David chciał podać Nasserowi rękę, ten jednak zainteresował się czymś innym - wiszącym nad biurkiem cytatem z Melville'a: NIECH BÓG MNIE UCHRONI PRZED SKOŃCZENIEM CZEGOKOLWIEK.

- To też nie jest właściwe - powiedział, dźgając plakat palcem. - Mężczyzna powinien kończyć wszystko, co zaczął.

3

Co się stało? - spytał Jusuf. - Nic. - Nasser wzruszył ramionami. Unikał jego wzroku. - Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz jak... pies.

Stali oparci o zaparkowanego przed „Tempie Mount All-Halal Deli” na Atlantic Avenue plymoutha i jedli lunch. Po drugiej stronie ulicy był kościół zielonoświątkowców i biuro poręczyciela, załatwiającego zwolnienia za kaucją. Dla przejeżdżających ludzi wyglądali jak para brooklyńskich taksówkarzy, zmęczona gorącym, zadymionym popołudniem, jedząca kanapki z baru, a nie jak wojownicy planujący następny etap dżihadu.

- Ciagle jeszcze gryziesz się tym, co zrobiliśmy w punkcie realizacji czeków? - spytał Jusuf i wbił zęby w kanapkę z falafel.

- Nie... dlaczego... oczywiście, że nie.

Przez ostatnie kilka dni Nassera prześladowały wspomnienia napadu. Widział umierającą kobietę i dzieciaka z gwiazdą szeryfa z cynfolii, bał się jednak w obecności swego nauczyciela okazać słabość.

- Chodzi o moją siostrę, szejku - powiedział, próbując zmienić temat.

- Co z nią? - Jusuf zawsze interesował się Elizabeth, dwa razy, kiedy ją widział, długo się w nią wpatrywał w milczącym zachwycie.

- Byłem dziś w jej szkole. Jestem bardzo zaniepokojony tym, co się tam dzieje.

- To znaczy?

- To bardzo złe miejsce. Nie uczy się tam szacunku dla Boga. Dziewczęta ubierają się jak dziwki, a chłopcy mówią jak bandyci. Jakby to było normalne. Mówię ci, szejku, jestem śmiertelnie przerażony, jaki to wywrze na nią wpływ.

Przerwał i zaczął się gapić na znajdujący się w głębi ulicy budynek aresztu. W jakiś sposób nabrał przekonania, że zabójstwa w punkcie realizacji czeków i dobro jego siostry są ze sobą powiązane. Prześladowało go uczucie niepewności, że być może za karą przydarzy się coś złego jemu albo komuś, kogo kocha.

- Tja, to okropne. - Wielki Niedźwiedź odłożył kanapkę na folię i wyjął butelkę dietetycznej coli. - Wszystkich ich czeka wielka kara.

WIELKA KARA. Na to hasło żołądek Nassera aż się skurczył. Wyjął z torby kawałek arabskiego chleba i powiedział:

- I jeszcze ma do nich przyjechać gubernator. Jakby mu się podobało to, co się tam dzieje.

- Do szkoły ma przyjechać gubernator? - Jusuf gwałtownie się wyprostował.

- Tak, chyba w przyszłym tygodniu. - Nasser bezwiednie odrywał kawałki chleba i kręcił z nich kulki.

Po ruchu samochodu poczuł, że Wielki Niedźwiedź oparł się mocniej. Powoli przejechał obok nich autobus z umieszczoną na boku reklamą bielizny, którą prezentowała mokra, skąpo ubrana modelka na czworakach. Uśmiechała się zapraszająco, a wyglądała jak gdyby przed chwilą ją sponiewierano i nie mogła się doczekać następnego razu.

- Dlaczego gubernator przyjeżdża do szkoły? - Jusuf nagle się ożywił i skoncentrował. Przeszywał Nassera wzrokiem.

- Nie wiem, szejku. - Nasser zaczął szukać w torbie sosu tahini, żeby zamoczyć w nim chleb. - Poszedłem porozmawiać z nauczycielem siostry. Bardzo się martwię tym, co wkładają jej do głowy.

Czuł, że coś w ich rozmowie się zmieniło. Przez ponad pół roku był małym akolitą Jusufa, a teraz - choć nie miał pojęcia, o co chodziło - posiadał coś, co miało znaczenie dla Wielkiego Niedźwiedzia.

- Sprawdziłeś wykonalność? - Jusuf przysunął się i ujął Nassera za chude ramię.

- Wykonalność?

- Tego, o czym rozmawialiśmy. Umieszczenia tam hadduta.

Nasser poczuł drżenie powiek i odniósł wrażenie, że modelka na autobusie pomachała do niego.

- Zapamiętasz? - Jusuf beknął i zakrył usta dłonią. - Od tej chwili nie wolno nam używać słowa „bomba”. Na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał. Teraz mówimy hadduta. Żeby brzmiało jak z bajki.

Zbliżająca się ciężarówka wpadła w dziurę w jezdni i rozległo się złowróżbne brzęknięcie trzech tysięcy butelek budweisera.

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. - Nasser mocniej wbił pośladki w karoserię, jakby chciał się cofnąć. - Poszedłem rozmawiać o siostrze.

- Nie zastanawiałeś się nad tym?! Za tydzień ma do szkoły przyjechać gubernator ten, który kandyduje na prezydenta - a ty nie zastanowiłeś się nad możliwością podłożenia hadduta! Cały czas gadamy, gadamy i gadamy o dżihadzie. O tym, co można zrobić dla dżihadu. Zostało nam prawie trzy tysiące dolarów z napadu na karawanę, ja ciągle mam splotki, które zabrałem w zeszłym roku z tego domu, który wysadzono, a ty... nie zastanawiałeś się nad umieszczeniem hadduta? Co się z tobą dzieje? Straciłeś odwagę?

Znów beknął i rozejrzał się z oburzeniem, jak gdyby ktoś inny był za to odpowiedzialny.

Nasser patrzył za odjeżdżającym autobusem, zastanawiając się, czy naprawdę nie stracił wiary. Wszystko zaczęło się niewinnie na wiosnę. Ich mała konspiracja narodziła się, kiedy znudzeni siedzieli, czekając na kolejny telefon w American Way Car Service przy Flatbush Avenue, gdzie obaj pracowali. Wtedy był jeszcze dzieciakiem, zagubionym i zdezorientowanym w nowym kraju. Stał przy automacie, faszerując go kolejnymi ćwierćdolarówkami, żeby grać dalej. Pewnego wieczoru odezwał się do niego siedzący w kącie starszy mężczyzna, który stale czytał Koran i noc w noc jadł kanapki.

- Prorok mówi, że jeśli widzi się zło, należy je próbować naprawić najpierw własnymi rękami, potem słowami, na końcu sercem. Przestań wrzucać pieniądze do tej przeklętej maszyny!

Tak rozpoczęła się ich rozmowa. Jusuf zaczął od opowieści o Mahomecie i przytaczania powiedzeń proroka, potem przeszedł do wspomnień ze Świętej Wojny z sowieckimi okupantami w Afganistanie, w której uczestniczył, gdzie doradcy CIA szkolili go w posługiwaniu się bronią. Na Nasserze zrobiło to ogromne wrażenie - jego własna kariera jako bojownika zaczęła się i skończyła na rzucaniu kamieniami w izraelskich żołnierzy na ulicach Betlejem, a tutaj miał do czynienia z bratem, który działał naprawdę i ryzykował życie dla osiągnięcia celów dżihadu. Stopniowo zaczęli spędzać wspólnie coraz więcej czasu - razem jedli, razem chodzili do meczetu przy Bond Street, czasem szli nawet na amerykański film akcji (pod warunkiem że nie było w nim nic haram). W końcu stali się niemal jak ojciec i syn i Wielki Niedźwiedź spytał Nassera, czy byłby gotów dokonać czegoś konkretnego dla dżihadu.

Odkąd konkretnym działaniem okazał się napad na punkt realizacji czeków, Nas-

ser poczuł głęboki niepokój i nie mógł znaleźć sobie miejsca.

- Nie, nie straciłem odwagi - stwierdził, po czym odłożył chleb na bok i niepewnym ruchem zwinął torbę z jedzeniem. - W dalszym ciągu jestem za dżihadem. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

- W takim razie, dlaczego nie poszukałeś miejsca na umieszczenie hadduta? - Wielki Niedźwiedź znów zaczął jeść. - Cały czas mówimy o tym, że należy wysadzić jakiegoś polityka, a kiedy nadarza się okazja, nic nie robisz. Jak mogłeś o tym nie pomyśleć? To jak dar od Boga. Coś jest nie tak z twoją głową?

- Nie wiem. - Nasser speszony spuścił wzrok. - To stało się tak nagle. Chodziły mi po głowie różne sprawy, martwiłem się o siostrę.

Wielki Niedźwiedź chwilę mu się przyglądał, potarł usta i wydał jeden kącik, jakby chciał splunąć. Fakt, Jusuf od dość dawna mówił o podłożeniu bomby, ale brzmiało to niekonkretnie i nierealnie. Dopiero widok krwi łysego kasjera na ścianie zamienił tę perspektywę w realną możliwość. Teraz wszystko było możliwe.

Jusuf nieco się rozpogodził.

- No wiesz... - zaczął w końcu, rozejrzał się i sprawdził, czy nikt nie przechodzi na tyle blisko, by ich usłyszeć - zastanawiam się, jak moglibyśmy umieścić hadduta w szkole, mimo ochrony gubernatora.

- I co?

- Tja... - Jusuf przyglądał się ciężarówkom, skręcającym w Tillary Street, skąd jechały dalej do Mostu Brooklyńskiego. - Może moglibyśmy włożyć hadduta do torby z książkami twojej siostry. Pójdzie do szkoły w czasie wizyty gubernatora i w klasie będzie wielkie BUM! Damy oświadczenie dla wszystkich stacji telewizyjnych.

- Och! - Nasser, który uważnie się temu przysłuchiwał, poczuł nagle odpływającą z rąk i nóg krew. - Chyba nie będę mógł tego zrobić, szejku.

- Nie?

- Nie. Nie. Zdecydowanie nie. - Wziął torbę i odsunął się od samochodu. - To moja siostra. Nigdy bym nie pozwolił, żeby coś jej się stało. Po śmierci matki jest jedyną osobą, jaka mi została.

Jusuf westchnął i przez chwilę patrzył w bok. Potem sięgnął do kieszonki koszuli, wyjął małą bursztynową fiolkę pigułek z nitrogliceryną, włożył jedną do ust i popił colą.

- Przyjacielu, opowiadałem ci, skąd mam bliznę?

Wzrok Nassera powędrował do grubej czerwonej krechy zabliznionej skóry, widocznej w rozpięciu kołnierzyka Jusufa.

- Nie, nie o tę chodzi. - Jusuf dotknął piersi. - To bypassy, robił je woźny ze szpitala w Kairze. Mam na myśli tę. - Wskazał na krótką białą szramę pod lewym okiem.

- Zastanawiałem się, skąd ją masz.

- Jest z wojny przeciwko sowieckim niewiernym w Afganistanie. Jeden z ich ludzi, prawdziwy szatan, strzelił mi w twarz, kiedy stałem w okopie.

- Naprawdę? - Nasser przez pół roku obserwował ukradkiem tę szramę, ale nie miał odwagi o nią zapytać.

- Myślał, że mnie zabił, lecz okazało się to tylko muśnięciem. Wstałem i strzeliłem mu prosto w serce. - Jusuf uśmiechnął się i pogłaskał siwiejącą brodę. - Ta wojna... cóż to było za zwycięstwo dla muzułmanów, braciszku. Żałuję, że urodziłeś się zbyt późno i nie mogłeś w niej uczestniczyć.

- Ja też żałuję.

- Z całego świata zjeżdżali się muzułmanie, żeby wziąć w niej udział. - Jusuf objął Nassera ramieniem. - Z Egiptu, Bośni, Pakistanu, Syrii, nawet ze strefy Gazy, skąd pochodzę. To było w tym wszystkim najwspanialsze. Większość braci w moim wieku nigdy nie miała okazji się sprawdzić, ich życie jest pełne kompromisów, kompromisów i kompromisów. Nie rozumieją, że czasem trzeba być bezkompromisowym.

- Jak mój ojciec.

Jego ojciec nigdy o nic nie walczył. Spędził życie, rezygnując ze wszystkiego, co najbardziej się liczy. Najpierw z własnej ziemi, potem z kraju, teraz z córki.

- Wiem - powiedział Jusuf. - Rozmawialiśmy o tym, że większość mężczyzn mojego pokolenia zna jedynie życie na kolanach. - Ścisnął ramię Nassera. - Teraz masz jednak szansę sprawdzić się, przyjacielu. Pokazać, że wiesz, co znaczy być bezkompromisowym.

- Ale co z moją siostrą? Nie mógłbym zrobić czegokolwiek, co ją skrzywdzi.

- Może uda się znaleźć inny sposób. - Jusuf zgarbił się i zakręcił butelkę coli. - Może wolisz w tym nie uczestniczyć. Nie szkodzi. Nie każdy jest stworzony na bohatera. Istnieją inne pożyteczne rzeczy, które możesz zrobić dla sprawy. Na przykład rozdawać ulotki przed ambasadą izraelską. - Zachichotał. - Albo znów zacząć grać na automacie.

Nasser spojrział uważnie na przyjaciela. Miał wrażenie, że otoczyła go ciemna zasłona, wstydził się. Wiedział, że jest poddawany kolejnemu sprawdzianowi, czy nadaje się na bojownika, czy jest gotów zrobić coś wielkiego.

Znów popatrzył na ruch uliczny. Mijali ich kierowcy ciężarówek z chlebem, kierowcy autobusów, taksówkarze tacy jak on i Wielki Niedźwiedź, na których wydzierają się pasażerowie. Zwykli ludzie uwiecznieni w krótkotrwałych żywotach. Czasami chadzał na kawę z arabskimi i pakistańskimi kierowcami do kafejki niedaleko meczetu przy Dziewięćdziesiątej Szóstej Wschodniej ulicy na Manhattanie. Wielu z nich było w domu lekarzami, prawnikami i szefami biur, a tu musieli prosić o napiwki i rozpaczliwie próbowali zebrać dwieście czterdzieści tysięcy dolarów na kupienie licencji upoważniającej do prowadzenia własnej firmy taksówkowej. Siedzieli i słuchali w radiu wiadomości, a potem dyskutowali o sprawach wagi państwowej, na które zupełnie nie mieli wpływu. To nie życie dla niego. Chciał być częścią czegoś lepszego. Należać do wojowników.

Popatrzył na Jusufa.

- Nie, nie boję się. Chcę walczyć. Chcę w tym uczestniczyć. Nie chcę tylko, żeby

cokolwiek stało się mojej siostrze. To niezbyt wiele. Zrobię wszystko inne.

- W takim razie coś zjedz i podziękuj Bogu - powiedział Jusuf, wskazując na zmiętoszoną torebkę na masce samochodu. - Będziesz potrzebował dużo siły.

4

Mężczyzna powinien kończyć wszystko, co zaczął. Kiedy o szóstej po południu David zapukał do drzwi mieszkania Renee, słowa te ciągle brzmiały mu w uszach. Stał nieco roztrzęsiony i zastanawiał się, czy powinien ją pocałować na przywitanie. Na co można sobie pozwolić z żoną w trakcie rozwodu?

Zabrzączał łańcuch, trzasnęły zamki i drzwi się otworzyły. Renee miała na sobie zielony szlafrok frotte, nieco z przodu rozchyłony, ukazujący jej długie nogi tancerki, rude włosy opadające kaskadą na ramiona, a światło, jakie istnieje tylko na Upper West Side, wypełniało przestrzeń za jej plecami.

- Spóźniłeś się - powiedziała. - Już się zaczęłam martwić.

Pocałować, czy nie pocałować?

- Wiem. Przepraszam. Sama wiesz: dzieciaki, pociągi... - Minał ją i wszedł do salonu. - Dałem dupy. Powinienem zadzwonić.

- Nie, nic się nie stało. - Zamknęła drzwi, oparła się o nie i zaczęła mówić z szybkością karabinu maszynowego: - To ja znów wariuję. Zawsze spóźniasz się około dwudziestu minut, staram się więc to uwzględnić, ale dziś prześladowała mnie myśl, że coś musiało się stać, bo nie ma cię ponad godzinę. Przestraszyłam się, że zostałeś napadnięty w pociągu i straciłeś portfel, że rabusie mają twoje pieniądze, klucze i adres z prawa jazdy, mogą więc przyjść tutaj.

- Nie obawiaj się. - Podeszedł, starając się ją uspokoić. - Nie było żadnych rabusów.

- Wiem... wiem! - Zaciskała nerwowo dłonie. - Też tak sobie mówiłam. Mówiłam sobie: Renee, znów dostajesz paranoi. Na pewno coś go zatrzymało, a kiedy przyjedzie, będzie głodny. Zaczęłam więc gotować makaron, potem jednak przypomniałam

sobie, że pewno zechcesz zabrać Arthura na kolację, więc część zjadłam sama, a resztę wyrzuciłam. I tak czekałam na ciebie, napchana i z poczuciem winy. Czy to nie zwariowane?

- Miło znów cię widzieć, Renee. - Dotknął jej policzka, a potem pocałował w to samo miejsce.

Potrafiła złamać mu serce nawet w przyпадку kolejnego maniackiego napadu. Renee. Nie umiała prosić, nie umiała przestać rozdrapywać własnych ran.

David rozejrzył się. Za mieszkanie z dwiema maleńkimi sypialniami, których okna wychodziły na Dziewięćdziesiątą Ósmą ulicę i Broadway, trzeba było płacić miesięcznie dziewięćset osiemdziesiąt dolarów. Dziwne, ale bardzo mu go brakowało. Unoszących się w powietrzu drobin kurzu, wiszącego nad kanapą plakatu Margot Fonteyn, tańczącej w „Jeziorze łabędzim”, szczęku pojemników na śmiecie, wytaczanych o piątą rano przez śmieciarzy na chodnik, wyjącego alarmów samochodowych, hałasów w kaloryferach, niepowtarzalnego widoku na rzekę Hudson, jeśli stanęło się tuż przy oknie i w specjalny sposób przekreśliło głowę. Brakowało mu też mikroskopijnych przeblysków miłości, jarzącej się niczym błyski słonecznego światła między budynkami.

- A tak ogólnie, jak ci się wiedzie? - spytał.

- Dobrze. Mogę powiedzieć, że coraz lepiej ze mną - odparła nieco za wesoło. - Ten nowy lek naprawdę dobrze mi robi.

- Jak on się nazywa?

- Clozaril.

-1 jak działa?

- Pomaga się uspokoić i skoncentrować. Jedynym minusem jest to, że u szczególnie wrażliwych ludzi może spowodować zgon. No, ale na razie to nie nastąpiło. - Ściągnęła usta jak grzeczna dziewczynka. - Odpukać.

Odpukać. Jej odważny, dziewczęcy uśmiech znów przeszył go do głębi duszy.

Było tak zawsze przy każdej wizycie w ostatnich miesiącach. Za każdym razem miał „napady” miłości. Do dziś miał poczucie winy z powodu swej - ich wspólnej - decyzji i wyprowadzeniu się, by zostawić ją samą z lekami i synem. Nie mógł już tego jednak dłużej wytrzymać: jej niespodziewanych zmian nastroju, paranoidalnych napadów zazdrości, wściekłych kłótni i milczenia tygodniami. Potrzebował odpoczynku - naładowania akumulatorów. Był pewien, że wróci przed czwartym lipca.

Zamiast tego fakt separacji nabrał własnej dynamiki i Renee zaczęła się spotykać z kimś innym. W tej chwili wszystko było warunkowe: ich małżeństwo, jej stan psychiczny i co najważniejsze - jaki cała ta sytuacja miała wpływ na ich ukochanego syna. Bardzo cierpiał, że nie może oglądać, jak Arthur budzi się rano.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała Renee, przeciągając opuszkami palców po jego nadgarstku.

- Ty wyglądasz lepiej.

Faktycznie, wyglądała zachwycająco. Zawsze czuła się najlepiej, kiedy mogła długo nie wychodzić z domu. Nawet zwykły szlafrok od Bloomingdale'a wyglądał na niej wystrzałowo, niestety, gdy ubierała się do wyjścia, nerwy ją zżerały i albo nakładała za dużo tuszu do rzęs, albo krzywo malowała sobie usta.

- Co robisz? - spytał, idąc za nią. - Chodzisz na przesłuchania?

- Tak, w przyszłym tygodniu spróbuję się zaangażować do studia dźwięku i ruchu Herberta Berghoffa. Ludzie od Stelli Adler powiedzieli, że nie ma dla mnie miejsca, muszę więc przygotować monolog. Nie jestem za stara na któryś z monologów Laury ze Szklanej menażerii. Może zamiast o rolę Amandy, powinnam się starać o rolę matki?

- Jestem pewien, że w obu tych rolach zwalisz ich z nóg.

Próby Renee zabiegania o jakąś rolę zawsze okazywały się mieczem obosiecznym. Dobrze, że wychodziła z domu i usiłowała wykreować własną osobowość, ale David zawsze obawiał się nasilonego efektu odrzuceń, które tak przeżywała.

Odkąd poznali się w szkole podstawowej, chodziła na przesłuchania i próbowała

się odnaleźć, zawsze szukając surogatu rodzicielskiej akceptacji. Najpierw była tancerką baletową, potem zapisała się do Szkoły Sztuk Wizualnych, w nadziei, że uda jej się zostać malarką. Potem próbowała pisać teksty piosenek, a kiedy i to nie wyszło, w wieku trzydziestu lat postanowiła zająć się aktorstwem. Choć nie wybitna - lecz dobra we wszystkim, do czego się zabrała - przerażała poważnym traktowaniem każdej, nawet najmniejszej porażki. W końcu straciła pewną elastyczność zachowania i przestała się regenerować po rozczarowaniach. Zamiast tego zaczęła pić i coraz głębiej popadać w paskudne nastroje, aż David w końcu zaprowadził ją do psychiatry.

Dzięki lekom czuła się oczywiście lepiej - uśmiechała się, śmiała, była bardziej odpowiedzialna, czasem nawet wychodziła z Davidem i Arthurem na „kolacje dla chłopców”, ale David w dalszym ciągu martwił się czarną otchłanią, która mogła się przed nią pojawić. Coś w nim miało ochotę powiedzieć: „Pieprz złą przeszłość, pieprz stare kłótnie. Pozwól mi się z powrotem wprowadzić i zająć Arthurem”. Potem jednak przypomniał sobie „narzeczonego” Renee, którego obecność wszystko komplikowała, oraz lecający w kierunku jego głowy talerz.

- W dalszym ciągu widzisz się z tym facetem? Tym muzykiem... jak on się nazywa?

- Anton.

- No właśnie. Saksofonista, prawda?

Anton był bogatym dzieciakiem, studiowała z nim na jednym roku w Columbii i spotykała od czasu do czasu przed poznaniem Davida, a zaczął do niej wydzwaniać zaraz po tym, jak rozeszła się wieść o ich rozwodzie. Jak Rachel, przyjaciółka Renee, opisała jego muzykę? „Współczesna muzyka dla dorosłych. Coś w stylu Kenny’ego G., ale swobodniejsza.” Na podstawie taśmy, którą słyszał, David od razu zaklasyfikował tę brzdąkaninę do kategorii muzycznych gniotów.

- Jak ci się z nim wiedzie? - spytał z wystudiowaną nonszalancją. Podczas ostatniej rozmowy Renee wspomniała, że chyba ze sobą zerwą.

- Dobrze - odparła, wiercąc palcem stopy w dywanie koloru burgundu. - Dogadujemy się, przynajmniej przez większość czasu. Znakomicie mu idzie jako muzykowi sesyjnemu. Ostatnio nagrywał muzykę do wielu reklam, a świetnie za to płacą.

- I tak jest dobrze?

- Tak. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien wykorzystać tego, że jest na fali i przenieść się do Los Angeles.

- Proszę... - David poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. - Co to znaczy?

- Hm... - Odwróciła się nieco, jakby uważała, że nie mówiąc do niego wprost, może nieco złagodzić sens wypowiedzi. - Spytał, czy myślałam o tym, żeby z nim pojechać.

David dopiero po kilku sekundach pojął znaczenie jej słów. -1 co odpowiedziałaś?
- Czaszka zaczęła mu puchnąć.

- Że muszę to omówić z tobą. Nie mogłabym wyjechać bez Arthura.

Nie mogłaby... mogłaby. Pieprzę ją! Nie... tak nie można, jest przecież matką jego dziecka. David odchrząknął i wyprostował ramiona. Zbliżał się błyskawicznie do kolejnego życiowego zakrętu, kiedy to ból jest nie do uniknięcia. Pytanie brzmiało tylko, jak będzie silny i jak długo potrwa. Powody odejścia stąd w takiej chwili stawały się nieważne i - jak dziecko - chciał tylko jednego: wrócić, być z nią. Z nimi. Potrzebował tego znajomego uczucia, które pojawiała się, gdy leżeli na łóżku z Arthurem w środku, słuchali dzwonka krążącej po okolicy furgonetki z lodami, oglądali słońce ginące między budynkami, kiedy mały zasypiał, oddychał coraz głębiej i głębiej, a niebo robiło się czerwone jak świeżo utleniona krew, potem szare, a w końcu czarne.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Renee...

Zanim skończył zdanie, do pokoju wpadł w podskokach Arthur - mała ruda bomba miłości ubrana w podkoszulek z Batmanem i džinsy. Skoczył Davidowi w ramiona, natychmiast potraktował go obcesowo i rozłożył na starej brązowej kanapie, którą przywieźli kiedyś z Renee pewnego popołudnia z Ludlow Street.

- Tato! Tato! Tato! Bawiłem się w pokoju w sir Gawaina i Zielonego Księcia! Właśnie obciąłem Zielonemu Księciu głowę i zatknąłem ją na pal!

- Zaczęłeś beze mnie? Jak mogłeś? - David wielkimi jak parówki paluchami zaczął łaskotać chłopca pod pachami. Mały chichotał jak oszalały i próbował „obciąć” ojcu głowę chudziutkimi nogami.

David musiał ukrywać, jak bardzo jest wzburzony. Już samo rozpoczęcie rozwodu odcisnęło się na siedmioletniej duszy nieprzyjemnym piętnem. W szkole Arthur przestał się zgłaszać do odpowiedzi, kiedy był zdenerwowany, walił głową w ścianę, pojawiły się koszmary senne o strasznych chmurach i groźnych skałach. Najgroźniejszą reakcją była astma, której atak mógł nastąpić w każdej chwili bez ostrzeżenia.

- Spokojnie, chłopcy - ostrzegła Renee. - Nie chcę znów jechać do szpitala.

Pamiętając bezradność, jaką czuł, kiedy ich syn po raz pierwszy zaczął kasłać w sposób niemożliwy do opanowania, puścił Arthura.

- Nic mi nie będzie, mamó - powiedział Arthur zaczerwieniony i nieco zdyszany.

Mój chłopak... mój chłopak... nie mogę go opuścić. Arthur pod wieloma względami przypominał Davida w dzieciństwie: głowę miał pełną opowieści o wielkich średniowiecznych bohaterach i wspaniałych nordyckich rzeziach, ale w sobotę bał się wejść na boisko i grać w parku w piłkę.

- Jesteś gotów? - spytała Renee.

„Nie! - zamierzał odpowiedzieć David. - Nie jestem. Nie jestem gotów zrezygnować z ciebie, zrezygnować z tego domu”. Mogła równie dobrze zaproponować, że zabierze ze sobą do Los Angeles jego serce albo nerkę.

- Masz. - Renee podniosła z podłogi niebiesko-czerwony plecak Arthura i położyła go Davidowi na kolanach. - Spakowałam inhalator, pidżamę, książkę na dobranoc, puszkę mleka sojowego na wypadek, gdyby ci zabrakło...

- Nie zabraknie.

Jak to możliwe, że jego życie znalazło się w takim impasie? Takie rzeczy jak separacja i rozpad małżeństwa miały go nigdy nie dotyczyć. Jego życie miało polegać na robieniu wielkich rzeczy - kierowaniu uczniów na dobre tory, zachowywaniu dla po-

tomności kanonu zachodniej literatury, może napisaniu pewnego dnia wspaniałej książki - nie na przyglądaniu się, jak rozpada się jego rodzina. Nie wolno było do tego dopuścić.

- Porozmawiamy jeszcze - niepewnie powiedziała Renee. Arthur wstał i włożył buty.

- Będziemy musieli.

- Jeszcze nic nie jest postanowione.

David spojrzął nad jej ramieniem i zauważył, że słońce zaszło właśnie za sąsiednie budynki i wydłużyło cienie w salonie.

- Popatrz... światło znika - powiedział na pożegnanie.

5

Nasser i Elizabeth Hamdy mieszkali w domu, który ich ojciec George nazywał „najlepiej utrzymanym domem w Brooklynie” - prostym dwupiętrowym budynku z czerwonej cegły przy Avenue Z, z trawnikiem wielkości znaczka pocztowego i betonowym podjazdem. Codziennie kilka godzin zajmowało mu strzyżenie trawnika, próby hodowania w maleńkim ogródku pomidorów i sprzątanie porozbijanych butelek po mleku, które łobuzy rozwalaly na podjeździe, a robił to po to, żeby przekonać włoskich sąsiadów o robotniczym pochodzeniu, że nie jest brudnym Arabusem, ale kimś takim samym jak oni. Nie zdawał sobie w najmniejszym stopniu sprawy z tego, jak bardzo ich tym irytuje.

Zbliżała się siódma wieczór. Elizabeth siedziała boso ze skrzyżowanymi nogami na łóżku w swoim pokoju na piętrze i pisała pamiętnik.

- Widziałem cię.

W otwartych drzwiach stał Nasser i bawił się krawatem.

- Co widziałeś?

- Widziałem cię dziś w szkole bez hijab.

- Też cię widziałam. - Odsunęła pamiętnik na bok. - Co tam robiłeś?

- Rozmawiałem z kimś.

- Wiem. Rozmawiałeś z panem Fitzgeraldem, moim nauczycielem. Czym zawracałeś mu głowę?

Nasser stał oparty o framugę i pociągał palcami wargę.

- Nie podoba mi się to, co tam się dzieje.

- Nasser, już o tym rozmawialiśmy! - Rzuciła długopis i wstała. - Nie jesteś ani moim ojcem, ani matką. Nie mieszkamy na Zachodnim Brzegu. Nie możesz mnie w ten sposób kontrolować!

- Tylko próbuję cię chronić. Ludzie mogą zacząć myśleć, że nie jesteś dobrą mużmanką.

- Nie interesuje mnie, co ludzie myślą. To jest Ameryka!

- A jeśli przyniesiesz ujmę rodzinie? - Odwrócił się i popatrzył na podłogę.

- Nie obarczaj mnie tym wszystkim! Jestem normalną dziewczyną!

Głosy dzieci ściągnęły ojca, mężczyznę z wydatnym brzuchem, który niedawno rozpoczął długą podróż w tak zwaną dolinę prawdziwego dojrzałego wieku. Miał zmęczone oczy i dłonie pełne odcisków od noszenia ciężkich skrzynek z warzywami.

- O co chodzi? - spytał. - Dlaczego moje dzieci skaczą sobie do oczu? Nasser pochylił głowę i wszedł do pokoju. Elizabeth trzymała dłonie na biodrach i przyglądała mu się uważnie.

- O nic. Nasser znów się wygłupia.

Ojciec próbował się uśmiechnąć, lecz widać było, że jest nieco zmieszany. O tak,

starzał się... Kiedy miał szesnaście lat, przeniósł na własnych ramionach brata i siostrę przez Jordan i od tego czasu nieustannie dbał o rodzinę. Kiedy miał dwadzieścia jeden lat, a kuzyni w Jordani już się nimi zmęczyli, wrócili za rzekę i poszli do strasznego obozu dla uchodźców, gdzie poznał matkę i przez lata walczył o zaoszczędzenie sumy, która wystarczyłaby na podróż do Ameryki. Od przyjazdu tu spędzał siedemnasty rok w sklepiku przy Stilwell Avenue, gdzie dzień roboczy trwał osiemnaście godzin. Ciulał i oszczędzał każdy grosz dla dzieci - jego najnowsze buty miały już trzy lata. Chciał dobrze, ale cokolwiek powiedział, Nasser natychmiast sztywniał.

- Bądź dobra dla starszego brata. On ciągle szuka swej drogi.

Podszedł do córki i pocałował ją w czubek głowy. Potem spróbował poklepać syna po ramieniu, ten jednak się odsunął. Ojciec uśmiechnął się, że tego nie zauważył.

- Powinniśmy być szczęśliwi - powiedział, wychodząc z pokoju. - Zejdźcie zaraz na dół. Kolacja jest prawie gotowa i chciałbym się pomodlić.

Elizabeth patrzyła w ślad za ojcem. Tak, powinni być szczęśliwi, ale tak się układało, że od lat nie byli szczęśliwi, dokładnie od momentu, kiedy jej zwariowany brat wrócił z Bliskiego Wschodu.

Próbowała przekonywać siebie, że to nie wina Nassera, a niektóre ze zmian, jakie wprowadził, są dobre. Na przykład religia. Zanim wrócił, cała ich mała rodzina żyła po amerykańsku - ojciec, ona, macocha oraz dwie dziewczynki, Leslie i Nadia. W lodówce stało piwo, w sobotę jadało się hot dogi i nikogo nie obchodziło, czy wkłada do szkoły minispódniczkę. Po przyjeździe Nassera, ich dom zmienił się w posterunek islamski. Zniknęło piwo, spódnice się wydłużyły, zapomniano o sobotnich hot dogach. Nie było to halal. Wszyscy poza macochą mieli modlić się pięć razy dziennie.

Najśmieszniejsze, że ojciec na wszystko się godził. Przedtem jeździł chevroletem i palił marlboro, teraz zaczął chodzić do meczetu. Z początku Elizabeth sądziła, że czuje się winny, bo długo nie widział syna, potem jednak zaczęła podejrzewać, że chodzi o coś więcej. Podczas modlitw ojca ogarniała tęsknota - jak gdyby pragnął odzyskać coś, co kiedyś posiadał. Zdziwiająca, że i ona czasami czuła podobną dziwną tęsknotę.

- Zaczynasz mnie wpieniać tym gadaniem o tradycji - rzuciła bratu. - Co robięś

dziś o wpół do piątej rano pod moimi drzwiami?

- Wzywałem do porannej modlitwy. Myślałem, że może ci jej brakować.

- Dziś zabrakło mi snu. - Wzięła poduszkę i pomyślała, czy go nianie dzielić. - Nie przyszło ci to do głowy? Ciągle jeszcze chodzę do szkoły.

- Przepraszam. - Nasser zaczął manipulować przy zardzewiałym kluczyku, który nosił na szyi. - Chyba masz rację. Może jestem wobec ciebie zbyt surowy. Powinienem wierzyć, że jesteś dobra i wierna.

- Chyba tak. Pewnie. - Stała przed nim i splatała włosy.

- Chodzi o to, że... jak to powiedzieć... niepokoi mnie, jak wychowuje się tu dzieci. Tyle wokół rozpusty i niebezpieczeństw. Czasami patrzę na ciebie i myślę o matce, niech Bóg mają w swej opiece, a jej dusza spoczywa w spokoju. - Przycisnął kluczyk do warg. - Myślę o tym, że jej nie ma i nie może ci powiedzieć, jak rozpoznać to, co dobre, i muszę to robić za nią.

- Uważasz, że bardzo by się martwiła tym, czy noszę chustę na głowie czy nie?

- Nie wiem. - Uśmiechnął się i puścił kluczyk, pozwalając mu swobodnie bujać się na łańcuszku.

Tajemnica. Cała rodzina była dla Elizabeth górą tajemnic. Zwłaszcza Nasser. O tylu sprawach nigdy nie rozmawiali - o przyjaciółach, o okresie, który spędził w więzieniu w Ashkelonie, o ich matce. Nawet po pięciu latach spędzonych pod jednym dachem czuła, że jest w nim coś tajemniczego, czego nigdy nie okazał.

- Przesadzasz, Nasser. Naprawdę.

- Wiem. - Wziął do ręki jej wrotki i przejechał palcami po kółkach. - Ale nie chcę tego. Nie chcę, żebyś złościła się na mnie. Jak mogę to naprawić?

Elizabeth próbowała zachować nachmurzoną minę, lecz nie czuła się z tym dobrze. Czasami był taki słodki i zagubiony. Tyle dla niego chciała...

- Obiecasz, że nie pójdziesz więcej do szkoły, tak jak dziś? - spytała.

- Obiecuję.

- Boże, co ja powiem panu Fitzgeraldowi! - Jeszcze przez chwilę musiała udawać rozłoszczoną. Niech brat się pomęczy.

- Nic mu nie mów. Nie jest twoją rodziną.

- Ale jest moim nauczycielem i pomaga mi dostać się do college'u.

Nasser zmrugał oczy, już chciał zaproponować, lecz nic nie powiedział. Odłożył wrotki na podłogę. Elizabeth wiedziała, że duma nad czymś ważnym - znała tę minę z własnego lustra i po dostrzeżeniu kolejnego podobieństwa, poczuła do brata coś ciepłego, chęć chronienia go.

- Hej! - rzucił po chwili. - Niedługo są twoje urodziny! Zgadza się?

- Tak, za dwa tygodnie.

- Więc chyba coś ci kupię. Chciałbym wziąć cię na zakupy. W przyszły wtorek.

- We wtorek nie mogę. - Usiadła na łóżku. - Mam wycieczkę do muzeum.

Popatrzył na jej kolana, zmarszczył z troską twarz.

- Ale to mój jedyny wolny dzień. W pozostałe pracuję i pracuję jak wariat. We wtorek mogę ci kupić, co tylko zechcesz.

- Naprawdę?

Wciągnął policzki i popatrzył na wrotki.

- Co powiesz na ochraniacze i hełm? Widziałem, że czasem jeździsz bez hełmu. Potrzebujesz ochrony.

Skrzyżowała ramiona.

- Nasser, komplet dobrych ochraniaczy i hełm Canal Skates może kosztować sto pięćdziesiąt dolarów. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie ma sprawy - powiedział.

Było to jedno z amerykańskich powiedzeń, które przejął, nie uzmysławiając sobie tego. Zawsze ganił siostrę za to, że jest zbyt „zachodnia”, ale sam też się amerykanizował, tyle że nie wiedział o tym. Czasami Elizabeth słyszała, jak nuci piosenkę z radia albo chodzi w roboczych butach firmy Timberland, które ojciec kupił mu na urodziny. Bardzo się wstydził, kiedy został na tym przyłapany, ale dzięki temu czuła, że jest jej bliższy.

- Cóż, chyba mogłabym zrezygnować z wycieczki. To nie zaliczenie, nie wszyscy we wszystkim uczestniczą.

- Właśnie. - Pochylił głowę i popatrzył na siostrę. - A więc jesteśmy umówieni? We wtorek biorę cię na zakupy.

- Jesteśmy umówieni, Nasser.

- To świetnie. Znakomicie.

Uśmiechnął się z ulgą i podszedł, jakby chciał ją uściskać, jednak w ostatniej sekundzie cofnął się i tylko ujął jej rękę. A więc to tyle, jeśli chodzi o prezent urodzinowy. Mój brat - obcy.

- Cieszę się, że nie pojedziesz do muzeum i nie będziesz oglądać niemoralnych obrazów i rzeźb - powiedział. - Wywierają zły wpływ.

- Jesteś naprawdę dziwny. - Wstała i wykrzywiła twarz, gotowa do zejścia na dół.
- Myślę, że przydałaby ci się dziewczyna.

- To niestosowne.

Nieruchome magiczne koło w wesołym miasteczku odcinało się wyraźnie na tle kryształowo czystego nieba, diabelska kolejka Cyclone tkwiła nieruchomo. Nasser i Jusuf siedzieli w plymoucie, zaparkowanym trzysta metrów od Coney Island High School.

- Jak się czujesz? - spytał Jusuf. - Wszystko gra?

- Boli mnie żołądek - odparł Nasser, przytrzymując na kolanach torbę od „McDonalds’a”. Był ubrany w bordową wiatrówkę, ciemne spodnie i białą koszulę.

- To normalne. - Jusuf manipulował drutami i dwiema laskami dynamitu schowanymi w stojącej na podłodze torbie na książki firmy Jansport. - Denerwowałem się przed każdą operacją wojskową, w której uczestniczyłem. To całkiem normalne. Pozwala zachować bystrość umysłu. - Położył torbę na siedzeniu obok Nassera i wyjął budzik. - Połóż tu na chwilę palec. Na środku tarczy.

Nasser ostrożnie dotknął palcem tarczy między obiema wskazówkami, podczas gdy Jusuf od tyłu wsuwał przewód. To, co działo się w jego głowie, można by określić mianem „bliskiego ataku hysterii”.

- Gotowe - powiedział Wielki Niedźwiedź, zamykając zegarek i ostrożnie wkładając budzik do torby. - Wszystko gra. - Złożył razem uchwyty torby. - Daj hamburgera.

Nasser wyjął żółtawe pudełko i podał je przyjacielowi. Było dwadzieścia pięć po pierwszej. Za dwadzieścia minut rozlegnie się dzwonek na siódmą przerwę i setki uczniów wyjdą na chodnik przed szkołę, gdzie cieśle budowali trybunę z okazji mającej się odbyć za dwa dni wizyty gubernatora.

- Przedwczoraj spytałem imama, czy ta żywność jest halal - powiedział Jusuf, otwierając pudełko i wyjmując wielkiego hamburgera.

- I co powiedział?

- Powiedział, że byłoby lepiej, gdyby zwierzę poświęcić przed śmiercią, ale w kraju niewiernych można robić wyjątki. Wystarczy odmówić modlitwę przed jedzeniem.

- Czasami źle się czuję, że robimy tyle wyjątków - poważnie stwierdził Nasser. - Prosiłeś o pobłogosławienie akcji?

- Nie wprost, ale nie przejmuj się - powiedział Jusuf, mamrocząc przed pierwszym kąsem błogosławieństwo hamburgera. - Nie przejmuj się nadmiernie. Bóg będzie nas chronił. Wszystko jest mocne i bardzo proste. Jeszcze raz: wchodzisz i wnosisz hadduta, okazując swoją starą legitymację. Nikt cię nie zatrzyma, ponieważ byłeś uczniem w tej szkole i widywano cię z siostrą. Nie martw się o detektor metalu, mechanizm czasowy jest z plastiku. Zmieniłem wszystkie śrubki.

- Naprawdę?

- Boże, nie pytaj. Straszna robota. - Jusuf jadł z otwartymi ustami. - Idziesz więc na dół i zostawiasz ją w pomieszczeniu z bojlerami obok stołówki. Jeśli się uda, włóż ją do bojlera. Mówiłeś, że wiesz, gdzie są bojlerzy, tak?

- Przechodziłem obok tego pomieszczenia tysiąc razy, szejku.

Nasser zmarszczył nos na wspomnienie brzydko pachnącego stołówkowego jedzenia. SPUSZCZAJ DŁUGO WODEĘ - DO STOŁÓWKI KAWAŁ DROGI. Był to pierwszy kiblowy napis, jaki zrozumiał w życiu.

- Zobaczysz, wszystko będzie w porządku. - Jusuf wyjął z kieszonki na piersi bursztynową fiolkę, wysypał na rękę tabletkę nitrogliceryny, połknął ją i popił kolejnym łykiem dietetycznej coli. - Sprawa wyglądałaby inaczej, gdybyśmy chcieli zrobić to w dniu wizyty gubernatora, ale tak przekażemy wiadomość bez ryzyka. Podłożysz dynamit w zamkniętym pomieszczeniu kotłowni i może uda się zmienić szkołę w stertę gruzu. Wtedy będą wiedzieli, że nawet ich dzieci nie są bezpieczne. Wielka historia, która trafi wieczorem do wszystkich wiadomości.

Nasser zaczął metodycznie wyjadać frytki z torby. Nienawidził frytek, ale uwielbiał ich słony smak. Próbował się uspokoić. Na zegarku na desce rozdzielczej zbliżało się wpół do drugiej.

- Widzę, że w dalszym ciągu jesteś smutny. - Wielki Niedźwiedź przyglądał mu się uważnie, jakby sprawdzał objawy chwilowej słabości. - Znów się zastanawiasz, że może lepiej tego nie robić?

- Nie, szejku, moje serce jest silne. - Nasser próbował zachować spokój. Nawet najdrobniejszy ruch mógł spowodować drżenie całego ciała.

- W takim razie, w czym problem? - Głos Jusufa nagle stał się ostry. - Martwisz się o siostrę?

- Nie. - Nasser odłożył torebkę z frytkami i włożył dłoń między kolana. - Zadbalem o to, żeby jej tu dziś nie było.

- Więc o co chodzi?

Nasser popatrzył na swoje odbicie we wstecznym lusterku. Próbował sobie wyobrazić, jak przebiegną następne minuty. Najchętniej widział się jako chłodnego, bezlitosnego i skutecznego - pozostawiającego za sobą falę zniszczenia bohatera amerykańskiego filmu akcji. Zamiast tego czuł ostry kant klamry paska, który wcinał mu się w pępek.

- Myślę o wielu rzeczach - odparł. - O matce. Ojcu. O tym, co chcę zrobić dla wiary.

Myślał też o strachu. Dlaczego czuł tak silny strach? Przez trzy lata krążył po korytarzach tej szkoły i wyobrażał sobie, jak rozwala wszystkich z karabinu maszynowego... Teraz miał szansę tego dokonać, na dodatek ze znacznie ważniejszego powodu niż on sam i akurat w tym momencie musiały go zawodzić nerwy.

- Wiesz o tym, że w każdej chwili możesz wstać i odejść. - Jusuf odłożył hamburgera i wbił wzrok w Nassera. - Nie ma sprawy. - Sięgnął po torbę na podłodze. - Mogę zatrzymać zapalnik. Mamy jeszcze prawie siedemnaście minut.

Nasser popatrzył na resztkę frytek w torebce i poczuł dotyk zardzewiałego kluczyka na piersi. Bał się cokolwiek powiedzieć.

- Pozwól, że zapytam o jedno - powiedział Jusuf. - Jak długo siedziałeś w więzieniu w Ashkelonie?

- Prawie dwieście dni.

- I jak ci się tam podobało? Nie opowiadałeś, jak torturami próbowali zmusić cię do przyznania się i wydobyć od ciebie nazwiska przyjaciół? Nie polewali cię lodowatą wodą?

- Polewali.

- Nie związali cię w banan?

- Oczywiście, że to zrobili. - Nasser do tej chwili czuł ból potwornego ucisku i strach, że jeśli za mocno się ruszy, pęknie mu kręgosłup.

- A co z workiem? Nie zakładali ci worka?

Nasser skinął głową, czując jak zbiera mu się na wymioty. Worek... zrobiony ze zwykłej juty i śmierdzący kałem. Wyciągnięto go na podwórze, posadzono na stołku bez oparcia, skuto mu ręce i nogi z tyłu, a potem izraelscy strażnicy wsadzili mu na głowę worek. Przez dwie albo trzy godziny siedział w palącym żydowskim słońcu, wdychał obrzydliwy smród, pocił się i robiło mu się coraz gorzej i gorzej. Wszystkie stawy bolały. Bał się, że nie przeżyje. W którymś momencie lekko się poruszył i któryś ze strażników tak go zdzielił pałką w głowę, że aż ujrzał błysk światła. Wtedy pomyślał, że dłużej nie wytrzyma, zwymiotuje i umrze na tym stołku, otoczony betonowymi ścianami i drutem kolczastym. Jednak nie umarł. Po pewnym czasie przywykł do bólu i niewygody i wprowadził się w stan otępienia. Tak przeżył - obiecując sobie, że już nigdy niczego nie będzie czuł.

- Pamiętaj, przyjacielu - mówił Jusuf - że najlepiej wyraża to Księga: Czasami musisz walczyć, choć jest to ostatnia rzecz, na jaką masz ochotę.

W oddali wiatr od oceanu poruszał flagami w zamkniętym wesołym miasteczku, od strony chodnika dolatywały postukiwania młotków. Nasser powoli się odwrócił i popatrzył na Wielkiego Niedźwiedzia. Blizny. Jusuf był cały pokryty bliznami. Jedną miał pod okiem, drugą na piersi. Kostki dłoni przypominały spuchnięte bulwy. Jego ciało rejestrowało to, co robił. Ojciec Nassera nie miał blizn, ponieważ nigdy o nic nie walczył. Był zbyt zajęty uciekaniem, przechodzeniem przez rzeki.

- W porządku. Jestem gotów.

Postanowił, że znów musi przestać cokolwiek czuć, o czymkolwiek myśleć. Odważni ludzie na pewno w ten sposób kroczą od jednego doświadczenia do drugiego: należy zmienić się w maszynę. Czy i tak nie robi się tego dla wyższego celu? Człowiek jest narzędziem w ręku Boga i tylko On może go powstrzymać.

- Świetnie. - Jusuf podniósł torbę na książki i położył ją Nasserowi na kolanach. - Wiesz, co masz robić. Kiedy wskazówki skończą obrót, hadduta wybuchnie. Nie trzęś torbą za bardzo i nie zatrzymuj się, żeby z kimkolwiek rozmawiać. Ufaj Bogu i myśl jak pistolet.

Sięgnął ręką za plecami Nassera i pchnął drzwi.

David Fitzgerald wyszedł z toalety na trzecim piętrze. W dalszym ciągu męczył go kac i bolał żołądek. Wczoraj poszedł bardzo późno spać. Odkąd Renee powiedziała, że zastanawia się, czy wyjechać z Antonem na zachodnie wybrzeże, stale się zamartwiał i co wieczór pił, a dziś jego żołądek ostatecznie nie wytrzymał. Wrócił do klasy po dobrych dwudziestu minutach i stwierdził, że uczniowie zachowują się jak uczestnicy nieodpowiedzialnie prowadzonego eksperymentu sprawdzającego efekty dużych dawek hormonów. Dzieciaki darły się jak wściekłe, łąziły po ławkach, rzucały kulami z papieru, ciągnęły za włosy kolegów i koleżanki, a co najgorsze, łomotały jakąś kołatką, której dźwięk w połączeniu z nieustannym stukaniem młotków na zewnątrz dawał upiorny efekt.

- Dzięki za przeprowadzenie rozgrzewki - powiedział David do swego najlepszego przyjaciela Henry'ego Rosenthala, który miał pilnować klasy i towarzyszyć mu podczas wycieczki do muzeum.

- Nie ma sprawy - odparł Henry, mężczyzna w średnim wieku, o ostrym nosie i długich siwych włosach. - Pamiętaj, że kiedyś Hendrix otwierał koncert „Monkees”.

Henry - z długimi siwymi włosami i czarnym golfie, modnym w kręgach „radyałów” - nie nadawał się do pilnowania klasy. W latach sześćdziesiątych angażował się w ruch Wolnej Wypowiedzi i alternatywne programy edukacyjne, choć oczywiście nie za bardzo. Od polityki wolał dobre wino.

- Proszę bardzo, siadamy i odkładamy kołatki. - David wyszedł przed Henry'ego.

- Jeśli nie chcecie dać mi dojść do głosu, to przynajmniej się uciszcie, żebym mógł po-
spać.

Dzień zaczął się od żądań i szukania winnych. Najpierw zjawilo się kilkoro niezapowiedzianych rodziców z pretensjami, dlaczego ich dzieci tak źle się uczą, potem ze-
psuło się kilka kserokopiarek, Shootema Edwards z dziewiątej klasy dowiedziała się,
że jej matka ma raka mózgu, którego nie można operować, na biurku czekały do po-
prawienia sterty klasówek. Oczywiście sytuacji nie poprawiał fakt, że przed szkołą
rozłożyła się ekipa telewizyjna, kręcąca program o żalonym stanie szkoły.

Z tłumu wysunęła się ręka Seniqui Rollins, dużej odważnej dziewczyny o fanta-
zyjnie pomalowanych włosach, noszącej zawsze obcisłe džinsy. W zeszłym roku za-
wieszono ją z powodu wsadzenia koleżance głowy do szafki i przytrzaśnięcia jej
drzwiczkami. Krążyły plotki, że jest dziewczyną siedzącego w więzieniu szefa gangu
o pseudonimie Król Gówna czy coś w tym stylu. Dziś miała na sobie obcisłą różową
koszulkę z napisem: WSTAŁAM I UBRAŁAM SIĘ - CZEGO JESZCZE ODE MNIE
CHCESZ? oraz marynarską kurtkę od Tommy'ego Hilfigera.

- Hej, hej, hej, panie Fitz, ważniaku - zaczęła głosem donośniejszym od przejeż-
dzającego pociągu metra. - Mam pytanie od wszystkich.

- O co chodzi?

- Dlaczego marnuje pan nasz czas, biorąc nas na lekcje w terenie? Już późno. Miał
pan nas dawno temu wypuścić z klasy.

Przez klasę przebiegła fala śmieszku, wszystkich podniecało, jak go prowokuje.
David trzasnął trzymanym w dłoni dziennikiem o udo.

- Zawsze pan mówi, że nie powinniśmy się tak bez niczego godzić na różne spra-
wy - ciągnęła Seniqua, zachęcona zainteresowaniem ogółu. - Więc po co te idiotyzmy?
Wolałabym pójść wcześniej do domu, usiąść w chłodzie i poczytać Alice Walker.

Kilku rebeliantów wyrażało swe poparcie grzechotaniem.

- Cóż... - David odetchnął głęboko i próbował wziąć się w garść. - Po pierwsze to
jedyne termin, a po drugie, chcemy się zapoznać z korzeniami literatury. Z Egipcja-

nami, Sumeryjczykami. Nawet z naszymi kumplami Grekami. Sprawdźcie: Achilles, pierwszy wielki bohater zachodniej literatury, odmówił wyjścia z namiotu i wzięcia udziału w wojnie trojańskiej, ponieważ generał ukradł mu metrese. Zawziętość, duma, zazdrość. Widzicie związek?

- Nie - odparła autorytatywnie Seniqua.

- Naprawdę?

David zauważył, że dziewczyna siedzi bardzo blisko Amala Lincolna, rezerwowego napastnika szkolnej reprezentacji koszykówki i ponoć „najgorszego amatorskiego rapera na Brooklynie”. Ciekawe, co zrobiłby Król Gówna, gdyby się dowiedział o tej sympatii? Prawdopodobnie wściekłby się jak Achilles, przywiązał chudą dupę Amala do zderzaka swego LeBarona i powlókł ze trzy razy wokół szkoły.

- Nic z tego nie kapuję - powiedziała Seniqua, walcząc z Amalem o grzechotkę. - To takie... białe.

Ojej, znów ta bzdurna rasowa poprawność. David spróbował sparować.

- Egipcjanie i Sumeryjczycy nie bardzo mogliby należeć do rodziny Osmondów. - Jeszcze zanim skończył, zdał sobie sprawę z tego, że znów nie jest na bieżąco z popkulturą.

- Hejjahejjj! - Seniqua odprawiła go machnięciem ręki. - Jestem zmęczona, to wszystko. Chcę iść do domu!

- Jasne! - wsparło ją kilka głosów i kołatek. Co tu się działo? Nie mogło to być przecież spowodowane jedynie jego kacem i martwieniem się o Renee i Arthura. Rozkład dnia wypadł z rozsądnych ram. David rozejrzał się i stwierdził, że brakuje niemal jednej trzeciej uczniów. Nie było nawet Elizabeth Hamdy, która zazwyczaj w spokojny sposób pomagała klasie się skupić. Et tu, Elizabeth. Może to był podstawowy problem. W trakcie semestru w każdej klasie tworzył się określony balans chemiczny - wystarczyło usunąć jeden istotny element, a cała konstrukcja mogła się zapaść albo spalić.

- Czas mija, może więc wreszcie ruszymy - powiedział David i popatrzył na zega-

rek. Łomotanie młotków za oknami i grzechot w klasie nasilał jego ból głowy. - Jeszcze jakieś pytanie?

- Aha. - Seniqua Rollins patrzyła wyzywająco. - Co pan robił tyle czasu w ubikacji?

UFAJ BOGU I MYŚL JAK PISTOLET.

Nasser powtarzał te słowa jak mantrę. Szkoła zbliżała się, stukot młotków narastał.

Słońce miał z tyłu, torbę z hadduta trzymał w lewej dłoni. Nie był pewien, czy może to zrobić. Był pewien, że może to zrobić. Jego poglądy zmieniały się z sekundy na sekundę.

Od szkoły dzieliło go kilkaset metrów. Ciężar torby i niepokój powodowały, że idąc, zbaczał nieco w lewo.

Widział wyraźnie prowadzące do szkoły schody - u ich szczytu właśnie pojawili się uczniowie zamierzający rozejść się do licznych, rozrzuconych wzdłuż chodnika budek z hot dogami i restauracyjek serwujących małże, żeby zjeść późny lunch na własny rachunek i nie jeść świątwa w szkolnej stołówce. Pamiętał tę tradycję z czasów, kiedy chodził tu dwa lata temu. Chwilami chciał, aby ktoś spytał, czy chce się do nich dołączyć, zaraz jednak dochodził do wniosku, że na pewno by odmówił.

BUMMM! Przed oczami ujrzał obraz, jak pod lawiną cegieł padają zakrwawieni i połamani chłopcy, drące się bez opamiętania dziewczyny. Słyszał wyjące wokół syreny. Tak, to będzie przerażające, ale nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek uczucia wobec nich. W Betlejem widział sceny nie mniej przerażające. Deszcz kamieni. Płonące opony i gaz łzawiący. Strzelających z gumowych pocisków żołnierzy. Leżące na ulicach dzieci i płaczące, niepocieszone matki.

Zostało mu trzydzieści metrów. Widział, jak pracujący na trybunie cieśle unoszą i opuszczają młotki, ale dźwięki uderzeń docierały do niego z sekundowym opóźnieniem. Mijała go właśnie grupka chłopaków i jeden z nich, abbed, Murzyn w żółtej koszulce polo i spodniach, jakie noszą śmieciarze, ruszył prosto na niego, wysuwając bark do przodu.

Zaskoczony Nasser potknął się, przekręcił na pięcie niemal o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął lecieć na ziemię - prosto na torbę z książkami. Hadduta. Ledwie udało mu się złapać równowagę i jako tako stanąć na nogi, kiedy abbed, nawet nie zwalnając kroku, spojrzął przez ramię i złośliwie się uśmiechnął. Gdyby wiedział, jak mało brakowało, żeby obaj wylecieli w powietrze...

Czarnuchy - przeszło Nasserowi przez myśl. Powinni być naszymi braćmi. W szkole zawsze się ich trochę bał.

Wyprostował się i ruszył zwaśszym krokiem, świadom tego, że do podłożenia hadduta zostało mu nie więcej niż osiem minut. Rytm uderzeń młotków wydawał się szybszy. Na rusztowaniu przy wejściu wisiały czerwone, białe i niebieskie proporce. Schodami schodził coraz gęstszy tłum uczniów - wychodzili przez bramę i mijali go po chwili. Jakby w górze pękła tama. Poruszali się swobodnie, na luzie, nogi stawiali szeroko i zamaszyście machali rękami... jak gdyby urodzili się do rządzenia przestrzenią. Nigdy nie umiał być taki. Zawsze stawiał drobne, ostrożne kroki. Za długo siedział w zamknięciu. Nawet teraz czuł, że ciśnie go kołnierzyk. Im bardziej próbował się odprężyć, tym bardziej sztywniały mu nogi.

NIE CZUJ NIC.

Mijając grupę śmiejących się i śpiewających dziewczyn, w podobnych granatowych marynarskich kurtkach, wetknął torbę pod pachę. Wszedł do holu. Popatrzył po niebieskich ścianach oklejonych plakatami pod hasłem „Obchodźmy tydzień różnorodności”. W nozdrza uderzył go obrzydliwy znajomy odór amoniaku. UFAJ BOGU I MYŚL JAK PISTOLET. Przejście przez detektor metalu będzie najtrudniejszym momentem. Popatrzył w tamtym kierunku, spodziewając się ujrzeć strażnika - który ostatnio wpuścił go bez sprawdzania przepustki - rozlazłego Portorykańczyka o imieniu Miguel, z którym kilka lat temu chodził do jednej klasy. Dziś jednak stał tam ktoś inny: czujny Murzyn koło pięćdziesiątki w granatowej marynarce i zaprasowanych w ostry kant szarych spodniach, starannie sprawdzający uczniom legitymacje. Nasser popatrzył na kanty jego spodni i poczuł łomotanie serca.

Boże Wszechmogący! Tego nie przewidzieli, aczkolwiek powinni o tym pomyśleć. W odróżnieniu od Miguela, ten strażnik na pewno sprawdzi jego legitymację, wpisze jego nazwisko do księgi gości i w ten sposób zostawi wyraźny ślad dla policji.

Znajdą go raz dwa i zaciągną do więzienia, gdzie siedzą sami abeeds i Latynosi.

Nagle hol przestał być ogromny, a Nasser poczuł się ściśnięty i zamknięty jak w budce telefonicznej. Powietrze utknęło mu w gardle, trzewia zwinęły się w supły. Musiał natychmiast wyjść. Bez zastanowienia odwrócił się kierunku rozświetlonego słońcem prostokąta drzwi i wyszedł z budynku. Prowadzące na ulicę schody ciągnęły się kilometrami, jak zbocze niebotycznej góry.

Wydawało mu się, że słyszy tykanie zegarka w torbie. Na chodniku stał gęsty tłum złożony z setek dzieciaków. Dopiero teraz zauważył krzepkiego mężczyznę z kamerą wideo w ręku i szczupłą, ubraną w granatowy garnitur kobietę z mikro-Ibnem, rozmawiającą z grupką uczniów przy odległym o jakieś dwadzieścia metrów płocie z kutego żelaza. Za kobietą stało ich więcej - uśmiechali się głupkowato, machali rękami i odpychali się, żeby wejść w pole widzenia obiektywu kamery. Program dla telewizji. Ktoś robił tu program dla telewizji, prawdopodobnie z powodu wizyty gubernatora. Być może jego też sfilmowano. Nasser popatrzył na zegarek i stwierdził, że zostało mu niewiele ponad sześć minut. Serce zaczynało mu walić w tym samym rytmie co kwarc w kupionym w sklepie z używanymi rzeczami zegarku. Wiedział teraz, że przedtem wcale nie był przerażony. Dopiero teraz czuł, co znaczy przerażenie.

Odwrócił się i zaczął obchodzić budynek, jakby kierował się do bocznego wyjścia. Pamiętał, że tuż obok jest kłapa do starego bunkra na węgiel, gdy jednak wyszedł zza rogu, okazało się, że na schodach z tyłu budynku siedzą dziesiątki uczniów, paląc papierosy, popijając z brązowych papierowych torebek i bezczelnie się całując. Nie, to też nie była dobra droga. Teraz, kiedy naprawdę chciał stać się niewidoczny w tłumie uczniów, wszyscy na niego patrzyli. Może nigdy nie był niewidzialny.

Wrócił biegiem do głównego wejścia, zdając sobie sprawę, że nie pozostało mu więcej niż pięć minut. Panikował. Kompletnie oszalał. Hadduta zaraz wybuchnie mu w rękach. Co zrobić? Kamerzysta i kobieta z mikrofonem stali na schodach, rozmawiając z uczniami i filmując ich na tle wesołego miasteczka. Cieśle walili młotkami, więc nie mógł nawet niezauważenie wsunąć paczki pod trybunę. Dla dopełnienia koszmaru w głównym wejściu u szczytu schodów pojawił pan Fitzgerald, za którym dreptał Żyd Rosenthal i grupa źle zachowujących się uczniów z klasy jego siostry.

To jakieś nieporozumienie! Przecież ich tu już nie powinno być! Jeśli zaraz się nie ruszy, ktoś z grupy na pewno go zapamięta i spyta Elizabeth, co robił w szkole w dniu,

kiedy ona nie przyszła. A jeśli zobaczy go pan Fitzgerald? Powrót do samochodu z haddutanit wchodził oczywiście w rachubę - nie zniósłby hańbiącego spojrzenia Jusufowi w twarz jako nieudacznik. Poza tym mogłoby zabraknąć czasu na rozbrojenie urządzenia. Miał wrażenie, że serce łomocze mu pomiędzy uszami. Przeszło mu przez myśl, czy nie rzucić torby na ziemię i nie uciec, ale biorąc pod uwagę pecha, jakiego miał tego dnia, było niemal pewne, że ktoś ją podniesie i zacznie biec za nim, krzyząc: „Hej, dupku, zapomniałeś czegoś! Pustynny czarnuchu, to twoje!”

Łomot serca w uszach stał się tak głośny, jak gdyby cieśle przenieśli się do jego głowy. Nie mógł się poruszyć. Niezdecydowanie sparaliżowało go. Czyż takie było jego przeznaczenie? Wylecieć w powietrze przed własną szkołą? Tego chciał Bóg?

Widział siebie jak gdyby cudzymi oczami, z daleka i z wysoka: samotnego arabskiego chłopca w tłumie z piorunem w dłoni.

W tym momencie nadeszło zbawienie. Dosłownie podjechało mu pod nos: przy krawężniku zatrzymał się żółty szkolny autobus. Z sykiem otworzyły się drzwi.

Przeszkody zniknęły - wiedział, co robić. Nasser zaczekał aż schodami zejdzie ostatnia, może trzydziestoosobowa grupa uczniów, dołączył do niej, wszedł z nią na chodnik i podszedł do autobusu. Ostrożne wsunięcie torby pod przednie koła zajęło mu nie więcej niż sekundę. W tłumie nikt nic nie zauważył. Byli zbyt zajęci popychaniem, chichotaniem i obmacywaniem się.

Kiedy zaczęli się oddalać od autobusu, Nasser odłączył od grupy i nie oglądając się, ruszył biegiem. Tak, pan Fitzgerald nigdy mu nie pasował. Może taka była w końcu wola Boga.

- Dzieciaki, szybciej! Trzymać się razem!

Gdy autobus podjechał do krawężnika, David - w dalszym ciągu wypacający każdym porem skóry wódkę - wziął do ręki torbę na książki Jansporta, pełną wypożyczonej z biblioteki lektury dla Arthura i zaczął nawoływać klasę do ustawienia się w uporządkowanej linii na chodniku, co przypominało wrzeszczenie na przybój oceanu.

Trzy dziewczyny, które w myślach nazywał „siostrami hip-hop” stały na schodach i tańczyły, kiwając biodrami i bujając cyckami, filmowane przez ekipę telewizyjną.

Ray-Za wyśpiewywał słowa najnowszego rapowego przeboju, który brzmiał jak katalog przydomków dla dziwek: „Napa-lona dziw-ka, obrzyd-liwa dziw-ka, porąba-na dziw-ka, skur-wiona dziw-ka, bab-ska dziw-ka...” Poza nimi każdy każdemu dogryzał. Nawet chińskie dzieciaki dokuczały koreańskim, że ich matki mają owłosione plecy i rozwiążle się prowadzą. Na tym polegał nowy styl bycia: dowalam więc jestem.

- No, balangowicze - wezwał ponownie David. - Czekam.

A miał to być dobry dzień, dzięki któremu można zapomnieć, że człowiek jest już wypalony niemal do cna. David uwielbiał zabierać dzieciaki poza szkołę, uczyć ich czegoś nowego. Coś go jednak dręczyło. Natrętnie wracało pytanie: Co tu jest nie tak? Chodziło o coś więcej niż rozwód - miał wrażenie, że prześladowuje go fatum, że niezbyt panuje nad swoim życiem. Tyle spraw odciągało dzieciaki od szkoły... Skorumpowani administratorzy, przestarzałe podręczniki, gazety elektroniczne, supertelewizory, obsługa kont przez komputer, CD-ROM-y, pagery i telefony komórkowe, ośmiolatki z bronią palną, cięższe nastolatki, wyroki wydawane nie wiadomo na jakiej podstawie, prozac, filozofia New Age, rozpadające się i przepelnione klasy, nieuleczalne wirusy i rozbite domy. Zazwyczaj umiał nie dostrzegać „wielkiej przepaści”, ale dziś czuł się obnażony. Jedyne czego chciał, to kazać wszystkim trwać w bezruchu i przez chwilę słuchać.

- Hej, hej, hej, panie Fitz. - Seniqua Rollins ciągnęła go za rękaw. - Chciałam o coś zapytać.

- Tak?

Podeszła bliżej i poczuł zapach perfum z paczuli.

- Chciałam spytać, czy mogę wejść pierwsza do autobusu.

- Dlaczego? - Z powodu jej zachowania w klasie zrobił się podejrzliwy.

Ściszyła głos.

- Jestem w piątym miesiącu ciąży i chciałabym usiąść z przodu, żeby nie dostać mdłości.

- Naprawdę? - David przyjrzał się jej uważnie”.

- Naprawdę. - Westchnęła, wzniosła oczy i odetchnęła głęboko. - Nie zauważył pan, że utylam?

Cóż, zawsze miała budowę cysterny, ale w końcu... W jej obecności David czuł się napięty i rozdrażniony. Zastanawiał się, czy ojcem jest Amal, czy siedzący w więzieniu Król Gówno, uznał jednak, że woli nie znać odpowiedzi. - Nic ci nie będzie?

- Nie, potrzebuję tylko dużo powietrza.

- Powinniśmy potem porozmawiać. - Dał znak kierowcy, Samowi Hallowi, aby otworzył drzwi. - Cześć Sam, nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby ta młoda dama usiadła obok ciebie?

- Każde towarzystwo będzie mi miłe. - Sam był uprzejmym sześćdziesięcioletkiem o twarzy koloru jasnego mahoni i pięknych, długich palcach. Gestem zaprosił ich do wejścia na pokład.

David wszedł za Seniqua po schodkach i postawił ciężką torbę z książkami obok Sama. To ta Nowa Encyklopedia Mitologii Larousse ‘a tak musiała mu ciążyć - ważyła z pięć kilo.

- Co słychać? - spytał Sama.

Podczas ostatnich wycieczek woził ich inny kierowca, do Davida dotarły słuchy, że Sam miał na wiosnę operację raka prostaty.

- Jakoś się żyje - odparł Sam z uśmiechem, przy którym nieznacznie napięła mu się szczeka. Żaden gangstaraper na świecie nie był na takim luzie jak on.

Większość dzieciaków nie wiedziała, że w późnych latach pięćdziesiątych Sam śpiewał. Raz jego piosenka doszła nawet do trzeciego miejsca listy przebojów „rhythm and blues” - zapadająca w pamięć, dźwięczna ballada pod tytułem „Najbardziej samotny człowiek na świecie”. Ale były to już dawne czasy i jego osiągnięcia nie miały najmniejszego znaczenia w obecnej „kulturze”, zdominowanej przez gry komputerowe i system kupowania na zamówienie bez wychodzenia z domu.

- Sam, nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zostawię tu moją torbę? Nie chciałbym jej wszędzie targać.

- Czuć się jak u siebie w domu.

David popatrzył na schody do szkoły, w dalszym ciągu nie mogąc się pozbyć wrażenia, że jest dzisiaj dziwnie nastawiony do życia. Wszystko co robił i co mówił, wydawało się zbyt powolne i zbyt smętne. Uczniowie zobaczyli Senique w autobusie i rzucili się w kierunku drzwi.

- Hola, nie tak szybko! - Zablockował im drogę i zaczął popychać z powrotem ku schodom. - Chcę was przeliczyć. Żebyśmy potem wiedzieli, czy ktoś się nie zgubił.

O tak... Każdy powinien przyhamować, przez chwilę pobyc w jednym miejscu. Nie ma potrzeby ciągle gdzieś się przenosić - zwłaszcza do leżących pięć tysięcy kilometrów stąd skąpanych w słońcu miast. Kazał im stanąć w szeregu i jeszcze raz odliczyć. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł tak wielką potrzebę narzucania im rygorów. Może groźba utraty Renee i Arthura wyzwoliła w nim egzystencjalną potrzebę udowodnienia, że w dalszym ciągu może wywierać choćby niewielki wpływ na świat.

W tym momencie usłyszał, choć raczej poczuł uderzenie młotem kowalskim w ucho.

Odwrócił się w stronę tego dźwięku i zobaczył unoszący się na metr, a może na półtora przód autobusu, który zawisł na ułamek sekundy w powietrzu i natychmiast ze zgrzytem i łomotem opadł na asfalt. Odgłos eksplozji zabrzmiał jak przypadkowo związany z tym wydarzeniem dźwięk.

Przez sekundę, może dwie, jego mózg nie dopuszczał do świadomości tego, co się stało. Nie, nic złego się nie działo. Zaraz wsiądą i pojedana długą wycieczką na Manhattan, w czasie której dzieciaki będą się drzeć, bić i prawdopodobnie w tyle autobusu robić różne świństwa.

Autobus poleciał do przodu jak pijak, który pada na bar z wysuniętym do przodu łokciem - prawe koło oderwało się i pofrunęło w bok. Na Davida posypało się potłuczone szkło, więc błyskawicznie zasłonił oczy ramieniem. Cofnął się o krok i wtedy

dostrzegł, że autobus dotyka zderzakiem asfaltu. Silnik płonął, a spod maski wydobywał się słup czarnego dymu. Przód został zgnieciony od zderzenia z jezdnią, a Sam Hall rzucony na przednią szybę - jego zmiażdżoną, zakrwawioną twarz impet przycisnął do szkła.

Davida ogarnęło przerażenie, stłumiło zdolność działania. Co to było? Przed sekundą wybierał się na wycieczkę z uczniami - teraz stał w środku strefy działań wojennych. Co robić? Seniqua próbowała precyzyjnie się na zewnątrz przez wybite okno, pod którym stała grupa jej przyjaciółek i machała rękami, tak jak druhny rzucające za nowożeńcami ryż. Dziewczynie udało się wystawić na zewnątrz głowę i ramiona, ale na tym koniec. Była zbyt tęga, żeby się przepchnąć.

Davida ogarnęła kolejna fala paniki. „Spróbuj ją ratować. Właśnie tym powinieś się zająć.” Kaszlnął. Odpychało go płynące od autobusu gorąco. Dym z komory silnikowej przedostawał się do szoferki, powoli wypełniając wnętrze autobusu. Zaczął pojmować, że niedługo cały pojazd stanie w płomieniach.

- Seniqua, spróbuj iść do tylnych drzwi! - krzyknął do niej.

Niestety, zbyt zajęta krzykiem, zupełnie go nie słyszała. Wszystko wokół oszalało. Setki dzieciaków zbiegły się oglądać przedstawienie i jedynie gorąco bijące od autobusu trzymało je na dystans. Dziewczyny darły się i piszczały, chłopcy gapili się i klęli w bezsilnym szoku. Jediną spokojną osobą okazał się wytatuowany kamerzysta telewizyjny, który skupiony stał w połowie prowadzących do szkoły schodów, filmując płonący autobus bez drgnięcia ręki, jakby czerpał z zamieszania siłę i spokój.

- Wszystko gra, David! - wrzasnął Henry Rosenthal i rzucił się biegiem w kierunku szkoły. - Idę dzwonić pod dziewięćset jedenaście!

Po co? Nie było czasu. David stał jak sparaliżowany. Czekał, że może katastrofa sama rozplynie się w powietrzu, lecz sytuacja ciągle się pogarszała. Przez całe życie oczekiwał tej wielkiej chwili, która miała wyjaśnić, czy jest - jak zawsze podejrzewał - tchórzem, czy też tkwi w nim coś predestynującego go do dokonania aktu wielkiej odwagi. Teraz ten moment nadszedł, i okazało się, że nie jest przygotowany.

Fala zaczęła odpływać. Miał syna, którym musiał się zająć. Kto zajmie się Arthurem, jeśli coś mu się stanie? To dobrze uzasadnienie. Zaczaj się cofać. A więc miał

odpowieź. Był tchórzem - ratownikiem, który nigdy nikogo nie uratował.

Seniqua niemal zniknęła w chmurze toksycznych spalin otaczających autobus.

- Boże, niech ktoś ją ratuje... - jęknęła któraś z dziewcząt. - Chciała urodzić to dziecko...

David kaszlnął i uświadomił sobie, że dotarł do granicy. Co na jego wycofanie się powiedziałyby ojciec - bohater wojenny? Nie! Bycie tchórzem wymagało silnych nerwów, a David obawiał się, że aż tak mocnych nie ma.

Sytuacja zaczęła go wciągać.

Z sercem pełnym obaw i ustami pełnymi przekleństw przeszedł na tył autobusu gdzie, widniał napis: JEŚLI TEN POJAZD ZACHOWYWAŁ SIĘ NIEODPOWIEDNIO NA JEZDNI, DZWOŃ POD 555-1000. Jeszcze chwilę się wahał, dostrzegł jednak wpatrujące się w niego hiphopowe dziewczyny, czekające, żeby coś zrobił.

- Patrz! - krzyknęła jedna z nich. - Zrobi to! Uratuje jej tłuste dupsko. Mówiłam ci, że jest w porządku!

Podczas gdy przód autobusu opadł, tył automatycznie się podniósł i David musiał podnieść wysoko ramię do klamki. Niespodziewanie okazała się zimna, więc bez trudu się podciągnął, oczekując, że nic ponad to się nie wydarzy i zostanie zwolniony od dalszych działań. Ku jego zaskoczeniu, drzwi otworzyły się bez trudu i na zewnątrz buchnął kłęb czarnego dymu tak gęsty, że sprawiał wrażenie ciała stałego. David zakrztusił się i zakasłał, miał wrażenie, że ktoś wlał mu do gardła zużyty olej silnikowy. Coś trzymało go w kleszczach, jak wodny prąd podpowierzchniowy.

„Chyba nie zamierzasz się w to wplątać?”

- Hej, pomogę panu wejść. - Pod jego nogami klęczał Ray-Za, podstawiając plecy jak podnózek.

David popatrzył na czarny podkoszulek, opinający szerokie bary chłopaka. Stał wobec sprawy ogromnej wagi, a bardziej niż czegokolwiek na świecie bał się wejść do tego autobusu. Każdy mięsień i końcówka każdego nerwu opierały się temu, lecz nie

mógł ich wszystkich zawieść, więc należało zmusić się do działania. Próbował nie zwracać uwagi na walące dziko serce, postawił stopę na barku Ray-Za, podciągnął się i wczuł się do autobusu.

Poczuł się jak w piecu. Zewsząd osaczało go gorąco, ścisnęło mu narządy wewnętrzne i skręcało włosy. Usłyszał odgłos przypominający potężne westchnienie i znów buchnął na niego kłęb dymu, od którego zakrztusił się i bezwiednie zaczął podzierać głową. Kulił się, wyobrażając sobie za plecami głos: „Cofnij się, niech wejdzie tu ktoś lepiej przygotowany.” Świetnie, niech będzie - pomyślał - wychodzę stąd, mam przecież dziecko. Niestety, wydarzenia toczyły się zbyt szybko i na dodatek pomknął po pochyłości podłogi ku przodowi autobusu, gdzie nieustannie wrzeszczała Seniqua.

Tonął w dymie, prawie nic nie widział, a każdy krok do przodu, czynił wycofanie się coraz trudniejsze. Siła uderzenia autobusu o asfalt powyrywała fotele i część oparcie blokowała przejście. David kucnął, żeby łatwiej omijać rozgrzane obicia foteli i powoli posuwał się w kierunku dziewczyny.

„Dlaczego to robię? Dlaczego nie mogę po prostu zawrócić?” Ciało funkcjonowało jak gdyby oddzielnie, głowa robiła się lekka, ale wciągający pod powierzchnię prąd nie puszczał. Ciągnął go dalej i dalej ku niebezpieczeństwu. Czuł już poważne zawroty głowy, gdy znalazł dziewczynę w połowie przewieszoną przez okno autobusu. Objął rękami jej potężne uda i pociągnął, ale na nic się to nie zdało. Jak należało się do tego zabrać? Miał wrażenie, że próbuje wyciągnąć organy z kościelnej ściany. Cofnął się między fotele, przymierzył się do lepszego uchwytu.

- No, mała, trochę cię teraz pociągnę.

Objął ją w pasie, zaparł się nogami i szarpnął z całej siły. Poleciała na niego i zawyła przerażona, że coś ją ciągnie w ogień i śmierć.

- Spokojnie, wszystko w porządku. - Ścisnął jej ramię, próbował uspokoić, dodać otuchy. - Zaraz stąd wyjdziemy.

Okazało się to wcale nie takie proste. Do tylnego wejścia, oddalonego o jakieś dziesięć metrów, musieli było wejść pod górę, w dodatku nie widząc celu. Serce waliło Davidowi jak młot, dym kłuł w oczy, zaczynał się dusić. Na dodatek rozległy się dwa ostre trzaski pękających szyb, do środka wpadło więcej powietrza i nakarmiona

tlenem bestia natychmiast mocniej ryknęła. W każdej chwili płomienie mogły ogarnąć cały autobus.

Nie wiadomo, dlaczego Davidowi kojarzyło się to z ciemnym zimnym jeziorem. „Zaraz umrzesz.” To stwierdzenie paraliżowało go. Jeszcze niedawno był czterdziestolatkiem w trakcie rozwodu, a teraz miał umrzeć w szkolnym autobusie.

Autobus jęknął, wydawało się, że zapada się dach. Już nigdy nie zobaczysz żony, nigdy więcej nie zobaczysz syna... Spróbował sobie przypomnieć słowa modlitwy Ojciec Nasz. OJCZE NASZ... MÓJ OJCZE... Jak to szło? MATKO BOSKA, ŁASKIŚ PEŁNA...

Nie, nie pogodzi się ze śmiercią. Arthur i Renee w dalszym ciągu go potrzebowali, prawda? Musiał wrócić na brzeg. Czując świeży dopływ adrenaliny do żył, zacisnął pięści i zaczął popychać Senique do tylnego wyjścia. „Żyj, dzieciaku, żyj!” Co innego pozostawało? Obejrzał się przez ramię i dostrzegł pełznące ku nim po podłodze płomyki. Popychał dziewczynę jeszcze mocniej, a gdyby okazało się to potrzebne, zaczęłyby ją toczyć! Rozdygotane serce waliło mu jak młot.

Nagle pojawił się przed nimi prostokąt jaśniejszego światła. Drzwi za zasłoną dymu.

Seniqua nie poruszała się, jakby trzy metry przed zbawiennym wyjściem dym i gazy zrobiły swoje.

- Rusz się, poradzisz sobie! - na pół krzyczał, na pół prosił David.

Leżała zgięta i nieruchoma. Przestała reagować. Z trzaskiem pękło kolejne okno. Teraz coś musiało się zacząć albo skończyć. Co mówił jego ojciec o widoku wylotów luf japońskich karabinów maszynowych na Okinawie? PO PROSTU TRZEBA IŚĆ DALEJ. David pochylił się, cofnął kawałek na czworaka i z całym impetem natarł na leżącą dziewczynę. Seniqua jak z armaty wystrzeliła na zewnątrz.

Złapali ją koledzy z klasy, odciągnęli od autobusu. David wyskoczył za nią, przewrócił się i źle wylądowawszy, zranił się w kolano. Miał osmalone policzki i skręconą kostkę, ale żył! Dotarł do lądu.

„Dobry chłop z ciebie, Fitzgerald!” Tak mówił ojciec przy rzadkich okazjach, kiedy był zadowolony z syna. Rozejrzał się - dzieciaki kładły Senique na chodniku.

- Nic jej nie jest? - krzyknął do nich.

Ale słowa pochłonał mur ciał, skupionych wokół niej. Przeciskał się przez nie kamerzysta.

David wstał niepewnie, a krąg rozstał się przed nim. Słyszał zaniepokojone pomrukiwania. Trupio błada Meny Tyrone, zwykle tryskająca energią modnisią, przyglądała mu się w milczeniu. Seniqua leżała na plecach z lekko otwartymi ustami, w rozpiętej kurtce, z której w dalszym ciągu ulatniał się dym. David ukląkł obok i przyłożył jej dłoń do ust.

- Nie oddycha - powiedziała Merry, przerywając milczenie. - Musiała wciągnąć do płuc za dużo dymu.

David rozejrzał się wokół. Dzieciaki patrzyły w niebo, oglądały autobus, chowały się w sobie. Przysunął ucho do ust Seniquy i w nadziei, że jakimś cudem zacznie sama oddychać, ale słyszał jedynie odgłos palącego się autobusu i pęknięcie szkła. Gdzie wszyscy się podziali? Gdzie są karetki i straż pożarna?

- Czy ktoś z was umie robić reanimację albo oddychanie usta-usta?

Dzieciaki milczały, stały z rozdziawionymi gębami. Kamerzysta odsuwał kogo chciał, żeby uzyskać lepsze ujęcie.

- Spadaj, facet - wykaszał do niego David. - Ten dzieciak nie oddycha!

Popatrzył na suche usta Seniquy, w kącikach zaczęła się formować biaława skorupka. Czy ktoś to za niego zrobi? Oczywiście, kiedyś był ratownikiem, ale ze względu na AIDS ratownicy nie stosowali już metody usta-usta. Z drugiej strony nie mógł pozwolić, żeby ciężarna dziewczyna, jego uczennica, umarła mu na rękach.

Nachylił się i ostrożnie wdmuchał powietrze do jej ust. Dawaj, dziewczyno! Poradzisz sobie. Masz siłę. Czuł na plecach gorąco ognia, a we włosach chłód bryzy znad oceanu. Gdzieś w pobliżu krążyła śmierć.

Zatkał Senice nos i mocno dmuchnął. Wyglądało to jak pocałunek, choć nie miało nic wspólnego z erotyką. Przypomnił sobie moment, jak Arthur zaczął po raz pierwszy sinieć. Trząsł się na rękach pielęgniarki i nie mógł złapać powietrza.

Obrócił głowę Seniqui, czekając na reakcję, potem powtórzył zabieg jeszcze mocniej, wyobrażając sobie rozpaczliwie, jak kolejno otwierają się zamknięte i pozaciskane miejsca. Niestety, było to jak próba nadmuchania wielkiego balonu pompką do roweru. Dziewczyna leżała nieruchoma, bez oznak życia. David zakaszał i sam musiał złapać oddech. Widział ojca na szpitalnym łóżku, zmarłego po ciężkim zawale - wyдутą kopię tego, czym był za życia. Czuł, jak kamerzysta staje nad nim i klęka, by zapiąć na taśmie prawdziwy dramat, kieruje obiektyw na to, co pozostało z jeszcze przed chwilą żywej dziewczyny.

Od grupy zaczynali się oddalać pierwsi twardziele. Nawet dla nich okazało się to zbyt trudne. Dziewczęta - zwykle bardziej spontaniczne, zaczęły padać sobie w ramiona. David ponownie pochylił się nad Seniquą. Dawaj, mała, nie zrobisz mi tego! Nie umieraj, kiedy wszyscy patrzą. Wziął głęboki wdech i dmuchnął z całej siły, wypchnął powietrze z każdego zakamarka swego ciała - nieważne, że w ten sposób przekazywał wszystkie toksyny, jakich się nawdychał. Dmuchał tak, jakby chciał się w niej zanurzyć, zmusić ją do powrotu do życia. Gdy zabrakło mu powietrza, opadł na ziemię wycieńczony.

Z daleka dobiegało wycie syren karetek i wozów straży pożarnej. Autobus znów eksplodował, tym razem znacznie silniej. Jak gdyby z góry spadła wielka pięść i spłaszczyła wrak. Wszyscy gwałtownie się cofnęli. Od strony silnika ku niebu uniósł się wielki grzyb, wypełniając powietrze czarnym oleistym dymem. Dopiero teraz David pomyślał, że w środku został Sam Hall.

- O cholera... popatrzcie na to... - Ray-Za zaczął skakać i pokazywać coś palcem.

David patrzył, nic nie rozumiejąc, lecz zaraz wszystko pojał. Seniqua zamrugła powiekami. Zbliżył ucho do jej ust i usłyszał cichy kaszel, potem następny, głośniejszy. Kamerzysta wstał do ujęcia panoramicznego i w tym momencie Seniqua usiadła, potwornie zacharczała i głęboko wciągnęła powietrze.

- Oooooaaaaa! - zawyła Merry Tyrone. - Jesteś, mała!

Obok Davida stanął Henry Rosenthal. Gdzie on się podziewał? Wyglądał jak gdyby zmałał i postarzał się.

- Udało ci się, stary - powiedział, niepewnie klepiąc Davida w ramię. - Uratowałeś ją. Musiałeś, kurwa, zwariować.

7

Dwudziestoczteroletnia Judy Mandel, ubrana w dżinsową kurtkę i zbyt obcisłą spódnicę, już w drodze na miejsce wybuchu cierpiała z powodu bólu głowy, a dodatkowo skręcała się od bólów miesięczkowych.

Przebywała w kompleksie domów komunalnych Red Hook, gdzie zajmowała się wpadnięciem staruszki do szybu windy i wtedy wywołał ją przez pager redaktor naczelny działu miejskiego „New York Tribune”, w której pracowała, każąc wieźć hiperaktywny tyłek na Coney Island.

Dostanie się na miejsce i zajęcie sprawą okazało się jednym wielkim cyrkiem. Dziesięć minut potrwało, zanim znalazła samochód, którym mogła tam dojechać, a kiedy ruszyli, kierowca natychmiast wpakował się w gigantyczny korek na Gowanus Expressway. Dotarła do szkoły, gdy John LeVeque, pompatyczny i wybitnie niechętny do pomocy rzecznik prasowy policji, zdążył już zakończyć oświadczenie dla dziennikarzy o wydarzeniach dnia, a prowadzący sprawę detektyw - który wyglądał jak chodząca śmierć - nie rozmawiał z prasą. Judy udało się tylko dowiedzieć, że nauczyciel David Fitzgerald jakimś sposobem uratował jedną z uczennic i nie dopuścił do tego, żeby jeszcze któremuś z uczniów stała się krzywda. Oficjalnie czyniło to z niego bohatera dnia - dopóki nie pojawi się nowy.

Reporterzy właśnie atakowali go u stóp szkolnych schodów. Wyglądali jak pieńiąca się ludzka masa. Już sam widok tłumu pogarszał skurcze, jakie przeszywały Judy, ale pobiegła tam tak szybko, że aż jej pomarańczowy identyfikator prasowy furczał na wietrze. Jak mogła przy takiej masie ludzi wydrzeć kawałek z tej historii dla siebie? W redakcji już i tak kręcono na nią nosem, grożąc, że odeślą ją do pisania o prześladowaniu sławnych ludzi przez natrętnych fanów albo o szale totalitarnym. Jeszcze pięć minut, a nie zostanie tu nawet ślad wart zacytowania. Poznała niskiego gościa z „Daily News”, dzikiego kowboja z „Post” i elegancką autorkę tekstów politycznych z

„Timesa”. Najgorsza z nich była szpanująca dziwka, Sara Kidreaux, z „Channel Two”, za którą bez przerwy łąziło dwóch nabitych mięśniami facetów, gotowych w każdej chwili wskoczyć do zaparkowanej przy krawężniku furgonetki i zacząć nadawać na żywo.

Judy przez całe życie krążyła po orbicie takich długonogich, ubranych w kostiumy od Chanel bogiń. W legionie królowych piękności tego miasta zaliczała się najskromniejszych z nich. Już się niemal pogodziła z tym, że życie spędzi jako niedoceniana i źle opłacana, a żeby pozostać w biznesie, musi pracować więcej od innych i walczyć mniej fair. Skoczyła więc w tłum niczym sterowana czujnikiem termicznym rakietą i zaczęła się przebijać do pierwszego rzędu, odpychając na bok większych od siebie i bardziej renomowanych dziennikarzy. Nie mogła dopuścić do tego, by ją zignorowano.

- Hej, panie, co się stało?

- Hej, panie, co się stało?

David Fitzgerald - ciągle jeszcze oszołomiony i roztrzęsiony - stał na schodach i powoli dostrzegł rozmiar gorączkowej krzątaniny wokół jego osoby. Po skończeniu badań przez sanitariuszy, którzy posmarowali mu ręce i twarz maścią, otoczył go ciasny krąg reporterów. Było ich co najmniej dwudziestu pięciu, a każdy pchał się i przysuwał jak najbliżej. Skąd oni się wzięli? Z początku przeraził się i poczuł zakłopotany. Czego chcieli? Zamierzali go zdeptać? Przypomniał mu się koncert zespołu „The Who” w Cincinnati i tragedie na angielskich stadionach piłkarskich, powoli jednak wszystko zaczęło się klarować. Rozpoznawał pojedyncze twarze i pytania. Wiele osób znał z różnych programów informacyjnych, rozpoznał też parę sławnych nazwisk na identyfikatorach. Chcieli zrozumieć, co się stało. Chcieli, żeby im pomógł.

- Dlaczego powstrzymywał pan dzieci przed wejściem do autobusu? - spytał krępy reporter z „Daily News” w dzinsach i krawacie z dzianiny.

- Nie wiem. - David potarł oczy. - Nie chciałem nikogo stracić.

- Może byłby pan uprzejmy wyrazić się nieco jaśniej - poprosiła dziewczyna z czarnymi włosami i uszmkowanymi na brązowo ustami. Na identyfikatorze miała napisane: Judy Mandel z „Tribune”.

Przez chwilę David wbił w nią wzrok. Nie była piękna, ale tak pewnie korzystała ze swych najbardziej atrakcyjnych cech, że nie dało jej się ignorować.

- Na jaki temat? - David głęboko wciągnął powietrze, przy czym stwierdził, że sprawia mu to spory kłopot.

- Dlaczego powstrzymywał pan uczniów przed wejściem do autobusu?

- Tam była bomba. - Nagle poczuł zamęt w głowie i nie był pewien, co gada. Bomba?

- Zgadza się - powiedziała odważnie Judy Mandel, patrząc na Davida wielkimi oczami, i choć popychano ją z tyłu, próbowała nie stracić miejsca. - Skąd pan o tym wiedział?

David otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Ktoś świecił mu jaskrawym światłem w oczy... kamerzysta. Był świadom, że wszyscy uważnie przyglądają się jego twarzy. Za plecami stali uczniowie, podnosząc w górę ręce i pokazując do kamery symbole swoich gangów.

- Jakie to uczucie, być bohaterem? - Sara Kidreaux stanęła przed dziewczyną z „Tribune”.

- O... boja... hm - zamilkli spojrzeli przez ramię na dogaszany przez strażaków autobus. - Nie sądzę, żebym był bohaterem. To po prostu... no... samo życie...

- Czego pan uczy? - krzyknął stojący z tyłu reporter radiowy.

- Hm... - David chrząknął i odkaslnął w chusteczkę. - Przepraszam. O bohaterach, bohaterstwie. Znaczą się, uczę literatury angielskiej. To właśnie mieliśmy dziś robić w muzeum. Zajmować się bohaterstwem.

- Ale zamiast tego dał pan dzieciakom praktyczny pokaz bohaterstwa. Mam rację?
- Sara Kidreaux stała na czubkach palców, starając się patrzeć Davidowi w oczy.

Choć ciągle oszołomiony, zauważył, jak bardzo reporterka chce wychwycić jakieś

sformułowanie, które dobrze wypadnie w programie.

- Nie dostałam odpowiedzi na pytanie, skąd pan wiedział, że tam była bomba - powiedziała Judy Mandel, wyglądając znad ramienia Sary. - Hej, skąd pan wiedział o tej bombie?!

Dziennikarze za jej plecami pchali się i szarpali jak pędzący do łodzi ratunkowych pasażerowie „Titanica”.

- A więc dał im pan prawdziwą lekcję bohaterstwa - powtórzyła Sara Kidreaux, próbując wydrzeć z niego swój cytat, zanim odepchną ją na bok.

- Chyba tak. - David powiedział to odruchowo, patrzył bowiem na ambulans odwożący zwęglone i zmiażdżone zwłoki Sama Halla w czarnym plastikowym worku. Biedny Sam. David wzdrygnął się i spróbował ponownie skoncentrować na zadanym mu pytaniu, ale nie potrafił. Czuł się, jak gdyby śnił i równocześnie próbował opowiedzieć ten sen.

- Czego pan dokładnie uczy o bohaterstwie? - spytała Sara, jakby David już potwierdził tezę zawartą w jej pytaniu.

- Nie wiem.

- No, daj mi coś...

David wstrzymał oddech i patrzył jak sanitariusze badają jego uczniów. Potem spuścił wzrok i ujrzał ośmioletniego Murzynka, zapewne mieszkającego w którymś z pobliskich osiedli, który przepchał się dziennikarzom między nogami. Do koszulki miał przyczepiony plastrem kawałek papieru, na którym napisał brązową kredką: REPORTR.

- Przepraszam, ale nic nie wiem o bohaterstwie. Jedynym bohaterem, jakiego poznałem w życiu, był mój ojciec, a on nigdy o tym nie mówił.

- Pański ojciec?

- Walczył na wojnie. - David popatrzył na drugą stronę Surf Avenue, gdzie przed

wesołym miasteczkiem wisiała podarta, popalona czerwono-niebiesko-biała flaga.

- Pański ojciec był bohaterem?

Czuł, że powiedział coś, co spodobało się dziennikarzom.

- Tak, walczył podczas drugiej wojny światowej. Służył w batalionie inżynieryjnym. Rozumiecie, zajmował się materiałami wybuchowymi.

- I co bohaterskiego zrobił?

- Wiem, że raz ryzykował życie, zdobywając wzgórze na Okinawie. Kiedy jego koledzy po kolei padali, dobiegł do gniazda karabinów maszynowych i wrzucił do środka tornister materiału wybuchowego.

- Na oki-co? - spytał któryś z bardziej oddalonych dziennikarzy.

- Czy on żyje? - nie popuszczała Sara Kidreaux. - Pański ojciec. David znów popatrzył na dół - na chłopca, który udawał, że robi notatki.

- Nie. Niestety, nie.

- Sądzi pan, że byłby z pana dumny?

Przez chwilę David nie wiedział, co powiedzieć. Sprawa z jego ojcem należała do zbyt skomplikowanych, żeby teraz o niej mówić. Z drugiej strony czuł napięcie, z jakim się w niego wpatrywali, chcąc aby okazał się interesujący. Powiedział więc:

- Tak sądzę. Na pewno. Mam nadzieję.

Gdy to powiedział, poczuł, że coś w nim się odrywa, oddziela. Pojawiło się drugie - nieprawdziwe - ja. Unosiło się w powietrzu i przekazywane było do obiektów kamer oraz do mikrofonów. To ono zostanie dziś zaprezentowane w wiadomościach.

Prawdziwy David Fitzgerald siedział nadal skulony, zdziwiony i przerażony rym, co właśnie przeszedł.

Szpanerski David rozkwitał.

- Korpus Marynarki Wojennej USA, starszy szeregowy Patrick V. Fitzgerald, Szósta Dywizja, Batalion Inżynieryjny - powiedział, odpowiadając na pytanie o nazwisko i stopień ojca. - Został odznaczony Srebrną Gwiazdą, Brązową Gwiazdą, Purpurowym Sercem i kilkoma innymi orderami, których w tej chwili nie pamiętam... Tak, sądzę, że byłby zadowolony.

W rzeczywistości David wiedział, że ojciec, choć o tym nie mówił, był rozczarowany tym że jego jedyny syn został niskiej rangi nauczycielem szkoły publicznej.

- Gdzie ta strzelanina się odbyła? - dopytywał człowiek z „New York Post”.

- Na Okinawie. O-K-I-N-A-W-A.

Spróbował przełknąć, ale zaschło mu w gardle. Piekły go oczy, szczękał zębami. Chłopiec z „kartą prasową” na piersi uśmiechał się do niego. David chciał ponad wszystko iść do domu, objąć Renee i przytulić Arthura, poczuć w jego włosach zapach placu zabaw.

- Czego chcecie? - zapytał jakiś głos. - To nauczyciel.

David odwrócił się i ujrzał na schodach kaszlącą i płaczącą Nydię Colone z trzema koleżankami z klasy. Hiphopowe dziewczyny bardzo przeżyły całe zdarzenie, jedna chyba nawet wymiotowała. Przy krawężniku stał Jurij Ehrlich i kamiennym wzrokiem obserwował znikające nad ruinami Dreamlandu resztki dymu.

Niebo pozostało czyste i obojętne. Po prostu robiło to, co powinno, żeby trwał piękny dzień.

David popatrzył na tłumek i natychmiast dostrzegł czarnowłosą dziewczynę z „Tribune” - Judy Mandel, wpatrującą się w niego brązowymi półprzymkniętymi oczami. Przechylała głowę, jakby widziała wszystko trochę inaczej niż pozostali.

- Posłuchajcie, to chyba wszystko, co chcę teraz na ten temat powiedzieć - oznajmił David. - Muszę się zająć moim dzieciakiem... to znaczy moimi dzieciakami.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z niskim, chudym, łysym facetem w szarym garniturze. Pierwsze skojarzenie, jakie mu się nasuwało, to, że widzi postać z filmu „Nosferatu” F. W. Murnaua. Mężczyzna miał długi haczykowaty nos, a pozbawiona włosów czaszka sprawiała wrażenie łatwej do zranienia. Wydawało się, że smętne, pełne udręki oczy otoczone są czerwonymi gumowymi krążkami.

- Chciałbym z panem porozmawiać - powiedział cicho, kładąc Davidowi na ramieniu żylastą dłoń. - Jestem detektyw Noonan z sześćdziesiątego komisariatu. Mamy do pana parę pytań.

David poczuł ukłucie niepokoju. Zawsze, gdy sądził, że już przystosował się do nowej sytuacji, wyskakiwało skądś nowe zaskoczenie.

- Tak, jasne, oczywiście - zgodził się szybko i kiedy zaczęli się przeciskać przez tłum reporterów, próbował się uspokoić.

Niska, młoda, wyglądająca na wściekłą sukę kobieta z nierówno przyszczyżonymi kasztanowymi włosami podała Davidowi wizytówkę, przedstawiającą ją jako producentkę jednego z programów telewizji śniadaniowej.

- Niech pan zadzwoni - powiedziała z przekonaniem. Na wizytówce dopisała czerwonym atramentem: „Najlepsza oglądalność w tych godzinach! 30 milionów widzów”.

Zza jej pleców wysunął się mocno zbudowany mężczyzna w białej koszuli i spodniach koloru khaki.

- Zadzwonimy do pana - powiedział i wcisnął Davidowi w dłoń wizytówkę wiadomości porannych CBS. - Mamy pański numer.

- Skąd?

Wszystko wyglądało dziwnie. Wybuch, dymiące szczątki autobusu, zwracanie uwagi na pozory, bezlitosna serdeczność pytań potrzebujących jego pomocy dziennikarzy. Nie był pewien, czy jeszcze kiedyś potrafi zebrać myśli.

Detektyw delikatnie, ale zdecydowanie przepychał go przez tłum.

- Chodźmy, proszę - mruzczał. - Zostawmy te pasożyty.

„Pasożyty” wydały się Davidowi dość mocnym określeniem. Przeszli przez ulicę i skierowali się ku granatowemu fordowi detektywa. Ci ludzie po prostu wykonywali swoją pracę. Z drugiej strony detektyw też go potrzebował. Jakie to miłe - był potrzebny. Dawało poczucie, że stoi na solidnym gruncie. Oferowało szansę mocnego oparcia stóp i znalezienia sobie miejsca w całym tym chaosie. Nie musiał się zastanawiać, żeby wiedzieć, co ma do zrobienia - powinien być ze swoimi dzieciakami, wstrząśniętymi i zdenerwowanymi oraz pomóc policji, potrzebującej precyzyjnego opisu tego, co się stało.

Dlaczego więc coś w nim uległo rozczarowaniu i urażeniu z powodu zbyt szybkiego odejścia od mikrofonów i kamer telewizyjnych - jakby wyciągnięto go z własnego przyjęcia urodzinowego w momencie, kiedy zabawa zaczęła się rozkręcać? Pomachał do niego chłopiec z kartką na piersi.

Zapach w samochodzie detektywa dowodził, że nigdy nie jeździła nim kobieta. Zatechłe, zalatujące spalinami i starą tapicerką powietrze, z popielniczki wysypywały się pety, na podłodze leżały stare opakowania po daniach z barów szybkiej obsługi, szyb nie myto chyba od nowości. Już choćby sama groźba, że ma rozmawiać w wozie z kobietą, z pewnością skłoniłaby Noonana do posprzątania.

- Nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby jeszcze raz mi o wszystkim opowiedzieć? - zaczął Noonan i przygotował notes.

- Ależ skądże - odparł David, choć już dwa razy mu to mówił.

- Wyszedł pan z dzieciakami ze szkoły, pozwolił jednej dziewczynie wejść pierwszej, porozmawiał chwilę z kierowcą, wysiadł i zaczął ustawiać dzieciaki w szeregu i w tym momencie autobus wybuchnął. Zgadza się?

- O ile pamiętam. - David wpatrywał się w grubą żyłę na skroni detektywa. - Już panu mówiłem, że jeszcze niezbyt jasno myślę.

- Pozwoli pan, że zapytam jeszcze raz: czy przed wybuchem widział pan przy au-

tobusie kogoś podejrzanego?

- Nie przypominam sobie.

David odwrócił się i stwierdził, że kolejni dziennikarze przeprowadzali wywiady z uczniami. KTO, JAK i DLACZEGO w dalszym ciągu wirowało wokół niego chaotyczną chmurą. Jeszcze nie miał czasu sobie tego poukładać.

- Mieliście spóźnienie - powiedział detektyw.

- Słucham?

- Planowany był wcześniejszy wyjazd. Zastanawiałem się, czy wystąpiły jakieś techniczne problemy z autobusem.

- Może, nie wiem. - David zauważył, że nieustannie dzwoni mu w uszach. - Byłem w toalecie. - Musiał się zmusić do słuchania detektywa. - Dlaczego pan sądzi, że mogło to spowodować wybuch autobusu?

- Bo ja wiem? Będziemy musieli to sprawdzić.

- Oczywiście, jak najbardziej.

Detektyw zaczął szybciej pisać, a żyła na jego skroni pulsować.

- To, że powstrzymał pan przez kilka sekund dzieciaki przed wejściem do autobusu, wynikało z nieokreślonego przeczucia... Zgadza się?

- Tak. Nieokreślonego. Chyba tak. Nie chciałem nikogo stracić. Noonan uważnie na niego popatrzył i David zaczął się zastanawiać, czy policjant domyśla się, że schlał się wczoraj wieczór na umór.

W obecności policjantów zawsze czuł się trochę nieswojo. Jako nastolatek wziął raz cudzy samochód z parkingu klubu na Long Island i o mało nie wylądował przez to w więzieniu. Ten incydent na tyle go wystraszył, że trzymał się z dala od kretyńskich łobuzów, którzy go w to wciągnęli, ale po dziś dzień odnosił wrażenie, że policjanci przyglądają mu się ułamek sekundy za długo, jakby otaczała go podejrzana aura.

- Detektywie, czy mogę o coś zapytać?

- Oczywiście. - Noonan przewrócił kartkę w notesie. - O co chodzi?

- Czy uważa pan, że mogła to być bomba? Detektyw odłożył długopis i przyjrzał się Davidowi.

- Nie wiem. Zna pan kogoś, kto chciałby podłożyć bombę?

We wzroku policjanta było coś takiego, że David poczuł ból w stawach.

- Nie. Nie sędzę.

- Na pewno? - Detektyw nie odwracał wzroku. - Jest pan nauczycielem. Musi pan znać masę przepelnionych złością dzieciaków.

- Ale nie aż tak bardzo - szybko odparł David. Cuchnąca pleśnią duchota samochodu Noonana zaczynała go męczyć. Potrzebował świeżego powietrza.

- A co pan sądzi o kimś, komu mogłaby się nie podobać wizyta gubernatora?

- Nikt mi nic takiego nie mówił. - David kolejny raz zakaszłał. Miał wrażenie, że w gardle siedzi mu łasica i drapie przełyk.

Detektyw wyjął portfel i dał Davidowi wizytówkę ze służbowym numerem telefonu.

- Gdyby przypomniało się panu coś, co może mieć znaczenie, proszę do mnie zadzwonić. Będę w kontakcie.

- Oczywiście. Zawsze do usług.

Nosferatu... Tętniąca żyła na łysej głowie, ciężkie powieki. Lekka poświata skóry, typowa dla wampirów. David wyciągnął rękę ku kłamce, czując irracjonalną potrzebę uwolnienia się od obecności tego człowieka.

- O, jeszcze jedno. - Noonan chwycił go za łokieć.

- Tak?

- Co mam z tym zrobić? - Policjant puścił go i wykonał teatralny gest rękami. - Masa ludzi zechce pana zapytać o to, co się stało. Znaczą się, dziennikarze. Choć najchętniej zakazałbym panu z nimi rozmawiać, ale nie mogę tego zrobić, proszę tylko o jedno. Niech pan uważa, co mówi. Jeśli miałyby się okazać, że podłożono bombę, a sprawa zostanie zakwalifikowana jako przestępstwo, będzie dla pana lepiej, gdyby to, co pan powiedział, trzymało się kupy.

- Oczywiście - odparł David, nie do końca zdając sobie sprawę ze znaczenia tych słów.

Detektyw klepnął go w ramię i otworzył drzwi.

- To była dobra robota. Są chłopcy z dwudziestoletnim stażem, którzy nie zrobiliby tego co pan.

- Tak pan sądzi?

Detektyw był już znowu zajęty pisaniem w notesie, zaciskaniem szczęki i pompowaniem krwi w pulsującą żyłę na skroni. Najwyraźniej szukał sposobu, jak rozłożyć na czynniki pierwsze minione chwile.

8

Kiedy Nasser i Jusuf podjechali plymouthem pod dom Hamdych, Elizabeth czekała na schodach przed wejściem. Mimo workowatych zielonych spodni od dresu i czarnego podkoszulka wyglądała elegancko.

- Spóźniłeś się! - zawołała, wstając z wrotkami przewieszonymi przez ramię. - Miałeś przyjechać o wpół do drugiej. Zdawało mi się, że chcesz mnie zabrać na zakupy. Przez ciebie zrezygnowałam z wycieczki do muzeum!

- Przepraszam. - Nasser wysiadł z samochodu jak lunatyk. - Pojechaliśmy za daleko i zgubiliśmy się.

- Zgubiliście się?

- Tkwiłmy w korkach. - Popatrzył na siedzącego za kierownicą Jusufa. - Ocean Parkway jest zablokowana. Chyba coś się tam stało.

- Tak, słyszałam jakiś wybuch i widziałam dym lecący od strony plaży. Czy coś się paliło?

- Nie wiem. Ciągłe coś się tu dzieje. Byliśmy na Manhattanie.

Mimo że łysy Jusuf nosił ciemne okulary, zauważyła, że gapi się na nią przez szybę. Robił to już poprzednie dwa razy, gdy Nasser go przyprowadził, i nie sprawiało jej to przyjemności. Teraz jednak miała wrażenie, że czegoś od niej chce. Z czystej grzeczności pomachała do niego ręką. Na łupkowym dachu domu po drugiej stronie ulicy usiadły dwa kruki, a na horyzoncie kłębił się szary dym.

- Twoja siostra jest piękna - zawołał Jusuf do Nassera, uruchomił silnik i odjechał.

- Na sam jego widok dostaję gęsiej skórki - powiedziała Elizabeth, patrząc jak Jusuf oddala się Stillwell Avenue i w końcu znika.

- Jest bardzo religijny - sztywno odparł Nasser. - Jedziemy?

Ruszył przez krótką obsadzoną drzewami uliczkę w kierunku miejsca, gdzie stał wypożyczony czarny Lincoln.

- Zastanawiam się, skąd wali ten dym. - Elizabeth znów zaczęła obserwować szare kłęby. - Mam nadzieję, że nie ze szkoły.

- Prawdopodobnie to budka z hot dogami. Może to kara za robienie niedobrej żywności.

Zauważyła, że jej brat jest dziś jeszcze bardziej spięty niż zwykle. Garbił się, miał nietypowo, gładko zaczesane włosy. Podczas gdy otwierał jej drzwi, spostrzegła na jego dolnej wardze ślad świadczący o tym, jak mocno ją zagryzał.

- Zapnij, proszę, pas - powiedział. - Kiedy z tobą jeżdżę, jestem bardzo nerwowy.

Uśmiechnęła się pod nosem. Nasser wsiadł, trzasnął drzwiami i przekręcił kluczyk. Wnętrze auta okazało się dość zniszczone, ale siedziało się wygodnie. Czasami sprawiało jej przyjemność, gdy brat zachowywał się tak słodko i opiekuńczo. Było w tym coś ze Starego Świata. Bez większego trudu mogła sobie wyobrazić, jak trzyma matkę za rękę przy przechodzeniu przez ulicę Króla Dawida w Betlejem albo pomaga beduińskiemu pasterzowi pędzić stado owiec na poranny jarmark.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli włączę radio? Może coś powiedzą o pożarze na plaży.

Jechali Avenue Z, mijali właśnie ceglane domy z Madonnami na frontowych trawnikach. Sięgnęła do radia. - Nie!

- Dlaczego?

Skręcili w Belt Parkway. Przed nimi ciągnęła się długa serpentyna porośnięta po obu stronach wysokimi chwastami, z okien samochodów wystawały potężne wytatuowane ramiona wściekłych mężczyzn.

- Potrzebuję kilka minut ciszy, to wszystko. - Nasser mocno zaciskał dłonie na kierownicy. - Hej, gdzie masz hijabl.

- Dziś jest za gorąco.

Popatrzył na siostrę, na jej rozpuszczone, spadające swobodnie na ramiona włosy. Wyglądały miękko i były tak puszyste, że musiał się powstrzymać, aby ich nie dotknąć. Inni mężczyźni na pewno też chcieliby ich dotknąć. Najchętniej natychmiast czymś by je zakrył.

- Nie chcę, aby chłopcy taką cię oglądali. Pomyślą sobie coś złego.

- Tylko ty twierdzisz, że to coś złego.

Po tym jak gwałtownie zmieniał pasy ruchu i zajechał drogę nadjeżdżającemu z tyłu lexusowi wyczuła, że to nie najlepszy czas na droczenie się z nim. Ostatnio każ-

dego dnia przeszkadzał mu albo obrażał go jakiś aspekt amerykańskiego życia, ale dziś chodziło o coś więcej. Może ten Jusuf coś mu powiedział...

BOŻE, BOŻE, BOŻE. Cóż za straszny dźwięk spowodowała hadduta, wybuchając drugi raz. Dźwięk ten nieustannie dudnił mu w głowie. Próbował rozmawiać z siostrą, lecz ciągle słyszał tylko głucho BUMMM! Dźwięk przepętniał go do głębi. Taki dźwięk może spowodować rozsypanie się świata, który zacznie toczyć się jak lawina. Sama myśl o tym przerażała go. Co będzie, jeśli zaraz zajędzie mu drogę radiowóz?

- Rozumiem, nie chcesz żebym słuchała radia i nie podobają ci się moje włosy. O czym jeszcze chcesz rozmawiać?

- Nie wiem. - Wjechali na Shore Parkway, mijali Dyker Beach. - Ciągłe myślisz o pójściu do college'u?

- O tym akurat ja nie chcę rozmawiać. Nie z tobą.

- Jak uważasz.

Wzdrygnął się i zatrąbił na jadącą zbyt blisko po prawym pasie cysternę. Zwisająca z wstecznego lusterka żółta choinka zapachowa bujała się na wietrze.

- A co z matką? - spytała Elizabeth.

- Chcesz mnie zapytać o matkę? - Nasser głęboko odetchnął i sięgnął do rozpięcia koszuli, gdzie zwisał kluczyk.

- Tak. Jaka ona była?

Nasser puścił kluczyk i położył obie dłonie na kierownicy. Wbił wzrok w krętą drogę przed nimi.

- Miała piękne, miękkie dłonie, lecz sama nie należała do kobiet uległych. Posiadała w sercu ogromną siłę.

- Jak nazywała się miejscowość, z której pochodziła?

- Dir Ghusun. To znaczy Gałęzisty Klasztor. To stare chrześcijańskie miasteczko, założone przez Rzymian. Opowiadałem ci o tym już setki razy.

- Tak, ale lubię o tym słuchać.

Gdy opisywał to miejsce, którego nigdy nie widziała, jego głos brzmiał niczym muzyka. Wioska matki leżała na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Ziemia była tam żyzna i ciemna, drzewa oliwkowe i cytrynowe wyrastały wysoko, a wiatr znad morza roznosił delikatny zapach po całej wiosce. Co roku w porze żniw dzieciaki biegły od domu do domu za ślepym bazarzem, opowiadającym o wielkich arabskich bohaterach i wojownikach takich jak Saladyn, walczący podczas wojen krzyżowych na białym koniu z Ryszardem Lwie Serce, albo o samym proroku, który poprowadził trzystu braci do zwycięstwa nad tysiącem Korejszytów z Mekki pod Badr. Nawet po tym, jak Izraelczycy zbombardowali wioskę w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku i zmusili jej rodzinę do ucieczki, aresztując każdego, kto próbował wrócić, nosiła w sobie pamięć tego miejsca, a w sercu poczucie związku z tamtejszą ziemią. Przekazała miłość do niej Nasserowi, dała mu nawet zardzewiały kluczyk do swego starego domu, żeby w dniu, kiedy tam powróci, mógł otworzyć drzwi.

- Lubiła mnie? - spytała Elizabeth.

- Oczywiście, że cię lubiła. - Nasser zmusił się do uśmiechu. - Kochała. Byłaś jej małą dziewczynką. Jak mogła cię nie kochać? Patrzą na ciebie i czasem widzę ją...

Wdepnął mocniej gaz, wyprzedził niebieską hondę i wjechał na Gowanus Expressway. Oczy miał pełne palących łez, lecz nie mógł dopuścić do wypłynięcia choć jednej z nich na policzek.

MATKA. Ona zrozumiałaby, co dziś zrobił. Wiedziała, co oznacza bezkompromisowość.

Zawsze szła w pierwszym szeregu marszów w Betlejem, kładła się przed czołgami przy grobie Racheli. Płakała i darła na sobie ubranie na pogrzebach męczenników. Mała arabska kobieta w białej chuście na głowie i z głosem roznoszącym się niczym wiatr. Nauczyła go, że w niebie jest specjalne honorowe miejsce dla tych, co walczyli, a nie zostawali w domu.

Nie tak jak ojciec, który pozwolił uderzyć się w twarz izraelskiemu żołnierzowi i próbował uśmiechać się przez łzy.

Kiedy to się stało, Nasser miał nie więcej niż pięć lat, ale wspomnienie tej zniewagi nieustannie rozrywało mu serce. To nawet nie wyglądało jak uderzenie w twarz, raczej jak przyjacielskie poklepanie ojca przez młodego żołnierza po policzku. Odbywali szczególnie starannie przygotowaną wyprawę do Jerozolimy - matka, ojciec i on - gdy ich samochód zatrzymał izraelski patrol graniczny i żołnierz kazał pokazać ojcu dowód osobisty. Ponieważ ojciec wysiadał powoli, żołnierz wyciągnął ręką, położył ją na twarzy starego i na tym się skończyło. Ojciec skłonił się i wsiadł z powrotem do auta.

Dopiero gdy Nasser zauważył, że ojciec próbuje się uśmiechnąć, a po policzkach spływają mu łzy, dotarło do niego, że coś jest nie tak.

Matka siedziała bez ruchu z uniesionym buntowniczo podbródkiem i wydętymi wargami, nie chciała patrzeć na męża. Nasser pamiętał, że była wtedy w ciąży, a ojciec akurat w tym czasie musiał ją zawstydzić. Patrzyła w oczy synowi i nie musiała mówić głośno: nie stań się taki jak on. Wolałby umrzeć, niż taki się stać.

Do tamtej pory uważał, że są taką samą rodziną jak każda inna. Do tej chwili uważał, że są taką samą rodziną jak każda inna. Wiedział, że przed jego urodzeniem musieli się ciągle przenosić, opuścić Jordanię i trafili do obozu Deihesha pod Betlejem, bowiem Izraelczycy zarekwirowali dom, w którym ojciec się urodził i nie mieli dokąd pójść. No, ale w końcu wszystkie rodziny przechodziły coś podobnego. Po spoliczkowaniu ojca wszystko zaczęło mu działać na nerwy, wszystko bolało. Denerwował go widok biegnącego środkiem wąskiej brudnej uliczki ścieku, bo przez to człowieka prześladowały muchy i nasiąkało się paskudnym smrodem. Złościło mieszkanie w ośmioro w jednym pomieszczeniu betonowego pudełka z dachem z falistej blachy, w którym na dzień matka układała materace w stertę i wtedy mieli namiastkę salonu, a wieczorem rozkładała je, do spania. Do wściekłości doprowadzało noszenie zamiast bielizny ONZ-owskich worków na żywność, tak przyciętych, że akurat na dupie był napis NIE NA SPRZEDAŻ. Złościła świadomość, że pierwsza córka rodziców, Maryam, zmarła z powodu niedożywienia, zanim skończyła rok. Nie do wytrzymania było patrzenie na ojca, stojącego co rano na rogu niedaleko Bramy Damasceńskiej z dwudziestoma albo trzydziestoma innymi arabskimi mężczyznami, przepychającymi się dla znalezienia jak najkorzystniejszego miejsca, czekającymi na spoconego Żyda z

owłosionym karkiem, który podjedzie mercedesem i powie: „Ty, ty i ty”, i pozwoli im za czterdzieści szekli dziennie budować domy na ziemi, którą im ukradli.

- Jak to wyglądało, gdy mama tu przyjechała? - spytała Elizabeth. - Nie mogę sobie wyobrazić tej drobnej Arabki w chuście na głowie, jak jedzie z nami metrem.

- Nie przyjechała tu. - Nasser ciągle wpatrywał się w drogę. - Nigdy nie przeszła przez rzekę.

- Co to znaczy: „nigdy nie przeszła przez rzekę”? - Elizabeth przekrzywiła głowę, próbując ściągnąć na siebie spojrzenie brata. - Myślałam, że przywiozła nas tutaj po tym, jak ojciec pracował już rok w Ameryce, zarabiając na zabranie nas z obozu. Nie mieszkaliśmy wszyscy przy Starr Street?

- Przyjechała tu, ale nigdy stamtąd nie wyjechała. Rozumiesz to? - Zamrugał. - Sercem pozostała tam, w obozie.

Ujrzał scenę z otoczonego zasiekami z drutu obozu, tuż po urodzeniu Elizabeth. Pokurczona kobieta z dwojgiem małych dzieci niesie gnijące warzywa, poruszając się wolniej niż brudna woda w kanalizacji. Jej duch zwiądnął na słońcu. Coś w niej umarło. Nigdy nie umiał tego ubrać w odpowiednie słowa.

- Nieważne - stwierdził. - Jesteś za młoda, żeby to pamiętać.

- To mi wyjaśnij.

Przejeżdżali właśnie pod wiaduktami kolejowymi przy magazynach Bush Terminal - paskudnym, ciemnym terenie przemysłowym, gdzie mężczyźni robili rzeczy, które nie mieściły się w głowach ich żonom.

- Nigdy nie pogodziła się z tym, że tu jest - wyjaśnił Nasser. - Żadne miejsce nie było jej domem poza Gałęzistym Klasztorem. Rozumiesz to? Powiedziała, że któregoś dnia tam wróci albo umrze, czekając na to aż Żydzi opuszczą Palestynę. Jasne? Tak to wyglądało.

Twierdziła, że to Ameryka naraziła ją na całe zło. „Ameryka złamała nasze serca. Ameryka odebrała nam ojca. Ameryka sprawiła, że Żydzi mogli nas tak traktować. Na

okrutników nadejdzie kiedyś WIELKA KARA.”

- Czasem zabierała nas na statek pływający wokół Manhattanu - powiedział Nasser. - Circle Line. Stała przy relingu i patrzyła na wodę, zupełnie jak gdyby jej się wydawało, że jest gdzie indziej.

Nie chciałem puścić jej ręki, bo się bałem, że skoczy za burtę i nas zostawi.

- Tak to się stało? - spytała Elizabeth. - Tak umarła?

- Nie. - Nasser wcisnął plecy mocniej w fotel, jakby przygotowywał się na zdarzenie. - Zachorowała i wzięła za dużo lekarstw. To był wypadek.

- Chcesz powiedzieć, że popełniła samobójstwo? Potraktował pytanie jak obelgę.

- Nie mów takich rzeczy! To sprzeczne ze Świętą Księgą!

Przez kilka sekund się nie odzywał, nawet na nią nie spojrzał. Wsłuchiwał się w szum kół o asfalt i znów czuł, jak w oczach zbierają mu się łzy.

Nie popełniła samobójstwa. Była męczennikiem. Nie umiał inaczej myśleć o jej śmierci. Pamiętał, jak leży na łóżku ze splecionymi na piersi dłońmi.

- To nie moja matka! - wywrzeszczał wtedy na ojca. - Co zrobiłeś z moją matką?!

Został bojownikiem, aby uszanować jej pamięć. Kiedy włączył się w domu do intifady, każdy kamień, który rzucił w żołnierzy, rzucał dla niej, każdy kamień był kawałkiem jej pękniętego serca. To, co zrobił dziś, też zrobił dla niej. Na pewno by go zrozumiała.

- Co więc się stało? - spytała Elizabeth. - Mam prawo wiedzieć. Była także moją matką.

- Powiedziałem ci, że to był wypadek! Nikt nic złego na nią nie powie! Nie mówmy źle o niej. - Wziął głęboki wdech i parsknął.

- Tak, ale czasem słyszę, jak rozmawiasz z ojcem po arabsku, i mam wrażenie, że

coś przede mną ukrywacie.

- Może tak jest lepiej. - Znów zamrugał i łzy przestały mu się cisnąć do oczu, jedynie mała plamka znaczyła ten policzek, którego ona nie widziała.

- Dlaczego? Dlaczego tak mówisz?

Gowanus Expressway skręcił w Red Hook i przechodził w Brooklyn-Queens Expressway, biegnąc dalej przez Carroll Gardens i Cobble Hill. Z zachodu napływały obrzeżone szarą obwódką chmury.

- Pomilczmy przez chwilę - powiedział Nasser, ukradkiem otarł zbłąkaną łzę i uniósł podbródek. - Nie chcę teraz rozmawiać. Posiedźmy ze sobą bez słowa, jak rodzina.

9

Drzwi windy zasunęły się i David zamknął oczy. Poczuł w trzewiach wstrząs, który szarpnął nimi podczas eksplozji autobusu. Otworzył oczy i z ulgą stwierdził, że nie jest przed szkołą, lecz w windzie i wjeżdża na siedemnaste piętro zobaczyć się z Renee i Arthurem. Przez kilka sekund nie wiedział, co jest rzeczywistością, a co halucynacją - polerowane dębowe ściany czy krzycząca wniebogłosy Seniqua, skrecający się metal i wybrzuszająca się pod nim podłoga. Musiał natychmiast zobaczyć swoją rodzinę. Tylko to się liczyło. Odczuwał to pragnienie jak fizyczną potrzebę. Aby wrócić do rzeczywistości i ostatecznie się przekonać, że przeżył, chciał doznać ich bliskości, dotknąć ich, objąć.

Drzwi windy otworzyły się z cichym stuknięciem. Szybko wysiadł, kaszląc jakby jego płuca w dalszym ciągu były pełne trucizny.

- Boże, co ci się stało? - Renee czekała na korytarzu w szarym dresie, przytrzymując stopą drzwi.

- Brałem udział w pożarze. - Wszedł za nią do środka i dopiero teraz uświadomił sobie, że choć wziął w domu prysznic, prawdopodobnie ciągle był jeszcze zabrudzony sadzą i śmierdzał dymem spalonego oleju napędowego.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Nie widziałaś w telewizji? Nasz autobus wybuchnął przed szkołą.

- O cholera. - Podeszła i objęła go. - Nic ci nie jest?

- Chyba nie.

Wyciągnęła rękę, żeby objąć go za szyję, a on zamknął oczy, czekając na kolejny wstrząs towarzyszący wybuchaniu autobusu. Zamiast tego wszystko wokół znieruchomiało i na podbródku poczuł dotyk chłodnego czoła Renee. Wreszcie jego organizm zaczynał się uspokajać. Czuł skórę i włosy Renee, słyszał dolatującą z magnetofonu w kuchni piosenkę Joni Mitchell. Otworzył oczy i zobaczył padające między budynkami pasma światła oraz tańczącą nad kanapą Margot Fonteyn.

- Hej, to tata? - zawołał Arthur z pokoju obok.

Odsunęli się od siebie, zażenowani chwilą intymności.

- Lepiej idź z nim porozmawiać. - Renee dotknęła jego piersi. - Pokaż, że nic ci nie jest, zanim coś usłyszysz i zaczniesz się martwić.

- Jasne, oczywiście. - Ujął w dłoń jej palce i pocałował. - Zaraz wracam. Ciągłe spragniony cielesnego kontaktu, poszedł do sypialni syna.

- Cześć, Tygrysie. Co się dzieje?

- Odyseusz zabija wszystkich zalotników.

Arthur leżał na dywanie i układał zabawki wokół plastikowego zamku. Podłogę pokrywały komiksy, disneyowskie plastikowe postacie, klocki lego, fortece firmy Playmobile, transformersy, pistolety na kapiszony. Dla archeologa stanowiłyby gotowe do odkrycia warstwy kultury pop. David uklęknął i położył synowi dłoń na plecach.

- Dlaczego to robi?

- Chce odzyskać rodzinę. - Arthur zmarszczył w skupieniu brwi.

David dostrzegł, jak wielką ma dłoń w porównaniu z plecami syna. Mógł objąć go w pasie. Tak było dobrze, taka była rzeczywistość. Tak wygląda życie. Pochylił się jeszcze niżej i pogłaskał Arthura po włosach.

- Słuchaj stary, dziś w szkole wydarzyło się coś naprawdę poważnego. Opowiem o tym później, teraz chciałbym ci tylko powiedzieć, że nic mi się nie stało.

- To dobrze - powiedział obojętnie Arthur i przewrócił się na bok. - Opowiedz mi jeszcze raz o walkiriach.

Przez chwilę David nie wiedział co powiedzieć. Czy to miało jakieś znaczenie?

- O walkiriach z książki, którą czytaliśmy? - Zamrugął, próbując dostosować rozmowę do poziomu syna.

- No. Naprawdę, naprawdę chcę wiedzieć!

David złożył palce w piramidkę. Czuł się lekko oszołomiony. Zamierzał opowiedzieć Arthurowi o wybuchu, ale chyba nie był to dobry moment.

- Zdaje się, że mówisz o tym, w jaki sposób walkirie spoglądają z Walhalli i wybierają wojowników, którzy mają zginąć... a potem lecą w dół i dotykają ich ramienia.

- Tak! Tak! Mów dalej!

David zamknął oczy i głęboko odetchnął, pragnąc się odnaleźć w tej sytuacji. Jesteś cały - pomyślał - nie umrzesz. Jesteś ze swoim synem. Trudne chwile minęły. Ogień zgasł.

- Tak więc wojownik, który został dotknięty, wie, że tego dnia zginie. Przystępuje wobec tego do walki i stara się zabić jak najwięcej wrogów, aż padnie. Ponieważ jest to jego ostatni dzień.

- Co jeszcze?

Wdech, wydech. Nie ty dziś zginąłeś.

- I wtedy zostaje przeniesiony do Walhalli, gdzie żyje z walkiriami i wszystkimi wielkimi wojownikami, jacy chodzili po świecie, a później je i walczy, walczy i je i tak do końca czasu.

- Super! - Arthur objął ojca za szyję. - Dziękuję, tato.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jego radosne podniecenie tłumiała świadomość śmierci Sama. Pocałował syna w czubek głowy. Dlaczego ja? - zadał sobie pytanie. Dlaczego ja przeżyłem?

Popatrzył na rudą czuprynę Arthura, nastroszoną z jednej strony niczym koguci grzebień i stwierdził, że odpowiedź kryła się gdzieś tu.

Słyszał, jak Renee nastawia głośniej telewizor, dając w ten sposób sygnał, że już czas, aby sobie poszedł. Cóż, jak widać, nie miała to być długa wizyta.

- No to świetnie, stary - powiedział i wstał. - Zobaczymy się w piątek po szkole.

- Tato... - Arthur przekręcił się na bok. - Mama się przecięła. - Co?

Arthur przewrócił się z powrotem na brzuch i znów zajął żołnierzami, nieświadom lodowatej kuli, jaką umieścił w brzuchu ojca.

- Co powiedziałaś, stary?

- Nic. - Arthur zaczął naśladować dźwięk karabinu maszynowego i walić stopami o siebie, znów zagłębiając się w swoim małym światku. - Bawię się.

David bał się zapytać ponownie, więc ścisnął syna za stopę i ruszył do wyjścia. W salonie obok Renee siedział na kanapie dziwny facet. Miał na sobie stary czerwony szlafrok Davida, zawiązany na brzuchu paskiem w podwójny węzeł.

Choć wydawało się to nie do wiary, był nieco wyższy od Davida, więc rękawy

wyglądały na zbyt krótkie, a skraj szlafroka nie sięgał mu nawet do kolan. Długie jedwabiste włosy sprawiały znacznie bardziej poetyczne wrażenie niż twarz o ociężałych rysach. Z szyi zwisał mu cienki złoty łańcuszek, a rękę zdobiła wyglądająca na kosztowną turkusowa bransoleta roboty Indian Navajo.

- Davidzie, znasz Antona - powiedziała ostrożnie Renee.

A więc to był cios, który musiał otrzymać. Spotykał już kiedyś Antona, ale nigdy nie na tak codziennej stopie. „J3omowość” sceny powodowała, że czuł ukłucia w żołądku. W jego domu był inny mężczyzna, miał na sobie jego szlafrok, siedział obok jego żony, na jego kanapie. Może nieco trzeba cię przykrócić, cwaniaku?

- Co słyhać? - David podał mu rękę.

- Super, chłopie? - Anton klepnął go dłonią w dłoń jak kumpla i bransoleta zsunęła się ku nadgarstkowi.

David głośno wciągnął powietrze przez zęby i spojrzał na Renee. Co ona w nim widzi? Zrobiło na niej wrażenie to, że jest muzykiem, czy też był to dowód na niepokojące pogorszenie się jej zdolności do prawidłowych osądów? Zwykle miała lepszy gust.

O szóstej zaczęły się wiadomości. David przyglądał się Renee, szukając blizny, o której wspomniał Arthur. Nie miała jednak żadnego bandaża.

Na ekranie młody prezenter, który wyglądał jak wykuty z marmuru, rozpoczął relację z wybuchu. W tym momencie wszystko wróciło, koszmar zaczął się ponownie, tyle że z niewielkim napisem na ekranie: NEW YORK 1 NEWS EXCLUSIVE. Nie była to już tylko wizja w jego głowie.

Patrzył na pierwszy - mniejszy - błysk, który wystrzelił spod przednich kół. Obrazy na ekranie drgały. Jedno koło oderwało się, autobus opadł do przodu, spod maski buchnęły płomienie. Dzieciaki zaczęły rozbiegać się z krzykiem. Teraz kamera pokazała Davida okrążającego autobus od tyłu, otwierającego drzwi, wspinającego się po kłęczącym Ray-Za. Patrzył jak wchodzi do środka i znika w dymie. Kamera nie zapisała dręczącego go strachu, pokazywała jedynie jego migającą zza zasłony dymu postać, zbliżającą się do tkwiącej w oknie, krzyczącej żałośnie Seniqui.

Kamera przekazywała zdarzenia znacznie szybciej i bardziej obcesowo niż miało to miejsce w rzeczywistości. Oglądanie samego siebie przekraczało granice surrealizmu, David miał wrażenie, że zwariował. Jakby nie był już zainteresowany pozostawaniem we własnym ciele. Obraz na ekranie przesunął się, pokazując tył autobusu. Kamerzysta zdążył tam akurat na czas, żeby nakręcić scenę, jak koleżanki Seniqui odnoszą ją na bok, a David wyskakuje.

- O mój Boże... - jęknęła Renee. - To naprawdę ty?

David zadawał sobie to samo pytanie. Czuł, jak dziwnie przyglądają się mu Renee i Anton - jak gdyby nie mogli powiązać postaci z ekranu z człowiekiem znajdującym się w salonie. Obraz na ekranie znów się zmienił i David ujrzał siebie robiącego sztuczne oddychanie. Uwiecznione kamerą wydarzenia wyglądały znacznie bardziej przerażająco, ponieważ to, co się działo, było proste i pospolite. Kamerzysta filmował znad ramienia Davida i zbliżająca się śmierć niemal dyszała w obiektyw. Nie dodano komentarza ani muzyki, mimo to prostota sceny chwytiała za serce. Na koniec David głęboko się pochylił i przekazał dziewczynie oddech, który przywrócił jej życie.

Kiedy patrzył na siebie z tej perspektywy, najpierw znów ogarnęło go przerażenie, a potem poczuł dziwną obojętność.

- Boże! - Renee przysunęła się i dotknęła jego ramienia. - Nic ci się nie stało?

- Nie, skądże. Wszystko jest w porządku.

- Boże! - Rysy miała ściągnięte jakby dopiero teraz dotarła do niej okropność tego, co pokazano na ekranie. - Co się stało?

- Nie wiem. Autobus wybuchnął. Wiem tyle, co i ty.

Spróbował opowiedzieć o sile płomieni i detektywie, z którym rozmawiał po tym zdarzeniu, ale wpatrywała się w jego czoło sennym, nieobecny spojrzeniem.

- Och, Davidzie, zawsze wiedziałam, że kiedyś coś takiego zrobisz.

- Naprawdę?

Chwyciła go za rękę i uściśniła ją. Prąd, który między nimi przepłynął, pozbawił go poczucia czasu i rozsądku i przez sekundę czuł nieodpartą chęć bycia z nią chociaż pięć minut sam na sam, aby mogli przemówić sobie nawzajem do rozsądku. Zaraz jednak wypłynął obraz Antona, który spoglądał zza ramienia Renee z mieszaniną konsternacji i niedowierzania.

- A więc sprawdziłeś się. Jesteś człowiekiem dnia - powiedział.

- Bo ja wiem? - David kaszlnął. - Uratowałeś dzieciaki.

- W zasadzie tylko jedną dziewczynę. Ktoś jednak zginął. Kierowca. Renee puściła jego rękę i odwróciła się.

- Cholera jasna, to wszystko jest takie dziwne. Tak jakby rzeczywistość miała różne poziomy. Siedzę, oglądam telewizję i zastanawiam się: to naprawdę on, czy tylko jakiś film? - Roześmiała się gwałtownie i David też się uśmiechnął, żeby ją rozweselić.

- Wiesz, to było...

- Siedzę w domu - przerwała mu - i próbuję, próbuję, próbuję nauczyć się tego tekstu... - wskazała na leżący na stoliku egzemplarz Szklanej menażerii - a potem włączam telewizor i ty w nim jesteś. Jakbyś występował w filmie.

Drżącymi dłońmi zapalała papierosa. David zastanawiał się, czy oglądanie ojca jej dziecka w niebezpieczeństwie tak wytrąciło ją z równowagi. Czyżby ciągle jej na nim zależało?

- Podczas tego zdarzenia, nie czułem się jak na filmie, Renee. To była rzeczywistość. Zginął kierowca.

Te słowa nieco ją ochłodziły.

- Ale tobie nic nie jest?

- Nie.

Jeszcze raz go objęła, potem się cofnęła. Patrzyła na niego oczami błyszczącymi jak dawniej. Znowu czuł niezwykłą bliskość, jaka ich łączyła przez tyle lat. Dawne odczucie, że są razem i stawiają czoło całemu światu. Wróciła wzajemna wiara w siebie i umiejętność dopingowania się. Na tej kanapie kochali się pewnego ranka, po tym, jak oboje ni stąd ni zowąd zadzwonili do szkoły, że są chorzy. Pamiętał jak zielony szlafrok zsunął się z jej nagiego białego ramienia, podczas gdy on górował nad nią, delikatnie ją zakrywając. Może jeszcze nie było za późno, żeby spróbować poukładać wszystko od nowa. Potrzebowali się - mężczyzna potrzebuje swej kobiety, dziecko potrzebuje ojca i matki. Nagle znowu sobie przypomniał to, co przed kilkoma minutami powiedział Arthur: „Mama się przecięła”.

- A u ciebie wszystko w porządku? - Jeszcze raz ją obejrzał, sprawdzając uważnie przeguby i pęciny, czy nie ma tam śladów.

- Pewnie. - Uśmiechnęła się kącikami ust. - Ale przecież to ty o mało dziś nie zginąłeś, dlaczego więc pytasz, czy u mnie wszystko w porządku? Źle wyglądam?

- Skądże, wyglądasz świetnie.

Nie zauważył żadnych widocznych ran ciętych. To dobrze. Dzieciaki ciągle fantazjują.

Anton położył Renee dłoń na ramieniu, jak gdyby chciał zademonstrować swoje prawo do niej.

- Nie powinniśmy się szykować na kolację? - zapytał.

Renee gwałtownie zeszywniała, niczym wyginający grzbiet kot.

- Rozmawiam z Davidem.

- Widzę - Anton wyraźnie nadąsany obrócił bransoletę - ale powoli zbliża się czas.

- Wiem, która jest godzina, ale rozmawiam z Davidem!

A więc nie panowała między nimi niczym niezmacona idylla. Świetnie. Może pomysł wyjazdu na zachodnie wybrzeże sam się zlikwiduje, a on nie będzie musiał

walczyć o zatrzymanie jej i Arthura w mieście.

- Chyba powinienem już iść - powiedział i wstał.

- Prosiłam cię, żebyś poszedł? Powiedziałam coś takiego?

- Nie, ale jest już późno.

Znał nastrój, który właśnie się u niej zaczynał i dobrze wiedział, że lepiej wtedy nie wchodzić jej w drogę. Na stojącym obok otwartej książki talerzu zielone jabłko powoli nabierało brązowego odcienia. Uznał, że najlepiej pozostawić sprawy ich naturalnemu biegowi. Jeśli uda im się to pogodzić, pogodzą się. Nie było sensu walczyć o to akurat dziś.

- No to do piątku - powiedział i ruszył do wyjścia. - Przyjdę po szkole po Arthura.

Postanowił nie przypominać jej o tym, że w przyszłym tygodniu mają umówione spotkania z psychiatrą i sędzią w sprawie rozwodu. Stawiał kroki ostrożnie, delikatnie, nie chciał zdetonować kolejnych bomb w głębi duszy. Bolała go klatka piersiowa, a ręce i nogi miał jak z cementu. Ten dzień zbyt wiele go kosztował.

- Boże, Davidzie! - Renee przebiegła przez pokój i pocałowała go. - Jestem z ciebie taka dumna...

Kiedy dotykała jego policzka ustami, poczuł elektryzującą ich iskrę.

- Naprawdę?

- Oczywiście - westchnęła. - Sama chciałabym zrobić coś takiego, żeby ktoś był ze mnie dumny.

10

W domu przy Avenue Z zebrana w salonie rodzina Hamdych wpatrywała się w ekran czterdziestocalowego telewizora. Właśnie minęła ósma i nadawano wiadomości. Obraz przedstawiający palący się szkolny autobus na tle zniszczonych czerwono-biało-niebieskich proporców powtarzano już tyle razy, że stał się symbolem, oznaką

słabości. W całym kraju rodzice wbijali weń wzrok, myśląc jak bardzo palący się autobus przypomina ten, do którego wsiadają ich własne dzieci.

- Boże słodki... - jęknęła Annę - macocha Elizabeth, obejmując pasierbicę od tyłu.
- Dzięki Bogu zostałeś w domu z bólem głowy. Oszalałabym ze zmartwienia.

- Allahu akbar. Bóg jest dobry, Bóg jest najwspanialszy. - Ojciec stał, obejmując się ramionami i pomrukując pod nosem. Krótko przystrzyżone wąsiki unosiły się i opadały szybciej od warg.

Obie młodsze dziewczynki - Leslie i Nadia - czesały się nawzajem i chichotały, jakby ich zdaniem obrazy były głupie i nudne.

Elizabeth siedziała, trzymając na kolanach hełm, który kupił jej Nasser. Kiedy się odwróciła, właśnie wyszedł z pokoju.

To był dżihad, święta wojna, a wojna przynosi ofiary. Mimo to dręczyła go śmierć Sama, znał go bowiem jeszcze ze szkolnych czasów. Próbował przekonać samego siebie, że to nieistotne, że to niewierni, że gdyby udało mu się dostać do środka i podłożyć hadduta, tak jak zamierzali - w bojlerowni - byłoby znacznie więcej ofiar. Ale wtedy wszystko miałoby uzasadnienie. Amerykanie popierali rząd, ich rząd pomagał Izraelowi, a Izraelczycy byli okupantami, którzy kradli cudzą ziemię i złamali serce jego matce. Rozumieli jedynie język przemocy.

Martwiło go także, że zaczynają się mnożyć ofiary niemające nic wspólnego z Palestyną. Trójka w punkcie realizacji czeków, teraz kierowca.

Wsiadł do samochodu i jak w każdy wtorek wieczorem pojechał odebrać czek z wypłatą, potem udał się na Manhattan. Dla uspokojenia próbował wyobrazić sobie, jak objeżdża go dookoła. W radiu podawano dalsze szczegóły: „Oficjalne źródła podają, że dziś przed Coney Island High School wybuchła najprawdopodobniej bomba...” Głos spikera denerwował go, przełączył więc na stację nadającą stare przeboje - była to jego głęboko skrywana słabostka - i nieświadomie zaczął nucić kiepską piosenkę o bolącym, złamanym sercu.

Choć wycieńczony, wiedział, że nie zaśnie. Zbyt był pobudzony. Aby się uspokoi-

ić, musiałyby porozmawiać z kimś starszym i bardziej wrażliwym. Słyszał, że w mieście mieszka jego dawny kumpel z celi, profesor Bin-Khaled, który wykładał teraz na uniwersytecie, lecz na razie nie był gotów się z nim spotkać. Nagromadziło się zbyt wiele spraw, które musiał z nim omówić.

Zatrzymał się przy meczecie Medina przy Jedenastej Wschodniej ulicy i modlił się przez dziesięć minut, powtarzając cztery razy wszystkie pozycje raka - stojącą, pokłon, kładzenie dłoni za uszami i klęczenie z dotykiem podłogi czołem - po czym pojechał do Jusufa do hotelu przy Dwudziestej Trzeciej Zachodniej ulicy. Wiedział, że rozmowa będzie niełatwa, ale musiał przez to przejść.

Wielki Niedźwiedź siedział w salonie swego dwupokojowego mieszkania, świeżo wykapany, ubrany w błękitny szlafrok, trzymając w dłoni kubek z proteinowym koktajlem. Na podłodze stał sprzęt kulturystyczny. Czwórka dzieci Jusufa, których Nasser nigdy nie widział, bawiła się w pokoju obok, a ich matka stale prosiła, żeby zachowywały się cicho, bo rozzłoszcą ojca. Stojący w rogu telewizor ukazywał obraz miasta, nad którym unosiła się kula ognia i dymu. Po dłuższej chwili Nasser zorientował się, że nie patrzy na kolejny reportaż dotyczący wydarzeń sprzed szkoły, ale na piracką kopię Dnia niepodległości. Jusuf wspominał mu kiedyś, że dorabia na boku robieniem pirackich kopii filmów, a zarobione pieniądze odkłada na cele dżihadu.

- Witam - powiedział, odsuwając czasopisma kulturystyczne, żeby Nasser mógł usiąść na kanapie. - Porozmawiajmy.

Nasser przez dłuższy czas nie mógł się odezwać. Strach paraliżował mu język. Był opuchnięty i zmęczony przetwarzaniem tak wielkich ilości adrenaliny. Ciągle bolało go wewnątrz dłoni - tak mocno ścisnął torbę z bombą.

- Powiedz jeszcze raz, dlaczego podłożyłeś hadduta pod autobus? - Jusuf ściszył telewizor pilotem. - Teraz mogę cię wysłuchać!

Nasser czuł na sobie wściekły wzrok Wielkiego Niedźwiedzia. Na ekranie olbrzymi statek Obcych unosił się nad Białym Domem, a prezydent próbował uciekać z córką samolotem. Bez głosu obrazy te wydawały się znacznie bardziej i brutalne.

- Mówiłem ci, szejku, że musiałem to zrobić, bo wszyscy się przyglądali - szybko odpowiedział Nasser. Popatrzył na Jusufa i odwrócił wzrok. - Było więcej ochronia-

rzy, niż myślałem. Realizacja planu w pierwotnej wersji okazałaby się błędem.

Statek Obcych wypuścił zielony promień i rozbił w pył wieżowiec.

- Jesteś głupcem? Tak?

- Nie, szejku...

- Jeśli nie, to dlaczego tak zrobiłeś?! Ha? Według założeń dla lepszego efektu miałeś włożyć paczkę do bojlera. Zamiast tego kładziesz ją pod autobus, gdzie nie może powstać ciśnienie! Nie rozumiesz tego?! - Jusuf potarł dłonią czoło. - Zdziałała jak mokra petarda. Oglądałem wiadomości i nie poświęcono tej sprawie więcej jak pięć minut!

- Ja widziałem „Headline News” - potulnie powiedział Nasser, niepewny, czego oczekiwał Jusuf.

- Tak, ale powinni o tym mówić przez cały czas, dwadzieścia cztery godziny. Powinni być absolutnie spanikowani i nie mówić o niczym innym. - Jusuf zdeglustowany westchnął. - Nie jestem nawet pewien, czy powinniśmy się do tego przyznawać. Chcesz, żeby potraktowali nas jak błaznów i ignorantów? Tego chcesz?

- Nie, szejku. - Na pliku magazynów na stoliku do kawy Nasser zobaczył długi nóż z czarną rączką. Przycisnął plecy do poduszki kanapy. - Przykro mi. Zrobiłem, co mogłem.

Jusuf patrzył na niego bez słowa. Wyglądało na to, że kipi ze złości. Nasser znów popatrzył na nóż.

Przez głowę niczym sznur przebiegła mu myśl, pozbawiająca go poczucia bezpieczeństwa i przyjaźni. Widział niedawno jak Wielki Niedźwiedź zabija matkę na oczach dziecka...

Czy to możliwe, że zaraz go zasztyletuje - choć w pokoju obok bawiły się jego dzieci? Nasser wątpił w to, lecz na wszelki wypadek przygotował się do ucieczki.

Zamiast po nóż, Jusuf sięgnął po proteinowy koktajl.

- Cóż, trudno - mruknął i upił łyk. - Nie o to mi jednak chodziło. Następnym razem zrobimy to lepiej.

Na ekranie telewizora fruwały samochody, kobiety krzyczały, a Biały Dom rozpryskiwał się na kawałki.

- Czy ktoś widział, jak kładłeś torbę pod autobus? - spytał Jusuf, odstawił koktajl i pogładził się grzbietem dłoni po brodzie i wąsach.

- Nie sędzę.

„Następnym razem zrobimy to lepiej.” Nie, nie chciał nawet myśleć, że mógłby jeszcze raz przejść coś podobnego. Dzisiejszy dzień zbyt wiele go kosztował.

- Szejku... - Nasser podniósł głowę i złożył dłonie w błagalnym geście. - Chyba wolę się wycofać.

- Co?

- Boję się zrobić coś podobnego jeszcze raz. Nie jestem pewien, czy to dobre. To, co robimy.

Statek Obcych niszczył środkowy Manhattan.

- Nie możesz ot tak odejść. To niemożliwe.

- Dlaczego?

Nasser oparł się. Brzeg klingi błysnął.

- Z powodu bomby jedna osoba zginęła... A ty jesteś główną wygraną, przyjacielu. - Ostatnie zdanie powiedział po angielsku, żeby lepiej zabrzmiało.

- To powiedzenie brzmi chyba inaczej - nieśmiało zaproponował Nasser.

- Chyba nie - odparował Jusuf, przechodząc znów na arabski. - Tak czy siak, zbyt

wiele od ciebie zależy. - Wziął leżące obok czasopism mango i zaczął je obierać. - Niecałe dwie godziny temu rozmawiałem z bratem z Egiptu, o którym ci opowiadałem. Tym, który nauczył mnie w Afganistanie wszystkiego, co wiem o broni i materiałach wybuchowych. Pamiętasz akcję, podczas której zatrzymano w Kairze autobus z turystami i zastrzelono trzydziestu Niemców?

- Oczywiście - powiedział Nasser z ulgą, że nie został zasztyletowany, świadom jednak, że jeszcze się nie wymknął.

- To była jego operacja. Zanim uciekł na motocyklu, osobiście zastrzelił pięciu pasażerów i dwóch policjantów. A pamiętasz lot pięćset dwa, kiedy samolot wybuchł na pasie startowym w Paryżu i zabił siedemdziesiąt pięć osób?

- Oczywiście. - Nasser pamiętał reportaże w wiadomościach, pokazujące gnające po pasie startowym karetki i wozy straży pożarnej.

- Też brał w tym udział. W przyszłym tygodniu przyjedzie tutaj. To dobry człowiek. Opowiedziałem mu o tobie. O tym, jaki byłem z ciebie dumny. Będzie bardzo niezadowolony, że chcesz się wycofać.

Po tych słowach Nasser poczuł wielki ucisk w piersiach. Jeden z ludzi, którzy zaatakowali samolot lotu numer pięćset dwa... Czuł równocześnie przerażenie i podniecenie, że spotka tak wielkiego człowieka.

- Ale przecież okazałem się dziś nieskuteczny... - powiedział z wahaniem. - Wiem, że popełniłem poważny błąd...

- Tak, to był wielki błąd! - Jusuf wsunął ostrze noża pod skórę mango i trysnęło kilka kropel soku. - Dlatego musisz go naprawić. Sprawdzić się. Już omówiłem z moim przyjacielem, co trzeba z tobą zrobić.

- Co masz na myśli? - Nasser nerwowo spoglądał na dzwonek.

- Tja, kiedy mu opowiedziałem, co się stało, z początku bardzo się zdenerwował. Z powodu twojego błędu. Zabijał za mniejsze uchybienia, ale wyjaśniłem mu twoją sytuację, jaki jesteś młody i chętny do działania, myślę więc, że ci wybaczył. Musisz wiedzieć, że umie współczuć. Sam też popełniał błędy. Kiedyś wybuchło laborato-

rium, za które był odpowiedzialny. Przez długi czas niektórzy z tak zwanych naszych przywódców, pozbawili go łask, nie chcieli więcej z nim pracować. Teraz jednak przyjeżdża tutaj, aby w wielkim stylu powrócić na scenę!

- Co dokładnie powiedział? O mnie?

Jusuf ściszył głos, ponownie ufał Nasserowi jak własnemu synowi.

- Powiedział, że chyba jeszcze możesz się okazać przydatny i udowodnić, że jesteś dobrym żołnierzem. Jeśli pokonasz własną słabość. Muszę cię jednak uprzedzić...

- Jusuf odciął plasterek mango - masz wiele do nadrobienia...

- Wiem, szejku. Dlatego pomyślałem, że może powinieneś znaleźć kogoś innego.

- Nasser wpatrywał się w ostrze, wystające z mięszu jak ostra kość.

Wielki Niedźwiedź poczęstował Nassera.

- Nie, jest już za późno na zmianę - powiedział. Na ekranie mignął obraz Statuy Wolności, przewróconej i blokującej wejście do portu nowojorskiego. - Kiedy mój przyjaciel przyjedzie w przyszłym tygodniu, wtedy zrozumiesz. Wszystko będzie dobrze. Porozmawia z tobą spokojnie. To wspaniały człowiek. Napełni twoje serce siłą.

11

Następnego dnia szkoła znajdowała się w stanie zbiorowego szoku. Brakowało jednej czwartej uczniów, w bibliotece czekali na dzieciaki psychologowie wyspecjalizowani w terapii pourazowej, ale David był zdecydowany wrócić do rzeczywistości.

Poranek był jednym wielkim szaleństwem. Przez całą noc okupowali jego telefon producenci rywalizujących ze sobą programów talk-show, namawiając go, prosząc i błagając, żeby zgodził się u nich wystąpić. Jeden nawet powiedział wprost: „Stracę pracę, jeśli nie będę pana miał przed siódmą piętnaście!” Po tym, jak zgodził się wystąpić we wszystkich trzech programach w takiej kolejności, w jakiej zadzwonili ich przedstawiciele, zaczęła się wojna podjazdowa. Najpierw pracownicy każdej stacji podwoływali zamówione przez konkurentów limuzyny, które miały zawieźć Davida do studia, potem wszyscy starali się go namówić, żeby do rozpoczęcia programu przeniósł się do hotelu znajdującego się w pobliżu ich studia. Za piętnaście szósta przed

jego domem pojawiła się drobna młoda kobieta w ciasnej czarnej skórzanej spódnicy, przedstawicielka trzeciorzędowego „Morning Program” Stephanie Kwan - z wielkim śniadaniem i cappucino. Wepchnęła go do długiej limuzyny, pogłaskała po ramieniu i kazała kierowcy jechać West Side Highway, po czym triumfalnie telefonowała ukradkiem w liczne miejsca, przerywając rozmowy komplementowaniem Davida.

- Dzięki Bogu będziemy dziś mieć kogoś prawdziwego! - powiedziała. - Nie ma już bohaterów, są tylko znani ludzie.

Po dotarciu do celu popychała go przed sobą, jakby bała się, że ktoś jej go ukradnie. Zaprowadziła Davida do błyszczącego budynku przy Dziewiątej Alei i pozostawiła pod opieką energicznej i sprawnej, pochodzącej najwyraźniej z Południa kosmetyczki o imieniu Tammy, która poinformowała Davida, że ma „dobry wygląd do telewizji”, ale powinien jak najszybciej „pozbyć się szkieł”. Następnie posadzono go w zielonym gabinecie razem z angielskim aktorem, który kiedyś dostał Oscara, sławnym dietetykiem, przechodzącym właśnie napad paniki i solistką zespołu rockowego o szalonych oczach, która bez przerwy chodziła i raz za razem pytała asystentów: „Masz Tuinal?”

Kilka minut później Davida zaprowadzono do studia, przypięto mu do kłapy mikrofon i posadzono obok prowadzącego program blond geniusza Briana Jakiegoś-tam - najinteligentniejszego zawodowego tenisisty świata - który podziękował mu za przybycie, a po zapaleniu się nad kamerą czerwonego światełka, zaczął traktować Davida z wylewną serdecznością. Na zawieszonym nad ich głowami monitorze kolejny raz pokazywano ratowanie Seniqui i kiedy David usłyszał własne słowa o stoicyzmie i odpowiedzialności, ponownie odczuł dziwne wrażenie przebywania poza ciałem. Tyle tylko, że to nie on mówił do mikrofonów. Przemawiało jego nieprawdziwe ja, to, które ujawniło się wczoraj przed kamerami i mikrofonami.

Boże, ale bzdety! Jak oni mogą słuchać tego, co gadam? Jak to możliwe, że mnie nie przejrzel? Spojrzał w bok i spostrzegł uśmiechającą się do niego Stephanie Kwan oraz techników dźwięku, którzy słuchali go w zadumie. Po piętnastu latach nauczania w publicznej szkole było coś satysfakcjonującego w tym, że tak go słuchano. Ciekawe, czy Renee i Arthur oglądają program i postrzegają go inaczej.

Do południa jeszcze dwa razy brał udział w kolejnych programach. Podczas nagrywania ledwie był w stanie śledzić, do kogo mówi. Wszystko mieszało się dziwny,

przyprawiający o zawrót głowy, zatruwający umysł sposób. LUDZIE GO SŁUCHALI. Jedyne, co wydawało się zmieniać, to stan solistki rockowej, która jeździła razem z nim od studia do studia i coraz gorzej się czuła. Przed południem wyprowadzono ją z ostatniego nagrania tylko w jednym buciku, bez przerwy mrużąc „piwo i kwas, piwo i kwas”, jakby to był rewolucyjny slogan polityczny.

Ale teraz było już po wszystkim.

Na początku czwartej lekcji do klasy weszła Seniqua Rollins, mruknęła Davidowi „dziękuję” i usiadła w ławce, wymieniając z innymi uczniami kilka klepnięć dłonią.

Reszta klasy szumiała. Z lewej strony hiphopowe dziewczyny ćwiczyły piosenkę, z której nikt nie mógł wywnioskować, czy jest to kawałek mający zagrzewać drużynę sportową czy też pieśń wojenna. Ray-Za i Krnąbrny Q w trzecim rzędzie zderzali się raz za razem krzesłami, a Kevin Hardison stał w głębi przy kaloryferach i drąc się z całych sił, wykrzykiwał rapową wersję wczorajszych wydarzeń.

- Dobra, spokój balangowicze. - David uniósł ręce. - Niech każdy weźmie na wstrzymanie. Ponieważ nie pojechaliśmy do muzeum, chciałbym zacząć omawianie Odysei.

- Spierdalajmy stąd... - mruknął ktoś.

- Tak, spierdalajmy stąd! - wykrzyknęła jedna z hiphopowych dziewczyn.

Wielki eksperyment hormonalny trwał. Mógł przewidzieć, że dzieciaki będą pobudzone jak szerszenie. Niejedno z nich mieszkało w okolicy, gdzie co tydzień wybuchły strzelaniny i kogoś mordowano, a rynsztoki wypełniały zużyte kondomy i strzykawki po narkotykach, ale mimo wszystko to wybuchł ich autobus, w dodatku tuż przed tym, nim do niego wsiedli. Na ich oczach zginął kierowca i o mało co nie usmażyła się koleżanka. Wszyscy odbyli rozmowy z policją i psychologami, przeszukano starannie ich torby i każdy zdawał sobie sprawę z tego, że za incydent może być odpowiedzialny ktoś ze szkoły.

Homer istniał od trzech tysięcy lat i nic mu nie będzie, jeśli poczeka jeszcze kilka dni - dzieciaki potrzebowały rozmowy. Poza tym, z powodu występów w telewizji, David nie zdążył się przygotować do żadnej z pięciu dzisiejszych lekcji.

- No dobrze, zostawmy na boku to, co powiedziałem - pogadajmy ogólnie. - Usiadł na skraju biurka, bardziej w stylu Coola Daddio niż tradycyjnego pedagoga. - Stało się wczoraj coś naprawdę poważnego i chciałbym usłyszeć, co macie w związku z tym do powiedzenia.

Podszedł do tablicy i napisał: NAJBARDZIEJ PRZERAŻAJĄCY JEST LĘK PRZED SAMYM SOBĄ - CS. LEWIS.

Spojrzał na klasę. Zauważył, że Seniqua ma na sobie taką samą marynarkę jak wczoraj. Nie do wiary... Dzieciaki przestały stukać ją w tył głowy i otoczyły ciasnym pierścieniem, pomrukując z nabożnym respektem i dotykając marynarki, jakby to była pamiątka z wojny.

No dobrze... to też sposób na rozwiązanie problemu. Bezpośredni kontakt ze strachem. Zachowywanie się jak piesek, któremu można rozkazywać.

Prawdziwa marynarka znajdowała się prawdopodobnie w posiadaniu policji, która badała ślady chemikaliów. Szkołę odwiedzali spece od bomb. David widział policjantów z brygady pirotechnicznej, kręcących się wokół szkoły wśród ekip remontowych. Znów jego tkanki przypomniały sobie pierwszy wybuch i poczuł nieprzyjemne drżenie w brzuchu.

Kto to, do diabła, zrobił? Kiedy o tym rozmyślał, robił się wściekły. Ktoś próbował ich pozabijać. Nie tylko jego - także jego dzieciaki.

A jeśli zrobiło to któreś z dzieciaków? Przyłapał się na tym, że nieświadomie przygląda się twarzom swoich uczniów, rozważając kolejno podejrzanych. Jurij Ehrlich? Z pewnością jego wiedza techniczna wystarczyłaby na skonstruowanie bomby, na dodatek David przypominał sobie, jak dziwną minę miał po eksplozji. Co z zazdrośnym Królem Gównem - siedzącym w więzieniu szefem gangu? Może dotarło do niego, że Seniqua kręci coś na boku i wysłał kogoś, kto by się z nią policzył...

Rozpatrywanie możliwości, że w incydent jest wpłątane któreś z dzieciaków, okazało się zbyt niepokojące i nie do przyjęcia, uznał więc, że najprawdopodobniej zrobił to ktoś niemający nic wspólnego ze szkołą. Ktoś zły na gubernatora, kto chciał dokonać oświadczenia natury politycznej.

- Mimo wszystko - zwrócił się do klasy - musicie mieć jakąś opinię o tym, co się stało. Kto chce zacząć?

W górę wystrzeliła ręka Richego Wonga - wygadane go chińsko-kubańskiego dzieciaka, który bez przerwy grał na korytarzu w karty. - Tak?

- Mama mówiła, że widziała pana wieczorem w telewizji. W jakim programie pan występował?

David roześmiał się, zaskoczony pytaniem.

- Chyba w zwykłych wiadomościach. Jeśli nie zauważyliście, muszę was poinformować, że było tu mnóstwo dziennikarzy.

Po klasie krążył pomruk. Najwyraźniej część dzieciaków oglądała w telewizji jego gadkę i Dawid zastanawiał się, czy go przejrzeni. „Bądź realistą - przecież zawsze wszystko sobie przekazują. Bądź realistą.”

Podniósł rękę Kevin Hardison. David zauważył, że ma nową fryzurę - modnie przystrzygł włosy po bokach i przyglądał z wierzchu - jak gdyby spodziewał się trafić do telewizji.

- Chciałbym się dowiedzieć, jaka jest ta Sara Kidreaux.

- Czy znajdowała się w grupie robiącej ze mną wywiad?

- Taka bystrzaczka - potwierdził Kevin. - Lalunia.

- Nie wiem. - David wzruszył ramionami. - Wyglądała na serdeczną. Tak sędzę. Chwileczkę, nie chcę żebyśmy schodzili na boczny tor i rozmawiali o mediach. Musimy przedyskutować ważniejsze rzeczy. Jak odebraliście to, co się stało? Byliście przestraszeni? Zszokowani? Sparaliżowani? - Usiłował dalej prowadzić lekcję.

Seniqua Rollins podniosła rękę tak gwałtownie, że niemal wystrzeliła do góry całym ciałem.

- Chciałam się dowiedzieć, dlaczego pana wzięli do tych porannych programów, a nie prawdziwe ofiary. Co jest grane? Nie chcą pokazywać u siebie czarnuchów?

- Hm. Nie wiem, czy chodziło tu o uprzedzenia rasowe, Seniqua.

- Dawn.

- Co?

- Proszę mnie nazywać Seniqua Seniqua Dawn. Ujrzałam wczoraj Boga i kazał mi zmienić nazwisko.

David przyjrzał się jej uważnie. Czyż przed chwilą nie podziękowała mu po cichu za uratowanie życia? Z drugiej strony, czego należało się spodziewać po występującej na forum rówieśników siedemnastolatce? Normalne zjawisko - każdy uczeń musiał mieć w szkole przynajmniej dwie osobowości. Ciekawe, czy odwiedziła lekarza i czy zbadano stan dziecka.

- W każdym razie, Seniqua... znaczy się Seniqua Dawn... nie sądzę, aby dlatego mnie wzięli, że jestem biały, a ty czarna.

- Jasne, na pewno! - odezwał się z tyłu czyjś sarkastyczny głos.

David nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, postanowił jednak dalej prowadzić lekcję.

- Dajcie spokój. To nonsens. Rozmawialiśmy o krytycznym podejściu do tego, co przedstawiają media, a teraz dajecie się hipnotyzować.

Oczywiście, sam też nie wykazał się w tym względzie szczególnym krytycyzmem, dał się wciągnąć w fałszywy melodramat wczorajszego wywiadu.

Zauważył, jak intensywnie przygląda mu się siedząca w trzecim rzędzie Elizabeth Hamdy, która w białej chuście na głowie wyglądała pospolicie, a zarazem eterycznie. Anioł z Coney Island. Wydawało się, że patrzy przez niego, jakby był powietrzem. A może to jej duch dokądś odleciał? Wpatrywała się w odległy punkt, znajdujący się daleko za ścianami klasy. Ponieważ nie była naocznym świadkiem, prawdopodobnie

próbowała sobie wyobrazić skalę wybuchu.

Rękę podniosła Tisha Cornwall. Każdy paznokieć miała pomalowany na inny kolor. Jej włosy stanowiły historyczny przekrój fryzur: część włosów miała ułożonych lokówką, część skręconych w dredy, z boku wisiało coś na kształt kucyka, część głowy była wygolona, reszta włosów ufarbowana.

- Będzie pan w programie Howarda Sterna? Davidowi opadły ręce.

- Hej ty, daj spokój - krzyknął Ray-Za. - Nie przesadzaj.

- Właśnie - burknął sfrustrowany David. - Wydaje się, że tracimy poczucie tego, co się liczy, a co nie. To nie zabawka dla mediów, lecz realne życie. Wszyscy przeszliśmy przez coś strasznego, zginął nasz przyjaciel, a koleżanka o mało sienie spaliła. To nie program rozrywkowy w telewizji, tylko prawda. Zapomnieliśmy, czym te rzeczy się różnią?

- Tak jest! - wykrzyknęła z entuzjazmem Seniqua Dawn Rollins.

12

Nie kupuję tego - powiedziała Judy Mandel. Siedziała przy swoim biurku w redakcji „New York Tribune”, stuknęła kluczami, żuła gumę i oglądała w wiszącym pod sufitem telewizorze poranną konferencję prasową prezydenta.

- Czego nie kupujesz? - spytał jej przyjaciel, felietonista Bill Ryan, siedzący po drugiej stronie przepierzenia.

Prezydent właśnie mówił, że minęła era wielkich rządów i nadszedł czas, aby każdy przejął odpowiedzialność za własne życie. Jako przykład podał rodziców z Kalifornii, którzy zorganizowali własną szkołę, opowiedział o kobiecie z Alabamy, która po dwudziestu latach przestała korzystać z opieki społecznej i o Davidzie Fitzgeraldzie, który uratował na Coney Island dzieci z płonącego autobusu.

A więc tak wyglądał błysk z nieba, reanimujący historię. Bez prezydenta David Fitzgerald byłby za tydzień błahostką i powtórką z „Kiedy nieszczęście uderza, część II”, teraz zaś sprawa nagle nabrała wagi.

- Nie wspomniał przypadkiem, że ci rodzice z Kalifornii mają średni roczny dochód siedemdziesiąt tysięcy? - spytał Bill.

- Jest coś dziwnego w tej sprawie z nauczycielem - odparła Judy. Wypluła gumę do żucia i zaczęła gryźć długopis. - Nie umiem tylko określić, co.

Konferencja prasowa skończyła się i ruszyły poranne talk-show.

- Powątpiewanie w autorytety zawsze się opłacało. - Bill wkręcił w starego remingtona dwie kartki papieru - na pierwszej pisał, spodnia służyła do ochrony wałka. - Lord Acton powiedział, że wielcy ludzie prawie zawsze są źli.

- Dlaczego on powstrzymywał dzieciaki przed wejściem do autobusu? Dlaczego mówił o bombie, choć policja jeszcze tego oficjalnie nie stwierdziła?

Bill wyjął z szuflady pustą fajkę i wetknął ją sobie w kąt ust.

- Chcesz poprosić Nazistę, żeby dał ci tę sprawę?

Popatrzyła w kierunku zamkniętego boksu, w którym redaktor naczelny, szorstki siwowłosy Australijczyk Robert Cranbury-Nazista, chodził energicznie w tę i z powrotem, besztając swoich trzech zastępców, noszących w redakcji przydomki Pierwszy Diabeł, Zazdrosny Pierdoła i Śmierć Nadziei.

- Nie - odparła Judy, krzyżując i prostując nogi, niezdolna nawet przez chwilę usiedzieć spokojnie. - Teraz, kiedy na scenę wkroczyli prezydent i gubernator, robi się z tego wielkiej wagi opowiadka polityczna. Dają starym rębajłom i policyjnym cwaniakom.

- A co dał tobie?

Westchnęła i zaczęła poprawiać sznurowadła martensów.

- Ja mam się dalej zajmować zmieniającym płęć śpiewakiem.

- Kim?

- Nie słyszałeś? - Objęła twarz dłońmi i z rozdrażnieniem wydeła wargi. - Gość, którego piosenka utrzymywała się przez cztery tygodnie na pierwszym miejscu amerykańskiej listy przebojów, podobno przyjechał do Nowego Jorku na operację zmiany płci.

- Boże, jaki ja jestem stary!

- Nazista chce, żebym prowadziła obserwację tej praktyki lekarskiej.

- To jedna z korzyści, kiedy ma się siedemdziesiąt pięć lat. - Bill zachichotał i zaczął zakładać na uszy słuchawki walkmana, żeby w trakcie pisania felietonu móc słuchać Mahlera. - Nasi panowie i wydawcy wolą oszczędzać moją subtelną wrażliwość i umieszczają mój felieton za reklamami samochodów, gdzie nie mogę nikomu zaszkodzić.

Przyglądała mu się przez chwilę, obserwując, jak chudy siwowłosy redaktor stuka na starej maszynie do pisania i ssie fajkę bez tytoniu, bo palenia zabraniało nowe redakcyjne zarządzenie. Wyglądał jak pomnik dziennikarstwa dwudziestego wieku, przeniesiony do nowoczesnego pomieszczenia wielkiej korporacji prasowej. Nowinki i modne trendy uderzały w niego jak fale, a on pozostawał beznamiętny i niezmienny - znajdując oparcie w znakomitym intelekcie i bogatym życiu wewnętrznym - niczym skała na środku oceanu. Chciałaby być taka jak on, lecz ciągle coś ją zносиło na bok.

Ciągle jeszcze rozpaczliwie walczyła o wyrobienie sobie nazwiska. W szkole łatwo ściągała na siebie uwagę - głównie bezczelnością i siedzeniem z odpowiednio rozchylonymi nogami, ale nowojorscy dziennikarze znali te numery na pamięć. Po półtora roku pracy w dalszym ciągu pisała krótkie informacje na dziewiątą stronę i „reportaże” o kolejnym aktorze, który pobił fotoreportera. Miała wrażenie, że ześlizguje się coś określanego mianem „korporacyjnej anonimowości”; jeśli czegoś wkrótce nie zrobi, stanie się jedną z czterdziestoparoletnich „zakonnicek z działu wiadomości”, pracujących na okrągło i wracających do domu, gdzie czeka jedynie białe wino i twarożek.

- Dlaczego nie dali tej historii ze zmianą płci Riordanowi?- Bill zdjął słuchawki.

- Co?

- Twojemu byłemu. - Bill skinął głową w kierunku Terry'ego Riordana, kręcącego się w fotelu kilka metrów dalej ze słuchawką przy uchu. - Czy to nie on pisał w zeszłym miesiącu artykuł o chirurgu plastycznym gwiazd?

Judy popatrzyła na Riordana, młodego, próżnego reportera z rubryki towarzyskiej, z którym krótko spotykała się w liceum.

- O tak... on to uwielbia...

- No to powiedz Naziście, żeby jemu to dał. Zna możliwe kontakty. Ty zostań przy nauczycielu.

- Myślisz, że mi pozwoli?

- Jak powiedziałaś - z powodu wypowiedzi prezydenta jest to teraz wielka sprawa. Nazista zrobi wszystko, żeby być pierwszy. Niech myśli, że coś masz.

- Aleja nic nie mam. Detektywi nie chcieli ze mną rozmawiać.

- Słuchaj, jesteś niezła lalka. Popatrz na siebie, na swoją krótką spódniczkę, czarne pończochy i fryzurę jak Lulu. Nie oparłby ci się nawet kardynał Spellman.

Bill był stary, ale teraz dotarło do niej, że nie aż „tak” stary. Jadał z Bacall i tańczył z Monroe. Jeśli miał ochotę prawić jej komplementy, bardzo proszę.

- Poza tym rzecznikiem policji jest teraz John LeVecque - kontynuował Bill. - Ten bałwan, który pracował dla „Post”. Idź do komendy głównej i potrząśnij nim trochę. Niech ci coś powie o śledztwie, o tym, co trzyma za zaciśniętymi zębami.

- A jak mam to zrobić?

- Prowokacją. Bądź bezlitosna. Zadawaj najtrudniejsze pytania, jakie przyjdą ci do głowy. Manipuluj manipulatorami. A przede wszystkim, bądź zainteresowana.

- To wszystko?

- Tak, zawsze pisz w formie czynnej i próbuj zachować nieco godności.

- Łatwo ci mówić. Jesteś stary.

Zachichotał i zaczął zakładać słuchawki. Judy wstała, wygładziła spódnicę i odrzuciła do tyłu włosy, przygotowując się do rozmowy z Nazistą.

- Wiesz, a tak poza tym... - popatrzyła na Billa z siwą grzywą zwisającą nad klawiaturą - jeśli wielu ludzi są zawsze źli, to jacy są mali?

- Gorszi niż można sobie wyobrazić. - Przesunął wałek maszyny w lewo. - Niejeden dłubie w nosie i oszukuje przy grze w karty.

13

Mniej więcej dziesięć minut przed końcem czwartej lekcji zapukano do drzwi i weszła jedna z sekretarek dyrektora, Michelle Richardson. Zazwyczaj trzymała się z dala od zwykłych nauczycieli i zachowywała się wobec nich pogardliwie. W ciągu kilku ostatnich lat David widywał jedynie jej profil, ponieważ zawsze siedziała odwrócona i rozmawiała przez telefon z ważniejszymi osobistościami. Teraz przysunęła się blisko, intymnie jak kociaczek.

- Właśnie był telefon z programu Larry'ego Kinga, a na dole czeka ekipa filmowa z NBC - powiedziała mu miękko do ucha. - Chcą z panem rozmawiać. Prezydent wspomniał o panu w przemówieniu.

- Cóż, będą musieli poczekać - spokojnie odpowiedział David i popatrzył na zegarek.

Tja, całe to podniecenie sprawiało mu przyjemność, ale w dalszym ciągu pozostawał nauczycielem. Choć ciekawe, co powiedział o nim prezydent...

- Dyrektor uważa, że byłoby dobrze, gdyby spędził pan z dziennikarzami trochę czasu dziś po południu - szepnęła Michelle. - Sądzi, że mogłoby to poprawić opinię o szkole.

- Spróbuję znaleźć dla nich czas.

- Chce, by zrobił to pan natychmiast.

- Na pewno? - David popatrzył na niespokojne twarze uczniów, na ich drżące kolana.

- O tak. Na pewno.

- Dobra, dzieciaki. Macie wolne. Tylko nie drzeć się wszyscy naraz. - Ledwie go było słyhać przez gromkie śmiechy, klaskania „piątek” i grzechotki, które znów poszły w ruch. Jeszcze raz popatrzył po twarzach, ciągle dumając, czy mogło to zrobić któreś z nich. Zadając zbyt bezpośrednie pytania, tylko zawiódł ich zaufanie, nie chciał jednak palić za sobą mostów. - Jeszcze jedno. Wiem, że w bibliotece są psychologowie, ale gdyby któreś z was chciało potem przyjść porozmawiać ze mną, ogłaszam, że mam dyżur.

Nawet jeżeli ktoś był tym zainteresowany, nie okazał tego po sobie. Nikt nie chciał wyglądać przed kumplami na potrzebującego pomocy słabeusza. Wstali jak jeden mąż i ruszyli jak lemingi do drzwi, ignorując Davida, który kazał przeczytać na następną lekcję fragment z Odysei.

Kątem oka widział Elizabeth Hamdy. Siedziała w ławce, składała nieporadnie książki i wpatrywała się w tablicę.

- Coś się stało? - spytał.

Wstała i podeszła do niego ze spuszczoną głową.

- Zastanawiałam się, czy miałby pan chwilę czasu na rozmowę ze mną...

- Jasne. Zawsze mam dla ciebie czas.

- Nie ma pan. - Michelle Richardson pociągnęła go za rękaw. - Dyrektor chce, żeby natychmiast poszedł pan do dziennikarzy. - Ściszym głosem dodała: - Dostał telefon z biura nadinspektora.

David patrzył to na Elizabeth, to na sekretarkę. Nie wiedział, co robić. Dzieciaki

go potrzebowały, z drugiej strony mówił o nim prezydent, a kamery czekały. Wszystko się zmieniało i powoli pojmował, że będzie musiał się przystosować do nowej rzeczywistości.

- Może potem? - spytał Elizabeth.

- Chyba nie da się inaczej. - Wypłynęła z klasy jak oświetlona promieniem słońca chmura.

14

Znów wpatrywała się w niego dziewczyna z autobusu, tyle że teraz patrzyła ze szczytu budynku przy Times Square. Dłoń położyła w niedwuznaczny sposób na brzuchu widocznym w rozpięciu dżinsów.

Jadąc Broadwayem, przypominającym dolinę o zboczach wyłożonych billboardami i ekranami wideo, Nasser usiłował ją ignorować. Obrazy i teksty próbowały wdrzeć się siłą do jego głowy: dzieci w dżinsach kreatorów mody, które zachowywały się jak dorośli, pulsujące reklamy sprzętu fotograficznego, komputerów, półprzewodników, telewizji kablowej, sklepów muzycznych. Ogromna karta American Express z czarnymi mysimi uszami. Jesień w Nowym Jorku, prezentowana przez Diet Coke.

Z założenia miał pragnąć tego wszystkiego, a tak naprawdę nie chciał niczego. Najbardziej jednak mieszała mu w głowie wiadomość umieszczona na ruchomej świetlnej gazecie, okrążającej ogromny biały budynek przy Times Squarel.

POLICJA KONTYNUUJE ŚLEDZTWO W SPRAWIE EKSPLOZJI W CONEY ISLAND HIGH SCHOOL... - głosił żółty napis przesuwający się po czarnym pasie - PREZYDENT POCHWALIŁ NAUCZYCIELA DAVID A FITZGERALDA...

Co to miało znaczyć? Kiedy Nasser wkładał hadduta pod autobus, myślał, że taka jest wola Boga, a okazało się, że wolą Boga jest uczynienie z człowieka, którym gardził, bohatera.

Na rogu Czterdziestej Drugiej ulicy, gdzie na dachu wieżowca obracało się wielkie ciastko Oreo, skreślił w prawo i zatrzymał się przy młodej kobiecie w kremowym garniturze, czekającej z uniesioną ręką na taksówkę przed biurem podróży.

Ciągle jeszcze nie wiedział, co zrobić, jeśli zjawi się przyjaciel Jusufa i będzie mowa o podłożeniu kolejnej bomby. Miał wziąć w tym udział, czy trzymać się z daleka? Może jakiś czas potrwać, zanim Bóg w pełni objawi swawolę.

- Ile będzie kosztować do rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Piątej Alei? - spytała dziewczyna i wsiadła.

Nasser ściszył radio i przyjrzał się jej we wstecznym lusterku.

- Cztery dolary.

Cóż to za szczęście, złapać klienta w centrum. Może jednak Allah się do niego uśmiechnie. W tej części Manhattanu klientów mogły zabierać jedynie taksówki korporacji Yellow Cab, więc rozejrzał się ostrożnie, czy nie widać policji.

- Dlaczego nie jedzie pan do centrum Ósmą? - spytała pasażerka. - Na Szóstej są roboty i będzie korek.

- Robi się, miss.

Nie zamierzał się spierać. Większość kursów otrzymał na wezwania z Brooklynu i Queens, w efekcie albo lądując w korkach, albo trafiając do dziwnych, odległych i niebezpiecznych okolic.

Ruszył z lekkim szarpnięciem na zachód. Dziewczyna z tyłu popatrzyła na srebrny zegarek, kojarzący mu się z błyskiem księżyca na nadgarstku. Coś w niej przypominało Elizabeth, zwłaszcza spokój i kształt szyi, choć pod innymi względami bardzo się od niej różniła. Była nieco starsza, o odrobinę ciemniejszej skórze.

Po drugiej stronie ulicy, na pustej działce obok starego teatru, pracowały koparka i kafar. Z frontonu sklepu Disneya uśmiechały się Mickey i Minnie Mouse. W pośpiechu mijali ich mężczyźni i kobiety w ciemnych garniturach z eleganckimi granatowymi torbami i aktówkami w dłoniach. Murzyńscy sprzątacze w czerwonych kombinezonach sprząтали śmieci z Times Square Business Improvement District. Pod ogromnym Supermanem z tektury stał nawiedzony kaznodzieja i grzmiał o potępieniu. Z lewej o mało nie otarł się o niego piętrowy autobus. Wszystko co tu się działo, raniło

duszę. Nasser uznał, że musi zapomnieć o otoczeniu i skoncentrować się na dziewczynie z tyłu.

- Możemy jechać bez klimatyzacji? - spytał.

- Mnie to nie przeszkadza - odparła, poprawiając się na kanapie. - Na zewnątrz nie jest aż tak gorąco.

- Chce pani, żebym włączył radio? - Przekrzywił szyję, próbując dostrzec w lusterku jej oczy. Dbał, żeby jechało się jej wygodnie.

- Może być. - Grzebała w torbie. - Ale dopiero za chwilę. Muszę zadzwonić!

Za mocno przekręcił gałkę i ogłuszający dźwięk trąbek aż pchnął go do tyłu.

Natychmiast ściszył muzykę i przeprosił. Zaczęła się reklamówka materacy.

- Wie pani, co myślę? - powiedział, choć nie w ten sposób zamierzał rozpocząć rozmowę.

Zajęła się wystukiwaniem numerów na maleńkim szarym telefonie komórkowym. Obserwował ją - siedziała odwrócona bokiem, jedną nogę podwinęła pod siebie, z wdziękiem odsunęła z czoła kruczoczarne włosy długimi palcami. Tak, wyglądała trochę jak Elizabeth. Czuł, że kryją się w niej jakieś tajemnice.

- Przepraszam - powiedział, gdy zrezygnowała z telefonowania i schowała komórkę. - Nie chcę być niegrzeczny, ale czy mogę zadać pani pytanie?

- Jakie?

- Jest pani Arabką? Prawda?

Uśmiechnęła się lekko. Samochody z przodu ruszyły i wiatr poruszył jej luźnym ubraniem.

- Tak, jestem Arabką.

- Palestynką?

- Tak, Palestynką.

- To bardzo dobrze. Nie może być lepiej. Alldhu akbar.

Odwrócił nieco głowę, czekając aż odwzajemni błogosławieństwo. Zamiast tego spuściła głowę i zaczęła obracać pierścionek na palcu.

- Przepraszam, ale...

- Nie szkodzi.

Minęli grupę karmionych mlekiem turystów, gapiących się na plakaty „Nędzników” i „Dźwięków muzyki”. Kolejna arabska dziewczyna, która nie знаła arabskiego... Jak jego siostra. Postanowił na razie nie okazywać dezaprobaty. Była młoda i ładna, po prostu nie wiedziała, co wypada i co należy.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, czy mogę zapytać, skąd pani pochodzi? - Rozmowa po angielsku drażniła go, obce słowa ciążyły mu w ustach bardziej niż zwykle.

- Z Queens Village.

- Nie, mam na myśli przedtem. Skąd pochodzi pani rodzina?

- Ze wschodniej Jerozolimy. - Odłożyła komórkę i znów zaczęła szukać czegoś w torebce.

- Z Ras al-Amud? Z górnego Silwan? Wyjęła jakieś papiery.

- Nie wiem. Dawno tam nie byłam.

Znów popatrzył na nią w lusterku i ponownie poczuł się osamotniony. Nie była pierwszą arabską dziewczyną, jaką wiozł, ale jeszcze nie wiedział, jak z nimi rozmawiać.

- Rozumiem. Pracuje pani?

- Pracuję. - Pozwoliła sobie na kolejny uśmiech, lecz nie podniosła wzroku znad papierów. - W branży komputerowej.

- Moja siostra też chce pracować. Kiedy skończy szkołę. Wyczuła napięcie w jego słowach.

- Nie podoba się to panu?

Zamiast odpowiedzieć, uniósł dłonie lekko nad kierownicę w geście, który miał znaczyć: A cóż ja mogę zrobić?

Praca i Elizabeth. Obie sprawy nieustannie zaprzętały mu myśli. Nigdy nie potrafił zdobyć w tym kraju dobrego zawodu, a siostra ciągle powtarzała, że to jego wina. „Jesteś zbyt sztywny” - mówiła. Być może. Dla zasady nie zamierzał pracować u ojca w sklepie, nie zgodziłby się także pracować w większości restauracji, starał się być wierny ścisłej muzułmańskiej diecie (pozwalał sobie jedynie czasem na coś z „McDonalda”). Praca w branży odzieżowej też nie wchodziła w rachubę, było tam bowiem zbyt wielu Żydów. Komputery odpadały, bo nie miał skończonej szkoły średniej, a nie skończył jej przez takich nauczycieli jak pan Fitzgerald, którzy nie chcieli dać mu świętego spokoju.

Kręcił się wokół własnego ogona. W pewien sposób łatwiej mu się żyło w domu w czasie intifady. Kiedy rzucał kamieniami na ulicach, przynajmniej wiedział, kim jest, a ten kraj obracał nim jak bąkiem i przyprawiał o zawrót głowy.

- A teraz piosenka o karle przy szwedzkim stole - zawołał prezenter w radiu. - „I Can't Help Myself” i zespół Four Tops!

Dziewczyna na tylnym siedzeniu znów się uśmiechnęła, choć nie rozumiał dlaczego. Niektóre amerykańskie powiedzenia ciągle go zaskakiwały. Karzeł przy szwedzkim stole? Co to mogło znaczyć? Najchętniej by o to zapytał, ale się wstydził.

- Podoba się pani ta piosenka?

- Podoba. Niech pan nastawi głośniej.

Odłożyła papiery na bok i zaczęła smarować usta błyszcznikiem. Tej dziewczynie w jakiś sposób udało się rozwiązać amerykański dylemat. Znalazła sposób, żeby tu żyć i nie cierpieć katuszy wewnętrznego rozdarcia.

Sugar pie, honey bunch, I'm weaker than a man should be!

Rytmiczne dudnienie piosenki sprowokowało go do podrygiwania kolanem. Nie nawidził tego kraju, ale mimo to nucił jego piosenki i czuł żar w głosie wykonawcy.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, żeby zapytać ją, czy umówiłaby się z nim. Zacznie delikatnie, z szacunkiem. Zaprosi na kawę.

Śpiewała łagodnym głosem, a on zaczął śnić na jawie, pozwalając się ponieść wyobraźni. Tak, siedzieliby, rozmawiali o różnych rzeczach i może jeszcze przed wieczornymi modlitwami w meczecie poprosi ją o następne spotkanie. W końcu pozna jej rodziców, któregoś dnia przyjdzie z pieniędzmi na posag i zostaną poślubieni. Wprowadzą się do domku na przedmieściach. Pomagałaby mu zrozumieć różne rzeczy, wygładzała drogę, może nawet pomogłaby zdobyć dobrą amerykańską pracę.

Żeby tylko się zgodziła. To byłby pierwszy krok.

Z drugiej strony, dlaczego miałaby się zgodzić gdzieś z nim wyjść? Czy zrozumiałaby, gdzie wyrósł? Rzucanie kamieniami, lodowatą wodę, śmierzący worek na głowie, okropności, jakie przeżył w więzieniu jego przyjaciel Hamid, o których nie był nawet w stanie myśleć? Jego też kuszono kobietą. Jak mógłby zrozumieć to ktoś, kto tego nie przeżył?

Skreślił w Ósmą Aleję, minął pizzerię „Sbarro”, której fronton zdobiły czerwono-zielono-białe markizy, a w której wnętrzu migotały złoczone ozdoby i marmurowe blaty. Wydał wargi, ciągle jeszcze niepewny, czy starczy mu odwagi, by zaprosić dziewczynę z tylnego siedzenia na kolację. To idiotyczne: miał dość odwagi, żeby podłożyć bombę, a za mało na umówienie się z arabską dziewczyną...

W Betlejem wszystko było prostsze, rodzice mogli znaleźć dla swoich dzieci narzeczonych i narzeczonych z dobrych rodzin, tutaj podobne sytuacje zamieniały się w jedną wielką szaloną szarpaninę. Codziennie musiał się sprawdzać i ciągle był spluka-

ny. Trzysta pięćdziesiąt dolarów tygodniowo kosztowało wynajęcie samochodu, więc po oddaniu pięćdziesięciu procent zarobków firmie - nie licząc opłat za wjazd na autostrady, benzynę i ubezpieczenie - zostawało niewiele. Przez ostatnie trzy miesiące udało mu się zaoszczędzić tylko pięćset dwadzieścia dolarów. Choć mieszkał za darmo w piwnicy ojca, z trudem kupił prezent urodzinowy dla siostry. Nie był pewien, czy stać go na wystawną kolację w „Sbarro” z dziewczyną w eleganckim garniturze. Czy to w ogóle byłoby halal?

- Mieszka pani z rodzicami? - spytał, próbując się zbliżyć do sedna.

- Na razie. - Westchnęła i wyjrzała przez okno na mijane place budowy, wbijające się klinem w stare, zabite deskami sklepy porno i serwujące steki restauracje wzdłuż Ósmej Alei.

Serce waliło mu niemal tak mocno jak wczoraj, kiedy chodził przed szkołą z hadduta. Uda mu się zapytać? Nie uda mu się zapytać? Nagle wszystko zaczęło od tego zależeć. Jeśli ona się zgodzi, może otworzy się przed nim nowe życie i zapomni o hadduta, torbie, Jusufie, wściekłości i goryczy. Stanie się taki jak Elizabeth.

Jeśli odmówi - wola boska informacja, że ma kontynuować džihad.

Był gotów.

- Wie pani, zastanawiam się... - wziął głęboki wdech - czy może kiedyś poszłaby pani ze mną na kawę...

Stanęli na czerwonym świetle na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej ulicy, naprzeciwko motelu „Howard Johnson's” i kawiarni „Bagel Espresso”. Zapadła długa cisza.

- Nie, przepraszam, ale nie sędzę - odparła dziewczyna.

- Nie sądzi pani? - Nasser przekrzywił głowę, jakby źle usłyszał.

Przechodnie mijali w milczeniu srebrny zderzak jego auta. Popatrzył w dół i dostrzegł własne palce, zaciskające się na kierownicy. Długie, połamane arabskie palce. Może chciała, żeby jej ciała dotykały wyłącznie amerykańskie palce. Spróbował odrzucić tę myśl, zanim wzbudzi w nim wściekłość.

- Cóż... - poprawił się w fotelu - nie ma sprawy.

- Przykro mi.

Spojrzał w lusterko. Dziewczyna znów przerzucała papiery. Piosenka w radiu zmieniła się na inną, zatytułowaną „najsamotniejszy człowiek na świecie”. Głos wykonawcy wydawał się Nasserowi nieprzyjemny.

Odmówiła.

Przez kilka następnych minut jechał bez słowa, próbując ukoić ranę. Nic się nie stało. W tym kraju nieraz mu odmawiano: na ulicach, na szkolnych korytarzach, w klasie pana Fitzgeralda. Z TAKIMI WYNIKAMI NIE MOGĘ CIĘ PRZEPUŚCIĆ DO NASTĘPNEJ KLASY. Boże, bądź miłosierny, cóż to za ogłupiające miejsce...

- To tutaj, jesteśmy na miejscu - powiedziała dziewczyna. - Dziękuję panu.

Podjechali pod jej dom - budynek z postacią trzymającą na plecach kulę ziemską. Czy to nie tu gdzieś było biuro paszportowe? Dziewczyna dała mu banknot pięciodolarowy i wyskoczyła, zanim spytał, czy chce resztę. Na chodniku czekał na nią młody Murzyn. Jego ogolona na łyso głowa i kolczyk w uchu migotały w słońcu. Dziewczyna w garniturze podbiegła, objęła kochanka ramionami i zaczęła namiętnie całować w usta.

Nasser poczuł, jak serce zmienia mu się w popiół. Z całej duszy nienawidził Ameryki. To, co wyglądało ładnie z wierzchu, okazywało się nędzne w środku, a to, co wydawało się być w zasięgu ręki, w rzeczywistości było oddalone o milion kilometrów.

Wsunął banknot w przednią kieszeń spodni, nie dbając o to, czy się zgniecie albo zniszczy. Smród dolatujący od budy sprzedającego gorące parówki ulicznego handlarza omal nie wyrócił mu żołądka. Dzięki Bogu, że Jusuf da mu szansę naprawienia błędu sprzed szkoły. W tym znajdowała się łaska i przebaczenie.

Allahu akbar. Życie tego świata jest jedynie grą, jego bogactwa chwilowe. Za kilka dni przybędzie przyjaciel Jusufa, zrobią znacznie większą hadduta i wszyscy zapo-

mną o tym nauczycielu. Zbyt będą zajęci wielką karą.

Ostatni raz popatrzył na całującą się z Murzynem dziewczynę, wcisnął gaz i pojechał na południe, mijając katedrę świętego Patryka i dom towarowy Saks Fifth Avenue. Z głośników waliła muzyka Rolling Stonesów, a on czuł w nozdrzach zapach spalonego mięsa.

15

Oczywiście, że jesteśmy dumni z Davida - mówił przypominający woskową figurkę cherubina dyrektor Larry Simonetti do Sary Kidreaux. - Prawdę mówiąc, jest typowym nauczycielem, jakich mamy szczęście zatrudniać w naszej szkole. Łączy ich z uczniami ten rodzaj związku pedagogicznego, który...

David odkrywał, że środki masowego przekazu stanowią wszechświat sam w sobie, posiadający własne prawa grawitacji, pędu i entropii. Wkroczenie do niego zmieniło człowieka i łądowało tym szczególnym magnetyzmem, który jedne obiekty przyciągał, a inne odpychał.

Stał na korytarzu z Larrym i Sarą Kidreaux, otoczony półkolem kamerzystów, dźwiękowców i oświetleniowców. Wokół uformował się krąg z jakichś trzydziestu uczniów, obserwujących Sarę Kidreaux, która patrzyła na Larry'ego, a ten na Davida.

Wszystko wskazywało na to, że dzięki gubernatorowi i prezydentowi, którzy najprawdopodobniej mieli za rok konkurować ze sobą w wyborach, a obaj wymienili jego nazwisko, stał się w ciągu ostatnich kilku godzin znaczącym symbolem politycznym. Pod wpływem tej chwili i związanej z nią euforii, odpłynęła gdzieś poranna napięta czujność i David zaczął zapominać o krążących mu po głowie podejrzeniach i obawach.

Na korytarzu znajdowała się teraz nie jedna, lecz cztery ekipy telewizyjne i każda próbowała nakręcić materiał uzupełniający film o tym, jak uratował Senique. Davida fascynowało, w jaki sposób zmieniało to stosunek różnych osób wobec niego. Uczniowie, których nigdy nie widział na oczy, wypowiadali się autorytatywnie o wpływie, jaki wywarł na ich życie. Gene Dorf, kierownik wydziału, który - ze szkodą dla uczniów - cały czas spędzał na spekulacjach giełdowych, stał teraz w drzwiach i oznajmiał, że David zawsze był jego najlepszym przyjacielem. Faktyczny najlepszy

przyjaciół Davida, Henry Rosenthal, jak zwykle nieco zjadliwym tonem opowiadał dziennikarzom przed stołówką o „specyficznym filozofii nauczania Davida”. Od dnia wybuchu David wyczuwał lekkie napięcie między nimi - jak gdyby złamał jakąś niepisana umowę nakazującą trzymać się razem nieudacznym białym mężczyznom.

Przy wyjściu pożarowym Donna Vitale prezentowała do kamery burzę kręconych włosów i lekko zezujące oko. Oświadczyła ot tak, po prostu, że zachowanie Davida wcale jej nie zaskoczyło. Miał wrażenie, że jest ona jedyną osobą, która powiedziała to samo niezależnie od obecności kamerzystów. Obdarzył ją długim, pełnym podziwu spojrzeniem, uznając, że kiedy całe zamieszanie się skończy, zdecydowanie spróbuje umówić się z nią na randkę.

Po każdym pytaniu zadany przez Sarę Kidreaux do Davida przysuwał się Larry Simonetti. Po tylu miesiącach złej publicity czepiał się swego najślawniejszego nauczyciela jak tratwy ratunkowej.

- Ponieważ przede wszystkim o to chodzi, Saro - powiedział. - O nauczanie i dzieciaki. O zapewnienie im tego, czego potrzebują.

- Przede wszystkim. - David wykorzystał okazję, przesunął się za Larry'ego i położył mu dłoń na ramieniu. - Dlatego tak mnie ucieszyła wiadomość o nowych książkach i specjalnych programach, na które znalazły się pieniądze w przyszłorocznym budżecie.

Woskowa cera Larry'ego jeszcze bardziej pobladła, a brwi niemal się zetknęły.

- Oczczczywiśście... - Na końcu języka pojawił mu się pęcherzyk śliny. - Davi-dzie, nie musisz iść na lekcję?

Dziewiąta lekcja, ostatnia tego dnia, zamieniła się w jedno wielkie pandemonium. Nie tylko dlatego, że pod tylną ścianą umiejscowiły się trzy ekipy filmowe, ale także dlatego, że przyszło dwa razy więcej dzieciaków niż zwykle. Przynajmniej siedemdziesięcioro siedziało poupychanych przy stolikach po dwoje lub troje, zużywając tlen i kręcąc się w nadziei, że jakiś kawałek ich twarzy pojawi się w wieczornych wiadomościach. Kilkoro siedziało nawet na podłodze przed jego biurkiem - zupełnie jakby był starzejącym się gwiazdorem rocka albo modnym przywódcą duchowym, wygłaszającym przemowę.

- „Był typowym bohaterem - czytał na głos z Pożegnania z bronią - zanudzającym każdego, kogo napotkał”.

- Stop! Stop!

W głębi klasy wstała nagle Sara Kidreaux i szła ku niemu wąskim przejściem niczym wykuta w czerwonym kamieniu blond bogini.

- Co się stało? - David popatrzył na nią.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się zażenowana i spojrzała na jednego ze swoich techników, siorkającego olbrzymiego młodzieńca w kombinezonie. - Mój dźwiękowiec ma zapalenie zatok i mówi, że ostatnie pańskie zdanie źle się nagrało. Mógłby je pan przeczytać jeszcze raz?

- Hm, nie lubię psuć płynności lekcji.

- Proszę... - Znów stała na czubkach palców, wyglądała uroczo i nieszczęśliwie. - Naprawdę ułatwi nam pan życie.

- Cóż...

- Tak, dawaj szefie! - Dzieciaki opowiedziały się po stronie Sary, bez trudu wczuły się w role statystów filmowych.

- Jasne, nie mamy nic przeciwko temu! - wrzasnęła jakaś dziewczyna.

- Rób, co należy, człowieku - rozległ się nieznany Davidowi głos młodego macho reprezentującego pogląd „pójdiesz na rękę - masz układy”.

Wzruszył ramionami, gotów zrobić im przyjemność.

- No dobrze, chyba mogę to przeczytać jeszcze raz. Sara Kidreaux aż zadrzała z zachwyty.

- Jeszcze jedno... - Polizała lekko palec i odsunęła mu lok z czoła.

- Yeeeahhhh! - wrzasnęły zachwycone dzieciaki. Ich zachowanie dodawało sytuacji erotycznego napięcia, którego normalnie David by nie wyczuł. Sara Kidreaux spłonila się i kiedy wracała na miejsce, lekko kołysała biodrami.

- No dobrze - David klasnął w ręce i wrócił do tablicy. - Moim zdaniem Hemingway chce powiedzieć, że bohater jest nudny, jeśli nie...

- Jeszcze raz, przepraszam - zawołała zza dźwiękowca Sara Kidreaux. - Tym razem stał pan rylem do kamery? Możemy jeszcze raz?

David już otwierał usta, w proteście, że nie zamierza się zachowywać jak cyrkowy niedźwiedź, lecz coś go powstrzymało. Dlaczego? - Przecież telewizję i pozostałe media elektroniczne zwalczał od dawna. To przez nie uczniowie tracili zdolność koncentracji, robiono im wodę z mózgow. Media wywierały wpływ nawet na jego własnego syna. „Tato, kiedy dostanę Playstation? - spytał niedawno Arthur. - Tato, kto jest silniejszy - Batman czy Superman?”

Z drugiej strony nie mógł się im oprzeć. Coś w nim z całej siły pożałowało ich uwagi i uznania - ta sama część jego ja, która przed laty pragnęła być zauważona w Atlantic Beach na stanowisku ratownika albo na boisku, kiedy czekał na podanie piłki. Teraz mu ją podawano.

- Jeszcze raz, dla mnie? - błagała Sara Kidreaux, mrugając długimi rzęsami.

- Dawaj, szefie! - buchnęły dzieciaki.

- Hm, cóż, niech będzie. - Wziął głęboki wdech i zaczął od nowa. - Bohater jest nudny...

Po skończonej lekcji, na korytarzu, poczuł się rozradowany i zarazem speszony. Jak mógł się tak łatwo zgodzić? Zaraz jednak pomyślał: jak mógłby odmówić? Może niewiele dziś nauczył, ale nagle wszyscy go słuchali, nawet ci najoporniejsi.

Nadeszła Michelle Richardson, rzucając w przelocie, że ma wiadomość od Richarda Noonana z policji. Nie zwrócił na to uwagi. Przy wejściu do biblioteki czekały na niego trzy dzieciaki. Wiedział, co chce dwoje z nich. Scott Cunningham, szczupły,

zakochany w nauce maturzysta, którego rodzice zmarli na AIDS, potrzebował pomocy w wypełnieniu wniosku o stypendium uniwersyteckie, a Roberto Suarez, kandydat na artystę z szóstej lekcji, potrzebował pomocy Davida do przekonania ojca, żeby pozwolił mu skończyć szkołę, a nie kazał pracować w rodzinnym sklepie rybnym.

Kawałek za nimi stała Elizabeth Hamdy, a David w dalszym ciągu nie wiedział, czego chce. Wyglądała na pogrążoną w rozmowie z samą sobą - wpatrywała się w podłogę i leżące tam wrotki.

- Przepraszam, że nie mogliśmy porozmawiać wcześniej - odezwał się do niej jeszcze z daleka - a powinniśmy. Był u mnie twój brat.

- Wiem. - Odrzuciła do tyłu głowę i końce chusty załopotały jak skrzydła. - Między innymi dlatego chcę z panem rozmawiać.

Byli już blisko siebie, kiedy w głębi korytarza pojawił się nagle Larry Simonetti. Stawiał drobne krocзки, unosząc przy tym nogi wysoko jak bocian, przez co jego trzewiki wystukiwały na linoleum szybkie staccato.

- Davidzie, nie uwierzysz - powiedział sotto voce, gdy wsunął się między nich. - Mamy na dole CNN i Dana RATHERA.

- Świetnie, ale muszę przedtem porozmawiać z Elizabeth, Scottim i Roberto. - Popatrzył zachęcająco na chłopców, dając im do zrozumienia, że o nich nie zapomniał.

Larry chwycił go za ramię.

- Może nie dosłyszałeś. Ma-my C-N-N i Da-na Ra-th-era...

- Boże, Larry - David strząsnął jego rękę. - Zachowujesz się jak moje dzieciaki.

Elizabeth zaczynała już się jednak wycofywać, Scott i Roberto też odchodzili.

- Hola, dokąd? - zawołał za nimi David.

- Jest pan zajęty - mruknęła Elizabeth, nie zatrzymując się, skręciła za róg i zniknęła.

David czuł się jak zdrajca. Zawsze chwalił się tym, że ma czas dla dzieciaków, niektórym z najgorszych rozrabiaków dawał nawet prywatny numer telefonu, pozwalając do siebie dzwonić o dowolnej porze, jeśli coś im się przytrafiło. Dziś jednak wystawił je do wiatru. Wbrew woli pozwolił mediom, by go otoczyły fałszywym blaskiem i nasączyły mu serce sztuczną słodyczą.

- Chodźmy. - Larry ciągnął go za rękaw. - Nie chcemy ich stracić.

Choć wyższy od Larry'ego o prawie piętnaście centymetrów, David pozwalał się ciągnąć. Opór nie miał sensu. Jakaś jego cząstka już została zamieniona na wiązki mknących przed siebie fal, które poleciały nad chodnikami i Mermaid Avenue, pomknęły wąwozami wysokościowców i czynszówek Manhattanu, minęły farmy New Jersey i Pensylwanii i pognały ku centrum kontynentu. Podnosiło ku nim łby bydło Montany, mijały kratery pacyficznych wulkanów. Wieczorem jego nazwisko będą znać ludzie w Pekinie i Budapeszcie.

- Larry, dostanę dla swoich dzieciaków parę dodatkowych książek?

- Później o tym porozmawiamy, cwaniaczku. Chyba że ci się nie spieszy do koleżanek z mediów.

Kiedy schodzili po schodach, David dostrzegł przez brudną szybę kawałek błękitnego nieba. A więc to działa się naprawdę.

Drobiny Davida Fitzgeralda spadały na cały świat.

16

Następnego poranka Judy Mandel wpadła jak bomba do biura informacyjnego, znajdującego się na dwunastym piętrze budynku przy Police Plaza 1. A niech to cholera! Niech to diabli! Spódniczkę miała wysoko podciągniętą i rozpięte trzy górne guziki bluzki. - Jak to możliwe, żeby nikt tu nie miał tamponu?! Zaskoczony i zdenerwowany John LeVecque, były dziennikarz "Post", niedawno mianowany zastępcą komisarza do spraw kontaktów z mediami, uniósł głowę.

- Obawiam się, że w tym zakresie nie mogę pomóc - powiedział, lekko się czer-

wieniąc.

- Dlaczego w damskich toaletach tego budynku nie ma automatów z tamponami? Nie uważa pan, że powinny być?

Przed przyjściem postanowiła wytrącić go z równowagi, traktując tak, jak przez ostatnie półtora roku traktowali ją policjanci: jak buraka ze wsi. Nie zamierzała oczywiście opowiadać o niedawno poznanej striptizerce ani wypychać dumnie piersi i pierdzieć dla rozrywki otoczenia, postanowiła za to rzucić mu prosto w twarz swą kobiecość. Wstydlivość nie wypadła najlepiej w kontakcie z tymi typami. Należało im pokazać, że jest się od nich twardszym i nic człowieka nie zaszokuje. Jeszcze lepiej - zaszokować ich, zanim sami zdążą to zrobić.

- No więc? - spytała, siadając przy jego biurku. - Kiedy ogłosicie, że to była bomba?

LeVecque odchylił się do tyłu i rozpoczął przedstawienie pod tytułem „odkładanie pięciodolarowego cygara”, ewidentnie wyczuwając, że toczy się tu gra o władzę.

- Murphy, tak?

- Mandel.

- Dlaczego rozmawiam z panią, a nie z Lippmanem?

Ernie Lippman był etatowym reporterem policyjnym jej gazety, siedzącym w boksie na pierwszym piętrze. Mocno już wypalony, bardziej niż pracą interesował się wędkowaniem na muchę i umawianiem z wdowami po policjantach. Pominięcie go okazało się znacznie łatwiejsze, niż sądziła, zwłaszcza po tym, jak przekonała Nazistę, że jest stworzona do zajęcia się tą sprawą.

- Lippman gania za tęczą i rybami. - Skrzyżowała nogi i zaczęła kiwać stopą. - Mam powtórzyć pytanie?

- Jasne, czemu nie?

Położyła notes na kolanach. W kącie zahuczał faks.

- Wszyscy wiedzą, że w autobusie wybuchła bomba. Dlaczego ściskacie dupę, zamiast to ogłosić?

- To naiwne pytanie. Nawet sobie pani nie zdaje sprawy, jak bardzo. Nie wyciągamy wyników śledztwa z rękawa. Mija wiele dni, zanim laboratorium przeprowadzi wszystkie niezbędne testy.

Na sekundę zmrużyła oczy. Patrz na niego... tego łysiejącego blondyna z marnym cygarkiem i spęczniałym brzuszkiem, podstarzałego lowelasa, któremu się wydaje, że jest kimś wielkim. Słyszała o nim niejedno. Jako reporter uwielbiał węszyć i żeby napisać artykuł, gotów był dyżurować za policjantów. Mówiono, że jeździł po mieście z policyjnym skanerem i wystawianą policyjną lampą. Cóż, kolejny egzemplarz chłopca z klasy średniej, któremu zawsze się marzyło zostać gliną ale nie pozwalali mu na to rodzice.

Musiała działać mądrze, owinać go sobie wokół palca. Bill Ryan kiedyś powiedział: „Myśl jak bokser, wykorzystuj, co masz, nawet jeśli zamiast rękawic będzie to twoje ciało. Podskakuj i rób uniki. Udawaj i dźgaj. Nie bój się paść na deski i ubrudzić się. Manipuluj manipulatorami. Bóg najlepiej wie, że ci, o których piszesz, nie zawahaliby się zrobić to samo z tobą.”

- Słyszałam plotki, że był to niewielki ładunek, ale spowodował eksplozję zbiornika paliwa - powiedziała, pochylając się do przodu i ukazując kawałek dekoltu.

- Możliwe. - LeVecque na chwilę spuścił oczy.

Wszedł Brian Wallace, jeden z sierżantów przyjmujących w recepcji telefony - wielki mężczyzna z wąsami jak u słonia morskiego i w przekrzywionym krawacie. Rzucił na biurko LeVecque'a teczkę do akt. Ledwie skinął głową LeVecque'owi, ale Judy otaksował długim spojrzeniem, co próbowała potraktować jako rzecz naturalną.

Przez ułamek sekundy zrobiło się jej żal LeVecque'a. Przejście z gazety do pracy w policji uczyniło z niego człowieka bez ojczyzny. Oczywiście, że dziennikarze mu nie ufali, ale najprawdopodobniej nie zaufali mu do końca także gliniarze. Nieważne, że rzecznikiem prasowym zawsze był cywil - on nie awansował na to stanowisko niższych szczebli hierarchii.

- A więc nie macie nikogo podejrzanego? - spytała po wyjściu sierżanta. Starając się zapanować nad sytuacją LeVecque położył stopy na biurku.

- Jak możemy mieć podejrzanego, jeśli nie twierzimy, że to bomba?

- Przyglądacie się komuś?

- W tej chwili nie możemy udzielić odpowiedzi na to pytanie. Prawdopodobnie o niczym nie wiedział, chciała jednak go zawstydzić i zmusić do powiedzenia, co się dzieje. Kiedy próbowała rozmawiać z tym dziwnym detektywem Noonanem, popatrzył na nią jedynie tępym wzrokiem i podał numer telefonu biura prasowego. Na razie zależała więc od LeVecque'a.

- Więc kiedy będziecie wiedzieć?

- Kiedy będziemy wiedzieć, co? - Udawał zdekoncentrowanego, wpatrywał się w rząd telewizorów na ścianie.

- Czy to była bomba. Czy zostanie rozpoczęte śledztwo kryminalne.

- Ach, o to chodzi...

Mogła dalej machać piąstkami, ale właściwie po co? Miał za sobą władzę potężnej instytucji, a ona jedynie niedoskonałe drobne ciało i notes. Czowała się jak postawiona przed dziesięciometrowym murem - albo się na niego wdrapie, albo musi go przebić, inaczej wróci do Nazisty i Śmierci Nadziei z pustymi rękami.

Wtedy wróci do wywiadów z obywatelami, którzy wygrali w lotto. Musiała coś zrobić, żeby ten LeVecque ją polubił.

- Coś pani zaproponuję - LeVecque wyprostował się na krześle. - Może wpadnie pani za parę dni?

- Kiedy?

- Obojętnie... - zawiesił znacząco głos. Wszystko mi jedno.

Ekran znajdujących się po jego prawej ręce telewizorów powtarzały ciągle ten sam fragment incydentu sprzed szkoły, jakby specjalnie skleiono taśmę.

- Proszę mi powiedzieć tylko jedno: obserwujecie terrorystów?

- Obserwujemy wszystkich - powiedział, westchnął i odwrócił się plecami. - Jeszcze trochę, a zaczniemy obserwować panią. Za wszystkim kryją się dziennikarze.

Uśmiechnęła się.

- Nie powie pan nic „Post” ani „News”, zanim ja tego nie usłyszę?

- Wszyscy dowiedzą się w tym samym czasie. Nikogo nie faworyzujemy.

Nawet dziecko wiedziało, że to nieprawda. Zawsze istnieli faworyzowani dziennikarze, którzy dostawali informacje pierwsi, bo pisali dobrze o policji. Najlepiej świadczyła o tym jego kariera.

- Tja, niech pan nie zgubi mojego numeru telefonu - powiedziała, po czym wstała i wygładziła spódnice.

- Na pewno nie zgubię. Atak poza tym... - westchnął, zdobywając się na odwagę - co z pani... ee... tamponem?

- Chyba już go nie potrzebuję. - Zatrzymała się na chwilę w drzwiach. Z zewnątrz dolatywał hałas z ogólnego biura. - Skąd ten nauczyciel wiedział, że ma jeszcze pół minuty, czy ileś tam, aby powstrzymać dzieciaki przed wsiadaniem do autobusu, bo będzie wybuch?

- Skąd mam wiedzieć? - LeVecque spuścił wzrok i udawał zajętego przesuwaniem po biurku długopisów i spinaczy. - Miał głupi fart. Nie jest tak zawsze?

- A jest?

- Mogę poczęstować panów kawą? - spytała Elizabeth Hamdy.

- Jest wpół do piątej, ale co mi tam! - powiedział detektyw Noonan. - Mamy przed sobą jeszcze kilka godzin. Możemy nie spać.

- To kawa po turecku, słodka - powiedziała Elizabeth, idąc w stronę kuchni. - Dodajemy do niej kardamon. Mam nadzieję, że nie będzie panom przeszkadzał. Zawsze spieramy się z ojcem, czy lepiej dać się spienić kawie raz czy dwa razy.

Noonan popatrzył na swego najnowszego partnera Toma Kelly'ego i wzruszył ramionami. Przed chwilą weszli do salonu domu przy Avenue Z. Noonan od razu zauważył, że jest to przeciętny dom ludzi żyjących z pracy rąk - w salonie stała przykryta narzutą beżowa rozkładana kanapa, dębowa komódka na porcelanę, na podłodze leżał orientalny dywan, na ścianie wisiały rodzinne pamiątkowe zdjęcia. W kącie na wielkim telewizorze dwie dziewczynki grały w Nintendo. Do niezwykłych przedmiotów należała tylko wisząca nad drzwiami do kuchni tablica z arabskim napisem i zdjęcie meczetu nad kanapą.

Choć po mieście kręciło się dwunastu innych detektywów, przesłuchujących obecnych oraz byłych uczniów i nauczycieli, a także ewentualnych świadków, mieszkających w okolicy szkoły, Noonan pozostawał ciągle śledczym nadzorującym tę sprawę. Uważał jednak, że to tylko kwestia czasu, jak wpadną federalni i wypchną go z niej łokciami.

Dziewczyna wróciła z dwiema maleńkimi filiżankami na talerzykach i postawiła je na stoliku, na którym leżał oprawiony w materiał pamiętnik. Uroczą - pomyślał Noonan. Nie chodziło jedynie o szeroki uśmiech i puszyste włosy - w całym jej zachowaniu było coś uroczego. Przypomniła sobie własną szesnastoletnią córkę, zamykającą się w swoim pokoju z chłopakami. Wcale nie wyglądała na Arabkę, ale co on o tym wiedział? Ludzie często okazywali się kimś zupełnie innym.

- Dziękujemy za poświęcony nam czas - zaczął. - Wiemy, że nie poszła pani wczoraj do szkoły, ale jak powiedziałem przez telefon, rozmawiamy ze wszystkimi uczniami z pani klasy, musimy bowiem zebrać maksimum informacji i odtworzyć to, co się stało. Jasne?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się lekko i atmosfera od razu się zmieniła, wydawało

się, że pokój stał się większy. - Zrobię wszystko, aby pomóc. Bardzo lubiłam Sama.

- Znakomicie. Czy przed wybuchem słyszała pani może w szkole coś niezwykłego?

Uśmiech zniknął, a twarz Elizabeth spoważniała. W dalszym ciągu pozostała uroczą, ale twarz jak gdyby inaczej odbijała światło.

- Nie wiem, czy zrozumiałam, co ma pan na myśli.

- Mam na myśli, czy ktoś się dziwnie zachowywał, był zły... rozumie pani. Chłopcy walczą z dziewczynami, dziewczyny walczą z chłopakami, dyskutują o forsie... czy słyszała pani, jak na przykład ktoś mówił, że chce kogoś „dorwać”?

Elizabeth popatrzyła na pamiętnik, potem na swoje stopy w grubych białych skarpetach, które trzymała pod szklanym stolikiem.

- Ciągle ktoś się bije i kłóci, ale niczego takiego nie słyszałam.

- A co z wizytą gubernatora? Czy ktoś o niej mówił? Wie pani, jest republikaninem, ale jego poglądy na przerywanie ciąży nie podobają się niektórym aktywistom „Prawa do Życia”.

- Nie, nic takiego nie słyszałam. Ale ja sienie włączam w rozmowy o polityce.

- Jasne - prychnął Kelly. - Ale może wróćmy do sedna. Spytaj ją, czy zna kogoś spośród tych, co zwykle podkładają bomby. W końcu to Arabka, nie?

O Boże - jęknął w duchu Noonan. Od początku śledztwa Kelly zawadzał jak balast. Znikał w ciągu dnia co chwila na kielicha i pod koniec zmiany trząsał się jak galareta i był uparty jak osioł. Lada dzień pošłą go w górę stanu na odwyk, a on dostanie kolejnego nowego partnera, którego będzie musiał wprowadzać w sprawę od początku.

- Ma chronić od złych spojrzeń - wyjaśniła Elizabeth. - To stara tradycja.

- Rozumiem. - Noonan podrapał się po skroni i kątem oka zauważył, że Kelly ziewa. - Musi pani zrozumieć, że do naszych zadań należy dostrzeganie wszystkich

niezwykłych rzeczy. Jak na przykład tego, co powiedział jeden z pani kolegów z klasy o słowach waszego nauczyciela, że chce zostać bohaterem.

- Co w tym niezwykłego?

- Tja... - Napił się kawy i poprawił w fotelu, jakby przed odpowiedzią szukał odpowiedniej pozycji. - Nie mówił, że zawsze chciał uratować komuś życie?

- Mówił o tym, jak był ratownikiem, ale dla zobrazowania tematu lekcji: Bohaterstwo w literaturze. - Siedziała prosto i nieruchomo. Noonan zauważył jednak, że jej białe skarpety poruszają się pod stolikiem jak króliki w trawie. - Dlaczego pan pyta?

Noonan popatrzył na Kelly'ego, ten jednak nie reagował. Czyżby spał z odrzuconą do tyłu głową, opadniętą szczęką i otwartymi oczami?

- Takie uwagi mogą komuś nasunąć jakiś pomysł.

Elizabeth przez chwilę nic nie mówiła, przyłożyła palce do ust i rozważała słowa policjanta.

- Uważa pan, że bombę podłożył ktoś ze szkoły?

- Na razie nic nie wiemy. Rozpatrujemy każdą ewentualność. - Boże...

- Na pewno nie zna pani nikogo, kto mógłby coś takiego zrobić? Kogoś, kto był ostatnio czymś naprawdę zdenerwowany?

Opuszki palców Elizabeth rozsunęły się, dotykając obu kącików ust, a w brązowych oczach zamigotały złote plamki.

- Hm... nie. Nikt taki nie przychodzi mi do głowy. - Uśmiechnęła się skromnie.

Kelly znów ziewnął i przeciągnął się, potem popatrzył na zegarek.

- Chcesz tu nocować, czy co? - spytał Noonana. - Mamy jeszcze siedem rozmów, a wydział do końca roku zlikwidował nadgodziny.

Noonan uśmiechnął się do niego i ponownie zwrócił się do Elizabeth.

- Nie chcemy zabierać pani więcej czasu. Byłem po prostu ciekaw. Dlaczego nie poszła pani we wtorek do szkoły?

Zauważył, że dziewczyna patrzy na leżące przy telewizorze wrotki z nowiutkimi ochraniaczami. Palce jej stóp podkurczały się i prostowały, jakby nie mogła się doczekać, kiedy wsunie w nie stopy.

- Strasznie mnie bolała głowa, więc zostałam w domu.

- Może od nadmiaru arabskiej kawy - stwierdził Kelly, wstając i ponownie się przeciągając. - Pytałeś o torbę? - Mrugnął do Noonana.

Noonan pokręcił łysą głową i popatrzył w sufit. Dzisiaj już po raz trzeci Kelly za dużo zdradził swoją gadaniną. Koniec z tym - będzie musiał poprosić o nowego partnera.

- O tak - powiedział, udając obojętność. - Czy pan Fitzgerald miał torbę na książki firmy Jansport?

- Tak sędzę. Prawie każdy ma taką. - Stopa pod stolikiem przestała się poruszać. - Bombę ukryto w torbie na książki?

- Musimy już iść. - Noonan wstał i położył na stoliku wizytówkę. - Jeśli coś się pani przypomni, o czym chciałaby pani porozmawiać, proszę zadzwonić.

18

Szturm mediów trwał przez całe czwartkowe popołudnie do wczesnego wieczoru.

Najpierw telefonowano z biura burmistrza, zapraszając Davida na środę rano do ratusza w celu odebrania specjalnej nagrody burmistrza i gubernatora. Potem zadzwonili od Dianę Sawyer, pytając, czy mógłby w środę po południu udzielić wywiadu. Ludzie z programu Oprah Winfrey chcieli, żeby przyjechał w piątek do Chicago na rozmowę panelową na temat „Profile odwagi”; program Grace Live! chciał go na czwartek, z International Creative Management zadzwonił agent Mark Feinberg z za-

pytaniem, czy już ma przedstawiciela do rozmów o prawa na wydanie książki i kręcenie filmu, podczas gdy „Nightline” chciały go mieć w poniedziałek, żeby porozmawiać, dlaczego jego historia wywołała tak wielkie zainteresowanie. To już była opowieść o opowieści.

Przestał podnosić słuchawkę mniej więcej o ósmej, bo chciał zdążyć na czuwanie przy zwłokach Sama Halla, wystawionych w kościele baptystów Chrystusa Odkupiciela w Harlemie. Na miejsce dotarł, gdy było już po wizytach gubernatora, burmistrza i komendanta policji. Szybko minął przed kościołem dwie kamery telewizyjne, nie chcąc uczestniczyć w czymś, co nosiłoby tytuł: „Żałoba jako spektakl publiczny”.

Kościół był skromny, nie szerszy od standardowego sklepiku. Ściany miał wyłożone boazerią, sufit poplamiony, a zamiast organów ustawione przy podeście dla pastora elektroniczne pseudoorgany Casio. Po spędzonym w świetle reflektorów dniu miejsce to wydało się Davidowi sanktuarium, gdzie w ciszy i spokoju można kontemplować znaczenie śmierci.

Ten dzień nie powinien być poświęcony jemu, tylko Samowi. David żałował, że nigdy go lepiej nie poznał. Usiadł w ostatniej ławce i ze zdziwieniem stwierdził, że wiele z ponad pięćdziesięciu obecnych osób ma rysy podobne do zmarłego. Niektórzy wyglądali niemal jak kopiec Sama, inni robili podobne gesty. Ogólnie odnosił wrażenie, że w pomieszczeniu wszędzie rozrzucone są cząstki duszy Sama.

- Nikt z nas nie zna dnia ani godziny - powiedział pastor. David poczuł ucisk na ramieniu i odwrócił się.

- Co słyszeć, kolego?

Detektyw Noonan zachichotał chropawo i uściśnął Davidowi dłoń.

- Przepraszam, nie zauważyłem pana, kiedy siadałem - odpowiedział David, przesuwając się na skrzypiącej ławce.

- Nie szkodzi. - Detektyw znów zachichotał, tym razem nieco sztucznie. - Czuję się tak, jakby cały dzień pan za mną chodził. Co włączyć radio albo telewizor, wszędzie pan. Przez dwadzieścia lat pracy nie miałem tyle publicity, a muszę powiedzieć, że pracowałem nad kilkoma ważnymi sprawami.

David odebrał to jak upomnienie.

- Wiem, to przekracza wszelkie rozsądne granice, ale nie ma nic wspólnego ani ze mną, ani z tym, co się wydarzyło. To tylko cykl informacyjny.

- Jasne. Oczywiście.

David miał wrażenie, że i teraz usłyszał cień urazy.

- Zastanawiałem się - powiedział Noonan - czy znalazłby pan chwilę na uzupełnienie jeszcze kilku pytań. Chodzi o parę drobiazgów, które musimy wyjaśnić.

Ludzie w ławce przed nimi zaczęli z oburzeniem odwracać głowy.

- Oczywiście - odparł - ale wyjdźmy na zewnątrz, żeby nie przeszkadzać.

- Jasne. Dobry pomysł.

David wyszedł za detektywem z kościoła. Na chodniku stała dziewczyna, która wydała mu się znajoma.

- Cześć Davidzie - powiedziała, podchodząc bliżej. - Judy Mandell z „Tribune”. Zastanawiałam się, czy...

- Wynocha! - warknął Noonan i zniecierpliwiony machnął ręką w jej kierunku. - Mówiłem, żeby pani rozmawiała z LeVecquem.

Opuściła podbródek jak bokser.

- To publiczny chodnik, detektywie...

- Pieprzyć to, chodźmy. - Noonan złapał Davida za łokieć. - Porozmawiamy w moim samochodzie.

Kiedy szli przez ulicę i wsiadali do radiowozu, Judy Mandell stała na chodniku, obserwowała ich i coś notowała.

- Ta mała jest jak cierni w dupie. - Noonan trzasnął drzwiami i popatrzył na Davida. - Podjechać pod jakiś sklep i kupić panu coś do picia?

- Nie. Długo to potrwa? Wydawało mi się, że ma pan tylko jedno, dwa pytania. Muszę iść do domu i zadzwonić do syna, zanim położy się spać.

Oczy Noonana zwięzły się.

- Nie mieszka z panem?

- Nie. Jego matka i ja właśnie się rozwodzimy. - Dotychczas unikał mówienia o tym - jakby słowa mogły sprawić, że najgorsze stanie się faktem.

- Naprawdę? Nie wiedziałem. - Detektyw wyjął notes, oparł go tak samo jak poprzednim razem o kierownicę i zaczął pisać. - To ciekawe.

- Dlaczego? - David poczuł ukłucie w karku.

- Interesujące jest dowiadywać się różnych rzeczy o ludziach. To jedna z lepszych stron tego zawodu - poznawać ludzi.

David oparł się plecami o drzwi, dotknął klamki i dokładnie zapamiętał, gdzie ona jest. Od gadania przez cały dzień bolała go głowa i zaschło mu w gardle.

- A tak poza tym, co mogę dla pana zrobić? - spytał. - Zaskoczyło mnie, że przyszedł pan do kościoła, detektywie.

- To standard. - Noonan włączył lampkę na suficie. - Zawsze się przyjeżdża na czuwanie przy zwłokach. Nigdy nie wiadomo, kto może się zjawić. Czasami przychodzą nawet sprawcy.

- Naprawdę?

- Pewnie. - Noonan popatrzył na niego. Miał jeszcze bardziej zapadnięte oczy, a żyłka na skroni znów mu pulsowała. - Nie są w stanie się oprzeć. Muszą popatrzeć, jak wszystko się skończyło.

- Czy pojawił się dziś ktoś podejrzany?

- O ile wiem, jeszcze nie.

Zapadło milczenie i David poczuł swąd palącego się węgla. Spróbował otworzyć okno, ale było sterowane przyciskami z fotela kierowcy.

- W czym jeszcze mogę pomóc, detektywie? Na pewno jest pan pod sporą presją.

- Tak, ale niech się pan tym nie przejmuję. Wszyscy się przymierzają do zabrania nam tej sprawy. - Noonan słabo się uśmiechnął i przewrócił kartkę. - Chciałem zapytać, czy miał pan we wtorek w szkole torbę na książki firmy Jansport.

David musiał się zastanowić. Opowiadając tyle razy w ciągu minionych dwóch dni przebieg zdarzeń, zaczął podkreślać pewne szczegóły, a inne pomijać. Groziło to tym, że lepiej pamiętał opowieść o wydarzeniach niż ich faktyczny przebieg.

- Tak... chyba miałem. Na pewno. Miałem książki z biblioteki dla syna i strasznie się męczyłem noszeniem ciężkiej torby. - Oczywiście i teraz nie powiedział, jak potwornego miał we wtorek kaca.

- Świetnie. Nie wspominał pan o tym poprzednio. - Nie zabrzmiało to jak upomnienie, lecz jak objaw przyjacielskiego zainteresowania. - Zostawił ją pan w autobusie przed wybuchem?

David znów starał się przypomnieć sobie dokładny przebieg zdarzeń, był jednak zbyt zmęczony i zbyt wiele zbędnych myśli mąciło mu mózg. Rozmowy w telewizji, ludzie od Oprah, prawa do książki... może uda mu się wreszcie opublikować powieść, którą pisał - nosiła tytuł Podpalacz - choćby w małym wydawnictwie... Arthur. Co z Arthurem? Musiał usłyszeć jego słodki głos, inaczej nie zaśnie dziś wieczorem.

- Davidzie?

- Co?

- Zostawił pan torbę w autobusie?

- Hm, tak. Na pewno. Pamiętam. Postawiłem ją obok Sama. Nie miał nic przeciwko temu.

Wyrzął przez okno i dostrzegł dziewczynę z „Tribune”, która w dalszym ciągu stała na chodniku, obserwując ich i coś notując. Jakby sam fakt, że rozmawiają, był wart rozpowszechniania.

- Pytam dlatego, ponieważ pirotechnicy znaleźli we wraku resztki czegoś, co wygląda jak torba na książki Jansporta. Sądzi pan, że mogła to być pańska torba?

- Hm, czemu nie? Zostawiłem ją w autobusie. - David popatrzył na zegarek na desce rozdzielczej i dotarło do niego, że pozostało mu jeszcze niecałe dwadzieścia minut do zatelefonowania do Arthura.

- Jasne. Tylko sprawdzamy.

David popatrzył na detektywa i nie wiedział, dlaczego ujrzał obraz zatrzasniętych się drzwi więziennej celi.

- Czy przed wniesieniem torby do autobusu gdzieś ją pan zostawiał? Tak, żeby ktoś mógł coś do niej włożyć?

- Byłem w łazience, ale... Zaraz! Chce pan powiedzieć, że ktoś włożył mi bombę do torby? - Sama myśl o tym trafiła Davida jak cios pięścią. Przypomniał sobie potęgę eksplozji i znów poczuł złość.

Detektyw zaczął się śmiać, co zabrzmiało jak chrapliwe rżenie.

- Nie, nie, nie, nie, nie. Nic takiego. Po prostu chłopcy od bomb lubią mieć wszystko opisane i zaetykietowane. Rozumie pan? Żeby nic nie pozostawić domysłom. Chcą się skoncentrować na sednie sprawy. Na pewno pan to rozumie. Czekamy na wyniki badań z laboratorium.

Po tym wyjaśnieniu David odniósł wrażenie, że świat wypadł z orbity i przestał być tym, czym zawsze się wydawał.

- A więc, kto to zrobił? Czy chociaż przybliżyliście się do wykrycia sprawcy?

- Szybko zawężamy krąg. - Noonan uśmiechnął się i żyła na jego skroni przestała pulsować. - Niech się pan nie martwi. Dostaniemy go.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? - David popatrzył na drzwi i z zaskoczeniem stwierdził, że na czas rozmowy Noonan je zablokował.

- Nie. Dam panu spokój. - Detektyw roześmiał się i odblokował drzwi. - Wkrótce znów jednak na pewno porozmawiamy. Opowie mi pan, jak to jest zostać szczyhą.

19

Ojciec Elizabeth znów opowiadał jedną ze swych ulubionych historii, jednak z trudem przychodziło mu dobieranie słów. - Wiecie, że miałem szesnaście lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Żyda? - Poglaskał wąsy. - To prawda. Do sklepu, w którym pracowałem, weszło trzech żołnierzy. Nigdy nie zapomnę, że jeden z nich miał błękitne wodniste oczy. Do tamtej pory nie widziałem takich oczu. Mówię wam, wyglądały jak błękit nieba albo woda z dna oceanu. Były piękne, ale przeraziły mnie na śmierć. Musicie pamiętać - wtedy uważaliśmy, że Żydzi nas wszystkich pozabijają. Tak więc ten z błękitnymi oczami podszedł i wskazał palcem na worek fasoli. Potem dał mi garść izraelskich pieniędzy. Nie znałem ich języka i nie miałem pojęcia, ile te pieniądze są warte, ale w tym momencie miałem ochotę dać mu wszystką fasolę świata!

Zachichotał i Elizabeth dotknęła jego dłoni. Zawsze uwielbiała te opowieści o życiu w domu - o wszystkim fasolę świata, przejściu przez rzekę, znikającym za plecami dzieciństwie. Kryło się coś pięknego w odrobinie poezji płynącej z ust tego całkowicie prozaicznego i praktycznego człowieka. Dziś jednak jakiś cień nie pozwalał jej cieszyć się opowiadaniem ojca.

Siedzący po drugiej stronie stołu Nasser aż kipiał ze złości. Grymasił na jedzenie, rzucał na ojca i macochę pełne goryczy, oskarżycielskie spojrzenia.

Obie siostry przyrodnie Elizabeth nie zdawały sobie z niczego sprawy, siedziały przy drugim końcu stołu i szeptały do siebie, zasłaniając usta dłońmi. Chochliki. Starsza Leslie, dwunastolatka, była chuda i niebieskooka jak matka, dziesięciolatka Nadie z figury bardziej przypominała pulchnego ojca, a ze śniadej cery - przyrodniego brata.

- Możecie wstać - powiedziała ich matka Annę, kobieta czterdziestoczteroletnia, oschła jak irlandzki zimowy poranek. - Ale nie rozkręcajcie zbyt głośno telewizora. Jeszcze jemy.

Dziewczynki wybiegły z pokoju i atmosfera uległa zagęszczeniu.

- Dlaczego im pozwoliłeś? - spytał Nasser, wbijając wzrok w ojca i złośliwie drażniąc widelcem brzeg talerza.

- Na co? - George zajął się cukinią nadziewaną mieloną baraniną i ryżem w sosie jogurtowo-czosnkowym. Elizabeth wiedziała, że ojciec jest rozżalony, ponieważ żona znów nie dodała do potrawy mięty, nic jednak nie mówił.

- Na oglądanie w waszej sypialni MTV.

- Nie ma w tym nic złego - odparł ojciec bez przekonania. Nie zachowywał się jak typowy arabski mężczyzna, którego słowo jest prawem.

- Wiesz, że jest. - Nasser pomachał palcem. - Powinieneś natychmiast zablokować ten program. Mam przyjaciela, który może to zrobić.

Elizabeth wzniosła oczy, a Annę stuknęła głośno łokciem w stół. Nasser zignorował obie, broniąc swoich racji.

- Tak to się zaczyna - ciągnął Nasser. - Od drobiazgów. Telewizji. - Wskazał w kierunku sypialni. - Źle przygotowanego jedzenia. - Odsunął talerz. - Od ubierania się. - Wbił wzrok w Elizabeth.

Odwzajemniła spojrzenie, zadając sobie pytanie, dlaczego tak nagle ją zaatakował. Kiedy jechali Belt Parkway, panowała między nimi zupełnie inna atmosfera. Wytworzyło się coś na kształt bliskości, co teraz zniknęło, a Nassera przepelniała zimna furia. Przypomniała sobie siedzącego za kierownicą Jusufa, świdrującego ją wzrokiem. Jego oddech na pewno śmierdział warzywami. Nasser chyba spędzał z nim za dużo czasu.

Annę stukała palcami w stół.

Ona i Nasser nigdy się nie mogli dogadać. Kłopoty zaczęły się, gdy Nasser miał siedem lat, a Elizabeth dwa. Wszyscy kuzyni mówili o tym, jak obrzucił ją arabskimi obelgami po wyjściu za męża za ojca w meczecie przy Bond Street. Potem coraz bardziej się stawiał - ciągle się jej sprzeciwiał, a nawet bił, kiedy chciała zaprowadzić go do szkoły. Nie chciał na nią patrzeć ani podać jej ręki podczas przechodzenia przez jezdnię. Tłumaczono to niedawną śmiercią matki chłopca, lecz mimo wszystko było to nie do zniesienia. Któregoś dnia, uciekając przed nią, Nasser wybiegł na Bay Parkway między samochody i o mało nie zginął. W końcu uznano, że najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas wróci do ojczyzny. W Betlejem zachowywał się znacznie spokojniej niż na Brooklynie.

- Jeśli nie podoba ci się sposób przygotowywania jedzenia, zapraszam do kuchni - powiedziała Anne. - Spróbuj własnych sił.

- Czy mogę odejść od stołu? - Elizabeth odsunęła krzesło. - Chciałabym popracować nad esejem do college'u.

Nie miała siły słuchać kolejnych kłótni. Ostatnia doba zbyt ją wyczerpała.

- Jeszcze jedno - Nasser zwrócił się do ojca. - Już o tym rozmawialiśmy. Naprawdę zamierzasz pozwolić iść tak młodej dziewczynie do college'u? Powinieneś zadbać raczej o to, by wyszła dobrze za męża, w domu.

- Nie ty będziesz o tym decydował, nieudaczniku - odparła Anne, obdarzając Nasserę mrocznym spojrzeniem.

- Widzisz? Widzisz? - Nasser wyciągnął rękę do ojca, czekając na rozstrzygnięcie sporu na jego korzyść. - Jeszcze i to! Zamierzasz na to pozwalać?

Elizabeth rzuciła serwetkę.

- Przestań!

George przycisnął palce do brwi.

- Inszallah, dajcie mi wreszcie spokój...

Córka popatrzyła na niego ze współczuciem. Im robił się starszy, tym bardziej te walki go wykańczały, zwłaszcza że od jakiegoś czasu chorował na cukrzycę. Bywały okresy, gdy dogadywała się z Nasserem - w końcu łączyła ich religia - lecz później przychodził czas, kiedy mogłaby przysiąc, że brat świadomie próbuje niszczyć ojca.

Uzbierało się między nimi tyle goryczy... Nasser nigdy nie wybaczył ojcu przyjazdu do Ameryki i pozostawienia rodziny w obozie dla uchodźców przez rok, podczas którego zbierał w Nowym Jorku pieniądze, żeby mogli do niego przyjechać. Elizabeth, wtedy zbyt mała, niewiele z tego pamiętała, ale od powrotu przed paru Jaty Nassera po dziesięcioletnim pobycie w Betlejem, miała dość czasu, by doświadczyć jego „świętej wściekłości”.

- Nie rozumiesz tego - mówił ojciec do syna. - Czasem trzeba być jak drzewo oliwkowe i nieco się ugiąć.

- Matka nigdy się nie ugięła.

- Tak, nigdy się nie ugięła... - rysy George'a nagle zmieniły się, mięśnie pod skórą zwiotczały - tylko dlatego, że nie potrafiła uwolnić się od niczego, nawet od tego, czego zbyt dobrze nie pamiętała. Wiesz o tym, że opuściła swoją wioskę, mając cztery lata? Inszallah. A zachowywała się tak, jakby ciągle tam żyła. To ją zabiło.

- Nie! Askatl Ty ją zabiłeś! Kha'inl Kha al-'ahad! - Zdjął z szyi zardzewiały klucz i rzucił go na stół. - To ją zabiło!

W pokoju zapanowała cisza, jak gdyby wszystko pokrył ciężki całun. Z pobliskiego parkingu dolatywał warkot samochodów, a jedynym odgłosem w jadalni był cichy szcęk sztućców, gdy Annę znów zaczęła jeść.

- Była u nas dzisiaj policja - powiedziała po chwili Elizabeth. - Chcieli rozmawiać o wybuchu.

Cisza trwała dalej, ale po tych słowach coś się zmieniło. Annę odłożyła widelec, Nasser otarł usta serwetką, przytrzymując ją odrobinę dłużej niż to konieczne, George w dalszym ciągu wpatrywał się w leżący na stole zardzewiały klucz.

- Dlaczego? - spytała Annę. - Nie poszłaś przecież wtedy do szkoły. Co miałabyś wiedzieć?

Elizabeth nonszalancko przejechała końcem języka po zębach i zaczęła jeść. - Nie wiem. Mówili, że rozmawiają z każdym. Ojciec walnął pięścią w stół.

- Powiem wam, co o tym myślę! Jeśli się dowiedzą, kto podłożył tę bombę, powinni go natychmiast zabić! To drań!

- Akhra! - mruknął Nasser. - Co ty wiesz?

- Wiem wszystko o tych fanatykach. Mój ojciec aresztował kilku z nich jako policjant w Hebronie, gdzie pracował pod mandatem Anglików. Ci ludzie to gówno. Jedynie, czego chcą, to wojny z Żydami. Nie chcą pokoju, ponieważ wiedzą, że wtedy nikt nie zwracałby na nich uwagi.

Nasser spojrział przelotnie na siostrę i zaczął udawać, że studiuje wiszący nad wejściem do kuchni cytat z Koranu.

- A więc przyznali, że podłożono bombę?

Elizabeth popatrzyła ze zdziwieniem na brata. Tyle w nim kryło się rzeczy niezrozumiałych, chciała, aby jej wyjaśnił...

Były jednak sprawy, o których lepiej nie wiedzieć, których nie chce się znać. Patrzyła na brata i choć nieco odwrócił wzrok, dokładnie obserwował każdy jej ruch. Przypomniała sobie wtorek i to, że spóźnił się na spotkanie.

- Nie - odparła. - Właściwie nic mi nie powiedzieli.

- No to dobrze. - Wziął kluczyk i powiesił go z powrotem na szyi. - Nikt nic nie wie. Idę stąd.

Wstał i wyszedł z jadalni bez pożegnania.

Elizabeth patrzyła na miejsce, gdzie leżał klucz - klucz do domu rodzinnego w Gałęzistym Klasztorze. Dotychczas wydawało się jej, że wykuł go wiejski kowal, ale

teraz obraz pozostał jednoznaczny: na kluczu był napis YALE.

20

Detektyw Noonan siedział w głębi centrali dowodzenia - wielkiego, wysokiego pomieszczenia na siódmym piętrze budynku przy Police Plaza 1 i obserwował metamorfozę burmistrza, który coraz bardziej przypominał gigantyczne usta, mające zamiar przyssać się do pośladków gubernatora.

Na razie zmiana przebiegała dyskretnie - zaczęła się od drobnego wydęcia ust i wylania się z nich wodospadu słów.

- ... i oczywiście wszyscy chcemy wyrazić wdzięczność przyjaciołom z Albany, którzy pomogli nam w tak krótkim czasie. To, że pan gubernator oderwał się od swych licznych obowiązków i przyjechał do nas przemówić, jest czymś... bezprecedensowym...

Noonan poczuł się skołowany. Gubernator prawdopodobnie przyjechał z północy stanu, gdzie wyduszał fundusze wyborcze z bogatych republikańskich farmerów. A gdzie miał być, jeśli dwa dni przed jego przybyciem do miasta wybuchła tam bomba - na święcie sera w Jowa?

Na piątek rano zapowiedziano „spotkanie strategiczne”, w którym miało uczestniczyć ponad stu najważniejszych dla śledztwa w sprawie wybuchu policjantów. Po tym, jak policja oficjalnie przyznała, że chodziło o wybuch bomby, najczęściej słyszano słowo "koordynacja". Noonan spojrział w kierunku podium - siedział tam Jim Lefferts, wielki bałwan kierujący nowojorskim biurem FBI - i od razu pomyślał, że będą kłopoty.

Wszyscy wiedzieli, że Lefferts grywał kiedyś w Wisconsin w futbol amerykański i teraz wyglądał, jak gdyby zamierzał poderwać się, rozpędzić, walnąć ramieniem rumianego burmistrza z wylupiastymi oczami i zdecydowanie odepchnąć sprawę od siebie.

Dwa krzesła dalej siedział Roy Miller z wydziału zwalczania nielegalnego obrotu alkoholem, tytoniem i bronią palną - tarł oczy i pociągał się za płatek ucha. Obok niego siedział Paul Schecter, starzejący się prokurator okręgowy Manhattanu, i krzywił

się do burmistrza, który dwie kampanie temu popierał go. Niezła zbieranina - każdy chciał odkroić sobie od tej sprawy pajdę: federalni, stanowi i lokalni policjanci. Przy połączeniu działań wszystkich potężnych agencji i zebraniu do kupy ich możliwości technicznych, byłoby cudem, gdyby udało się komukolwiek znaleźć cokolwiek dla siebie.

Na razie wiedziano, że prymitywna bomba została skonstruowana z saletry amonowej, nitrogliceryny i odrobiny bawełny strzelniczej. W skrócie - był to domowej roboty ładunek dynamitowy, sterowany domowym budzikiem. Mógł go zrobić każdy idiota posiadający Książkę kucharską anarchisty albo przepis z Internetu. Z powodu zawilgocenia bomba nie zadziałała prawidłowo, jednak wybuch o niewielkiej sile spowodował przerwanie i zapalenie przewodu paliwowego, a następnie zbiornika benzyny, co skutecznie zniszczyło przód autobusu i uniemożliwiło dokładne ustalenie miejsca, w którym podłożono bombę. Z tego powodu niemożliwe stało się zawężenie kręgu podejrzanych - większość elementów bomby można było kupić w każdym pasażu handlowym albo wynieść z dowolnego szkolnego laboratorium chemicznego w Ameryce. Numer seryjny zegarka spiłowano, a najdziwniejsze, że wszystkie metalowe śrubki zastąpiono plastikowymi.

Burmistrzowi udało się na tyle utrzymać ciszę, żeby przedstawić gubernatora, który wstał i szybkim krokiem podszedł do mównicy. Był wyższy niż wyglądał w telewizji i miał brwi tak gęste, że prawdopodobnie bez trudu widziało się je, patrząc na niego z tyłu. Wygłaszał jednak przyzwoite przemówienia o konieczności walki o zachowanie prawa i porządku, jego stanowisko wobec przerywania ciąży okazało się do przyjęcia dla liberałów, a ostatnie badania opinii publicznej wykazywały, że ma poparcie gorsze od prezydenta tylko o dziesięć punktów procentowych, czyli zupełnie dobre, biorąc pod uwagę, że miał rok na wyrównanie stawki.

- Chciałbym jedynie prosić o wyteżoną pracę i przypomnieć wszystkim, jak ważne jest błyskawiczne rozwiązanie tej sprawy - zaczął. - Musimy dać głośno i wyraźnie do zrozumienia, że w tym kraju terroryzm polityczny nie będzie tolerowany.

Noonan zastanawiał się, kto mówił cokolwiek o terrorystach politycznych. Oczywiście, każdy o tym myślał, ale jak na razie nie wpłynął żaden telefon, faks, list ani e-mail, który można by potraktować poważnie. Naturalnie, powylażyły z nor świry, ludzie twierdzący, że są z „Prawa do Życia”, IRA, IRS, JDL, podający się za rebeliantów bośniackich, szyickich muzułmanów, Weathermenów, członków FALN, obroń-

ców drzew, ochrońców królików, Kurdów, przyjaciół Unabombera, kolumbijskich bossów karteli narkotykowych, członków militantnego ruchu chińskiego, Czarnego Frontu Wyzwolenia, UFT, Świetlistej Ścieżki. Dokąd to prowadziło? Do Ligi Le Leche?

Noonan ciągle powracał myślami do szkoły. Ktoś stamtąd musiał mieć związek z wybuchem. Na razie nie udało się odkryć nic, co mogłoby łączyć z wybuchem siedzącego w więzieniu chłopaka Seniqui Rollins, więc bardziej podejrzani stawali się pozostali uczniowie i nauczyciel, David Fitzgerald. Było w nim coś, co niepokoiło Noonana - skąd wiedział, że ma powstrzymać dzieciaki przed wejściem do autobusu? Dlaczego ciągle przytruwał na lekcjach o bohaterstwie? Dlaczego bez przerwy udziela wywiadów? Czyżby marzyło mu się zostać bohaterem? Gorzej - dlaczego wspomniał o pozostawionej w autobusie torbie z książkami dopiero zapytany wprost?

Przypomniała mu się sprawa Hermana Sollowaya, oskarżonego o porwanie, którego Noonan aresztował dwanaście lat temu w Holliswood. Solloway - tak się składało, że też był nauczycielem - twierdził, że w nocy wysiadł z samochodu na parkingu pod całodobową drogerią sieci „Revco” i poszedł kupić Tylenol, a kiedy wrócił, żona zniknęła. Zaczął potem odwiedzać wszystkie lokalne wiadomości, gdzie płacząc i trąc czerwone jak u baseta oczy, błagał, żeby pozwolono jej wrócić bezpiecznie do domu i obiecywał, że zapłaci każdy okup. Noonan i jego koledzy tydzień później znaleźli jej ciało na podwórku za ich domem, zakopane pod plastikowym basenikiem dla dziecka. Miała pięćdziesiąt pięć ran kłutych, zadanych przez męża.

Gubernator powoli finiszował.

- Kończąc, chciałbym podkreślić dwie sprawy. Po pierwsze, uważam, że należy zadbać w tym śledztwie o zatkanie wszelkich źródeł przecieków do prasy. Nieodpowiednie informacje mogłyby na dłuższą metę jedynie zaszkodzić...

Bardzo mądre... ale w takim razie, po co zaczynał gadkę do setki ludzi, z których każdy mógł coś powiedzieć prasie? W ciągu minionych dwóch dni Noonan miał przynajmniej dziesięć rozmów z różnymi detektywami, którzy zastanawiali się, ile zarobiłoby na książce i filmie, gdyby akurat im udało się rozwikłać tę sprawę. Cholera, jakie to oczywiste! Celem zebrania nie była koordynacja, lecz pokazanie, że gubernator DZIAŁA. Emitowana z pięćset tysięcy razy scena palącego się przed szkołą autobusu, po której przedstawiano twarz nauczyciela, wszystkim powoli zaczynała działać na

nerwy.

- Po drugie - powiedział gubernator, składając kartkę z tekstem przemówienia i wkładając ją do wewnętrznej kieszeni marynarki - kiedy sprawca tego czynu stanie przed obliczem sprawiedliwości, należy go potraktować z całą surowością, jaką przewiduje prawo, nawet jeśli miałyby to być kara śmierci. Powiedzmy jasno: odbierasz życie - płacisz życiem.

Noonanowi zrobiło się dziwnie: pewnie, traćmy głowę i pieprzmy konstytucję. A zresztą, niech to cholera! Jak mawiał szef policji: albo jesteś na wozie, albo pod wozem.

Gubernator skończył, obdarzono go oklaskami, które raczej nie mogły go usatysfakcjonować i zszedł z podium ze zmarszczonym czołem. Zebranie skończyło się i Noonan, przeciskając się między podnieconymi funkcjonariuszami, skierował się ku drzwiom. Nie miał wielkiej ochoty wracać do wydziału, nie udało mu się jednak wymknąć, ktoś bowiem za nim podbiegł i złapał go za łokieć. Był to LeVecque - puciołowaty blondynek, który kierował teraz biurem prasowym.

- To co, zobaczymy się w weekend? Pogoda zapowiada się ładna.

Noonan patrzył na niego, jak gdyby LeVecque właśnie zaproponował mu randkę. Zaraz jednak przypomniał sobie, że gość kilka razy zostawiał w wydziale wiadomość, zapraszając go z partnerem do swego domu na wyspie.

- Może wpadniemy - mruknął Noonan.

Policyjny instynkt powstrzymał go przed jednoznaczną odmową. Ostatnio krążyły plotki, że LeVecque skumplował się z komendantem i należy się z nim obchodzić jak z jajem. Poza tym Kelly z pewnością zechce skorzystać z możliwości łyknięcia darmowego piwa.

- To świetnie - odparł LeVecque z wymuszonym uśmiechem. - Będzie mi pan mógł opowiedzieć nowości w tej sprawie.

- Pewnie... - mruknął pod nosem Noonan, odwracając się. - Tobie i każdemu szeregowemu gliniarzowi w stanie...

21

W piątek o wpół do piątej David i Arthur oglądali w Metropolitan Museum of Art uzbrojenie rycerzy. Musieli tu przyjść - wybuch bomby nie miał prawa zmienić trybu jego życia.

- Popatrz na tego, Arthur. - David podniósł syna, żeby lepiej widział manekina ze stalowym mieczem, ubranego w czerwoną szatę z białym krzyżem. - To krzyżowiec. Walczył u boku Ryszarda Lwie Serce, aby odebrać Maurom Jerozolimę.

- Super! - Arthur aż zadygotał, przechwytyjąc entuzjazm ojca. - A potem wrócili i pomagali Robin Hoodowi, prawda?

- Hmm... Niezupełnie. Nie wszyscy są do końca przekonani, że Robin Hood w ogóle istniał, ale jeśli chodzi o Ryszarda Lwie Serce, to wszystko jest pewne. Po tym, jak Maurowie wyrwali z kopuły na skale święty krzyż, walczył z Saladynem.

Boże, zachowywał się wobec syna jak nauczyciel, lecz nie umiał inaczej. Chciał przekazać swoje zauroczenie tymi legendami. Arthur patrzył przerażonym, ale równocześnie zachwyconym wzrokiem.

- Kiedy miałem tyle lat co ty, często tu przychodziłem. - David postawił Arthura na podłodze i ujął go za rękę. - Zmuszałem matkę do przychodzenia niemal co tydzień, choć z Atlantic Beach to kawał drogi. Mogłem chodzić po tych salach godzinami, udając, że jestem jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu albo świętym Jerzym i walczę ze smokiem.

- Chciałbym, żebyś i ty mógł mnie tu tak często przyprowadzać. - Arthur pociągnął Davida za palce, prowadząc go do siedzącego na koniu germańskiego wojownika. Zarówno rumak, jak i jeździec byli zakuci w grawerowane zbroje.

- Wiem... - niemal jęknął David.

Od separacji ich wyprawy i przygody stały się rzadkie i zbyt odległe w czasie. David obawiał się, że napięcie wokół niego zbruka i zniszczy dzieciństwo syna. Nawet gdyby spędzali ze sobą trzy dni w tygodniu, byłoby to za mało.

- Czy dziadek zabierał cię tutaj?

Pytanie zaskoczyło Davida. Jego ojciec zmarł trzy i pół roku temu i sądził, że Arthur nie pamięta starego drania.

- Nie, chłopie. Zazwyczaj przyprowadzała mnie babcia.

- Ale on był przecież żołnierzem!

- Pewnie, że był.

- Nie chciał przychodzić tu z tobą, bo nie chciał oglądać broni? - Arthur podniósł wzrok na ojca, czekając w napięciu na potwierdzenie, że David miał dobry kontakt ze swoim starym - bohaterem wojennym.

- Chyba tak. - David lekko się uśmiechnął. - Chyba miał dość broni.

Prawda była taka, że ojciec nigdy nie rozmawiał o wojnie. Dla dorastającego Davida Patrick Fitzgerald wyglądał jak zwykły pracownik gazowni z przedmieść, zapijający się co wieczór w trupa przed telewizorem. Poza starą bronią i starymi mundurami w garażu, nie pozostało żadnych śladów po osiemnastolatku, który wbiegł na wzgórze i zabił kilku Japończyków, z których paru mogło być w wieku jego ojca. David zawsze chciał zadać pytanie: Jak to zrobiłeś? Jak mogłeś być tak cholernie odważny, kiedy srałeś w gacie?

Ojciec nigdy mu o niczym nie opowiadał, niczego nie uczył. Jedyne momenty, które można by uznać za przekazanie synowi czegoś o życiu albo o wojnie, miał miejsce wtedy, gdy David przyjechał kiedyś z uniwersytetu i poszli do kina na „Czas Apokalipsy”. - W środku psychodelicznej sceny na moście, kiedy w niebo rozcinają fajerwerki, żołnierze malują sobie twarze i nikt nie wie, kto do kogo strzela, ojciec złapał go za ramię, wskazał na ekran i wydyszał: „O tak! Tak właśnie było! Nic sienie dzieje i nagle robi się piekło. Zostaje ci jedno: po prostu musisz iść dalej!”

David miał nadzieję, że oferował synowi więcej stawy duchowej, lecz nie był o tym do końca przekonany. Separacja z Renee spowodowała, że różne fragmenty życia Arthura znalazły się jakby za zasłoną.

- Jak się dogadujesz z Antonem? - spytał i ruszył za synem do gabloty z samurajami.

- To palant.

David gwałtownie się zatrzymał, w głowie zadzwonił mu dzwonek alarmowy.

- Kto cię nauczył tego słowa?

- Anton. - Chłopiec przycisnął nos do szkła, robiąc do samurajów minę w stylu świński ryj.

- Nie podoba mi się to, poza tym odsuń twarz od szyby. Wyrzucą nas stąd. - David ujął syna za bark i odwrócił go ku sobie. - Dlaczego nie lubisz Antona?

- Po prostu go nie lubię.

- Dlaczego?

Arthur wykręcił się ojcu i poszedł usiąść na ławce.

- Powiedział, że nie uratowałeś kierowcy.

- Hmm... - mruknął David i pomyślał: Pieprzyć go, a co on zrobił? - Mama ci opowiedziała, co się zdarzyło tamtego dnia?

- Coś w tym stylu. Rozmawialiśmy też o tym w szkole.

David usiadł i patrzył jak Arthur macha nogami, ledwie muskając podłogę czubkami stóp. Chłopiec był jak na swój wiek nieco zbyt kościsty, co wyzwało w Davidzie ogromną potrzebę opiekowania się nim. Przejmował się tym, że Arthur wychodził codziennie na plac zabaw z uniesionym podbródkiem i ściągniętymi łopatkami niczym mały odważny żołnierz, a zawsze wracał do domu zdyszany i zapłakany, ponieważ jakiś rozrabiaka zabrał mu zabawkę.

- Cóż, może powinienem więcej ci powiedzieć, kiedy ostatnio się widzieliśmy, ale

nie chciałem cię martwić. Słyszałeś pewnie, że wybuchł autobus i musiałem pomóc wyciągnąć jedną z dziewcząt.

- Uratowałeś ją?

- Nnno... tak. Tak. - David nie wiedział, jakich użyć słów, nie chciał bowiem przesadzać ze swoją odwagą, a równocześnie pragnął, żeby Arthur był z niego dumny.
- Można powiedzieć, że ją uratowałem.

Na twarzy Arthura znów pojawiła się mieszanina przerażenia i fascynacji.

- Złapali tych, którzy to zrobili?

- Jeszcze nie, ale ich złapią. Na pewno.

Arthur przez kilka sekund siedział w milczeniu, myśląc o tym, co usłyszał. Jego mina odzwierciedlała kolejne emocje. Noga poruszała się w przód i w tył, pięć razy... dziesięć razy... aż uderzył piętą w spód ławki.

Podszedł do nich strażnik, krępy mężczyzna z uniesionymi barkami i wąsikami nadającymi jego twarzy nieco zwierzęcy wygląd. David był pewien, że chce zwrócić Arthurowi uwagę, aby nie kopał w ławkę, ale zamiast tego strażnik podał mu program muzeum i ołówek.

- Chciałem prosić pana o autograf - powiedział. - Widziałem pana dziś w „Today”.

- Nie ma sprawy. - Davidowi od razu ulżyło. Kiedy wziął program, żeby go podpisać, czuł na sobie uważny wzrok syna.

Ciekawe, co on myśli?

Strażnik odebrał program, uśmiechnął się z wdzięcznością, ukazując złote korony, uściśnął Davidowi dłoń i poszedł. David zadawał sobie pytanie, czy uznał go za kogoś ważnego.

- Tato, chciałbym z tobą mieszkać - powiedział nagle Arthur.

- Dlaczego? Dlatego, że ktoś mnie poprosił o autograf?

- Nie, ponieważ mama ciągle wariuje. - W jego głosie pobrzmiwał ton jak z kre-skówek, który pojawiał się zawsze, gdy coś go dręczyło, a nie chciał tego okazać.

- Bardzo?

- Uważa, że sąsiedzi nas podsłuchują.

- Cóż, pani Harris z mieszkania obok jest dość wścibska. - David doskonale pamiętał pełne dezaprobaty spojrzenia staruchy, kiedy się wyprowadzał.

- Mama się też przypiekła...

- Ajjj... - Dzwonek alarmowy w brzuchu Davida znów się rozdzwonił, tym razem nieco głośniej. - Jesteś pewien, że to nie był przypadek?

- To nie był przypadek. Cały czas kłóci się z Antonem, a potem zamyka się w pokoju, płacze i nie chce wyjść. Bez przerwy śpiewa tę idiotyczną piosenkę „Kimono My House”.

- Cudownie... - syknął David, niczym opona, z której ulatuje powietrze. Arthur wydawał się zdezorientowany.

- Dlaczego powiedziałeś „cudownie”, tato?

- Tak sobie. To takie głupie powiedzenie.

Gdzieś w zakamarkach umysłu Davida od dawna czaił się strach, że ten dzień kiedyś nadejdzie, zawsze jednak starał się odsuwać myśl o tym. A więc zbliżał się na-wrót...

Popatrzył na syna i dopiero teraz zauważył, że ma na nogach za małe buty.

- Czy odprowadza cię rano do szkoły i robi ci kolacje?

- Czasami. - Arthur pokręcił stopami. - Ale często jest chora.

A więc sytuacja się zmieniła. Dotychczas David godził się z myślą, że do czasu, gdy znów się zjedzą, będzie się z nią dzielił opieką nad Arthurem. Ktoś mu kiedyś powiedział, że każdy chłopiec potrzebuje matki, tak jak nurek tlenu, teraz jednak przewód tlenowy zaczynał się płątać.

Nic nie zapowiadało pojednania między nimi, natomiast ostra walka z Renee o opiekę nad dzieckiem należała do ostatnich rzeczy, jakich sobie życzył. Była chora i potrzebowała pomocy, i mógł mieć tylko nadzieję, że nie popadnie w zbyt uzależniający związek z Antonem.

Ale co będzie, jeśli jednak dojdzie do walki i on wygra? Samotne wychowywanie syna nie należało do jednorazowych wyczynów, tak jak wyciągnięcie kogoś z płonącego autobusu. Opieka nad Arthurem składała się z męczących szczegółów: pamiętania o nieustannym noszeniu inhalatora, przygotowywaniu go do szkoły, dobieraniu mu kolegów do zabawy i pilnowaniu terminów wizyt lekarskich. Wymagało to umiejętności logistycznych Machiavellego i wykonawczych Pattona. Niestety, poza klasą David nigdy nie umiał radzić sobie z takimi drobiazgami jak terminowe płacenie rachunków czy malowanie mieszkania. Zawsze był zbyt zajęty czekaniem, aż wydarzy się coś wielkiego.

- Wiesz, jeśli powiem mamie, że chcesz ze mną mieszkać na stałe, bardzo się zderwuje.

Arthur patrzył na niego bez słowa. Jakby chciał powiedzieć: a więc zamierzasz mnie zdradzić, tak?

- Poza tym, musiałbym wynająć większe mieszkanie.

Tam, gdzie teraz mieszkał, w małym mieszkanku przy Sto Dwunastej Zachodniej, za które płacił miesięcznie siedemset dziewięćdziesiąt osiem dolarów, znajdowały się dokładne kopie niemal wszystkich zabawek Arthura i dwie szuflady jego ubrań. Czy mógłby sobie pozwolić na więcej? Zarabiał niewiele ponad pięćdziesiąt tysięcy rocznie, a większość jego pensji szła na alimenty, wydatki związane z Arthurem i na opłacenie adwokatów. Do tej pory każdy z adwokatów - jego i Renee - kosztował go po dziesięć tysięcy. Perspektywy na publikację książki miał niewielkie, niewielkie też

miał szanse ukończenia doktoratu, który od lat leżał w szafie w skrzynce po mleku. Może w Coney Island High School uchodził za wspaniałego nauczyciela, ale w społecznej hierarchii rodziców dzieci z przeciętnego placu zabaw na Upper East Side zajmował najniższe miejsce.

Spotkanie z sędzią i psychiatrą, wyznaczone na jutro razem z Renee, zapowiadało się nieciekawie. Do rzadkości należało przyznawanie ojcu pełnego prawa do opieki nad dzieckiem... Spostrzegł, że Arthur na niego patrzy i w tym spojrzeniu kryła się pewność: Jeśli udało ci się uratować dziewczynę z autobusu, uda ci się uratować także mnie.

- Wiesz, w dalszym ciągu mam nadzieję, że się z mamą dogadamy - powiedział tęsknie.

Arthur pokiwał głową.

- Wątpię - odparł głosem przypominającym dużego chłopaka.

- Tja, zobaczymy...

David poklepał syna po ramieniu i poszli dalej oglądać rycerzy. Zatrzymali się przy gablocie z włoskimi szlachcicami w kolczugach i przyłbicach. Wtedy David zadał sobie pytanie, czy byłoby go na to stać? Czy udałoby się tak poprowadzić wojnę z Renee, żeby nikt nie został skrzywdzony? Ale w końcu uznał, że warto się nad tym zastanawiać. Życie zmuszało do konkretnych posunięć: nie mógł zostawić syna, nie próbując mu pomóc.

Arthur pociągnął go za nadgarstek.

- Tato, mogę o coś poprosić? - O co?

- Możesz dać mi swój autograf?

22

W piątek wieczór Jsuf wprowadził Nassera do salonu, w którym drobny mężczyzna w ciemnym garniturze bez krawata popijał kawę. Nie wstał, tylko patrzył gdzieś

obok Nassera - jakby spodziewał się, że wejdzie za nim ktoś godniejszy uwagi.

- Keefhalikl Co słychać? - Nasser spróbował się przedstawić i wyciągnął rękę, ale przyjaciel Jusufa ignorował go, patrząc w bok.

- A więc to jest ten idiota, który podkłada bomby pod szkolne autobusy? - spytał po arabsku, odstawiając filiżankę.

Nasser nie był w stanie zareagować; wydawało mu się, że usta ma pełne piachu. Lustrował go wielki bohater wojny w Afganistanie, strzelaniny w Kairze i lotu numer pięćset dwa. Niższy i chudszy, niż Nasser się spodziewał, miał płonące czarne oczy, wąską, długą końską twarz i spiczastą jak sztylet brodę. Jusuf uprzedził, że należy się do niego zwracać per „doktorze Ahmed”, nie zdradził jednak, z jakiej dziedziny otrzymał doktorat.

Według Jusufa był wszędzie i nigdzie, posiadał pięć paszportów i pięć różnych nazwisk. Bywał Egipcjaninem, Palestyńczykiem, Irańczykiem, Syryjczykiem, nawet Kuwejtczykiem. W latach siedemdziesiątych prowadził studenckie rewolty przeciwko szachowi, walczył z sowieckimi okupantami, a przed popadnięciem w niełaskę podłożył wiele bomb, które zabiły dziesiątki Izraelczyków. W rzeczywistości zachowywał się dość dziwnie - jak grymaśne dziecko, każdym gestem okazujące, że jest wybredne. Mówił i robił wszystko dwa razy za szybko - jakby chciał podkreślić, z jaką niecierpliwością czeka na swój wielki powrót.

- Powiedziałeś, że podłożysz hadduta w szkole, a położyłeś ją pod autobusem... - powiedział doktor Ahmed, kiwając się lekko w fotelu, w którym Jusuf nikomu nie pozwalał siadać, i energicznie trąc chustką nos.

- Było tam mnóstwo ochroniarzy, szejku. - Nasser usiadł na kanapie i zaczął się bronić. - Zbyt wielu świadków, kamery...

- Jesteś idiotą, przyjacielu - powiedział doktor, gwałtownym ruchem odłożył chustkę i wziął filiżankę z kawą. - Co do tego, wszyscy się zgadzamy.

Nasser rozejrzał się i stwierdził, że Jusuf schował sprzęt kulturystyczny i lewe kasety wideo i powiesił obraz meczetu Al Aksa. Z pokoju zniknęły też opakowania z McDonalda. „Szejku, jak możesz tak żarliwie wierzyć i tak wygodnie żyć w tym bez-

bożnym kraju?” - spytał go kiedyś Nasser, na co Wielki Niedźwiedź odparł: „Dostawanie się to podstęp. Zawsze musisz mieć dwa oblicza - jedno dla przyjaciół, drugie dla wrogów - ale nigdy nie wolno ci ich mieszać”. Najwyraźniej gość nie przyjmował do wiadomości takich wymówek.

- Wsadzenie szkoły nie jest wcale złym pomysłem - powiedział doktor, dmuchnął w kawę i popatrzył na miejsce tuż pod brodą Nassera - ale dlaczego robić to źle? Uczynić z tego żart. O co tu chodzi? Możesz mi wyjaśnić?

- Powiedz mu, szejku - odparł Nasser, szukając wsparcia w Wielkim Niedźwiedziu. - Powiedz, dlaczego to zaplanowaliśmy.

Zamiast wyjaśnić, jak zamierzali popsuć wizytę gubernatora, Jusuf tylko kaszlnął i połknął kolejną pigułkę z nitrogliceryną.

- Wydaje mi się, że to ty wymyśliłeś, przyjacielu - powiedział łagodnie.

Nasser wbił w niego wzrok. Tego się należało spodziewać. Miał wziąć na siebie całe niepowodzenie, a Jusuf Wojownik, ojciec, którego nigdy nie miał, nie zamierzał mu pomóc. Palły go kąciki oczu, puchł mu język, więc tylko głośno przełknął i zamilkł.

- A więc powstało jedynie małe zamieszanie, niczego nie dokonano. - Doktor Ahmed najpierw skrzyżował, a potem wyprostował nogi, jakby nagle rozczarowany swoim wzrostem. - Oglądałem w Egipcie międzynarodowe wiadomości CNN i ledwie tam o tej sprawie wspomniano. W „al-Hajaj” nic nie napisano. Taka bomba powinna ukrywać się w wiadomościach przez tygodnie, zamiast tego jedyne, co osiągnąłeś, to poszukiwanie przez policję.

- Nic nie wiedzą - wymamrotał Nasser, nie mogąc się nadziwić, co oni się spodziewali zobaczyć w wiadomościach.

- Ty też! - Doktor przeciął powietrze wściekłym ruchem dłoni. - Po co to zrobiłeś? Żeby zabić kierowcę? Ty psi synu! Nie powinniśmy się nawet do tego przyznawać!

- Bardzo mi przykro...

Przez chwilę zastanawiał się, czy Jusuf zaprosił go po to, żeby pomóc doktorowi wrócić na scenę, czy na wykonanie wyroku śmierci.

- Gdzie znalazłeś tego imbecyla? - spytał Jusufa doktor Ahmed. - Popatrz na niego! Spójrz jaki jest blady! To w ogóle Arab?

- Oboje moi rodzice pochodzą z Palestyny, szejku. - Nasser dotknął dłońmi policzków. Znow się wstydził, że nie może wyhodować sobie odpowiedniej brody.

- Krzyżowcy musieli wyruchać parę twoich prababć. - Doktor spojrzął w dół i parsknął na widok timberlandów Nassera. - A co to za buty? Kowbojskie?

- Prezent od ojca. Zdawało mi się, że to buty robocze.

- Ta Ameryka to zaraza. Wnika w ciebie i osłabia. Jeśli nie będziesz ostrożny, zniszczy cię. - Doktor Ahmed wstał i lekko kulejąc, zaczął okrążyć Nassera ciasnym kołem. Obserwował go jak okaz. - Jusuf powiedział mi, że twój ojciec ożenił się z Amerykanką. Czy twoje siostry są wychowywane jak Amerykanki?

- Nie, szejku. Zachowały godność.

- To dobrze. Przynajmniej tyle. - Ahmed westchnął i znow dmuchnął w kawę. - Nie ma nic ważniejszego od godności rodziny.

- Allahu akbar - skwitował to Nasser.

Zadziwiająco jak szybko nabrał chęci wywarcia na tym człowieku wrażenia. Wynikało to po części ze świadomości, jaką ma przeszłość, głównie brało się jednak stąd, że doktor się w niego uważnie wpatrywał. Jak gdyby uważał wszystkich ludzi za dokuczliwe insekty. Przed takim spojrzeniem można się albo skulić, albo znaleźć sposób odparowania go. Przypominał Nasserowi twardych mężczyzn w ojczyźnie - takich, którzy nie pozwalają się Izraelczykom klepać po twarzy.

- Szejku, wiem, że źle zrobiłem, ale jestem gotów to naprawić - powiedział Nasser.

- Byłem ciekaw, czy to powiesz. - Doktor Ahmed kuśtykał wokół niego coraz

szybciej i szybciej, jakby chciał, żeby Nasserowi zakręciło się w głowie. Kawa w filiżance wirowała i dymiała. - Czy wiesz, co to znaczy dżihad. To święta wojna.

- Wiem.

Ahmed zatrzymał się i przysunął twarz do twarzy Nassera. Pachniał jak zatęchłe krakersy i poczekalnie na lotniskach.

- To oznacza, że nie przestajemy działać. Jasne? Zabijemy wszystkich złych ludzi i doprowadzimy do tego, że w każdej chwili swego życia będą się bać.

- To właśnie chciałem zrobić.

- Ale zawiodłeś. To nie jest dżihad. To upokarzające. - Nozdrza Ahmeda falowały, jakby czuł odór porażki. Nasser bał się, że zaraz chluśnie mu w twarz kawą.

- Wiem. To się nie powtórzy.

- To dobrze. - Doktor Ahmed usiadł, a wyraz jego twarzy wcale nie świadczył o tym, że jest przekonany. - Niektórzy z naszych przywódców też popełniają błędy i nie doceniają bojowników, którzy się dla nich poświęcali i dzięki którym zdobyli znaczenie. - Przerwał. Wyglądał na bardzo zgorzkniałego. - Ale to się skończy. Mówisz więc, że chcesz w tym uczestniczyć?

- Tak, ale...

- Nie ma Boga prócz Allaha - przerwał mu doktor i znów zaczął kuleć, chodząc w kółko. Zaciskał dłoń na filiżance. - Walka, która prowadzimy, trwa od tysiąca czterystu lat. Rozumiesz? Możesz znać jakiegoś Amerykanina i zaprzyjaźnić się z nim, tak? Walczycie ze sobą, ale godzicie się i znów jesteście przyjaciółmi. Z nami jest inaczej. Rozumiesz? My walczymy do końca. Następne, co zrobimy, to nie będzie szkolny autobus. Dotknie to wielu, wielu osób. Wszędzie będą leżeć ciała. Zabijemy, ilu się tylko da. Rozumiesz? Zginą nawet kobiety i dzieci. Jasne? Będą leżeć na ulicy z poodrywanymi rękami i nogami. Tak jak w pasażu handlowym w Jerozolimie.

- Oczywiście - odparł Nasser, próbując powstrzymać drżenie kolan.

- Niektórzy powiedzą, że tak nie należy, że to haram. Że Koran tego zabrania. Że nie należy zabijać niewinnych, ale to nie zwykła wojna. To jest dżihad, święta wojna. W świętej wojnie każdy jest żołnierzem. Możemy zabić ich matki i każdą ich siostrę zgwałcić dziewięćset tysięcy razy, a i tak nie wyrówna to krzywd, jakie nam uczynili. Mam rację?

- Nie ma Boga prócz Allaha - powiedział Nasser.

- Inszallah. - Doktor Ahmed skinął głową i napił się kawy.

- Allahu akbar - dodał Jusuf.

Nasser wahał się, nie wiedział, czy teraz na niego przyszła kolej wezwać Boga.

Zaczął dumać nad tym, jak doktor strzelał do turystów w autobusie w Kairze. Bez trudu mógł sobie wyobrazić tego pełnego wściekłości niedużego mężczyznę, wydymającego wargę nad błagającą o życie ranną kobietą, pozwalającego jej nieco odpełznąć i pociągającego za spust. Perspektywa współdziałania z tym człowiekiem przerażała, ale jeszcze bardziej przerażało go przeciwstawienie się mu. O jego przyszłości postanowiono wczoraj, na tylnym siedzeniu taksówki. Jeśli Bóg znałby lepszą drogę, na pewno by mu ją wskazał.

- A więc masz serce ze stali? - Doktor Ahmed zatrzymał się i zajrzał do filiżanki, jakby się zastanawiał, czy kawa jest jeszcze na tyle gorąca, by mogła kogoś poparzyć.

- Tak, mam.

- Allah jest najwspanialszy! - dodał Jusuf.

Z jakiegoś powodu Nasser nie miał ochoty patrzeć na Wielkiego Niedźwiedzia. Czuł się zdradzony przez przyjaciela, który nie stanął w jego obronie. Z drugiej strony przeżył bez pomocy, więc doktor Ahmed szybciej go zaakceptuje.

- A więc jesteś gotów uczynić wszystko, czego zażądam? - spytał doktor, dokończył kawę i zakreślił ostatnie kółko. - Będziesz żołnierzem w świętej wojnie, więc żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie. Będziesz walczył do końca bez względu na koszt. Nie przestraszysz się, widząc umierających. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem. - Powiedział to, lecz w dalszym ciągu coś w nim walczyło z tym, co go czekało w przyszłości, jakaś część chciała uciec od zagłady.

Doktor Ahmed musiał wyczuć wahanie Nassera, zatrzymał się bowiem przy nim z prawej strony i odstawił filiżankę na talerzyk z delikatnym błękitnym szlaczkiem.

- Oczywiście, jeśli coś się nie podoba, powinieneś odejść. Nikt ci nie będzie przeszkadzał.

Po tych słowach wszystko w pokoju znieruchomiało. Czuło się jedynie cichuteńki oddech śmierci. Doktor zniknął Nasserowi z pola widzenia i z powrotem się tam pojawił.

- Nie chcę odejść. Jeśli taka jest wola Boga, zrobię to.

23

Jak na razie weekend z Arthurem był dla Dawida pełen radości, ale i niepokoju. Gdziekolwiek poszli, rozpoznawano go. Dwóch pasażerów w przepełnionym metrze ustąpiło im miejsca, kelnerka w restauracji „Lucky’s” przy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy kupiła Arthurowi specjalny deser lodowy z soczystymi wiśniami i dodatkową śmietaną, a pracujący na rogu Columbus i Osiemdziesiątej Szóstej ulicy robotnicy wyleźli z wykopanej w jezdni dziury i poprosili Davida o autografy. Kiedy podpisywał się na podstawianych gazetach, Arthur zaczął podskakiwać i krzyczeć:

- To mój tata! Któregoś dnia zrobię to samo co on!

Po powrocie do domu okazało się, że automatyczna sekretarka jest pełna wiadomości. Usiedli na dywanie i zaczęli jeść chipsy, słuchając jak ludzie Matta Lauera pytają, czy miałby w przyszłym tygodniu czas zagrać w golfa, Geraldo zaprasza go na kolację, a ludzie Barbary Walters namawiają, żeby spędził kilka nocy w „Waldorfie”. Wiedział, że ta orgia zainteresowania długo nie potrwa, a fala popularności musi opaść, ale w maleńkim, nie do końca pomalowanym mieszkaniu, zastawionym półkami, z których wysypywały się książki, i kilkoma zniszczonymi meblami, które udało mu się uratować z poprzedniego mieszkania, trudno było nie dać się temu porwać.

Niełatwiona pozostawała sprawa z Renee. W piątek wieczorem zadzwonił do

niej, żeby porozmawiać o prośbie Arthura. Sprawiała wrażenie napiętej i zdekoncentrowanej. Powtórzył więc słowa syna, że chciałby z nim zamieszkać na stałe, a ona odwiesiła słuchawkę.

Teraz była już sobota, siedzieli w biurze doktora Allana Ferry'ego, przed chwilą zaczęła się „specjalna sesja” i przepełniał go strach.

Doktor Ferry miał na sobie luksusową białą koszulę w czerwone paski, o odcieniu zbliżonym do barwy dywanu i ścian, krawat w maleńkie pandy, a kiedy się uśmiechał, ukazywał lekko żółtawe zęby. Specjalizował się w psychiatrii sądowej, a do jego zadań należało przeprowadzenie rozmowy z małżonkami i przekazanie wniosków sędziynie, która miała podjąć decyzję o opiece nad dzieckiem. Początkowo mówiło się jedynie o formalności, bowiem małżonkowie mieli zamiar ustalić wszystko ku obopólnej zgodzie.

- Zacznę może od pytania, co państwa tu dziś sprowadza - powiedział doktor.

David zeszywniał. Bardzo mu zależało na zrobieniu dobrego wrażenia, nie chciał okazać, jak bardzo jest zdesperowany.

Renee usiadła metr od niego, zdjęła buty, wyciągnęła przed siebie długie nogi, a na oparciu fotela postawiła puszkę po dietetycznej coli, która służyła jej jako popielniczka. Była w bierno-agresywnym, defensywnym nastroju, z którym David nigdy nie umiał sobie radzić. Na grzbiecie lewego nadgarstka miała jasno-czerwoną bliznę - przypominająca oparzenie papierosem.

- Nie wiem - zaczęła i nerwowo potarła nogę. - Nie wiem, po co tu jestem. David zadzwonił wczoraj wieczorem i zaczął oskarżać mnie o to, że nie dbam o syna! To szaleństwo! Wariactwo. - Zaciągnęła się papierosem, rozsypując przy tym drobiny popiołu na dywan doktora. - Chce mi zabrać Arthura.

Doktor przyglądał się jej przez chwilę, najwyraźniej próbując zrozumieć, jak głos bazarowej przekupy może pasować do rysów i figury modelki. David stwierdził, że bez najmniejszej wątpliwości stan psychiczny Renee gwałtownie się pogorszył. Może przestała brać leki? Sama myśli, że Arthur, który bawił się w pokoju obok klockami doktora, wróci z nią dziś do domu, stawała się niepokojąca.

- Martwię się jedynie o ciebie, Renee - spokojnie powiedział David. - To wszystko.

- Och, jak ty się martwisz... Bardzo się martwisz. Dlatego się ze mną rozwodzisz?

- Nie sądzę, żebym to ja się z tobą rozwodził, Renee. - Odwrócił fotel, aby popatrzeć jej w oczy. - Zdawało mi się, że podjęliśmy tę decyzję wspólnie.

- Jasne! - Renee znów się zaciągnęła papierosem. - Mów do mnie jeszcze!

Doktor Ferry wyszczerzył żółtawe zęby.

- Może to i dobry początek, lecz wolałbym zacząć od tego, co spowodowało, że małżeństwo państwa znalazło się w takim stanie?

- Nie wiem. W tym problem. - Renee pstryknęła popiół do puszki. Na ułamek sekundy jak gdyby zmięła. - Jednego dnia jestem mężatką, do tego szczęśliwą, a następnego już nie. Nie wiem, co się stało. Wszystko rozleciało się jak dmuchawiec. Myślał pan kiedyś o tym w ten sposób, doktorze? Miłość jest jak dmuchawiec. Pewnego dnia rozejrzałam się wokół siebie i Davida nie było. Na pewno nie ma pan normalnej popielniczki?

Co się dziś działo? Choć David usilnie się nad tym zastanawiał, nie mógł za nią nadążyć. Kiedy mieszkali razem, czasem potrafił przewidzieć jej dzikie nastroje i przygotować się na nie, tak jak rodzina epileptyka, przygotowując się na atak, odsuwa krzesła. Odkąd żyli w separacji, stracił jednak wycucie i nie wiedział, co zaraz nastąpi. Trochę było mu jej żal, a trochę się jej obawiał.

- Proszę państwa - przerwał doktor Ferry, starając się przejść do konkretów. - Spróbujmy skoncentrować się na kilku zagadnieniach.

- Zagadnieniach?! - wykrzyknęła Renee, wyrzucając w górę ręce. - Zagadnieniach? Zagadnienie jest takie, że Davidowi wydaje się, iż może sam się opiekować Arthurem, a nie jest w stanie należycie zająć się sobą samym! Widział pan jego mieszkanie? Widział pan jego kartę kredytową? Nie może dokończyć doktoratu! Widział pan kiedyś napis nad jego biurkiem? NIECH BÓG MNIE UCHRONI PRZED SKOŃCZENIEM CZEGOKOLWIEK. To cały on!

- Dobrze, zapamiętajmy to. - Doktor przerwał jej podpatrzonym u sędziów gestem. - Sądzę, że więcej osiągniemy, jeśli porozmawiam z każdym z państwa osobno. Renee, mogłaby pani...

- Tak, jasne, jasne. - Już zbierała buty i papiery. Po chwili wyszła do poczekalni. David powtarzał w myśli: „Weź leki, Renee. Weź leki”.

Zostawiła palącego się papierosa na puszcze. Ich małżeństwo należało do zawikłanych i bardzo delikatnych, a Renee zawsze była swym najgorszym wrogiem.

- Znakomicie! - Doktor Ferry odetchnął i odprężył się. - O czym mówiliśmy?

- O rozwodzie i dlaczego do niego doszło. - David przyjrzał się wiszącemu na ścianie dyplomowi doktora. Psychiatria sądowa. Czy nie byli to specjaliści od trupów? W każdym filmie detektywi mówili: „Czekamy aż dowody wrócą z sądówki”.

- Czasami ważniejsze wydaje mi się zadanie pytania, dlaczego dana para wzięła ślub. - Doktor zakreślił w powietrzu kółko ołówkiem.

- Ciekawe podejście. - David zamilkł i zaczął się wsłuchiwać w głos Renee, która w poczekalni zaczęła coś mówić do Arthura.

- A więc, dlaczego wzięliście państwo ślub?

- Nie wiem. - David uśmiechnął się odruchowo. Przypomniawszy sobie dni pełne nadziei. - Poznałem ją w Columbii w klasie, w której uczyłem i nie mogłem oderwać od niej oczu. Emanował z niej magnetyzm. Poruszała się jak tancerka, inaczej niż zwykli ludzie.

- A więc fascynacja fizyczna. - Głos doktora brzmiał przyjemnie, kojąco.

- Nie, więcej. - David pogłaskał się po brodzie. - Pasowaliśmy do siebie.

- To znaczy?

- Ponieważ jej matka śpiewała w big-bandach i nie tylko nie zrobiła kariery, ale

przestała interesować się córką, Renee zawsze odczuwała wielką potrzebę zostania artystką. Ja chciałem zostać wielkim pisarzem, więc wspieraliśmy się w naszych iluzjach. Wie pan jak to jest, kiedy jest się z kimś pierwszy raz? To tak, jakby się tworzyło spisek przeciw reszcie świata.

-1 co się stało? - Doktor uniósł brew.

- Chyba nasz konspiracyjny związek się rozpadł. - David przerwał i popatrzył na dłonie. - Świat nas rozgryzł i nie okazał się aż tak zachwycony.

- W jaki sposób każde z was radzi sobie z rozczarowaniem? - Doktor toczył koniec żółtego ołówka po wardze.

- Różnie. Mnie było prawdopodobnie łatwiej, ponieważ uczyłem i miałem oparcie w dzieciakach ze szkoły. Z Renee wyglądało to nieco inaczej. Pamiętam, jak poszła do madame Cecile, sławnej nauczycielki baletu ze studium przy Columbus Avenue, i wróciła zdruzgotana. Miał to być przełom w jej karierze i gdyby się udał, czułaby się tak, jak gdyby nareszcie matka ją zaakceptowała, ale madame Cecile nagrała jej występ na wideo i wyśmiała ją, twierdząc, że jest zbyt ciężka i za stara na tancerkę. Odtąd Renee zjeżdżała z równi pochyłej. Próbowwała dalej, ale kiedy coś nie udawało się, nie mogła się pozbierać. Zapadała się coraz głębiej i głębiej w czarną dziurę. Nie chcę nadmiernie upraszczać, miała problemy, których nie da się wyjaśnić okolicznościami, ale... ona jest... jakby... - szukał słów, żeby najlepiej to wyrazić - nawiedzana raz smutkiem, a raz radością.

Przypomniały mu się różne sceny: Renee dostająca ataku w trakcie świętowania trzydziestych urodzin i tłukąca kieliszek w drogiej restauracji w śródmieściu. Renee w ciąży, leżąca na kanapie i płacząca pod gorejącym wzrokiem Margot Fonteyn. Renee zamknięta w łazience, podczas gdy półroczny Arthur leżał zasikany w łóżeczku i darł się wniebogłose. Na myśl o tym, jak niechcący podbił jej oko, kiedy spróbował wylać drzwi do łazienki, David się skrzywił.

- Fachowe pojęcie brzmi „zaburzenie dwubiegunowe” - powiedział doktor, patrząc w akta.

- Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że jest nieszczęśliwa.

- Jak próbował jej pan pomóc?

- Z początku robiłem wszystko, co mogłem. - David nieco się odwrócił, bo to, co miał powiedzieć, czynił niechętnie. - Próbowałem ją nakłonić, żeby zgłosiła się do psychiatry. Słuchałem, co ma do powiedzenia, ćwiczyłem z nią, mówiłem, że ją kocham... wszystko, co byłem w stanie wymyślić. - Westchnął. - Po jakimś czasie zaczęło mnie to jednak męczyć i wyłączałem się. Podczas jej humorów siedziałem w kuchni, popijałem bourbona i poprawiałem zeszyty. Albo sadzałem Arthura w wózek i szliśmy na długi spacer, żeby nie mieć z nią do czynienia. - Spuścił wzrok. - To nie było zbyt bohaterkie, prawda?

- Takie jest życie - odparł doktor, kiwając ołówkiem. - Sto tysięcy drobnych decyzji, które się sumują. Nie co dzień ma się okazję ratowania komuś życia.

David poprawił się w fotelu, świadom, że został lekko upomniany.

- Tak moja matka zwykła mówić do ojca: „Nie ma sensu raz w tygodniu być bohaterem, a w pozostałe sześć zerem”.

Doktor zapisał to.

- To ładny aforyzm.

- Ładny - mruknął David. - I co z tego? I tak siedział tylko w swoim fotelu i co wieczór zapijał się w trupa.

- Wracając do państwa małżeństwa - powiedział doktor - a więc doszedł pan w którymś momencie do wniosku, że nie jest pan w stanie więcej pomóc żonie.

- Cóż... - David odchrząknął. - Mam też swoje problemy. Wydaje mi się, że ona... że ściągaliśmy się nawzajem w dół.

- I tak był pan zaabsorbowany własnymi problemami, że nie potrafił uratować małżeństwa?

- Może nie do końca. Wytrzymałem, ile się dało, dla dobra Arthura.

Papieros Renee wpadł do puszki i zgasł z sykiem.

- Na jakiej podstawie uważa pan, że lepiej sobie poradzi, wychowując syna sam?

- O cholera... - David splótł palce.

TRAFIONY - ZATOPIONY! Tak powiedziałyby dzieciaki. Wbił wzrok w wiszącą na ścianie reprodukcję obrazu Francisa Bacona, przedstawiającą mężczyznę zamkniętego w szklanej klatce.

- Nie wiem... - zaczął powoli. - Moje życie można określić jako improwizację... może niektórzy nazwaliby to niedojrzałością... cóż, bądźmy uczciwi, w życiu prywatnym nie osiągnąłem zbyt wiele, ale jestem nauczycielem i to cholernie dobrym! Mogę się zmienić. - Z każdym słowem czuł, jak przybywa mu pewności siebie, w końcu nawet patrzył prosto na doktora. - Kocham Arthura i zrobię wszystko, żeby był szczęśliwy. To, co mówi Renee, może i jest prawdą, nie dokończyłem w życiu kilku spraw, lecz jeśli chodzi o Arthura, wszystko wygląda inaczej. Tu nie ma dyskusji, chcę być konsekwentny do końca.

Zamilkł i zapatrzył się w doktora, starając się odgadnąć, czyjego słowa przyniosły efekt. Tętno mu gnało, niecierpliwość chwili wysysała z niego soki. Stracił małżeństwo, teraz groziła mu utrata Arthura, zwłaszcza jeśli Renee postanowi się przeprowadzić.

- Samotne wychowywanie dziecka to wielka odpowiedzialność - powiedział Feny.
- Jak przebiegł weekend z synem?

- Fantastycznie. - David odetchnął. - Mieliliśmy dwa wspaniałe dni. Jeździliśmy po mieście i jadł wszystko, co przed nim postawiono, nie tylko precelki. Od miesiący nie widziałem go tak szczęśliwego.

Doktor Ferry przez kilka sekund żuł ołówek rozmyślając o tym, co usłyszał. David zaczął mieć nadzieję, że jego rachunek sprawdzi się. Doktor chyba zaczął go traktować poważnie. Może przyzna mu prawo do opieki.

- Wie pan co... - stwierdził w końcu doktor - widziałem Arthura kilka razy i muszę powiedzieć, że znacznie się poprawił, odkąd jest pan sławny...

- Tak pan uważa? - David chciał, żeby zabrzmiało to nonszalancko, ale był spięty jak zawodnik, który przygląda się, czyjego piłka spadnie w pole czy na aut.

W poczekalni z hukiem przewróciło się krzesło i Arthur wykrzyknął BUMMM! David niemal widział Renee: zmarszczone czoło i kolejny papieros, zapalany pod znakiem zakazu palenia.

- Mam na myśli, że sprawia wrażenie znacznie pewniejszego siebie - wyjaśnił doktor. - W zeszłym tygodniu był w bardzo kiepskim stanie, ale teraz wyszedł ze skrupy. Widzi pańską twarz w gazetach i słyszy swoje nazwisko w telewizji, wie, że burmistrz zamierza dać panu nagrodę. Jego tata jest bohaterem. To dobrze wpływa na jego pewność siebie.

David z wysiłkiem powstrzymał uśmiech.

- W czym więc problem?

- W tym, co się stanie, kiedy to się skończy.

24

Boże, temu idiocie wystają jaja z majtek... Noonan był zde gustowany. Znajdowali się w ogrodzie za domem Johna LeVecque'a w Hempstead, gdzie odbywało się przyjęcie przy grillu. Partner Noonana leżał na białej leżance, pił jednego budweisera za drugim i robił się coraz bardziej pijany, kompletnie się nie przejmując tym, że z luźnych szortów wystaje mu kawał obrzydliwej, czerwonej moszny.

Gdyby to od niego zależało, Noonan wcale by nie przyszedł. Nazbierało się mnóstwo pracy, poza tym nigdy nie popierał kumpłowania się z niższymi szarżami, ale co polityka to polityka. Zadzwo nił do niego stary kumpel Tommy Vaughn z pierwszego wydziału i potwierdził, że LeVecque spiknął się z komendantem - nawet pisał za niego felietony do „Post” - więc uczestnictwo w tej balanzce stało się musem.

Noonan kręcił się po ogrodzie i próbował tak rozmawiać z dwudziestoma paroma gliniarzami, żeby nie powiedzieć nic istotnego na temat bomby w autobusie. Ci, którzy posiadali o tym istotne informacje - nie pytali, ci, którzy ich nie posiadali - nie powinni

nic wiedzieć.

Kelly zaczął go martwić. Spod żywoplotu obserwował, jak jego partner wypija piątą piwo, a następnie łapie żonę LeVecque'a za pasek, przyciąga do siebie i błaga o następne. Taki facet to katastrofa - mógł powiedzieć wszystko, na szczęście wydawało się, że pani LeVecque nie zwracała uwagi na jego słowa. Prezentowała typ szczupłej lalki o twardych rysach. Ubrana w dzinsy projektu któregoś z kreatorów mody i ciasny kusy pulowerek w stylu top, ewidentnie bawiła się denerwowaniem męża, flirtując z gośćmi.

- Ma pan co jeść? - LeVecque przysunął w jego stronę papierowy talerzyk z hamburgerem.

Noonan wbił w niego wzrok, aż LeVecque się cofnął.

- Dziękuję, mam wszystko co trzeba. - Poklepał się po płaskim brzuchu. - Ostatnio muszę przestrzegać diety.

- Mam hot dogi bez azotynów, mogę wrzucić parę na ruszt. - LeVecque uśmiechnął się. Wyraźnie zależało mu na zdobywaniu sympatii. - Nie ma problemu.

- Dziękuję, przez kilka dni jem tylko ryby. - Noonan pomachał chudymi palcami. - Mój ostatni partner miał kłopoty z sercem.

Doskonale pamiętał, jak zeszłego lata próbował reanimować Franka Rowana, który stracił przytomność w trakcie meczu siatkówki na plaży. Biedak nie doczekał przyjazdu karetki. Zaczynało to powoli wyglądać tak, jak gdyby jego partnerzy byli przekłęci.

- Jak idzie śledztwo w sprawie autobusu? - pogodnie spytał LeVecque.

Noonan odwrócił się ku niemu i spiorunował go wzrokiem rodem z filmu „Poranek żywych trupów”.

- Niech pan trzyma prasę z daleka, to prędzej rozwiążemy sprawę - odparł.

- Nieźle was chyba naciskają z góry.

Detektyw uśmiechnął się kwaśno. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że okazywana mu sympatia jest jedynie pretekstem do wydobycia od niego informacji.

- Zajmowałem się masą spektakularnych spraw. Naciski nic nie znaczą. Sprawa albo jest do rozwiązania, albo nie.

Kątem oka dostrzegł, że próbując złapać żonę LeVecque'a za tyłek, Tom Kelly o mało nie spadł z leżanki. Na szczęście gospodarz stał odwrócony plecami i nie zauważył tej radosnej zabawy.

- Na pewno wie pan, że burmistrz i komendant spotykają się co dzień, starając się o to, by Połączony Oddział Antyterrorystyczny FBI nie zabrał nam tej sprawy - mruknął LeVecque.

- Jak powiedziałem: to nic nie znaczy.

Z zasłoniętego moskitierą okna na piętrze buchnęła muzyka reggae, a za nią wyleciał kłęb dymu. Do zapachu pieczonych kiełbasek dołączył się cierpki odór marihuany. Nastoletniego syna LeVecque'a najwyraźniej bawiło wydmuchiwanie dymu z trawki na goszczonych przez ojca gliniarzy. Musiał go nieźle nienawidzić. Noonan pomyślał o własnym synu, Larrym, który też przechodził fazę buntu - u niego objawiał się nierozmawianiem z rodzicami i przekłuwaniem każdego wolnego centymetra ciała kolczykami. Detektyw posmutniał - pamiętał czasy, kiedy chłopak był słodkim pięciolatkiem, bawiącym się rękawicą do baseballu i tęsknie proszącym o pogranie z nim.

- Więc co mam mówić dziennikarzom? - spytał LeVecque.

Noonan przyjrzał się pulsującej na szyi rzeźnika tętnicy i uniósł brew.

- To, na co ma pan ochotę. Trzydziestu naszych ludzi pracuje nad tą sprawą przez całą dobę, dochodzi FBI, ATF i Bóg wie, kto jeszcze, próbując wleźć nam na plecy. Przesłuchaliśmy każdego, kto był wtedy w okolicy, wszystkie dzieciaki ze szkoły, mechaników, którzy mieli kiedykolwiek do czynienia z tym autobusem, teraz rozmawiamy z absolwentami z ostatnich lat i byłymi pracownikami. Kilka dni i nocy nad resztkami wraka pracowali technicy w laboratoriach, a chłopcy od pirotechniki przeczesali każdy centymetr chodnika, używając psów i spektrografów.

- Co z nauczycielem?

- Co ma z nim być?

Noonan poczuł, że znów zaczyna mu pulsować żyła na skroni.

- Skąd pańskim zdaniem wiedział, że ma jeszcze pół minuty, czy ileś tam, powstrzymać dzieciaki przed wsiadaniem do autobusu, bo będzie wybuch? Nie wydaje się to panu dziwne?

- Pyta pan dla własnej informacji, czy mówię do magnetofonu?

Przyjaciel komendanta czy nie, Noonan nie zapominał, że facet był kiedyś dziennikarzem, a dziennikarzom nie wolno ufać. Bill Ryan, stary wyga z „Tribune”, kiedyś mu to wyjaśnił: gdy pracuje się nad artykułem, nie liczą się żadne granice.

- Zapytała o to ta Judy Mandell - wyjaśnił LeVecque z grymasem zażenowania - ale pomyślałem sobie, że warto mieć odpowiedź, gdyby komendant zapytał...

Noonan jęknął.

- Jeśli zapyta, proszę go odesłać do mnie. Skąd ja mam to w ogóle wiedzieć? Powstrzymał dzieciaki, ponieważ chciał je przeliczyć. Może to szczęśliwy zbieg okoliczności, może zauważył coś i nie umie tego nazwać? Panu nigdy się coś podobnego nie zdarzyło?

Noonan nie zamierzał ujawniać niczego, zanim nie będzie gotów. Jak na razie, tylko czterem ludziom zdradził swe podejrzenia wobec Fitzgeralda.

Doleciał do nich wrzask i Noonan odwrócił się, by ujrzeć Toma Kelly'ego i żonę LeVecque'a, skrzęcających się w napadzie kretyńskiego śmiechu. Kelly objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Nie stawiała większego oporu. A niech to cholera... ona też była pijana.

Tym razem LeVecque wszystko zauważył i aż poczerwieniały mu uszy. Niemal wbrew woli, Noonanowi zrobiło się go żal. LeVecque odwrócił się znów w jego stro-

nę, ignorując upokorzenie i wracając do interesów.

- Wie pan na pewno, że burmistrz, gubernator i komendant mają dać mu w środę nagrodę. Temu nauczycielowi.

Noonan złapał się za czubek nosa i powiedział coś, co przez długi czas miało go nawiedzać w snach.

- W tym sęk...

W tym momencie dotarło do niego, że nie ma wyboru. Musiał pomóc szefowi i ratuszowi. Zwłaszcza że otrzymał tę informację z Atlantic Beach... Mógł mieć jedynie nadzieję, że LeVecque nie będzie zbyt naciskał.

- Co jest? - LeVecque wytrzeszczył oczy, a taca z hamburgerami o mało nie wypadła mu z rąk. - Coś nie tak?

- Nnnieeee...

Noonan odwrócił się i patrzył, jak jego partner znika w domu z panią LeVecque. Przyjęcie coraz bardziej zbliżało się do granicy dzielącej niezręczną sytuację od ewidentnej katastrofy, jednak LeVecque był tak zaaferowany rozmową, że świata poza tym nie widział.

- Czy jest z tym człowiekiem jakiś problem, o którym powinniśmy wiedzieć? - spytał.

- Nie, jest w porządku... - Noonan patrzył na drzwi, które zatrzasnął za sobą jego partner.

- Proszę posłuchać - powiedział z napięciem LeVecque - ostatnią rzeczą, jakiej nam potrzeba, to sprowokowanie niezręcznego ruchu ze strony burmistrza i komendanta, więc jeśli jest coś nie tak z Davidem Fitzgeraldem, muszę to wiedzieć.

Noonan zwlekał, zastanawiając się, czy istnieje inny sposób rozegrania tej partii. Z jednej strony LeVecque należał do ludzi komendanta i popędzenie go nie wchodziło w rachubę, z drugiej dało się przewidzieć, co zrobią takie dziennikarki jak Judy Mandell. Przejeżdżają po człowieku jak walce drogowe.

- Może warto odwlec ceremonię przekazania nagrody o jakiś tydzień - powiedział ostrożnie. - Aż wszystko sprawdzimy.

- A więc macie go na oku?

Noonan zacisnął usta i skinął głową. Podjął decyzję.

- Tak, mamy go na oku - mruknął niemal zde gustowany swoimi słowami. - Lecz nikt nie musi o tym wiedzieć.

LeVecque rozdziawił usta i Noonan natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd. Dał czarodziejską różdżkę uczniowi czarnoksiężnika i było jasne, że nie zrobi z niej dobrego użytku.

- A więc to on...

- Tego nie powiedziałem - stwierdził ostrzegawczym tonem Noonan.

- Boże, to niesamowite! Nigdy bym go o to nie podejrzewał.

Noonan skoczył, przysuwając twarz tak blisko do LeVecque'a, że aż rzecznikowi hamburgery zsunęły się z tacy na koszulę.

- Posłuchaj pan... - wysyczał Noonan spokojnie, dobitnie - nie interesuje mnie, ile felietonów napisałeś pan dla komendanta, ale jeśli choć jedno słowo z tego, co powiedziałem, znajdzie się w prasie, przyjdę w nocy do pańskiego domu i zastrzelę jak psa. Czy mówię jasno?

LeVecque popatrzył na plamę tłuszczu na koszulce polo, potem uniósł wzrok na Noonana. Jego twarz wyglądała jakby została ściśnięta przez drzwi metra.

- Nie zamierzam z nikim rozmawiać.

Noonan wpatrywał się w LeVecque'a kilkadziesiąt sekund, dając mu przedsmak tego, jak w komisariacie na Coney Island odbywa się przesłuchanie przykutego do krzesła podejrzanego.

W tym momencie trzasnęły drzwi i z domu wybiegła zaróżowiona i spocona pani LeVecque.

- Detektywie Noonan, chyba powinien pan przyjść! - zawołała. - Pańskiemu partnerowi coś się stało w naszej sypialni i potrzebuje pomocy. Obawiam się, że to udar.

25

Wszystko skończyło się nagle i niespodziewanie. Telefon zadzwonił w poniedziałek rano, zastając Davida w gabinecie, gdy zamierzał rozmawiać z Kevinem Hardisonem i Elizabeth Hamdy, którzy przyszli w sprawie eseju. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos młodej kobiety.

- Dzień dobry, czy mówię z Davidem? - Bez względu na to, kim była, okazała się na tyle energiczna, że choć to ona dzwoniła - chciała się go jak najszybciej pozbyć.

- David Fitzgerald przy telefonie. - Podniósł palec, prosząc Kevina i Elizabeth o cierpliwość.

- Dzień dobry, tu Amy Grossman z biura burmistrza. Boże, ale kazali mi czekać, wasze telefony są do luzu! W każdym razie chciałam przekazać, że środowa ceremonia przekazania nagrody została przełożona.

- O!

Coś w tonie jej głosu spowodowało, że David poczuł się, jakby wrzucono mu za koszulę kostkę lodu.

- Tak, mamy zbieżność terminów. Gubernator leci do Buffalo, a burmistrz musi być w Queens.

„Burmistrz musi być w Queens?” Powiedziała to, jak gdyby opisywała nerwicę natręctw.

- Na kiedy termin został przesunięty? - spytał David i otworzył notatnik.

- Po ustaleniu nowego terminu, ktoś z naszego biura do pana zadzwoni - powiedziała ze stanowczością kogoś znacznie starszego.

David popatrzył na Kevina, który próbował przymilać się do Elizabeth.

Co się do cholery stało?

W ciągu kilku godzin z jarzącego się centrum wszechświata środków masowego przekazu stał się nikim. Wiedział, że nie będzie w dzisiejszych wiadomościach najważniejszą postacią, bowiem rzecznik Izby Reprezentantów wczorajszej nocy zastrzeżił kochankę, kota, a potem siebie, ale czyżby jego piętnaście minut naprawdę już minęło? Przedstawiciele połowy programów, w których miał umówione występy, zadzwonili, odwołując zaproszenia, druga połowa po prostu przestała reagować na telefony. Wszyscy zajmowali się sprawą rzecznika. Geraldo i Barbara Walters już go nie potrzebowali. Spadł z afisza.

- A więc porozmawialiśmy - stwierdziła Amy Grossman z biura burmistrza.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie ontologiczne. A więc porozmawialiśmy? A więc istniejemy? Co dalej?

- Wie pani, gdzie mnie znaleźć - powiedział David, jeszcze nie całkiem gotów do zaakceptowania codzienności.

- Oczywiście, będziemy w kontakcie. - Amy Grossman odłożyła słuchawkę, skazując go na codzienność.

David siedział przez chwilę bez słowa i wpatrywał się w leżące na biurku sterty niepoprawionych prac i szarych kartonowych teczek. Nagle, niczym smród, przepełniło go rozczarowanie. Wszystko wydało mu się byle jakie: zimna filiżanka kawy rano, długa kolejka do antycznej kserokopiarki, używane książki i spotkania z szefem wydziału, przeciągi w klasach, Lany Simonetti i budżet szkoły. A jeszcze kilka dni temu jego nazwisko wymieniał prezydent Stanów Zjednoczonych!

Czuł różnicę między realnym życiem a byciem na topie. Siedzenie na szczycie kojarzyło się ze śmiganiem luksusowym autem, realne życie z harówką. Życie na topie było bajkowe - orgazmiczne - ponad wszystko - atrakcyjne - seksowne - dowcipne.

Realne życie to ciężka praca, rozczarowanie, pryszcze i cellulitis, ciągła walka, która w efekcie nic nie przynosiła. Choć niechętnie to przyznawał, fajnie jest być kimś znanym. Jeździć długimi limuzynami i siedzieć w zielonych pokojach z gwiazdami kina. Spotykać nieznajomych, którzy w obecności syna robili wokół niego zamieszanie.

Przyłożył pięść do czoła. Nadszedł czas rozpocząć resztę życia. Oczywiście nie zachowa się jak strażak, który na południu stanu wyciągnął ze studni dziewczynkę, a potem, gdy przestano zwracać na niego uwagę, popełnił samobójstwo. Miał obowiązki: uczyć, rozmawiać z uczniami, zajmować się nieśmiałym i targanym konfliktami synem. Musiał odpowiedzieć na mnóstwo telefonów, napisać masę ocen, przebijać się przez bizantyjską biurokrację, zapłacić rachunki, skończyć doktorat.

Odwrócił się do czekających uczniów. Kevin ciągle próbował dobierać się do Elizabeth, lecz dziewczyna na nic mu nie pozwalała. Kiedy spróbował objąć ją w pasie, odsunęła go na długość wyciągniętej ręki i lekko uniosła kolano.

David stwierdził, że między popularnością a młodzieżowymi rytuałami seksualnymi jest pewne podobieństwo: im więcej się dostaje, tym więcej się chce, a im mniej ma się na początku, tym mniej chce się dostać.

- Dobra, na czym stanęliśmy? - Zmusił się do koncentracji na zadaniu. Pamiętaj: jesteś nauczycielem, a nie przyszłym gościem talk-show!

- Yo - prychnął Kevin i zaczął dreptać w miejscu jak ogier w za małym boksie. - Na eseju.

- W czym problem? - spytał David, pociągając się za ucho.

- Zastanawiałem się, ponieważ spodobało się to panu w klasie, że mógłbym napisać o Shawnie De Shawnie.

David uśmiechnął się, wyczulony na szykujące się drobne oszustwo.

- Hm, chyba byłoby lepiej, gdybyś napisał pracę porównującą Shawna z kimś, o kim czytaliśmy w którejś z książek.

- Aua, człowieku... - Kevin rozdziawił usta, błyskając koronami, na których nie

miął dziś swoich inicjałów, lecz symbole dolara. - Chce pan powiedzieć, że mam którąś przeczytać?

- Wyglądasz, jakbyś nie mógł w to uwierzyć.

- Nie mogę dać kogoś z życia?

David pokręcił głową. No tak... po to właśnie był - dawać odpór wygłupom.

- Poruszyło mnie to, co powiedziałaś w klasie, ale nie chcę ci pozwolić w eseju tego wykorzystać. Jasne? Jeśli opowiada się coś zbyt często, zaczyna tracić znaczenie. Mówię z doświadczenia.

Kevin popatrzył na swoje buty, niezbyt speszony tym, że go przyłapano.

- Więc co mam zrobić?

- Chciałbym, żebyś zmusił się do wysiłku. Stał się trochę lepszy od swych sąsiadów. Sięgnął do obszarów doświadczeń innych ludzi. Oczywiście idea poprawy szacunku wobec siebie samego jest świetna, ale kiedyś trzeba wyjść poza tę granicę. A może myślisz, że jesteś bardziej błyskotliwy od Szekspira albo Tołstoja?

- Nie... - Myśl ta rozbawiła Kevina.

- Więc nie pozostawaj przy pisaniu tylko o sobie. Czytaj książki. Może coś z nich skorzystasz.

Świetnie, wracamy na stare tory. Kevin pokiwał głową, pojmując chyba, o co chodzi, Elizabeth słuchała uważnie, w śliczny sposób mrużąc oczy. David czuł, jak poprawia mu się nastrój - tak, tu jest jego miejsce!

- Przyjdź do mnie jutro o tej samej porze. - Zrobił znak w kalendarzu. - Wybrałem książkę specjalnie dla ciebie. Okkej?

- Okkej. - Kevin machnął ręką, imitując salut i wyszedł.

- A teraz ty. - David odwrócił się z fotelem, żeby popatrzeć na Elizabeth.

Uśmiechnęła się i skromnie spuściła oczy. Miał nadzieję, że nie czuje się skrępowana jego spojrzeniem. Dziś nie miała na głowie hijab, ciemne włosy opadały luźno na ramiona. W dżinsowym stroju wyglądała jak przeciętna amerykańska dziewczyna. Widząc ją pierwszy raz, trudno byłoby określić dokładnie, czym się różni od rodowitych Amerykanek. Jedyne wnikliwy obserwator mógłby zauważyć tę odmienność i zaliczyć ją do grupy kobiet o delikatniejszej budowie, bardziej eterycznych niż większość Amerykanek.

- Muszę z panem porozmawiać.

- Wiem. Przepraszam, że to tyle trwało, ale ostatnio napotykałem mnóstwo przeszkód.

Tak, dokładnie: przeszkód. Miał wrażenie, że pozwolił, aby w ciągu kilku dni potężna machina mediów wciągnęła go i zmieniła część jego osobowości.

- Hm... chciałam... to znaczy... - Zamachała rękami w powietrzu, uśmiechnęła się i wbiła wzrok w nogę fotela Davida, nie wiedząc, jak zacząć. - Chciałam...

- Tak?

Zrobiła dwa maleńkie kroczki w jego kierunku i zatrzymała się, nie przygotowana do przekroczenia pewnej granicy. Zachowywała się dziś nietypowo, niepewnie. Musiało chodzić o coś ważniejszego niż esej.

- Znalazłam temat - powiedziała trochę za szybko. - Do eseju o niedoskonałym bohaterze.

Nie zabrzmiało to przekonująco, ale David nie zamierzał interweniować. Dzieciaki czasem tak się zachowywały i należało pozostawić im swobodę w dotarciu do sedna.

- To dobrze.

- Aha. - Wyraźnie sama siebie poganiała, jakby bała się, że straci koncept. - Myślałam o tym, żeby napisać o Tessie d'Urberville.

- Naprawdę? - David podrapał się po brodzie. - Na czyje zajęcia przygotowywałaś się, czytając o niej?

- Na niczyje. Przeczytałam sama, dla przyjemności.

Uwielbiał tę dziewczynę i w jakiś wariacki sposób także tę szkołę. Gdzie znalazły się klasa z niechlujnym Kevinem, któremu, choć ledwie sobie radzi na lekcjach gimnastyki, marzy się kariera w gangu i próbuje podrywać Arabkę o łabędziej szyi, czytającą w wolnym czasie Latorośl wielkiego rodu?

- Tja, Tessa jako niedoskonała bohaterka... - David postukał palcami w biurko, rozważając tą myśl. - Brzmi obiecująco. Ciekaw jestem, co z tego zrobisz. Musiałabyś jednak porównać jej postać z bardziej tradycyjnymi bohaterami.

- Oczywiście. - Zmarszczyła czoło i poruszyła ustami, jak gdyby sama siebie upominała. - Powinnam o tym pomyśleć. - Zamilkła i zapatrzyła się w podłogę. Wysunęła duży palec jednej stopy, który wyglądał niczym dotykający płótna pędzel.

David patrzył wyczekująco.

- Chcesz porozmawiać o czymś jeszcze?

Za jego plecami powstało jakieś zamieszanie - w oczekiwaniu na dzwonek schodzili się nauczyciele angielskiego.

- Właściwie jest jeszcze coś... - powiedziała Elizabeth, przyciskając do piersi torbę z książkami i patrząc przez ramię na idących korytarzem uczniów. - Nie wiem tylko, jak zacząć.

Czyżby zaszła w ciążę albo wydarzyło się coś podobnego? Nie wyglądało to Davidowi na ciążę, raczej na niepokój z innego ponurego powodu. Latynosi bardzo obrazowo określają strach: zjadać własną głowę. Elizabeth wyglądała jak ktoś, kto zjada własną głowę. Postanowił zgadywać i w ten sposób jej pomóc.

- Chodzi o wizytę brata?

Zamknęła na sekundę oczy, nie wiadomo, czy z ulgi czy też ze wstydu.

- Tak. Mniej więcej.

Przeszła Donna Vitale, mrugając przyjaźnie zdrowym okiem.

- Z twoim bratem jest wszystko w porządku. Uczyłem go kilka lat temu. - David próbował zmieścić kolana pod zbyt niskim biurkiem. - Myślę, że chce dobrze.

Elizabeth stała, zbliżając palce stóp do siebie. Obejrzała się dwa razy przez ramię, wciągnęła policzki, poprawiła paski torby. Najpierw zamach, teraz rzut - ujmując to w terminologii sportowej.

- Ma pewne... zamiary. Hm, rzut zza węgła.

- Co mam zrobić, jeśli przyjdzie do mnie z obawami dotyczącymi ciebie?

- Nie wiem.

Miał wrażenie, że nie udało mu się porządnie trafić w piłkę. Musiał poczekać na następną.

Zadzwonił dzwonek na przerwę, na korytarzach rozległ się tętent, jakby biegły nimi stada bawołów, zmieniając się na schodach w dźwięki przypominające lawinę. David popatrzył na zegarek - wpół do trzeciej. Za godzinę musiał być na Manhattanie i spotkać się ze swoją adwokat, Beth Nussbaum.

- Przepraszam, Elizabeth, ale trochę się spieszę. Możesz podejść ze mną kawałek do metra?

Zarzuciła torbę na ramię i wyszła za Davidem. Poszli korytarzem i zaczęli schodzić obudowaną siatką klatką schodową. Korytarze na parterze pełne były hałasujących dzieciaków, które, jak wszystkie małolaty od początku świata zachowywały się niegrzecznie i gwałtownie, przekonane, że jeszcze nikt nie wykrecił takiego numeru, jaki im właśnie przyszedł do głowy. Przez tłum przeciskał się Larry Simonetti, machając rękami i krzycząc bez większego skutku:

- Z drogi! Z drogi!

Prawie wszystko wróciło do normy. Nawet jakiś dzieciak podskoczył i dotknął czubka jego głowy. Mimo to David czuł się inaczej, odseparowany od tego, co się dzieje.

Do jednej z klas w głębi korytarza wszedł Noonan z drugim detektywem i David zadał sobie pytanie, kiedy zatrzymają podejrzanego. Boże, od momentu oficjalnego ogłoszenia o podłożeniu bomby, minął już cały weekend... David w dalszym ciągu obawiał się, że za wybuch był odpowiedzialny ktoś ze szkoły.

- Twój brat - powiedział David, otwierając Elizabeth drzwi na parking - nie chce, żebyś szła do college'u.

- Nie chce, żebym robiła cokolwiek. - Elizabeth wyszła i rzuciła torbę na asfalt. - Ciągłe mnie obserwuje, przyjeżdża sprawdzać do szkoły, upiera się odwozić do domu, tak jak dziś. Nie może się pogodzić z rzeczywistością. Przyjechał tu zarabiać, tak jak ojciec, ale nie umie zaakceptować tutejszego stylu życia. Nic mu nie pasuje: ani styl ubierania się ludzi, ani sposób ich rozmowy. Nie podoba mu się, że nie noszą chusty, bo uważa, że w metrze będą mi się przyglądać chłopcy.

- Niekonały brat.

- No tak. - Zanurzyła dłoń w gęstych ciemnych włosach i zaczęła je powoli przesywać palcami. - Pamiętam jak któregoś dnia, niedługo po przyjeździe Nassera do Ameryki, ojciec zabrał nas wszystkich do cyrku. W przerwie jeden z klaunów wstał i zaczął tańczyć jakiś śmieszny taniec, jakąś lambadę czy coś w tym stylu, na co mój brat poderwał się i zaczął ciągnąć ojca za rękę, wołając, że musimy natychmiast wyjść, ponieważ dziewczynie nie wypada czegoś takiego oglądać. Ze ioharam. Uwierzy pan? Cyrk jest haram. Filmy są haram. Guma do żucia Wrigleya \es\haram

, z powodu jakiegoś enzymu, który się w niej znajduje. Pączki Saharami.

- College też jest haram?

- Tak, ale... - dotknęła szyi i przesunęła palcami po obojczyku. - To nie wszystko. Jest jeszcze coś, o czym muszę panu opowiedzieć. Próbowałam o tym nie myśleć, ale to ciągle wraca.

- O co chodzi?

Popatrzyła przez ulicę, gdzieś za Astroland, w kierunku znajdującego się niedaleko Steeplechase Pier olbrzymiego, rdzewiejącego, metalowego grzyba, z którego kiedyś ćwiczono skoki na spadochronie. David czuł, że coś w tej dziewczynie dojrzeła i zaraz wybuchnie - miał tylko nadzieję, że nie wyzna nagle, iż się w nim zadurzyła. Jak dobrze byłoby znów mieć osiemnaście lat - wieczorem poszliby na randkę, a w obecnej sytuacji należało pilnie przestrzegać układow, jakie obowiązywały nauczycieli i uczniów.

- Dlaczego nie mogę tego tak po prostu powiedzieć? - Popatrzyła na Davida i tupnęła ze zdenerwowania. - Czasami mówi pan na lekcjach o gotowości podjęcia ryzyka... właśnie teraz próbuję.

- Nie denerwuj się. - Przyłapał się na tym, że położył jej dłoń na ramieniu, więc szybko ją cofnął. Zasada numer jeden każdego nauczyciela: Nigdy nie dotykaj dzieciaków.

Nasser obserwował ich z parkingu. Od dwudziestu minut siedział w czarnym Lincolnie i czekał, aż siostra wyjdzie bocznym wyjściem.

Martwił się o nią od chwili, gdy wspomniała przy kolacji o wizycie policji. Chciałby się dowiedzieć, co im powiedziała, jakie zadawali pytania. Czy poinformowała ich o tym, że się spóźnił na zakupy? Po przesłuchaniu przez doktora Ahmeda nie był pewien, czy jego mała siostrzyczka poradziła sobie z bezkompromisowym wypytywaniem przez policję.

Nie chciał też, aby uważała, że ją śledzi i naciska, więc kupił jej prezent: piękną nową hijab, zrobioną z lekkiego materiału, z powplatanymi we frędzle metalowymi ozdobami. W sklepie „Płodny półksiężyc” przy Atlantic Avenue chusta kosztowała piętnaście dolarów, ale wydatek opłaci się, kiedy ujrzy jej minę. Chciał udowodnić, że rozumie jej potrzeby i niepokoje. Najwyraźniej nie chciała nosić starej hijab, ponieważ uważała, że wygląda w niej nieatrakcyjnie, ale ta na pewno jej się spodoba, była bowiem - choć bez przesady - bardziej stylowa i nowoczesna.

Ciekawe, czy matka zaakceptowałaby ten zakup. Wyobraził sobie jej obraz w

unoszących się nad parkingiem słupach rozedrganego powietrza. Znów szła ulicami obozu Deheisha. Cóż to za smutne, zżerające duszę miejsce. Na ulicach stały stare beczki po ropie, chwasty zarastały kruszący się sześcian betonowego domu, w kolejce do ciężarówki z gnijącymi arbuzami ustawiała się długa kolejka kobiet w hijab, starcy w beduińskich zawojach palili papierosy, ze ścian zbombardowanych budynków wystawały stalowe pręty, wokół usychały cyprysy, na słońcu smażył się samotny zniszczony fotel fryzjerski, a w oddali, nad wzgórzami Judei to samo słońce prażyło wzgórze Heroda ze znajdującym się na nim rzymskim amfiteatrem. Po ulicach biegały dzieci, toczyły przed sobą koła rowerowe i bawiły się w wojnę, strzelając do siebie z karabinów uplecionych z kawałków drutu.

Nasser pamiętał izraelskich żołnierzy, którzy przyszli do ich domu w środku nocy, szukając syna sąsiadów. Wyglądali jak cienie, potwory z sennego koszmaru, które obudziły małą Elizabeth i wyciągnęły na pół ubraną matkę z łóżka. Zsikał się ze strachu w majtki, a oni wyśmiali go. To było miejsce, gdzie odbierano ludziom honor, gdzie nie chodzono z podniesioną głową, lecz kulono ją w ramiona.

Nagle znalazł się z powrotem na Coney Island. Patrzył przez parking na swego byłego nauczyciela, który obmacywał jego siostrę.

Głowa omal nie eksplodowała mu z wściekłości. Na masce samochodu pojawiła się jaskrawa słoneczna plama. Kiedy wcisnął pedał gazu i ruszył na nich, plama przesunęła się i oślepiła go.

David o mało nie podskoczył, gdy zatrąbił klakson i obok nich zatrzymał się czarny lincoln.

Nasser wypadł z samochodu, wycharczał coś po arabsku i podszedł energicznie do Davida. Zatrzymał się jakieś piętnaście centymetrów przed nim. Wymamrotał kolejne przekleństwo i jak wściekłe, zdezorientowane dziecko uderzył nauczyciela w twarz.

David cofnął się o krok do tyłu, nie tyle z powodu uderzenia, co ze zdziwienia.

Nasser także się cofnął, jakby to on został uderzony.

- Dotychczas byłem panem zawiedziony, teraz jestem bardzo zawiedziony! - wykrzyczał, rozglądając się wokół nerwowo.

- Mój Boże, Nasser! Co ty wyprawiasz? - Elizabeth złapała brata za rękę, zanim znów się zamachnął.

- Widziałem, jak cię dotykał! - chrapliwie krzyczał Nasser siostrze prosto w twarz.
- To jest całkowicie haram. To wbrew Bogu!

Odwrócił się, zrobił krok w kierunku Davida i wspiął się na palce, próbując dorównać mu wzrostem.

David, który nie otrząsnął się jeszcze z szoku po uderzeniu, starał się pohamować, żeby nie oddać ciosu.

- Hej, hej, hej, hej, hej! - zawołał, unosząc ręce w geście poddania się. - O co chodzi? Chcę tylko pomóc twojej siostrze.

- Tak pan pomaga? - zapiszczał Nasser. - Dotykaniem?! To cudzołóstwo! - Pchnął Davida palcem w pierś.

- Cudzołóstwo?

David nie sądził, że Nasser zna podobne słowa po angielsku. Delikatnie odsunął jego palec, choć miał wielką ochotę chwycić go i wygiąć aż pęknie. Wokół zaczęli się gromadzić uczniowie. Nie widzieli, jak Nasser uderzył Davida, ale wyczuwali, co się święci. Z przodu stali Richie Wong i Krnąbrny Q, machali pięściami i darli się:

- WOJNA! WOJNA! WOJNA!

- Wynocha stąd! - fuknął na nich David. - Nic tu po was.

- Przepraszam... - Elizabeth pociągnęła brata do samochodu. - To wszystko moja wina. Nie powinnam z panem rozmawiać.

Kilkoro dzieciaków zostało, większość jednak zaraz się rozeszła w poszukiwaniu innej rozrywki w to ciepłe popołudnie.

- Posłuchaj, Nasser - powiedział David, starając się zachować zimną krew. - Żle

robisz. Nie tak rozwiązujemy konflikty.

- Nie pan będzie mi o tym mówił! - Chłopak strząsnął ręce siostry. - Wiem, kim pan jest! Jest pan złym człowiekiem! Bardzo złym! Jeśli zobaczę, że znów dotyka pan mojej siostry, zabiję pana!

Zanim znaczenie tych słów dotarło do Davida, Elizabeth objęła brata w pól i zaciągnęła do samochodu.

- Przepraszam... przepraszam... przepraszam! Nie powinnam była do tego dopuścić.

Chciał jej powiedzieć, żeby się nie martwiła, ponieważ rozumie, z czym ma do czynienia, ale nie zdążył. Rodzeństwo wsiadło do samochodu, trzasnęły drzwi i lincoln ruszył. David patrzył, jak wyjeżdża z parkingu, potem skręca i znika. Elegancka limuzyna wioząca dwa tysiące lat tradycji.

Pomacał twarz. Nadal piekło go miejsce, w które Nasser uderzył i przy okazji po drapał paznokciami. Taki okazał się pierwszy prawdziwy kontakt z tym chłopakiem.

26

- Jesteś chory - powiedziała Elizabeth, kiedy gnali Surf Avenue, niemal ocierając się o zakręcający na Ósmej Zachodniej ulicy szkolny autobus. Nasser przyciskał do kierownicy purpurową dłoń i połykał łzy wściekłości.

- W innym kraju pojmano by go i obcięto mu dłoń.

- To mój nauczyciel.

- Nie patrzył na ciebie, tak jak powinien nauczyciel! - wrzasnął i machnął chustą. - Poza tym powinnaś być już w domu!

- Oszalałeś. Przycisnął chustę do oczu i nacisnął mocniej pedał gazu.

- Powinnaś się modlić i robić kolację.

- Starczy tego! Zatrzymaj się! Zanim zdążył przesunąć stopę w kierunku hamulca, już otworzyła drzwi.

- Co ty wyprawiasz? - Samochód zwolnił tuż przed New York Aquarium.

Wyskoczyła na chodnik i zaczęła iść w kierunku metra.

- Nie zamierzam z tobą więcej rozmawiać. Mam cię dość. Muszę trzymać się od ciebie z daleka.

Patrząc, jak siostra odchodzi, Nasser wpadł w panikę. Z jakiegoś powodu ujrzał obraz matki stojącej przy relingu statku linii Circle Line - pływając z nią, zawsze się bał, że wypadnie i straci ją na zawsze.

- Elizabeth, nie wyglupiaj się! - Wyskoczył za siostrą. Ciągłe trzymał w dłoni jej hijab. - Jak wrócisz do domu? Muszę cię odwiedzić!

- Zostaw mnie w spokoju - rzuciła przez ramię. - Nie mam ochoty cię widzieć.

Ponieważ zatrzymał samochód na środku ulicy, zaczynał się za nim robić korek. Kierowcy trąbili i klnąc wychylali się przez okna:

- Wracaj do wozu, baranie!

Łzy spływały mu po policzkach. Machał wściekle pięściami i darł się z całej siły.

- Eeeeeeeeliiizabetttt!

- Daj spokój, ma już dość twojego oklapłego fiuta - zawołał szyderczo siedzący tuż za nim w pomarańczowym datsunie abbed. - Wsiadaj na furę i poszukaj następnej lalki. W morzu jest mnóstwo ryb.

Zraniony i wściekły Nasser podbiegł i kopnął go w zderzak. Elizabeth zniknęła na horyzoncie, schodziła schodami do stacji metra, żeby dołączyć do wychodzących ze szkoły uczniów.

Z niesmakiem rzucił hijab na ulicę. Po chwili uznał, że chce jej dać tę chustę, ale

zanim zdążył się po nią schylić, gwałtowny podmuch porwał cienką, błyszczącą, purpurową materię i rzucił w rynsztok pomiędzy białe plastikowe torebki i zużyte papierowe serwetki „Burger Kinga”.

27

John LeVecque i ludy Mandell stali na rogu Mott i Canal w Chinatown, obserwując orszak pogrzebowy złożony z dziewięciu karawanów w cadillacach, trzech trąbiących samochodów oraz auta wiozącego otoczony girlandami portret zmarłego.

- Prawdopodobnie szef któregoś z gangów - zauważył LeVecque.

- Kierował jedną z lokalnych organizacji związkowych - wyjaśniła Judy. - Nadawaliśmy o nim dziś rano program. - Dotknęła jego rękawa i stwierdziła, że się wzdrygnął. - No, ale nigdy nic nie wiadomo.

Jezu... znów grała z nim perfekcyjnie, jak na instrumencie. Równocześnie uderzała i smarowała wazeliną. Uznała to za najlepszą strategię, jaka może wytrącić go z równowagi. Pokonaj go rozumem, sprowokuj do pożądanego wpatrywania się w twoje piersi, nie pozwól nigdy zapomnieć, że ma przed sobą prawdziwą kobietę. Daj mu odczuć, że musi coś udowodnić.

Właśnie zjedli wczesny lunch w restauracji „Wong Kee” i nie spiesząc się, wracali do biur przy Police Plaža 1. Mijali mężczyzn w plastikowych kurtkach i kobiety ubrane w kilka warstw odzieży, niosące owoce w brązowych papierowych torbach, a wszyscy wyglądali, jak przeniesieni tu za pomocą magii z odległych chińskich prowincji.

- Uda dają mi popalić - jęknęła Judy, gdy przepchnęli się obok zatłoczonego stoiska z owocami.

- Czyżby?

- Wiesz, jak to jest, kiedy uprawia się całą noc seks i... ach, nieważne.

Spłonął się i odwrócił wzrok. A więc zaczynała się przebijać. Puszczal pierwszą farbę. W trakcie lunchu wspomniał o tym, że szef detektywów i jego zastępca rzucili

się sobie do gardeł, potem dodał, jak bardzo żonie nie podobają się jego nowe godziny pracy. Najwyraźniej miał w domu problemy, ale nie zamierzała go naciskać, by powiedział, o co chodzi.

Zatrzymali się na czerwonym świetle, co wykorzystała, żeby poprawić mu krawat.

- Teraz wyglądasz idealnie.

Przejdzie? Przeszło. Choć nieco zeszywniał pod jej dotykiem, wyraźnie się rozpromienił. Jej gierka w złą dziewczynkę w redakcji nigdy tak naprawdę nie wychodziła, ale najwyraźniej nakręcała LeVecque'a. Sztuka polegała na tym, by nie próbować zbyt szybko zejść za daleko.

Przy zabawie prądem łatwo o spięcie.

- A więc co słyhać w sprawie śledztwa o podłożeniu bomby? - spytała, pocierając opuszkami palców jego ramię. - Będzie aresztowanie?

- Wydawało mi się, że nie chcemy o tym rozmawiać.

Posunęła się za daleko. Odsunął się, czując, że z nim igra. Trzeba szybko zmienić taktykę.

- Wiem, że bołą cię nogi, ale czy nie moglibyśmy trochę przyspieszyć? - spytał, patrząc na zegarek. - Muszę wracać do biura. Komendant zwołał na drugą konferencję prasową.

- Moje uda...

- Przepraszam?

- Uda mnie rwa...

- No tak.

Popatrzyła na sześć bezgłowych kur, ułożonych na parapecie okna na drugim piętrze.

- Hej! - zawołała, chwytając się pomysłu, który wpadł jej do głowy. - Grałeś kiedyś z kurczakiem?

- Co? O czym ty gadasz?

- O kurczaku pod arkadami. O tym, który gra w kółko i krzyżyk.

- Chodź, spóźnimy się.

- Chcesz powiedzieć, że przez tyle lat tu pracujesz, a nigdy nie grałeś z kurczakiem w kółko i krzyżyk?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, chwyciła go za rękę i poprowadziła za stragan rybny do sklepiku na początku Mott Street. Szyld przy wejściu informował: MUZEUM CHIŃSKIE - GRY WIDEO - ŻYWA KURA. W środku chudzi chłopcy pakowali monetę za monetą do głośnych maszyn o nazwach „Zatapanie”, „Agresor” i „Wojna wirtualna II”.

- Słuchaj, nie wiem, czy powinniśmy tu wchodzić... - zaczął LeVecque. - A jeśli tu rabują...

Chwyciła go za ramiona i szybko obróciła, żeby stanął twarzą w twarz z Kurzym Mózgiem. Był to tłusty biały kogut, siedzący za szybą w żółtym boksie, niczym samotny starzec dożywający końca swoich dni w pensjonacie. Z prawej strony znajdował się elektroniczny panel, na którym narysowano pole do gry w kółko i krzyżyk, a nad nim znajdował się napis: TO NIE KURCZAK, JASNE? POBIJ KURZY MÓZG, A WYGRASZ WIELKĄ TORBĘ SZCZĘŚLIWYCH CIASTECZEK! Mniejszymi literami dopisano pod spodem: Kurzy Mózg występował w „The Joel Siegel Show” i w „To Niemożliwe”. Kogut miał naprawdę niezłą prasę.

- Nie mówisz poważnie... - stwierdził LeVecque.

Judy już wrzuciła do maszyny ćwierć dolara. Siatka na podłodze boksu okazała się podłączona do prądu, kogut wstał i skonsternowany popatrzył na LeVecque'a. Potem szybko przeszedł kawałek w lewo i na środkowym polu ukazało się O.

- Twoja kolej.

- Jezu... - Kark LeVecque'a poczerwieniał, poluzował krawat. - Nie mogę uwierzyć, że to robię.

Wcisnął przycisk i w górnym lewym rogu pola pojawił się X.

- Kiedy będzie aresztowanie?

Nie odwracał oczu od ptaka.

- Nie rozmawiajmy o tym.

- Kogut cofnął się i pojawiło się kolejne O - w dolnym prawym rogu. LeVecque podrapał się po głowie zirytowany i zaabsorbowany.

- Chcesz powiedzieć, że po tylu dniach nie macie żadnych tropów?

- Nic takiego nie powiedziałem.

Zaczynał się pocić. Odruchowo umieścił X w środku górnego rzędu i cofnął się. Lewy górny róg pola pozostawał wolny - Kurzy Mózg mógł zamknąć linię.

- O mój Boże... - Głos mu się załamał. - Przegram z kurą. Co mi zrobiłaś?

KUCNIĘCIE I UNIK. PRZYKLEIĆ SIĘ I KROK DO PRZODU.

Czasami Judy żałowała, że nie jest bardziej podobna do Billa Ryana i nie zadaje pytań wprost, z drugiej jednak strony to nie ona zapełniła świat napalonymi urzędasami, którym mąciło się w głowie.

Poniżony LeVecque wpatrywał się w podłogę, a Kurzy Mózg zamknął linię i wygrał.

Judy zanuciła pod nosem.

- Moja matka często nuciła - stwierdził LeVecque, nie patrząc na nią.

- Naprawdę?

- Zawsze nuciła przed zrobieniem czegoś złego, na przykład przed upuszczeniem garnka z gorącą wodą albo pojechaniem po prąd jednokierunkową ulicą. - Popatrzył na Judy. Wypite przy lunchu dwa piwa nagle uderzyły mu do głowy, oczy stały się różowawe i wodniste. - Możemy iść?

- Jasne.

Wzięła go pod ramię i poprowadziła aleją nazywaną Mosco Street, by wrócili jak najdłuższą drogą.

- Nie jesteś informowany, o to chodzi?

- Co? - głos znów mu się załamał.

- Pomyślałam, że prowadzący śledztwo odstawili cię na bocznice i o niczym nie informują.

- Wiem o wszystkim.

Szli przez niewielki park za gmachem Sądu Kryminalnego. LeVecque wpatrywał się w leżącą niedaleko piłkę do koszykówki. Miał ochotę ją podnieść i wrzucić do kosza, chciał pokazać, że go na to stać.

- Na bocznice, moja droga... - mruknął.

- Zgadłam?

- Mamy kilku podejrzanych, którym się przyglądamy.

A więc pokaże jej! Zastanowiła się, czy powinna udać, że jest pod wrażeniem jego męskiej pewności siebie, uznała jednak, że nie warto.

- Dlaczego ich nie zatrzymujecie? - spytała, lekko się o niego opierając.

- Nie można wyskakiwać ot tak, bo wszystko się popsuje. Musimy zebrać dowody. Nie chcemy nikogo niepokoić, zanim sprawa nie będzie gotowa do przedstawienia ławie przysięgłych.

- To dlatego odwołano wręczenie nagrody nauczycielowi? Zamarł, bo zrozumiał, że za dużo powiedział.

- Nie wiem. Przewiercała go oczami.

- To jedyny człowiek, któremu się przyglądacie?

- Niczego nie potwierdzam. - Wsunął ręce głęboko w kieszenie i zwolnił kroku.

- Nieoficjalnie.

- Nawet nieoficjalnie.

- Tylko dla zrozumienia kontekstu. Nie do przedstawiania.

- Nie ma mowy.

- Ech, nic nie wiesz... - Ruszyła przed nim, kręcąc dupcią w zbyt ciasnej spódnicy.

Nagle zmienił się w goniącego ją małolata, który nie może się doczekać zdradzenia sekretu.

- Skąd wiesz, że to był nauczyciel? - spytał.

- Wszyscy wiedzą.

W rzeczywistości jedynie trafnie zgadła. Bill uczył ją myślenia, które nazywał kontrintuicyjnym. Jeśli zginęły dzieci, przyjrzyj się matce. Żona nie żyje, sprawdź męża. Wybuch szkolny autobus, przyjrzyj się kierowcy, a jeśli kierowca nie żyje - nauczycielowi. Poza tym dlaczego wstrzymano wręczenie nagrody, nie podając nowego terminu.

- Dobrze... - LeVecque głęboko odetchnął - ale wiesz o tym nie ode mnie.

- Tylko potwierdzasz.

- Zgadza się. - Rozejrzał się wokół niepewnie i tak głęboko wsunął ręce do kieszeni, że spodnie napięły mu się na brzuchu. - Mogłaś się tego dowiedzieć ze stu innych miejsc.

- Oczywiście.

- To typowa sprawa, rozumiesz. Klasyczna. Chce, żeby każdy uważał go za wielkiego człowieka.

- Jest wielki.

- Mam na myśli tworzenie sytuacji, w których wygląda na bohatera. Zauważyłaś, jak latał po mieście i udzielał wywiadów komu tylko się dało?

Teraz wypadało udać, że robi to na niej wrażenie. Rozchyliła usta i uśmiechnęła się.

- A więc to tak... prawda? David Fitzgerald jest głównym podejrzanym.

Radość, jaką czuła, znaczyła więcej niż erotyczne podniecenie - była solidniejsza, mniej ulotna. CHOLERA JASNA - NARESZCIE ZROBIŁA, CO DO NIEJ NALEŻY! Jutro będzie to temat numer jeden. Niemal czuła, jak Bill Ryan klepie ją z uznaniem po ramieniu, a nie po tyłku, jak robił to „Nazista”.

John LeVecque skulił się, zdając sobie sprawę z popełnionego błędu. Męska próżność, cóż to za tragedia... Wyrolowała go.

- Ode mnie nic nie wiesz - powtórzył.

- „Przedstawiciele policji stwierdzili...”

- Może „przedstawiciele organów ścigania”... - Gorączkowo szukał zasłony. - Jeśli zechcesz, możesz to bardziej zakamuflować.

Spojrzał na gmach Sądu Kryminalnego i poczuł się jak w wizjerze lunetki snajpera. Na ławkach gromadziły się gołębie, a stare Chinki grzebały w pojemnikach na śmiecie, szukając puszek po napojach, które nadawały się do zwrotu.

- Wiesz, mogłabyś mnie tu zabić i nikt by nie zauważył - stwierdził LeVecque z nerwowym śmiechem. - Może wróćmy do biura osobno.

Targnęło nią lekkie poczucie winy, połączone z nadzieją, że go za to nie wywalą, choć z drugiej strony... niech się pieprzy! Był rzecznikiem prasowym jednej z najpotężniejszych instytucji w mieście, może nawet w całym kraju, nieustannie okłamywał dziennikarzy i krył afery korupcyjne, a nie zrobiła nic poza nakłonieniem go do powiedzenia prawdy, co w końcu należało do jego obowiązków.

- No to do zobaczenia - powiedział, uklonił się i zaczął wycofywać się tyłem, nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami. - Miły lunch. No i... ee... to było ciekawe, z tym kogutem.

- Nie przejmuj się. - Ujęła go za rękę. - Jeśli sam się nie wysypiesz, mnie się nie obawiaj.

28

Dzień po tym, jak Nasser go uderzył, David siedział za swoim biurkiem, rozmawiał z Kevinem Hardisonem i zastanawiał się, co zrobić w sprawie incydentu na parkingu.

Miewał już przedtem problemy z uczniami - w pierwszych latach na Coney Island opluto go, zepchnięto ze schodów, nawet rzucono w niego krzesłem, ale ta sprawa wyglądała nieco inaczej. Nasser nie był uczniem, a incydent powstał z powodu Elizabeth. Jeśli sporządzi notatkę, ktoś może zadać parę nieprzyjemnych pytań, dlaczego tak „intensywnie” z nią rozmawiał. „Co to znaczy, że pan ją dotknął?” Może lepiej napomknąć tylko o sprawie Larry’emu i ochroniarzom - ot, na wypadek, gdyby Nasser miał się znów pojawić...

- Okej - powiedział do Kevina - mam książkę do twojego wypracowania. Wyjął z nowej torby na książki podniszczony, kupiony u bukinisty egzemplarz Wielkiego

Gatsby 'ego i położył go przed chłopakiem.

Kevin popatrzył i zmarszczył nos, jakby David położył przed nim zdechłą rybę.

- To? Chce pan, żebym znów to czytał?

- A dlaczego nie?

- Spadaj pan z tymi bzdurami. To o bandzie bogatych białasów. Jaki mam z tym związek? - Cmoknął z dezaprobatą i machnął lekceważąco na książkę.

- Czytałeś to?

- Tak, czytałem. - Kevin wysunął do przodu podbródek. - To nijak ma się do mnie. Co o tym powiedzieć? Dlaczego nie da pan książki, która ma coś wspólnego z moim życiem?

- Wiesz, nie mogę uwierzyć, że wszystko trzeba ci łopata kłaść do głowy. Czasami trzeba się trochę pomęczyć, żeby książka stała się bliska... no dobrze, coś ci powiem. - David zasłonił dłonią okładkę z tytułem i nazwiskiem autora. - Załóżmy, że dam ci inną książkę, taką, z którą mógłbyś się identyfikować.

Kevin kręcił się, unikając wciągnięcia w grę Davida, ale nie bardzo to mu się udawało.

- No to co? Co by się stało?

David dalej zakrywał okładkę.

- Załóżmy, że dałbym ci książkę o biednym chłopaku, który startuje w życiu od zera i chce zarobić trochę szmalu - no, może zbić fortunę - i móc się pokazać.

Kevin, który znów miał czapkę z wyhaftowanym symbolem dolara, a na zębach koronki z wygrawerowanym takim samym symbolem, pociągnął nosem. Nie był zbyt zainteresowany wywodami Davida.

- No i?

- Zaczyna więc walczyć i wyłazić z rynsztoka, ale wplątuje się w ciemne interesy. Pistolety maszynowe, hazard, kobiety... takie rzeczy. Rozumiesz? Staje się osiemnastokaratowym gangsterem.

Kevin połknął przynętę.

- Naprawdę? Chce pan, żebym coś takiego przeczytał?

- Oczywiście. - David nie zdejmował dłoni z okładki. - Kiedy zdobywa pozycję w społeczeństwie, stwierdza, że ludzie ze szczytów są tak samo skorumpowani i niemoralni jak ci na dnie. - Pstryknął palcami. - Myślisz, że taka historia mogłaby cię zainteresować?

- Jasne. - Kevin skinął głową. Nabuzowany, nakręcony, gotów do czynu.

- No to czytaj. - David zdjął dłoń z książki i pchnął ku niemu Gatsby 'ego. - Wszystko jest w środku.

Zadzwoił telefon, a Kevin uśmiechnął się do książki, przyznając w duchu, że panu Fitzgeraldowi udało się zmusić go do wyrażenia swej opinii.

- David? David Fitzgerald? - Głos młodej kobiety był mu skądś znany.

- Tak się nazywam, ale nie ma powodu nadużywać mojego nazwiska.

- Cześć. Judy Mandell z „Tribune”.

A myślał już, że wszyscy z mediów o nim zapomnieli... Kevin wziął książkę i ruszył do drzwi.

- Założę się, że rozdaje pan to tylko dlatego, bo napisał ją pana wujek - powiedział, zatrzymując się przy drzwiach i przeciągając palcem po nazwisku F. SCOTT FITZGERALD.

- Wynocha! - David roześmiał się i machnął na chłopca, żeby wyszedł. - Przepraszam, Jennifer, to nie było do pani.

- Hm... Judy.

- W takim razie jeszcze raz przepraszam.

Zapadła długa cisza, w czasie której słyszał tylko jak reporterka nuci coś pod nosem. Przez otwarte drzwi David widział przewodniczącego wydziału Gene'a Dorfa, który siedział w oszklonym biurze, czytając „Wall Street Journal” oraz ściśniętych w ogólnej sali nauczycieli, gorączkowo poprawiających prace i rozmawiających z uczniami. Davidowi przypomniało się, że jest spóźniony zarówno w przygotowaniach do sprawdzianu semestralnego, jak i w splątach zadłużenia w VISA. Kolejne efekty utraty kontaktu z rzeczywistością z powodu zbyt intensywnych kontaktów z mediami.

- W czym mogę pomóc, Judy?

Ze słuchawki dolatywały krzyki i dzwonki telefonów.

- Davidzie, chciałam spytać, czy może pan skomentować artykuł, nad którym pracuję do jutrzejszego wydania.

- Jasne, proszę strzelać. - Wziął do ręki stojący na biurku porcelitowy kubek, do połowy wypełniony zimną kawą.

- Wolalabym, żeby pan tego tak nie określał.

Znów zaczęła nucić, a David z niewiadomego powodu poczuł się, jakby chodziły po nim muchy.

- Dobrze, niech więc pani pyta.

- Davidzie... - Wzięła głęboki wdech i szybko powiedziała resztę. - Z kręgów aparatu ścigania dostałam informację, że w sprawie bomby w autobusie jest pan podejrzanym.

- Słucham?

- Byłam ciekawa, czy chce się pan wypowiedzieć na temat zarzutu, że to pan pod-

łożył bombę w autobusie...

Kubek wypadł mu z ręki, kawa rozlała się na esej Nydii Colone. Miał wrażenie, że ktoś pchnął go nożem.

- O czym pani mówi?

Zorientował się, że mówi zbyt głośno. Henry Rosenthal i Grace Lombardi przyglądali mu się z drugiego końca sali. Gene Dorf nawet uniósł wzrok znad tabel akcji, na kupno których nie było go stać.

- Kto pani o tym powiedział? - David skulił się w fotelu i ściszył głos. Miał wrażenie, że klatkę piersiową ściska mu obręcz.

Judy Mandell nuciła dalej, chyba „Smoke Gets In Your Eyes”.

- Nie bardzo mogę powiedzieć, bo to informacja nieoficjalna, ale obiecuję, że jeśli pan ją skomentuje, to...

- Przepraszam, ale muszę iść.

Odłożył słuchawkę i z natężeniem wpatrywał się w telefon. Modlił się, żeby nie zadzwonił ponownie. Odwrócił się i zlustrował salę. Wszyscy udawali, że zajmują się pracą. Wiedzieli, że jest w trakcie rozvodu. Donna Wale przeglądała wypracowanie razem z chińską uczennicą o imieniu Li. Robotnicy w dalszym ciągu odrywali kawały sufitu. Henry wstał i skierował się do wyjścia, Shirley Faber rozmawiała przez telefon. David nic nie słyszał. Jak gdyby miał zatkane uszy - docierało do niego jedynie bicie własnego serca.

Znalazł kilka serwetek i zaczął sprzątać biurko. Musiał iść do toalety, lecz do następnej lekcji zostały tylko dwie minuty. „...w sprawie bomby w autobusie jest pan podejrzany”. Naprawdę tak powiedziała?

Kiedy wyszedł z biura, zwykle hałaśliwe i zatłoczone korytarze były ciche i puste jak ulice miasta duchów na Dzikim Zachodzie. David słyszał echo własnych kroków - docierało z bardzo daleka. Gdzie się wszyscy podziali?

Znalazł w kieszeni klucze i wszedł do toalety dla nauczycieli, starając się zebrać myśli. Przy jednym z pisuarów stał Henry z uniesioną głową, jakby medytował u stóp wielkiej góry.

- Henry...

Zabrakło mu słów. Co miał powiedzieć? „Wiesz, co się stało?” „Czy to dzieje się naprawdę?” „Czy ciągle jeszcze leżę w łóżku i wszystko mi się śni?”

Henry ledwie go zauważał, wydawało się, że chce pobić rekord świata w długości sikania. David wsłuchiwał się w odgłos pluskania moczu o porcelanę i patrzył na zarośniętą starą chromowaną armaturę. Znalazł się w upiornej i konspiracyjnej sytuacji.

- David. - Henry zapiął spodnie i przeszedł obok, zdawkowo kiwając mu głową.

Wiedział, co się dzieje?

David stał przy umywalce i patrzył, jak za Henrym zamykają się drzwi. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze. Widział wysokiego brodatego mężczyznę w okularach. To naprawdę był on?

Następną lekcję prowadził jak w transie. Po skończeniu wyszedł z klasy na korytarz, gdzie czekał na niego Larry Simonetti.

- O, Davidzie, panowie chcieliby zamienić z tobą słówko.

Przy szafkach stał detektyw Noonan, a obok nieznany mu Latynos.

- Dzień dobry, panie Fitzgerald - powiedział detektyw-wampir.

Na sam dźwięk jego głosu żołądek Davida skurczył się ze strachu. Odwrócił się do dyrektora.

- Larry, co się dzieje? Nie mam teraz czasu z nimi rozmawiać. Larry uśmiechnął się w dość obrzydliwy sposób.

- Nie martw się następną lekcją. Gene Dorf cię zastąpi.

- Ubrani w luźne jak pontony stroje minęli ich Amal Lincoln i Ray-Za. Sądząc po ich spojrzeniach, wiedzieli, co się szykuje - nieraz widzieli przyjaciół i członków rodzin wyciąganych na ulicę przez gliniarzy i bitych bez większego powodu do nieprzytomności.

- Chodźmy - powiedział Noonan i podszedł. - Przecież się znamy. Mamy jeszcze parę wątpliwości, które na pewno pomoże nam pan rozwikłać.

Larry Simonetti obrócił się na pięcie i bez pożegnania szybko czmychnął do biura.

- Niech pan pozna mojego nowego partnera - powiedział Noonan, wskazując na Latynosa w swetrze z dekoltem w serek, bródką i kolczykiem w uchu. - Detektyw Bobby Gomez. Zanim przyszedł do nas, był w Brooklynie najlepszym tajnym agentem.

Gomez rozbrajająco się uśmiechnął, ale David nie dał się oszukać.

- Wiem, co jest grane - powiedział pewnym głosem. - Właśnie dzwoniła do mnie dziewczyna z gazety.

- Tak? - Noonan popatrzył na Gomeza, wyraźnie na to nie przygotowany.

- Jestem aresztowany?

- Uhuhuuu. - Gomez roześmiał się. - Skąd ten pomysł? Nikt nic takiego nie powiedział.

- Jasne, nikt tego nie powiedział. - Noonan wciąż wyglądał na bardzo zaskoczonego.

Tracili inicjatywę. Najwyraźniej zaplanowali sobie inny rytm tańca.

- Sądzę, że nie mam ochoty z panami rozmawiać.

David zauważył ich zaskoczenie, które natychmiast zmieniło się w podejrzliwość. Sam był zaskoczony. Skąd miał tyle odwagi, żeby im się przeciwstawić?

- Niech pan da spokój - powiedział Noonan. - Nie jest pan podejrzany. Wyjaśnijmy jak najszybciej co trzeba. Może się uda, jeśli odpowie pan jeszcze na kilka pytań.

- Jasne. - Gomez ruszał podbródkiem na boki. - Chyba nie chce pan, abyśmy pomyśleli, że ma pan coś do ukrycia?

- Nie, ale... - Powoli przeszły obok Seniqua Rollins i Elizabeth Hamdy. Poruszały się, jak gdyby znajdowały się pod wodą. Jak postacie z sennego koszmaru.

- Daj pan spokój, naprawdę - naciskał Noonan. - Wejźmy na chwilę do któregoś z pokojów. Nie chce pan chyba straszyć dzieciaków. Musi tu być jakieś miejsce, gdzie da się spokojnie porozmawiać.

David poczuł skurcz moszny. Jeśli odejdzie, mogą skoczyć na niego, przewrócić na ziemię na oczach uczniów i skuć. Natomiast domaganie się wezwania adwokata uznają za podejrzane i cichcem przekażą to prasie, co może pozbawić go szansy uzyskania opieki nad Arthurem. Wszystko działo się zbyt szybko - potrzebował chwili spokoju do skalkulowania konsekwencji różnych zachowań.

Starając się nie ulegać panice, poprowadził ich korytarzem do wyjścia pożarowego i schodami na piętro. „Myśl krytycznie” - nakazał sobie. Tak mówił zawsze uczniom. Nie gódź się z narzucanym ci scenariuszem. Rozważaj inne interpretacje.

Mijające go dzieciaki unikały jego wzroku. Słyszał w głowie dudnienie serca, wstrząsające czaszką basowe BUM BUM. Ciekawe, czy Arthur dowie się o wszystkim jutro z pierwszych stron gazet albo z telewizji.

Znaleźli pusty pokój niedaleko pracowni naukowych. Noonan przyciągnął sobie metalowe krzeselko, obrócił je oparciem do przodu i usiadł okrakiem. Ból w klatce piersiowej Davida promieniował do łopatek.

- A więc... - zaczął detektyw - ja też nie wiem, co się dzieje. Na pewno zauważył pan, że nikt z nas nie rozmawiał z mediami. Nienawidzę pieprzonej prasy, a jestem w tej sprawie wiodącym detektywem. Jeśli więc ktokolwiek wysmarował, że ze mną rozmawiał, to pisze bzdety.

David popatrzył na stopy Noonana - mankiety nogawek uniosły się, ukazując opadające czarne skarpety i blade bezwłose golenie. Irlandzkie katolickie golenie. Żyły na grzbietach jego dłoni wyglądały jak pełzające w wyschniętej trawie robaki i David doszedł do wniosku, że detektywi są może nie mniej zdenerwowani niż on. Z jakiegoś powodu stwierdzenie tego faktu pozwoliło mu złapać oddech i spojrzeć na sytuację pod innym kątem.

Pamiętał jak aresztowano go, gdy miał siedemnaście lat. Gliniarz z hrabstwa Nassau o nazwisku McNally nawrzeszczał na niego i zrobił wszystko, żeby go zastraszyć, a potem wrzucono go do zaszczanej szarej celi. „Nie denerwuj się. Pamiętaj kim jesteś.” Tego David nauczył się podczas tamtego incydentu. „Nie trać nerwów.”

- A więc, co się stało? - spytał. - Cały czas próbuję pomóc. - Popatrzył na zegar nad drzwiami.

- Wiem - odparł Noonan. - Bardzo dobrze pan współpracował.

- Dlaczego więc jestem podejrzany? Nie mam nic wspólnego z tą bombą. - David siedział z dłońmi złożonymi na podołku i ostrożnie dobierał słowa. „Myśl krytycznie. Dlaczego cię dręczą?”

- Wiemy, że jest pan w porządku. - Gomez wstał i objął się ramionami.

- Jasne, wiemy, że nie należy pan do niegrzecznych chłopców - powiedział Noonan i uśmiechnął się jak Dracula, przez co wyglądał staro i smutno. - Chcemy tylko usłyszeć od pana odpowiedzi na jeszcze kilka pytań, żebyśmy mogli zawęzić krąg podejrzanych.

- Myśli pan, że jestem debilem? - mruknął David, przypominając sobie siwe, króciutko ostrzyżone włosy detektywa McNally'ego, który bez przerwy zmieniał nastroje, sam prowadząc gierkę w dobrego i złego gliniarza.

- Co jest? - uśmiech Noonana zniknął.

- Nic. Pomyślałem tylko, że chciałbym poradzić się adwokata. - Tego też nauczył się, kiedy miał siedemnaście lat.

- Dobrze, ale jeszcze chwilę proszę się wstrzymać. - Noonan szybko wyjął cienki notatnik i zaczął przewracać pogniecione kartki. - Mówił pan, że o której godzinie zaczął szykować dzieciaki na wycieczkę?

- Chyba powiedziałem, że zaraz po lunchu.

- Która to była godzina?

- Coś koło wpół do drugiej. Niech mi pan odpowie: czy będę potrzebował adwokata?

- Po co panu adwokat? - Gomez stał oparty o kaloryfer. - O nic pana nie oskarżamy.

David popatrzył na drzwi. Rozpatrywał możliwości, kalkulował, co miałyby mu przeszkodzić po prostu wyjść. Był wyższy od nich, ale mogli założyć mu kajdanki i oskarżyć o stawianie oporu w trakcie aresztowania.

- Dlaczego podczas naszej pierwszej rozmowy nie wspomniał pan, że zostawił coś przy kierowcy? - spytał Noonan.

- Nie wiem. Wypadło mi to z głowy. Byłem mocno skołowany.

- Oczywiście. - Noonan podrapał się po bezwłosej goleni.

- Panowie, chciałbym już iść. - David zaczął się pocić. Na wewnętrznej stronie kołnierzyka czuł mokrą plamę.

- Jeszcze chwilę, tylko sekundę. - Noonan przewrócił kolejną kartkę. - Proszę wyjaśnić, skąd pan wiedział, że powinien trzymać dzieciaki z dala od autobusu?

- Nie wiedziałem - powiedział z napięciem David. Musiał ostrożnie dobierać słowa. - To było jedynie przeczucie.

Noonan znacząco popatrzył na Gomeza.

- Przeczucie...

- Tak, już o tym mówiłem. Miałem przeczucie, że coś jest nie tak. - Spływające mu po plecach dwie stróżki potu połączyły się w jedną.

- Kiedy poszedł pan na przerwę?

- Na co?

- Na przerwę. Kiedy zrobił pan sobie przerwę? Wszyscy mówią, że tuż przed wyjściem klasy do autobusu zniknął pan na dwadzieścia minut.

- Tak, byłem w toalecie.

Związany z rozwodem strach i kac, jaki wtedy go dręczył, wywołały ból żołądka i biegunkę. Teraz znów poczuł skręt kiszek. Poddawał się rytmowi narzucanemu przez policjantów, zaczynał tańczyć tak, jak mu grali. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby teraz wyjść, nie sprawiając wrażenia, że jest winny.

- Dwadzieścia minut - powiedział Noonan. - Tak długo to panu zajmuje?

- Zajmuje tyle, ile zajmuje.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł mały bladej mężczyzna. Trzymał w ręce wiertarkę i wyglądał jak wyjęty z filmu Bunuela. Bez słowa wsadził wtyczkę do kontaktu i zaczął wiercić dziurę w ścianie.

- Przepraszam - odezwał się Noonan - co pan robi?

- Mam zlecenie. - Robotnik wyjął z tylnej kieszeni żółtą kartkę, popatrzył na nią i schował z powrotem.

- Korzystamy z tego pokoju - powiedział Gomez i pokazał odznakę. - Spadaj pan.

Człowieczek wruszył ramionami, wyjął wtyczkę z kontaktu i wyszedł. Kilka sekund później zaczęło się wiercenie za ścianą. Po chwili wiertło wyszło tuż obok Davida.

- Dlaczego nie powiedział pan o tym? O tych dwudziestu minutach?

- Wydało mi się to nieistotne.

David starał się odnaleźć bezpieczne miejsce we własnej osobowości, gdzie na chłodno mógłby ocenić sytuację, ale coraz bardziej wciągali go w rozmowę, zmuszali do odkrycia się. Poczul na karku oddech strachu. Przedmioty pod przeciwległą ścianą - globus i szklane kubki - wydawały się coraz większe, jak gdyby dostawał zawrotu głowy.

- Czy ktoś pana tam widział?

- Nie sędzę.

- Na pewno?

- Byłem w kabinie. - Na wszelki wypadek, gdyby chcieli go przyłapać, szybko próbował sobie przypomnieć, w której kabinie i jakie tam są napisy na ścianach.

- Więc mamy problem.

Noonan przysunął się, a szurnięcie krzesła po linoleum przyprawilo Davida o kłucie w sercu.

- Tja... spory problem... - Gomez pociągał za kolczyk.

- Zniknął pan na dwadzieścia minut, a świadkowie twierdzą, że to wystarczy, żeby zamontować zapalnik i włożyć bombę do torby. - Noonan spuścił głowę i patrzył na Davida z dołu. - Rozumie pan, co mówię?

- Nie miałem żadnej bomby. - Serce mu łomotało, kołnierzyk zrobił się cały mokry i David poczuł, że zaczyna mieć nerwowe tiki twarzy.

- Davidzie, dlaczego nie mówił pan nam o tym, że miał już kiedyś kłopoty? - Noonan przysunął się jak ksiądz, który ma wysłuchać intymnego zwierzenia.

- O czym pan gada? - David odwrócił wzrok w kierunku wiszącej na ścianie tabli-

cy chemicznej.

- O drobnym problemie, który miał pan kiedyś na wyspie. Zadzwoił do mnie emerytowany policjant McNally. Zobaczył pana w wiadomościach i przypomniał sobie.

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? - rzucił gwałtownie David. - To był drobiazg. Byłem nieletni. Zabrałem samochód z klubu, w którym pracowałem. To nie powinno znaleźć się w aktach.

Mimo wszystko bał się, że zostanie to podane do publicznej wiadomości. Może w jakiejś szafie leżało jeszcze jego zdjęcie - z długimi włosami i błędnym wzrokiem.

Zdobywszy punkt, Noonan położył Davidowi rękę na ramieniu, przytrzymując go na krześle.

- Pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie. Dlaczego nie powiedział pan, że pana stary był w czasie wojny ekspertem od materiałów wybuchowych? I że prawdopodobnie nauczył pana wszystkiego o dynamicie...

- Zdawało mi się, że... - David starał się usilnie przypomnieć sobie, co tak naprawdę powiedział w dniu wybuchu. - Że prawdopodobnie... co...?!

- Ponieważ pan to zrobił, zgadza się? - Noonan uśmiechał się, jakby chciał wyrazić: hej stary, ale fajnie się bawimy w tym pubie, co?

- Co? Co zrobiłem?

- Wsadził pan bombę do torby. To w pańskiej torbie był dynamit, który wybuchł.

- Nie, nie zrobiłem tego. - David miał wrażenie jakby ktoś zdzielił go w twarz.

- Zrobił pan. - Noonan popatrzył na Gomeza. - Mamy świadka, który widział, jak pan manipuluje zapalnikiem.

Nierealność sytuacji przerosła jego siły i David stwierdził, że traci nad nią panowanie. Miał wrażenie, że znalazł się z powrotem na komisariacie w Atlantic Beach,

jest przerażonym siedemnastolatkiem z trądzikiem, a przesłuchujący go policjant krzyczy, że dzisiejsza noc zmieni bieg całego jego życia.

Próbowali go zastraszyć podobnie jak tamten. Chcieli go zranić, odebrać mu wolność, odseparować od syna. Minęło ponad dwadzieścia lat, ale nic się nie zmieniło. Teraz też musiał znaleźć sposób, żeby się nie dać.

- Jeśli ktokolwiek twierdzi, że widział mnie z zapalnikiem, to kłamie - powiedział powoli i dobitnie, patrząc to na jednego, to na drugiego.

- Nie, to pan kłamie. Ponieważ pan podłożył bombę. Zgadza się? - Ton głosu Noonana zmienił się. Mówił ostro i z obrzydzeniem, jakby właśnie dostrzegł robactwo. Wstał i przeszedł się po pokoju. - Nie chciał pan nikomu zrobić krzywdy, jedynie nie zmarnować dnia.

- Popęlniacie błąd. - David wpatrywał się w zdarty kawałek biało-czarnej kafelkowej podłogi i wmawiał sobie, że to kotwica, która go uratuje przed utratą miejsca na świecie.

- Daj pan spokój. - Noonan podszedł do zastawionego książkami i próbkami biurka. - Będzie znacznie łatwiej, jeśli się pan przyzna. Sędzia zrozumie, że nie chciał pan nikogo skrzywdzić. Próbował pan tylko zostać bohaterem, takim, o jakich mówi pan na lekcjach.

- To nieprawda.

- Prawda! - Noonan walnął pięścią w biurko, aż zadzwoniły próbki. - Do cholery jasnej! Chcę natychmiast usłyszeć, że pan to zrobił!

- Nie podoba mi się przebieg tej rozmowy - powiedział David, trzymając się resztką sił, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Słuchaj, kutasie, to nie jest kolejny wywiad ze sławnym człowiekiem, gdzie całują po dupie! - ryknął Noonan. - Nie masz nic do gadania, jak ma przebiegać.

David gwałtownie wstał.

- W takim razie nie odpowiem więcej na żadne pytanie.

Miał dość. Zagonili go w kąt. Opierał się plecami o ścianę i nie miał dokąd uciec. Znalazł się w tym samym miejscu, gdzie tyle lat temu zagoniono go w tamtym komisariacie. Dotarł do punktu, w którym pozostawało powiedzieć: Odpierdolcie się. Jestem synem Patricka Fitzgeralda. Mój ojciec jest pieprzonym bohaterem i nie możecie mnie tak traktować.

- Niech pan siada, panie Fitzgerald. - Żyła na skroni Noonana znów pulsowała.

- Siadaj, do kurwy nędzy - dodał Gomez.

- Wychodzę - powiedział David, zaskoczony siłą swojego głosu. - Jeśli macie mi coś jeszcze do powiedzenia, wysłucham tego w obecności adwokata.

Tak należało zrobić. Znał to, już kiedyś to robił. Nie da się zastraszyć. Ojciec chyba jednak przekazał mu trochę beznamiętności i stoicyzmu. „Po prostu musisz iść dalej.” David trząśł się ze złości, ale był przekonany, że tak czy inaczej przez to przejdzie.

- Teraz pan popełnia błąd - powiedział Gomez, robiąc krok, żeby zagrozić mu drogę do drzwi.

- Tja, już po wszystkim. - Noonan stał obok niego i podwijał rękawy.

- Przepraszam panów. - David wyprostował się i przeszedł obok nich. - Mam trochę pracy.

Pół godziny później po powrocie do komisariatu poinformowano zdawkowo detektywa Noonana, że śledztwo przejmuje FBI i powinien przekazać agentom federalnym wszystkie notatki. Spokojnie podszedł do telefonu i zadzwonił do Johna LeVeque'a.

- Słuchaj, kutasie - powiedział. - Może mnie i wydymałeś, ale mój partner wydymał twoją żonę.

A więc tak wyglądał sukces. Judy Mandell oddała artykuł o szóstej, musiała jednak jeszcze przez trzy godziny odpowiadać na pytania naczelnego i dzwonić w różne miejsca, żeby posprawdzać fakty. Kiedy skończyła, Bill Ryan już poszedł do domu do żony inwalidki i jedyną osobą, która mogła pójść na drinka dla uczczenia sukcesu był Robert Cranbury. Mówiono o nim, że kiedy się napije, natychmiast chce iść na kurwy i robi się sentymentalny.

Wobec tego nie poszła się napić, lecz wróciła do swego kosztującego tysiąc dwieście dolarów miesięcznie mieszkania przy Pięćdziesiątej Wschodniej ulicy, zjadła dwudniową sałatkę, wypila trochę taniego chardonnaya i oglądała powtórki „Seinfelda”, aż zaczęła przysypiać na kanapie. Nim odpłynęła w niebyt, zadzwonił telefon i zahuczał pager. Podniosła słuchawkę, z której doleciał bełkotliwy, rozgorączkowany głos Nazisty.

- Jesteśmy pierwsi, kochana! Ta twoja idiotyczna historia o podkładaczu bomb!

- Co się stało? - Usiadła i popatrzyła na zegarek. Dochodziła północ i poranne wydanie zaczynało docierać na ulice. Spanikowała, wiedząc, że jeśli cokolwiek schrząniła, na wycofanie się jest za późno.

- Nic się nie stało! - wrzasnął Nazista. - Tylko wszyscy rzucili się za tobą w poгон! Co masz do dalszych artykułów?!

Nagle wieść o jej artykule rozprysnęła się po mieście jak rozbite szkło. „Times” skopiował jej artykuł o Davidzie Fitzgeraldzie, tak samo „Post”, „News” i główne stacje telewizyjne. Udało jej się pobić wszystkich. Gnała, ale jako pierwsza. Przez całe zawodowe życie tego pragnęła, niestety, wymarzony moment właśnie mijał.

Dziesiątki dziennikarzy i producentów siedziały przy telefonach i przeczesywały ulice w pogoni za nią. Teraz musiała zacząć się martwić o utrzymanie się na szczycie. A jeszcze nie spała.

30

Zapukano do drzwi tuż przed północą. David otworzył, nie zdejmując łańcucha, i ujrzał na korytarzu skromnie wyglądającego łysego mężczyznę o jasnych brwiach i

czasze w kształcie jajka. Stało za nim sześciu młodych Wizygotów w niebieskich plastikowych kurtkach.

- David Fitzgerald? - Mężczyzna wyciągnął legitymację FBI i dokument z federalną pieczęcią. - Agent specjalny Donald Sippes. Mamy nakaz rewizji w pańskim mieszkaniu.

David zdjął łańcuch i sprawdził dokument.

- Ale tak nie wolno - powiedział. - Nie miałem okazji zadzwonić do adwokata.

Tak naprawdę wcale jeszcze nie miał adwokata znajdującego się na prawie karnym. Jego adwokatka od sprawy rozwodowej Beth Nussbaum dopiero obiecała znaleźć kogoś jak najszybciej.

- Proszę pana, mamy nakaz - dobitnie wymawiając każde słowo Sippes mówił do niego jak do opóźnionego w rozwoju dziecka.

Wszedł do mieszkania i przytrzymał kolegom drzwi.

W ciągu kilku sekund zaczęli rozbierać mieszkanie na czynniki pierwsze, pakować i katalogować prywatne rzeczy Davida. Zabierali osobiste listy od uczniów, koszule, które kupiła Renee, kiedy się zakochali, stare komiksy, które zbierał dla Arthura, manuskrypt jego wspaniałej powieści Podpalacz. Obmacywali zdjęcia, dokumenty rozwodowe, dyskietki komputerowe, stare gazety, plastikowe pudełka do przechowywania żywności, stare książki, plany lekcji, nawet papierowy model układu słonecznego, który Arthur zrobił do szkoły. Zakres ingerencji przerażał go, lecz agenci nie zwracali na Davida najmniejszej uwagi. Zachowywali się jak drużyna futbolowa, kotłująca się po pierwszym podaniu podczas zdobywania piłki.

Zrzucili z łóżka materace i skonfiskowali prześcieradła. Obsypali proszkiem stojący w kącie zamek Arthura z klocków lego i zdjęli z niego odciski palców, potem zapakowali jego piracki statek. Przeczესali szafki z aktami, pobrali próbki z niedomalowanych ścian, zebrali włókna z dywanu w salonie, zabrali jego stary rower. Davidowi wydawało się, że kawałek po kawałku rozbierają jego tożsamość i nie miał najmniejszej możliwości temu wszystkiemu zapobiec.

- Panowie, nie powinniście chyba tego robić - zaprotestował. - Nie omijacie żadnych wymogów procesowych?

- Proszę pana, nie jest pan aresztowany - skontrował grzecznie Donald Sippes. - Mamy uzasadniony powód przeszukać pańskie mieszkanie.

Przepraszam, ale już mieliśmy jedną bombę i nie zamierzamy czekać na następną.

W trakcie przeszukania nieustannie dzwonił telefon i automatyczna sekretarka Davida pilnie nagrywała wiadomości od dziennikarzy. Najwyraźniej artykuł Judy Mandell znalazł się w porannym wydaniu, wyzwalając konkurencję na śmierć i życie między mediami.

David czuł, że ogarnia go coraz większa wściekłość. Jak to możliwe? Był niewinnym amerykańskim obywatelem. Nauczycielem. Słyszał od uczniów opowieści o tym, jak policja niszczyła im domy, ponieważ doszło do pomyłki w trakcie pogoni za handlarzami narkotyków, ale nigdy nie pomyślał, że coś podobnego może się jemu przydarzyć.

Poszedł do telefonu i ponownie spróbował zadzwonić do swej adwokatkę, ale włączyła automatyczną sekretarkę, przez co poczuł się straszliwie opuszczony.

Kiedy się odwrócił, zobaczył jak wąsaty agent o głowie w kształcie dyni sięga do szafy i wyciąga z niej rękawicę baseballową, którą trzymał na ósme urodziny Arthura w listopadzie.

- Nie musi pan tego brać - powiedział ze złością David. - To dla mojego syna.

- To dowód rzeczowy. - Dyniowaty Łeb wzruszył ramionami, wrzucił rękawicę do zapinanej na suwak wielkiej torby i przeciągnął palcem po szwie. - Sędzia oceni, co z pańskich rzeczy jest nasze. Od tej chwili radzę się do tego przyzwyczać.

31

Czwarta lekcja u pana Fitzgeralda została odwołana i mając potem jeszcze trzy wolne godziny, Elizabeth postanowiła pojechać do domu na wczesny lunch i uporządkować myśli. Wiadomość o rewizji FBI u pana Fitzgeralda zdezorientowała ją i zde-

nerwowała. W domu poszła zaraz do kuchni, zrobiła sobie kanapkę z tuńczykiem, ale po jednym kęsie straciła apetyt. Nie wiedziała, czy uznanie nauczyciela za podejrzanego to powód do radości, czy też do zmartwienia. Co prawda dawało to pewność, że Nasser nie miał nic wspólnego z bombą, ale pomysł, że pan Fitzgerald podłożył bombę, nie bardzo ją przekonywał. Czyżby w jego dotychczasowych czynach albo słowach było coś, czego nie dostrzegła? Musiała się nad tym dokładnie zastanowić.

W jej pokoju na piętrze ktoś chodził. Pobiegnęła na górę - Nasser siedział na łóżku, a wokół na podłodze rozrzucone leżały książki i listy.

- Co ty tu robisz?

Drzwi szafy były otwarte, rzeczy w szufladach skotłowane jak po rewizji. Nasser podniósł głowę znad jej pamiętnika.

- Co ma znaczyć to, co tu napisałaś? - zapytał nieznoszącym sprzeciwu tonem, unosząc oprawny w ozdobny materiał tomik. - „Coś się we mnie rodzi. Muszę powiedzieć o tym panu Fitzgeraldowi”. Masz na myśli seks?

- Oddaj mi to! - Skoczyła i wyrwała mu pamiętnik.

- Ten zły człowiek sieje to w twojej głowie! - Zerwał się i podbiegł do siostry. - Chce cię uwieść. Musisz nad sobą panować!

- Panować nad sobą? Ja muszę nad sobą panować? Uderzyłeś mojego nauczyciela w twarz. Szperasz w moim pokoju! - Przycisnęła pamiętnik do piersi.

- Staram się ci pomóc. Masz obowiązki.

- Nie mam żadnych obowiązków względem ciebie.

- Masz! Masz obowiązek dbać o honor rodziny!

- Honor rodziny? A ty nie masz prawa tu wchodzić i mówić mi o honorze rodziny.
- Popatrzyła na niego wściekła, z włosami rozwianymi jak furia.

- Mam! Ponieważ jestem jedyną osobą, która o to dba! - Zdjął z szyi zardzewiały

kluczyk i wyciągnął go ku siostrze niczym broń. - Patrz! Widzisz?

- Co? - Elizabeth opuściła ramiona w bezsilnej wzdardzie. - Wydaje ci się, że możesz decydować o moim życiu z powodu jakiegoś głupiego klucza?

- Głupiego klucza? Nazwałaś ten klucz „głupim”? - Nasser przycisnął go do serca, robiąc minę śmiertelnie zranionego. - To klucz do domu matki. Jak możesz tak o nim mówić?

- Nasser, czy kiedykolwiek mu się przyjrzałaś?! Przyglądałaś mu się? Nie widzisz, że jest na nim wybite YALE?

- Co ty mówisz? - Nasser ostrożnie zdjął klucz z szyi i przyjrzał się mu.

- Powiedz mi, ile jest w Palestynie zamków tej firmy? Nigdy cię to nie zastanowiło? To nie jest prawdziwy klucz! Rozumiesz? Prawdopodobnie otwiera jakieś drzwi przy Czwartej Alei.

Powoli uniósł wzrok znad klucza i popatrzył na Elizabeth przerażony i zaskoczony, jak gdyby właśnie w tej chwili do niego dotarło, że zapada się pod nim podłoga.

- To nieprawda... To przez tego nauczyciela wątpisz w prawdę...

- Nasser, jeśli mi nie wierzysz, popatrz na klucz. - Zdesperowana machnęła na niego pamiętnikiem.

Zamiast zrobić, o co prosiła, zawiesił sobie klucz na szyi i wpuścił go za koszulę.

- Tak nie powinno być - powiedział, zaciskając zęby. - Z powodu nauczyciela robisz się ślepa na to, w co powinnaś wierzyć. To nie nauczyciel, lecz truciciel. Próbuje rozbić naszą rodzinę.

- Nie próbuje. - Elizabeth mocniej ścisnęła pamiętnik, żeby wytrzymać to szaleństwo.

- Oczywiście, że to robi. - Nasser podszedł do siostry. - Chce zrobić z ciebie swoją dziwkę. Widzę to! Tak jest w książce, którą piszesz. Dlaczego nie chcesz dostrzec

prawdy?

Sięgnął po pamiętnik, ale pchnęła jego ramię.

- Zostaw mnie! Wyjdź z mojego pokoju!

Cofnął się, równie zaskoczony, co wściekły. Patrzył na rękę, w którą go uderzyła.

- Co się z tobą dzieje? - spytał, patrząc na nią, jak gdyby mówiła w obcym języku.

- Kocham cię. Nie widzisz, co on nam robi?

- Wyjdź stąd. Zaczynam cię nienawidzić.

- Dlaczego tak mówisz? - Skrzywił się tak, że twarz wyglądała jak złamana na pół.

- Powiedziałam wyjdź stąd! Nienawidzę cię.

Nagle rzucił się na nią i pchnął na łóżko. Próbował wyrwać pamiętnik. Kopała i drapała go po twarzy, krzycząc: „Wynoś się stąd! Jesteś chory!” Przed laty bywało, że kotłowali się dla zabawy, teraz było to coś całkiem innego. Stali się więksi, a dom był mniejszy. Próbował coś w niej ujarzmić. Sięgnęła po hełm, który jej kupił, i zaczęła go walić po głowie.

- Rany boskie...

Podnieśli wzrok - w otwartych drzwiach stała macocha z koszykiem prania.

- Co ty wyprawiasz? - spytała Nassera.

Wszystko zamarło. Elizabeth wyrwała się bratu, a Nasser powoli wstał. Ciężko oddychając, wpychał koszulę w spodnie. Napięcie między nimi jeszcze nie zniknęło.

- Nie zrozumiesz tego. - Rozejrzał się, jakby szukał winnego. - Próbuję ratować moją siostrę. Nie pojdziesz tego, bo nie jesteś dobrą muzułmanką. Nie należysz do tej rodziny.

- Rozumiem wszystko doskonale. Od dziś nie mieszkaś w tym domu.

- Elizabeth, powiedz jej, że próbowałem cię ratować... Elizabeth zajmowała się już jednak sprząaniem.

- Czas, żebyś poszedł, Nasser.

32

Kawałeczki Davida Fitzgeralda rozsypywane po całym świecie w końcu opadły, lecz on nie miał pojęcia, jak je pozbiierać. Z samego rana zadzwonił Larry Simonetti i przekazał, że nie musi przychodzić do szkoły.

- Omówiłem to już ze związkiem zawodowym - dodał. - W dalszym ciągu będziesz dostawał pensję, ale chyba lepiej, jeśli zostaniesz jakiś czas w domu.

Tuż po rewizji u niego, agenci federalni przekopali dom matki Davida na Long Island, zabierając z garażu stare karabiny i pamiątkowe granaty ojca, zachowując się przy tym, jakby znaleźli dowody współpracy z pravicowymi oddziałami terrorystycznymi. David musiał zadzwonić do matki na Florydę i uspokoić ją, po czym wrócić do rozmów z batalionem adwokatów oferujących mu usługi. Niełatwo przychodziło mu pogodzić się z faktem, że od tej chwili jego życie będzie ciągłym stanem wyjątkowym.

- Wygląda na to, że chłopcy zrobili pełen kipisz - powiedział ostatni gość, adwokat Ralph Marcovicci, patrząc na leżącą na środku salonu stertę podartej bielizny, sztućców i poodkręcanej armatury. - Niech pan sobie wyobrazi, co by się działo, gdyby naprawdę mieli coś przeciwko panu. Jak właściciel kamienicy?

- Nieco drażliwy - odparł David, podając adwokatowi filiżankę kawy odsączonej z fusów przez zwykłe sitko. - To dom Columbia University. Zrobiłem mały szwindel w ich wydziale mieszkaniowym, żeby być bliżej syna. Mogę tu mieszkać do ukończenia doktoratu.

- No to ma pan niezłą wymówkę - powiedział Marcovicci, brzuchaty, różowolicy mężczyzna o fryzurze gitarzysty rockowego z lat siedemdziesiątych, a ważący przynajmniej sto trzydzieści kilo.

Towarzyszył mu drugi adwokat, Judah Rosenbloom - uczesany w siwiejący kucyk, w rogowych okularach, a do tego tak chudy, że wyglądało jakby wspólnik wszystko mu zjadał.

- Wiem, że Beth panów poleca, ale skądś was chyba znam - zastanawiał się głośno ciągle jeszcze rozdygotany David.

- W ciągu ostatnich kilku lat zajmowałem się paroma głośnymi sprawami - powiedział Ralph, wziął od Davida kawę i usiadł, o mało nie łamiąc ostatniego krzesła. - Pamięta pan Lolitę z Larchmount? To jedna z moich spraw.

- O...

- A Zabójczynię Bum-Bum? Tę striptizerkę, która zabiła dwóch klientów w klubie, w którym pracowała. To też moje. Głina z Rozkładówki też. Byłem kilka razy w programie Howarda Sterna.

- Naprawdę?

- Tak, Howard jest moim kumplem. Lada dzień mam do niego iść na grilla.

David pokręcił głową. Miał wielkie kłopoty, ale nie był aż tak zdesperowany.

- Cóż...

Przerwał mu Judah Rosenbloom, nerwowo szarpiąc okulary.

- Davidzie, chcę, żebyś wiedział, że od lat z pasją pracuję na rzecz ludzi biednych i pozbawionych majątku i nigdy się nie wahałem przed wzięciem sprawy niepopularnego klienta. Uważam wręcz, że to moja misja. - Mówił szybko i stanowczo, jakby się spodziewał, że zaraz zostanie wyrzucony. - Uważam, że ludzie o czystym sumieniu nie tylko powinni rzucać wyzwania aparatowi rządowemu, ale tam, gdzie nie służy on sprawiedliwości, obnażać jego słabe strony.

David nagle sobie przypomniał, że widział Rosenblooma w telewizji, reprezentującego terrorystów i handlarzy narkotyków.

- Hm, nie wiem, czy chcę, żebyście mnie reprezentowali.

- Wolno spytać, czy rozmawiał pan z innymi prawnikami? - odezwał się Judah.

- Widziałem się z paroma, a z kilkoma innymi rozmawia w moim imieniu związek. - Na wspomnienie wczorajszej rozmowy z szefem sekcji związku, David o mało się nie załamał.

- Niech pan będzie realistą. - Marcovicci popatrzył na puste miejsce w rogu, gdzie jeszcze niedawno stały zabawki Arthura. - Wierzy pan, że jakiś prawnik ze Związku Nauczycieli pomoże panu w sprawie o zabójstwo?

- Jeszcze nie zostałem o nic oskarżony. - David zeszywniał. - O ile wiem.

- Nie oszukuj się, stary. Proces już się rozpoczął. Wyglądał pan ostatnio przez okno?

Marcovicci wstał, odsunął zasłony i wskazał palcem na sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu dziennikarzy, którzy zastawili samochodami i wozami transmisyjnymi Sto Dwunastą Zachodnią ulicę.

- Nie widzi pan tego? Trwa pański proces na oczach opinii publicznej. Przykręcają termonuklearną śrubę.

- Co?

- Termonuklearną śrubę. - Ralph pantomimicznie udawał, że kręci ze zgrzytem wielkim narzędziem. - Nie wie pan, co to jest?

- Nie.

- Polega to na tym, że media wywierają na kogoś presję, aż nic z niego nie zostanie. Nie trzeba zakładać kajdanek. Pańska reputacja jest już na dnie. Słyszał pan, co w wiadomościach mówili sąsiedzi pana matki i pana uczniowie? Nie mogą się doczekać, żeby spalić pana na stosie. „Wyglądał na miłego młodzieńca, nie mogę uwierzyć, że coś takiego zrobił...”

Ponieważ zniszczono mu albo zabrano niemal wszystkie meble, David usiadł na podłodze.

- Ale to przecież nie ma znaczenia w sądzie. Prawda?

- Oczywiście, że nie. - Marcovicci zachichotał i wrócił na krzesło. - Ponieważ członkowie ławy przysięgłych nic z tego nie widzieli.

- Ale ja jestem niewinny! - krzyknął David, zaciskając ze złości pięści.

- Oczywiście, że jest pan niewinny. - Marcovicci uśmiechał się pobłaźliwie, niemal frywolnie. - Każdy, kogo reprezentowałem, był niewinny.

- Ale ja naprawdę jestem niewinny. Powstrzymałem dzieciaki przed wejściem do autobusu.

Walczył o zachowanie spokoju. Niewłaściwość, wręcz przewrotność sytuacji, w jakiej się znalazł, przez ostatnią dobę niemal odbierała mu zdolność oddychania. Brak snu doprowadził do tego, że odbierał wydarzenia jak przez mgłę.

- Davidzie, uważamy za konieczne natychmiastowe rozpoczęcie kontrofensywy. - Judah Rosenbloom zdjął okulary i przetarł szkła papierową chusteczką. Jego oczy wyglądały młodziej niż reszta twarzy. - Musimy określić ramy dialogu.

- Kiedy mogę się spodziewać oczyszczenia mojego nazwiska? To nie może nade mną wisieć. Mam jutro rozmawiać z adwokatem o rozwodzie.

- Problem w tym, że nie został pan aresztowany.

- Co? Dlaczego to jest problemem?

- Gdyby pana aresztowano, moglibyśmy iść do sądu i uzyskać uniewinnienie albo jeszcze lepiej - wycofanie oskarżenia. - Rosenbloom skinął do Marcovicciego. - W obecnej sytuacji mamy jedynie do czynienia z pomówieniami i podejrzeniami. To jak strzelanie do cieni.

David znów poczuł skurcz strachu wywołany nadmiarem adrenaliny, wrażenie, że

już nic nigdy nie będzie takie samo. Całe życie myślał jak Hemingway i zachowywał się jak Henry James, a teraz stawał się postacią z powieści Kafki.

- Więc mam siedzieć i czekać, podczas gdy dach się zawala? Co z moją pracą? Ze sprawą o przyznanie opieki? Chcecie mi powiedzieć, że stracę pracę i syna, ponieważ nie ma przeciwko mnie wystarczających dowodów, z których mógłbym zostać ostatecznie oczyszczony? Przecież to może trwać wiecznie!

- Dokładnie pan to ujął. - Marcovicci odstawił kubek z kawą. - Dlatego powinien pan walczyć na wszystkich frontach. Jak już przyjdzie co do czego, Judah zajmie się aspektami prawnymi. Ja mogę załatwić kontakt z większością znających media prawników w całym otaczającym nas trójstanowym regionie. Znam każdego pismaka dla radia i talk-show w mieście. Mógłbym pana wsadzić jutro do „Dateline”, żeby ogłosił pan swą niewinność.

- O nie! - David tupnął w podłogę. - Nie dam się znów w to wciągnąć. Podejrzewam, że mam kłopoty głównie z powodu mediów. - Wstał. - Panowie, dziękuję, że poświęciliście mi swój czas, ale chyba będę musiał porozmawiać z innymi prawnikami.

- Jest pan pewien, Davidzie? - Judah Rosenbloom uniósł brew z nieskrywaną troską. - Biorąc mnie i Ralphi, dostałby pan to, co najlepsze. Niech się pan przejdzie do biblioteki i przejrzy wycinki prasowe. Zanim zacząłem pracować z Ralphem, przez szesnaście lat prowadziłem całkiem udaną samodzielną praktykę.

A więc to było małżeństwo z rozsądku. David wziął od Judaha wizytówkę.

- Na pewno jesteście świetni, ale chodzi o to, że nie chcę brać udziału w tym całym cyrku.

- Wie pan co? - Marcovicci wstał, co przypominało unoszącą się górę. - Już pan stoi na jego arenie.

- Sądzę, że uda się wszystko załatwić z mniejszym rozgłosem.

- Jak pan sobie życzy. - Marcovicci poprawił kołnierzyk i odrzucił do tyłu włosy. - Wie pan co? Niektórzy mówią mi: „Ralph, jesteś klaunem. Nie znasz się na prawie”.

Czasem nawet sam sobie mówię, że powinienem się więcej uczyć, przeczytać więcej pięknych książek. Olivera Wendella Holmesa, Arystotelesa. O prawdzie i pięknie. Może powinienem spróbować zostać człowiekiem uczonym, kimś jak Judah... ale wie pan co? Nie żyjemy w uczonych czasach. - Wyciągnął do przodu ręce, udając, że trzyma w nich trzęsące się piersi, a przy okazji zatrzęsł swym wielkim brzuszyskiem. - To są czasy Zabójcy Bum-Bum! Czasy Lolity z Larchmount! Jeśli zatrzymałeś się w innych czasach, miej pretensję wyłącznie do siebie, kolego!

Zadzwonił telefon. David odczekał kilka dzwonek i podniósł słuchawkę. Cały dzień wydzwaniali dziennikarze z prośbą o komentarz.

- Tak, słucham?

- David, to ja, Renee. - Mówiła rozedrganym głosem, który dobiegał skądś z daleka, jakby wspięła się z telefonem wysoko na drzewo.

- Co się stało?

- Musisz przyjechać. Natychmiast. Byli tutaj i nie poradzę sobie.

- Niech to cholera...

- Właśnie o tym mówię. - Odwiesiła słuchawkę.

David potarł dłonią brodę. Nie mógł dłużej zwlekać. Musiał podjąć decyzję i wybrać sobie adwokata. Judah i Ralph skierowali się do wyjścia, a jemu wydało się, że właśnie odpływa kuter ratowniczy, zostawiając go na maleńkiej tonącej krze.

- Ile będzie mnie kosztować zaangażowanie was? Adwokaci popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Sądzę, że bronilibyśmy pana pro publico bono - odparł Judah.

- Z tym, że potem wzięlibyśmy zwykłą stawkę za proces cywilny - dodał Ralph. - To sprawa jak cholera, oczywiście pod warunkiem, że zostanie pan uznany za niewinnego.

Tak, pod warunkiem że zostanie uznany za niewinnego... Drobiazg. David postanowił nie wahać się dłużej i wyrazić zgodę na zaangażowanie obu adwokatów. Zrobił to nie tylko z powodu pilnej potrzeby obrony, zgadzał się też z Ralphem - działały tu inne poważne czynniki. Żyli w czasach Zabójcy Bum-Bum, Lolity z Larchmount. Nie miał szansy odzyskać dobrego imienia jedynie przez wykorzystanie prawnych sztuczek i precedensów - musiał zmienić opinię świata o sobie.

- A więc chyba chciałbym, żebyście mnie reprezentowali - powiedział, niemal połykając słowa.

- Mądry chłopak - uznał Ralph i energicznie potrząsnął dłonią Davida. - Będziemy mieć wspaniałą zabawę. Pamiętaj: „Traktuj życie jak przygodę, bo inaczej nie będzie nic warte”.

- Kto to powiedział?

- Helen Keller.

33

Natychmiast po walce z siostrą Nasser spakował rzeczy i wyprowadził się. Nie wiedział, dokąd mógłby się udać.

Najpierw zatrzymał się pod szkołą, w nadziei, że znów się natknie na Fitzgeralda, człowieka, który spowodował całe zło. Siedział na parkingu, słuchał radia i obserwował tylne wyjście ze szkoły, nie wiedząc, co zrobi, jeśli spotka nauczyciela. Potem usłyszał w wiadomościach, że David Fitzgerald jest podejrzany o podłożenie bomby i wtedy Nasser odjechał.

Mąciło mu się w głowie. Wszystko działo się na odwrót. Najpierw nauczyciel próbował uwieść mu siostrę, potem jego wyrzucono z rodzinnego domu, a teraz nauczyciela obwiniano o podłożenie bomby, którą sam podłożył. Nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób to wszystko miało być częścią boskiego planu.

Spróbował zadzwonić do Jusufa, ale Wielkiego Niedźwiedzia nie zastał w domu. Pojechał Mostem Brooklyńskim na Manhattan, żeby porozmawiać z profesorem Bin-

Khaledem. Czuł się opuszczony, dryfował bez celu, jak lecący bezwładnie przez kosmos kawał skały. Musiał znaleźć jakieś oparcie. Zadzwoił do Jussufa i doktora Ahmeda, ale nie było ich. Ucieszył się, nie był bowiem przygotowany do uczestniczenia w ich planach podłożenia kolejnej hadduta. Czuł się wybity z codziennego rytmu. Klucz miał ciągle na szyi, ale od kłótni z Elizabeth nie odważył się na niego patrzeć.

Sprawdził plan zajęć, kiedy był tu poprzednim razem i wiedział, że profesor ma dziś wykład w jednym z budynków uniwersyteckich przy Czterdziestej Drugiej Zachodniej ulicy. Szare korytarze budynku sprawiały przygnębiające wrażenie, na dodatek zalatywało w nich mocno amoniakiem. Przypominało mu to uniwersytet w Betlejem, gdzie czasami odwiedzał przyjaciół, choć tutaj panowała nieco inna atmosfera - te korytarze przepełniała pracowita krzątanina. Tutaj studenci uważali, że mają przyszłość.

Odnalazł salę numer sto sześć i wszedł do środka. Była wypełniona niemal po brzegi - we wznoszących się amfiteatralnie ławkach siedziało przynajmniej trzysta osób. Znalazł puste krzesło i usiadł, czując coś na kształt zawstydzającej go nostalgii. Znalazł się z powrotem w szkole. Większość studentów wyglądała jednak na starszych o przynajmniej dziesięć lat od uczniów Coney Island High School. Przypominali ludzi, jakich spotyka się w metrze rano, gdy wszyscy jadą do pracy. Notowali w skupieniu, wiedząc dokładnie, co robią, zdecydowani nie dopuścić do odwrócenia ich uwagi od wykładu. Latynos z kręconymi włosami po prawej stronie Nassera nagrywał wykład na taśmę. Miał na sobie marynarkę i krawat - jakby przyszedł na wykład prosto z banku. Murzynka po lewej była ubrana w wykrochmalony beżowy strój biurowy, a do dzinsowej torby na książki przypięła znaczek z rysunkiem niemowlaka. Zapisywała obie strony każdej kartki równymi, starannymi literami. Ci ludzie nie mieli nic wspólnego z rozpieszczonymi amerykańskimi dziećmi, spędzającymi życie na oglądaniu telewizji i zabawie. To byli dorośli poświęcający czas nauce. Nasser czuł się wśród nich obco i nie na miejscu.

Przy tablicy w dole auli wykładał jego dawny przyjaciel i współwięzień Ibrahim, profesor Bin-Khaled. Z początku Nasser go nie poznał, ponieważ minione lata przyproszyły siwizną zarówno włosy, jak i wąsy profesora.

Według obliczeń Nassera nie mógł mieć więcej niż czterdzieści pięć lat, ale wyglądał na człowieka po sześćdziesiątce. Poruszał się powoli i ostrożnie, jakby mimo upływu lat nie wszystko się w nim zrosło. Inszallah, ile ten człowiek wycierpiał - naj-

pierw torturowano go w więzieniu, potem stracił na wojnie syna. Nasser zawstydził się - powinien skontaktować się z nim wcześniej.

- W Drodze do Indii obserwujemy jak kolonizacja występuje przeciwko odmienności i w konfrontacji z nią niemal zupełnie się rozpada. - Ibrahim mówił i równocześnie rysował na tablicy szkic jaskini. - Nie jest to jednak polemika. Forster przedstawia nam także nieprawdopodobne przyjaźnie, przekazuje tkwiącą w ludziach chęć sięgnięcia poza wyznaczone granice...

Nie to chciał Nasser słyszeć, a już na pewno nie teraz. Nieprawdopodobne przyjaźnie. Potrzebował rozpalonej do białości, oczyszczającej wściekłości, słów, które by nim pokierowały. Wiedział, że Ibrahim mógłby mu je przekazać - gdyby byli sami. Latynos po prawej przeglądał egzemplarz Drogi do Indii, szukając przykładów potwierdzających słowa profesora. Kobieta po lewej z gracją założyła nogę na nogę i pochyliła się nad zeszytem. Przypominała Nasserowi zgrabną dziewczynę, którą widywał w szkolnej stołówce - Aiszę Watkins, kolejną osobę, z którą nie miał odwagi rozmawiać. Z jednym wyjątkiem - dziewczyna w auli była dorosła i starała się iść do przodu, natomiast on pozostał taki, jak lata temu: język stawał mu kołkiem, wszystko go dziwiło i w rezultacie zamknął się w sobie.

Inszallah. Nie mógł znieść czekania na Ibrahima. Zbyt wielki płonął w nim płomień. Wyszedł z auli i pojechał na południe, pomodlić się w meczecie przy Jedenastej ulicy. Dokonał rytualnych ablucji, zdjął buty i zagłębił się w modlitwie o przewodnictwo. Kiedy klękał, a potem wraz z kilkoma mężczyznami padał na twarz na gołą podłogę z białych kafelków, w dalszym ciągu szalała w nim burza. Z jednej strony pragnął, żeby stało się z nim coś niezwykłego i groźnego, z drugiej zaś nieustannie myślał o kobietach: siostrze, dziewczynie w szkolnej stołówce, kobiecie na wykładzie. Czego chce od niego Bóg? Dlaczego nie okazał jednoznacznie swej woli? Nasser zaczął się obarczać winą - może czynił zbyt mało dla wiary? Prorok powiedział, że jeśli widzi się zło, należy je próbować naprawić najpierw własnymi rękami, potem słowami, na końcu sercem. Może powinien się mocniej do tego przykładzać?

Jeździł kilka godzin po mieście, zabrał kilku klientów i uzbierał w sumie dwadzieścia cztery dolary. O piątej znalazł się na dolnym Broadwayu i zbliżał się do oświetlonego neonami klubu o nazwie „Pussycat Lounge”. Chociaż nigdy nie wchodził do środka, wiedział jednak, że ludzie zachowują się tam niemoralnie. Nie zamierzał tam wejść tylko dlatego, że jeszcze nigdy nie widział nagiej kobiety - gdyby uczy-

nił to chęci zobaczenia jej, byłoby to bardzo haram. - Ale on miał słuszny powód: zamierzał powstrzymać zło bez bomby, rozpowszechniając naukę Boga. Może uda mu się kogoś nawrócić.

Zaraz po tym, jak zszedł na dół z podniszczonym egzemplarzem Koranu w dłoni, jego uwaga została od misji odwrócona. Ogarnęła go fala ciepłego, rozedrganego muzyką powietrza, przypominając piosenki, które wieczorami grała na piętrze Elizabeth, a on próbował zasnąć w piwnicy. Ten sam rytm przenikał przez sufit, kojąc go do snu. Była to tajemnica, o której wiedział tylko on i jego siostra.

Tutaj jednak rozejrzał się przerażony: spostrzegł ściany wyłożone dymionym szkłem i chromowany bar. Za kontuarem stały szeregi butelek z alkoholem i Nasser siłą powstrzymywał się od porozbijania ich gołymi rękami. Nieco w głębi ustawiono stół bilardowy, a pod ścianami kilka gablot pełnych zakurzonych błyskotek i pamiątek z napisem KOCHAM NY. Nawet Nasser rozumiał, że umieszczono je tylko po to, żeby obejść przepis zakazujący nowojorskim klubom przeznaczania całej powierzchni na „rozrywkę dla dorosłych”.

- Przepraszam, czy mogę w czymś pomóc? - odezwał się do niego wykidajło, wielki mężczyzna przypominający lodówkę z czarną muszką.

- Ja... - Co mówić? Co robić? - Chciałbym z kimś porozmawiać...

- Proszę tędy, drogi panie.

Wykidajło poprowadził go za bar do przypominającego grootę pomieszczenia z przyciemnionymi światłami, gdzie niemal wszystkie stoliki były puste. Po sekundzie oczy Nassera przyzwyczały się do purpurowego ultrafioletowego światła - ujrzał tańczącą na scenie kobietę, wykonującą falujące ruchy, jak przy zwijaniu serpentyny. Na ścianie za nią umieszczono wąską elektroniczną tablicę, przez którą przesuwają się czerwone liczby informujące o kursach akcji. Po prawej stronie siedział niedbale rozwalony w fotelu mężczyzna, zupełnie jak pod wpływem narkotyku. Przed nim w kucym kostiumie kąpielowym stała kobieta i prezentowała mu tyłek.

Nasser zamarł przerażony. Było to bez wątpienia miejsce, gdzie powinno się rozpocząć wielkie napominanie, ale nie mógł się poruszyć. Trzymała go jakaś niepojęta siła. Zahipnotyzowały go falujące biodra tańczącej dziewczyny i przesuwające się

czerwone cyfry.

- Zatańczysz? - Podeszła do niego brunetka w czerwonej wyszywanej cekinami tunice i uśmiechnęła się, jakby w transie. - Do szóstej tylko dziesięć dolarów.

Czuł drżenie wewnątrz całego ciała. Boże, kusił go sam diabeł. Rozrywał go od środka. Tak... nie... tak. Chciał poczuć dotyk, ale równocześnie nie chciał, żeby ktokolwiek go dotknął.

Pomyślał o swoim przyjacielu Hamidzie, z którym siedział w więzieniu Ashkelon. Hamid był od niego starszy jedynie o tydzień i wychował się dwadzieścia pięć kilometrów od Deheishy. Żydzi wsadzili go do pokoju razem z przepiękną dziewczyną, która powiedziała, że jeśli zgodzi się na drobną współpracę i zostanie więziennym informatorem, dostaną dom i do końca życia będą mogli się namiętnie kochać. Hamid, który obiecał przyjaciółom, że nigdy nie da się złamać, wrócił do celi, nie chcąc być kuszo- nym, przy pierwszej okazji podciął sobie gardło brzytwą.

Tu działo się dokładnie to samo.

- Usiądziemy? - Dziewczyna wyciągnęła do niego rękę.

Skoczył do tyłu, jak ogarnięty płomieniami.

- Nie! Nie, dziękuję. Muszę iść. Nie mogę tu zostać.

Odwrócił się i wybiegł, póki mógł.

Ulicę zapełniali ludzie spieszący do metra, domów, rodzin, do kogoś, kto na nich czekał. Nasser stał przy swej taksówce zagubiony, przygnieciony samotnością.

Wiedział, że kończyła się jego wytrzymałość. Robiło się późno i potrzebował miejsca do spania. Wsiadł do samochodu i ruszył do hotelu przy Dwudziestej Trzeciej ulicy. Widocznie takie jest jego przeznaczenie, a Bóg chce, żeby połączył się z Jusufem i doktorem Ahmedem i pomógł im wypełnić misję. Nie miał innego miejsca, dokąd mógłby pójść.

David zakończył spotkanie z adwokatami i jak najszybciej udał się do dawnego mieszkania przy Dziewięćdziesiątej Ósmej ulicy. Już kiedy Arthur otworzył mu drzwi, wiedział, że się spóźnił.

- Mama jest w łazience i nie chce wyjść - powiedział chłopiec tonem, którym posługiwał się zawsze, gdy się zdenerwował, a nie chciał tego okazać.

- Przepraszam, stary. Nic ci nie jest? - David ukląkł, chcąc objąć syna. Arthur był niczym zimny, sztywny manekin.

- Było paru wielkich ludzi.

- Wiem. U mnie też byli.

Arthur uważnie mu się przyjrzał, próbował ocenić, czy może się rozkleić czy też nie.

- Dotykali moich zabawek?

- Nie bardzo - skłamał David. Zanim Arthur do niego przyjedzie, będzie musiał posprzątać. - Zrobili coś z twoimi zabawkami tutaj?

- Trochę. - Chłopiec ssał kołnierzyk. - Ale przeszukali rzeczy mamy i wtedy wściekła się, zaczęła krzyczeć i nie mogła przestać.

David położył sobie dłoń na karku i głęboko westchnął. Salon został przeszukany, ale znacznie delikatniej niż u niego - każdą rzecz po obejrzeniu odstawiono w nieco inne miejsce. Kanapę odsunięto kilka centymetrów od ściany. Róg dywanu podwinęto. Telewizor i sprzęt stereo był wyłączony z kontaktu, komputer ustawiony trochę inaczej - najwyraźniej ktoś sprawdzał zawartość twardego dysku. Zjedzone do połowy jabłko leżało w dalszym ciągu na tym samym talerzu, tyle że zaczynało już czernieć.

David poczuł, jak złość zmienia się w poczucie rezygnacji. Co ci ludzie chcieli zrobić jego rodzinie? Zamierzali zniszczyć wszystko co kocha?

- Tato, czego szukają?

No dobrze, Fitzgerald. Trzymaj się. Cały świat chłopca zależy od tego, czy zachowasz dobrą minę do złej gry.

- Szukają pewnego złego człowieka - powiedział po chwili. - Przyszli tutaj przez pomyłkę. Ktoś musiał dać im złe instrukcje.

Arthur spoglądał na boki, szukał w twarzy ojca potwierdzenia tych słów, chciał mu uwierzyć.

- Kiedy go znajdą?

- Niedługo, stary. Na pewno niedługo.

- A kiedy mama wyjdzie z łazienki?

- Nie wiem. Porozmawiam z nią. - Zmierzył Arthurowi włosy i posłuchał jak odycha. - Na pewno nic ci nie będzie?

- Pewnie. - Chłopiec wrócił do stojącego w jego pokoju zamku z klocków lego, starał się pozbyć napięcia. - Powinni aresztować Antona. Jest palantem.

David poszedł za synem korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami łazienki.

- Renee, skarbie. Wszystko już w porządku. Poszli sobie.

- C'mon-a-my-house, a-my-house... - nuciła cichym i niemelodyjnym głosem. David przytknął czoło do drzwi, nagle poczuł się wycieńczony. Dlaczego to się przydarzyło akurat jemu?

- Dziewczyno, musisz wyjść. Arthur cię potrzebuje.

Pisnęło w rurach i do umywalki w łazience zaczęła lecieć woda.

- Renee, co robisz? Chyba nie chcesz zrobić sobie krzywdy?

- Dlaczego oni tu przyszli, David? - Przez szum wody ledwie słyszał jej głos. -

Czego ode mnie chcieli?

- Renee, otwórz drzwi, to ci powiem. Zaraz stracę głos.

Miał nadzieję, że nie będzie musiał wyważać drzwi. Ostatnim razem, kiedy to zrobił, podbił jej oko. Woda przestała lecieć i rury stęknęły basowo. Renee uchylila drzwi na centymetr. Plasterek bladego światła przeciął mrok korytarza, w szparze ukazało się podkrążone błękitne oko.

Natychmiast zrozumiał, że zerwały się ostatnie kontakty Renee z realnym światem.

- Przestraszyli mnie - powiedziała, ostrożnie otwierając drzwi.

David poczuł okropny zapach. Pomyślał, że „myła” ściany wymiocinami.

- Wyjdź na chwilę. - Sięgnął po jej rękę. - Już wszystko dobrze. Próbowali cię przestraszyć, ale już ich nie ma.

Ujęła jego palce i podreptała na korytarz. Miała bose, posiniaczone stopy, na twarzy ślady intensywnego płaczu, a z zachowania wynikało, że piła też jakiś alkohol. Przysunęła do ust papierosa i popiół spadł jej na palce.

- Co się stało? - spytał David.

- Po prostu weszli. Powiedzieli, że mają nakaz, ale co ja o tym wiem? Jestem tancerką. - Mówiła coraz szybciej. - Dlaczego mieliby pokazywać tancerce nakaz? Dlaczego mieliby pokazywać nakaz aktorce? Wyglądam na kogoś, kto zna się na nakazach?

- Tędy. - David zaprowadził ją do salonu i posadził na kanapie. Plakat Margot Fonteyn wisiał lekko przekrzywiony.

- Potem zaczęli grzebać w moich rzeczach. Zaglądać do szafy. Otworzyli pudło saksofonu Antona. Zadawali niedyskretne pytania.

- Jakie?

- Ba! - Rozrzuciła ramiona na boki, ciągnąc w powietrzu smugę papierosowego dymu. - Chcieli wiedzieć jaki jesteś, kim są twoi przyjaciele, o czym z nami rozmawiasz. Czy byłbyś w stanie zrobić komuś krzywdę. Czy znasz się na materiałach wybuchowych. Dziwne rzeczy.

-I co im powiedziałaś?

- Że się mylą. Że nie jesteś taki. Że jesteś dobrym człowiekiem. Z gruntu. - Przerwała i dotknęła palcem wargi. - Tak jest, jak się wszystko pozbiera do kupy. Tak uważam.

Czuł, że jej nastrój się zmienia. Dołki na szyi pogłębiały się.

- O co chodzi?

- Nie dawali mi spokoju. - Odsunęła się i usiadła na kanapie. - Opowiadali o broni i mundurach, które znaleźli w garażu u twojej matki. O tym, jak jeden z twoich uczniów mówił dziś w telewizji, że kiedyś przyniosłeś do szkoły siekierę. Pytali i pytali, i po jakimś czasie dostałam paranoi. Pomyślałam: a jeśli mają rację? Jeśli wszystko, co sobie myślę, to nieprawda? Wydaje ci się, że kogoś znasz, ale wcale go nie znasz. Tak naprawdę go nie znasz. Wydawało mi się, że wzięliśmy ślub na zawsze, ale już nie jesteśmy małżeństwem, więc jak można kogoś znać do końca? Mnie też krążą po głowie myśli, których nie zdradzam nikomu. Nikt nie wie wszystkiego.

- Renee, posłuchaj. - David usiadł obok i objął ją ramieniem. - Nie zrobiłem tego. Jasne? Wpuścili cię w maliny. Dzieje się tu coś, co nie ma nic wspólnego z tobą, ze mną, Arthurem ani rozwodem.

Czuł, jak drży mu w ramionach. Był na nią zły, było mu jej szkoda, zaraz poczuł także złość na siebie samego, że nie jest w stanie bardziej jej pomóc. Niesamowite... Renee dostaje załamania nerwowego, w mojej sprawie toczy się śledztwo, a jutro mamy spotkanie z sędzią.

- Boże... - Zgasła papierosa i objęła się ramionami. - Pokazali mi zdjęcia kierowcy tego autobusu. Powiedzieli, że zginął z popękana czaszką i skreconym karkiem. To było okropne. Miałam wrażenie, że wchodzę do łóżka, z którego już nigdy nie wstanę.

- Nie wolno ci tego robić, Renee. - David mówił do niej tak, jak mówi się do kogoś, kto „odleciał” po zażyciu LSD i należy go sprowadzić na ziemię. - Arthur cię potrzebuje.

- Wiem... wiem. - Odwróciła się, znów pociągnęła się za wargę. - Ale ciągle widzę zdjęcie tego kierowcy... ciągle myślę, jaki musiał czuć się samotny w chwili śmierci... Nie było przy nim nikogo, kto go kochał. Powiedziałam im: jak można naprawdę cokolwiek o kimś wiedzieć? Cóż za samotność istnienia... delikatność. A niech to cholera! Popatrz, co zrobili z moim dywanem!

Schyliła się i zaczęła drapać paznokciem idealnie czyste miejsce.

- Spokojnie, mała, spokojnie. - Stał i delikatnie klepał ją po ramieniu aż wstała.

- Rozpieprzyli to - mówiła z płonącymi policzkami. - Wszystko rozpieprzyli.

- Posłuchaj, Renee... - Wypuścił powietrze. - Wydaje mi się, że najlepiej będzie od tej chwili z nikim nie rozmawiać. Ani z prasą, ani z FBI. Jeśli znów do ciebie zadzwonią albo przyjdą daj im numer telefonu mojego adwokata. To jest wielka pomyłka. Jestem pewien, że za kilka dni będzie po wszystkim.

Choć prawdopodobnie dopiero po sprawie o opiekę. Zastanawiał się, czy można to jakoś przesunąć.

- Próbuję być silna, Davidzie. - Renee oparła czoło o jego pierś. - Naprawdę.

- Wiem, Renee. Wiem.

Objął ją, jakby próbując utrzymać w jednym kawałku. „Moja wina... moja wina... moja wina. To wszystko tylko moja wina.” Czuł się tak, jak gdyby Renee była ranna, a on przyszedł jej pomóc bez potrzebnego do tego sprzętu.

- Chcesz, żebym został?

- Nie, Anton zaraz wróci. Coś... - machnęła słabo ręką - z tym zrobi.

Pocałował ją delikatnie w czoło i poszedł pożegnać się z synem. Arthur leżał na brzuchu na podłodze, machał nogami i czytał komiks z Batmanem. Palcami pchał policzki do góry.

- Wszystko będzie dobrze, mały. - Usiadł obok syna. - Któregoś dnia o wszystkim zapomnisz.

Kłamstwo. Kłamstwo w żywe oczy. Żalosse. Co gorsza - okłamywał nie chłopca, lecz siebie. Arthur nie patrzył na niego. - Aha. To wszystko, co od niego usłyszał. David zmierzwił mu włosy i wstał.

- A tak poza tym, czy ci ludzie pytali cię o coś?

- Tylko kim chcę zostać, jak dorosnę.

David znów poczuł ucisk w klatce piersiowej. Jeszcze w zeszłym tygodniu Arthur biegał i mówił wszystkim wokół, że chce być jak tata. -1 co powiedziałaś?

- Że chcę zostać gliną.

35

Szejk Abdel Aziz Ayad był chudym jak patyk mężczyzną około pięćdziesiątki, o powyszczerbianych zębach i figlarnym spojrzeniu.

- Są tacy, którzy sami określają się jako tak zwani święci i twierdzą, że istnieje możliwość innej interpretacji świętej księgi, ale to absurdalne! - powiedział imam z krzywym, nieco przekornym uśmiechem. - Istnieje tylko jedna droga, jedna interpretacja, jeden Bóg. Czy jest wiele sposobów wylania jajka ze skorupki? Nie. Trzeba stłuc skorupkę. O tym samym mówimy tutaj.

Jusuf podniósł się nieco i spytał:

- Mogę ci coś przynieść z kuchni, szejku?

- Nie, dziękuję, bracie. Jadłem przedtem halal baton. - Imam, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na dywanie, sięgnął po stojącą na stoliku filiżankę z herbatą i

zwrócił się do Nassera. - Naród, wśród którego się znaleźliśmy, to obraza Boga. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Bóg rozpostarł płachtę na sercach niewierzących i napchał im do uszu wosku. Tak to jest! Nie są w stanie poznać prawdy. Mogą jedynie przyprawiać innych ludzi o cierpienie. Bóg nie ma litości dla tych, co nie znają litości. Dlatego konieczny jest dżihad.

Doktor Ahmed, który też siedział na podłodze, podciągnął kolana do piersi i kiwał się w przód i w tył.

- Hm... tak... o tym właśnie chciałem rozmawiać. O wielkiej karze. Jaką ma przybrać postać.

Imam uśmiechnął się, choć nie wiadomo, czy w ogóle usłyszał słowa doktora.

- Musimy dopieć im w ich domach. Nie pozwolić, żeby czuli się dobrze w swej bezbożności. Dlaczego wspierają Izrael? Ponieważ wielbią pieniądze, a Żydzi dają łapówki Białemu Domowi. Mówią, że dbają o prawa człowieka, a pozwalają Żydom na uciskanie nas i torturowanie naszych ludzi. To hipokryci i tchórze, więc musimy zwalczać ich wszędzie, a jeśli to konieczne, dokonywać poświęceń. W oczach Boga nie ma nic świętszego od męczennika. Nie ma większego bohatera od tego, kto walczy za sprawę Allaha.

- Allahu akbar - zawył doktor.

- Nie ma Boga prócz Allaha. - Jusuf klepnął Nassera w kolano.

- Mężczyzna, który zostaje w domu, żeby się modlić, jest niczym w porównaniu z wojownikiem. - Imam zwrócił śmiejące się oczy ku Nasserowi. - Nie wstąpi do rajy tak szybko jak wojownik. Godzina na polu walki jest warta stu lat modlitwy.

- Inszallah! - wykrzyknął doktor Ahmed.

Słowa te działały na Nassera kojąco, przestawało boleć, że rodzina wyrzuciła go z domu. Teraz czuł się dobrze. Dobrze było siedzieć tutaj z tymi ludźmi, rozmawiać o istotnych sprawach, należeć do kasty wojowników. Czuł się tak samo, jak w pierwszym okresie intifady, kiedy kamień w dłoni ważył tyle, ile trzeba, bracia biegali z nim wąskimi uliczkami Betlejem i wiedział, że znajduje się w odpowiednim czasie i miejscu. Tak jak przed przyjazdem do tego kraju, gdzie się zagubił.

- Ale musimy być oczywiście ostrożni. - Imam dźgał go długim sękatym palcem. - Wierz w Allaha i pętaj wielbłąda. Znasz to powiedzenie?

- Nie - odparł Nasser.

- Jeden z uczniów proroka spytał go, czy w trakcie podróży ma przywiązywać wielbłąda czy wierzyć w Boga, na co prorok odparł: „Wierz w Allaha i pętaj wielbłąda”.

Nasser zagryzł wargę i zastanowił się nad tym, czy nie popełniał błędu, uzależniając tak wiele w swoim życiu od Boga.

- Chciałbym porozmawiać o miejscu, które powinno być naszym następnym celem - wtrącił doktor. Stukał nerwowo palcami w podłogę. - Gdzie możemy spowodować najwięcej szkód za pomocą hadduta.

Szejk odchylił się od niego.

- To trzeba przemyśleć... - powiedział niejednoznacznie.

Doktor Ahmed jeszcze wyżej uniósł brew i zaczął się szybciej kiwać.

- Myślałem o którejś z tych wielkich aroganckich instytucji. Co prawda nasi bracia kilka lat temu nie wykorzystali szansy w World Trade Center, co nie oznacza, że błędem jest spróbowanie czegoś na podobną skalę. Wiele ważnych ofiar nadaje się do zademonstrowania naszych celów, spowodowania zamieszania... Myślałem o Organizacji Narodów Zjednoczonych. Może udałoby się umieścić hadduta na parkingu.

Uśmiech szejka zbladł, a on sam zaczął się wiercić.

- Tak, oczywiście, to można by rozważyć, ale nie wiem, czy należy rozpatrywać teraz takie detale.

Doktor Ahmed nie zauważył wahania w głosie szejka, więc dalej się kiwał i snuł plany.

- Brałem po uwagę także któryś z wielkich mostów albo tuneli. Lincoln Tunnel albo Holland Tunnel. Boże, wyobrażacie sobie to? Moglibyśmy ich potopić i przerwać ruch na wiele dni.

Szejk ściągnął usta i powiedział tylko:

- Czasami najlepsza jest prostota.

Nasser uważnie go obserwował i zastanowił się, dlaczego imam nagle zamilkł. Obawiał się, że ktoś słuchał ich rozmowy? Nie byli sami?

Jusuf powiedział mu przedtem, że shejk jest nie tylko świętym człowiekiem, ale także światowcem. Studiował na uniwersytecie w Kairze i przez jakiś czas chodził nawet na wykłady na University of Wisconsin. Oczywiście, walczył z arabskimi braćmi przeciwko Żydom w Izraelu, ale był też pragmatykiem. Negocjował z CIA przyznanie pomocy wojskowej braciom opierającym się sowieckim agresorom w Afganistanie, gdzie poznał Jusufa i doktora. Może wyczuł w atmosferze coś, co kryło w sobie niebezpieczeństwo...

WIERZ W ALLAHA I PĘTAJ WIELBŁĄDA.

- A więc, jak sądzisz, shejku? - pytał doktor Ahmed. - Jaki powinniśmy wybrać cel?

- Sądzę... - powiedział shejk i wstał powoli - że jestem spóźniony z przygotowaniami do popołudniowej modlitwy i będziemy musieli porozmawiać o tym innym razem. Pamiętaj: oddać cześć wrogowi to zasłużyć na większe błogosławieństwo, niż oddać cześć przyjacielowi.

Uśmiech wrócił mu na usta, kiedy szedł do drzwi, Jusuf skoczył, żeby je przed nim otworzyć.

- Pokój z tobą, bracie! Allah jest najwspanialszy!

- Asalam allakem. - Shejk popatrzył na Nassera i doktora Ahmeda i skinął z uznaniem głową. - Zostańcie, jak długo chcecie, bracia. Mój dom jest waszym domem. Albo połączcie się ze mną w modlitwie za parę minut.

- Allahu akbar. - Doktor Ahmed machnął ręką. - Zaraz schodzimy.

- Inszallah. - zawołał Nasser.

Drzwi się zamknęły i Nasser zauważył leżące w koszu opakowanie po snickersie. Doktor Ahmed złożył rozradowany dłonie i gwałtownie odwrócił się do Jusufa.

- A więc wszystko ustalone. Nasser nic nie rozumiał.

- Co jest ustalone?

- Szejk dał nam błogosławieństwo. Nie słyszałeś? - Nie.

Nasser próbował rozszyfrować słowa imama. Czy kryło się w nich coś, czego nie dostrzegał?

Doktor Ahmed patrzył na ścianę obok głowy Nassera i wykrzywił usta w uśmiechu.

- Co jest z tobą? Nie mógł się wyrazić jaśniej. Czy musi wszystko mówić wprost, jeśli ktoś może podsłuchiwać? Chce, żebyśmy załatwili wielu.

Zanim Nasser zaprotestował, że szejk nic w tym sensie nie powiedział, podszedł Jusuf, usiadł obok i objął go ramieniem.

- Nie martw się, przyjacielu. Jesteś młody. Musisz się nauczyć słuchać nie uszami, lecz sercem.

36

Dwa dni później David siedział z Renee i adwokatami reprezentującymi ich w sprawie rozwodowej w gabinecie sędziny Katherine Nemerson przy Sto Dziesiątej Środkowej ulicy. Próbował doprowadzić do przesunięcia tej konferencji przynajmniej o tydzień, aż śledztwo ucichnie, ale zarówno sędzina, jak i adwokat Renee, były energiczny prokurator J. Randy Barrett, upierali się, że sprawa i tak już zbyt długo się wlecze. Jako argumentem posłużyli się także jego świeżą złą sławą, która jest nowym

czynnikiem do natychmiastowego rozpatrzenia.

Tak więc David opadł na krzesło i wpatrywał się w nogę biurka w stylu Ludwika XIV ukształtowaną w formie łapy drapieznika. Pazury łapy wbijały się w kulę, a David miał wrażenie, że to jego serce.

- Świetnie, w czym problem? - zaczęła sędzina, energiczna kobieta po pięćdziesiątce o twarzy poranej zmarszczkami.

- Wysoki Sądzie, powiem bez ogródek - rzucił Randy Berrett, mężczyzna z ogromną czarną czupryną i policzkami wielkości damskiej torebki. - Pan Fitzgerald jest podmiotem śledztwa federalnego. Oskarża się go o podłożenie bomby, która mogła zabić przynajmniej dwudziestu uczniów. Znajduje się pod stałą obserwacją, jest także obiektem zainteresowania mediów. Dla dobra dziecka składam wniosek o pozbawienie go od zaraz prawa do jakichkolwiek spotkań z synem i wydanie mojej klientce pozwolenia na zabranie Arthura poza granice stanu.

- Gramy od razu bez ochraniaczy, co? - Sędzina coś zanotowała i poprawiła okulary zadowolona z jego stylu.

David jęknął, jakby dostał w pierś ciężkim narzędziem. Czekał, co odpowie jego adwokatka, ale Beth zachowywała się spokojnie. Zнали się jeszcze ze szkoły w Atlantic Beach i już wtedy była delikatną, grzeczną, kochającą ludzi osobą, o miękkich rysach twarzy okolonej burzą jasnych włosów. David niejednokrotnie zastanawiał się, czy jest wystarczająco agresywna, żeby radzić sobie w sprawach rozwodowych.

- Wysoki Sądzie, z całym szacunkiem, ale to, co mówi mój kolega, jest absurdalne - odezwała się w końcu i poprawiła leżące na kolanach dokumenty. - Mój klient nie został za nic skazany, nawet nie próbowano go aresztować.

W tej chwili nie dało się tego tak jednoznacznie stwierdzić. Każda gazeta w mieście publikowała o nim artykuły, a każda stacja telewizyjna nadawała programy tworzące całkowicie nowy obraz jego osoby przez wyrywanie z kontekstu słów, które powiedział albo publicznie, albo w klasie.

- Pani sędzino, nie jestem głupi - odparował Barrett. - Znam różnicę między aresztowaniem, oskarżeniem a skazaniem. Chcę tylko zasugerować, żebyśmy przyjrżeli się

sprawie od strony praktycznej. Nie wspominając o innych mankamentach pana Fitzgeralda - do nich przejdziemy później - jak ma opiekować się synem i równocześnie przygotowywać do obrony? Może resztę życia spędzić w więzieniu.

Więzienie. Przez ostatnie dwa dni David starał się z całych sił odsunąć od siebie tę myśl. Bywało, że odwiedzał uczniów w zakładzie na Rikers Island, słyszał o rewizjach osobistych, palcach wsadzanych do odbytnicy, wbijanych w piersi nożach, powolnej utracie tożsamości i męskości.

- Nie pójdę do więzienia - wtrącił. - Jestem niewinny.

Czuł na sobie wzrok Renee. Miała ciemne kręgi pod oczami, a na środku wargi niewielki strupek. Boże, dlaczego nie mogą ustalić wszystkiego sami? Od ich ostatniego spotkania przestała odpowiadać na telefony. Miał wrażenie, że z każdą chwilą odpywa od niego coraz dalej i może zabrać ze sobą Arthura.

- A więc, co się dzieje, panie Fitzgerald? - spytała sędzina. - Pracuje pan?

- W dalszym ciągu pobieram pensję - odparł David i poprawił się w krześle.

- Nie o to pytałam - skarciła go sędzina głosem przypominającym skrobanie stalowaj wełny o coś twardego. - Pytałam, czy pan pracuje. Z pańskiej odpowiedzi wnioskuje, że nie, ponieważ chcą pana trzymać z dala od dzieciaków.

Zanim David odpowiedział, Beth położyła mu dłoń na nadgarstku, przypominając, że to ona jest tutaj megafonem.

- Wysoki Sądzie, jesteśmy przekonani, że pan Fitzgerald niedługo zostanie oczyszczony z zarzutów i z powrotem otrzyma prawo do pracy. Zaangażował dwóch prawników wyspecjalizowanych w procesach karnych - Ralpha Marcoviciego i Judaha Rosenbloom.

- Bomba, spece od burleski... - parsknął śmiechem Barrett. - Właśnie o tym mówię, pani sędzino! Ralph Marcovicci to mistrz klaunów wszech czasów w cyrku mediów. Wokół tej sprawy miesiącami będą się gromadzić tłumy dziennikarzy. Ten biedny delikatny chłopiec nie będzie miał sekundy spokoju. Musimy go chronić i zabrać poza granice stanu.

David uśmiechnął się i popatrzył z boku na Renee.

- Nie pozwól mu na to - mruknął. - Wiesz, że tak nie można.

- Wysoki Sądzie, proszę upomnieć pana Fitzgeralda, żeby nie odzywał się w ten sposób do mojej klientki - wykrzyknął Barrett, wskazując Davida palcem. - Próbuje zamącić jej w głowie.

- Dobrze, dobrze, starczy tego. - Sędzina rozpostarła ręce. - Jeszcze nigdy nie byłam świadkiem takiej porcji jadu o tak drobną sumę. - Poprawiła okulary i wzięła do ręki teczkę z aktami. - Pani Nussbaum, co pani powie na wniosek pana Barretta o wydanie pozwolenia jego klientce na zabranie dziecka poza granice stanu?

David i Beth popatrzyli po sobie z niepokojem. Rozmawiali o tym, czy wspomnieć o katastrofalnym stanie psychicznym Renee i uznali, że wolno to zrobić w możliwie najdelikatniejszy sposób. Niestety, Randy Barrett walnął od razu z grubej rury.

- Wysoki Sądzie - zaczęła Beth powoli - mój klient w dalszym ciągu kocha żonę, zaczyna się jednak coraz bardziej o nią niepokoić. Na podstawie tego, co zaobserwował i co powiedział mu syn, obawia się, że może ona przechodzić coś w rodzaju załamania nerwowego i nie nadawać się do opieki nad synem. W związku z tym, zdecydowanie opieralibyśmy się pomysłowi wywiezienia chłopca poza granice stanu.

David zauważył, jak Renee zadrżała. Dla dodania otuchy, adwokat złapał ją za łokieć, czym ją tylko jeszcze bardziej przestraszył.

- Wysoki Sądzie, to oburzające! Nie podejrzewałbym, że pan Fitzgerald sięgnie po tak niskiego lotu zabójstwo psychologiczne. Nie ma prawa rzucać oszczerstw dotyczących stanu psychicznego mojej klientki!

- A jednak to robi. - Sędzina ze ściągniętymi ustami czytała coś w aktach. - Czytam protokół doktora Ferry'ego i on też wyraża poważny niepokój co do stanu psychicznego pani Fitzgerald. - Rzuciła teczkę na biurko. - Mamy więc problem.

Z jednej strony pan Fitzgerald jest ścigany przez prasę i federalnych, co może wywrzeć traumatyzujący efekt na dziecko i żonę, z drugiej strony pani Fitzgerald nie

wygląda na osobę zdolną poradzić sobie sama z opieką nad synem. Jak to rozwiązać? Rozłożyła szeroko ręce, jakby prosiła o sugestie, ale wszyscy spuścili wzrok. David ścisnął oparcia krzesła i patrzył, jak Renee wbija obcas w dywan.

- Czy ktoś chciałby, aby skierowano to dziecko do domu dziecka albo odwieziono do dziadków? - spytała sędzina.

- Nie - powiedział David, uniósł wzrok i odchrząknął.

- Nie - wpadła mu w słowo Renee.

David popatrzył na nią z wdzięcznością, lecz ona już się znów odwracała i zabierała do szarpania wargi. Zdawał sobie sprawę, ile wysiłku musi ją kosztować utrzymywanie się tak długo w nastroju, który choćby w przybliżeniu ma sprawiać wrażenie normalnego.

- No świetnie, spróbujmy więc coś wymyślić. - Sędzina zdjęła okulary i potarła nasadę nosa. - Punkt dla pana Barretta za wskazanie na traumatyzującą dziecko sytuację. - Popatrzyła na Davida. - Panie Fitzgerald, czy pańscy adwokaci coś panu mówili, jak długo może potrwać śledztwo?

- Nie powinno trwać długo - skłamał. - Organa nie mają podstaw do rozpoczęcia sprawy.

Sędzina przekrzywiła głowę niezupełnie przekonana.

- Cóż, nim wszystko się wyjaśni, obawiam się, że przejmę punkt widzenia pana Barretta. Nie odwołam wszystkich wizyt, ale nieco je ograniczę. Za duże jest ryzyko szkód.

David poczuł, że szpony wbijają mu się głębiej w serce. „Koncentruj się na Arthurze i dzieciakach - mówił sobie. - Dzięki temu przebrniesz przez to wszystko”. Teraz jednak obciążenie psychiczne spowodowało, że pancerz ochronny zaczynał pękać.

- Świetnie, więc zrobimy tak - powiedziała sędzina i otworzyła terminarz. - Za miesiąc od dziś, szesnastego, przeprowadzę następną rozprawę, w trakcie której rozstrzygniemy problem ostatecznie. Pani Fitzgerald... - skinęła w stronę Renee - chciała-

bym, żeby kontynuowała pani wizyty u psychiatry i regularnie przyjmowała przepisane leki. Jeśli nie działają, proszę kazać sobie przepisać nowe. Chcę mieć od pani lekarza pełne i regularne sprawozdania o stanie pani zdrowia. Jeśli spróbuje pani opuścić miasto z synem, konsekwencje będą poważne. Jeśli chodzi o pana, panie Fitzgerald - wbiła w Davida wzrok - niech się pan postara, żeby w dniu rozprawy miał pan już za sobą śledztwo i ponownie pracował. Będą to bardzo istotne czynniki, które wezmę pod uwagę przy przyznawaniu opieki nad dzieckiem.

- Wysoki Sądzie, to niesprawiedliwe! - wykrzyknęła Beth Nussbaum, która wyglądała, jakby miała się rozplakać. - To są sprawy, na które mój klient nie ma wpływu. Karze go pani za to, że został niesłusznie posądzony!

- A co ze szkodami, jakich dozna moja klientka i jej syn z powodu nieustannego znajdowania się w środku prasowo-telewizyjnego zoo? - zaprotestował Barrett.

- Bo ja wiem? - sędzina wzruszyła ramionami. - Wyglądam na Salomona?

37

Natychmiast po spotkaniu z imamem Jusuf, doktor Ahmed i Nasser zaczęli poważne przygotowania do sporządzenia następnej hadduta.

Pojechali do Sunset Parku na Brooklynie i w spokojnym bloku wynajęli za tysiąc dwieście dolarów miesięcznie garaż, gdzie mogli w spokoju mieszać chemikalia. Potem poszli za róg i za sześćset osiemdziesiąt sześć dolarów miesięcznie wynajęli norę przy postoju taksówek, żeby doktor i Nasser nie musieli spać na podłodze salonu Wielkiego Niedźwiedzia i mieli choć na chwilę własną metę.

Tuż przed lunchem doktor Ahmed dał Nasserowi listę kilku niezbędnych składników, w tym sto kilo stosowanej jako nawóz saletry amonowej, dwa tysiące litrów oleju napędowego i kilka dwustulitrowych beczek do mieszania składników. Niestety, nie dał mu dość pieniędzy na zakupy, bowiem po wynajęciu mieszkania i garażu niewiele zostało z napadu na punkt realizacji czeków.

- Kup, co ci się uda - powiedział Ahmed, wciskając Nasserowi do ręki cztery zmięte dwudziestki. - Resztę zbierzemy niedługo. I pamiętaj: nie kupuj za dużo w jednym sklepie. Bierz wszędzie po trochu. Nie chcemy, żeby ci bezbożnicy zaczęli się

zastanawiać, po co arabskiemu chłopakowi tyle chemikaliów.

Po południu, niewiele przedłużając jeden z kursów, Nasser pojechał do sklepu ogrodniczego w Borough Park. Na widok spacerujących po chodnikach ortodoksyjnych Żydów, poubieranych w czarne jedwabne płaszcze, futrzane kapelusze i dziewiętnastowieczne pończochy, zmarszczył ze zdziwienia czoło. Zaparkował przed straganem warzywnym, sprzedającym „izraelskie pomidory” po siedemdziesiąt dziewięć centów za sztukę. Izraelskie pomidory? Miał ochotę wziąć ze straganu taki pomidor i roztrzaskać go o chodnik. To były palestyńskie pomidory, wyrosłe na ziemi nasączonej arabską krwią. Boże, ci niewierni zasługiwali na srogą karę. Przekonanie o tym przyszło mu bardzo łatwo.

„Poszedł do sklepiku zapchanego grabiami i kosiarkami, zadając sobie przy tym pytanie, co zostanie ostatecznie wybrane na cel. Synagoga? Coś wielkiego jak siedziba ONZ? Jeśli o niego chodziło, to najchętniej zaatakowałyby ponownie szkołę. Za każdym razem, kiedy widział się z Ahmedem, doktor przypominał mu o poprzednim niepowodzeniu.

Nasser znalazł dwa dwudziestokilowe worki nawozu w głębi sklepu przy dmuchawach do usuwania liści i tak jak mu kazał doktor Ahmed, sprawdził, czy nawóz zawiera przynajmniej trzydzieści cztery procent azotu. Byłoby chyba najlepiej, gdyby mógł iść znów do szkoły i spotkać pana Fitzgeralda. Uwodziciela Elizabeth. Sama myśl o tym, co nauczyciel próbował zrobić, napędzała go przerażającą wściekłością. Jak mógł go powstrzymać? Czuł wstyd i bezsilność. Co powiedziałyby o takim zbezczeszczeniu honoru matka?

Położył worki na ladzie. Muskularny sprzedawca w koszulce z napisem VIVA PUERTO RICO uważnie im się przyjrzał.

- Hej kolego... tyle potrzebujesz tego gówna?

- Tak, potrzebuję dużo. - Nasser zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy.

Portorykańczyk popatrzył na etykietę na boku worka.

- Tu napisali, że każdy z tych łobuzów starczy na tysiąc czterysta metrów kwadra-

towych. Na pewno tyle ci trzeba?

- Mam gospodarstwo.

O tak... gdzieś miał gospodarstwo, tyle że Żydzi mu je ukradli i nigdy go nie widział.

- Dwadzieścia siedem dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów każdy plus VAT. - Kasjer nonszalancko poklepał worki i zaczął wybijać sumy w kasie. - Słyszałem, że to gówno jest niezłe. Ludzie mówią że nadaje trawie przyjemny ciemnozielony kolor. Wygląda jak Szmaragdowy Gród. Fajnie, co?

- Że jak? - Nasser ostrożnie położył na ladzie trzy dwudziestki i rozejrzał się, świadom, że czegoś nie łapie.

- No wiesz. Szmaragdowy Gród. Z Czarownika z krainy Oz.

- Aha... - Nasser cmoknął i zabębnił w kontuar w oczekiwaniu na resztę.

Nienawidził tego odwoływania się Amerykanów do produktów ich kultury - jakby każdego musiało to zachwycać. Czuł się z tego powodu mały, urażony i głupi. Czyżby naprawdę nie wiedzieli o istnieniu starszego świata, ze znacznie bardziej uświęconymi tradycjami? Nie wszystko można było wykpić, streścić i przerobić na program telewizyjny.

- Gdzie masz to gospodarstwo, kolego? - spytał kasjer.

- W Betlejem - odparł Nasser i natychmiast tego pożałował.

Zachował się jak idiota. Kompletny idiota. Przyglądali mu się klienci - Żydzi w kapeluszach, z brodami i pejsami, Latynosi o potężnych barach i szerokich twarzach, a także śniadzi chłopcy, których pochodzenia nie umiałby określić. Ktoś go sobie przypomni, gdyby zaczęła tu węszyć policja... zwłaszcza po takim przejęczeniu się...

Na szczęście Bóg okazał się dla Nassera łaskawy.

- W Betlejem w Pensylwanii, tak? - Kasjer podał mu resztę.

- Dokładnie - odparł Nasser, rozpromieniając się po chwili wahania. - Zgadł pan idealnie.

- Myślałem, że to kraj stali.

- Bo tak jest. - Nasser wsunął pieniądze do kieszeni i ściągnął worki z lady. Nareszcie mógł iść. - Ale jest też trochę ziemi uprawnej. Kury, krowy, jak Bóg stworzył.

Tak, to był z pewnością znak od Boga, że jego życie porusza się w odpowiednim kierunku i powinien dalej uczestniczyć w realizacji planu. Inaczej zatrzymano by go i złapano w sklepie.

- Nie potrzebujesz rachunku? - Kasjer wyciągnął taśmę z kasy.

Nasser już miał odmówić, ale ugryzł się w język. WIERZ W ALLAHAI PEŃTAJ WIELBŁADA. Tak powiedział imam. Im mniej dowodów, tym lepiej.

- Tak, dziękuję bardzo. - Wziął paragon i szybko ruszył z workami do samochodu.

- Proszę bardzo, brachu - zawołał za nim kasjer. -1 nie zбочz z drogi wybrukowanej żółtą kamienną kostką.

38

- Nie zrobiłem tego - powiedział David.

- Co?

Miała dominikańska dziewczyna ze sklepiku na rogu, która zawsze miała dla niego słodki uśmiech i miłe słowo, nie patrzyła mu w oczy.

- Nie zrobiłem tego, o czym pani myśli. - Potrzeba informowania o swej niewinności ogarnęła go niczym gorączka.

Dziewczyna nie dała mu reszty - jak zawsze - do ręki, tylko położyła ją na ladzie.

- Nic nie powiedziałam.

Wyszedł z dwoma kartonami piwa w szarych papierowych torbach i ruszył Broadwayem. W ostatnich dwóch dniach ogarniały go paranoja i samotność. Starzy przyjaciele, tacy jak Henry czyjego partner do joggingu Tony Marr, dziwnie i z dystansem reagowali na jego telefony - jak gdyby David Fitzgerald, którego znali przedtem, przestał istnieć. Kiedy wpadał na późne śniadanie do „Tom’s Diner”, wszyscy się odsuwali. W księgarni uniwersyteckiej wziął do ręki Tajnego agenta Conrada, natychmiast go jednak odłożył, bowiem jednym z elementów akcji jest podłożenie bomby i obawiał się, że pracownik księgarni zaraz komuś powie o tym, że przeglądał tę książkę.

Przed budynkiem, w którym mieszkał, nieustannie tkwiły ekipy telewizyjne, dziennikarze i najrozmaitsi agenci federalni. Bez przerwy dyżurowało tam przynajmniej trzydzieści osób, dodatkowe grupy ciągnęły za Davidem do sklepu z alkoholem i do pralni, gdzie obsługujący Koreańczycy od niedawna lustrowali go podejrzliwie.

- Hej, Davidzie, odwróć się!

- Davidzie, tylko jedno zdjęcie!

- Jak się trzymasz, Davidzie?

Powoli stawał się zaprzeczeniem sławy, jednym z ludzi znanych dzięki temu, że spaprali sobie życie. Najchętniej odwróciłby się na pięcie i zignorował całe zamieszanie, ale do przygotowania sprawy, którą wytoczy prześladowcom z pozwu cywilnego, Ralph Marcovicci i Judah Rosenbloom kazali mu zbierać każdy artykuł prasowy, w którym wymieniono jego nazwisko, i nagrywać każdą poświęconą mu audycję radiową i telewizyjną. Nawet pożyczycy mu w tym celu magnetofon i magnetowid.

W artykułach i audycjach nie oszczędzano go, poniżano nie do wiary. Po powrocie do domu i włączeniu telewizora, ujrzał na ekranie trenera z Małej Ligi, Murraya Samuela, który zawsze stawał zbyt blisko i dawał głupkowate rady, jak uderzać piłkę.

- Z tego Davida zawsze był śmieszny dzieciak - opowiadał Murray, Który nie tylko zdążył całkowicie posiwieć, ale także zapuścił wielkie kępy włosów w uszach. - Pamiętam, że zawsze, kiedy stał na boisku i leciała na niego prosta piłka, rzucał się do niej, robił dramatyczne przedstawienie, jeśli udało mu się ją złapać, a następnie unosił

piłkę wysoko w górę, żeby wszyscy widzieli, jaki z niego bohater...

David wyłączył z niesmakiem telewizor, pozostawiając nagranie wywiadu magnetowidowi. Włączył radio i znów usłyszał głos tej okropnej baby, Patty Samson, wyrażającej się o nim jako o Davidzie Brianie Fitzgeraldzie (przez całe życie tylko raz, bardzo zdenerwowana matka zwróciła się do niego, używając obu imion). Zaczęła od tego, że David pasuje do klasycznego dla morderców profilu „samotnika”, potem zajęła się jego „obsesją” na punkcie Buszującego w zbożu. „Tę samą książkę miał przy sobie Mark David Chapman, gdy strzelał do Johna Lennona - napomknęła radośnie. - Bez dwóch zdań mamy do czynienia z osobą przeżywającą niemal orgiastyczne podniecenie przy powodowaniu katastrofy, a następnie podczas obserwowania, jak ludzie się przy tym krzątają. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby wiedzieć, jaki kryje się za tym rodzaj zaburzeń seksualnych...”

Włączył magnetofon i postanowił zadzwonić do adwokatów.

- Boże drogi... - zaczął po połączeniu go z Ralphem. - Dłużej tego nie wytrzymam. Jak to, co o mnie mówią, może brzmieć w uszach mojego syna?

- Słuchaj, jeśli chcesz, jutro możesz wystąpić w sześciu programach, z których każdy idzie w ogólnokrajowej sieci, i wszystkiemu zaprzeczyć. Mój przyjaciel Lindsay Paul da się zabić za twoje wystąpienie na żywo.

- Nie chcę tego, Ralph. Nie możemy ich zaskarżyć albo coś w tym stylu?

- Ha, ha, ha - zbulgotał Ralph Marcovicci. - Nie zapominaj, że to wolny kraj. Wolność słowa, nasi ojcowie, bla, bla, bla. A tak poza tym, widziałeś mnie, jak wczoraj w „Live at Five” broniłem twego dobrego imienia?

- Chyba nie. - David zdjął kapsel z kolejnej butelki piwa.

- Ponieważ nie chcesz zaprzeczyć wszystkiemu sam, niewiele możemy w tej chwili zrobić. Judah zajmuje się aspektami prawnymi.

David popatrzył na stertę gazet, które zbierał. Większość artykułów z dzisiejszej porannej prasy nie wносиła nic nowego, powtarzały artykuły z wczoraj, przy czym jedne wspominały, a inne pomijały ponury fakt dwudziestominutowego pobytu Davida w

toalecie oraz cytowały różnych anonimowych uczniów i nauczycieli, że zawsze wy-
czuwali w nim coś dziwnego (dlaczego nie zauważali tego przedtem?). Jediną nowo-
ścią było obwinienie go o podłożenie bomby przez siostrę Sama Halla, która groziła
szkole pozwem z powództwa cywilnego. Wszystko przedstawiało się okropnie, a jesz-
cze gorzej wyglądał on na zdjęciach - gruby, głupi, zawstydzony, zagoniony, podпиты,
a przede wszystkim winny.

Miał dość. Dusił się.

- Ralph, zadzwonię, ale teraz muszę się stąd wyrwać.

Odwiesił słuchawkę i przez chwilę siedział bez ruchu, popijając piwo. Co ma ro-
bić? Teraz widział, jak wielka część dnia wiązała się z nauczaniem. Wstawał, przygo-
towywał plany lekcji, poprawiał wypracowania, wypełniał formularze, pilnował kla-
sowej dyskusji, żeby nie zbaczała z torów, rozmawiał z rodzicami, spotykał się po
szkole z dziećmiakami, pisał listy polecające do college'ów, rozmawiał z przyznającymi
tam miejsca urzędnikami. Bez tych zajęć nie wiedział, co z sobą zrobić. Jak przeżywa-
ją dni inni ludzie?

Rano stwierdził, że choć nie wystarczy mu pieniędzy na jakikolwiek wyjazd, musi
wyrwać się na chwilę z miasta. Przez cztery dni nie mógł widzieć się z Arthurem.
Przypomniał sobie biwak, na który pojechał z ojcem do parku stanowego Fachnestock
w Westchester, jedną z niewielu chwil, które spędził wspólnie ze starym. Wspominał
zapach polan w ognisku i niebieskawy płomyk wokół przypiekanych w nim cukier-
ków.

Niestety, wieczorem ojciec zaczął go straszyć opowieściami o niedźwiedziach i
wężach, a przed snem zamknął śpiwór, nawet nie przytulając syna.

- To męska wyprawa - rzucił krótko. - Pogódź się z tym.

Judy Mandell ciągle jeszcze była pierwsza, ale martwiła się, że może je stracić.
Nie widziała sensu w siedzeniu z bandą dziennikarzy i kamerzystów przed domem
Davida Fitzgeralda. „Znajdź grabarza” - mawiał Bill Ryan, cytując Jimmy'ego Bresli-
na. „Kiedy chowają prezydenta, pogadaj z grabarzem. To twoje świeże spojrzenie”.

Zamiast grabarza, poszła szukać żony. Próbowali już tego inni dziennikarze -

„Channel 2” przez pół nocy trzymał przed budynkiem przy Dziewięćdziesiątej Ósmej Zachodniej ulicy ekipę, zdobyli jednak tylko marny komentarz jej adwokata, Randy Barretta ze świńskim ryjem. Poza tym portier nie wpuszczał prasy i pomagał Renee wychodzić i wracać do domu niepostrzeżenie. Nakręcona adrenaliną Judy Mandell poszła jednak dalej i znalazła w Internecie adres szkoły syna Fitzgeraldów.

Rano zajęła pozycję za płotem szkolnego podwórza, przebrana za mamuszkę: włożyła spodnie od dresu, stare sportowe buty, za dużą męską koszulę i nie umyła włosów. Z powodu wieku nie osiągnęła idealnego wyglądu, ale przynajmniej nie ściągała na siebie zbyt dużej uwagi ze strony rodziców odwożących dzieci do szkoły.

Tuż po rozpoczęciu lekcji, mniej więcej w pół do dziewiątej, dostrzegła zdenerwowaną rudą kobietę, w której natychmiast rozpoznała Renee - nie na darmo oglądała wczoraj wieczorem jej zdjęcie do prawa jazdy, które ściągnęła przez komputer z wydziału komunikacji. Nie ulegało wątpliwości, że jest uzależniona od kofeiny - zerkała przez ramię, szarpała wargę i jeszcze zanim zeszła ze schodów, już paliła papierosa. Judy pogratulowała sobie, że pomyślała o kupieniu espresso. Kobieta stojąca przed nią wyraźnie potrzebowała czegoś do picia.

A może rozmowy ze starą przyjaciółką... Judy odeszła od płotu, lekko się zgarbiła, żeby nie wyglądać groźnie i jeszcze, zanim żona Davida Fitzgeralda znalazła się na chodniku, pomachała jak do starej znajomej.

- Renee! Co słychać?!

Kiedy David pokazał urzędnikom w wypożyczalni samochodów Hertza przy Siedemdziesiątej Szóstej Zachodniej ulicy prawo jazdy, ci lekko się spłoszyli i natychmiast zniknęli na zapleczu, gdzie zaczęli szeptać i ukradkowo mu się przyglądać. Do biura przyszło pogapić się na niego kilku pracowników garażu.

Co go to obchodziło? Miał stary namiot ojca z zapasów wojskowych, przenośną lodówkę pełną piwa i zimnych przekąsek, a przed sobą piękny jesienny dzień. Wyruszył niemal w samo południe białym fordem tempo, a za nim trzy nie oznakowane radiowozy plus zwykła sfora dziennikarzy w używanych importowanych samochodach. Pojechali w górę rzeki Hudson, potem wszyscy wjechali na Saw Mili River Parkway. Przy zjeździe na Taconic Parkway dołączyły do kawalkady dwa wozy transmisyjne.

Po dojechaniu do pola namiotowego, gdzie zaparkował, jakiś tuzin agentów i drugi tuzin reporterów trzymał się w przyzwoitej odległości, choć najwyraźniej śledzili każdy jego ruch. Piękny jesienny dzień zbliżał się ku końcowi i temperatura szybko spadała, więc stwierdził, że jego wiatrówka na tę pogodę nie wystarczy. Dziennikarze natomiast byli zadowoleni z ekskluzywnych kurtek w „wiejskim” stylu, tak samo jak agenci ubrani w płaszcze z domu towarowego.

Prawdopodobnie wszyscy uważali, że jechał do ukrytego w lesie magazynu materiałów wybuchowych, gdzie znajdowały się też dodatkowe dowody. Nie rozumiał ich logiki, która zakładała, że umyślnie sprowadziłby ich w takie miejsce, a sobie przy okazji zaszkodził.

Przeszedł skrajem lasu, minął pokryty warstwą piany żabi staw i wszedł stromym zboczem na wzgórze, na szczycie którego usiadł na wysokiej szarej skale z widokiem na pełen brązowych liści parów. Ziemia była zimna i twarda, poprzecinana szerokimi pęknięciami przebiegającymi jak rysunek ludzkiego krwiobiegu. W górze zawisł jastrząb. Z powodu agentów i dziennikarzy, obserwujących go zza drzew z odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów, czuł się niczym zwierzę ścigane przez myśliwych i fotografów z „National Geographic”, ale niech ich cholera! Postanowił nie zwracać na nich uwagi. Bardziej martwiło go, jak ustawić namiot bez instrukcji.

Temperatura spadła do jakichś pięciu, sześciu stopni i posępne białe niebo zrobiło się najpierw szare, a potem granatowe. Dziennikarze nareszcie odjechali, uznawszy, że nic ciekawego się nie wydarzy. Zagrzał sobie na maszynie kilka parówek i schował się do namiotu tuż przed ósmą, żeby wypić kilka piw i poczytać przy latarce. Czuł, jak się uspokaja, staje się częścią naturalnego porządku rzeczy, człowiekiem w swoim żywiole. Dlaczego dotychczas nie robił takich wycieczek?

Niestety, zaczęło padać. Deszczu nie zapowiedziała ani mżawka, ani ciężka mgła, wszystko odbyło się jak po rozstąpieniu się kurtyny, a przez utworzoną dziurę poleciała woda. Ciekła przez drzewa, kiepsko naciągnięty oliwkowy materiał namiotu i przez jego ubranie. W ciągu dwóch minut był przemoczony do suchej i dygotał. Otóż i cuda przyrody... Zaczął się gorączkowo krzątać wokół namiotu, poprawiać tyczki, ale cokolwiek zrobił, do namiotu wlewało się coraz więcej wody.

W końcu, ociekając wodą i pociągając nosem, wyszedł na dwór z latarką w rękę i stwierdził, że jest w ciemnym lesie, nie mając pojęcia, gdzie zostawił samochód.

Deszcz lał strumieniami, a jedyne światło dobywało się z namiotu ustawionego dwieście metrów w prawo. Ruszył ku niemu niczym ścigany przez oszalałych wieśniaków Frankenstein, myśląc tylko o tym, żeby nie wpaść do stawu z żabami.

Minęło dobre pięć minut, zanim dotarł na miejsce. Podniósł połą wejścia.

- Przepraszam! - zawołał. - Mogę wejść i trochę się wysuszyć?

- Jasne.

W środku natychmiast poczuł przyjemne ciepło. Namiot o dużym wygodnym wnętrzu postawiony był sprawną męską ręką. Przypominał stojące na gołej ziemi gotowe mieszkanie. Wokół przenośnego piecyka siedziało sześciu idealnie suchych mężczyzn, słuchających w radiu transmisji z meczu Rangersów. Donald Sippes, agent FBI, który robił rewizję w jego mieszkaniu, wstał i podał mu parujący kubek z napisem WSPIERAM NASZE ODDZIAŁY.

- Cieszę się, że udało się panu tu dotrzeć - powiedział. - Trochę gorącej czekolady?

David z wdzięcznością wziął kubek, tak samo, jak zaoferowany przez blond agentkę pled.

Sippes cofnął się i popatrzył żałośnie.

- Na pewno się mylę, sądząc, że chce pan złożyć oświadczenie?

David owinał ramiona pledem, pociągnął nosem i pokręcił głową.

- W takim razie wyrzucimy go na deszcz - powiedział stojący w kącie mężczyzna, w którym David rozpoznał dyniogłowego agenta, który zabrał rękawicę baseballową jego syna.

- Chris? - Sippes uniósł brew.

- Co takiego powiedziałem? - Dyniogłowy pomasaował sobie kark. - Przecież nie do nas należy dopieszczać podejrzanych.

- Daj spokój, Chris - powiedział z wyraźnym wyrzutem w głosie Sippes. - Zostanie tylko do chwili, gdy przestanie padać. Może być?

- Może. - David przysunął się do wyjścia, żeby nie patrzeć na dyniogłowego Chri-
sa.

- Poza tym, nie jest podejrzany. Oficjalnie.

Z radia doleciał wrzask i komentator zaczął coś szybko paplać. Sippes wziął kubek z rysunkiem Snoopy'ego i spytał Davida: - Lubi pan hokej?

- Nie bardzo - powiedział David przeproszającym tonem.

- Jak pan sobie życzy. - Sippes wrócił do leżącego obok radia śpiwora.

David siedział skulony przy wejściu, patrząc na ciężkie krople powodujące unoszenie się nad ziemią gęstej mgły. Jego myśli nabrały monotonnego rytmu: poradzę sobie... poradzę sobie... poradzę sobie. Niech się dzieje co chce, poradzę sobie.

39

Strzelaj, mała. Kilka minut przed jedenastą Judy Mandell siedziała przy swoim komputerze z palcem przylepionym do przycisku WYŚLIJ i słuchała, jak „Nazista” wykrzykuje do niej przez telefon polecenie. Stał nie dalej jak dwadzieścia metrów, za szybą biurowego boksu, ale właśnie dzięki temu czuł się silniejszy, wszechwładny, bardziej podobny do ideału redaktora amerykańskiego brukowca, krzyczącego w telefon, a nieprzychodzącego wydać podwładnemu polecenie wprost.

- Co jest, lalka? - wykrzyknął przesadnym nowojorskim akcentem, który przybierał, ilekroć za dużo wypił. - Mamy historię, mamy miejsce. Od pięciu godzin trzymamy dla ciebie pierwszą stronę.

- Chcę tylko jeszcze raz spróbować go złapać. To ważna sprawa, Robercie. Mocniejsza od wszystkich poprzednich razem wziętych.

- Ile wiadomości już mu zostawiłaś?

- Trzy, ale spędził dzień i noc w lesie. Nie możemy chyba tego puścić bez komentarza z jego strony...

Niesamowite. Im więcej napisała, tym bardziej się niepokoiła. Czuła się, jakby ścigała ją wściekłe zwierzę.

Widziała, jak Robert podskakuje ze szklanką whisky w dłoni, potem robi piruet - jakby znów był zwinnym chłopakiem z Perth, próbującym poderwać dziewczynę na eleganckim przyjęciu w Londynie. Scena rozgrywała się niemal intymnie, musiał zapamiętać, że widać go przez szybę.

- Daj spokój, kochaniutka... - zagruchał w słuchawkę. - Dałaś mu tyle szans i nie oddzwonił. Masz komentarz od jego adwokatów. To będzie najlepszy z twoich dotychczasowych artykułów. Jeśli go nie puścimy, zrobi to któryś z tych jebanych drani i wtedy będziemy musieli popełnić samobójstwo. Strzelaj.

- Jeszcze minutę, Robercie.

Znów przeżywała swój wielki moment. Już myślała, że nie nastąpi i ponownie wpadnie w stary rytm, ale miała go! Mimo to drżała z niezdecydowania. Cały świat starał się ją dogonić - jak to możliwe, że pozostała na czele?

Jak udało się jej zająć aż tak daleko? Czy świat wkrótce się dowie, że jest oszustką? Kim była naprawdę? Mając czternaście lat, przeglądała „Vogue’a” matki i postanowiła głodować, chcąc zostać sławną modelką. Potem poszła do Vassar i lesbijskie separatystki przekonały ją, żeby przestała golić nogi i na jakiś czas przystała do nich. Ostatnio próbowała grać, chcąc zaimponować Robertowi i policyjnym neandertalczykom. Nie wiedziała jednak zupełnie, kim powinna być podczas tych krótkich chwil, kiedy nikt jej nie obserwował.

Rozejrzała się za Bilem Ryanem, ale znów zniknął. Wcisnęła na aparacie telefonicznym przycisk, zmuszając Roberta do zaczekania, i ostatni raz zadzwoniła do Davida Fitzgeralda. Po czwartym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka, więc wszystko się wyjaśniło. Życie Davida Fitzgeralda już nigdy nie będzie takie jak przedtem. Przełączyła linię z powrotem na „Nazistę”.

- Zadowolona? - spytał, przystawiając szklanę do ust. Patrzyła, jak połyka alkohol, usłyszała szcęk kostek lodu o zęby.

- Dałam mu wszelkie szanse.

- Dałaś, kochanie. Dałaś, a teraz wciśnij ten pieprzony guzik. Nacisnęła i zielone litery na ekranie zaczęły się poruszać. Słowa pomknęły po elektrodach i światłowodach najpierw do Roberta i redaktorów wydania, stamtąd popłyną do drukarni w New Jersey, gdzie powstanie pół miliona gazet, które jeszcze przed północą ciężarówki rozwożą po mieście. Kilka godzin później historia trafi do stacji radiowych i telewizyjnych na całym świecie, a także do Internetu.

Świadomość, co spowodowała końcem palca, podniecała ją i przerażała. Mógł to być początek nowej kariery. Będą musieli zaprosić ją do telewizji, żeby opowiedziała o swoim osiągnięciu, a jeśli zrobi dobre wrażenie, może ktoś zaproponuje jej stałe występy? W końcu dostanie własny program, zrobi sobie stronę internetową i zostanie kimś, o kim się pisze i za kim wszyscy się uganiają. Będą pisać o niej wspaniale, ale także okropne rzeczy. Czelować jej obraz i niszczyć ją. Czują równocześnie rozradowanie i wstyd. Tego chciała?

Popatrzyła przez salę na Roberta, który siedział przy komputerze i czytał jej artykuł. Kiedy pojęła, że już za późno, żeby cokolwiek cofnąć, poczuła obawę.

Ciekawe, czy siedzący w ciemnym mokrym lesie David Fitzgerald też ją poczuł?

40

David oddał samochód tuż przed południem następnego dnia i pojechał do północnej części miasta metrem. Po wczorajszym deszczu czuł się nieco obolały i zziębnięty. Co prawda będzie musiał doliczyć biwak do stale się wydłużającej listy życiowych porażek, ale przynajmniej nie musiał przez dobę słuchać ani czytać historyjek na swój temat.

Kiedy wyjechał z za rogu Sto Dwunastej ulicy i Broadwayu, okazało się, że zamiast trzydziestoosobowej zbieraniny czekało przed jego domem przynajmniej stu pięćdziesięciu dziennikarzy. Skąd oni wszyscy się wzięli i dlaczego nagle zrobili się tak wściekli? Dotychczas zachowywali się wobec niego z pewną kolegalnością,

zwłaszcza w pierwszych dniach po wybuchu, teraz jednak stali się agresywni. Starali się go drażnić jak zwierzę w klatce. Fotografowie wchodzili na maski samochodów i ryczeli na niego, atrakcyjne reporterki, które dotychczas przyglądały się mu z otwartymi ustami, niedwuznacznie szydziły, a stojący z tyłu kamerzyści telewizyjni bez ogródek kłęli.

- Ty pieprzony zdegenerowany prymitywie! - krzyknął potężny dźwiękowiec i splunął Davidowi pod nogi.

- Powinni zamknąć cię na zawsze, ty kupo gówna! - poprawił kamerzystą.

- Co ja zrobiłem? - David przebijał się przez tłum i szukał jakiejś przyjaznej twarzy. - Co się dzieje?

Sara Kidreaux niemal rzuciła w niego mikrofonem. Przy poprzednich wywiadach zachowywała się grzecznie i nadskakująco, teraz jej twarz wykrzywiało słuszne oburzenie.

- Davidzie, co ma pan do powiedzenia na nowe oskarżenia?

- Jakie? Od wczoraj byłem w lesie.

Tłum zacisnął się i wszyscy zaczęli mówić naraz. Gwizdano, wykrzykiwano pytania, powtarzano oskarżenia, pytano, co zamierza zrobić. Ogarnęła ich wściekłość, choć nie wiedzieli dokładnie, czego chcą. David dostał w ucho mikrofonem, obiektyw kamery trącił go w nos, ktoś ciągnął go od tyłu za koszulę. Zaczynała się reakcja łańcuchowa, jak przy linczu. Każdy z osobna nie byłby tak agresywny i okrutny, ale razem tworzyli groźną bandę. David nie mógł oddychać, musiał odejść, zanim ktoś przypadkiem udusi go kablem.

Przebił się przez grupę i gdy ruszył biegiem do budynku, omal nie zderzył się z Judy Mandell.

- Gdzie pan był? - Patrzyła na niego dziwnie, jak gdyby przysparzał jej powodu do wielkiego zmartwienia. - Dzwoniłam wczoraj do pana cztery razy.

Chciał zapytać po co, lecz biegł już za nim motłoch, przewracając po drodze sta-

ruszkę z wózkiem pełnym starych warzyw wygrzebanych ze śmietników. David wskoczył do budynku i schował się w niewielkim holu, bombardowany gradem ścigających go głosów. Słyszał je jeszcze, gdy wszedł na piętro, zebrał spod drzwi gazety i wszedł do mieszkania. Krzyczeli z ulicy.

- Hej, David, dlaczego to robiłeś?

- Halo, gadzie, pokaż mordę!

W tym momencie zobaczył przyczynę - wywiad „wyłącznie dla” „Tribune” na pierwszej stronie, autorstwa Judy Mandell.

NAUCZYCIEL TERRORYSTA BIŁ I MOLESTOWAŁ - MÓWI BYŁA ŻONA.

Lekko się zataczając, poszedł do salonu, wyjął gazetę z plastikowej koszulki i zaczął czytać.

W udzielonym wczoraj wyłącznie dla „Tribune” wywiadzie, była żona nauczyciela Davida Briana Fitzgeralda, podejrzanego o podłożenie bomby w szkolnym autobusie, określiła go jako niezrównoważonego i nieprzewidywalnego człowieka, który kiedyś podbił jej oko i być może w nieodpowiedni sposób dotykał ich siedmioletniego syna.

Opadł na kanapę i jeszcze raz przeczytał zdanie, stwierdzając, że dotarł do ostatniego przystanku na tej żalösnej drodze.

Zmusił się, żeby przeczytać artykuł do końca, gdzie zamieszczono dementi jego adwokatów, które wyglądało jak nic nieznaczący przypis. Reszta artykułu okazała się jeszcze gorsza od początku - opisywała kogoś znanego Davidowi, ale całkiem mu obcego. Renee przedstawiła wojenną historię jego ojca, zainteresowanie męża literaturą i mitologią bohaterstwa, jego ponure nastroje, okresy niepohamowanego picia alkoholu, aresztowanie w młodości w Atlantic Beach, brak umiejętności w nawiązaniu z nią kontaktów. Wspomniała nawet o jego nie publikowanej powieści Podpalacz, nie wyjaśniając przy tym, że tytuł jest metaforą mającą dać do zrozumienia, jak nierzetelna jest ludzka pamięć, nie zaś dowodem na piromancję. Nawet najnormalniejszy i najbardziej przyziemny szczegół wydawał się złowrogi i obciążający. Szczególnie dotyczyło to „nieodpowiedniego dotykania” Arthura, co miało opisywać fakt, że w czasie zabawy

lubił łaskotać syna, oraz tajemniczego siniaka pod okiem, którego nabił jej przypadkiem, podczas wyłamywania drzwi do łazienki.

Nie zawsze był osobą, na jaką wyglądał - powiedziała Renee Fitzgerald, długonoga blond aktorka i była tancerka baletowa - Czy byłby zdolny zrobić to, o co się go oskarża? Nie wiem. Czy możliwe jest w ogóle kogokolwiek znać? A jeśli wszystko, co się sądzi, jest nieprawdą?

Wszystko, co powiedziała, niby się zgadzało, lecz w szerszym kontekście stanowiło absolutną nieprawdę. Podział nie miał jednak najmniejszego znaczenia - artykuł niszczył go.

Kiedy próbował wstać, pokój zawirował mu przed oczami. Oparł się o poręcz kanapy, ale zbyt późno. Już upadał - jego duch leciał w głęboką, czarną studnię bez dna, a on pędził na dno wszechświata i nic go już nie mogło powstrzymać.

A JEŚLI WSZYSTKO, CO SIĘ SĄDZI, JEST NIEPRAWDĄ?

A więc stało się. Tak wyglądała otchłań. To było najgorsze, co się mogło przydarzyć. W dzisiejszym świecie niewiele spraw istniało w czystej postaci, ale tu miał do czynienia z jedną z nich - czystą rozpaczą.

Próbował utrzymać grunt pod nogami, chwycić się czegoś, co powstrzymałoby spadanie. Przecież to nie tak się odbyło. Nigdy nie uderzył Renee, prawda? Nigdy nie tknął jej palcem. Poza jednym razem, kiedy zamknęła się w łazience i niechcący uderzył ją drzwiami - próbując dostać się do środka i wyciągnąć ją - ale to był wypadek. Czyżby? A może nie, może przez ułamek sekundy, gdy wyczuł, że Renee za nimi stoi, specjalnie nie przestał ich wywierać? To było przecież możliwe, prawda? Wszystko było możliwe.

Spadał coraz szybciej, próbował chwytać się rzeczy oczywistych, ale ziemia uciekła mu spod nóg.

Czy kiedykolwiek dotknął Arthura w nieodpowiedni sposób? Nie. Czy kiedykolwiek go uderzył? Na pewno nie. Czy możliwe, że podniósł głos? Oczywiście, każdy rodzic czasem to robi, dzieciństwo nie jest tak nieskazitelne i idylliczne jakbyśmy chcieli. Walczył z nim, żeby zaciągnąć go do wanny? Setki razy. Walczył z nim o

ubieranie się? Kolejne kilkaset razy. Możliwe więc, że omsknęła mu się ręka, a chłopiec upadł na podłogę i zaczął płakać i w tym właśnie momencie do łazienki zajrzała Renee.

Zadzwoił do swoich adwokatów, ale nikogo nie zastał, poszedł więc do kuchni nalać sobie drinka. Weźmy piłkę, którą złapał w rękawicę baseballową, tę, o której opowiedział w telewizji trener Samuels... spróbował przypomnieć sobie, jak miał dziesięć lat i leżał na boisku twarzą do ziemi. Z czołem i spodniami poplamionymi trawą. Czy podniósł piłkę do góry, żeby pokazać, jak wspaniale ją złapał? Prawdopodobnie tak. Nigdy przedtem nie udało mu się w trakcie meczu złapać piłki w polu i bardzo możliwe, że opanowała go chłopięca duma. Kim więc, do cholery, był? Skąd pewność, że wszystko z nim jest nie tak? Szczegóły się sumują i po jakimś czasie ma się u ludzi określoną opinię. Tak zawsze mówiła matka. Kogo obchodzi, co sam o sobie sądzisz? Postrzeganie jest jak gabinet luster w wesołym miasteczku. Hitler prawdopodobnie uważał, że jest dobry dla zwierząt.

David skończył litrową butlę smirnoffa, którą trzymał w lodówce, i zabrał się za gin. Pił czysty, nawet bez lodu, mimo to spadanie nie chciało się zatrzymać. Otaczała go czern, przelatująca obok z rykiem. Mknął przez czas. Zrobiono z niego potwora. Co miał powiedzieć? Wyjść przed dom i spróbować rozmawiać z dziennikarzami? Osłonić oczy przed reflektorami i mamrotać: „Nie zrobiłem tego”, jak wtedy, gdy ścigali go wokół bloku? Kto mu uwierzy? Sam nie uwierzyłby nikomu, kto znalazłby się na jego miejscu.

Odstawił butelkę i przez głowę przeszła mu myśl, że powinien wstać i walczyć. Sędzina powiedziała, że jeśli chce uzyskać prawo do opieki nad Arthurem, ma niecały miesiąc na odzyskanie pracy i reputacji. Rusz się, może ci się udać! Stać cię na to!

Na pewno? Kiedy palił się autobus, wydawało mu się, że dostrzegł w sobie coś ponadprzeciętnego, jakąś siłę charakteru, teraz jednak dotarło do niego, że był to jedynie fuks, odruchowy skurcz mięśni. Choć na pewno nie molestował dzieci, nie był nic wart, nikczemny i wstrętny. Jeśli oskarżenie zostanie powtórzone wystarczająco często, prawda przestanie się liczyć. Arthur straci przekonanie co do swoich wspomnień, tak samo jak on tracił przekonanie do swoich. Zapomni o wspaniałym weekendzie, w trakcie którego robotnicy wyszli z kopanej w ziemi dziury, a pasażerowie metra wstawali, żeby uścisnąć jego tacie rękę. Zamiast tego będzie dorastał jak człowiek po praniu mózgu, sądząc, że ojciec go zranił i straci szansę dowiedzenia się prawdy. Nawet

jeśli nie uwierzy matce (która sama przechodziła okres pomieszczenia umysłu), będzie mógł iść do biblioteki i przeczytać o tym, co się działo, na mikrofilmach, CD-Romach, hologramach, czy z czego tam będzie się czytać za dziesięć lat, pozna okropne słowa, które znów go zranią.

Co można uczynić, żeby te słowa usunąć? Teraz, gdyby mógł, najchętniej usunąłby sam siebie, zlikwidował całe swoje życie. Nie, to nieprawda... a może jednak? Zrobił przecież podczas swojej kariery kilka dobrych rzeczy. Jeszcze tak niedawno Elizabeth Hamdy przyszła z nim na parking, bo bardzo potrzebowała porozmawiać. Co roku miał kilku takich uczniów. Czy było w tym coś złego? Miał z tymi dziećmiakami dobry kontakt. Co miesiąc dostawał jeden albo dwa listy od byłych uczniów, którzy dziękowali za coś, co powiedział albo zrobił, a co pomogło im dostać się do college'u. Weźmy Jeana La Roche'a, Haitańczyka z dziesięciorgiem rodzeństwa, którego matka pracowała na dwa etaty, a mimo to stać ją było tylko na jedno ubranie dla syna, w którym mógł pokazać się w szkole. David pomógł mu dostać się do State University, telefonując do przyznającego miejsca urzędnika, aż nauczył się jego numeru na pamięć, a teraz chłopak chodził do Cornell Medical School. Czy to się nie liczyło? Był także Arthur - piękny dzieciak - noszący w połowie przynajmniej jego materiał genetyczny. Może jednak na tym należało poprzestać? Może największą odwagę wykaże, znikając, zanim Arthurowi przybędzie przez niego więcej smutnych wspomnień. W pijanym widzie zaczął kombinować, że prawdziwy mężczyzna na jego miejscu skończyłby z tym wszystkim...

Nie, nie wolno brać pod uwagę samobójstwa - to byłoby tchórzliwe wyjście. Z drugiej strony - czemu nie? Miał w domu różne leki i dość alkoholu do ich popicia. Mógł zakończyć całą sprawę i zostawić list, że nie zrobił nic z tego, o co się go oskarża, a nie może żyć z kłamstwami na jego temat. Kto zaprzeczy samobójcy? Oczyszczyłby się z zarzutów i nareszcie byłoby po wszystkim. Tja... Papa Hemingway też tak zrobił, w Idaho. Przekonany, że FBI go otoczyło, strzelił sobie z flinty w usta.

Tyle że Hemingway sobie to ubzdurał, a Davida naprawdę osaczało FBI. Pomyślał o Robercie Jordanie z Komu bije dzwon. Wykończonym, z sercem walącym o pokrytą igliwem ziemię, próbującym wziąć się w garść i nie wypuścić z ręki pistoletu maszynowego, zastanawiającym się, czy skończyć z sobą, zanim zjawią się faszyci. Niech się zjawia! Dawać ich tu! Przestań! Źle myślisz, upiłeś się. Powinieneś sobie z tym poradzić. Musisz. Powinieneś być w czymś dobry! Powinieneś umieć skończyć to, co zacząłeś. Dzięki temu uda ci się zapanować nad tym, co się dzieje. Mężczyzna

powinien umieć skończyć to, co zaczął.

Poszedł do sypialni i znalazł jedną z toreb z rzeczami matki, której zwrot wymusili na FBI Ralph i Judah. Znalazł w niej trzyletnie opakowanie valium i zabezpieczone poliestrową folią ubrania. To nie powinno być trudne. Połknąć tabletki, popić ginem i owinać sobie głowę folią. Wystarczy się położyć na podłodze i niech przybywają! Otworzył buteleczkę z lekiem, dokończył gin i usiadł na łóżku, żeby móc wyglądać przez okno. Zaczął czekać, aż zapadnie noc i zapalą się latarnie.

Jakieś trzy godziny później obudził go dzwonek telefonu. David wstał, potknął się i uderzył głową w nocny stolik.

- Davidzie, chyba powinieneś przyjechać natychmiast do szpitala - powiedziała Renee nienaturalnie spokojnym głosem. - Arthur cię potrzebuje.

41

Włóż taśmę! Włóż taśmę! - wrzasnął doktor Ahmed, gdy po południowych modydach Nasser dotarł do mieszkania przy Dwudziestej Trzeciej ulicy z kolejnym workiem nawozu. - Pokaż mu, co stracił!

Jusuf podszedł do magnetowidu i wsunął kasetę. Ekran na sekundę poczerniał, potem pojawiło się logo CNN. Obraz zadrżał, zaraz jednak na ekranie ukazało się coś znajomego - sceny po wybuchu bomby. Lektor czytał, że dziś w godzinach porannych w centrum handlowym w Jerozolimie wybuchła bomba, powodując śmierć stu czterdziestu siedmiu osób. Zdjęcia ukazywały poprzewracane stragany z warzywami, młode dziewczyny w koszulkach z nadrukami Spice Girls, krwawiące z ran na twarzach i drące się jak opętane, ciężarną kobietę z oderwanymi nogami, mężczyznę na noszach bez połowy twarzy, porzbijane o asfalt arbuzy. Wokół kręcili się brodaci sanitariusze w jarmułkach i gumowych rękawiczkach, zbierający poodrywane kończyny i kawały ciała.

- To Mehdi! - Doktor kuśtykając podszedł to telewizora i wskazał na ekran. - To całkiem i w stu procentach on!

- Kto to jest Mehdi? - Nasser popatrzył na Jusufa.

- Przyjaciel doktora z domu - mruknął Wielki Niedźwiedź z kanapy, nie przerywając popijania prosto z kartonu soku pomarańczowego. - Przeprowadzili razem wiele operacji, ale wybuchło im laboratorium i zginął brat Mehdiego. Pozycja Mehdiego wzmocniła się i wszyscy odmówili dalszej współpracy z doktorem.

- To powinniśmy zrobić! - Doktor klepnął w telewizor. - Dokładnie coś takiego! Ciała powinny zaświecać ulicę jak tutaj! Mehdi siedzi pewnie i śmieje się ze mnie!

Nasser nieco się cofnął, by spojrzeć z innej perspektywy. Nagle Ahmed wydał mu się przestraszony. Po raz pierwszy dostrzegł też, że łączy ich typowa ludzka słabość. Doktor też należał do ludzi, którzy chcą sobie coś udowodnić.

- Drugi raz w tym tygodniu podłożyli bombę w tym centrum handlowym! - Doktor wbił ręce w kieszenie i zaczął kuśtykać po pokoju. - A co my robimy? Gadamy, gadamy i tylko gadamy. To nie dżihad, ale talk-show. Jestem tu od tygodnia i co osiągnęliśmy? Nic! Siedzimy, oglądamy telewizję i gadamy. Pracuję z bandą bab!

Choć wyższy, Jusuf aż się skulił od tego wybuchu wściekłości. Nasser zaczynał dostrzegać między nimi coraz więcej różnic. Jusuf był niedbały i ociężały, jakby zjadał za dużo amerykańskich cheesburgerów, podczas gdy żylasty i zwinny doktor Ahmed ciągle szukał miejsca, by lepiej zaiskrzyć. Jego uzasadniona furia nie inspirowała jednak Wielkiego Niedźwiedzia, lecz powodowała, że czuł się zwolniony z obowiązku organizowania uderzenia.

Nasser odstawił na podłogę dwudziestokilowy worek nawozu, który kupił w Forrest Hills.

- Co mamy więcej robić, szejku? - spytał. - Co dzień jesteśmy na mieście, kupujemy materiały i przygotowujemy się. Modlimy się. Przygotowujemy do walki.

- Musimy zadziałać. Działać! Dostaję od beczynnego siedzenia wariacji! - Doktor znów wykonywał każdy ruch dwa razy szybciej niż trzeba: drapał się po brodzie, zgrzytał zębami, mrugał oczami, nadając sygnały wściekłym alfabetem Morse'a.

Obraz na ekranie zmienił się: ukazywał leżącego na ziemi starca z wypływającymi jelitami, którego żona darła się w nieopisanym przerażeniu.

- A więc, ile mamy materiału na haddutal - spytał doktor Ahmed, pstrykając palcami na Jusufa.

Jusuf wzdrygnął się i zaczął czytać informację na boku worka.

- Tu jest trzydzieści siedem procent azotu, więc z tym, co już mamy, wystarczy na jedną dużą bombę albo trzy małe. - Otworzył worek, wsadził do środka nos, powąchał i zamknął worek. - Brakuje nam jeszcze trochę oleju napędowego i muszę się zabrać za zapalniki. Próbuję zdobyć w Jersey City związek, który można wykorzystać jako przyspieszacz reakcji, a z pieniędzmi... stoimy bardzo słabo.

- Dość! Musimy natychmiast coś zdecydować. - Doktor Ahmed pociągnął za brodę najpierw jedną, potem drugą ręką, jakby chciał ją wydłużyć. - Imam powiedział „prostota”, więc musimy działać z prostotą. Myślałem nad tym. Zaatakujemy równocześnie trzy cele - wszystkie przed ramadanem. Może za dwa tygodnie - zanim Mehdi ponownie uderzy.

Nasser zamarł, zastanawiając się, czy jest coś, co musi wtedy zrobić. Jakieś miejsce, gdzie powinien być. Znowu poczuł w ustach gorzki posmak, bowiem przypomniał sobie, że jest tutaj, ponieważ wszystko w jego życiu się zawaliło.

- Co więc zrobimy?

- Kiedy was nie było, omówiliśmy dwie możliwości. - Doktor przestał szarpać brodę i, jak ciągnięty magnetyczną siłą, podszedł do telewizora. - Ponieważ już zaczęli pokazywać reklamy prezentów świątecznych, pomyśleliśmy, że jednym z celów powinien być dom towarowy. - Położył dłoń na aparacie. - Jeden z tych, z których są tacy dumni. „Macy’s” albo „Bloomingdale’s”. Wszędzie pełno martwych Żydów.

Jusuf skinął głową i zaczął się bawić jednym z kuchennych zegarów, które kupił rano w Connecticut.

- To prosta sprawa - powiedział, nakręcając zegar, który zaczął tykać. - Będzie tam mnóstwo ludzi, mało ochrony. Wejdziemy na parter i BUMMM! Wylatują okna. Ludzie biegną do wyjść awaryjnych i zdeptują się. Wszędzie na ubraniach i biżuterii krew i kawałki ciał.

- Albo nawet lepiej - wsadzimy hadduta do furgonetki na ulicy przed sklepem i zabijemy przechodzących turystów i przechodniów - zasugerował doktor Ahmed.

Nasser usiadł i zaczął to sobie wyobrażać, oczywiście jedyne, co widział, to skutki bomby, które pokazano w telewizji. Nawet nie udało mu się zobaczyć samego wybuchu.

- Drugi cel też jest łatwy - ciągnął doktor Ahmed. - Zostawimy hadduta na środku Grand Central albo Perm Station w godzinie szczytu. Może bombę z gwoździami. Taką, jaką zrobiliśmy w Peszawarze. - Wziął od Jusufa zegar. - Zabije każdego w promieniu pięćdziesięciu metrów. - Zginą, zanim zaczną uciekać.

Tego Nasser nie umiał sobie wyobrazić.

- Jaki będzie ostatni cel?

Dźwięk tykania brzmiał jak buczenie owada, wywoływał u Nassera napięcie i niepokój. Tak, chciał uczestniczyć w tej akcji, grać ważną rolę w dżihadzie, ale jakaś część jego osobowości była w dalszym ciągu przerażona.

- Co powiecie o wagonie metra? - spytał Jusuf. - Zamknięta przestrzeń doprowadzi do większej eksplozji i przerwie ruch na długi czas.

- Nie, to zbyt podobne do akcji na Grand Central. - Doktor machnął ręką, zbywając go. - Potrzebujemy czegoś, co by się wyróżniało, przekazało dobitną wiadomość.

- Co z któryms z mostów lub tuneli?

- To niepraktyczne. - Ahmed pokręcił z żalem głową. - Zbadałem możliwości i wiem, że to nie do wykonania.

- Parkiet giełdy?

- Tam będzie zbyt wiele ochrony - powiedział Ahmed po chwili zastanowienia. - Poza tym mogłoby to wywołać w pewnych kręgach tego kraju zadowolenie.

- A może znów szkoła? - spytał nagle Nasser, kiedy zegar zaczął terkotać, raniąc mu uszy.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego, świdrując go wzrokiem. Natychmiast pożałował tego, co powiedział, ale nie miał już odwrotu.

- Znów szkoła! - wykrzyknął pogardliwie Jusuf. - Podchodzisz do tego zbyt osobiście! Tu nie chodzi o Nassera, lecz o dżihad!

Doktor przyglądał mu się jednak z nowym zainteresowaniem.

- Dlaczego o tym mówisz?

- Nie wiem... - mruknął Nasser i wbił wzrok we własne stopy.

Tak naprawdę myślał o tym od dnia, w którym trafił do sklepu ogrodniczego w Borough Park. Nigdy nie przestał myśleć o błędzie, jaki popełnił w przypadku autobusu szkolnego i pana Fitzgeralda. Może podjęcie drugiej próby dałoby mu możliwość zrehabilitowania się i zmuszenia nauczyciela do przerwania bezczeszczenia jego siostry.

- Jak mógłbyś tym razem się tam dostać? - doktora Ahmeda wyraźnie to zainteresowało i przykuśtykał, by usiąść obok. - Poprzednim razem okazało się to katastrofą.

- Wiem. - Nasser przez chwilę zagłębił się w myślach. Ogryzł skórę przy paznokciu i przypominał sobie niepowodzenie, poczucie, że jest nic nie wart. Jeśli nie był wojownikiem, to kim? Zaszedł zbyt daleko, żeby zboczyć z drogi i znów stać się zagubionym chłopcem grającym na automacie. Musiał odzyskać pewność siebie.

- Tym razem powiem, że chcę wrócić do szkoły i skończyć ją, więc muszę porozmawiać z dyrektorem.

Jusuf nie był przekonany.

- A jeśli znów się napatoczysz na tego nauczyciela, który cię zna? - spytał, wykrzywił twarz w niemiłym grymasie i beknął. - Co wtedy zrobisz?

- Pana Fitzgeralda? - Kąciki ust Nassera opadły. - Wetknę mu bombę do rąk i ucieknę. Byłoby świetnie.

Pozostali zaczęli chichotać i poczuł, jak płoną mu uszy. - Śmiejecie się, a ja mówię poważnie - powiedział oburzony. - Jeśli coś mu się stanie z powodu hadduta, to dobrze. Wtedy zrozumieją, że się pomylili co do niego i muszą się bać jeszcze kogoś. Zrozumieliby, że nie mają pojęcia, co się wokół nich dzieje.

Ahmed i Jusuf przestali się śmiać i popatrzyli po sobie z namysłem, najpierw obaj unieśli kciuki, a potem je opuścili, rozważając decyzję. Przez chwilę Nasser miał wrażenie, że powiedział zbyt wiele.

- Wiesz, to wcale nie jest zły pomysł... - powiedział w końcu doktor Ahmed. - Wrócić w to samo miejsce, jak Mehdi w domu... Coś takiego w Stanach mogłoby okazać się niezwykle. Pokazałoby im, że możemy ich zaatakować wszędzie i w każdej chwili. Że nigdy nie mogą się czuć bezpieczni.

- Nie wiem, czy mi się to podoba. - Jusuf dyszał. Wziął do ręki karton soku, wyraźnie chciał uniknąć wzroku Nassera. - Zbyt wiele punktów niepewnych.

- Tym razem wszystko pójdzie jak należy. - Doktor Ahmed zbliżył się do Nassera, nagle uważny i czujny jak wilk. - Wejdiesz do szkoły. Zaniesiesz had-duta do jadalni albo do klasy i basta.

- W dalszym ciągu nie wiem, czy to dobry pomysł - dąsał się Jusuf. - Jeśli plan nie wypalił za pierwszym razem, może taka jest wola Boga. Nie powinniśmy spytać imama Abdela, czy wolno wracać do tego samego celu?

Dalsza część rozmowy nie bardzo docierała do Nassera. Znów przyciągnął go telewizor. Kamera pokazywała leżącego na jezdni niedaleko sklepu jubilerskiego martwego brodatego młodzieńca, niedbale zakrytego pomarańczową płachtą, którego, według spikera, rozpoznano jako podkładacza-samobójcę. Górna połowa jego ciała pozostała nietknięta. Pilnowało go dwóch izraelskich żołnierzy z gotowymi do strzału uzi - jakby spodziewali się, że wróci nagle do życia, poderwie się i zaatakuje ich.

Nasser wstrzymał oddech, zapamiętując obraz. Młody podkładacz bomby wyglądał po śmierci na niezwykle spokojnego. Ileż odwagi wymagało od niego stanie przed

sklepem z tykającą bombą i świadomością, że zaraz wszystko się skończy... Co myślała jego rodzina? Czy zrozumie, czego dokonał? Czy będą w trakcie pogrzebu dumni z syna męczennika?

- Nie przejmuj się imamem - powiedział doktor. - Jestem pewien, że da pozwolenie. Teraz się pomodlimy.

42

Mimo poważnego zatrucia organizmu, podkrążonych oczu, rozszerzonych źrenic, drżących boleśnie trzewi i poważnie zaburzonego zmysłu równowagi, Davidowi jakoś udało się wsiąść do samochodu i dojechać w dwadzieścia minut do szpitala.

Poczekalnia izby przyjęć była pełna otepiałych, dotkniętych przez los ludzi, oglądających w telewizji program na kanale „Przyjaciele Mediów Parapsychologicznych”. W okienku rejestracji urzędowała pulchna pielęgniarka o oliwkowej, pełnej czerwonych blizn skórze i nieprzyjemnie zaciśniętych ustach.

- Chciałbym się zobaczyć z Arthurem Fitzgeraldem. - David przycisnął się do szklanej przegrody, czując, jak serce wali mu o mostek.

Przerzuciła kilka papierów i stuknęła w kilka klawiszy, patrząc na ekran komputera.

- Jest pan członkiem rodziny?

- Jestem ojcem.

- Jego ojciec już tu jest. - Wyciągnęła rękę po słuchawkę dzwoniącego telefonu. - Nikomu poza tym nie wolno wejść.

„Jego ojciec już tu jest?” David przez trzy sekundy wpatrywał się w brudną szybę, ale nie dostrzegł swego odbicia. Czyżby już do tego doszło? Znalazł się w ostatniej fazie rozpadu osobowości? Nie tylko krążył po świecie jego obraz, którego nie znał - ale doszła do tego żywa osoba posługująca się jego nazwiskiem? Zaczekał, aż pielęgniarka odłoży słuchawkę.

- Co ma pani na myśli mówiąc, że jego ojciec już tu jest? Jestem jego jedynym ojcem.

- Czyje nazwisko jest na ubezpieczeniu?

- Moje, oczywiście. - Niewiele brakowało, a rozbiłby szybę i złapał babę za gardło. - To moje ubezpieczenie, zapewniane przez system szkolny.

Odwróciła się i krzyknęła coś do koleżanki za plecami, potem nacisnęła brzęczyk i otworzyła drzwi.

- Nic mu nie jest? - David zauważył, jak bardzo drżą mu ręce. Za drzwiami powietrze całkiem się zmieniło. - To mój syn, rozumie pani?

Pielęgniarka ledwie popatrzyła na niego znad klawiatury.

- Musi pan o to zapytać lekarza. - Wskazała na odchodzący w lewo korytarz. - Jest w pokoju A - sto dwadzieścia jeden.

David poszedł korytarzem wyłożonym podrapanym linoleum. Mijał ludzi i nosze, starszych mężczyzn podłączonych do kroplówek, zza otwartych drzwi migały groteskowe, rozpaczliwe postacie amputowanych i chorych, którym przetaczano krew. Gorzki zapach adrenaliny przyprawił go o skurcz jelit... no dobrze, Panie Boże, ubijmy interes.

Znalazł pokój A - sto dwadzieścia jeden i wszedł do środka. Arthur siedział spokojnie ze zwieszonymi nogami na stole do badań w masce zakrywającej mu usta i nos.

- Cześć tato - powiedział stłumionym głosem. - To znów była chmura.

Renee i Anton stali w głębi i rozmawiali z pielęgniarką o podłużnej twarzy, ubraną w strój koloru wyblakłej zieleni.

- Co się stało? - spytał David.

- Walczyłem. - Oczy Arthura zabłysły uśmiechem.

David popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc. Arthur walczył? Zupełnie nie mógł sobie tego wyobrazić - podobnie jak meliny narkotykowej w Greenwich albo biorącego udział w zamieszkach jezuit.

- Davidzie, tak mi przykro... - Renee podeszła do niego. Miała zapadnięte policzki i oczy zabrudzone rozmazanym tuszem do rzęs.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co tu się dzieje? - spytał David, patrząc nad głową Renee, nie zastanawiając się, czy przeprosza za to, co się stało z powodu gazety, czy za pobyt Arthura w szpitalu.

Wbił wzrok w Antona, który poprawił płaszcz na ramionach i odrzucił do tyłu długie włosy.

- Nie patrz tak na mnie, człowieku - powiedział. - Jest tu przez ciebie.

- Słucham? - David odruchowo zacisnął dłoń i uniósł pięść. Anton podniósł ręce w obronnym geście.

- Jesteś w gazecie.

Arthur, który wyczuł, że kroi się kłótnia, zaczął kasłać i rzeźić pod maską.

- No, proszę państwa, wynocha stąd! - rzuciła pielęgniarka, wchodząc między mężczyzn. - Dajcie nam dwie minuty, a później będziecie się mogli łąć.

- Niech mi pani tylko powie, czy mojemu synowi nic nie grozi - poprosił David, patrząc na Arthura.

- Nic mu nie będzie. - Pielęgniarka zaczęła wypychać całą trójkę na korytarz. - Poczuj się jeszcze lepiej, jak sobie pójdziecie.

Wyszli na korytarz i stanęli niedaleko wychudzonego mężczyzny o ziemistej cerze podłączonego do kroplówki, który wyglądał jak rzeźba z drutu ubrana w zapinany na plecach szpitalny kitel.

- Co się stało? - spytał David.

- Nic wielkiego. - Renee otarła oczy i spuściła wzrok na stopy. - Miał w szkole małą bójkę.

Arthur patrzył przez otwarte drzwi na ojca. Uśmiechnął się i pomachał do niego. David próbował odwzajemnić uśmiech, ale mięśnie twarzy miał jak z ołowiu.

- Z powodu bójki trafił do szpitala?

- Cóż, dostał w trakcie bójki ataku astmy. - Renee wspięła się na palce i trwała tak w napięciu, jakby bała się, że David zaraz zacznie na nią krzyczeć.

- Boże... - David przyłożył dłoń do czoła, żeby nie zrobić czegoś głupiego. - A o co się bił?

- O ciebie.

- O mnie?

- Jakiś chłopak zaczepił go na szkolnym podwórzu... - Z wysiłkiem wypowiadała słowa, powiedzenie tego, co zamierzała, przychodziło jej z wyraźnym trudem. - Chodziło o coś w związku z dzisiejszym artykułem w gazecie. Tamten powiedział, że jesteś złym człowiekiem i Arthur go uderzył. Rozumiesz to?

- Rozumiem. Pewnie, że rozumiem. - David zamknął oczy. - Doskonale zrozumiałem.

Obsuwanie się, które trwało od rana, nagle zniknęło. David poczuł, że coś się odwraca. Jego syn musiał w szkole stanąć w jego obronie. A więc dotarł do dna i teraz należało się od niego odbić.

- Co mówi lekarz? - spytał powoli, już panując nad sobą. Podciągnął spodnie i porządnie wetknął w nie koszulę. - Arthur będzie musiał zostać tu na noc?

- Dali mu zastrzyk z Ventoliny i uważają, że mogą go zabrać do domu. - Chciała wyciągnąć rękę do Davida, lecz zmieniła zdanie i jej dłoń zawisła w powietrzu.

- Co prawda, nikt mnie nie pytał, ale... - wtrącił przeciągle Anton - może lepiej by było, gdyby wszyscy trochę ochłonęli i spróbowali zmienić nastrój.

- Co to ma znaczyć? - David odwrócił się ku niemu, szukając okazji do wyładowania złości.

- To, że może poszedłbyś do domu. - Anton gniótł w dłoniach czarny beret. - Renee, Arthur i ja jesteśmy zmęczeni. Tworzy to ciężką atmosferę, więc może byś się na jakiś czas ulotnił, ochłonął i nam dał nieco odetchnąć. Weź dwie aspiryny i zadzwoń rano.

- Co to ma znaczyć? Zostałeś królem komunalów? Anton wykrzywił zbyt duże usta.

- Wiesz, widzę teraz, po kim to ma.

- Co, po kim ma?

- Arthur. Ten sposób, w jaki działa na nerwy.

W tych słowach zabrzmiało coś, co bardzo się Davidowi nie spodobało.

- Masz jakiś problem z moim synem?

- Skądże. Chcę tylko powiedzieć, że wymaga wiele uwagi. To wszystko.

- Ma siedem lat.

- Właśnie o to chodzi. - Anton powiedział to tak, jakby się skarżył. - Dlaczego decyduje o naszym życiu? Wszystko kręci się wokół niego. Odprowadź Arthura rano do szkoły, zawieź na plac zabaw, odwieź do szpitala. Wcale nie jest dla niego dobre, że ma tyle władzy. To go rozpieszcza.

- Przykro mi, że mój syn jest dla ciebie takim ciężarem. Anton nie zauważył sarkazmu.

- Nie ma sprawy, ale mam też własne życie.

David zrozumiał, że ten facet jest po prostu dużym dzieckiem.

- Miałem nadzieję, że nieco pomożesz Renee wychowywać go.

- Zaraz, zaraz, przecież to nie mój dzieciak.

No proszę: TWÓJ DZIECIAK, NIE MÓJ. TWOJA SPERMA, NIE MOJA.

- Przepraszam Anton, ale chciałbym zamienić kilka słów na osobności z moją żoną - powiedział David, zwalczając chęć trzaśnięcia chłystka w gębę.

Anton popatrzył na Renee, potem na mężczyznę pod kroplówką, nie tyle z opiekuńczości, ile z niepokoju.

- Będzie okej?

- Tak, zostaw nas. W razie czego krzyknę.

Ruszył korytarzem, naśladowując dźwięki saksofonu i nucąc pod nosem: Bada-dum-dum-bada-dum-dum-dum...

David patrzył za nim, nie mogąc się nadziwić.

- Co ty w nim w ogóle widzisz?

- Nie wiem. - Renee osuszyła oczy chusteczką. - Może sądziłam, że pomoże mi uporać się z samą sobą...

- Pomógł?

- Nie bardzo. - Pomacała wgniecenie na wardze. - Nie wyglądam twoim zdaniem lepiej, co?

- Dlaczego powiedziałaś to wszystko o mnie tej dziewczynie z gazety?

Renee mocno zacisnęła oczy.

- Nie wiem. Tak mi przykro. Przyszła i zaczęła rozmawiać, a potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym pogadać... to napięcie z powodu sędziny, Arthura, FBI, Antona i... - przerwała w pół zdania i skuliła się. - Nie wiem... Słowa wychodziły ze mnie z większą złością, niż naprawdę czuję. Równocześnie wiedziałam i nie wiedziałam, co robię. Rozumiesz to? Słowa wypływały, a ona słuchała. Robiła takie miłe wrażenie i... - Dotknęła jego twarzy. - Chyba znów straciłam kontrolę, co?

- Chyba tak. - David wpatrywał się w postrzępione nogawki džinsów Renee i starał się pooddzielać od siebie wściekłość, sympatię i lęk.

Korytarzem pchano łóżko na kółkach, na którym leżał łysy stary mężczyzna podłączony do respiratora. - Po jednej stronie łóżka szła jamajska pielęgniarka, po drugiej filipiński lekarz.

- Posłuchaj, Renee... nie możemy, to znaczy nie mogę na to pozwolić - powiedział David, walcząc z kaczem i zmęczeniem. W dalszym ciągu czuł w kościach wilgoć z poprzedniej nocy.

- Na co? - Popatrzyła przez ramię, jak gdyby ktoś ją szturchnął.

- Zamierzam się zabrać... zamierzam się za to zabrać. - Przerwał, usiłując nadać słowom w umyśle kształt i moc. - Przejść przez to. Jasne? Muszę to zrobić dla Arthura i dla siebie. Rozumiesz? Jeśli będziesz, kiedy wyjdę z tego - wspaniale, jeśli cię nie - to chyba też dobrze.

- Co masz na myśli, mówiąc jeśli mnie nie będzie"? - W jej oczach pojawił się strach.

David nie odpowiedział, tylko wszedł do pokoju syna. Musiał odnaleźć w sobie siłę, sięgnąć bardzo głęboko do swego wnętrza. Tę siłę, którą uświadomił sobie po raz pierwszy, kiedy był zbyt wyrosniętym chłopakiem. Ponieważ w szkole, z powodu wzrostu nie mógł nikomu oddać, nauczył się jedynie odbierać ciosy. Siedzieć w ukryciu w bezpiecznym miejscu w głębi swej duszy. Teraz nadszedł czas tam powrócić.

Arthur w dalszym ciągu siedział na stole do badań, ale już bez maski na twarzy. Na sam jego widok David poczuł przyływ energii. Syn był dla niego jak dodatkowe

serce, tylko dzięki niemu myśl o samobójstwie pozostała jedynie myślą.

- Tato, chmura niemal mnie dostała.

- Chmura? - David usiadł obok syna na stole. W dalszym ciągu czuł mdłości i wywracało mu wnętrzności.

- Zła chmura. Ta z moich snów.

O tak, on sam też ją widywał w złych snach, jakie miewał po kłótni rodziców.

- Walczyłem z Maxwellem i wtedy zła chmura weszła mi do piersi i nie mogłem oddychać.

- Wiem... wiem. - David objął chłopca i mocno przytulił, jak gdyby chciał wyciągać go na brzeg. - Mnie też o mało nie dostała.

- Co?

- Wszystko już dobrze. Teraz mam ciebie... mam... ciebie.

43

Po nagłym ochłodzeniu i deszczu padającym poprzedniej nocy, znów ociepliło się - babie lato brało ostatni oddech - Na podstawie tego, jak słońce odbijało się od powierzchni wody, a wiatr niósł muzykę z karuzeli nadmorską promenadą, Elizabeth powiedziała, że dziś będzie kolejny amerykański dzień.

Bywały dni, kiedy czuła się jak Arabka, ale dziś była sobota, a ona miała na sobie obcięte džinsy, czarną bluzkę na cienkich ramiączkach, na nogach wrotki, jechała nadmorskim bulwarem ze swą przyjaciółką Merry Tyrone i czuła się jak Amerykanka.

- Hej, dziewczyno, rozbujaj się! - mówiła jadąca obok Merry, ubrana w błękitną bluzeczkę na cienkich ramiączkach ze Spandexu i obcisłe marynarskie szorty z paskami adidasa, wyglądającymi jak lampasy. - Więcej rytmu!

Elizabeth bała się, czy nie zobaczy jej ktoś z rodziny. Miała już dość pomysłów

Nassera, który przeszukiwał jej pokój. To, co zrobił, spowodowało jedynie, że nabrała większej ochoty do zerwania z tradycją, rodziną, historią i naciskami z powodu przynależności do ciemniejszego narodu bez historii. Miała dość. Dziś chciała po prostu pojeździć na wrotkach.

Odepchnęła się raz i drugi, czując jak ścięgna i mięśnie rozciągają się, a ona mknie, mijając stragany z hot dogami i stary spalony Dreamland, zostawia za sobą zniszczoną, porośniętą mchem i bluszczem diabelską kolejkę. Słońce muskało jej skórę, nadając barkom połysku, a ramionom złotego odcienia. Włożyła nowe ochraniacze, które dostała w prezencie od Nassera, ale nie wzięła hełmu. Okazał się za mały i miała wrażenie, że się w nim dusi, poza tym wołała, kiedy włosy jej rozwiewała słona bryza. Chciała poczuć, że kłopoty opadają z niej jak łuszcząca się skorupa.

- Hej, co powiesz o panu Fitzie? - spytała Merry.

- Bo ja wiem? Aresztowano go?

- Nie, ale wszyscy są na niego wkurzeni. Nikt nie wiedział, jaki jest naprawdę, ten „szalony podkładacz bomb” i tym podobne. Teraz, rozumiesz, myślę jak detektyw. Wracam do tego, co mówił na lekcjach. Egzaminuję go. Zawsze uważałem, że jest w nim coś nie tak. Co za debilizmy wypisywał na tablicy tamtego dnia. Znać siebie, to powód do przerażenia. Teraz wiemy, dlaczego.

- To brzmiało: „Najbardziej przerażający jest lęk przed samym sobą” - poprawiła Elizabeth. - To nie to samo. Prowadził lekcję i zachowywał się jak nauczyciel.

- Jeśli tak uważasz...

Elizabeth odepchnęła się mocno i siedzące na chodniku mewy rozpierzchły się, a rolki głośno zaturkotały o nawierzchnię.

- Nie wierzę w to, co piszą o nim w gazecie.

- Lubiaś go, prawda? - Meny uśmiechała się filuternie.

- Co ty nawijasz, dziewczyno? - Elizabeth nie pierwszy raz próbowała posłużyć się językiem używanym przez jej koleżanki, lecz w jej ustach nie brzmiał on dobrze.

- Cukrował ci ten nasz pan Fitz. Widziałam, jak czasem na ciebie patrzył.

- Jest moim nauczycielem. Co w tym złego, że go lubię? Dlaczego wszyscy myślą, że coś mnie z nim łączyło? Dlatego, że traktował mnie poważnie?

Przejechały przez chmurę dymu papierosowego zmieszanego z zapachem olejku do opalania. Myślała o panu Fitzgeraldzie. Oskarżanie go w dalszym ciągu wydawało jej się absurdałne. W klasie nigdy nie zachowywał się dziwnie, a już na pewno nie tak, jak opisano to w gazecie. Czasem kładł na coś zbyt ni nacisk, ale tak naprawdę jej się to podobało. Na przykład sposób, w jaki wydobywał pomysły, których istnienia w swojej głowie człowiek się nie domyślał. Inni nauczyciele obojętnym tonem odklepywali te same nudne lekcje z tych samych książek, ale kiedy pan Fitzgerald mówił, słowa wirowały w głowie. Fakt, dotknął ją wtedy lekko na parkingu, lecz jej to nie przeszkadzało.

- Hej, wiem, co tu jest grane - powiedziała Meny. - Ciągnie cię do niego, jak niektóre dziewczyny do starszych gości.

- Nieprawda.

- Tak się mówi, ale myślisz o wielkiej, szalonej miłości.

Muzyka grająca przy karuzeli robiła się głośniejsza. Kiedy dojechały przed wejście do akwarium, Elizabeth odepchnęła się z całej siły. Pałac i popijając stało tu czterech chłopaków ze szkoły. Był wśród nich ostrzyżony na zero cwany Dominikańczyk z kolczykiem w uchu, Krnąbrny Q i próbujący naśladować styl gangsta-raperów, dziwacznie uczesany Ray-Za.

- Jeśli już mówimy o niegrzecznych chłopcach... - powiedziała Merry i ruszyła w ich kierunku - przepraszam na chwilę, muszę nawiązać „komunikację” z tym eleganckim Nubijczykiem.

Elizabeth została w tyle. Patrzyła, jak biodra Merry poruszają się rytmicznie na boki i zastanawiała się, jak to jest czuć się tak swojsko i swobodnie we własnym ciele. Być całkiem na luzie. Zmienić się ze skromnej arabskiej dziewczyny w gorącą amerykańską pannę. Taką, na którą mężczyźni patrzą z zachwytem. Pan Fitzgerald raz czy

dwa chyba tak na nią patrzył. W końcu, czemu nie? Dlaczego miała być inna niż wszystkie? Więcej ją łączyło z dziećmi ze szkoły niż ze zwariowanym bratem z Betlejem. Wychowywała się w Ameryce, miała amerykańską macochę, czytała amerykańskie książki, myślała po amerykańsku, coś jednak nie pozwalało jej przejść całkiem na drugą stronę. Pewnego wieczoru próbowała z Meny i paroma koleżankami ze szkoły postać trochę na rogu ulicy, popijając piwo, lecz szybko zrobiła się niespokojna i poczuła się nieswojo. Sam pomysł jej się podobał, ale robienie tego mdliło. Z chłopakami było tak samo. Mogła tygodniami przyglądać się jakiemuś chłopcu i fantazjować o tym, jak wspaniale jest być z nim na randce, ale jeśli śmiał się zbliżyć, uciekała przerażona.

Co się z nią działo? Miała siedemnaście lat, nic jej nie brakowało, miała dobrze poukładane w głowie i doskonałą figurę. Jak mówiły dziewczyny w klasie? „Bujane ciało”. „Bombowe”. Co ją powstrzymywało? Dlaczego nie potrafiła się zabawić? Dlaczego właściwie nie miałyby robić wszystkiego, na co ma ochotę? Nie była schowana za czarczafem w wiosce na Bliskim Wschodzie i nie czekała na oddanie w ręce męża, którego wybrała rodzina. Otwierał się przed nią cały kraj - po prawej bezkresne morze, pokazy dziwołagów i karuzele, po lewej całą resztę. Choć Nasser i ojciec tak by woleli, nie musiała siedzieć w domu i czekać, aż zostanie wydana za męża. Mogła iść do college'u, może nawet do Bostonu, dokąd pewnie pójdzie w przyszłym roku Meny. Mogła mieć własne życie, karierę, wyjść za męża za kogo jej się spodoba. Nawet mogła popełniać własne błędy.

Przyspieszyła, chcąc podjechać do Merry, która właśnie flirtowała z chłopakami przy wejściu do akwarium. Powiedziała sobie, że nie musi się niczego obawiać. Chciała, żeby zobaczyli, że jest taka jak oni, może nawet spróbowali ją gonić, jeśli mają odwagę.

Kiedy zbliżała się do grupy, usłyszała jak Krnąbrny Q mówi: „Ajajjj mamusiu, lubię tak...” W tym samym momencie zobaczyła coś, co ją przestraszyło: na chodniku stara kobieta w chuście na głowie karmiła mewy. Elizabeth nie widziała jej twarzy, nawet nie wiedziała, czy to Arabka, ale z jakiegoś powodu pomyślała, że tak mogła wyglądać matka. Elizabeth chciała spojrzeć przez ramię, ale nogi niosły ją dalej, przez co ciało się wykręciło, a ona, pełna sprzecznych emocji, potknęła się i poleciała na ziemię jak długa.

Ustalmy, kim jesteś. Nie jesteś mężem, który bije żonę. Nie jesteś ojcem, który kiedykolwiek skrzywdziłby swoje dziecko. Tyle wiadomo na pewno. Od tego zaczynamy. Nie popełnisz także samobójstwa. Przynajmniej nie teraz.

W ten sposób David Fitzgerald zaczął się zbierać.

Będziesz żył dalej. Wyjdiesz dziś rano z domu. Zignorujesz stojących na chodniku fotografów, wrzeszczących, aby cię sprowokować: „Hej, kutasie, popatrz na mnie!” i „Pojebańcu, biłeś już dziś syna?” Zignorujesz wściekle zwierzę, atakujące ci trzewia i pójdziesz do metra, schowasz twarz za Ciemnością w południe i ruszysz w długą drogę na Coney Island. Zacznieś jakoś z tym żyć. Nie jesteś ofiarą. Musisz znów zacząć być sobą - bez względu na to, jakie to ma znaczenie.

Pokażesz się pierwszy raz od tygodnia w szkole i nie będziesz zażenowany, gdy Charisse, smętny, podobny do beczki ochroniarz, każe ci przejść przez detektor metalu, jak uczniowi, choć żaden z nauczycieli tego nie robi. Pójdziesz do biura dyrektora, poprosisz o spotkanie z Lanym Simonettim i nie zdenerwujesz się, kiedy jego wredna sekretarka Michelle powie, że będzie wolny dopiero koło południa i zacznie znów wydzwaniać do swojego zwariowanego narzeczonego. Zrobisz to, ponieważ nie możesz dłużej beczynnie siedzieć w domu i czekać na kolejne katastrofy.

Kiedy wreszcie Lany znajdzie dla ciebie czas tuż przed lunchem, uśmiechniesz się, ciepło ujmiesz jego dłoń i spróbujesz sobie przypomnieć dawne czasy, gdy byłeś początkującym, energicznym nauczycielem. Nie stracisz odwagi pod pełnym powagą, lodowatym spojrzeniem Larry'ego. Poprosisz, żeby przywrócił cię do pracy.

- Davidzie, chyba żartujesz - powie Larry. - Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobią Inspektorat i Związek Rodziców, jeśli dowiedzą się, że wróciłeś do szkoły?

Przypomnisz mu, że nie ma najmniejszej prawnej podstawy pozbawiania cię pracy. Nie zostałeś oskarżony o żaden czyn kryminalny i choć Ralph twierdzi, że może się to w każdej chwili zmienić, w dalszym ciągu masz wszelkie prawa obywatelskie. Masz także adwokatów, którzy w razie potrzeby mogą skarżyć szkołę. Sprawisz, że Larry będzie bardzo, bardzo nieszcześliwy. Jeśli spróbuje argumentować, że powinien zostać wyrzucony dyscyplinarnie za zatajenie w ankiecie personalnej aresztowania za kradzież samochodu, powiesz, że wtedy byłeś nieletni, więc akta zostały utajnione i

nie można brać tego pod uwagę. Spowodujesz, że jego włosowa cera robi się szara, a łysina stanie się jeszcze bardziej widoczna. Przez ciebie sięgnie po Maalox. Ale to nie twój problem. Zostałeś ukarany za przestępstwo, którego nie popełniłeś, i masz prawo być traktowany normalnie. Musisz powrócić do tego świata. To, że ciągle otrzymujesz pensję, jest nieistotne. Mężczyznę określa praca i powinieneś dalej pracować.

Żołnierz walczy, pisarz pisze, nauczyciel uczy. Musisz wrócić do klasy, ponieważ jest to jedyne miejsce, w którym czujesz się naprawdę dobrze. Poza tym, któryś z dzieciaków może wiedzieć, kto w rzeczywistości podłożył bombę, a w głębi serca jesteś przekonany, że tobie zdradzi to prędzej niż gliniarzowi.

Musisz więc wrócić do pracy. Larry powie, że to niemożliwe. Rodzice powariują. Bądź rozsądny. Pozwól się przenieść do rejonowego biura, ale tobie nie o to chodzi.

Po dziesięciminutowej przepychance wypracujecie kompromis. Za kilka tygodni kończy się termin składania wniosków o przyjęcie do college'u i ktoś musi omawiać z uczniami eseje. Dzięki temu będziesz mieć kontakt z uczniami, choć na tyle ograniczony, że wszyscy będą zadowoleni. Do czasu zakończenia sprawy, to chyba uczciwa propozycja. Dopóki siły, na które nie masz wpływu, nie określą, czy spędzisz resztę życia na wolności, czy też jako więzień mający prawo widywać syna dwa lub trzy razy w roku. Na razie nie powinieneś jednak o tym myśleć. Spróbujesz sobie poradzić ze wszystkim po kolei. Nie jesteś ofiarą.

Pozostawisz Larry'emu ustalenie szczegółów z działem administracyjnym. To nie twój problem, kogo trzeba pogłaskać, a kim potrząsnąć. Chcesz jedynie wrócić do szkoły i dowiedzieć się, kto podłożył bombę. Podacie sobie ręce, a on będzie unikał patrzenia ci w oczy. Wyjdiesz z poczuciem odzyskania sensu życia. Będziesz się nieustannie bał i niepokoił, dusił z lęku, ale musisz stawiać nogi jedna przed drugą. Pozostaniesz dla syna ojcem, a dla uczniów nauczycielem. Zjesz obiad u „Nathana”. Dwa hot dogi z przyprawami, dużą colę i wyszukanie tłuste frytki. Po raz pierwszy od tygodni poczujesz świetny smak jedzenia.

45

Po wybraniu celów, Nasser, Jusuf i doktor Ahmed zorganizowali w „Skyview Diner” w Bay Ridge jak najszybsze spotkanie z imamem, szejkiem Abdelem Azizem Ayadem.

Nasser sądził, że poproszą go o pieniądze i błogosławieństwo dla wszystkich trzech wybranych miejsc - zwłaszcza że Jusuf wyrażał się z rezerwą co do ponownego zaatakowania szkoły. Zdawał sobie sprawę z tego, że uzyskanie pozwolenia nie będzie prostą sprawą, bowiem niewielu z tysięcy żyjących w trzy-stanowym regionie imamów było gotowych wyrazić zgodę na dokonanie aktów terroru przeciwko niewinnym ludziom.

- Wolałbym niezwijane naleśniki bez masła - powiedział po angielsku imam Abdel do kelnerki, uśmiechając się przy tym w charakterystyczny sposób. - I proszę przedtem oczyścić ruszt, żeby moje jedzenie nie miało kontaktu z wieprzowiną.

- Zamówione przeze mnie jajka też proszę trzymać z dala od bekonu - wpadł mu w słowo Wielki Niedźwiedź, który siedział obok imama, a naprzeciwko doktora i Nasser. - Jem tylko to, co jest halal.

Jusuf wyraźnie chciał zaimponować szejkowi Abdelowi. Ostatnio w ich trzyosobowej grupce trochę pozmieniały się układy: Nasser czuł, że dzięki propozycji zaatakowania szkoły doktor Ahmed traktował go z większym szacunkiem, a Jusuf z powodu wahania stracił na opinii.

Z Wielkim Niedźwiedziem działo się coś dziwnego. Jeszcze niedawno wydawał się Nasserowi męski i dominujący, teraz okazało się, że jest tylko zwykłym wykonawcą rozkazów. Nasser doszedł do wniosku, że zawsze musiał być słaby - od hamburgerów, amerykańskich wideo i czasopism kulturystycznych. Mimo potężnej postury, Jusuf leciał tam, gdzie pchnął go wiatr.

Nasser i doktor zamówili suche tosty i kelnerka - zmęczona cycata blondyna - zabrała karty i poszła do kuchni.

- A więc! - Imam uśmiechnął się i przeszedł na arabski. Równocześnie na jego ustach pojawił się psotny uśmiech, który urzekł Nasser. - Co moi bracia planują?

Doktor Ahmed pochylił się konspiracyjnie. Zdaniem Nasser zachowywał się zbyt bezpośrednio.

- Mamy trzy zagadnienia, nad którymi dyskutujemy, szejku.

- Dobrze!

Nasser rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt ich podsłuchuje. Mieszkał z doktorem, więc na co dzień obserwował, jak ten nieduży mężczyzna skacze między fazami nieuzasadnionej paranoi i chwilami niepokojącej bez troski.

- Chciałbym spytać o szkoły w tym kraju. - Doktor kaszlnął i odchrząknął. - Co sądzisz o sposobie, w jaki naucza się tu dzieci?

- To bez dwóch zdań obraza Boga. - Szejk złożył dłonie i zamyślił się.

- Rozumiem. W takim razie ponowne zaatakowanie takiego miejsca nie byłoby haram?

Doktor znów kaszlnął i Nasser przypomniał sobie, że wczoraj w nocy z jego pokoju dolatywał zapach dymu tytoniowego. Czyżby Ahmed miał ukrytą przywarę? Imam zrobił nieszczęśliwą minę.

- Cóż, nie powiedziałbym tak jednoznacznie...

- Oczywiście, rozumiem - przerwał mu doktor Ahmed i rozejrzał się. - Mogą tu być inne uszy.

- Dokładnie. - Imam wziął od przechodzącej kelnerki filiżankę kawy.

Doktor Ahmed zaczął wiercić się na ławce, aż Nasser poczuł jak rusza się obciążone plastikiem siedzisko. Więcej nie potrzebowali? Imam wyraził zgodę na ponowne podłożenie bomby w szkole, czy pominął temat? Doktora Ahmeda to nie odstraszyło.

- Chcę jeszcze o coś spytać. - Ściszył głos tak, że imam musiał się przechylić przez stół, żeby go usłyszeć. - O coś poważniejszego.

- Mów. - Oczy imama błysnęły.

A więc teraz spyta o pozostałe dwa cele. Nasser podniósł, szklanekę lecz zaraz ją odstawił z obawy, że drżące ręce zdradzą jego nastrój. Nieoczekiwanie doktor zбочzył w innym kierunku.

- Kilka dni temu był w Jerozolimie shaheen, męczennik - powiedział spokojnie. - Ten, który sam zginął i zabił tak zwanych niewinnych ludzi. Musimy wiedzieć, czy coś takiego jest zgodne z szari'at, prawem islamu.

Pytanie zdziwiło Nassera. Dotychczas nie było mowy o akcji samobójczej. Uśmiech szejka zniknął.

- Cóż, to poważne pytanie - odparł, unosząc brwi i opuszczając kąciki ust. - Święta księga jednoznacznie mówi, że coś takiego jest haram. Samobójstwa należy potępiać, tak samo ludzi zabijających niewinne kobiety i dzieci.

- Tak? - Doktor Ahmed popatrzył pytająco na Jusufa.

- Ale... - Imam zrobił przerwę i napił się kawy - istnieje długa i honorowa lista męczenników. Poza tym musicie pamiętać, że żyjemy w czasach świętej wojny, a wtedy nie zawsze można żyć wedle zasad księgi.

Boże drogi... Nasser objął głowę dłońmi.

- Po co w ogóle o tym rozmawiamy? - spytał. - Nikt nic przecież nie mówił o takiej akcji.

Kiedy kelnerka przyniosła zamówione potrawy, przy stole zapadła cisza.

- No to wsuwajcie, chłopaki - powiedziała i ruszyła do kuchni. Na odchodne rzuciła: - Będziecie jeszcze czegoś potrzebować, to gwizdźcie.

- Oczywiście, że o tym nie mówiliśmy - syknął do niego przez stół Jusuf. - Intej noon. Oszalałeś? Jedynie próbujemy poznać granice, w jakich możemy się poruszać.

Granice? Nasser był kompletnie skołowany, bał się jednak cokolwiek mówić, żeby nie wypaść w oczach imama na słabeusza i nie stracić dopiero co uzyskanego statu-

su. Wydawało mu się, że przyszli dostać błogosławieństwo na zaatakowanie szkoły i pozostałych dwóch miejsc, które wybrali, więc jaki sens miało rozpatrywanie abstrakcyjnych zagadnień, jeśli nie zamierzali wprowadzać ich w życie?

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział doktor Ahmed. - To też ma związek z granicami. Mamy ograniczone fundusze. Chcemy przeprowadzić trzy operacje, a kończą się nam pieniądze. Życie w tym społeczeństwie jest okropne. Ciągłe trzeba za coś płacić, mamy więc nadzieję, że nam pomożesz. Dla dobra dżihadu.

- Ile potrzebujecie? - Imam nalał na talerz trochę syropu, nabrał go kawałkiem naleśnika i włożył do ust.

Doktor popatrzył na Jusufa tak, by Nasser nie widział, że porozumiewają się wzrokiem.

- Pięćset, może sześćset dolarów?

Imam uniósł podbródek i położył dłonie płasko na stole. Żuł starannie.

- To znaczny datek - powiedział po minucie. - Jesteś pewien, że czas jest odpowiedni?

Po tym pytaniu doktor Ahmed jakby się skurczył.

- Jestem o tym głęboko przekonany, szejku - powiedział szybko, czując, że jego prośba może zostać odrzucona.

Imam popatrzył na Nassera i uśmiechnął się.

- Słyszysz? Jest o tym głęboko przekonany. To wspaniale, prawda?

- Tak, to prawda.

Zdaniem Nassera spotkanie było jedynie stratą czasu. Wyjdą nie dostawszy pieniędzy ani zgody na podłożenie bomby w szkole. Kontynuowanie działania bez błogosławieństwa niepokoiło go - tak samo jak pytania o podkładającego bombę samobójcę. Miał przed oczami obraz męczennika z telewizji - leżącego bez nóg przed sklepem ju-

bilerskim. Dlaczego Ahmed i Jusuf o to zapytali?

- Jeśli tej sprawie pisane jest zdarzyć się, będziecie działać rzetelnie i modlić się, a Bóg sprawi, że wszystko pójdzie gładko - powiedział imam. - Teraz jedźmy śniadanie.

46

Wieczorem, w przeddzień powrotu do szkoły i rozpoczęcia żmudnej walki o zaistnienie od nowa i odzyskanie dobrego imienia, David kolejny raz czytał Wielkiego Gatsby 'ego. I tym razem wstrząsnęła nim scena, w której ojciec Gatsby'ego wyjmując książkę z zapisanymi w niej przez syna „ogólnymi postanowieniami”.

Dokładnie o to chodziło. Musiał stworzyć własną listę ogólnych postanowień.

1. Najważniejsze zadanie. Ponownie nawiązać kontakt z uczniami. Któryś z nich mógł widzieć albo słyszeć coś, co miało związek z bombą.

2. Wypytać mieszkańców w okolicy, czy czegoś nie widzieli.

3. Walka. Kazać adwokatom energiczniej dementować artykuły, które pojawiły się dotychczas w prasie. Zastanowić się nad własnym występowaniem w telewizji. Żeby uwierzyć, że nie jest potworem, ludzie muszą człowieka zobaczyć.

4. Zażądać publicznie od FBI podjęcia decyzji w sprawie aresztowania. Jeśli nie zamierzają tego zrobić, niech przestaną go dręczyć.

5. Jeśli żaden z czterech punktów nic nie da, uznać, że od początku twoim przeznaczeniem było dostać w dupę.

Następnego dnia, zaraz po przyjeździe do szkoły, zrozumiał, że nie jest dostatecznie przygotowany. Tak jak przewidział Larry, zjawiała się grupa rodziców z plakatami i trąbkami, protestująca przeciwko wpuszczeniu na teren szkoły terrorysty podejrzanego o bicie żony i molestowanie syna. GDZIE PRAWA NASZYCH DZIECI? - brzmiał jeden z napisów, namalowany zjadliwą żółcią. Oczywiście, był też obecny pułk dziennikarzy z nieodzownym lasem mikrofonów i kamer. David ze zdziwieniem zauważył na skraju grupy dziennikarzy tego samego murzyńskiego chłopca z domowej roboty „legitymacją prasową”, którego już raz widział.

W budynku nie przyjęto go ani o jotę serdeczniej. Larry Simonetti oddał mu do dyspozycji maleńki gabinet w piwnicy - właściwie przerobiony schowek - na dodatek wypełniony sprzętem wideo, regałami ze starymi książkami, narzędziami i torbami papieru toaletowego. Przepychając się przez ten chłam, David czuł się jak bohater dziewiętnastowiecznej powieści, zmuszony do życia w ukryciu przed szanowanym społeczeństwem.

Przez większą część przedpołudnia siedział beczynnym, powoli wypalając się wewnątrz i czekając na przyście uczniów. Chciałby aktywniej do nich dotrzeć, jednak rozumiał doskonale, że zbyt agresywność i nazbyt otwarte zajęcie się wyjaśnianiem tego, o co się go oskarża, da Larry'emu pretekst do usunięcia go ze szkoły. Lepiej działać spokojnie, przynajmniej na początku.

Powoli zaczęli się schodzić. Pierwszy przyszedł Kevin Hardison. Zamiast jednego z dwóch dotychczasowych ubrań i czapki z symbolem dolara, miał na sobie świeżutko wyprasowaną koszulę w zielone paski w stylu oksfordzkim, do tego srebrną szpilkę w kołnierzyku i stylowe spodnie w kolorze khaki.

- Hej, jak się panu podoba mój styl na Gatsby'ego? - spytał buntowniczo, kładąc książkę na stole.

- Przeczytałeś ją? - Przeczytałem.

- Skąd te ciuchy? - David zdjął stopy z szuflady, na której je opierał.

- Niech pan nie pyta - markotnie odparł Kevin. - Mam nową robotę po szkole.

Prawdopodobnie robił u Nathana hot dogi, lecz co z tego? Wątpliwe też, żeby kiedykolwiek się dostał do ekskluzywnego college'u, ale coś z książki skorzystał. A może to ona go zainspirowała do zdobycia pracy? U większości czytelników nie wywoływała nawet takiego odzewu.

- Chciałem panu coś dać. - Kevin rzucił Davidowi na kolana pogniecioną, poplamioną kawą wizytówkę.

- Co to jest? - David wziął do ręki wizytówkę z nazwiskiem i numerem telefonu

mieszkającego w Heights adwokata z Court Street.

- Myron Newman, adwokat. - Kevin dotknął szpilki w kołnierzyku, która przy bliższym oglądzinach wyglądała jak gadżet, wygrany w wesołym miasteczku po trafieniu piłką w głowę klauna. - Pomógł w zeszłym roku mojemu kuzynowi, którego aresztowano za narkotyki. Załatwił mu zawiasy, choć capnęli go z gramem koki. Pomyslałem, że może się panu przydać pomoc.

David pogłaskał poszarpany skraj wizytówki, wzruszony nie tylko troską chłopaka, ale także jego próbą wyjścia z bagna.

- Dziękuję, Kevin. - Uścisnął chłopcu rękę i postanowił nie wspominać o tym, że już ma dwóch adwokatów.

- Muszę pisać tę pracę? - Kevin oparł się o skraj biurka i błysnął złotymi koronami z monogramem. Próbował wykorzystać okazję.

- A jak? Ciągle jeszcze jesteś uczniem. Poza tym, jeśli chcesz iść na uniwersytet, pokazać, że umiesz pisać.

Wyjął z teczki formularz wniosku o przyjęcie do college'u i dał go Kevinowi. Musiał przynajmniej symbolicznie robić to, co należy do nauczyciela.

- Jasssne... - Kevin wziął formularz i odepchnął się od biurka, pogodzony z myślą, że na tym nie koniec.

- Słuchaj Kevin, mogę o coś spytać? - David popatrzył na wizytówkę Myrona Newmana i wsunął ją do kieszeni. - Słyszałeś coś może?

- O czym?

- No wiesz. - David wyrztał na korytarz, żeby sprawdzić, czy na pewno nikt nie podsłuchuje. - O mojej sprawie. O tym, kto naprawdę mógł podłożyć bombę.

- A nie pan to zrobił? - Kevin wydawał się naprawdę zaskoczony. Głos nieco mu się załamał i zamachał patykowatymi ramionami.

- A tak sądziłeś?

- Hm... nie wiem... Kiedyś był już pan aresztowany. Czytałem w gazecie.

- A mimo to, chciałeś mi pomóc? - David nie wiedział, czy powinien być mile połączony czy zaniepokojony.

- Hej, człowieku, pół mojej rodziny siedziało. To niespokojna dzielnica. - Wbił wzrok w grzbiety dłoni, jakby wyobrażał sobie moralne ryzyko dorastania w złej okolicy. - Kradł pan samochody w młodości, ale dorósł i został nauczycielem. Nic w tym złego, człowieku.

David pokręcił głową. Gdyby wiedział, że uczniowie tak to będą traktować, dawno temu przyznałby się do aresztowania w młodości.

- Zrób mi przysługę, Kevin. Jeśli coś usłyszysz, daj znać.

Reszta dnia nie przebiegła tak przyjemnie.

- Nie obsłużę go.

Rosalyn ze stołówki, pani z wąsikami a la Clark Gable, patrzyła na niego znad wazy z zupą i brytfanny z pieczenia, która wyglądała jak mały, kąpiący się w błotnistym jeziorze bawół.

- W czym problem? - spytał David.

- Mam siedmioletniego wnuka i nie obsłużę cię. Nie interesuje mnie, co mi zrobią. Jeśli o mnie chodzi, mogą mnie wywalić, ale nie zmuszą do obsługi kogoś, kto zrobił coś takiego dziecku.

David sięgnął po łyżkę wazową i sam nalał sobie zupy. Stojący przed nim nauczyciele odsunęli się, udając, że nie zauważają absurdalnej sytuacji. Przedtem - kiedy był tylko „szalonym podkładaczem bomb” - ludzie chorobliwie się nim interesowali, gdy sądzili, że nie widzi, gapili się na niego jak głupi, ale teraz traktowali go z jawną odrazą.

Wziął tacę, na której miał tylko kawę i zupę, przeszedł do zielonej sali dla nauczycieli i znalazł sobie wolny stolik. Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć się do niego przyłączyć? Napiętnowano go przecież jako najgorszego człowieka na świecie. Gdyby mógł, sam trzymałby się od siebie z daleka.

- Cześć, co słysząc u człowieka z podziemia? - Po drugiej stronie stolika usiadła Donna Vitale i popatrzyła zezującym okiem na lewy policzek Davida. Miała na tacy dodatkowy talerz z mięsem.

- Rozmyśla i spiskuje. Lany kazał ci się do mnie przysiąc i sprawdzić, czy nie szykuję kolejnej bomby?

- Nie, chciałam tylko przynieść ci jedzenie. - Podała mu talerz z drugim daniem. - Jak leci?

- Świetnie. Od ósmej przyszło do mnie dwóch uczniów, przy czym jednego przyłapałem w eseju na plagiacie Archipelagu Gułag.

Roześmiała się i jej zezowate oko zamigotało.

- To przynajmniej oryginalne.

- Nie bardzo. Chodzi o Jurija Ehrlicha, który pochodzi z Moskwy. Może te praktyki wcale się tam nie skończyły. Jest bystry, smutne jest tylko, że ma dziwaczną potrzebę panowania nad ludźmi.

- Co powiedział, kiedy mu to wytknąłeś?

David napił się zimnej kawy z fusami.

- Powiedział: „A kogo obchodzi co pan mówi? Jest pan terrorystą i molestuje dzieci. Nikt panu nie uwierzy”.

- A czego się spodziewałeś?

- Nie wiem. - Odstawił filiżankę, zaskoczony, lecz nieurazony jej bezpośredniością. - Chyba po prostu znów chciałem być z nimi. - Nie zamierzał ujawniać motywów

„detektywistycznych”. - Może to zbyt wcześnie oczekiwać, że zaczną walić drzwiami i oknami, żeby się ze mną spotkać.

- Hm, może. Opanuj się nieco, uważają, że bijesz żonę i chciałeś ich wysłać do Bozi. Może trochę ich to rusza.

Jej słowa były jak chłodny deszcz na twarzy i roześmiał się, odświeżony bezpośredniością.

- Więc co mam robić? - spytał. - Jak mogę ich odzyskać?

- Małymi krokami. - Zajrzała do torebki i wyjęła szminkę. - Bądź pod ręką. Bądź sobą. Straciłeś ich, pozwalając wejść kamerom do klasy, jeśli wolno mi to powiedzieć. Wtedy dzieciaki zaczęły tracić do ciebie zaufanie. Musisz wrócić na ziemię. Kręcić się po okolicy. W końcu zrozumieją, że nie jesteś potworem i znów zaczną z tobą rozmawiać.

- Tak sądzisz?

- Jeśli się nie uda, okratujemy ci biuro i zaczniemy cię pokazywać w wesołym miasteczku w dziale „potwory”.

Związała blond włosy w koński ogon, w efekcie czego odniósł wrażenie, że patrzy na niego jeszcze intensywniej. Nie była ładna w zwykłym znaczeniu tego słowa - jak modelka w magazynie mody - ale miała pełną wyrazu twarz i za każdym razem, kiedy ją widział, coraz bardziej mu się podobała.

Popatrzył na kawał pieczeni bez większego apetytu.

- Musisz wiedzieć, że tego nie zrobiłem.

- Czego?

- Wszystkiego, o czym się mówi. Nie mam pojęcia o bombach i nigdy, przenigdy nie uderzyłem żony ani swego dziecka. Prędzej odciąłbym sobie dłoń. - Rozejrzał się po jadalni, świadom tego, że nauczyciele ich obserwują, a gdy zaczyna patrzeć w ich stronę, odwracają wzrok.

- Wiem.

Powiedziała to mimochodem, zamykając torbę. Jakby to było oczywiste. Jakby od tego nie zależało jego życie.

- Wiesz?

- Jasne. Pewnie, że wiem.

Uśmiechnęła się, a na jej policzkach pojawiły się przyjemne zmarszczki. Widać często się uśmiechała. Nie tak jak Renee. Może była przeciwieństwem Renee. Niezależnie od tego, jak życie próbowało ją znokautować, pewnie stała na nogach. David spróbował pieczeni i przy pewnej dozie dobrej woli uznał ją za nadającą się do zjedzenia.

- No dobrze. - Wstała. - Masz ochotę na kolację?

- Podpuszczasz mnie, co?

- Pomyślałam, że może ci się przydać trochę towarzystwa. Tak? Nie? Zbyt naciskam?

- Nie, naciskasz akurat tyle, ile trzeba.

- Jutro, u mnie?

- Świetnie. Jesteś pewna, że chcesz gościć terrorystę?

- Ty przynosisz wino, ja przygotowuję jedzenie.

Miał ochotę pocałować ją w rękę. „Dziękuję ci, wspaniała kobieto. Tonąłem, do jasnej cholery, tonąłem.” Donna odeszła do swojego stolika.

- Hej, Donna!

Stanąła i oparła dłoń na biodrze.

- Brzmi to jak tytuł piosenki z lat pięćdziesiątych - powiedziała. - Co jest?

- Nie słyszałaś czegoś? W związku z autobusem?

Skrzywiła usta i przymknęła zdrowe oko.

- Nie sądzisz, że gadałam z tym i owym, zanim powiedziałam to, co powiedziałam?

- No tak, oczywiście. - Machnął ręką w powietrzu. - Masz rację.

- Trzymaj się, Davidzie. - Popatrzyła na niego, sprawdzając, jak zareagował. -1
nie daj się aresztować przed jutrzejszym wieczorem. Nienawidzę kupować jedzenia i patrzeć, jak się marnuje.

47

Ponieważ imam odmówił im pieniędzy, następnego dnia Nasser musiał pracować dwie zmiany z rzędu. Skończył o ósmej wieczorem i po odstawieniu samochodu do garażu wszedł do biura firmy American Way Car Service przy Flatbush Avenue. Od razu zobaczył, że tłusty pakistański dyspozytor Bilal rozmawia z wąsatym blondynem o potężnej posturze i wielkiej głowie.

- O, jest! - Bilal wskazał Nassera cygarem. - Powiedziałem, że zaraz wróci. Blondyn odwrócił się i przyszpilił Nassera wzrokiem.

- O co chodzi? - Nasser cofnął się krok do wyjścia.

- Ten człowiek chce z tobą porozmawiać. - Bilal wetknął cygaro w usta i wrócił za kontuar odbierać telefony.

- Co słysząc, Nasser? - Blondyn podszedł i zaczął wyjmować z przedniej kieszeni dzinsów składany portfelik. - Jestem Chris Calloway z Połączonego Oddziału Specjalnego.

Nasserowi zaschło w ustach. Calloway pokazał odznakę.

- Chciałem zadać kilka pytań na temat wybuchu bomby w autobusie, który miał miejsce kilka tygodni temu.

- Nic o nim nie wiem.

Nasser nagle poczuł na sobie spojrzenia wszystkich osób znajdujących się w ciasnym biurze. Murzynki na kanapie, czytającej jakąś książkę, łachmytów w lotniczych kurtkach, grających w kacie w piłkarzy i Bilala za ladą.

- To zajmie tylko kilka minut - powiedział Calloway, którego nos wyglądał jak gdyby był wiele razy łamany i składany. - Możemy gdzieś usiąść w spokoju?

- Spieszę się - odparł Nasser, wydymając i wciągając wargi. Popatrzył na Bilala i stwierdził, że powiedział to zbyt szybko - ... ale oczywiście odpowiem na wszystkie pytania. To było straszne.

- Dobrze, nie róbmy z tego opery mydlanej. - Calloway uśmiechnął się i schował portfelik. - Rozmawiamy ze wszystkimi obecnymi i byłymi uczniami tej szkoły, chcemy mieć pewność, że niczego nie pominęliśmy.

- Rozumiem. - Nasser miał wrażenie, że mówi zbyt piskliwie, a głos mu drży i zastanawiał się, czy detektyw to zauważył.

- Pierwsze pytanie: Czy był pan ostatnio w pobliżu szkoły?

- Nie... nie wytrzymałem do rozdania świadectw. - Roześmiał się i popatrzył na podłogę. - Nie byłem zbyt dobrym uczniem. Czasem się zastanawiam, czy tam nie wrócić.

- Dawno pana tam nie było?

- Jakies cztery lata. Wtedy przestałem tam chodzić.

- Był pan w szkole tamtego dnia? Z jakiegoś powodu?

- Nie.

Czy ktoś go widział i rozpoznał? Może trzeba było wspomnieć o spotkaniu z Fitzgeraldem?

Zabuczał pager i niemal wszyscy w biurze spojrzeli na swoje talie.

- To mój - powiedział Calloway. Wcisnął przycisk, sprawdził numer i zgrzytnął zębami. - Cholera, muszę oddzwonić. Mniejsza z tym. Na czym stanęliśmy?

- Pytał pan o szkołę - przypomniał Nasser, starając się zachowywać spokojnie i oferować pomoc. - Nie było mnie tam wtedy.

- A co pan porabia?

- Wie pan... niewiele. Jeżdżę taksówką. Widuję się z rodziną. Płacę czynsz. - Aby nie wywoływać podejrzeń, postanowił nie wspominać o chodzeniu do meczetu.

- Udziela się pan politycznie?

- Nie. Nie wiem, co ma pan na myśli.

Czyżby detektyw z nim igrał? To zachowywał się bezceremonialnie, w sposób niepozostawiający wątpliwości co do jego zamiarów, to znów stawał ostry nie do przejrzania.

- Czy należy pan do jakichś ugrupowań politycznych? Nie ma w tym nic złego.

- Nie, nie udzielam się.

- Na pewno? Ma pan aktywnych politycznie przyjaciół?

- Nie, nie udzielam się politycznie. Jestem szczęśliwy, że mogę tu mieszkać. Kocham Amerykę. - Po wypowiedzeniu tych słów rozboleły go zęby.

- Skąd pan pochodzi?

- Z Jordanii. - Skierował wzrok ku Bilalowi z nadzieją że grubas nie zaprotestuje.

- Moja rodzina jest z Ammanu.

- Nie jest pan Palestyńczykiem?

- W żadnym wypadku.

Calloway uważnie mu się przyglądała. Jego wąsy niemal dotykały zębów, a oczy sprawdzały każdy centymetr kwadratowy twarzy Nassera, dając do zrozumienia, że wystarczy sekunda, a będzie po nim. Nie, nie igrał. Coś wiedział.

Detektyw pomacał kurtkę, jakby sprawdzał, czy ma pistolet i kajdanki.

- Wróćmy do bomby. Ma pan siostrę, tak?

- Hm... mam. - Nasser zeszywniał, ponieważ nie spodziewał się tego pytania. - Jest bardzo ładna.

- Wiem. Jeden z naszych ludzi już z nią rozmawiał.

- Zdawało mi się, że to nauczyciel podłożył bombę - powiedział Nasser, próbując odwrócić uwagę detektywa. - Pan Fitzgerald.

- Tak piszą gazety, ale śledztwo jeszcze nie jest zakończone.

„Torturuje mnie. Coś wie. Pan Fitzgerald powiedział agentom o mnie, żeby przestali go podejrzewać.” Nasser oblizwał wargi, hamował panikę. Co by się stało, gdyby spróbował powalić agenta i zabrać mu broń? Dobiegłby do drzwi żywy?

- Czy pan albo pańska siostra znacie kogoś, kto mógłby to zrobić? Czy ona ma przyjaciół, których pan nie lubi?

- Nie, jej koledzy i koleżanki są w porządku. Tak myślę. Pager Callowaya znów zapiszczał.

- Boże jedyny, nie możecie dać mi w spokoju robić tego, co do mnie należy?! - Tym razem nawet nie sprawdził numeru, który go wzywał. - Będę musiał za parę dni wrócić i zadać jeszcze parę pytań. Rozumiemy się?

- Oczywiście. - Nasser zaciskał i rozluźniał pięści. Może jednak uda mu się wykręcić.

- Jeszcze tylko jedno. Gdzie był pan w momencie wybuchu bomby?

- Nie było mnie w szkole. Już mówiłem. Nie chodzę tam. - Wiem, ale pytałem, gdzie pan był.

Ktoś go zapamiętał? Nasser poczuł, że znów zaczyna mu drgać grdyka. Siedział w pułapce. Jeśli powie, że pracował, Calloway zapyta o to Bilalą, a grubas starannie prowadzi księgi.

- Byłem z siostrą.

Boże, po co to powiedział? Słowa ot tak wyskoczyły mu z ust bez kontroli i od razu wiedział, że to najpoważniejsza pomyłka, jaką dotychczas popełnił. Przepadł, bez dwóch zdań przepadł. Tamten detektyw wypytał Elizabeth, a on nie wiedział, co powiedziała. Zanim zdążył się dowiedzieć, pokłócili się na parkingu pod szkołą. Teraz chodził po omacku w ciemnościach, nie wiedząc, czy dała mu alibi.

- Był pan z siostrą... - powiedział sceptycznie Calloway i sięgnął za siebie.

Coś zamierzał wyciągnąć. Broń? Kajdanki? Nasser patrzył w kierunku drzwi i kombinował, że trzema susami mógłby znaleźć się na ulicy, ale najprawdopodobniej z kulą w plecach. Allahu akbar. Jeśli skończy tę rozmowę jako wolny człowiek, to na pewno Bóg wyznaczył go do czegoś szczególnego.

- No cóż, będę to musiał sprawdzić - powiedział Calloway.

Ku zaskoczeniu Nassera detektyw przeciągnął się i wyciągnął zza pleców pustą rękę, jakby przedtem chciał się tylko pomacać po plecach. Boże, dzięki! Nie zostanie aresztowany.

- Po sprawdzeniu notatek kolegi i rozmowie z pańską siostrą, opowiedziana przez pana historia nie pęknie?

- Nie ma możliwości - odparł Nasser. W jakiś sposób będzie musiał nakłonić Elizabeth do rozmowy. - Jestem tego pewien jak wiecznej łaski i przebaczenia Boga.

- Niech będzie - zakończył detektyw i podał swoją wizytówkę.

48

Nie mając pieniędzy na zatrudnienie prywatnego detektywa, David sam się zabrał za realizację drugiego ze swych „ogólnych postanowień”, czyli rozpytywania mieszkańców w okolicy ludzi, czy w dniu wybuchu nie zauważyli nic podejrzanego.

W trakcie przerw, jakie miał następnego dnia, chodził po Surf Avenue i rozmawiał z prowadzącym sklep z materacami Rosjaninem, Jemeńczykiem sprzedającym kupony lotto, dziećmi z osiedla komunalnego O'Dwyer Gardens i kilkoma szalenie ambitnymi drobnymi mężczyznami, handlującymi przy wejściu do metra bibelotami, starymi radiami i używanymi ubraniami.

Oczywiście nikt nic nie widział.

O pierwszej zrobił sobie detektywistyczną przerwę i przy promenadzie, w stojącej po drugiej stronie ulicy, budce z hot dogami, kupił sobie obiad. Facet za ladą miał ogoloną głowę wielkości dużego kubła na lód, z podkoszulka bez rękawów wylewały mu się wielkie owłosione ramiona, a niemal każdy widoczny centymetr ciała - w tym kark, twarz i czaszkę - pokrywały jaskrawo-czerwone i zielone tatuaże.

- Jak leci? - spytał David i zamówił dwa hot dogi i colę.

Marzyło mu się dobre piwo. W każdej chwili mogła go ogarnąć panika i przygnębienie, więc przydałoby się coś, co pozwoliłoby trzymać czarne myśli na dystans.

- Nie mogę narzekać. - Wytatuowany mężczyzna nalał colę z kranu i podał Davidowi. - Cóż, może i mógłbym ponarzekać, ale kogo to obchodzi? Nikomu nie jest potrzebna stukilowa płaksa.

- Wiem, o czym pan mówi. - David napił się coli i otarł czoło. Ostatnio ciągle się pocił.

Mężczyzna odwrócił się plecami, żeby przygotować hot dogi, a wytatuowane orle skrzydła na jego ramionach wzniosły się do lotu.

- Mogę o coś spytać? - powiedział David.

- Jasne. Zwykłych porad udzielam za darmo. Te, które zawierają jakąś myśl, kosztują półtora dolca.

- Uczciwa cena. - David wziął parówki i zaczął wyciskać na nie musztardę. - Pracował pan w dniu wybuchu bomby?

- Jasne. - Oparł się na potężnych przedramionach i David dostrzegł, że ma na czubku głowy wytatuowanego smoka. - To pan?

- Tak się twierdzi.

- Cześć. - Mężczyzna podał Davidowi rękę, na której miał wytatuowaną niebieską zmiję. - Jeden dziwak z drugim. Powinniśmy trzymać się razem.

- Jestem niewinny - powiedział zdecydowanie David, ściskając podaną dłoń. - Naprawdę.

- Ja też, tyle że ktoś nie może przestać rysować na mnie tych przerażających obrazków.

David roześmiał się - po raz pierwszy od miesiący był naprawdę rozbawiony.

- Skąd je pan wszystkie ma?

- Tja... - Mężczyzna popatrzył w słońce, jakby był na nie zły. - Kiedyś pracowałem w programie Bobby'ego Reynoldsa, który miał budę niedaleko stąd. Ale potem ją zamknął. Ludzie nie chcą już płacić za oglądanie dziwadeł - mają ich dość za darmo w telewizji.

- Złote słowa. - David klepnął mu piątkę i dopił colę. Kofeina na chwilę rozjaśniła mu umysł. - Przepraszam, że oderwałem pana od pracy.

- Różnica między nami jest taka, że ja sam postanowiłem zostać dziwakiem. -
Mężczyzna popatrzył na pusty kubek Davida. - Piwa?

- Nie, miałbym potem do siebie pretensję. Muszę wracać i gadać z dziećmiakami.

Popadnięcie w alkoholowy defetyzm miało w sobie coś pociągającego. Część jego osobowości najchętniej posiedziałyby sobie na słońcu, popijała piwko i gadała z nowo poznanym dziwakiem. Ucieczka choć na parę minut spod reflektorów przyniosła wielką ulgę, ale miał co innego do roboty.

- A tak poza tym - spytał w końcu David - nie widział pan tamtego dnia nic niezwykłego?

- Tylko paru jajogłowych, kobiety z brodą, prostytutki i połykaczy mieczy - powiedział mężczyzna, wzruszył ramionami i skasował pieniądze. - Wiesz, to jest Coney Island. Co tu nazwać „niezwykłym”?

Po powrocie do szkoły przyszło jeszcze kilku uczniów. Niektórzy tylko po to, by pogapić się na niesamowitego nauczyciela, terrorystę z Coney Island, ale większość - może nakłoniona przez bardziej energiczne dementi Ralpha Marcoviciego we wczorajszych wiadomościach - chciała pomóc.

- Moim zdaniem to zrobiły dziwki - powiedziała Seniqua Rollins, natychmiast po tym, jak usiadła.

Była w szóstym miesiącu i ledwie się mieściła w zastawionym gratami gabinecie.

- Kogo masz na myśli? - spytał David i cofnął się, żeby dać dziewczynie więcej miejsca. Dwójka ludzi o potężnej budowie przywodziła na myśl dwa hipopotamy wciśnięte do budki telefonicznej.

- Dziwki, człowieku. Z „Prawa do Życia”. To one wywaliły autobus.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie wiem. Ktoś musiał to zrobić.

Popatrzył na wydymający się pod biało-niebieską bluzką brzuch Seniqui i stwierdził, że poza myśleniem o ciąży potrafi wykazać się pewną dozą inteligencji - nawet jeśli w efekcie powstała niczym nieuzasadniona teoria spisku. Ważniejsze, że z góry zakładała, iż David jest niewinny.

- Seniqua, o co pytała policja w sprawie wybuchu?

- Bla, bla, bla. Chcieli wiedzieć, co nam pan powiedział przed wyjazdem. Dlaczego zniknął pan na dwadzieścia minut. Dlaczego miałby pan to zrobić.

- I co im powiedziałaś?

- Że uratował mi pan moje zasrane życie i jeśli coś im się nie podoba, mogą mnie dwa razy pocałować w dupę.

- Dziękuję.

Coś wisiało w powietrzu - tuż poza jego zasięgiem. Jakiś pomysł. Obraz, który mógłby go uratować. Co to mogło być? Nad głową Davida rozległ się tupot stóp, a w auli na piętrze rozbrzmiał stłumiony śpiew szkolnego chóru.

- A co z torbą na książki? Pytali cię o moją torbę na książki?

- Ahhha... - Skinęła głową. - Chcieli wiedzieć, czy widziałam, jak ją pan wnosi do autobusu.

- I powiedziałaś, że tak. Prawda?

Ponownie skinęła głową. A więc koniec z jakimiś kombinacjami w tej sprawie.

- Przepraszam. Skłamałabym, ale nie stać mnie akurat teraz na rozróżbę z policją. Jestem na warunkowym za bójkę w metrze. Dziwka dostała kosę.

- Rozumiem. - Zacisnął dłonie, aż chrzęstnęły mu kostki. - Nie chciałbym zresztą, byś dla mnie kłamała. Czy jest coś, czego nie powiedziałaś o tej bombie policji, a chciałabyś powiedzieć mnie?

- Nie. Opuściłam sobie. Naprawdę. Teraz, kiedy będę miała dziecko, nie chcę mieć nieczystego sumienia.

Poklepała się czule po brzuchu. Jej twarz zmieniła się - pozbyła się młodzieńczego tłuszczu i przypominała twarz znużonego dorosłego człowieka. Jakby perspektywa rodzenia zrobiła z niej kobietę w średnim wieku.

- Atak poza tym - powiedział David, starannie dobierając słowa, żeby jej nie urazić wypytywaniem o ojca. - Co zamierzasz z dzieckiem? Ojciec będzie ci pomagał?

- Nie, będę je wychowywać sama. - Uśmiechnęła się buntowniczo. - Żaden z frajerów z cienkimi kutasami, z którymi byłam i tak nie jest nic wart.

Po rozpoczęciu następnej lekcji, David poszedł na górę i poprosił Michelle, sekretarkę dyrektora, o klucz do łazienki po drugiej stronie korytarza. Zamiast do łazienki, poszedł do znajdującego się w głębi korytarza archiwum, które otworzył jednym z kluczy na kółku.

Wsunął nic nie wartą kartę kredytową w zamek, żeby drzwi się za nim nie zatrzaśnęły, oddał klucze Michelle i kiedy nikogo nie było na korytarzu, zakradł się do archiwum.

Chciał sprawdzić, czy do szkoły chodzili uczniowie, którzy mieli podejrzaną adnotację w aktach. Po zapaleniu światła zrozumiał, że poszukiwania są skazane na porażkę. Było to pradawne archiwum, z mgiełką brązowego kurzu unoszącą się w powietrzu i zapachem, jakim emanują stare konie. Z głośno bijącym sercem otworzył pierwszą z brzegu szufladę i odkrył, że jest jeszcze gorzej, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Akta poukładano nie latami, lecz alfabetycznie, więc z nowymi teczkami przemieszane takie, których historia sięgała przełomu wieku, kiedy Coney Island było pełną knajp i kasyn nadmorską perełką, a promenadę rozjaśniały światła Luna Parku. Po otwarciu pierwszej teczki dowiedział się, że Josepha Adlera, absolwenta z 1905 roku, na tydzień zawieszono w prawach ucznia za przeklinanie na korytarzu. Miriam Avery, absolwentka z 1952 roku, została przyłapana na paleniu papierosów w damskiej toalecie. Archiwum zawierało pogrzebane niewinne dni szkolne i nie mogło przynieść Davidowi większego pożytku.

Zamierzał sięgnąć po kolejną teczkę, gdy otworzyły się drzwi i weszła Michelle.

- Co pan tu robi? - spytała.

Zatrzaskała szufladę o mało nie łamiąc sobie palca.

- Jedno z dzieciaków potrzebuje odpisu z akt do wniosku składanego do college'u. Nie chciałem pani trudzić.

- Następnym razem, kiedy będzie pan potrzebował coś z tego pomieszczenia, zwróci się pan do mnie. Na piśmie. Jasne? - Wbiła w niego zabójczy wzrok biurokraty, któremu nadepnięto na odcisk. - Teraz wynocha, zanim wezwę ochronę.

Wrócił na dół, zawstydzony i skarcony. Nie podobało mu się to, co właśnie zrobił. Powinien chronić dzieciaki, a nie grzebać w ich przeszłości, ale desperacja często popycha człowieka do dziwnych czynów.

Pod koniec dziewiątej lekcji w wejściu pojawiła się Elizabeth Hamdy. Stała kilka sekund i przyglądała się, jak David poprawia wypracowania. Gdy podniósł wzrok, cofnęła się o krok - niczym faun, który spotkał w lesie myśliwego.

- Wejdz. Obiecuję, że nie ugryzę.

Zaczęła wchodzić powoli i ostrożnie. Czujnie mu się przyglądając, przyciskała książki do piersi.

- Siadaj. Nie bój się.

Tuż za Elizabeth stanęła Donna Vitale. Mieli co prawda zjeść wieczorem kolację, ale w tej chwili jej obecność David odebrał jako natarczywość. Może rzeczywiście kazano jej go szpiegować. Donna mruknęła „porozmawiamy potem” i wyszła.

- Masz coś dla mnie do przeczytania, tak? - Odwrócił się ponownie do Elizabeth, świadom, że przez cały czas, uważnie go obserwowała.

- Tak. - Spuściła wzrok i położyła na biurku pięciostronicowy tekst napisany na maszynie. - To moja praca.

Wziął ją do ręki i przeczytał tytuł. PRZEKROCZENIE RZEKI. Zaczął czytać i tekst natychmiast go zainteresował. Elizabeth opisywała ojca, który przekroczył Jordan. Przytaczała wszystkie szczegóły, które pominęła, mówiąc o tym wydarzeniu w klasie. To, że jej rodzina mieszkała w tej wiosce od czterystu lat - aż ostrzelali ją Izraelczycy. Jak zniedołężniały dziadek błagał jej ojca - szesnastolatka - o zabranie przez rzekę brata i siostry, żeby znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Jak w czasie przekraczania rzeki, niosąc siostrzyczkę na plecach i prowadząc brata za rękę, widział brązowe i białe kamienie na dnie rzeki i zrozumiał, że znika jego dzieciństwo. Jak przerażała go przyszłość w całkiem obcym kraju.

- To jest piękne - powiedział David po przeczytaniu. - Znakomicie napisane i błyskotliwie ułożone. Ma tylko jedną wadę.

- Jaka?

- Nie ma tu nic po tobie. Wydawało mi się, że to będzie esej przedstawiony do przyjęcia do college'u.

Obróciła pięty na zewnątrz, stykając nogi w kolanach.

- Jeszcze nie wiem, czy jestem zdecydowana.

- Co to ma znaczyć?

- Jeszcze nie zdecydowałam, czy będę się starać o przyjęcie.

- Chyba żartujesz. - Zmarszczył czoło i odłożył wypracowanie. - Możesz iść do dowolnie wybranej uczelni w kraju. Dlaczego miałabyś rezygnować?

- To nie tak łatwo wyjaśnić... - Unikała wzroku Davida. - Nie jestem pewna, czy to właściwe.

- Czy mówisz to ze względu na opinię brata?

Już przedtem zauważył, że od wizyty Nassera w szkole Elizabeth stała się nerwowa i zachowuje się z niezwykłym wobec niej dystansem. Po incydencie na parkingu łatwa sobie wyobrażał, jakim naciskiem dziewczyna jest poddawana w domu.

- To cała rodzina, jaką mam - powiedziała cicho. - Tak często byliśmy rozdzielani. Nie wiem, czy powinnam odchodzić z domu.

- Jeśli nie skorzystasz z okazji, będzie wielka szkoda.

Znów spuściła wzrok i ściągając śliczne smagłe policzki, zapatrzyła się w podłogę. Nie miał pretensji, że czuje się nieswojo w jego towarzystwie - samo przyjście i rozpoczęcie rozmowy musiało kosztować ją sporo odwagi. Może kierowała się desperacją, której nie rozumiał...

- Nie jestem pewna, czy to okazja, z której chcę skorzystać. Trudno mi to wyjaśnić. Czasem nie wiem, czy chcę należeć do współczesnego świata i zapomnieć o tradycji. To znaczy, chciałabym, ale nie mogę. Są we mnie tradycje pielęgnowane przez moją rodzinę. Dziewczęta w arabskich rodzinach nie powinny się przeprowadzać. Oczekuje się od nich dobrego dla rodziny wyjścia za mąż.

- Nie wiedziałem, że aż tak jesteś związana z tradycją.

- Nie jestem. To znaczy, nie wiem, czym i kim jestem. To jak stanie na środku rzeki. Może ma pan rację, że Nasser pomieszał mi wszystko w głowie.

- Mogłabyś mi wyświadczyć przysługę? Spróbuj. Pamiętasz, jak zmuszam was w klasie do przemyślenia nowych pomysłów? Napisz esej i dopiero wtedy podejmij decyzję. Przedstaw przyszłość tylko sobie samej, żebyś mogła zobaczyć cały scenariusz i wyobrazić sobie, jak by wyglądała. Określ, kim jesteś i czego chcesz od życia. Przyszłość nie istnieje, dopóki nie stworzysz jej sama.

Cóż, to prawda... To samo mógłby powiedzieć sobie. Określ, kim jesteś w tym świecie. Nie daj im się wykończyć. Trzymaj się. Bądź mężczyzną. Walcz o swe życie, głupi sukinsynu. Nikt tego za ciebie nie zrobi.

- Co powinnam zrobić? O czym powinnam napisać?

- Spróbuj dopisać dalszy ciąg historii rodziny. Powiedz nam, co się stało po drugiej stronie rzeki.

Nie odpowiedziała. Obserwowała Davida spojrzeniem z innego świata. Patrzyła bardzo wymownie. Nasser przyglądał mu się w ten sam sposób i rozmawiając z nim, David miał tak samo jak teraz wrażenie, że coś nie zostało dopowiedziane.

- Zastanowię się. - Zebrała rzeczy i wstała. Esej zostawiła na biurku.

- Elizabeth, mogę zadać ci jedno pytanie?

Stała w drzwiach. Włosy trzymała w dłoniach, jakby chciała zapleść je w war-kocz.

- Tak?

Kolejny raz dotarło do Davida, jak wspaniałe włosy ma ta dziewczyna. Szkoda, że tak często chowała je pod chustą. Czyżby ufarbowała je trochę na rudo?

- Czy przed wybuchem autobusu nie zauważyłaś przypadkiem nic dziwnego?

- Dziwnego? - Po raz pierwszy od początku rozmowy popatrzyła wprost na niego.

- Tak, jest tyle wersji i plotek o tym, co naprawdę się wydarzyło... - Spróbował się uśmiechnąć.

Na czole wystąpiła jej wąska pionowa linia i zamknęła usta. Jeszcze więcej wyrażały nogi: wykręciła je w kostkach tak, że kolana odsunęły się od siebie i zaraz ponownie się zetknęły.

- Nie było mnie tego dnia w szkole.

Przyglądał się jej. Z oddali dobiegało ciche, delikatne buczenie - David zastanawiał się, czy to rozgrzewający się bojler, czy też przez grube mury do wnętrza budynku dociera szum oceanu.

- Wiem, ale ciekawi mnie, czy o czymś słyszałaś.

- Dlaczego pan pyta? - Kolana znów się rozjechały.

- Po wybuchu bomby starałaś się ze mną porozmawiać i zastanowiło mnie, co chciałaś powiedzieć. Niezbyt wtedy uważałem, co się do mnie mówi, prawda?

- Nie. - Ułożyła usta w małe, napięte kółeczko. - To znaczy tak. Nie chodziło o nic ważnego. Już nie musimy o tym rozmawiać.

Buczenie narastało, a Elizabeth tyłem cofała się do drzwi.

- Na pewno? Teraz chętnie cię wysłucham.

- Nie trzeba. - Wyszła na korytarz i zaczęła znikać w strumieniu uczniów. - Rozwiążę to sama.

49

Pół godziny później Elizabeth zbliżała się do domu przy Avenue Z. Przy drzwiach wejściowych czekał krępy blondyn z jasnym, niemal przezroczystym wąsem.

- Elizabeth Hamdy? - Pokazał odznakę. - Jestem Chris Calloway z Połączonego Oddziału Antyterrorystycznego. Mógłbym wejść na chwilę i porozmawiać z panią?

Powoli zaczynał zanikać mdły posmak po rozmowie z panem Fitzgeraldem, a teraz to... Miała nadzieję, że uda jej się spędzić trochę czasu w samotności, z własnymi myślami i pamiętnikiem.

- O co chodzi? - spytała, szukając klucza. - Już rozmawiałam z detektywem... chyba się nazywał Noonan.

- Tak, wiem. - Uśmiechnął się i czekał, aż Elizabeth otworzy drzwi. - Chciałem tylko coś sprawdzić.

- Sprawdzić?

Choć stanął za jej plecami, niemal czuła spojrzenia wyglądających zza firanek sąsiadów. Ci zgorzkniali, trzymający zawsze stronę swych rodaków ludzie z workami pod oczami, spędzali popołudnia jak w operze mydlanej, szukając czegoś przeciwko jedynej mieszkającej tu arabskiej rodzinie.

- Tak, tylko sprawdzam różne rzeczy - powiedział Calloway z nieprzyjemnym uśmiechem. - Sama pani rozumie, to poważna sprawa. Każdy patrzy każdemu przez ramię. Chcę się upewnić, czy dobrze poukładaliśmy szczegóły i czy można wszystko przekazać do akt. Na wypadek, gdyby szef został wezwany na dywanik. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, by mi pomóc? Poczowała uciskające ją ubranie, jakby ktoś ciągnął za nie od tyłu.

- Nie, oczywiście, że nie.

Wpuściła go do środka i natychmiast tego pożałowała. Poszedł prosto do salonu, dokładnie lustrując wnętrze, niczego nie pomijając. Sprawiał wrażenie, jak gdyby zamierzał kupić dom albo wyrzucić go do góry nogami.

- Kopuła na skale, prawda? - Zatrzymał się przed wiszącym nad kanapą zdjęciem.

- Poznał pan?

Jego obecność w pokoju Elizabeth czuła jak brzydki zapach i zaczął ją boleć żołądek.

- Służyłem jako rezerwista na Bliskim Wschodzie - wyjaśnił. - Spędziłem trochę czasu w Izraelu, poznałem nieco jego historię. To dla muzułmanów miejsce o wielkim znaczeniu, prawda?

- Prawda. - Uśmiechnęła się skromnie. - Ten detektyw, który tu był, chyba niewiele wiedział na ten temat.

- Detektyw Noonan o wielu rzeczach nie wie. - Calloway usiadł na kanapie. Wyciągnął nogi, ręce rozłożył na boki, jakby chciał ogarnąć jak największą przestrzeń.

- Może ma pan ochotę na filiżankę herbaty?

- Nie, nie chcę zajmować pani czasu. - Półykał na kanapie jak sułtan. - Mam tylko parę pytań.

- Proszę. Chcę pomóc.

Przez chwilę przyglądał się jej bez słowa, rozwalony jak we własnym domu. Z każdą sekundą coraz bardziej uświadamiała sobie istnienie własnego ciała - różne jego części poruszały się, drgały, mrowiły, wymagały zwracania na nie uwagi.

- Rozmawiałem z pani bratem - powiedział w końcu i skrzyżował muskularne nogi. - Nasserem.

- Tak?

Dźwięk imienia brata wybuchnął w uchu Elizabeth niczym mała petarda. Wyczuwała, że ta rozmowa do niczego dobrego nie doprowadzi. Skończy się czymś nieprzyjemnym. Zaczęła nasłuchiwać, czy przypadkiem macocha albo siostry, które miały iść na zakupy do centrum handlowego Kings Highway nie wrócą na przykład po zapomniane pieniądze. Nie chciała, żeby ten dziwny mężczyzna je przestraszył.

- Tak, rozmowa była bardzo interesująca. - Detektyw położył sobie na kolanach gruby beżowy notes i zaczął demonstracyjnie przewracać kartki. - Powiedział, że w dniu, kiedy w szkole wybuchła bomba, był z panią.

- O! - Elizabeth zaczęła się bawić włosami, zakryła dwoma kosmykami oko, zaraz je jednak puściła, bo mogło to robić wrażenie, że ma coś do ukrycia. - Cóż, to prawda.

A więc dlatego przyszedł. Wypytać o Nassera. Nic dziwnego, że od wczoraj brat stale wydzwaniał i zostawiał wiadomości. Starła się wyglądać na rozluźnioną, włożyła ręce w kieszenie spodni i uniosła się lekko na palcach.

- Zabrał mnie na zakupy do sklepu sportowego. Zbliżały się moje urodziny.

Przerwała, starając się przypomnieć sobie przebieg tamtego dnia. Nasser przyjechał później, niż się umówili. Od strony plaży widoczny był słup dymu. Na Belt Parkway utworzył się korek. Nagle miała dość myślenia o tym.

- Tak było? - Calloway niby mimochodem przewrócił jeszcze dwie kartki w notesie i unióśł brwi.

- Tak, jestem tego pewna.

- Dlaczego więc powiedziała pani detektywowi Noonanowi, że została tego dnia w domu z powodu bólu głowy?

Niespodziewanie przyłapana opadła na pięty,.

- Bo... - Zaczęła się rozglądać, czekając, aż przyjdzie jej na myśl jakieś wyjaśnienie. - Nie chciałam, aby nauczyciele się dowiedzieli, że poszłam na wagary.

Calloway wyprostował się i natychmiast skoncentrował niczym pies, który usłyszał komendę „nagroda”.

- Naprawdę? Bała się pani nauczycieli?

Elizabeth wydawało się, że znalazła się w komorze ciśnieniowej. Krew zaczęła odpływać z głowy, więc trochę się odwróciła, żeby detektyw nie widział jej twarzy, gdyby straciła przytomność.

- Mam dobre stopnie - wydusiła w końcu. - Nie chciałam mieć kłopotów.

Widząc, że coś się dzieje, Calloway podniósł się z kanapy i stanął tuż przed Elizabeth. Jego wzrost przerażał ją. Przeszło jej przez myśl, jak niewielu mężczyzn stało dotychczas tak blisko.

- Coś ci powiem, skarbie. - Dmuchnął jej w twarz zapachem jajek na bekonie. - W wyniku wybuchu bomby zginął człowiek. Wie pani, co to znaczy?

- Oczywiście. - Energicznie pokiwała głową. - Sam. Nigdy nikogo nie skrzywdził...

Przerwał jej, nie zainteresowany sentymentami.

- To oznacza zabójstwo. To oznacza, że ktokolwiek podłożył tę bombę, może dostać karę śmierci. A uwierz mi - dowiemy się, kto ją podłożył.

- Rozumiem. - Z całej siły przyciskała palce do szwów kieszeni.

- Więc jeśli się dowiem, że mieliście z bratem coś wspólnego z tą bombą, dostaniecie oboje karę śmierci. Capiscel - Złożył palce i pogroził nimi Elizabeth przed nosem. - To, że jesteś kobietą i do tego nieletnią, nic nie pomoże. Choć jesteś Arabką, znajdujemy się w Ameryce i będzie „oko za oko”. Jeśli więc masz coś do powiedzenia, mów to teraz! W przeciwnym razie nic nie będę mógł dla ciebie zrobić.

Spuściła wzrok, próbując oswoić się z informacjami, które usłyszała. Nasser. Dym od plaży. Gałęzisty Klasztor. Klucze na stole. Policzek na parkingu. Ojciec. Matka. Za dużo i za mało tego na jeden raz. Na poukładanie wszystkiego potrzebowała czasu.

- Nie mam z tym nic wspólnego - powiedziała, podnosząc wzrok na detektywa i starając się mówić spokojnie. - Pojechałam na zakupy z bratem. Kupił mi na urodziny hełm. Zbliżały się moje urodziny.

- Udowodnij. - Calloway podkreślił wąs.

- Przez jakiś czas tkwiliśmy w korku na Belt - powiedziała, chcąc na wszelki wypadek wyjaśnić ich spóźnienie. - Zachowałam rachunek, bo nie wiedziałam, czy hełm będzie pasował.

Calloway zdawał się pęcznieć jak balon, a potem oklapł, jakby spuszczone z niego powietrze. Oczywiście, że miał nadzieję odkryć tu coś, co pozwoliłoby rozwiązać sprawę.

- No dobrze, dziękuję - powiedział zde gustowany. - To na razie wystarczy.

50

- Chyba czuje do ciebie miętę - powiedziała Donna Wale.

- Kto? - David dokończył kawałek tarty i ukroił następny. Jedzenie smakowało wyśmienicie.

- Ta mała Arabka, z którą rozmawiałeś w gabinecie.

Jedli kolację w mieszkaniu Donny przy Carroll Street w Park Slope. Choć mieszkanie zajmowało cały parter domu z wyjściem do ogrodu, prezentowało się skromnie,

miało tylko jedną sypialnię. Zdobiły je porozstawiane tu i ówdzie urlopowe pamiątki, poza tym było to wybitnie użytkowe miejsce - z niewielką kuchnią, futonem w głębi i biurkiem przy wychodzącym na zatokę oknie, przez które w dzień na pewno wpadała masa słonecznego światła.

- Nie lubisz jej, co? - spytał David.

- Nie znam jej. - Donna nałożyła sobie trochę sałatki i dołała wina. - Kilka lat temu na moje lekcje chodził jej brat. Świr jakich mało. Odezwał się jeden jedyny raz i to tylko po to, by mnie oświecić, że jego zdaniem kobiety nie powinny być nauczycielkami. Chyba zdawało mu się, że jestem Żydówką i to też mu nie odpowiadało.

- Tak, ma trochę problemów z przystosowaniem się.

David przyłapał się na chciwym połykaniu wielkich kęsów. Sam gotował chętnie, ale kiepsko, bo zawsze dodawał do jedzenia „męskie” ilości ziół i przypraw, co kończyło się katastrofalnie, więc od tygodni nie jadł dobrze przyrządzonego domowego jedzenia.

- Takie dzieciaki jak on... bo ja wiem... - Na włosach Donny igrał blask świec i odbijał się w zezowatym oku, zapatrzonym smętnie w dal. - Jeśli się odwrócisz, mogą cię uderzyć. Spece od sprawiania kłopotów. Czy opowiadałam ci o tych dwóch Rosjankach, które miałam w zeszłym roku, a które za podwiezienie samochodem robiły chłopakom ustami?

- Mówisz poważnie?

- Jak babcią kocham. - Donna uniosła dłoń jak do przysięgi. - Do tego należy doliczyć tych, co ćpają, co marzą o dostaniu się do gangu - zarówno biali, jak i czarni - oraz tych, których rodzice są zbyt głupi, żeby pozwolić im ukończyć szkołę.

- Prawdę mówiąc, ci ostatni to czasami moi faworyci. - David odchylił głowę do tyłu. - Ci, którzy potrzebują trochę dodatkowego zainteresowania.

- O tak! - Donna uniosła kieliszek. - Ja też. Ale nie o nich mówię. Miałam na myśli tępaków, którzy nie chcą pracować. Ci, o których mówisz, muszą coś przezwyciężyć, są niedoskonali, ale próbują - tych kocham.

Czy dlatego zaprosiła go na kolację? Ponieważ okazał się tak cholernie niedoskonały? Czy to ważne? Był wdzięczny, że znalazł się tam, gdzie go chciano. Donna uśmiechnęła się i poszła do kuchni po drugie piwo dla Davida. -1 co zrobisz? - spytała po powrocie.

- Z czym?

- Ze swoim życiem. Z bałaganem, w jakim się znalazłeś. - Zdjęła kapsel i wlała piwo do kufla.

- Tja... - skinął głową. - Mógłbym zacząć produkować koszulki z napisem: PODŁOŻYŁEM BOMBĘ W CONEYISLAND HIGH SCHOOL.

- Mógłbyś.

- A poza tym lecę głową do przodu pięćset kilometrów na godzinę w nieznanym kierunku. - Wpatrywał się w pianę na piwie, czując, jak cięży mu nagromadzona w ostatnim okresie rozpacz. - Rozmawiam z dziećmiakami, ludźmi z sąsiedztwa, adwokatami, ale nikt nic nie wie. Bomba sama zawędrowała do autobusu i sama wybuchła.

Uśmiechnęła się współczująco.

- Więc się poddajesz?

- Skądże znowu. Nie mogę. - Jednym haustem wypił pół piwa, zaraz jednak przypomniał sobie, że powinien pić ostrożniej. - Mówiłem ci, że moi adwokaci namawiają mnie do poddania się badaniu na wykrywaczu kłamstw i do wystąpienia na żywo w programie Lindseya Paula?

- Myślisz, że to rozsądne?

- Z początku nie chciałem się zgodzić, ale kiedy poszedłem z Arthurem na plac zabaw, okazało się, że rodzice innych dzieci rozpoznają mnie i nie pozwalają bawić się swoim dzieciom z moim synem. - Aż jęknął na wspomnienie zdziwionej miny Arthura. - Potem zauważyłem, że zza płotu obserwuje nas trzech agentów FBI. Na placu zabaw! A byłem tam z synem! Straciłem wtedy cierpliwość - zacisnął palce na szkle -

podszedłem do nich i zacząłem się drzeć na ich szefa, Donalda Sippesa: „Spierdalaj, skurwysynu! Chcesz, żeby mój syn dostał ataku astmy?” Potem się odwróciłem - tuż za mną stał Arthur i też zaczął krzyczeć na agentów. Czerwony i zdyszany, wrzeszczał: „Mój tata nie jest zły! Nie jest! Nie jest! Nie jest!”

- I to cię dobiło. - Donna pokiwała głową.

- Trochę mi dało popalić - powiedział spokojnie, starając się panować nad emocjami. Pieprzony dzieciaku, zobacz, co zrobiłeś, niemal doprowadziłeś swojego starego do płaczu. - Zadzwoiłem więc do moich adwokatów i powiedziałem: „Okej, puszczaamy hamulce. Nie zamierzam pozwolić, żeby mój syn musiał to dalej znosić.” Zamilkł, słuchał dźwięków dolatujących z ulicy, szmeru sunących po asfalcie suchych liści. Kiedy tu szedł, nie zauważył śledzących go agentów, wiedział jednak, że nie spuszczaają go z oczu.

- Mogę cię o coś zapytać? - Donna wytarła usta serwetką.

- Pewnie, dawaj.

Wahała się jednak, jakby oceniała jego możliwości.

- Zastanawiałeś się nad tym, co będzie, jeśli cię zamkną?

- Do tego jeszcze daleka droga - powiedział i skończył piwo. Zignorowała jego brawurę.

- Wielki mężczyzno, uważasz, że wytrzymasz na Rikers Island?

- Nie byłbym tam po raz pierwszy. - O!

Odstawił kufel, aż sztuce cicho szcęknęły.

- Na pewno wiesz, że już kiedyś mnie aresztowano. Pisano o tym w gazetach.

- Chyba coś takiego czytałam. - Zezujące oko spojrzało w bok.

- Byłem dzieciakiem. - Zaczął obracać szklanką i obserwować załamujące się w

szkle światło. - Pracowałem w Westbury Beach Club jako ratownik, miejscowy chłopak obsługujący bogaczy. Skolegowałem się z parą idiotów - jeden nazywał się Pete Spano, drugi Dickie Bergmann. Pete marzył o wstąpieniu do mafii, a Dickie był po prostu psychiczny, na dodatek wyglądem przypominał albinosa. Sprawiał wrażenie, jakby wariował dlatego, że nie do końca jest albinosem. - Na to wspomnienie David wybuchnął śmiechem, lecz zaraz się tego zawstydził. - W każdym razie wmontowali mnie w kradzenie samochodów nocą z klubowego parkingu.

- O rany! - Opierała brodę o dłoń.

- Tak było. - Znów zamilkł, zastanawiając się, czy mówić dalej. Poczł, jak zaczyna działać wypite przed chwilą piwo. - Jeśli chodzi o mnie, to nie tyle kradłem, co brałem je, żeby sobie pojeździć i oddać, ale Pete i Dickie regularnie kradli. Mieli już na koncie kilka wozów, które odstawiali do Patchouge i sprzedawali jakimś spryciarzom. - Pokręcił głową, zdając sobie sprawę, że powiedział zbyt wiele i teraz nie może przerwać. - Nie wiem, jak dałem się w to wciągnąć. Byłem głupawym dzieciakiem, ciągle czytałem wojenne książki, próbowałem dostawać jakie takie stopnie i co tydzień wozic babcię na wózku na rynek. Nie wiem. Wydawało mi się, że będzie ekstra, a jeśli się pokażę w szpanerskiej corvette, dziewczyny zaraz zwrócą na mnie uwagę.

- Nic dziwnego, że umiesz się dogadać z różnymi dziwakami. - Odwróciła głowę i patrzyła na niego zdrowym okiem. -1 co się stało?

- Złapano mnie. - Patrzył na mętne resztki na dnie kufla. - Może chciałem tego od początku? Na przejażdżkę po Ocean Boulevard wziąłem pięknego czerwonego MG-BTG i straciłem panowanie nad kierownicą. Wjechałem gościowi na trawnik, wpakowałem mu wóz prosto w werandę. Wszedł w szlafroku i spytał: „Nic ci się nie stało, chłopcze?” A ja mu na to: „Pierdol się!” i uciekłem. Po powrocie do klubu złapała mnie policja. Okazało się, że przyglądali się nam od pewnego czasu.

- Wydałeś przyjaciół? - Donna przeszła do sedna, tak jak potrafi to tylko nauczyciel.

- Nie. - Patrzył na kopcającą świecę. - Ten gliniarz, McNally, wziął mnie na komisarjat i powiedział, że zawiadomi o wszystkim ojca. A jeśli nie odetnę się od tej sprawy i nie wydam współników, moja przyszłość jest zrujnowana.

- Co ty na to?

- Powiedziałem mu, żeby zaprowadził mnie do sędziego. Że biorę odpowiedzialność za to, co zrobiłem.

- Bzdura.

Wzruszył ramionami.

- Taka jest prawda. Spędziłem noc w celi z pijakami, a kiedy następnego dnia stanąłem przed sędzią, powiedziałem: „Wysoki Sądzie, przyznaję się do tego, co zrobiłem, i biorę na siebie wszelkie konsekwencje, proszę jedynie o wzięcie pod uwagę innych rzeczy, które robię. Proszę nie sądzić mnie za jeden błąd, tylko przed podjęciem decyzji rozpatrzyć wszystko”.

- Musiałeś być dzieciakiem z niezłymi jajami - powiedziała, będąc wyraźnie pod wrażeniem jego opowieści.

- Może. Nie wiem. - Nagle spieszył się na wspomnienie strachu, jaki go wtedy ogarnął w obdrapanej małej sali sądowej w hrabstwie Nassau. - Wiedziałem, że ojciec chciałby usłyszeć coś takiego. Nie dawał mi w tym zakresie żadnych instrukcji, po prostu czułem, że tak jest. Jego zdaniem jeśli wyłożyło się uczciwie karty na stół i nie zapominało, kim się jest, wszystko powinno ułożyć się dobrze. Tak też się stało. Sędzia dał mi wyrok w zawieszeniu i kazał utajnić akta, żebym w przyszłości nie miał problemów z dostaniem pracy.

David patrzył, jak ze świecy staczają się kropelki stearyny i twarznieją na blacie stołu. Zaczął je zdrapywać, lecz zaraz zaniechał tego. Niech sobie będą.

- Co się stało z twoimi przyjaciółmi?

- Obaj uważali, że są twardzielami i nie muszą się do niczego przyznawać, więc sędzia posłał ich do więzienia. Bez litości. Moim zdaniem zdeprawowało ich to na całe życie. Peter nigdy nie nawiązał kontaktu z mafią, został ćpunem i w końcu popełnił samobójstwo, a Dickie obrał drogę prowadzącą przez ciemną stronę życia. Został sprzedawcą przez telefon. - Zastukał palcami o stół. - Wtedy się rozstaliśmy. Oni poszli swoją drogą, a ja swoją. Detektyw miał więc chyba w pewnym stopniu rację. To,

co się stało tamtego wieczoru, prawdopodobnie zdecydowało o moim dalszym losie, tyle że nie tak, jak jemu się wydawało. - Opadł na oparcie zmęczony, z wyschniętymi ustami, jakby przegadał osiem lekcji bez przerwy. - Puenta opowieści jest taka, że jeśli uda mi się wytrwać i nie zginać karku, to z grubsza wszystko będzie dobrze. Taką mam nadzieję.

- Ja też. - Wyciągnęła dłoń i uściśnęła mu rękę. Popatrzył na jej palce.

- Mogę teraz ja o coś zapytać?

- Dawaj, koleś.

- Skąd masz pewność, że to nie ja zrobiłem?

- Czyja wiem? - Zdrowym okiem lustrowała jego twarz, sprawdzając wszystkie zmarszczki i spękania. - Sprawiasz wrażenie zbyt... nie wiem, jak to powiedzieć... zaangażowanego. Można to tak określić?

- Nie wiem, co chciałaś powiedzieć.

- To, że sprawiasz wrażenie zbyt... zaangażowanego w kontakcie z dziećmi. Czasami słyszę, jak rozmawiasz przez telefon z synem. Wiem, że nie powinnam podsłuchiwać, ale... - Pochyliła się do przodu i popatrzyła na niego. Oczy rozjarzyły się jej od blasku świec. - Czuję, że jesteś okej. Czuję się dobrze, widząc, jaki jesteś, kiedy nikt cienie obserwuje. Poza tym widziałam, jak obsługujesz automat do kawy. Nawet gdyby twoje życie od tego zależało, nie skonstruowałbyś bomby.

Zaczekał sekundę, aż Donna skończyła, po czym uniósł ku niej pusty kufel.

- Dlaczego potrzebowałem pół roku, żeby umówić się z tobą na kolację?

- Ha!

Stuknęli się pustym szkłem. W pewnym sensie dzisiejszy wieczór był dla Davida czymś w rodzaju punktu zwrotnego. Po raz pierwszy od ślubu z Renee przebywał z inną kobietą, a myśl, że kończy jeden etap życia i zaczyna następny, nastrajała go melancholijnie i radośnie.

- Chyba powinienem już iść. - Popatrzył na zegarek. - Nie wiem, czy o tym wspominałem, ale prawdopodobnie będą do rana obserwować twoje mieszkanie.

- Wyobrażam sobie. Wydało mi się to dość podniecające.

Donna wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Rozmowa z nią sprawiła mu przyjemność. Nie powodowała zawrotów głowy, nie kryły się w niej fałszywe obietnice. Dzięki Donnie czuł, że żyje. Ta kobieta nie pozwalała sobie wchodzić na głowę, ale też nie rzucała słów na wiatr. Zastanawiał się, czy Arthur by ją polubił.

- Następną kolację ja stawiam i pogadamy o tobie - powiedział, sięgając po płaszcz. - Obiecuję nie paplać przez cały czas. Może do tego czasu przestaną już mnie śledzić.

- Byłoby miło. - Podeszła i poprawiła mu kołnierzyk.

Uniósł dwoma palcami jej podbródek i pocałował delikatnie w usta. Pozwoliła się objąć, ale po kilku sekundach cofnęła się.

- Hej, nie jedź setką gdzie wolno sześćdziesiątka. Zwolnij trochę.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Wiem, czego chcę, i wiem, kiedy chcę, a tak się składa, że teraz nie jest odpowiedni moment. Porozmawiamy o tym innym razem, wielki chłopie.

- Uczciwa propozycja.

Dotknął lekko jej ramienia i ruszył do drzwi.

- Jest jeszcze coś, o co chciałabym spytać.

- Wal. - Zatrzymał się z dłonią na klamce. - Jestem twoim dłużnikiem.

- Dlaczego: „Niech Bóg mnie uchroni przed skończeniem czegokolwiek”?

- No tak, wszyscy ostatnio o to pytają...

- A więc dlaczego nie chcesz niczego kończyć?

Puścił klamkę. Doktor Ferry, psychiatra, postawił pytanie nieco inaczej.

- Nie wiem. Chyba przyzwyczailem się do myśli, że jeśli czegoś nie skończę, zawsze będę miał szansę zacząć to od nowa i zrobić lepiej. Nie będzie produktu, który ludzie mogą osądzić.

- Mówię to niechętnie, ale chyba nie udało ci się. - Pomogła mu zapiąć płaszcz. - Chodzi o to, żeby nie zostać osądzony.

- Tak, zauważyłem.

51

Wpół do dziesiątej wieczorem Elizabeth Hamdy wyszła z West Side Storage przy Dziesiątej Alei, popatrzyła na stojące na chodniku prostytutki i spieszących do domu pracowników poczty, potem przebiegła przez ulicę do Lincoln, w którym siedział Nasser.

- W dalszym ciągu jestem na ciebie wściekła - powiedziała, kiedy usiadła.

- Wiem. Przepraszam za zło, które uczyniłem.

Wyglądała przez przednią szybę na sunące powoli w kierunku tunelu Lincoln samochody, przypominające z daleka wpełzające pod rzekę robaczki świętojańskie.

- Nie rozmawialiśmy półtora tygodnia i zadzwoniłeś, bo potrzebujesz przysługi. - Splotła ramiona i patrzyła ponuro. - Nie przyszedłeś na moją kolację urodzinową w „Morrocan Star”. To miło.

- Przepraszam. Byłem bardzo zajęty. Poza tym wstydzilem się przyjść po naszej kłótni.

- Nie powinnam już nigdy z tobą rozmawiać, porwać kartki od ciebie i o wszyst-

kim zapomnieć.

- Wiem. Sam nie rozumiem, dlaczego się tak zachowałem. Straciłem panowanie nad sobą. - Skinął smutno głową i przez chwilę milczał. - Zrobiłaś to?

- Tak, zrobiłam - odparła z westchnieniem. - Wynajęłam ci ten magazynek. Dwieście dolarów miesięcznie za cztery na cztery metry. Zadowolony?

Po jego twarzy prześlizgnęły się światła reflektorów samochodu jadącego z naprzeciwka.

- Tak, bardzo. Doceniam, że to dla mnie zrobiłaś. Tę przysługę.

Rozwiązała włosy i pozwoliła im opaść na ramiona.

- Sama nie wiem, dlaczego się zgodziłam. Nie jesteś dla mnie miły, nie potrzebuję też twojej akceptacji...

- Rozumiem. Za to ty jesteś miła. - Sprawdził we wstecznym lusterku, czy nie ma policji. - Niech tak będzie. Odwiozę cię do domu.

Kiedy przekręcał kluczyk w stacyjce, poczuł, jak skręca mu się żołądek. Próbował przekonać Jusufa i doktor Ahmeda, że wciąganie Elizabeth w tę operację - nawet w tak niskim stopniu - nie jest dobre, ale się uparli. Twierdzili, że Amerykanie, z którymi mają do czynienia, robią się coraz bardziej podejrzliwi wobec Arabów kupujących materiały na hadduta i lepiej żeby pomieszczenie na magazyn bomb wynajęła dziewczyna niewyglądająca na Arabkę. Pozostawienie wszystkiego w niestrzeżonym garażu nie wchodziło w rachubę. Sąsiedzi byli bardzo ciekawscy, a doktor Ahmed bał się, że miejscowe ćpuny zechcą ukraść chemikalia.

- Po ci ten składzik? - spytała, kiedy skręcili za róg. - Co?

- Ten magazyn. Do czego go potrzebujesz?

- Na sprzęt. Rzeczy do handlu. Sprężarki. Chcę się zabrać za handel lodówkami. Chcę... jakbyś to powiedziała? Zostać niezależny.

Skrećili na południe i zamilkł. Za rzeką jarzył się dolny Manhattan jakby był radioaktywny, a jadący przed nimi samochód miał na zderzaku naklejkę z napisem: MOJA KARMA PRZEJECHAŁA MÓJ DOGMAT. Elizabeth siedziała dziwnie spokojna i cicha - coś między nimi narastało, choć Nasser nie umiał tego nazwać.

- Dlaczego ja miałam go wynająć? - spytała w końcu. - Dlaczego nie zrobiłeś tego sam?

- Trzeba się wylegitymować prawem jazdy. - Spuścił wzrok, chroniąc oczy przed oślepiającymi jaskrawymi światłami nadjeżdżających samochodów. - A mam drobny kłopot z prawem jazdy.

- Dlaczego więc w dalszym ciągu jeździsz?

Natychmiast przejrzała to drobne kłamstwo. Nigdy nie umiał jej oszukiwać. Rozumiała go zbyt dobrze - w obojgu drgał ten sam kamerton. Zastanawiał się, w jaki sposób dać jej do zrozumienia, co powinna mówić, gdyby znów przyszedł detektyw Calloway.

- Zadajesz zbyt wiele pytań - powiedział i popatrzył na siostrę, gdy kabinę rozświetliły reflektory nadjeżdżającego samochodu.

Spostrzegł u Elizabeth więcej podobieństw do siebie, niż zwykle zauważał. Były subtelne, lecz wyraźne: arabskie wygięcie kości policzkowych, delikatność skóry, kolor oczu. Ciekawe, jak jej zapewnić bezpieczeństwo, kiedy tym razem wniesie hadduta do szkoły.

- Hej, co zrobiłaś z włosami? Co się z nimi stało?

Wśród czarnych włosów w świetle połyskiwało kilka rudych pasemek.

- Ufarbowałam je. Cóż w tym wielkiego?

- To całkowicie haram. - powiedział, szybko wciskając hamulec, żeby nie wjechać w wóz przed nimi. - To wbrew tradycji.

- Wątpię, by Koran wypowiadał się na temat farbowania włosów.

- Wyglądasz przez to jak Amerykanka. To jest fałszywe.

- Jestem Amerykanką. - Oparła stopę w sportowym bucie o deskę rozdzielczą. - Mieszkam w Brooklynie.

- W dalszym ciągu za dużo słuchasz tego nauczyciela. Twoja matka była Arabką, a ojciec jest nim w dalszym ciągu.

- Tak, tyle że teraz zaczęłam myśleć. Od przyjazdu tutaj nigdy nie wróciłam tam, skąd pochodzimy i nie wiem, co tamten kraj ma ze mną wspólnego.

- Pewnego dnia pojedziesz tam i zrozumiesz. Pójdiesz w sobotę rano na targ owczy w Betlejem i zobaczysz Beduinów przybywających z pustyni z białymi owcami i kozami oraz chłopów z Moabu, przywożących pszenicę, jęczmień i żyto. Pszenica jest tak delikatna, drobna i krucha - jakiej nie ma tutaj w całym ich kraju. Wszystko jest takie samo, jak tysiąc pięćset lat temu.

- A więc zabierzesz mnie tam?

Nie odpowiedział.

W takich chwilach czuła się mu bliska. Kiedy opowiadał o dawnym domu, o sprawach i miejscach, których nigdy nie widziała, a które mimo to wydawały się jej znajome. Jak sceny z niezbyt dobrze zapamiętanego snu. Przypominały o tkwiącej niej pustce, powodującej, że w Ameryce nie czuła się tak naprawdę u siebie. Była Amerykanką, ale czasami jej dusza próbowała wyrwać się do czegoś innego, mniej materialnego - innego świata i czasu. Czasem ojciec czytał na głos fragmenty Koranu i choć nie rozumiała słów, brzmiały w jej uszach jak muzyka. Zasłonięcie twarzy i włożenie chusty nie stanowiło wyjścia z tej sytuacji. Sama myśl o zakutaniu się w fałdy czarnego materiału wywoływała odruch protestu. Najlepszym dla niej miejscem byłoby coś pośredniego między nowym a starym światem. Zastanawiała się, czy po tylu latach pobytu w Ameryce Nasser też jest rozrywany przez te przeciwstawne siły. Może dlatego czuła się czasami tak mocno z nim związana. Byli tacy sami - oboje stali między dwoma brzegami. Utknęli na środku rzeki.

Dziś wieczorem prądy ciągnęły ją jednak w innym kierunku niż jego.

- Nasser, muszę z tobą o czymś porozmawiać. Dlatego odpowiedziałam na twój telefon.

Podkreślił radio, żeby ją zagłuszyć. „Wszędzie, gdzie chodzę, bejsbolówkę noszę jak kizior. Mogę robić wszystko jak mężczyzna, więc przestań mnie nazywać swoją cizią” - rapowała jakaś kobieta do muzyki brzmiącej jak synkopowana muzyczna ilustracja wypadku samochodowego.

- Słyszysz, ona mówi, że kobiety są tak dobre jak mężczyźni - powiedział Nasser, kręcąc głową. - Nie wystarczy jednak powiedzieć, że jest się mężczyzną. Trzeba jeszcze naprawdę nim być.

- Nasser... - Elizabeth ściszyła radio. - Muszę cię o coś zapytać. Popatrzył na siostrę kątem oka.

- O co chodzi?

- Był dziś u nas policjant, który się nazywa Calloway. Pytał o ciebie. Nasser przypadkiem wcisnął klakson.

- Tak, wiem o co chodzi. Rozmawiałem z nim. Wszystko jest w całkowitym porządku.

- Nie jest. - Odwróciła się i wbiła wzrok w Nassera. - Chciał wiedzieć, gdzie byłeś, kiedy wybuchła bomba.

- Więc powiedziałaś mu, że z tobą. - Po policzku spływała mu kropla potu. - Nie ma sprawy. Prawda? Kupowałem ci hełm.

- Nasser, to nieprawda. - Powiedziała to tak ostrym tonem, że brat aż się skulił. - Zobaczyłam dym od strony plaży, gdy czekałam na ciebie. Przyjechałeś później, niż się umawialiśmy.

- Powiedziałaś mu o tym?

Nagle zjechał na bok i zaparkował przy przystani. Przez chwilę się nie odzywał,

twarz miał ukrytą w cieniu starego, wycofanego ze służby okrętu wojennego.

- Nasser, popatrz na mnie.

Zrobił, co kazała, zaraz jednak odwrócił głowę, jakby czegoś się bał.

- Powiedziałam, żebyś na mnie popatrzył.

- Patrzę - pisnął. - Mam się ciągle na ciebie gapić?

- Czy masz coś wspólnego z tym, co się wtedy stało z autobusem?

- Przecież to zrobił twój nauczyciel. - Zacisnął palce na kierownicy. - Ciągle o tym mówią w radiu i telewizji.

- A ja pytam ciebie. Wiem, że mnie nie okłamiesz. Koran zabrania kłamać. Więc pytam: To była twoja bomba?

Włączył światła awaryjne i przy każdym mignięciu spod deski rozdzielczej dolaływało ciche TIK TAK. Minęło kilka minut, zanim się odezwał.

- Cóż, ktokolwiek podłożył tę bombę, choć nie wiemy kto, na pewno miał swój powód. Ci ludzie musieli znieść straszliwy nacisk. Mieli straszliwy wybór. Nie taki, gdzie iść do college'u albo jak się ubrać. Nie taki jak Amerykanie. Nigdy nie zrozumiesz, jakich wyborów musieli dokonać. Wykraczają poza wszystko, co wiesz. Dotyczą spraw z innego świata.

Zamilkł i wsłuchiwał się w TIK TAK świateł awaryjnych, czując jak jego puls przystosowuje się do tego rytmu. Elizabeth miała wrażenie, że coś wyszło jej z płuc powietrze.

- A więc to ty zrobiłeś - powiedziała cicho i spokojnie.

- Nie powiem o niczym.

- Jak mogłeś? Zabiłeś Sama. Mogłeś ich wszystkich pozabijać. To niezgodne z Koranem.

Schylił głowę, lecz zaraz się wyprostował i zaczął wrzeszczeć, walić pięściami w kierownicę. Jeszcze nigdy go takiego nie widziała. Z początku wyglądało to na zwierzęcy wybuch, po chwili jednak spostrzegła, że zachowywał się jak mały, zastraszonego chłopiec, który stracił panowanie nad sobą. Ciągnął obydwoma rękami za kierownicę, jakby chciał ją wyrwać, potem zaczął okładać pięściami deskę rozdzielczą.

- Dobrze! - wrzasnął. - Chcesz być mężczyzną? To bądź! Chcesz być dobrym muzułmaninem? Bądź muzułmaninem! Żołnierzem! Nie bądź tchórzem, jak ojciec, który buduje domy dla Żydów i bierze od nich pieniądze. Spełnij swój obowiązek. Walcz jak mężczyzna. Zostań żołnierzem Boga. Mówisz, że to sprzeczne ze Świętą Księgą, ale teraz nie mamy czasu ksiąg, lecz wojnę!

Słuchając brata, miała wrażenie, że te argumenty nie są przeznaczone dla niej, że Nasser stara się przekonać sam siebie.

- Nie uważam, że twój ojciec jest tchórzem - powiedziała łagodnie. - Przeżył obóz dla uchodźców i stworzył sobie tutaj nowe życie. Dla mnie czyni to z niego bohatera.

-I zostawił rodzinę - Nasser skrzywił się. - Jaki bohater tak robi? Wyłączył światła awaryjne, Wyjechał z luki, w której parkowali, i ruszył dalej West Side Highway.

- Dla ciebie to nowe życie.. - mruknął.

Elizabeth miała pustkę w głowie i sucho w ustach. Jakich słów użył przed chwilą? STRASZLIWY WYBÓR. Właśnie ją przed nim postawił. Musiała dokonać straszliwego wyboru.

Wcisnął mocniej pedał gazów budynki w szybkim tempie zbliżyły się w jej stronę. Na fasadzie biurowca świecił się neon przedstawiający czerwoną parasolkę.

- Powiedziałaś mi, że kiedy bomba wybuchła, byłaś ze mną?

- Tak. - Zapadła się w fotel, który wydawał się naszpikowany cierniami. - Jak mogłabym powiedzieć coś %ego? Jesteś moim bratem.

- Zgadza się. - Podciągnął się, trzymając mocno kierownicę. - To dla dobra rodzi-

ny.

52

Pańscy uczniowie określają pana jako dość ekscentrycznego - powiedział prowadzący. - Czy to prawda?

Jeśli weźmie się za punkt odniesienia Johna Wilkesa Booth'a i Unabombera, to nie, cwaniaczku - pomyślał David, zaraz się jednak skarcił w myśli. - Uważaj, jesteś w telewizji! Nigdy nie bądź ironiczny w tym prymitywnym kraju.

- Stosuję wszelkie metody niezbędne do tego, żeby moi uczniowie używali sprzętu, jaki noszą w głowach. - David siedział prosto i patrzył w obiektyw kamery. - Jeśli to czyni mnie ekscentrycznym, trudno.

- Czy podłożył pan bombę w szkolnym autobusie? - spytał Lindsay Paul, który kiedyś był pełnym fantazji młodym dziennikarzem. Czasy, kiedy pięknie wyglądał, wyraźnie dobiegały kresu - z jego twarzą działo się coś, co upodabniało go do Freda Flintstona.

- Nie, nie podłożyłem.

David znów występował na żywo w ogólnokrajowym, drugim co do popularności amerykańskim kablowym programie informacyjnym. Przysięgał, że nigdy więcej tego nie zrobi, ale okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu. Nie miał wyboru. Żadne z innych działań - telefonowanie, rozmawianie z dziećmi, kolejna próba zapoznania się z aktami dyscyplinarnymi uczniów - nie przyniosło rezultatów.

- Dlaczego więc został pan podejrzanym w tej sprawie? - spytał Lindsay. Był ubrany w szary garnitur, miał ciemne włosy i cechowała go specyficzna powaga. - Musiał pan coś zrobić.

- W takim razie niech ktoś tu przyjdzie i powie mi, co zrobiłem, bo nie mam o tym pojęcia.

Stojący za kamerą Ralph Marcovicci uniósł entuzjastycznie kciuk. „To kaszka z mlekiem - powtarzał kilka razy Davidowi przed programem. - Kaszka z pieprzonym

mlekiem”. Lindsay był - jak wyraziłaby się Donna - jednym z najstarszych i najlepszych znajomych Ralpa. „Będzie ci rzucał prosto w ręce jedną miękką piłkę za drugą” - zapewniał Ralph.

- Nasuwa się więc oczywiste pytanie... - Lindsay pochylił się do przodu, marszcząc z z troskaniem flintstonowską brew. - Jeśli nie pan, to kto to zrobił?

- Dochodzimy w ten sposób do głównego powodu mojego przyjścia - odparł David. - Moi adwokaci są zdania, które i ja podzielam, że ktoś musi o czymś wiedzieć, ale jak na razie żadna z tych osób się nie zgłosiła.

- Dlaczego? - Lindsay ujął w dłoń podbródek, próbując przypomnieć widzom, że kiedyś był poważnym dziennikarzem. - Dlaczego FBI ich nie znalazło?

- Nie wiem. - David poprawił się na krześle. Starał się nie spoglądać na swój obraz na monitorze, żeby nie wyglądać jak kamienna głowa Meduzy. - Może się boją albo nie chcą zostać w coś wplątani. Mam jednak nadzieję, że kiedy mnie dziś usłyszą, zajrzą w głąb swych serc i podejmą odpowiednią decyzję.

Popatrzył na Ralpa, który stał między dwiema kamerami i bezgłośnie mu kłaskał. Gdzieś w studiu przy telefonie dyżurował jeszcze Judah Rosenbloom - na wypadek, gdyby w trakcie programu wpłynęła jakaś przydatna informacja.

- Poza tym chciałem, na ile to możliwe, żeby zobaczono, iż nie jestem potworem, lecz człowiekiem.

- Brawo, Davidzie Fitzgerald! - rozpromienił się Lindsay.

Jeden z kamerzystów przesunął się nieco do przodu i Lindsay popatrzył w obiektyw, ukazując twarz człowieka surowego i prawego.

David stwierdził, że i za milion lat by się tego nie nauczył. Popatrzył na zegar - zostało mu dziesięć minut. Po tylu występach w telewizji sądził, że przed kamerą znacznie się odprężyć i będzie bardziej naturalny, w dalszym ciągu jednak czuł się dziwnie i był nadmiernie wyczulony na to, co się z nim dzieje. Poza tym dzisiejszy występ odbył się w innej atmosferze - nie występował jako fetowany bohater, lecz jako broniący się oskarżony. Przedtem robił z siebie nie wiadomo kogo, teraz był spięty i

zbuntowany, w bolesny sposób świadomy tego, jak bardzo liczy się każde słowo.

- No to uruchamiamy telefony i posłuchajmy kilku rozmów! - nagle powiedział Lindsay.

David zeszywniał. Telefony? Dobrze usłyszał? Ralph Marcovicci poczerwieniał i wściekle machał do Lindsaya palcem. Nie umawiali się na odbieranie telefonów w trakcie transmisji na żywo. Davidowi wręcz się wydawało, że Lindsay i Ralph umówili się, że niczego takiego nie będzie. Z głośników w studiu rozległ się jednak nowy dźwięk - umowa została złamana i zaczynały się telefony. Ucieczka za studia mogła doprowadzić do tego, że widzowie uznają go za winnego.

Siedział więc bez ruchu. Po tylu programach wiedział, że kamera stukrotnie zwiększy każde zaciśnięcie szczęki i każdy ruch oczami. Oczywiście, że umowa została złamana - nie był sławą, której będą znów potrzebować. Stacja mogła sobie pozwolić na łamanie danego słowa. Powinien się tego spodziewać.

- Mamy Kevina z Brooklynu - powiedział Lindsay, patrząc na wiszący w górze monitor.

- Hej, wita Brownsville! - Wydawało się, że mówiący spada z wysokiej skały. Połączenie zostało przerwane i włączyła się kolejna osoba.

- Emma Brown ze Springfield Gardens w Queens! - powiedział Lindsay, patrząc na napisane zielonymi literami nazwisko na monitorze. - Jest pani na fonii!

David poczuł niemiły zapach - siedzący niecały metr od niego w obrotowym fotelu Lindsay puścił bąka!

- Dobry wieczór, Lindsay. - Głos pasował do statecznej Murzynki w średnim wieku, która właśnie wyszła z kościoła. - Jestem młodszą siostrą Sama Halla.

David przypomniał sobie, że czytał o jej chęci zaskarżenia go i wpadł w panikę. To nie mogło się dobrze skończyć.

- Bardzo mi przykro z powodu straty, jaką pani poniosła - powiedział afektownie Lindsay. - Był wspaniałym człowiekiem. Uwielbiałem jego muzykę.

- Chciałabym się dowiedzieć, jak to możliwe, że ten człowiek może siedzieć w studiu i prosić ludzi o pomoc, podczas gdy, dopóki nie pomógł nam burmistrz, mojej rodziny nie było stać na przyzwoity pogrzeb Sama.

Co powiedzieć? Jak zareagować? David gorączkowo szukał odpowiedzi na tyle mądrej, żeby odwróciła uwagę widzów.

- To raczej osobne zagadnienie, proszę pani - wtrącił Lindsay, wykazując trochę zdrowego rozsądku.

Pani Brown ruszyła już jednak do szturmu i okazała się dobrze przygotowana.

- Tak pan twierdzi, ale mój brat nie żyje i chcę wiedzieć, kiedy winny jego śmierci zostanie ukarany. Gdzie jest sprawiedliwość? Został zamordowany bez najmniejszego powodu, a ten, kto to zrobił, siedzi sobie i rozmawia z panem w telewizji. Nie rozumiem tego.

Wzburzenie pozbawiło jej wypowiedź logiki, lecz David doskonale wiedział, że i tak te słowa wypadają dla niego niekorzystnie. Oglądający telewizję ludzie zapamiętają jedynie emocje, złość. Telewizja nie skłania do chłodnej analizy, żąda bezwarunkowej empatii. Albo uda mu się jakoś obrócić sytuację na swoją korzyść, albo zostanie zniszczony.

Wziął głęboki wdech i postanowił spróbować.

- Emmo... - zaczął, jakby się znali - w zupełności się zgadzam z tym, co pani powiedziała. Pani brat był wspaniałym człowiekiem i ja też chcę pomóc w znalezieniu zabójcy, żeby jak najszybciej trafił przed oblicze sprawiedliwości. Bardziej niż komukolwiek zależy mi na dowiedzeniu się, co naprawdę się wydarzyło, bo od tego zależy moje życie.

Ralph dawał mu pantomimiczne znaki, machał ramionami, poruszał ustami, układając je w słowa jeszcze, więcej”.

- Ale to pan... - ruszyła znów do ataku.

- Kiedy ta sprawa zostanie wyjaśniona, najprawdopodobniej dołączę do pani jako oskarżyciel w sprawie cywilnej przeciwko miastu i stanowi - zaimprovizowałam. - Lepiej chyba będzie, jeśli porozmawiamy osobiście, nie przez telewizję. Nie chciałbym powiedzieć nic, co mogłoby osłabić nasze połączone działania.

Było to jedynie mąceniem mętnej wody, zwłaszcza że nie porozumiał się z Ralphem i Judahem, ale wyglądało na to, że Emma dała się nabrać.

- Hm... nie... - wydukała Emma, nie przygotowana na taki obrót sprawy.

- Moi adwokaci pracują nad informacjami, które w najbliższej przyszłości mogą się okazać dla pani bardzo przydatne - ciągnął, odbierając jej inicjatywę. - Moglibyśmy sobie pomóc. To nie ja jestem sprawcą.

A może, choć przestał już w to wierzyć, jednak potrafił sprzedawać swój wizerunek? Poza tym kto wie, może jego adwokaci odkryją coś, co pomoże rodzinie Sama?

- Emmo, chce nam pani coś jeszcze powiedzieć? - spytał Lindsay.

- Hm... nie. Chyba muszę porozmawiać z moimi prawnikami.

- Dziękuję. - Lindsay odwrócił się, ukazując kamerzyście twarz pod innym kątem i popatrzył na monitor. - Sioux City, Iowa. Glen. Jesteś na fonii.

- Taaak... - Głos młodego mężczyzny przeciągał zgłoski w typowy dla mieszkańców Południa sposób. - Byłem uczniem pana Fitzgeralda.

- Znakomicie. - Lindsay wyprostował się w fotelu, poprawiając krawat.

David znów zeszywniał i poczuł mdłości, jak podczas jazdy diabelską kolejką. Za każdym razem, kiedy wydawało mu się, że przeżył kolejny zdradliwy zjazd, pojawiał się następny wjazd - jeszcze bardziej stromy i przerażający.

- Chciałem tylko powiedzieć, że ten człowiek jest zboczony. - Głos chłopaka wywoływał u Davida skojarzenie ze wznoszącą się, ledwie umocowaną poręczą. - Jak byłem w drugiej klasie, kupił mi piwo. Upił mnie, sprowadził do szatni dla chłopców i... próbował dotykać w nieodpowiedni sposób.

Znów znalazł się na szczycie podjazdu. Zapadła chwila ciszy, po czym Glen wypuścił powietrze, jak gdyby cały czas wstrzymywał oddech. Jego beznamiętny ton powodował, że wszystko wydawało się równocześnie surrealistyczne, jak i realistyczne. Ralph Marcovicci objął głowę rękami, jakby spodziewał się, że zaraz dostanie w nią scudem.

To było gorsze niż katastrofa, po prostu unicestwienie. A jeśli program ogląda sędzina? David miał wrażenie, że zawisł w powietrzu. Jak tu wylądować, nie rozbijając się?

Postanowił spróbować, choć ostrożnie.

- Przepraszam, Lindsay... - Odchrząknął. - Czy mogę zadać telefonującemu kilka pytań?

- Bardzo proszę.

- Glen? - David popatrzył poważnie w obiektyw, jak gdyby widział twarz rozmówcy. - Mógłbyś powiedzieć, jak nazywasz? - Rozpaczliwie, próbował dopasować twarz do głosu. Jak jeden z jego uczniów trafił do Iowy?

- Proszę pana, z oczywistych powodów wolałbym tego nie robić. Chcę chronić rodziców.

- Rozumiem. - David starannie unikał zarówno sarkazmu, jak i defensywnego zachowania. - Mógłbyś w takim razie powiedzieć, kiedy skończyłeś szkołę?

- Niedawno.

Rozmawiał ze świrem - był tego pewien. Jeśli jednak spróbuje zdemaskować go zbyt szybko, będzie to wyglądać podejrzanie. W dalszym ciągu znajdował się na szczycie podjazdu diabelskiej kolejki, wagonik, w którym siedział, lekko się bujał na wietrze.

- Glen, na jakie zajęcia do mnie chodziłeś?

- Na angielski.

- W której klasie? Uczę w różnych.

Glen zawahał się na moment.

- W pierwszej.

- Cóż, od kilku lat nie uczę angielskiego w pierwszych klasach. - Samochodzik zaczął zjeżdżać. - To jest zanotowane w aktach, każdy może sprawdzić.

- Proszę pana, wiem, co mi pan zrobił i wiem, że to było złe.

Chłopak zaczął mówić, nerwowym, urywanym głosem. Wiedział, że zaraz zostanie zapędzony w kozi róg. Także i tym razem David obawiał się, że ton szczerzego oburzenia przeważy logikę. Musi zwolnić. Doprowadzić sprawę do końca powoli. Jeśli zbyt szybko zaatakuje, doda tylko chłopakowi wiarygodności.

- Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie - powiedział ostrożnie David. - Jakie książki czytałeś na moich lekcjach?

Coś trzasnęło i Glen przez kilka sekund się nie odzywał. Uda się - myślał David. - Zjeżdżam w dół. Teraz tylko spokojnie. Zdezorientowany Lindsay Paul patrzył w kierunku ciemnego pomieszczenia w głębi studia, gdzie najprawdopodobniej odbierano i zapisywano telefony. W końcu z głośników doleciał piskliwy, przytłumiony, powstrzymujący chichot głos:

- Pierdol się, pedale!

Lindsay Paul był wzburzony i zagubiony niczym matrona z towarzystwa, której goście przyszli na proszony obiadek pijani i na golasa.

- Dzięki Bogu za siedmiosekundową przerwę - powiedział, zmuszając się do uśmiechu. - Mamy czas jeszcze na dwie rozmowy.

David znalazł się już jednak na ziemi, jego tortura się skończyła. Impuls kazał mu wykorzystać ciszę.

- Przepraszam, Lindsay, ale zanim je pan odbierze, chciałbym coś powiedzieć.

- O co chodzi?

David popatrzył prosto w obiektyw.

- Wydaje mi się dość ironiczne, że wróciłem do telewizji walczyć ze stworzonym przez media obrazem mojej osoby. To trochę tak, jakby iść do burdelu pozbyć się syfa.

Ralph Marcovicci zasłonił twarz rękami, lecz David postanowił przeć dalej.

- Nie mam nic przeciwko pewnym sprawom, które zostały tu dziś powiedziane. - Popatrzył na Lindsaya z cieniem rozbawienia. - Jak mówimy na Coney Island, płacisz i próbujesz. - Wzruszył ramionami i znów patrzył prosto w obiektyw. - Proszę tylko o jedno: bądźcie fair. Nie interesuje mnie, ile macie szybkich, wielokanałowych, cyfrowych systemów rejestrujących. Zawsze mawiam moim uczniom: dawaj konkrety albo spadaj! Nikt nie widział mnie z częściami bomby. Nikt nie widział u mnie zapalnika. No i oczywiście nikt o zdrowych zmysłach nie może twierdzić, że kiedykolwiek tknąłbym żonę albo syna. Wynika to stąd, że żadne z tych twierdzeń nie jest prawdziwe. Nie zabiłem Sama Halla i nie zrobiłem tej bomby. Może nie jestem ideałem, ale jestem kim jestem, więc nie skazujcie mnie na podstawie szeptanej propagandy. Moje dzieciaki w szkole mówią: Masz jakąś sprawę, to się nie chowaj. To wszystko, co mam do powiedzenia: jeśli wiesz, co naprawdę się stało, to się nie chowaj. Wiesz, co powinienieś zrobić.

Opadł na oparcie i wziął głęboki wdech, niezupełnie pewien, czy skończył. Lindsay Paul milczał, zbyt zajęty wpatrywaniem się w kamerę, kiedy reżyser stanął przed Ralphem i dał znak kończący audycję.

53

Przez ostatnią dobę Nasser latał jak kot z pęcherzem: musiał nakłonić siostrę do wynajęcia magazynu na zachodnim Manhattanie, pójść do garażu w Sunset Park, gdzie w nocy mieszał chemikalia, o szóstej rano iść do pracy i jeździć przez dwie zmiany, na koniec wrócić do maleńkiego mieszkania nad postojem taksówek, żeby się przespać.

Kiedy wszedł, wycieńczony tak, że z trudem widział na oczy, czekali na niego Jusuf i doktor Ahmed.

- Co się stało? - spytał Jusuf. - Żona przekazała mi wiadomość, że musisz ze mną rozmawiać.

- Tak, szejku, dzwoniłem. - Nasser padł na przeżarty przez mole materac, leżący na brudnej podłodze przy drzwiach do kuchni.

Boże, jak nienawidził mieszkać w tej nędznej ciasnej dziurze z doktorem! Nienawidził maleńkich pokoików o cienkich ścianach, łuszczącej się ze ścian niebieskiej farby, szalejących w piecu myszy, nieustannego hałasu za oknami, unoszącego się w powietrzu smrodu tytoniowego dymu i walącego z parteru odoru salsy. Mieszkało się tu nie lepiej niż w obozie dla uchodźców. Dlaczego Amerykanie się nie buntowali?

- Był u mnie policjant - zaczął. - Potem rozmawiał z moją siostrą i wypytywał, co robiła w dniu wybuchu hadduta pod autobusem.

Doktor syknął i zaczął się szarpać za brodę.

- Ya habelal - wykrzyknął. - Dlaczego nic nie powiedziałaś wcześniej? Kwan a bou. Chcesz nas posłać do więzienia?

- Nie, szejku. - Nasser próbował podnieść ręce, lecz był zbyt zmęczony. - Chciałem powiedzieć wcześniej, ale nie mogłem do ciebie dotrzeć, więc pracowałem. Zdało mi się, że zaczyna nam brakować czasu.

Jusuf oparł się o piec, próbując zachować spokój i udawać, że panuje nad sytuacją.

- Co mu powiedziałaś? Co powiedziała mu twoja siostra?

- Oboje nic nie powiedzieliśmy. - Nasser zaczął rozwiązywać buty, lecz zaraz zrezygnował. - Powiedziała, że była ze mną, a ja, że byłem z nią. Nie ma więc problemu, pomyślałem jednak, że będzie lepiej, jak się o tym dowiecie.

Jusuf i doktor wpatrywali się w siebie bez słowa. W mieszkaniu obok dyspozytor

firmy taksówkowej przyjmował zgłoszenia i wydawał dyspozycje. Obwody miasta zamykały się i przepuszczały prąd.

- Chyba będziemy musieli zmienić plan - powiedział szybko, choć spokojnie doktor Ahmed i zaczął kuśtykać wokół materaca.

Nasser wodził za nim oczami, zauważając, że doktor wykonuje wszystkie ruchy nie dwa, lecz trzy razy szybciej niż należy. Jakby całkiem stracił cierpliwość do światła.

- Jest coś, o czym myślę od jakiegoś czasu - powiedział, strzelił palcami i wytarł nos chustką. - Ponieważ tu chodzi o dżihad, dzi-HAD, DŻIHAD, DŻIHAD! Jasne? - Wzniósł głos na niebotyczne wyżyny, gwałtownie zatrzymał się przed Nasserem i płonącymi oczami patrzył przez niego na wylot.

- To znaczy... - Do Nassera zaczynało docierać, że rozpoczyna się jego podróż.

- Nie wystarczy powiedzieć, że jest się sercem za dżihadem. - Doktor znów zaczął krążyć wokół materaca, podkreślając słowa gestami. - Dżihad to coś, co trzeba wprowadzać w życie. W imię miłości do Allaha, niech jego imię będzie błogosławione, należy dokonywać dla dżihadu czynów! Nie obchodzą go twoje modlitwy. Nie interesuje go haj. To najniższy poziom wiary. Allah szanuje działania. Aby pokazać, że wierzysz naprawdę, musisz podjąć dla Boga ryzyko.

- Allahu akbar! - Jusuf oparł się o piec i szybko wsunął pod język pigułkę nitrogliceryny. Od ostatniego spotkania z imamem wyglądał źle i niezdrowo - miał ciemne kręgi pod oczami.

Ale doktor Ahmed dopiero się rozgrzewał.

- Powiedzieć ci, kiedy czułem największą bliskość z Bogiem? - Znów stanął. Nachylił się nad Nasserem i wyciągnął do niego palec. - Było to w czasie świętej wojny w Afganistanie, gdy jechałem na osiołku z lewą nogą niemal oderwaną przez minę przeciwpiechotną. Tak jest! - Podwinął nogawkę, pokazując biegnącą od kostki do kolana okropną bliznę o popalonych brzegach. - Za każdym razem, kiedy wpadaliśmy w dziurę, a ból szalał, jakby wbijano mi zęby w serce, dziękowałem Allahowi, który daje i odbiera życie, że mnie oszczędził.

- Inszallah. - Jusuf dotknął swej blizny na klatce piersiowej. Doktor Ahmed jeszcze bardziej zbliżył się do Nassera.

- Święta księga uczy, żebyśmy wąpili w istnienie cudów. Wiesz o tym, prawda?

- Oczywiście - odparł Nasser, manipulowany, ale niezdolny to przerwać.

- Uczymy się, że wola Boga nie objawia się przez takie sztuczki jak zamiana wody w wino, ale pod postacią słońca, księżycy, krów na polach i śpiewających w drzewach ptaków... - doktor ujął go za ramiona, przez sekundę popatrzył za Nassera - śmiejących się w złočku dzieci. To są znaki łaski Allaha.

- Allahu akbar! - zawołał Jusuf słabym głosem, dochodzącym jak gdyby z innego pokoju.

Istniał tylko doktor. Klęczał na jednym kolanie przed Nasserem, patrzył mu prosto w oczy, próbując dotrzeć do niego starannie dobranymi słowami.

- Na wojnie nauczyłem się, że znakiem potęgi Boga jest także śmierć. To, co studiowałem na uniwersytecie w Kairze, doktorat z psychologii, wszystkie protesty przeciwko szachowi, w których uczestniczyłem w Teheranie, były niczym w porównaniu z pierwszym w moim życiu widokiem ginącego człowieka. Stałem nad nim, strzeliłem mu w serce i patrzyłem, jak ucieka z niego życie. Był to rosyjski żołnierz. Rozmawiałem z nim - zapytałem, ile ma dzieci, a potem patrzyłem, jak przechodzi ze świata żywych do świata umarłych. I wiesz co? Kiedy życie z niego uszło, poczułem potęgę Boga. Ponieważ tylko Bóg może tak dużo odebrać. Był to taki sam znak jego łaski jak ptaki, krowy czy dzieci. Gdyby tak nie było, nie dopuściłby do tego. Rozumiesz?

- Tak. Rozumiem.

Nasser zaczął kiwać się w przód i w tył, drżąc na całym ciele. Nie wiedział, czy powodem jest zmęczenie czy napięcie ostatnich dni, ale czuł się jak wydrażony od środka i wypchany słowami doktora.

- Dlatego dokonamy zmiany planów. - Doktor powoli wstał i oparł się o połamane metalowe krzesło. - Cele pozostaną te same, pójdiesz do szkoły z had-duta. Tyle tyl-

ko że zamiast bomb z paliwa, które wykorzystamy do większych hadduta, pójdiesz tam z dynamitem. I nie będzie zapalnika.

- Nie rozumiem.

Nagle w pokoju zapadła grobowa cisza, dyspozytor przestał rozmawiać, powietrze zrobiło się ciężkie. Jusuf zakaszłał w dłoń, a doktor Ahmed odwrócił głowę. Zbliżał się ostatni przystanek w podróży - w głębi serca Nasser zawsze wiedział, że ten moment nadejdzie.

- Będziemy mieli męczennika, przyjacielu - powiedział doktor. Dotknął brody, oczu, nosa i uszu. - Zostałeś wybrany.

Jusuf podszedł, ukląkł przy Nasserze, położył mu dłoń na plecach i zaczął szeptać do ucha.

- To wielka okazja, przyjacielu. Zostaniesz w niebie nagrodzony siedemdziesięcioma dziewicami, a gdy powrócisz do domu, będziesz uznany za bohatera. W twojej wiosce wyprawi ci się wspaniały pogrzeb, na który przybędą tysiące ludzi, dzieci otrzymają twoje zdjęcia, żeby pamięć o takim bohaterstwie nigdy nie zginęła.

- Allahu akbar! - powiedział doktor, zbliżając się tak, że niemal dotykał Nassera nosem. - Wszyscy będą ku twojej pamięci śpiewać: NASZĄ KRWIĄ! NASZYMI DUSZAMI! POMŚCIMY GO! Zostaniesz shaheen. Ponieważ ci niewierni tego najbardziej się boją. Bardziej niż wysadzenia mostu albo tunelu. Najbardziej boją się myśli, że mogą się w ich kraju pojawić ludzie-bomby, gotowi zginąć, zabierając ze sobą setki ludzi. Tego - bez względu na to, jak będą się starali - nie powstrzymają. Odbierze im to spokój.

Osaczyli go z obu stron. Doktor pochylał się, a Jusuf dalej klęczał i natarczywie szeptał mu w ucho.

- Twoja rodzina będzie dumna. W niebie matka zawsze będzie się do ciebie uśmiechać.

W gardle Nassera coś pękło i poczuł, że leci do przodu, wycieńczony i pokonany przez to, co wywołali. Tak, matka byłaby dumna. Mawiała nieraz, że mężczyzna musi

być gotów poddać się woli Boga i umrzeć za to, w co wierzy, bo inaczej jest nikim. Życie tego świata jest jedynie grą, jego bogactwa chwilowe. Wszystkie ziemskie bogactwa przemijają. Czyż nie widział, jak matka płacze i rwie ubrania na pogrzebach męczenników? Czyż nie zdecydowała się sama zakończyć życie? Czyż jego przyjaciel Hamid nie dokonał równie wielkiego poświęcenia w więzieniu Ashkelon?

- To szczególny obowiązek, do którego zostałeś wybrany - mówił Jusuf. - Dotychczas nikt tego tutaj nie zrobił. Będziesz pierwszy. Naprawdę ci zazdroszczę...

Tak, został wrobiony... Jusuf i doktor dokładnie wiedzieli, co powiedzieć, jakie obrazy wywoływać w jego głowie. Równocześnie Nasser wiedział, że nie warto się opierać. To było przeznaczenie, po to się urodził. Wszystko w jego życiu zbiegało się w tym punkcie i pchało go ku niemu: zardzewiały klucz, worek na głowie, matka, ojciec, fakt, że nigdy w życiu nie zaznał chwili przyjemności nieskażonej nieszczęściem.

GODZINA NA POLU WALKI JEST WARTA STU LAT MODLITWY.

- Nie boisz się, prawda? - spytał doktor.

- Nie, oczywiście, że nie.

W rzeczywistości bał się. Jakaś część jego osobowości wcale tego nie chciała. Nie wyobrażał sobie siedemdziesięciu dziewic ani płynących pod Ogrodem rzek. Nie brzmiało to realnie. Realne było miasto, kobiety, samochody, czerwone numery, jasne światła i sentymentalizm, tętniąca muzyka i niekończąca się sieć ulic.

Może to był tylko ostateczny sprawdzian co jest wart, czy nadaje się na prawdziwego bohatera, shaheen, męczennika Boga. Może to, że nie chce umierać, uczyni ze sprawy prawdziwe poświęcenie. Inszallah. Te tajemnice wymykały się jego zdolności pojmowania i mógł jedynie udawać, że rozumie. Pozostawało mu działać.

- A więc - powiedział, powoli wstając i zaciskając dłoń na kluczu matki, który miał ciągle na szyi - co mam robić?

54

Następnego dnia David wziął rano wolne i poddał się badaniu na wykrywaczu

kłamstw, po którym natychmiast pojechał do biura swoich adwokatów w południowej części Broadwayu, żeby omówić wyniki. Kiedy wyszedł od nich o jedenastej, z notese-
sem w dłoni czekała na niego Judy Mandell.

- Hm... ee... witam, Davidzie. - Mówiła jak osoba bardzo młoda, dość niepewnie, jakby sprzedawała losy na kościelną loterię fantową.

Zrobił dość niezdecydowaną minę. Wyglądała wystrzałow, ale schrzaniła mu życie, rozpowszechniając oskarżenia o podłożenie bomby, morderstwo, bicie żony i molestowanie syna. Miała wygląd pociągającej czarnowłosej studentki z ustami pomalowanymi brązową szminką.

- Wie pani, co jest śmieszne? - spytał z westchnieniem. - Za każdym razem po naszym spotkaniu natychmiast zapominam, jak pani wygląda. Jak to się dzieje?

- Nie wiem. - Wysunęła do przodu dolną wargę, jakby ją uraził. - Może coś pana dekoncentruje.

- Napisała pani wszystko, co Renee pani powiedziała.

- Czyli wie pan, że nic nie zmyśliłam.

David niecierpliwie westchnął.

- Moja żona jest chora i każdy, kto porozmawia z nią pięć minut, może się tego domyślić. - Stał przed Judy i patrzył na nią z góry. Zaciskał zęby. - Wykorzystała ją pani, więc nie mam nic więcej do powiedzenia. Proszę poszukać sobie kogoś innego, komu zniszczy pani życie.

Odwrócił się, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest najbliższa stacja linii D.

- Mam tylko jedno pytanie! - Kątem oka ujrzał, że dziennikarka podnosi rękę jak uczennica w klasie.

- Czego?

Wrócił do niej wbrew rozsądkowi.

- Słyszałam, że przepadł pan rano w badaniu na wykrywaczu.

Nie zamierzał uciekać. Oficjalnie wynik brzmiał „brak możliwości jednoznacznej oceny”. „Zaciskaj dupsko - powtarzał mu Ralph Marcovicci, kiedy szedł na badanie. - Maszyna mierzy poziom stresu, więc z całej siły zaciskaj dupsko przy każdym pytaniu, dzięki czemu twoje odpowiedzi będą spójne”. „Mam za krótkie ręce, by cię objąć, Ralph” - odparł. Był to prawdopodobnie ostatni dowcip, jaki przez dłuższy czas miał powiedzieć.

- Nie będę tego komentował - powiedział Judy Mandell.

W jaki sposób tak szybko się o tym dowiedziała? Ralph i Judah ostrzegali go, że aby zmusić go do pójścia na układ, federalni dopuszczają do przecieków, ale to było absurdalne. Elektrody zdjęto mu z palców przed dwiema godzinami, więc przeciek musiał pochodzić od prowadzącego badanie, pulchnego byłego gliniarza o nazwisku Cardio, który wyglądał na nieźle zniszczonego przez życie.

- Krążą plotki, że FBI zamierza pana za dzień lub dwa aresztować.

Rozłożył ramiona.

- Więc niech przychodzą i aresztują mnie. Nigdzie nie pójde. - Choć udawał chojraka, wewnątrz rozpełzał mu się rak przerażenia. Nie mógł tego okazać tej dziewczynie, musiał wszystko przełknąć. Podciągnął spodnie i z odważną miną dodał: - Czy prawidłowo podejrzewam, że oczekuje pani, iż padnę na kolana i do wszystkiego się przyznam? Mam rację?

- Nie. - Wypuściła powietrze i pochyliła ramiona. - Chodzi mi tylko o fakty.

- Niezależnie od tego, co to znaczy.

Mijały ich tłumy ludzi, lecz wszyscy byli zajęci tylko sobą..

- Pozwoli pani, że o coś zapytam. Nie przejęła się pani tym, że wszystko, co pani robi, opiera się na spekulacji?

- Co ma pan na myśli?

- Zabrała się pani do pisania o mnie, wcale mnie nie znając. A jeśli się pani myli? Staram się wpajać moim uczniom, żeby przy pisaniu wypracowań doceniali wartość krytycznego myślenia. Mówię im: popatrz na sprawę z innej strony, spróbuj potraktować ją inaczej. Czy pani kiedykolwiek tak pomyślała? Rozpatrzyła pani inną możliwość? A jeśli on tego nie zrobił? Rozpadłby się cały pani świat, prawda?

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

- Może to pani jest osobą, której powinno być mi żal.

Odwrócił się gwałtownie i zaczął oddalać, a Judy poczuła ucisk w piersiach. A JEŚLI ON TEGO NIE ZROBIŁ? To pytanie prześladowało ją od wielu dni, ale nie było to dobre. „W pościgu za tematem nic się nie liczy - powiedział kiedyś Bill Ryan. - Nawet wczorajszy artykuł na ten sam temat”. Wzięła się więc w garść i zaczęła iść za Davidem Fitzgeraldem. Jego ciemne kręcone włosy unosiły się nieco nad głowami sunącego na południe tłumu.

Była na niego zła. Powinien okazać się niezdarnym dziwakiem, trzęsącym się w cieniu ojca, a zamiast tego miał szczere spojrzenie i zbyt pewną siebie postawę. Czy nie mógł być mniej skomplikowany? Bardziej podobny do osoby, o której napisała?

„Wielkie instytucje zawsze kłamią i dlatego należy się z nimi obchodzić bezlitośnie” - mawiał Bill, tutaj jednak podeszła do sprawy nieodpowiednio. David Fitzgerald nie był instytucją, lecz człowiekiem. To ona była częścią potężnej maszyny, której nie można zatrzymać.

Dogoniła go i dotknęła jego ramienia.

- Davidzie...

- Czego? Co znowu?

- Zastanawiałam się nad tym, co powiedział pan wczoraj w telewizji. Chcę panu powiedzieć, że ja też jestem tylko człowiekiem.

Nie zatrzymując się, rzucił przez ramię:

- Wierzę, bo muszę.

55

- Przepraszam. Z kim chciał się pan widzieć?

Cztery dni przed zaplanowanym terminem Nasser został wysłany przez Jusufa i doktora Ahmeda na przeszpiegi. Tym razem nie mogło być pomyłek.

Zbliżała się pierwsza godzina, a on stał przy detektorze metalu i czekał aż ochroniarz - Murzyn w wyprasowanych w kancik spodniach - sprawdzi jego starą legitymację.

- Chciałbym się ponownie zapisać i chyba muszę w tym celu porozmawiać z dyrektorem.

Strażnik obracał legitymacją, której błyszcząca powierzchnia pod każdym kątem inaczej odbijała światło. Był nagi. Stojąc w strumieniu idących na lunch uczniów, Nasser czuł się kompletnie nagi. Miał nadzieję, że nie pojawi się Elizabeth, mogło to bowiem spowodować komplikacje, z którymi nie umiałby sobie poradzić. Od zeszłego wieczoru kiszki skręciły mu się w walczące węże morskie. O śnie nie było mowy.

Obok detektora metalu ustawiono skaner z taśmociągiem, na który kładło się torby, żeby ochroniarz mógł je prześwietlić i sprawdzić zawartość. Kiedy wróci za cztery dni, musi przyczepić hadduta do ciała.

Spróbował sobie wyobrazić przebieg wydarzeń. Tułów owinięty laskami dynamitu przyczepionymi taśmą klejącą. Czy taśma będzie szczypać skórę? Jak dużą koszulę należy wtedy włożyć? Jakie to będzie wrażenie, gdy hadduta wybuchnie? Czy od razu przyjdzie koniec, czy też będzie długo konał?

- No dobrze, wiesz, gdzie jest gabinet dyrektora? - Strażnik oddał legitymację.

- Tak, chyba pamiętam.

- Życzę szczęścia. - Głos ochroniarza brzmiał przyjaźnie, ale oczy pozostały zimne, rejestrujące rysy Nassera.

Szybko odszedł w kierunku gabinetu dyrektora. Na samą myśl o tym, co ma nastąpić, waliło mu serce. Jestem tchórzem. Nie chcę umierać. Nie jestem godzien. Te słowa wirowały mu bez przerwy w głowie. Minał tabliczki z powypisywanymi złotymi literami nazwiskami prymusów - najstarsze pochodziły z tysiąc dziewięćset drugiego roku. Spróbował sobie wyobrazić wśród nich i swoje nazwisko. Nasser Hamdy - najlepszy uczeń, odczytywał mowę pożegnalną. Nasser Hamdy - szkolny mistrz sportu. Nasser Hamdy - zdjęcie z przyjaciółmi. Minał gabinet dyrektora i poszedł dalej, ku schodom do znajdującej się w piwnicy stołówki. Raz za razem patrzył przez ramię, czy nikt go nie chce zatrzymać.

„Przepraszam, czy pan nie zabłądził?” Co powinien powiedzieć, jeśli zostanie zatrzymany? Nie, to niemożliwe, on tutaj powinien być. Taka jest wola Boga.

Zbiegł schodami po dwa stopnie, na dole znalazł się w ciągu pół minuty. Następnym razem trzeba iść wolniej i ostrożniej. Ciągłe zadziwiała go niewykonalność planu. Coś musi się zdarzyć, odwrócić bieg rzeczy. Jusuf i Ahmed ciągle powtarzali, że w pewnym momencie przestanie myśleć i martwić się, pozostanie tylko działanie, stanie się automatycznym cynglem, ale ta chwila nie następowała. W dalszym ciągu każdą sekundę wypełniała straszliwa obawa.

Stał na korytarzu, wpatrując się w dwuskrzydłe drzwi do stołówki. Za cztery dni w tym samym miejscu pozostanie mu jeszcze minuta życia. O czym będzie wtedy myślał? O matce? O ojcu? O Elizabeth? Boże, jeszcze nie miał planu, jak odciągnąć ją w tym dniu daleko stąd, a moment się zbliżał...

Ich rozmowa niczego nie rozwiązała. Wynajęła dla niego magazyn, lecz ciągle miał wobec niej mieszane uczucia. Ciekawe, na ile mógł jej ufać. Była jego siostrą, ale równocześnie Amerykanką. Nie miał pewności, wobec kogo okaże się bardziej lojalna ani ile może od niej wymagać. Wyczuwał w niej bierny opór, który go przerażał.

Ruszył w kierunku stołówki. Z każdym krokiem dobiegający zza drzwi stłumiony gwar robił się głośniejszy. Z każdym krokiem coraz bardziej zaciskał mu się żołądek, a każde stąpienie wiązało się z bólem kości. Gdzieś w głębi głowy coś zaczęło wyc. Jak to będzie następnym razem?

Bez trudu przypomniał sobie widok sali, okropne jedzenie na podgrzewaczach w oszklonych witrynach, smród amoniaku, automaty z napojami, przy stolikach chłopaków i dziewczyny pochylających się tak bardzo do przodu, aż dotykali się głowami. Wyobrażał sobie jak wchodzi z hadduta w rękę i wszyscy patrzą, zastanawiając się, po co wrócił i czego chce.

Wtedy... co wtedy? Hadduta wybucha i wszystko się zmienia. Zmieniają się wymiary pomieszczenia i całego życia. Wszędzie latają tace, rozpryskuje się szkło, gwoździe przebijają ubrania. Wszędzie leżą porozrzucane ciała, cała podłoga zalana krwią. Ubrania nasączają się czerwienią. Widać poszarpane twarze, brakujące palce. Dłonie wyciągają się do stołów, w powietrzu wibrują wrzaski o karetkę. Wybuch woli Boga.

Spróbował sobie wyobrazić siebie - nieruchomego i zniekształconego - na podłodze wśród poszarpanych ciał.

Boże, pozwól mi znaleźć sposób, żeby to się nie wydarzyło, albo daj mi siłę dokonać tego bez strachu.

Mijając otwarte drzwi, odwrócił głowę i dostrzegł znajomą postać. W małym gabinecie siedział pan Fitzgerald - pochylał się nad biurkiem, obejmując głowę dłońmi i lekko się kiwał w przód i w tył. Wciśnięty w tak niewielką przestrzeń wyglądał przeraźliwie - jak przestraszony wyrosnięty dzieciak, który próbuje się schować w kartonowym pudle.

Nasser stanął w drzwiach i patrzył przerażony. Zanim zdążył się poruszyć, pan Fitzgerald uniósł wzrok.

- O, to ty. Co tu robisz?

Nasser miał ochotę się wycofać, ale ponieważ go dostrzeżono, ucieczka uczyniłaby jego obecność podejrzaną. Wściekłość, jaką czuł do nauczyciela, stała się niemal nie do wytrzymania. Poprawiający się na krześle pan Fitzgerald wyraźnie zastanawiał się, jak ma się zachować. Bał się? Zamierzał wezwać ochronę?

- Przyszedłem do was z wizytą - powiedział Nasser, starając się mówić to obojęt-

nie.

- I pospiegować, co z siostrą?

Podszewliwość w głosie nauczyciela była niezbyt przyjemna.

- Nie, chcę się znów zapisać do szkoły.

Nasser wiedział, że musi zabić tego Fitzgeralda. Tę część swojego przeznaczenia akceptował bez najmniejszego oporu. Myśl, że ten człowiek dotyka jego siostrę, wywoływała burzę w głowie.

- To dobrze - powiedział nauczyciel, po czym wstał i podszedł do niego. - Od czasu naszego drobnego spięcia na parkingu nie mieliśmy okazji porozmawiać...

Nasser cofnął się w obawie, że kolos chce go zaatakować.

- Przepraszam za głupie zachowanie - powiedział. - Nie wiem, co się ze mną stało. Zareagowałem bardzo emocjonalnie. Dziękuję, że pan tego nie zgłosił.

- Nie ma sprawy. Takie rzeczy się zdarzają. Potraktujmy to jako nieporozumienie.
- David zlustrował Nassera od stóp do głowy. - Musisz jednak wiedzieć, że nigdy nie zrobiłem i nie zrobię nic nieodpowiedniego wobec twojej siostry. Chciałem jej jedynie pomóc. Chyba obaj chcemy tego, co dla niej najlepsze.

- Chyba tak. Oczywiście. Na pewno.

Podali sobie ręce. Nasser żałował, że nie ma przy sobie noża, bo na miejscu zakłułby drania i powstrzymał go przed dalszym hańbieniem Elizabeth.

- Wszyscy byliśmy pod wpływem sporego stresu - powiedział David, puścił rękę Nassera i zmusił się do uśmiechu. - Pewnie słyszałeś o problemach, jakie miałem.

- Przykro mi z tego powodu.

- Na pewno wszystko się wyjaśni. - Fitzgerald wyjrzał na korytarz, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. - To ten zwariowany dwudziesty wiek. Niczego przypadkiem

nie słyszałeś?

- O czym?

- O tym, kto mógł podłożyć bombę. Pytam, bo nigdy nie wiadomo, komu coś czasem wpadnie w ucho.

Nasser poruszył się niespokojnie. Boże, co on tu robił? Po co rozmawia z tym człowiekiem? To zupełnie szalone. Musiał odejść.

- Nie, niczego nie słyszałem.

- Cóż, daj znać, gdybyś o czymś usłyszał.

- Oczywiście.

Nasser czuł się nieswojo, kiedy tak mu się przyglądano - pan Fitzgerald sprawdzał, jak trzyma dłonie, studiował jego minę. Wiedział o rzeczach, o których nie powinien wiedzieć.

- Dobrze, że zdecydowałeś się wrócić do szkoły - powiedział w końcu. - Masz dobry umysł i powinieneś robić z niego użytek, zagwarantować sobie przyszłość.

Nasser uśmiechnął się słabo, brakowało mu słów. Boże, ten szatan igrał z nim, próbował nakłonić go do przekroczenia granicy i rezygnacji ze świętego obowiązku.

- Chyba następnym razem zobaczymy się w klasie. - Pan Fitzgerald usiadł za biurkiem i próbował założyć nogę na nogę, na co, niestety, miał zbyt mało miejsca. - Będziesz musiał robić przedtem sprawdzian z czytania?

- Może. Nie wiem.

Nasser dotknął brzucha w miejscu, gdzie przypnie hadduta. POWINIENEŚ ZAGWARANTOWAĆ SOBIE PRZYSZŁOŚĆ. Ten odmienny wariant przyszłości był nęcący. Może istniała szansa, żeby się wypłatać i zacząć nowe życie... nie, nie da się zwieść z obranej drogi.

David Fitzgerald wyglądał na zdezorientowanego.

- Nie powiedziano ci, czy masz przechodzić sprawdzian?

- Wie pan, jak to jest - nic nie jest do końca jasne. - No tak...

David Fitzgerald popatrzył na leżące na biurku w idealnym porządku ołówki. Nasser pomyślał, że najwyraźniej ma za dużo czasu, ale na pewno wkrótce to się zmieni...

- Muszę iść.

- Oczywiście. Do zobaczenia, choć przy tym, jak sprawy wyglądają, prawdopodobnie będziesz tu jeszcze długo po tym, jak odejdziesz. Daj znać, jeśli potrzebowałbyś pomocy w przygotowaniu do sprawdzianu.

- Poradzę sobie. - Nasser skinął głową i wycofał się na korytarz, zadowolony, że udało mu się umknąć. Niech się pan mną nie martwi.

56

Po powrocie do redakcji Judy Mandell z zaskoczeniem zobaczyła czekającą przy jej biurku Renee Fitzgerald.

- Dzwoniła pani, więc przyszedłam - powiedziała nieco zbyt szybko Renee i uśmiechnęła się zdawkowo. - To znaczy, najpierw oddzwoniłam, ale po tym, jak dostałam od pani pocztę głosową, postanowiłam się pokazać...

- Hej, hej, hej! - Judy wyrzuciła w górę ręce.

Otrzymała w zbyt krótkim czasie zbyt dużą dawkę stresu. To prawda, zadzwoniła wczoraj wieczorem do Renee zaraz po rozmowie z Davidem, ale liczyła, że zostanie jej trochę więcej czasu na ułożenie pytań.

Historia podkładającego bomby nauczyciela, do tej pory jej największe osiągnięcie zawodowe, zaczynała się rozpadać i Judy potrzebowała potwierdzenia, że przynajmniej część z niej przedstawiła prawidłowo. Przez salę redakcji widziała Nazistę rozmawiającego z panem Hamptonem, pojawiającym się od czasu do czasu w redakcji

właścicielem gazety. Hampton okazał się niższy, niż go sobie wyobrażała, miał mocną opaleniznę, szkliste oczy i nozdrza przypominające nieco człekokształtną małpę. Kiedy indziej może spróbowałyby wleźć „mimoходом” do gabinetu szefa w mikroskopijnej minispódniczce, i dla zwrócenia na siebie uwagi właściciela rzucić coś soczystego i prowokacyjnego, ale dziś nie było na to czasu.

- O co chodzi? - spytała, szybko zdejmując z krzesła akta, żeby gość mógł usiąść.

Renee nie siadała.

- Muszę z panią porozmawiać o artykule, który pani napisała.

- O którym?

Judy czuła na sobie spojrzenia innych dziennikarzy i redaktorów. Staccato klawiatur ścichło do pojedynczych uderzeń.

- O wywiadzie, który pani ze mną zrobiła. - Długie białe palce Renee zacisnęły się na znoszonej torbie zwisającej jej z ramienia. Judy dostrzegła, że paznokcie Renee poobgryzane są aż do krwi. Dlaczego dotychczas tego nie widziała? Czyżby aż tak zaślepiła ją możliwość dorwania się do „wielkiej historii”, że nie zauważała oczywistych detali?

- Hm, dlaczego przychodzi pani z tym teraz? - Judy usiadła. Mówiła ściszym głosem. - Artykuł został wydrukowany dawno temu.

- Wiem. - Renee polizała czubkiem języka wgłębienie na dolnej wardze. - Chodzi o to, że... Judy, prawda jest taka, że nie bardzo wiem, co robię. Od dosyć dawna.

Judy powoli odwróciła głowę i zobaczyła, że Nazista i pan Hampton obserwują ją przez szybę. Nawet nie słysząc słów ani nie znając szczegółów, wyczuwali, że w pomieszczeniu ogólnym dzieje się coś, co może komuś zniszczyć karierę.

- Nie wiem, dlaczego to wszystko pani powiedziałam. - Zielone oczy Renee nerwowo poruszały się na boki. - David nigdy mnie nie uderzył. Nigdy nie zrobił krzywdy Arthurowi. Jest dobrym człowiekiem.

- Niech pani posłucha, Renee - przerwała jej Judy, rozpaczliwie starając się uratować choć kawałek swej historii. - Jeśli mówi to pani tylko dlatego, że wywierają na panią presję adwokaci Davida, nie robi pani przysługi nikomu.

Judy próbowała się przekonać, czy przypadkiem nie o to właśnie chodzi. Postanowili zastraszyć biedaczkę i zmusić do wycofania się. Renee nic nie powiedziała, za to sięgnęła do torebki i zaczęła na skraju biurka ustawiać buteleczki z lekarstwami.

- Widzi pani?

- Co mam widzieć? - Judy przyglądała się etykietom, nazwy leków jako tako znała z lektury naukowych artykułów. Lit. Zoloft, Clozaril, Paxil.

- Nie dostaje się tych leków na skurcze nóg - powiedziała Renee, elegancko się skłoniła i wsypała buteleczki z powrotem do torby. - Tak wyglądam. Z tym walczę. Chcę, żeby pani to zrozumiała.

Judy rozejrzała się za Billem Ryanem, szukając u niego wsparcia, ale oczywiście w dalszym ciągu go nie było. Poczula do niego urazę. To wszystko była jego wina - gadka o starych dobrych czasach, uczciwości i wysuwania brody do przodu. Nie wiedział, że to się skończyło tak jak kapelusz Sinatry i restauracja „Toota Shora”? Co ona narobiła najlepszego? Czyżby naprawdę była na najlepszej drodze do zniszczenia niewinnemu człowiekowi życia?

- Co chce pani powiedzieć? - spytała zaczepnie Judy. - Mam przestać wierzyć we wszystko, co pani wtedy powiedziała, ponieważ bierze pani leki i chodzi do lekarza?

- Nie! - Renee chwyciła ją za ramię. - Mówię, że potrzebuję Davida, aby wychować syna. Nie może iść do więzienia. Niech pani na mnie popatrzy, Judy! Tak wyglądam. Taka jest prawda. Jestem na dnie, ale próbuję robić, co należy. Jeśli pójdzie do więzienia, nie poradzimy sobie...

Judy próbowała odwzajemnić spojrzenie, ale zamiast tego odwróciła głowę. Kątem oka widziała migający na ekranie kursor, który zdawał się pytać: „I co teraz, mała? Grzecznie przeprosiła, poszła do toalety i zwymiotowała.

David siedział na ławce na stacji Stillwell Avenue - końcowym przystanku niektórych pociągów - czując, że znalazł się na skraju wytrzymałości.

Patrzył na poszarpaną, nierówną linię dachów domów na Coney Island. Rano, gdy jechał do pracy, jakaś kobieta zwymyślała go od „zabójców dzieci”, mieszając w bezsensowny sposób dwa nieuzasadnione pomówienia. Zaraz po przyjeździe do szkoły wpadł do jego gabinetu kipiący ze złości Larry Simonetti, który dowiedział się, że zamiast pomagać uczniom w pisaniu esejów, wypytuje ich o bombę. „Jeśli to się powtórzy, jeszcze dziś cię wywalę” - zagroził. Na dodatek we wszystkich gazetach pisano o „niejednoznacznym” wyniku badania za pomocą poligrafii.

David splótł dłonie na głowie, niemal namacalnie czując ciężar zmęczenia. Przesłuchanie, rewizje, załamanie psychiczne Renee, astma Arthura, adwokaci, występy w telewizji - wszystko wychodziło. Z tego powodu nie potrafił nawet ustalić hierarchii swych zmartwień. Mewy krążące nad jego głową wyglądały na tle chmur jak pociągnięcia po gumce do wycierania. Elizabeth Hamdy zauważył dopiero wtedy, kiedy stanęła tuż obok niego.

- Widziałam pana w telewizji - powiedziała i wciągnęła policzki.

Po przeciwległym torze z hukiem przejechał zdyżający na północ pociąg linii D, robiąc przy tym hałas równy staczaniu się po betonowych schodach stu blaszanych pojemników na śmieci.

- Super, co? - Wzniósł oczy, zaraz jednak pomyślał: A co tam! - Powinni mi dać własny program.

- Dało mi to do myślenia.

- Pod jakim względem?

- O tym, o czym mówiliśmy na lekcjach. O tym, co mi pan mówił po lekcjach. - Odwróciła się, uniosła ramiona i zaraz je opuściła. - Chodzą mi ciągle po głowie. Na przykład to, co kilka tygodni temu czytał pan z książki Stephena Crane'a.

- Co to było? - Próbował słuchać, lecz miał wrażenie, że przebija się przez gęste

jak olej fale zmęczenia.

- Dotyczyło tego, co człowiek zrobiłby na wojnie. Został na stanowisku czy uciekł?

- Nie za bardzo widzą związek, ale przyznaję, że jestem dość skołowany. Uciekła wzrokiem w bok, śledząc mewę spacerującą po peronie z niedopałkiem papierosa w dziobie.

- Pytał mnie pan niedawno o coś i nie powiedziałam prawdy.

- Tak?

Popatrzył na nią i podrapał się w brodę. Coś nadawała, ale jeszcze nie zaczął odbierać. Coś się działo, więc musiał się skoncentrować.

- Może usiądziesz? - poklepał ławkę obok siebie.

Rozejrzała się, jakby miała ochotę uciec, potem powoli, niechętnie usiadła tak, żeby nie patrzeć na niego.

- To, co mam do powiedzenia, nie jest łatwe. Mam wrażenie, że się rozlatuję.

- To powiedz prosto z mostu - odparł, znów czując w piersiach ucisk. - Znamy się dość długo, Elizabeth. Jeśli do tej pory mi nie zaufałaś, nigdy nie zaufasz.

- W porządku. Zgoda. - Zrobiła trzy różne miny, w końcu zdecydowała się na tę podkreśloną zaciśniętymi ustami. - Pytał mnie pan o dzień, w którym wybuchła bomba, prawda?

- Prawda. - Odgonił ręką muchę. - Przypomniałaś mi, że nie było cię wtedy w szkole. - Zapowiadało się na kolejną frustrującą, nieprowadzącą donikąd rozmowę.

Kiedy na stację wjechał pociąg służbowy, wzięła głęboki wdech.

- To nie wszystko.

- Aha. - Miał wrażenie, że wygląda ostrożnie zza drzwi sypialni, starając się dostrzec, co dzieje się w środku.

- Mój brat poprosił mnie, żebym została tego dnia w domu. To chciałam panu powiedzieć. - Wykręcała stopy w kostkach, unikała jego wzroku. - Powiedział, że zabierze mnie na zakupy i przyjechał do domu później, niż się umawialiśmy.

- Dlaczego ma to być istotne? - David zauważył, że Elizabeth ma zapadnięte oczy i wychudzone policzki, jakby ostatnio mało sypiała. - Elizabeth, wyjaśnij wreszcie, co chcesz przez to powiedzieć. Nie jestem już dobry w czytaniu między wierszami.

Pociąg służbowy odjechał ze stacji i kąćki oczu Elizabeth uniosły się, tworząc gwiazdkowate wzorki.

- Zjawił się po wybuchu bomby, ponieważ to on ją podłożył. Pociąg zniknął, ale od murów stacji ciągle odbijało się echo.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi.

David siedział w milczeniu. Nie był już senny - nie chciał tylko popsuć chwili.

- Twój brat podłożył bombę... - Zakaszła i spróbował zrekonstruować ostatnie sekundy rozmowy, chcąc upewnić się, że nie był to wytwór jego wyobraźni.

Elizabeth odwróciła się i przytknęła nadgarstki do oczu, żeby się nie rozplakać.

- Rozumie pan? To właśnie mam na myśli. Jak w tej książce: czy mając kłopoty uciekniesz, czy zostaniesz? Przez cały czas próbowałam z panem porozmawiać, ale bałam się. Wycofywałam się i znów próbowałam ze sto razy.

David starał się zachować spokój, nie zareagować przesadnie, ale gdzieś w głowie zaczynał słyszeć odgłos wiwatującego tłumu, jak gdyby dawno nieżyjący kibice wypełnili Ebbets Field i wstawali z ławek.

Popatrzył na Elizabeth. Była niczym cudowne drzwi, rozdzielające dwa etapy w

jego życiu.

- Mówiłaś o tym komukolwiek?

- Nikomu.

David zamknął oczy - pod powiekami utrwalił mu się widok odjeżdżającego pociągu. Nie, nie uwierzy. Nie zrezygnuje tak łatwo z obrony. Musi w tym być jakiś haczyk.

- No i co z tym fantem zrobimy?

Musiał zachować ostrożność i zabrać się za sprawę powoli. Przypominało to chodzenie w baseballowych kolcach po cienkim lodzie.

- Nie wiem... - mruknęła Elizabeth - nie wiem, co robić.

- Myślałaś o pójściu na policję? Podniosła wzrok, zraniona, zaniepokojona, że chce ją zdradzić.

- Był już u nas detektyw. Powiedział, że jeśli okaże się, że mój brat ma coś wspólnego z tym, co się stało, dostanie karę śmierci. Jego też okłamałam.

- Rozumiem.

David popatrzył na wiszący kawałek dalej automat telefoniczny, walczył z chęcią natychmiastowego zatelefonowania do swoich adwokatów. Hamowała go myśl, że Elizabeth jest w dalszym ciągu jak gołąbek na dachu. Poruszy się zbyt gwałtownie, żeby ją złapać, a ona odleci.

- Problem jest nie tylko z nim - powiedziała drżącym głosem. - Problemem jest to, co przeszedł, i ludzie, z którymi jest. Sytuacja polityczna. Straszliwe wybory, jakich trzeba dokonywać.

Bła, bła, bła... Gdyby świnię miały rogi, a ciocia wąsy i tak dalej. Zrozumieć nie zawsze oznacza wybaczyć - czasem pozostaje jedynie zrozumienie.

- Sądzisz, że znowu jest w stanie zrobić coś podobnego?

Pociągnęła nosem i otarła oczy ramieniem.

- Nie wiem. Poprosił, żebym wynajęła mu w centrum magazynek. Mówił, że chce tam trzymać sprzęt. Sprężarki. Nie wiem.

David cmoknął i zastanowił się. Przypomniał sobie starcie na parkingu, wczorajszą rozmowę w jego gabinecie, to, jak Nasser starał się być niewidoczny na lekcjach. Najbardziej winni są zawsze najspokojniejsi.

- Musimy coś postanowić, Elizabeth. Jeśli nic nie powiesz FBI, a twój brat zabije kogoś następną bombą, możesz trafić do więzienia.

- Wiem. - Zgięła się i złapała za brzuch. - Ale jeśli komukolwiek coś powiem, może mnie zabić. Nie wie pan, jacy są ludzie, z którymi się zadaje. Ojciec opowiadał mi o nich, o fanatykach. Całe ich życie służy zabijaniu.

David wsłuchiwał się w dobiegający z daleka odgłos alarmu samochodowego i skrzek mew. Co miał powiedzieć? Jakie zdarzenie miał przytoczyć, żeby posłużyło jej za radę? Rusz się. Podobno jesteś nauczycielem, więc ucz!

- Jaką drogę wybierzesz? - spytał. Zdjął okulary i czekał, co powie Elizabeth.

- Nie wiem... nie wiem. - Przysunęła się i lekko położyła głowę na jego ramieniu.
- Jak to się wyda, ojciec umrze z rozpaczy. To zburzy wszystko, o co się dla nas starał.

Choć wiedział, że to nie na miejscu, dotyk jej głowy poruszał Davida.

- Musisz dokonać wyboru, Elizabeth. - Spróbował się przesunąć i trochę zmienić pozycję ciała. - To tak, jak omawialiśmy w klasie. Czasami trzeba się na coś zdecydować i sprawdzić, czy można z tym żyć.

- Nie! Nie chcę, żeby mnie pan stawiał przed wyborem. - Zaczęła płakać i wtuliła mu twarz w marynarkę. - Chcę, żeby mi pan powiedział, co robić.

Powstrzymał się przed objęciem jej ramieniem. Nie do pomyślenia, co by się sta-

ło, gdyby ich zobaczył jakiś uczeń albo nauczyciel. Pociąg, na który oboje czekali, wjechał na stację, ale nie poruszyli się, żeby do niego wsiąść.

- Wiem, przez co pan przeszedł, nie jestem głupią dziewczuchą. - Gwałtownie się cofnęła i spojrzała na niego. - Wiem, że ma pan żonę i dziecko i obwiniają pana o coś, czego pan nie zrobił.

- Tak to jest.

- Cóż, nie mogłabym z tym żyć. Po prostu nie mogłabym. - Dotknęła jego kolana, natychmiast jednak cofnęła dłoń. - To nie na miejscu. To jest haram.

Popatrzył na nią, zaskoczony, że posłużyła się słowem używanym przez brata. Nie dała mu jednak czasu na zastanowienie - mówiła dalej.

- Może byłoby inaczej, gdybym pana nie znała albo gdyby mnie pan nie obchodził. - Wyjęła papierową chusteczkę i wytarła nos. - Wtedy mogłabym siedzieć z rodziną na kanapie i liczyć na to, że nikt się o niczym nie dowie. Tu jednak chodzi o pana. Mam rację? Chodzi o pana.

Przez kilka sekund nie wiedział, jak zareagować. Zupełnie jakby rzuciła mu na kolana krwawiące serce.

- Coś wymyślimy.

- Boże, nie jestem na to przygotowana! Wcale. - Zmięła chusteczkę i kopnęła torbę z książkami, o mało nie zrzucając jej z peronu. - No dobrze... - Westchnęła i wyprostowała się. - Niech mi pan pomoże. Niech pan pomoże mi to przemyśleć. Co się stanie, jeśli powiem policji o Nasserze? Dostanie karę śmierci?

- Nie wiem. Prawdopodobnie mogłabyś prosić dla niego o łaskę.

- A co z jego przyjaciółmi? Jeśli się dowiedzą, zabiją mnie. Jak by mnie pan przed nimi obronił?

- Jak ja bym ciebie obronił? - Dobre pytanie, choć sam nigdy by na nie nie wpadł.
- Hm... no wiesz, FBI ma programy, w których mogliby cię umieścić. Mogą dać ci

nowe nazwisko, nowe mieszkanie, znaleźć nową szkołę...

Im więcej mówił, tym bardziej Elizabeth się odsuwała. Zbladła i wyglądała tak, jakby miała wymiotować.

- Chce pan powiedzieć, że już nigdy nie mogłabym spotkać się z rodziną?

- Nie wiem, może moglibyście wszyscy...

- W takim razie to niemożliwe. Ojciec by tego nie wytrzymał. Odebrać mu wszystko, na co pracował, kazać mu żyć jak przestępcy i zrujnować przyszłość moich siostr... to by go zabiło..

Drzwi pociągu zasunęły się i wagony ruszyły z szarpnięciem. David patrzył, jak pociąg odjeżdża i zreflektował się, że musi wsiąść do następnego.

- Może rozegrają to inaczej - powiedział. - Na przykład wykorzystają informacje bez twojego udziału w zeznaniach sądowych. Możemy porozmawiać o tym z moimi adwokatami. Zrobić coś, żebyś była pod ochroną.

Tak, to najlepszy pomysł - przekazał sprawę specjalistom. Nie bierz na siebie odpowiedzialności. Pokieruj tak dziewczyną, żeby zwróciła się przeciwko bratu. Może wcale nie jesteś taki wspaniały. To ona najbardziej ryzykuje. Walczyły w nim instynkt samozachowawczy i obrzydzenie sobą. David wiedział - mówiąc językiem bokserkim - że choć instynkt samozachowawczy ma przewagę masy, to obrzydzenie do siebie jest niezłe przy walce w kłinczu.

- Jest pan pewien, że tak należy zrobić? Musi mi pan powiedzieć.

Nagle przestała być drzwiami między dwoma światami. Widział, co się w niej dzieje i wcale mu się to nie podobało. Widział brązowe jak u łani oczy, usta próbujące wyglądać zdecydowanie, delikatne ramiona. Dlaczego nie była twardsza, bardziej egocentryczna - jak amerykańskie dziewczyny? Swymi pytaniami co prawda coś z niej wydobył, ale tak naprawdę wychodziła mu naprzeciw sama, próbując czynić „co należy” i pomóc mu. Czy mógł kazać jej iść dalej i ryzykować dla niego życie? Obrzydzenie sobą samym mówiło: „Zastanów się nad tym”, instynkt samozachowawczy ripostował: „Wykorzystaj okazję!”

- Tak, myślę, że tak należy zrobić.

Instynkt samozachowawczy natychmiast dodał: „Poza tym zagrożone jest życie innych ludzi.” W końcu nie był egoistą. „Jasne - odparowało obrzydzenie samym sobą - zwłaszcza że oszczędzisz sobie dzięki temu trochę bólów żołądka.”

David skrzywił się.

- Chcesz, żebym przekazał tę informację moim adwokatom i zobaczymy, co wymyślą?

- Nie wiem... może. Nie jestem pewna. - Elizabeth uniosła podbródek. - Tak. Sądzę, że tak trzeba zrobić.

Wjechał następny pociąg. „Nie ma sensu raz w tygodniu być bohaterem, a w pozostałe sześć zerem - mruknęło obrzydzenie samym sobą. Nigdy nie byłeś wiele wart. Pocałuj mnie w dupę - odparł instynkt samozachowawczy. - Jadę do Disneylandu.”

58

Od momentu, kiedy postanowiono dokonać misji samobójczej, Jusuf i doktor Ahmed pilnowali Nassera niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niby mieszała z nim chemikalia w garażu, ale to jemu kwas azotowy parzył ręce i palił ubrania, gdy próbował go wlewać przez lejek do kartonowych pudełek. Pięć razy dziennie zabierali go do różnych meczetów i modlili się z nim, dbając o to, żeby za każdym razem zrobił przynajmniej trzy pełne raka. Spożywali z nim wszystkie posiłki, razem szli przedstawiać samochód, spali w tym samym pomieszczeniu i najważniejsze - zakazali mu jakichkolwiek kontaktów z rodziną.

Oczywiście mógł się tego spodziewać - wiedział, że w ostatnich dniach przed „aktywacją” przywódcy odcinają kandydatów na samobójców od przyjaciół i rodziny. Godził się, że taka jest kolej rzeczy. Izolacja była najlepszym sposobem skoncentrowania się na celu, zwłaszcza tuż przed końcem, kiedy można stracić wiarę. Mimo to czuł się przygnieciony straszliwą samotnością i niepewnością. Tęsknił za kontaktem - z kimkolwiek. Presja tej sytuacji zaczynała go przerastać. Mniej więcej co dwie minuty wahał się, czy dokona tego, czego się podjął, co komplikowało wszystkie inne

czynności. Podczas posiłków nie potrafił wybrać, czy jeść kurczaka czy warzywa, gdziekolwiek szedł, nie mógł wybrać, czy iść w lewo czy też w prawo.

W końcu nie wytrzymał - odczekał, aż doktor Ahmed padnie ze zmęczenia i zasnę, co nastąpiło we wtorek wieczorem, i wymknął się z mieszkania przy postoju taksówek.

Nadszedł czas na rozmowę ze starym towarzyszem z celi, profesorem Bin-Khaledem. Sprawdził dokładnie rozkład jego zajęć na uniwersytecie i niemal punkt dziesiąta, kiedy na miasto spadała szara mżawka, podjechał przed budynek przy Czterdziestej Drugiej Zachodniej ulicy. Po kilku minutach wyszedł z niego profesor z kilkoma studentami. Nasser znów zdziwiło, jak bardzo Ibrahim się postarzał od ich ostatniej rozmowy.

- Asalam allakem, bracie - zawołał Nasser przez okno. - Podwieźć cię? Ibrahim podszedł ostrożnie, kiedy jednak poznał Nasser, jego twarz rozpromieniła się uśmiechem.

- Kopę lat, mały bracie. - Wsiadł do samochodu i objęli się na przywitanie. - Ile to lat...

Profesor pachniał starym tytoniem i kawą po turecku. Nie utrzymał się na nim nawet ślad więziennego smrodu. Jakie to dziwne... gdy dzielili celę, pozwalano im tylko na jeden prysznic w tygodniu i przez wiele lat po zwolnieniu Nasser dbał o to, żeby kąpać się dwa razy dziennie, a mimo to czasami odnosił wrażenie, że ludzie marszczą przy nim nosy, jakby ciągle śmierdział więzieniem.

- Zawieźć cię dokądś?

Profesor popatrzył na Nasser. W jego ciemnobrązowych oczach odbijało się światło, zdawał się szacować dzielący ich dystans.

- Poproszę - powiedział w końcu. - Byłoby miło. Mieszkam z profesorem z Columbii. - Podał adres przy Upper West Side.

- Chcesz usiąść z tyłu, jak prawdziwy pasażer? - Nasser odwrócił się, sprawdzając, czy nie zostawił tam gazet ani szmat.

- Nie, przyjacielu. Dobrze mi z tobą z przodu.

Przekręcając kluczyk w stacyjce, Nasser przyjrzał się twarzy Ibrahima. Siedem lat dodało jej nowych zmarszczek i nierówności i Nasser poczuł dziwną ulgę, że nigdy nie będzie miał syna do stracenia, więc nie pozna takiej rozpacz, jak jego przyjaciel.

- A więc, mały bracie - zaczął profesor, kiedy ruszyli Broadwayem - cały czas byłeś w mieście i nigdy mnie nie odwiedziłeś. Dlaczego?

- Przepraszam, szejku, ale byłem zajęty. Bardzo zajęty.

- Szejku? - Profesor wyglądał na zdziwionego. - Nie jestem szejkiem. Jestem tylko nauczycielem. Skąd ci się to wzięło, przyjacielu?

- Ostatnio zajmuję się nieco więcej religią. Próbuję zrozumieć Boga.

- Naprawdę? - Profesor przeglądał zawartość teczki, sprawdzał, czy ma wszystkie potrzebne dokumenty. - Studiowanie Koranu to dobra rzecz. Może dać wielką pociechę. Czym zajmujesz się poza tym?

- Polityką. - Ten eufemizm Nasser wymyślił sobie kilka godzin wcześniej, planując rozmowę. - Włączyłem się bardziej w życie polityczne.

- Och tak, polityka... - Kiedy mijali Radio City Music Hall, profesor westchnął. - Niestety, nie mam na nią ostatnio wiele czasu.

- Tak, przyniosła tyle rozczarowań i kłamstw... - Nasser chwycił mocno kierownicę, kolejny raz stwierdzając, że poluzowała się od czasu kłótni z siostrą. - Niekiedy myślę, że może czas na rozmawianie z Żydami już się skończył. Szkoda zachodu. Nadeszła chwila działania.

- Prawdę mówiąc, nie mam czasu zajmować się żadnym politykiem. - Profesor pociągnął za pas bezpieczeństwa i zapiał go. - Ani żydowskim, ani arabskim. Nie robię tego od śmierci Abu.

- No tak, wieść o tym zasmuciła mnie. - Nasser miał wrażenie, że hałas ruchu

ulicznego nagle się nasilił. - Powinienem do ciebie napisać.

Abu był pierworodnym profesora i Nasser pamiętał, jak raz czy dwa przyszedł odwiedzić ojca w więzieniu. Chłopak miał wielkie oczy, szopę czarnych włosów i bardzo zaraźliwy śmiech. Nawet izraelscy strażnicy byli dla niego mili, pozwalali zakładać ich czapki i niezbyt się wściekali, kiedy „kazał” im „prezentować broń”. Nasser do dziś nie znał dokładnych okoliczności jego śmierci, ale miała związek z obrzuceniem w Hebronie kamieniami przez miejscowe dzieciaki izraelskich osadników, po czym doszło do starcia na szkolnym podwórzu, które skończyło się strzelaniną. Abu ponoć zginął, próbując chronić przyjaciela. Miał szesnaście lat - tyle co Nasser, gdy poznał profesora w więzieniu.

- Ci, co to zrobili, powinni wszyscy umrzeć - powiedział Nasser, zatrzymując się na światłach przy Columbus Circle. - Kiedy myślę, jak to wszystko jest możliwe, dochodzę do wniosku, że powinna spaść jakaś bomba i zmieść ich wszystkich z powierzchni ziemi. Nie powinniśmy mieć najmniejszych wyrzutów sumienia.

Profesor skrzywił się.

- Nie sądzę, żeby agresja była dobrą odpowiedzią - powiedział cicho.

- Jak możesz coś takiego mówić? Po tym jak wsadzili cię do więzienia i zabili ci syna? Jak możesz nie chcieć ich śmierci?

Profesor uniósł brew.

- Nasser, opowiadałem ci kiedyś, jak mnie po raz pierwszy torturowali?

- Nie. Nie jestem pewien. Nie pamiętam.

Po tylu latach opowieści o torturach zaczynały mu się mieszać z kłamstwami, w jakich celowali młodszy więźniowie.

- Wiesz, że uwięziono mnie z absurdałnego powodu, za „opieranie się okupacji” i z powodu podejrzenia o terroryzm. Nie było w tym krztyny prawdy, lecz chcieli mnie zmusić przed rozpoczęciem procesu do „przyznania się”, więc dzień w dzień, przez miesiąc, wozili mnie do tego samego oficera - nazywał się Avi - który kazał mi odpo-

wiadać ciągle na te same pytania. Pewnego dnia stwierdził: „Przykro mi, ale nie dajesz nam tego, czego chcemy, więc będziemy musieli użyć nieco siły”, po czym skuli mi ręce na plecach, położyli na podłodze twarzą do góry, postawili między nogami krzesło, Avi złapał mnie za jądra i z całej siły ścisnął.

- Sss... - Nasser odruchowo wcisnął pedał gazu i wyprysnął na pełne samochodów skrzyżowanie przy Coliseum. Gdyby natychmiast nie skręcił, zderzyliby się z ciężarówką. - To musiało być straszne!

- Było straszne. Okropne. Nigdy w życiu nie czułem silniejszego bólu fizycznego. Istniał tylko jeden sposób, żeby przeżyć.

- Odretwiałeś - powiedział Nasser, przypominając sobie śmierdzący worek na twarzy.

- Nie. On ścisnął, a ja zacząłem sobie mówić: „On słabnie, ja się robię silniejszy”. Popatrzyłem na niego i spytałem: „To pan mówił, że zrobił w Stanach Zjednoczonych dyplom z psychiatrii dziecięcej?” Kiedy potwierdził, spytałem: „A teraz ścisną mnie pan za jaja?”

- I co?

- Puścił mnie i nigdy więcej nie torturował. - Profesor zachichotał.

Nasser popatrzył przed siebie i przez chwilę ulica wydała mu chaotycznym zbiorem czerwonych płam, zapalających się i gasnących w ciemności.

- Nie rozumiem - powiedział. - Jak możesz nie chcieć zrobić krzywdy tym, którzy wyrządzili tyle krzywd tobie?

Profesor wyjął bibułę do papierosów i kapciuch z tytoniem. - Nasser, chyba nigdy ci o tym nie wspominałem, ale zanim trafiłem do więzienia, byłem rzecznikiem procesu pokojowego.

- Nigdy nie wspominałeś.

- Po tym, co się stało z Hamidem, zostaliśmy umieszczeni w izolatkach i odsepa-

rowani od rodzin, co okazało się dotkliwą karą. Złość na takie traktowanie to zwykły ludzki odruch. Nie twierdzę, że Izraelczycy są moimi przyjaciółmi, ale ztracanie się w przemoc do niczego nie prowadzi. Nikomu nie pomaga poza tymi, którzy dokonują tych aktów i nie są w stanie wyobrazić sobie bez nich życia. Przemoc nie jest w stanie stworzyć państwa - jedynie sprowokować kolejną przemoc. To jak prawo fizyki.

- Czy to znaczy, że w dalszym ciągu jesteś za pokojem? - Nasser wyglądał przez boczne okno, starając się ukryć niesmak. - Po tym, co ci zrobili? Jak zabili ci syna?

Samochód wpadł w dziurę i zatrząsł się, ale profesor siedział bez ruchu, zajęty sypaniem tytoniu na leżącą na desce rozdzielczej bibułkę.

- Muszę być ponad to. Żydzi też cierpieli, i to wiele za dużo. Zginęło ich sześć milionów. Mam jeszcze pięcioro dzieci. Co da wojna, w której mogą zginąć? Oczywiście, nie chcę, żeby żyli jak niewolnicy, ale co dzień, kiedy wracam myślą do Hebronu, widzę szkolne podwórze, na którym zginął Abu, a za każdym razem, gdy wyglądam przez okno, widzę domy osadników. Muszę jakoś z tym żyć, nie mogę chodzić po świecie zatruty nienawiścią. Zbyt wiele straciłem i życie już nigdy nie będzie miało dla mnie tego samego smaku, nie da mi tej samej radości co kiedyś. Rozumiesz to? Nie stać mnie na kolejne straty.

Przez kilka następnych minut Nasser milczał. Miał nadzieję, że spotkanie z profesorem wzmocni jego zdecydowanie co do spełnienia misji. Chciał wypełnić serce uzasadnioną złością Ibrahima, przypomnieć sobie tych, co zginęli, i ostatecznie postanowić poświęcić się w ich imieniu, zamiast tego zyskał wątpliwość i niezdecydowanie większe niż kiedykolwiek.

Zatrzymali się przed przedwojennym budynkiem z fasadą z piaskowca przy Sto Szóstej Zachodniej ulicy. Pod wpływem silnego wiatru po masce samochodu tańczyły cienie drzew i blaski latarni. Profesor zaproponował Nasserowi papierosa, lecz chłopak odmówił.

- Wszystko w porządku, przyjacielu?

- Tak, jak najbardziej. - Nasser oparł brodę o kierownicę.

- Cieszę się, że przyszedłeś. - Profesor dotknął jego ramienia. - Pozwoliło mi to

wrócić myślą do dawnych czasów, kiedy żył mój syn. Ciekawe, czy wyrósłby na kogoś takiego jak ty.

Nasser chciał powiedzieć, że to tragedia, że wszystko jest jedną wielką tragedią, ale z wyschniętego gardła nie mógł wydobyć ani słowa. Profesor opuścił szybę i zapalił papierosa.

- Wiesz, to śmieszne... - zaczął z tęsknotą w głosie - dawniej zawsze przed snem miałem chwilę tylko dla siebie. Wtedy marzyłem o czymś, miałem na coś nadzieję. O domu, który chciałem zbudować matce, o college'u, do którego chciałem posłać syna, o bogatych i przyzwoitych mężach dla córek. Samo myślenie o tym dawało dreszczyk zadowolenia, ale po śmierci Abu, te marzenia przed zaśnięciem przestały się pojawiać. Czekam do dziś, aż wrócą. Co wieczór zadaję sobie pytanie, czy coś mi się przyśni. Czasami zastanawiam się, czy jeszcze umiem marzyć.

- I jak brzmi odpowiedź?

- Nie wiem. - Profesor wydmuchał długą smugę dymu i obserwował, jak się wije i znika. Otworzył drzwi. - A ty jeszcze marzysz, Nasser?

59

Na początek postawmy jasno kilka spraw - powiedział Jim Lefferts, zastępca dyrektora nowojorskiego biura FBI. - Immunitet nie wchodzi w grę. - W takim razie, do widzenia. - Ralph Marcovicci stuknął Davida Fitzgeralda palcem w ramię, powoli wstał i skierował się do wyjścia. - Chodźcie, zapraszam na rybę do „Greengrass”.

Judah Rosenbloom pospiesznie wepchnął papiery do podniszczonej, pękatej teczki i ruszył za nim. David nadal siedział, w głowie mu się nie mieściło, że okazja na rehabilitację może się tak szybko wymknąć.

- Panowie, po co te nerwy? - Lefferts, niegdyś futbolista, którego biurko było pełne pamiątek z korpusu marynarskiego, uśmiechnął się tolerancyjnie. - I wy, i my chcemy chronić. Nikt nie chce, żeby więcej gówna opryskało mu buty.

David podniósł głowę i uśmiechnął się zachęcająco do swoich prawników, niczym nadmiernie strachliwy rodzic, który chce nakłonić dzieci do zabawy w piaskow-

nicy. Jednak Ralph w dalszym ciągu stał przy drzwiach, a Judah Rosenbloom zamarł przy biurku z zaciśniętą szczęką.

- O ile się orientuję, agencie Lefferts, do tej pory jedyną osobą, której buty opryskano gównem, jest nasz klient - powiedział ze świetnie wyuczonym oburzeniem. - Teraz David próbuje dostarczyć informacji, które mogłyby doprowadzić do zamknięcia śledztwa, a jedyne co ma pan do zaoferowania, to kolejne opryskiwanie mu butów gównem. Uważam, że to oburzające!

Lefferts przymknął oczy, jakby nudziła go ta gra.

- Powtarzam jeszcze raz, że nie zostałem przekonany o niewspółuczestniczeniu waszego klienta przy podkładaniu bomby. To, że znalazł się w posiadaniu informacji, o których tu wspomniano, jest bardzo podejrzane. Skąd mamy wiedzieć, że nie współpracuje z tym arabskim dżentelmenem?

- Daj spokój, Jim, on nie jest żadnym konspiratorem tylko nauczycielem. - Ralph Marcovicci wrócił do biurka i siadł na krześle, które wydało podejrzane skrzypnięcie. - Zamachowiec jest bratem jednej z jego uczennic. Dziewczyna lubi go i zdradziła brata, ale jest skołowana. Co w tym trudnego do uwierzenia?

- Coś mi tu ciągle nie pasuje. - Lefferts odsunął krzesło od biurka i jęknął, jakby zaboląła go rana po starej kontuzji. - Jak będziemy wyglądać, gdyby Biuro znów zostało kopnięte w dupę, bo wasz facet zrobił to i tylko postanowił sypać współników? Nie potrzebujemy kolejnej katastrofy medialnej.

David otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Judah położył mu rękę na ramieniu.

- Boisz się katastrofy medialnej? - Ralph uśmiechnął się i zgarbił nad biurkiem jak pokerzysta, który nareszcie dostał dobre karty. - A co powiesz o Waco? O Ruby Ridge? Co z pozostałymi zamachami bombowymi, których sprawców nie złapaliście?

Lefferts skrzywił się.

- Nie widzę związku.

Nawet Judah Rosenbloom zaczął się śmiać.

- Daj odetchnąć, Jim. - Ralph Marcovicci złożył dłonie za głowę. - Damy ci nazwiska zamachowców i adres, gdzie trzymają materiały wybuchowe, a kiedy się dogadamy, przyprowadzimy nawet dziewczynę. Chcesz, żebyśmy także dokonali aresztowań i poprowadzili konferencję prasową?

- Kto tu mówił o konferencji prasowej? - Twarz Leffertsza spurpurowiała.

- Jim, bądź realistą. Nasz człowiek dostarcza ci rozwiązanie na srebrnej tacy. Mógłbyś przynajmniej wydać oświadczenie oczyszczające jego nazwisko i przeprosić.

Lefferts popatrzył na Davida, jakby chciał sprawdzić, czy to się dzieje naprawdę, a w końcu warknął do Ralpa: - To absurdalne!

- Chodźmy, Davidzie. - Judah Rosenbloom odwrócił się ku drzwiom i machnął teczką. - Nie mamy o czym rozmawiać.

Ralph popatrzył na Leffertsza z miną świadczącą o tym, że z wariatami nie zamierza współpracować (jakby sam nagle stał się normalny) i znów zaczął podnosić się z krzesła.

- Hej, hej, hej - Lefferts zamachał rękami, jak uspokajający salę minister. - Zastanówmy się jeszcze raz. Jeśli aresztujemy kogoś innego, czy to nie będzie jasne dla opinii publicznej, że wasz klient jest niewinny?

- To za mało. - Marcovicci stał na zgiętych nogach, z pośladkami uniesionymi nad krzesłem. - Chcemy rehabilitacji.

- Biuro na pewno nie zwoła konferencji prasowej, podczas której miałyby tylko ogłosić, że człowiek, który nigdy nie został o nic oskarżony, jest niewinny. Zapomnij o tym natychmiast. To nie kolejny wasz cyrk z Lolitą z Larchmount. O ile się orientuję, nasi agenci nie zrobili nic złego. Mieliśmy trop i zbadaliśmy go. Koniec pieśni. Nie przepaszamy nikogo, kogo śledzimy. To nie my zniszczyliśmy cenną reputację waszego klienta. Jeśli coś wam nie pasuje, bijcie się z prasą i telewizją.

- W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. - Ralph wyprostował nogi. - Dziewczyna nie przyjdzie Davidzie, chodź.

David zaczął wstawać. Miał mdłości i drżały mu nogi. Lefferts patrzył na niego z wykrzywionymi irytacją ustami.

- Davidzie, siadaj!

Prowadzili z nim grę, a może raczej ze sobą, a on tylko przypadkiem stanął pośrodku. Nie czekając na dalsze sygnały od adwokatów, wstał i chwycił dłońmi skraj stołu konferencyjnego, jakby zamierzał go przewrócić.

- Zamknijcie się! - powiedział, czując krew napływającą mu do twarzy. - Czy moglibyście na chwilę stulić pyski?

Cała trójka popatrzyła na niego jak na wielki budynek, który ma się zawalić. On jednak wpatrywał się w przycisk do papieru, przedstawiający żołnierzy wznoszących amerykańską flagę na Iwo Jima. Wojna mojego ojca...

- Mam dość tych strategii i kontrstrategii, rzygać mi się chce od nieustannego śledzenia mnie i sprawdzania. Moi uczniowie uważają, że ich zdradziłem, mój syn słyszał jak jego ojca określa się mianem mordercy. Moja żona nadaje się do odesłania do czubków. Chcę tylko jednego - aby to wszystko się skończyło. Natychmiast. Żebyście zniknęli z mojego życia. Mówię jasno?

Lefferts i obaj adwokaci popatrzyli na siebie lekko zdziwieni, jak gdyby chcieli powiedzieć: „A co temu się nagle stało?” Davida nie interesowała jednak ich opinia. Chciał jedynie poskładać się do kupy.

- Piłka na twoim korcie, Jim. - Ralph Marcovicci uśmiechał się, nerwowo zerkając kątem oka na Davida. - Potrzebujesz naszego klienta, żeby przyprowadził ci dziewczynę, ponieważ twoi agenci nie znaleźli prawdziwego zamachowca. Potrzebujesz jej zeznania, a tylko mój klient może ci ją dostarczyć. Inaczej nie będzie współpracować.

- No tak... - Lefferts odchrząknął i popatrzył na Marcovicciego. - To też chcesz ogłosić? Przyznać, że znaleziono bombiarza dzięki niemu?

Coś we wnętrzu Davida miało ochotę powiedzieć „tak”. To samo, co kazało mu wypatrywać ze stanowiska ratownika topielców i stać na obrzeżu boiska w oczekiwa-

niu na piłkę, którą mógłby złapać. Jednak tylko powiedział:

- Skończyć z tym. Tego chcę.

Jim Lefferts pokręcił głową, na wpół smutny, na wpół rozbawiony, jak gdyby wiedział, że wszystko i tak skończy się płaczem.

- No dobrze - powiedział. - Chce pan odzyskać swoje cenne imię, dostanie je pan, ale bez przeprosin na konferencji prasowej. Raz już był przeciek na pański temat i mógłby się powtórzyć...

60

Judy Mandell znów nuciała pod nosem, głosem tak głębokim, że aż brzęącym niesamowicie.

- Kiedy tak robisz, przypominają mi się słowa: „To był test Radiowego Systemu Alarmowego - powiedział John LeVecque. - Podczas prawdziwego alarmu wszyscy zostaliby wezwani do udania się do bunkrów przeciwiatomowych”.

- Tak cię to denerwuje?

Siedzieli niedaleko ratusza w restauracji, która nazywała się „Spaghetti Western”. Przy barze niedaleko wejścia stał młody prawnik w dwurzędowym włoskim garniturze i przechwalał się kolegom, jakie właśnie wygrał odszkodowanie w sprawie z powództwa cywilnego.

- Trzy koma siedem balona! Ten sędzia mnie kocha!

W boksie naprzeciwko LeVecque’a i Judy siedziała kobieta w średnim wieku o zniszczonej życiem twarzy zniszczonej przez czas modelki Botticellego, mieszała drinka i wpatrywała się w przestrzeń, jak gdyby próbowała się pogodzić z nieudaną randką sprzed lat.

- Co słyhać w sprawie Fitzgeralda?

- Dlatego chciałaś się ze mną spotkać? - LeVecque zachowywał się jak nieszczęśliwy nastolatek, nerwowo przekładając bułki w koszyku.

- Nie rozumiem.

- Zadaję sobie pytanie, czy to jedyne, co nas łączy? Ty pytasz o Fitzgeralda, a ja unikam odpowiedzi.

- John!

Zbliżała się kelnerka i LeVecque kiwnął na nią.

- Poproszę Bass Ale i tequilę.

- Nie wiedziałam, że tak pijesz - zdziwiła się Judy.

- Zmieniłem się. W ciągu ostatnich tygodni wiele rzeczy się zmieniło. Nie układało mi się zbyt w domu.

- Ojej...

- Skąd miałybyś wiedzieć? Nigdy nie pytasz o moje sprawy osobiste. Nasze spotkania to tylko praca, praca, praca.

Uśmiechnęła się. Tak bardzo chodziło jej po głowie to, co napisała o Davidzie Fitzgeraldzie, że w nocy nie mogła spać.

- Szaleję za tobą. O tym chyba wiesz?

Kelnerka przyniosła mu piwo i wódkę. Na ulicy robiło się ciemno, neon za frontową szybą restauracji rzucał kolorowe blaski na chodnik. W sklepie z butami po drugiej stronie ulicy z hałasem spuszczone kratę. Judy spróbowała znów się uśmiechnąć i zmienić temat.

- Słyszałam, że ma zostać aresztowany kto inny.

- Zastanawiałem się, czy nie opuścić dla ciebie żony, choć nawet cię jeszcze nie

pocałowałem. Czy to nie zwariowane?

Judy poczuła wewnętrzności zaciskające się w małą kuleczkę. Coś tu było nie tak. To miało wyglądać całkiem inaczej. Byli sparingpartnerami. Nie wiedział, że flirt jest częścią tej roboty? Miał rodzinę. Po co jej kolejna odpowiedzialność?

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Oparł się tak ciężko o stół, aż zaczął go przechylać. Przytrzymała stół w ostatniej chwili.

- John, czuję się bardzo nieswojo. Może porozmawiamy przez chwilę o czymś innym. Muszę pozbierać myśli.

- Oczywiście, pewnie. Zdaję sobie sprawę z tego, że cię zaskoczyłem. - Wyciągnął rękę, chcąc położyć dłoń na jej dłoni, ale odsunęła się.

Znów zaczęła nucić.

- No dobrze. David Fitzgerald.

- Co z nim?

- Nie jest zamachowcem. Jego prawnicy twierdzą, że lada chwila zostanie oczyszczony.

- Ty pierwsza napisałaś, że jest winny.

- Ty mi to powiedziałeś.

- Nieoficjalnie i nie do druku. - Wyraz twarzy zmieniał mu się tak szybko, jak wirująca karuzela. - Wyciągnęłaś to ze mnie. Zdradziłaś mnie. Nawet nie wiem, dlaczego jestem dla ciebie atrakcyjny. - Dopił piwo i tequilę i zamówił następną kolejkę. - Coś musi być ze mną nie tak.

Judy zapatrzyła się w wino. Naprzód! Przejdź przez to! Zdobądź to, co potrzebujesz do artykułu. Nie przejmuj się osobistymi problemami. Nie daj mu się wciągnąć!

- Wiedzą, kto to zrobił?

- MY wiemy.

- Będzie aresztowanie?

- Tak. Może. Wkrótce. Bardzo szybko. - Znów kilka kolejnych zmian w wyrazie twarzy. - Nie chcę zaczynać od nowa. Nie pozwolę, żebyś mi to ponownie zrobiła.

- Przyznaj tylko jeszcze jedno, dobrze? To prawda, co mówią adwokaci, że współpracuje?

- Tak, chyba tak. Też tak słyszałem.

- Co to ma znaczyć?

- Nie wiem. - Zmierziły mu się włosy, więc je trochę przyklepał. - To, że nie sprawia kłopotów.

- Czyli pomaga prowadzić śledztwo. Mogę tak napisać?

Ponieważ w ostatnich tygodniach waliła w nauczyciela jak w bęben, chciała doprowadzić wszystko do równowagi, nawet za cenę zbytniego wybielenia go niezręcznie. Wyczuwała, że parę razy zamierza jej o tym powiedzieć, ale starała się udawać, że nic nie widzi.

- Pisz, co chcesz. - LeVecque wziął napoje od kelnerki i Judy zauważyła, że drżą mu ręce. - Nie wiem o niczym, Judy. Powiesiłaś mnie do góry nogami. Prawdopodobnie nie powinienem ci mówić ani słowa. Nie powinienem też więcej z tobą rozmawiać, ponieważ znów mnie zdradzisz, lecz nic na to nie poradzę. Wiem, jestem pijany, ale muszę spróbować dotrzeć do przełęcz, gdzie czeka ratunek. Rozumiesz to?

- Nie.

- Mam to gdzieś. I tak mam przesrane.

Wypił jednym haustem tequilę i zabrał się do piwa. W otaczającej ich ciszy słyszeli, jak barman ustawia szklanki.

- Szaleję za tobą - powiedział LeVecque i odstawił szklankę, nieświadom, że na wąsach pozostały mu resztki piany.

- Wiem, John. Ale nie rób tego.

Zdawał się nie słyszeć co powiedziała.

- Wiem, że patrzysz na mnie i widzisz łysiejącego faceta w średnim wieku, zatrudnionego w charakterze miejskiego urzędnika. To tylko pozory. W środku w dalszym ciągu jestem żywy. Umiem naprawdę kochać. Kiedy byłem młody, chadzałem na tańce i patrzyłem na najładniejsze dziewczyny, marząc o zaproszeniu ich do tańca i wiedziałem, że jeśli się zgodzą, uniesiemy się nad parkiet. Taki jestem, Judy. Siedzę w maleńkim gabinecie, wysłuchuję niekończących się bzdur od szefów i dziennikarzy, potem wracam do domu na wyspie i wysłuchuję kolejnych bzdur - tym razem od żony, która mnie nie kocha, i dzieciaków, które mnie nie szanują. Lecz w środku w dalszym ciągu się unoszę. - Przerwał, żeby złapać oddech. - Chcę powiedzieć, że jeśli dasz mi szansę, uniosę się razem z tobą. W dalszym ciągu stać mnie na to, żeby być lepszy niż jestem.

- Och, John... - Dotknęła lekko jego dłoni. Nadzieja w jego oczach zaczęła znikać.

- Nie ma szansy, tak?

- Wychodzę w grudniu za mąż.

Skłamała i poczuła, że przekleła własną przyszłość. Ktoś włączył szafę grającą i z głośników doleciały dźwięki starej melancholijnej piosenki Smokeya Robinsona. Coś o miłości i cudach. Nagle przeszło jej przez myśl, że nigdy też nie urodzi dziecka - nie miała odwagi myśleć dalej. John LeVecque wyprostował się i poprawił krawat.

- To chyba tyle - powiedział i cofnął rękę. - Mam nadzieję, że otrzymałaś to, czego chciałaś.

- John, nie wiem, co powiedzieć.

Wpatrywała się w plamę potu, którą jego dłoń zostawiła na blacie. Czuli się jak po potrąceniu pijaka, który wybiegł przed maskę. Mieszało się w niej poczucie winy ze złością na niego. Tak, dla wydobycia od niego informacji, prowokowała go i grała, ale przecież zgodził się na to, a teraz zaczął się wyplakiwać, jak cierpi z powodu nieszczęść, które prawdopodobnie zaczęły się jeszcze przed jej przyjściem na świat. Tak nie należy robić. Miała poczucie winy, ale z zupełnie z innego powodu. Czuli się winna z powodu artykułów, które napisała o Davidzie Fitzgeraldzie. Popatrzyła na zegarek i przeliczyła, ile czasu zajmie jej powrót do biura i napisanie artykułu do jutrzejszego numeru. Zbliżała się szósta. Musiała także zadzwonić do „Nazisty” i poprosić, by zarezerwował dla niej pierwszą stronę.

- Moglibyśmy wzlecieć nad ziemię - powiedział LeVecque. - Tak za tobą szaleję...

Nagle wyobraziła sobie Johna LeVecque'a jako więźnia skomplikowanego snu. Nie robił nic innego, tylko próbował ją tam wciągnąć... temu przecież służyło gadanie o unoszeniu się i pozostaniu żywym w środku. Nie miało to wielkiego związku z jej osobą, po prostu marzenia smutnego pana w średnim wieku. Wystarczy, że pojawi się kolejna dziennikarka w mini, a będzie miał nowy pretekst do torturowania się i natychmiast o niej zapomni.

Dotarło do niej, że uczestniczy w bardzo starej grze i najwyższy czas przekazać komuś innemu jej rolę.

- John, poproś o rachunek. Robi się późno i muszę zadzwonić.

61

Następnego dnia rano Nasser prowadził, a Jusuf i doktor Ahmed siedzieli z tyłu. Dzień był jakby zdziwiony i nie miał zamiaru się zacząć. Na niebie unosiły się chmury przypominające powyrywane z czaszek mózgi i stare skarpety. W poprzek ulicy stała brązowa furgonetka firmy UPS. Kurdupłowaty Latynos w białej koszuli i krawacie otwierał zardzewiałą bramę magazynów przy West Side.

- Poczekamy dziesięć minut - zarządził doktor Ahmed i wrócił do czytania gazety.
- Pilnuj, czy nikt nas nie obserwuje.

- Mamy błogosławieństwo Allaha - powiedział Jusuf między dwoma kęsami posypanego cukrem pudrem pączka. - Wiem, że się nam uda.

- Inszallah, jeśli Bóg tak zechce. - Doktor trzy razy szybko wygładził gazetę i wściekły spojrzął we wsteczne lusterko nad głową Nassera.

Od przedwczorajszego wieczoru, kiedy Nasser wymknął się na spotkanie z profesorem, panowała między nimi napięta atmosfera. Doktor Ahmed oskarżył go o zdradę i chęć pójścia na policję, potem zażądał dokładnego pokazania trasy, jaką jechał i przekazania wszystkiego, o czym rozmawiał z Ibrahimem.

- Yinana bouk - rzucił kilka razy. - Jeśli się okaże, że nas zdradziłeś, zabiję całą twoją rodzinę.

Najgorsze było to, że tak naprawdę doktor niewiele się mylił. Od rozmowy z profesorem Bin-Khaledem zżerały go wątpliwości. Zastanawiał się, czy nie jest tak, że doktor tylko dlatego naciska na zamach, ponieważ chce doścignąć dawnego przyjaciela Mehdiego. Czyżby w grę wchodziło coś więcej poza poświęceniem dla Boga? Na dodatek dowiedział się, że Ahmed nie jest ani doktorem medycyny, ani chemii, lecz psychologii, czyli kimś umiejącym manipulować umysłami młodych ludzi.

Nasser popatrzył na klamkę i całą siłą woli powstrzymywał się przed szarpnięciem jej i ucieczką między jadące Dziesiątą Aleją samochody. Znaleźć się jak najdalej od Jusufa i doktora Ahmeda. Daleko od imama i jego mętnych wskazówek. Nie chciał zostawać męczennikiem. Chciał zapomnieć o przeszłości, wojnie, bombach, zabitym kierowcy, obietnicy wiecznej chwały. Zacząć wszystko od nowa. Zmienić nazwisko. Ukształtować siebie od nowa. Ludzie w Ameryce ciągle to robią.

- Popatrz na to. - Doktor Ahmed rzucił w Jusufa gazetę. - Dobrze, że zaraz zaczynamy. Kończy nam się czas.

- Co się stało? - Nasser popatrzył na nich w lusterku.

Jusuf pociągnął się za brodę i wbił wzrok w gazetę, podczas gdy doktor odwrócił głowę, wyglądając przez tylną szybę.

- Twój nauczyciel już się wywinął z kłopotów. - Jusuf poprawił okulary. - Piszą,

że już nie jest podejrzany. Współpracuje z policją, choć tego nie rozumiem. Jak może współpracować, jeśli o niczym nie wie?

- Może coś wie. - Doktor Ahmed znów popatrzył przed siebie.

Nagle przestał się wiercić, wycierać nos, pociągać za brodę i robić inne szybkie ruchy. Zamarł w bezruchu.

- Co się stało, szejku? - spytał Nasser. - Wyglądasz na zdenerwowanego. Doktor oblizywał wargi.

- Obserwują nas - powiedział spokojnie. - Kto?

- Ludzie w furgonetce za nami. Nie odwracaj się za szybko.

Nawet bez patrzenia w lusterko Nasser wiedział, o jaką furgonetkę chodzi. O niebieskiego dodge'a z zaciemnionymi szybami, tablicami rejestracyjnymi z New Jersey i dodaną dziś naklejką na zderzaku z napisem NIE ŚMIEJ SIĘ, W ŚRODKU MOŻE BYĆ TWOJA CÓRKA. Zauważył ją, kiedy dojeżdżali do magazynów i wydała mu się znajoma. Teraz był niemal pewien, gdzie widział ją poprzednio: wczoraj po południu, gdy kupował przy Foster Avenue w Brooklynie pięćdziesiąt litrów oleju napędowego do produkcji had-duta.

- Myślisz, że to policja? - spytał doktora Ahmeda.

Zapadła chwila przerażającej ciszy.

- Na proroka, musimy się stąd wydostać - jęknął Jusuf. - Jedź, przyjacielu, jedź. - Skrzywił się i pochylił do przodu, jakby dostawał zawału.

- Nie panikuj - powiedział doktor Ahmed. - Uruchom silnik i powoli objeżdż kwartał budynków. Zobaczymy, czy pojedą za nami.

Nasser przekręcił kluczyk i ostrożnie odjechał spod krawężnika. W tym samym momencie silny wiatr wymiół na jezdnię śmieci i na chwilę chmury zasłoniły słońce.

Widział jak furgonetka rusza, zaraz się jednak zatrzymała, jak gdyby kierowca

otrzymał od kogoś polecenie. Nasser niemal czuł na sobie wzrok obserwujących ich zza ciemnych szyb ludzi, czekających, co zrobią.

- Może to przypadek, szejku. - Jusuf odwrócił się i patrzył w tył. - Nie wygląda na to, żeby jechali za nami.

- Zobaczymy, kiedy wyjedziemy zza rogu.

Nasser powoli objechał kwartał, czując pulsowanie krwi w karku. Widział w lusterku, jak doktor Ahmed szepce coś do ucha Wielkiemu Niedźwiedziowi, a potem wyciąga zza paska rewolwer. Przypomniawszy sobie, że doktor nosił przy sobie jedyną broń palną, jaką posiadali - trzydziestkę ósemkę, którą Jusuf kupił w lecie od dominikańskiego handlarza.

- T'awa kaf - rzucił doktor, gdy ponownie zbliżali się do magazynów. - Zatrzymaj się.

Tym razem zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. Furgonetka UPS zniknęła. Ulicą, niczym miejski huragan, śmigały taksówki i motocykle, powodując bezsensowne zamieszanie i hałas. Niebieska furgonetka stała tam, gdzie poprzednio, może trochę bliżej bramy prowadzącej na teren magazynów.

- To na pewno oni - powiedział doktor Ahmed.

Nasser nie widział jego dłoni, ale ramiona leciutko mu podrygiwały, jakby sznurował buty albo ładował broń. Najchętniej odwróciłby się i popatrzył, ale bał się odebrać wzrok od lusterka.

- Kto mógł im powiedzieć, że tu będziemy? - spytał Jusuf i połknął kolejną pigułkę. Z gardła wydobywał mu się charkotliwy dźwięk. - Nic z tego nie rozumiem.

- Może zapytamy naszego kierowcę? - Doktor zgrzytnął zębami. - To on wyszedł z mieszkania pokręcić się po mieście.

Nasser patrzył na zatrząsk drzwi - mały czarny wciśnięty do końca sztyfcik blokował wyjście. Dlaczego pozwolił minąć chwili, w której jeszcze mógł uciec? Dlaczego pozwolił minąć tyłu innym chwilom? Zawsze tracił wszystko przez brak zdecydo-

wania. Gdyby był młodszy i zdeterminowany jak kiedyś, mógłby działać bez zastanowienia - uciekłby albo wysadził się, ale miałyby spokój. Teraz tkwił uwięziony między dwiema możliwościami.

- Szejku, nie rozmawiałem z nikim poza moim przyjacielem - powiedział, odwracając się do Jusufa i doktora Ahmeda. - Jemu też o niczym nie powiedziałem.

- Już to mówiłeś. - Doktor położył rewolwer na kolanach w tak widoczny sposób, że dostrzegłby go każdy, kto zajrzałby do samochodu.

- Nikogo nie zdradziłem! Moje serce jest uczciwe! Prędzej obciąłbym sobie rękę! Przecież wiesz, że mnie torturowano i...

Wiedział, że zaraz umrze. Albo doktor go zastrzeli, albo zginą w walce z policjantami z niebieskiej furgonetki.

- Więc skąd wiedzieli, że tu będziemy? - spytał Jusuf.

Jego stary przyjaciel Wielki Niedźwiedź... substytut ojca, kolejny raz odwracał się do niego plecami.

- Nie wiem. Może jechali za nami.

- Nikt za nami nie jechał. - Doktor położył dłoń na rewolwerze. - Czekali, kiedy tu przyjechaliśmy.

- Zaczekaj. - Jusuf uniósł podbródek, jakby ujrzał niebiańskie światło. - Ten magazyn wynajęła dla nas twoja siostra, tak?

Nasser miał wrażenie, że niebo nagle pociemniało.

- Sam kazałeś tak zrobić - powiedział. - Moja siostra na pewno nie wezwała policji.

- Skąd więc się dowiedzieli? - Doktor dyszał Nasserowi prosto w kark. - Nie ma innej możliwości. Albo ty im powiedziałaś, albo ona. Które z was to zrobiło?

Nasser, niezdolny do powiedzenia słowa, patrzył przez boczną szybę na furgonetkę. NIE ŚMIEJ SIĘ, W ŚRODKU MOŻE BYĆ TWOJA CÓRKA. Dla niego jednak napis na naklejce brzmiał: NIE ŚMIEJ SIĘ, W ŚRODKU MOŻE BYĆ TWOJA SIOSTRA. Czy Elizabeth komuś coś powiedziała? Nie, to nieprawdopodobne, choć zawsze było w niej coś, co wydawało mu się odległe i obce. Czy to możliwe, żeby aż tak oszalała?

- Komu miała coś powiedzieć... - wydusił resztką sił.

- Może temu nauczycielowi, o którym piszą w gazecie, że współpracuje. - Jusuf zwinął gazetę i uniósł jak pałkę. - Mówiłeś, że się boisz, bo są ze sobą zbyt blisko.

- No właśnie - wtrącił doktor. - Może uprawia z nim seks i to pozbawiło ją rozumu.

Nasser odniósł wrażenie, że wsadzono mu głowę pod wodę. Choć patrzył ku powierzchni, nic nie słyszał. Między nim a resztą świata pojawiła się ściana. - To niemożliwe...

- Ty albo ona. - Ahmed wzruszył ramionami i pomacał rewolwer. - Jeśli ona, to oznacza, że zhańbiła rodzinę i musi umrzeć.

- To nie ona - tępo powiedział Nasser.

Targały nim emocje splątane jak kłęb drutu kolczastego i bał się go rozplątywać. Wyobrażenie, że Elizabeth łączy seks z Davidem Fitzgeraldem było nie do wytrzymania. Aby je znieść, musiał stracić czucie.

- Jeśli nie ona, to ty - nie popuszczał doktor. - W takim przypadku powinieneś zdechnąć jak pies i po wsze czasy smażyć się w piekle. Twoja rodzina zostanie okryta hańbą. Też powinni pozdychać jak psy.

- To nie ja...

- Udowodnij to! - zawył doktor. - Zrób to natychmiast! Jedź. Do szkoły. Koniec czekania.

- A co z materiałami w magazynie? - Jusuf niezbornym gestem wskazał w kierunku bramy. - Wydaliśmy na nie prawie trzy tysiące dolarów...

- Zostawiamy. - Doktor opadł na oparcie i machnął ze zdenerwowaniem rewolwerem. - Nie ma czasu na bomby paliwowe. Mamy w mieszkaniu dość dynamitu. W dwie godziny zrobimy włącznik i będziemy gotowi. Nie marnujmy tu więcej czasu.

- Ależ szejku... - zaprotestował Jusuf. - Nigdy nie mówiłem, że chcę sha-heen. Mam żonę i dzieci.

- To wola Allaha! - wrzasnął doktor. - Tylko on nas prowadzi. To, co ma się stać, jest już dawno postanowione. Jesteś na tyle potężny, by mu się przeciwstawiać? To chcesz mi powiedzieć?

- Nie... - odparł płaczliwie wielki Niedźwiedź.

Na te słowa Nasser skurczył się z przerażenia. Dotarło do niego, że przed wnieśieniem bomby do szkoły nie wyprowadzi z niej Elizabeth. Jeśli jednak zaprotestuje albo będzie dalej zwlekał, Jusuf i doktor na pewno zastrzelą go na miejscu, a potem i tak pójną podłożyć bombę. Elizabeth... Próbował sobie przypomnieć, jak patrzyła na Fitzgeralda na parkingu, zanim podjechał. Jedyne, co do niego docierało, to sposób, w jaki przed nim stała i na niego patrzyła - jak kwiat, który otwiera się do słońca. Jeśli pozwoliła mu się do siebie zbliżyć, zasłużyła na śmierć.

- Jedź - powiedział doktor Ahmed. - Na północ, na południe, byle nie za szybko. Musimy zgubić furgonetkę, ale nie łam przepisów i nie dawaj im pretekstu do zatrzymania nas. Zaszliśmy za daleko, żeby popełnić głupi błąd.

- A co z ochroną przez Boga? - spytał Nasser, próbując się pogodzić z losem. - Jeśli Jego wola jest, byśmy zostali powstrzymani?

- Jedź.

62

David przyjechał do mieszkania przy Dziewięćdziesiątej Ósmej Zachodniej ulicy wcześnie rano, żeby zostawić Renee cotygodniowy czek na czterysta dolarów i jeśli to

możliwe, odprowadzić Arthura do szkoły. W metrze zauważył, że ludzie już się od niego nie odsuwają ani nie wysiadają na jego widok. Albo poranna prasa go zrehabilitowała, albo zapomnieli, kim jest. Powietrze na ulicy wydawało się czystsze, delikatniejsze, ale w mieszkaniu zastał duszną atmosferę. Renee jeszcze nie zdążyła się ubrać i chodziła w szlafroku, przy drzwiach wejściowych piętrzyły się puste kartony. Zaciągnięte do połowy zasłony w salonie nadawały kolorowym ścianom szary odcień. Z radia w kuchni dolatywała muzyka jakiegoś big-bandu.

- Co się dzieje? - spytał David. - Ktoś umarł?

- „...dzisiaj błyskawice oświetlają świat! - odpowiedziała Renee głosem cichym, dobiegającym jakby z oddali. - Ale jestem ci wierniejszy niż to sobie postanowiłem”.

- Co?

- „...bo dzisiaj błyskawice oświetlają świat! - Usiadła pod plakatem Margot Fonteyn. - Zgaś swoje świece...”

- Szklana menażeria. - David rozpoznał cytaty. - Z tym, że w sztuce chyba nie mówi tego kobieta, lecz syn?

- Czy to ważne? - Renee dotknęła palcem wargi. - Słowa to słowa.

David rozejrzał się - meble zostały ustawione na dawnych miejscach, ale czegoś brakowało. Było za mało gratów, a za dużo wolnego miejsca. Dywan wydawał się zbyt czysty. Jak gdyby Renee zaczęła sprzątać mieszkanie w napadzie maniackalnej aktywności i w którejś chwili przerwała, czując nadchodzącą niemoc. Przy kartonach stały dwie płócienne torby.

- Gdzieś wyjeżdżasz? - spytał w obawie, że może jednak zamierza wywieźć Arthura.

- To nie moje. Nigdzie się nie wybieram.

- Renee, co się dzieje? - Usiadł obok niej. - Dziś możemy się cieszyć. Czytałaś gazetę? Już po wszystkim. Nie jestem podejrzany.

- Gratuluję - powiedziała, nie patrząc na niego. - Powinnam się cieszyć.

- Chyba tak.

- Od rana dzwonią dziennikarze i pytają o ciebie - powiedziała, odsuwając palce od ust. - Paru chciało wiedzieć, czy naprawdę cofam to, co przedtem powiedziałam... o tym, jaki byłeś wobec mnie i Artura.

-I co powiedziałaś?

- Że nastąpiła okropna pomyłka. - Pomasowała sobie nogę i wyjęła z kieszeni szlafroka paczkę papierosów. - Że żałuję tego, co powiedziałam.

- To miłe z twojej strony.

- Nie jestem miła. - Wstała i zapaliła papierosa. - Nie jestem także okrutna. Nie umiem sobie po prostu ze sobą poradzić.

Nie były to przeprosiny, lecz stwierdzenie faktu.

David rozejrzał się ponownie, przez dym z papierosa poczuł zapach zwiędłych róż. Może był przewrażliwiony, nie odprężył się na tyle, żeby wrócić do społeczeństwa. Jeszcze nie wierzył w trwałość nowej sytuacji. W dalszym ciągu pozostawał człowiekiem czekającym na uderzenie pioruna.

- Gdzie Anton?

- Nie ma go.

- Nigdy nie słyszałem o muzyku, który wstaje tak wcześnie.

- Bo nie wstaje. - Wykrzywiła połowę ust. - Właśnie spakował rzeczy i do piątku się wyprowadza. Na razie mieszka u kolegi.

- O! - David jeszcze raz popatrzył na torby i pudła przy drzwiach.

Przez chwilę paliła w milczeniu, jakby papieros ją uspokajał.

- Postanowił jechać do Los Angeles bez nas. Ponieważ zostałeś uznany za niewinnego, sędzina Nemerson zawiesi sprawę o przyznanie opieki, wobec czego stwierdził, że nie ma tu dla niego miejsca. Miał dość. Uważa, że to się nigdy nie skończy.

- Nasz rozwód?

- To, jaka jestem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Co miał twoim zdaniem na myśli?

- Może bał się, że nie jest mi pisane szczęśliwe zakończenie - powiedziała beznamiętnie, nagle znajdując popielniczkę. - Rozwiązesz wszystkie moje problemy, zaraz masz następne. - Popatrzyła na Davida zza opadających na zaczerwienione oczy włosów. - Chyba już dawno to zauważyłeś.

Wyjął czek i położył go na stoliku.

- Przykro mi - powiedział.

- Nie myślałeś o sprowadzeniu się tu z powrotem? - Jeszcze zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zaczęła kręcić głową.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

Trudno mu było uwierzyć, że jeszcze kilka tygodni temu miał nadzieję, że wszystko da się połatać i znów się zejdą. Miała rację - niepisane jej były szczęśliwe zakończenia. Płonęła nieszczęściem i choć nie miała takiego zamiaru, spalała każdego, kto się do niej zbliżył.

- Chciałbym dziś odprowadzić Arthura do szkoły. Wiem, że formalnie biorąc, to wbrew ustaleniom, ale...

- Oczywiście. - Machnęła ociężale ręką z papierosem, zostawiając w powietrzu smugę dymu. - Może będziesz miał więcej szczęścia ode mnie w wyciąganiu go z po-

koju.

David wstał i poszedł do sypialni syna.

Ten dzień nie tak miał się zacząć. Planował wyjście z mroku. Wyobrażał sobie jak idzie Broadwayem, niosąc Arthura na barana, a za nimi biegną kamerzyści. Trudne chwile miały nadejść później - kiedy będzie wioził Elizabeth na rozmowę z FBI.

- Hej stary, wychodź. - Nie doczekał się reakcji na pukanie, więc zaczął kręcić gałką drzwi. - Przyszedłem odbyć z tobą triumfalną rundę.

- Uciekaj, tato - dobiegł głos zza drzwi. - Ciągłe cię gonia.

- Arthur, wszystko już jest w porządku. - Zirytowany i zdezorientowany znów pokręcił gałką. - Złe czasy minęły.

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, pchnął drzwi, lecz nic się nie zmieniło. Pchnął jeszcze raz i doszedł do wniosku, że Arthur musiał je podeprzeć krzesłem. David poczuł niepokój. Boże, proszę, tylko nie to. Nie pozwól, żeby mój syn oszalał jak matka. Za daleko zaszliśmy, to nie może się zdarzyć.

- Arthur, nikt po ciebie nie przyjdzie. Przysięgam. Żli ludzie już sobie poszli.

Zza drzwi dobiegały ciche stuknięcia, trzeszczenie desek parkietu, charkotliwe oddechy. Czyżby Arthur się barykadował? David oparł głowę o drzwi, zastanawiając się, czy powstała sytuacja nie ukarze go na koniec kopniakiem w zęby. Przez ostatnie dni tak bardzo starał się ratować własną skórę, że nie dostrzegł, jak oddala się od niego własny syn.

- Arthur, proszę. Robiłem to wszystko dla ciebie. A teraz straci to jakąkolwiek wartość, jeśli nie będę mógł być z tobą. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale chcę tylko... - Przerwał dla zaczerpnięcia tchu. Nie chciał obciążać dziecka, lecz nie wolno mu utracić z nim kontaktu. - Chcę cię tylko zaprowadzić do szkoły. Uwierz mi. Wszystko będzie dobrze.

Drzwi się uchyliły.

- Obiecujesz? - W szparze pokazało się zielone oko.

- Jeśli ktoś spróbuje za nami iść, przeszyję go mieczem.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i Arthur wyskoczył z pokoju. Ubrał się w drel-
chowe spodnie odwrócone tyłem do przodu, czerwoną flanelową koszulę i odwrotnie
włożone buty. W pokoju panował nieopisany bałagan, jak po całonocnym szalonym
festiwalu lego.

- Gdzie masz miecz? - spytał Arthur.

- Musimy go najpierw znaleźć. - David ujął chłopca za rękę i pociągnął w kierun-
ku salonu.

Mieli jeszcze dość czasu na śniadanie i porządne ubranie Arthura, w tej chwili
jednak musiał jak najprędzej wyprowadzić małego z mieszkania. Jeśli dłużej w nim
zostanie, coś może go połknąć. Zła chmura.

- Tu masz torbę, skarbie. - Renee wyszła im naprzeciw z plecakiem Arthura. -
Włożyłam ci do środka inhalator. - Pochyliła się i objęła syna, potem wyprostowała
się, wspięła na palce i pocałowała Davida w policzek.

- Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku i będziesz się mógł zająć naszym sy-
nem - szepnęła mu do ucha.

Położył jej dłoń na ramieniu, a kiedy odsunęła się, popatrzył na nią. Palenie i
zmartwienia wyryły jej na twarzy nowe zmarszczki, a leki, które brała, pozbawiły oczy
blasku. Nagle wyobraził sobie kilka najbliższych lat, jakie ją czekają: gorączkowe po-
szukiwanie możliwości wyrażania siebie, przechodzące powoli w bezwład i długie
smutne dni na kanapie z papierosem w rękę. Łudził się nadzieją, że nie skończy tra-
gicznie, ale bez względu na to, co było jej pisane, nie miał żadnego wpływu na to, w
jaki sposób upłynie jej życie.

- Nie poprawia mi się, co? - spytała cicho.

- Nie wiem.

Kiedy otworzyła im drzwi, wziął syna za rękę. Jego na pewno uratuję - pomyślał. Cóż, nie było mu pisane miejsce w annałach baseballu ani uratowanie pięknej dziewczyny przed utonięciem - był człowiekiem odprowadzającym rano syna do szkoły.

- Bądź dla siebie dobra, Renee.

Wyszli na korytarz i drzwi zatrzasnęły się za nimi.

63

Elizabeth siedziała w stołówce i przyglądała się, jak pan Fitzgerald chodzi wokół, przyjmując gratulacje od nauczycieli i uczniów. Znów zaczęła myśleć o ojcu i rzece Jordan. O obmywającej kamienie wodzie i znikającym za jego plecami dzieciństwie. Tak właśnie się czuła. Jakby od reszty świata oddzielała ją rzeka.

Za kilka godzin pan Fitzgerald przeprowadzi ją przez inną rzekę - pojedą na spotkanie z agentami FBI. Agenci chcieli, by pojechała z nimi od razu, ale adwokaci pana Fitzgeralda poradzili jej, by poczekała, aż wytargują dla niej od FBI immunitet.

Na myśl, jaki będzie to miało wpływ na ojca, czuła ból w piersi. Chciała coś mu powiedzieć wczoraj wieczór, ale nie miała odwagi. Jego jedyny syn okazał się terrorystą, a córka oddawała go w ręce policji. Ojciec. Zawsze oczekiwał od życia ciężkiej pracy i zapewnienia rodzinie domu, miejsca, w którym mogliby żyć razem. Wiele razy opowiadał jej o swym marzeniu, że jeśli będzie wystarczająco ciężko pracował, a Bóg uśmiechnie się do niego w swej łasce, może uda mu się zbudować dom pod Betlejem, gdzie wróci, żeby umrzeć w cieniu drzewa pomarańczowego, otoczony dziećmi i wnukami.

Teraz to marzenie się skończyło, ale jeszcze o tym nie wiedziała. Elizabeth rozejrzała się po jadalni, w której zmieściłoby się boisko do koszykówki, wypełnionej przynajmniej przez pięciuset uczniów roześmianych, żartujących, szpanujących przed sobą junacką, łatwą pewnością siebie. Świat, do którego już nigdy nie będzie należeć. Akurat dziś wypadł w jej klasie „niebieski dzień”. Idiocyzm. Nie był to „dzień oficjalny”, jak na końcu roku, lecz efekt chwilowej mody. Ponieważ tak kazał dyskdzokej ze stacji WBLS, każdy powinien mieć na sobie przynajmniej jedną niebieską rzecz. Meny Tyrone miała w białych sportowych butach niebieskie sznurowadła, a Seniqua Rollins

włożyła niebieską bluzę z kapturem. Elizabeth ubrała się w zwykły czarny podkoszulek i zielone spodnie od dresu - przy tym, co miało się wydarzyć, włożenie czegokolwiek innego wydawało jej się frywolne.

Otworzyła książkę i spróbowała zapomnieć o rzeczywistości, czytając kolejny raz Opowieść o dwóch miastach Dickensa, ale słowa nie chciały ożyć. Jej umysł ogarnęło zbyt wielkie napięcie. Dlaczego w większości książek kobiety dokonywały cichych poświęceń, których nikt nie zauważał, podczas gdy mężczyźni stawali na szubienicach i mogli wygłaszać wielkie przemówienia?

- Co słysząc? - David Fitzgerald okrążył jadalnię i stanął nią.

- Chyba wszystko gra. - Oblizwała wargi i przewróciła kilka kartek. - Trochę się denerwuję. Jestem głodna, ale nie mogę jeść.

Na talerzu przed nią leżał nietknięty kawałek niedogotowanego kurczaka i kupka wystygłego puree z ziemniaków.

- Posłuchaj - uklęknął przy niej - nie powinniśmy zbyt długo rozmawiać, żeby nikt nie zaczął czegoś podejrzewać. Agenci FBI czekają na zewnątrz i zawiozą nas za parę godzin do miasta. Chcę się tylko upewnić, czy podtrzymujesz swoją decyzję.

- Sama nie wiem. - Pociągnęła za skraj koszulka.

- Nie wiesz?

- Zastanowiłam się i chciałabym, żeby do aresztowania mojego brata władze przetrzymały mnie w hotelu na Manhattanie. Nie będę w stanie kłamać mu w oczy. Myśli pan, że to tchórzostwo?

Popatrzył na jej talerz i zwiesił głowę. - Nie.

- A ja myślę, że tak. - Pociągnęła nosem.

- Jeśli ktokolwiek jest tchórzem, to raczej ja - powiedział.

- Jak to?

Rozejrzeli się - coraz więcej oczu obracało się ku nim i obserwowało niemal intymną scenę.

- Nieważne. Porozmawiamy o tym w samochodzie. Oboje musimy zdawać sobie sprawę z konsekwencji tego, co ma nastąpić. Nie chcę sam odpowiadać za zniszczenie twojej przyszłości.

Spojrzała ponad nim, bowiem przy wejściu coś kipiało, rozbrzmiewało jak zbieranie się wielkiej fali na morzu.

- Może więc pan nie jest... tchórzem - powiedziała i wróciła do czytania.

Nasser, Jusuf i doktor Ahmed przyjechali przed szkołę tuż przed pierwszą. W którymś momencie w ostatnich kilku godzinach, podczas mocowania drutów i przyklejania dynamitu, dudnienie w uszach Nassera stało się tak głośne, że właściwie nic poza nim nie słyszał.

Myśli rozbiegły się we wszystkie strony. Stał na schodach wejściowych, myślał o ruchu ulicznym, honorze i końcu stulecia. Łaski dynamitu wbijały mu się w brzuch, a taśma klejąca rwała skórę na plecach. Czy naprawdę nie było pod koniec wieku lepszego sposobu rozwiązywania problemów?

Doktor Ahmed otworzył drzwi wejściowe i wszedł pierwszy. Zamiast Murzyna w wyprasowanych w kancik spodniach - przy detektorze metalu stało dwóch potężnych białych mężczyzn, którzy wydawali się czekać na konfrontację. Agenci FBI. Nasser natychmiast ich rozpoznał po barbarzyńskim wyglądzie, identycznym jak Calloway, który przesłuchiwał go w biurze firmy. Ludzie z lodu. Agent z lewej miał takie same piaskowe włosy i błękitne oczy, jak izraelscy żołnierze w historii, którą opowiadał ojciec. Kiedy zobaczył Nassera i jego dwóch towarzyszy, zaczął gmerać przy kurtce, jakby zamierzał wyciągnąć broń.

Dudnienie w głowie Nassera zrobiło się jeszcze głośniejsze; jakiś młot zdawał się walić w podstawę czaszki.

- Dzień dobry - usłyszał własny głos - przyszedłem zostawić u dyrektora wniosek o przyjęcie do szkoły. Powiedział, że mnie przyjmie.

Tak jest... tak właśnie zamierzał. Jednak był bohaterem.

Niebieskooki popatrzył na partnera, łysiego, skromnie wyglądającego mężczyznę o jasnych brwiach.

- Hej, Don - głos Niebieskookiego przebijał się przez dudnienie w głowie Nassera jak bzykanie muszki. - Weźmiesz radiotelefon i powiesz, że mamy gości?

Powietrze na chwile stężało. Ręka Niebieskookiego zniknęła w kieszeni i zaczął schodzić po schodach, stukając obcasami w rytm łomotu w głowie Nassera.

- Przepraszam panów - powiedział, kiedy podszedł, zachowując się z przesadną grzecznością agentów rządowych, która w ułamku sekundy mogła się zmienić w brutalną siłę. - Macie jakieś dowody tożsamości?

Stojący na przy Nasserze doktor Ahmed i Jusuf popatrzyli po sobie. Dwaj ludzie, którzy tyle od niego oczekiwali. Ryzykowali dla dżihadu własne życie. Życie tego świata jest jedynie grą, jego bogactwa chwilowe. Prawdziwa nagroda przychodzi potem. Nasser próbował ostatecznie przekonać siebie, że to prawda. Może prawda otwory się przed nim, jeśli zachowa się teraz jak należy. Bohater się poświęca. To jego obowiązek. Każdy uczy się o tym w szkole.

- Oczywiście - powiedział doktor Ahmed - oto nasze dowody tożsamości.

Sięgnął pod kurtkę, wyciągnął rewolwer i zanim drugi agent zdążył zareagować, strzelił każdemu z nich raz w głowę, a dla poprawki drugi raz w pierś.

Kiedy weszli trzej intruzi, David Fitzgerald stał na środku stołówki i rozmawiał z Henrym Rosenthalem o nieruchomościach i procesach sądowych. W ułamku sekundy pojął, że nadeszła zmiana nie tylko okoliczności, ale całej struktury jego życia.

Pierwszy intruz był wysoki, gruby, łysy i miał siwą brodę. Przeszedł przez stołówkę i stanął przy wschodnim wyjściu awaryjnym, niczym członek ochotniczej straży pożarnej. Drugi był niższy, miał pociągłą końską twarz i tani garnitur bez krawata. Sprawiał wrażenie niezwykle niecierpliwego - jakby przez pół dnia kazano mu siedzieć w poczekalni lekarza. Trzecim był rozkojarzony, o dzikich oczach Nasser Ha-

mdy - wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zauważyć, że to człowiek z misją.

Minął Davida, podszedł prosto do siedzącej samotnie przy pobliskim stole siostry i wbił w nią wzrok. Nie było to spojrzenie kochającego brata, patrzył na nią bez litości i wybaczenia. Po chwili podjął decyzję. Wszedł na wolny stół obok niej i obydwoma rękami rozerwał koszulę.

Przez kilka sekund stał bez ruchu z rozpostartymi ramionami, obserwując wielką stołówkę, ukazując nagi tors ze zwisającym z szyi kluczykiem i przylepionymi do tułowia pięcioma brązowymi laskami dynamitu. Prezentował się, jakby chciał powiedzieć: Podchodźcie i przyglądajcie się Niesamowitemu Wybuchającemu Chłopakowi z Coney Island!

Przez stołówkę przebiegła fala przerażenia. Pięćset dzieciaków wstało, zaczęło się drzeć i szykować do ucieczki.

- Oż ty w mordę!

- Boże jedyny!

- Złaż stamtąd, czarnuchu!

David miał wrażenie, że oderwano mu głowę, a kora nadnerczy doznała spięcia. „Co ja tu robię?” Popatrzył na główne wejście i zobaczył, jak ten niski o końskiej twarzy wyciąga rewolwer i bije nim w twarz Triskę Cornwell, która próbowała go minąć. Przewróciła się na podłogę, zupełnie zdezorientowana, z ust i nosa ciekła jej krew, podczas gdy on unosił z dumą broń, gotów zastrzelić każdego, kto spróbuje wyjść. Stojący przy wyjściu awaryjnym, podobny posturą do niedźwiedzia mężczyzna, opierał się o drzwi i choć nie trzymał w ręku broni, jego postawa wyraźnie wskazywała na to, że ją ma.

Choć strach skręcał mu kiszki, David kalkulował możliwości. Jeśli ktoś zaatakuje Nasserę, prawdopodobnie zdetonuje dynamit za pomocą zwisającego u paska przełącznika i zabije każdego znajdującego się w bezpośredniej bliskości. Jeśli dzieciaki spróbują uciekać, Końska Twarz bez wątplenia zabije kilkoro z nich, wielu nawzajem się strati, a bomba i tak może wybuchnąć.

- No, dawaj, ty niedodolany terrorysto bez fiuta! - wrzeszczała na Nassera Seniqua, kołysząc ciężarnym brzuchem. - Zejdź, to ci skopię pedalskie dupsko!

Meny Tyrone trzymała ją za ramiona i płakała, ciągnąc koleżankę do tyłu. Kevin Hardison podskakiwał za nimi i wrzeszczał:

- Dawaj, czarnuchu! Dawaj!

Nydia Colone klęczała i głośno się modliła. Krnąbrny Q, Ray-Za i pięciu innych chłopaków wcisnęło się w kąt i układało napędzany testosteronem szalony plan zabrania się za wszystkich terrorystów naraz.

David uświadomił sobie, że musi zapanować nad sytuacją. Wspiął się na stół obok Nassera, podniósł ręce i wrzasnął ile sił w płucach:

- SŁUCHAJCIE, LUDZIE! SPOKÓJ!

Wszystko w ułamku sekundy zamarło. Dzieciaki zeszywniały i zamilkły. Nasser opuścił nieco ręce. Nawet obaj starsi mężczyźni popatrzyli na niego, zaciekawieni, co ma do powiedzenia.

Niestety, David, spływający potem i przepelniony adrenaliną, nie miał pomysłu, co dalej. Liczba podobnych sytuacji, jakie przeżył, równała się zeru. Przychodziły mu do głowy jedynie słowa ojca: „Po prostu musisz iść dalej”.

- Co się dzieje?! - ryknął do Nassera.

Odpowiedział Końska Twarz:

- Jesteśmy tutaj, nie ma bowiem innego sposobu na zwrócenie waszej uwagi! - Zostało to powiedziane dość sztywnym językiem angielskim, wyuczonym na zagranicznym uniwersytecie. - Jesteście zbyt zajęci oglądaniem telewizji! Muzułmanie na całym świecie cierpią, a was nic to nie obchodzi! Wspomagacie naszych oprawców, bo jesteście tchórzami i hipokrytami! Choć wydaje się wam, że jesteście bohaterami! - Patrzył po twarzach uczniów, sprawdzając, czy któryś rozumie jego przesłanie. Aby nie gadać po próżnicy, spróbował się dostosować do ich poziomu. - Gdyby istniało miasto, w którym wolno mieszkać i posiadać różne rzeczy tylko białym, powiedzieli-

byście, że to rasizm! A dokładnie coś takiego wspieracie! Wspieracie, bo ten kraj powstał dzięki rasizmowi, niewolnictwu Czarnych i zabieraniu ziemi Indianom. Potem jako pierwsi zastosowaliście terroryzm, zrzucając bombę atomową na Japonię i zabijając setki tysięcy kobiet i dzieci! Dlatego jest to jedyny język, jaki rozumiecie!

David widział, że jakkolwiek próba rozmowy z tym człowiekiem jest bez sensu. Końska Twarz należał do tych, którzy urodzili się rozpaleni i byli nikim w czasach pokoju. Nasser lepiej się do tego nadawał. Był młody i nie do końca ukształtowany. Może jeszcze nie zamienił się w monolit niezaspokojonej wściekłości.

- Nasser, dlaczego to robisz? - spytał i odwrócił się do chłopaka. Stali na tej samej wysokości, jakieś trzy metry od siebie. - Jest tu twoja siostra. To są twoi przyjaciele. Chcesz ich skrzywdzić?

- To nie są moi przyjaciele! - wypluł z siebie Nasser. - A moja siostra jest dziwką! Ty ją taką zrobiłeś!

Elizabeth zamknęła oczy, jakby nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co się działo. Seniqua pogroziła Nasserowi pięścią, a reszta dzieciaków zawrzała. Byli gotowi przy pierwszej okazji rzucić się na intruzów. David rozejrzał się i gestami dłoni uspokajał obecnych, w nadziei, że nikt nie wyskoczy i nie zrobi nic głupiego, co spowodowałoby natychmiastową śmierć wszystkich obecnych.

- Nie jestem dziwką, Nasser - odezwała się w końcu głęboko urażona Elizabeth. - Moje serce jest tak czyste jak twoje.

- Więc dlaczego? - Nasser wbił w nią wzrok, jego chuda pierś poruszała się gwałtownie. - Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego tak się zachowujesz? Dlaczego mnie zdradziłaś? Dlaczego wszystko jest tak, jak jest?

Słyszac cierpienie w jego głosie, David poczuł do chłopaka coś na kształt sympatii... tylko te laski dynamitu, które w dalszym ciągu opinały mu tułów.

- Starczy tego. - Końska Twarz postanowił odzyskać panowanie nad sytuacją. - Wszyscy muzułmanie wychodzą z wyjątkiem siostry Nassera. Mają przekazać nasze słowa. Reszta zostaje.

Zapanowało poruszenie i przy mężczyźnie stanęło jakieś dwadzieścioro dzieciaków. Był wśród nich Ibrahim Yassin, jedenastoklasista z Egiptu, Fatima Fayyad, Libanka z dziewiątej klasy, i Mohammed Azzam, też z jedenastej klasy. Na końcu kolejki stanęli ukradkiem Amal Lincoln i Jurij Ehrlich.

Na ich widok David poczuł, że traci nadzieję. Pozostali mieli zginąć. Przekonanie o tym pojawiło się niczym błysk pioruna. Pomyliłeś się - nie miałeś zginąć w płonącym autobusie. To był jedynie wstęp. Masz umrzeć tutaj. To ostatnie pomieszczenie, jakie widzisz w życiu.

David zacisnął w rozpaczy pięści. Rusz się, zrób coś. Żołnierz walczy. Pisarz pisze. Nauczyciel uczy.

Odwrócił się i popatrzył na brata Elizabeth, który stał na stole ze ściągniętymi ramionami i lekko drżał - być może ze strachu przed rozerwaniem na kawałki.

- Nasser... - spróbował jeszcze raz David - to nie musi tak się skończyć. Nie musisz się na to godzić. Pomyśl o sobie.

- Pomyśl o sobie! Pomyśl o sobie! - wrzasnął z ironią Końska Twarz, który wypuszczał muzułmańskie dzieciaki. - Tym się właśnie różnimy. Wy myślicie tylko o sobie, my o innych. O naszych ludziach. Myślimy o Bogu. Wiem, nie jesteście w stanie tego zrozumieć, dla was jesteśmy jedynie zwariowanymi Arabami, którzy chcą się zabić. Nie rozumiecie, co to znaczy poświęcić się dla wielkiej sprawy.

- Dobra, rozumiem. - David podniósł ręce, dając do zrozumienia, że słyszy, ale tak naprawdę niezupełnie zwracał na niego uwagę.

Patrzył na wielkiego brodacza przy wyjściu awaryjnym, który po słowach o chcących się zabić Arabach drgnął, jakby wcale mu się nie spodobały. Może się ich nie spodziewał. Nie ruszył się jednak z miejsca.

David odwrócił się znów do Nassera, zbierając resztki odwagi.

Czy wolno mu to zrobić? Nie był do końca pewien. Rozejrzał się po twarzach: popatrzył na grubą Senique, Kevina w pasiastej koszuli a la Gatsby, Elizabeth bez wrotek. Te dzieciaki w ten czy inny sposób zaufały mu. Tak, musiał o nie zadbać.

- Ja też chcę się poświęcić... - powiedział powoli.

W sali gimnastycznej na parterze ktoś wytrwale odbijał piłkę od podłogi. Nasser popatrzył na niego - nie życzył sobie tego, ale natychmiast zrozumiał.

- Puść wszystkich. Poświęcę się. - Zatoczył krąg dłonią. - To są moi ludzie.

- YIn an deen nekk. - wrzasnął stojący jakieś piętnaście metrów od Davida Końska Twarz, celując w niego z rewolweru. - Nie będzie cię słuchał. Wie, że igrasz z jego umysłem.

- Macie władzę - powiedział David, rozgrywając ryzykowny gambit, nie odwracając oczu od Nassera - i decydujesz, co jest grane, ale jeśli wypuścisz wszystkich i porzeczysz pod walącym się budynkiem tylko siebie i mnie, będziesz miał tyle samo artykułów w prasie. Daj spokój. Pozwól im odejść. Nie wciągajmy w to nikogo innego.

Oczywiście inni już byli wciągnięci. Nie minęło jeszcze pięć godzin jak David wywabił syna z pokoju, wziął go za błądą dłoń i obiecał, że od tej chwili wszystko będzie dobrze, a teraz machał na to ręką. Czuł, jak ta decyzja rozrywa go od środka. Wielki człowieku - co teraz? Dotarło do niego, że nie istnieje coś takiego jak bezinteresowne poświęcenie. W efekcie ktoś zawsze zostaje zraniony.

- Moje życie za ich życie. Zdecyduj się. Jestem gotów odejść - a ty?

Końska Twarz i ten drugi mężczyzna zaczęli razem wrzeszczeć na Nassera po arabsku.

- Wala al noor! Wala al noor.

Nasser podrygiwał, jakby mocno się niepokoił. Nie wiedział, gdzie patrzeć. Spojrzał na Elizabeth, na Końską Twarz, na Davida.

- Daj spokój, Nasser. Pozwól siostrze wyjść. Nie zrobiła nic złego. Załatwmy to we dwóch. Jestem gotów odejść - a ty?

Samo wypowiedzenie tych słów było bolesne. Jak Arthur i Renee poradzą sobie bez niego?

- Wala al noor! Wala al noor! - Końska Twarz gwałtownie machał na Nassera, żeby zatkał sobie uszy i nacisnął guzik. - Ya habelal.

- Chodź. - David wyciągnął rękę i zaczął się zbliżać do Nassera, jak szykujący się do abordażu pirat. - Stanę obok ciebie i będziemy mogli razem polecieć do nieba. Jeżeli jesteś gotów, to ja też. Pozwól tylko wszystkim wyjść.

Serce waliło mu jak młotem.

- Żył na karku Końskiej Twarzy o mało nie pękły. Askan Nasser próbował nie patrzeć na Davida. Starał się koncentrować na czymś innym - na ścianach w kolorze zielonkawych rzygowin, uczniach, nieszczęsnym niejadalnym żarciu na stołach. Jego oczy mimowolnie powędrowały ku siostrze, potem ku nauczycielowi, który widział, jak bardzo Nasser jest przerażony. W najmniejszym stopniu nie był gotów na to, co zamierzał. Trzeba mu tylko pokazać drogę, jak ma zejść.

Cisnienie w głowie Nassera stało sienie do zniesienia. Nauczyciel krzyczał: MYŚL O SOBIE! JESTEŚ GOTÓW ODEJŚĆ? a doktor Ahmed: ZAPAL ŚWIATŁO! NACIŚNIJ GUZIK! Skronie mu pękały i miał wrażenie, że czaszka zaraz mu się rozpadnie, a na ramiona posypią się krwawe szczątki. Jego oczy - jak przyciągane magnosem - skierowały się ponownie ku Elizabeth. Ujrzał ją w zupełnie nowym świetle.

Dotarło do niego, że przez wszystkie lata widział ją jedynie we fragmentach, z których teraz powstała całość, i widok ten przeraził go do głębi. Uosabiała matkę, ojca, przyrodnie siostry, siostrę, która zmarła, zanim przyszedł na świat, przodków z Gałęzistego Klasztoru i wnuki, których nigdy nie będzie. Widział w niej własne odbicie i to, jak przyszłość ginie w wybuchu. Nagłe zniszczenie wszystkiego, zabicie śladów jego rodziny, okazało się czymś, na co nie wolno pozwolić, czymś grzesznym. Zrobienie tego wydało mu się zakłóceniem porządku wszechświata. Zdmuchnięciem gwiazd. Spopieleniem ziemi, na której już nic nigdy nie urośnie. „A ty jeszcze marzysz, Nasser?”

Czy taka była naprawdę wola Boga?

- Daj spokój, Nasser. - David próbował sobie przypomnieć słowo, którego używali chłopak i jego siostra. - Czy to nie jest... haram”?

Nasser zgarbił się i sięgnął za plecy, jakby miał tam drugi włącznik. Dzieciaki w stołówce zawyły i jak jeden mąż rzuciły się na podłogę.

Czas zwolnił bieg, a hałas zamilkł. Nasser zaczął ciągnąć rękę do przodu i rozległ się charakterystyczny trzask odrywanej taśmy klejącej. Kiedy odsunął rękę od tułowia, miał do palców przyklepione kilka pasm taśmy, a laski dynamitu powoli odrywały mu się od skóry.

David odruchowo zeskoczył ze stołu, podszedł i stanął obok Elizabeth, gotów wziąć w ręce dynamit. Szybki stukot w jego piersiach przeszedł w rzadsze, ale znacznie silniejsze walenie.

To tylko kwestia sekund. Boże, zaraz dostanie zawału! Wyciągnął ręce do Nassera, zrobił dłońmi gest „no, dawaj!” i wbił w niego wzrok, chcąc zmusić chłopaka do spojrzenia na niego, do nawiązania z nim kontaktu. Przez kilka sekund wszystko zależało od nawiązania i utrzymania kontaktu. Spokojnie... nie denerwuj się... Dynamit, z którego zwisały czerwone i zielone druty, był już do połowy zdjęty. Wreszcie Nasser popatrzył na Davida. Zamknął obwód. W tym momencie nie został zły ani zdezorientowany - David dostrzegł w jego oczach ulgę. On też już nie chciał ciągnąć tego dalej.

David postawił nogę na stole i wyciągnął ręce. Taśma, dynamit, druty, wszystko już ledwie trzymało się tułowia Nassera, który stał od niego nie dalej jak pół metra. David zaczął się zastanawiać, co powinien zrobić, gdy już będzie miał wszystko w rękach. A jeśli jakiś drut się poluzuje i bomba wybuchnie? Ma usiąść i poczekać na saperów?

I wtedy połączenie zostało przerwane. W głębi stołówki coś trzasnęło cicho jak petarda, światło w oczach Nassera zmatowiało, ciało skrzywiło się i opadł na kolano przed siostrą - ze skroni trysnęła mu krew.

Elizabeth krzyknęła przeraźliwie, Nasser opadł bokiem na stół, a na podłogę poleciał strumień krwi. Uczniowie wstali i ruszyli ławą ku wschodniej ścianie, oddalając się od Końskiej Twarzy, bowiem to on wystrzelił z rewolweru.

David usiłował nie dać się przewrócić, choć tłum walił wprost na niego. Stojący dwadzieścia metrów od niego Końska Twarz był zrozpaczony i wściekły.

Ruszył na Davida z opuszczoną głową i uniesioną bronią. Idąc, patrzył nieco w prawo, jak gdyby cel znajdował się z boku. David spojrzął przez ramię i dostrzegł kłębiący się tłum depczących się brutalnie dzieciaków, próbujących wyjść przez drzwi pożarowe. Wielki brodacznik zniknął pod ciałami, ale najwyraźniej trzymał drzwi zamknięte. Kolejne osoby padały na podłogę i dostawały się pod czyjeś nogi. Z kłębowańska wyczołgała się Cheryl Smith z dziewiątej klasy. Pluła krwią.

Końska Twarz był coraz bliżej, w dalszym ciągu podchodził, kuśtykając i pomrukując. David spostrzegł, że Elizabeth klęczy na ławce i stara się ciałem ochronić brata. Najwyraźniej doszła do wniosku, że mały Arab idzie po bombę, chcąc wypełnić misję.

Choć usta miał pełne metalicznego posmaku strachu, David spróbował zagrozić mu drogę.

Arab szedł dalej, uniósł broń i wycelował Davidowi w głowę. Krzyczał, żeby zszedł mu z drogi, ale David nie zamierzał słuchać. Nie zamierzał nigdy więcej udawać bohatera, chciał jedynie odzyskać swoje życie, ale na to było za późno.

Końska Twarz strzelił do niego mniej więcej z odległości czterech metrów.

David poczuł ukłucie tuż pod lewym okiem i czaszkę objęła pajęczyna bólu.

Zaczął padać na plecy, a Końska Twarz minął go, żeby dojść do Elizabeth i Nasera. Ból, jaki czuł, stał się nie do wytrzymania, przerastał wszystko. Nie mógł sobie wyobrazić, że był czas, kiedy tak strasznie nie bolało. Ból pochłaniał go bez reszty, ale jakimś sposobem Davidowi udało się wrócić na sekundę z zaświatów i ostatnim wysiłkiem woli, niczym matka podnosząca samochód, który przejechał jej dziecko, wyciągnął rękę, chwycił Araba za kołnierz i huknął go w twarz.

Bardziej z zaskoczenia niż od uderzenia, Ahmed potknął się i zaczął tracić równowagę. Wiedząc, że zaraz straci przytomność, David rzucił się do przodu, pchnął go barkiem, przewrócił i przybił ciężarem swojego ciała do brudnej podłogi. Przez sekundę miał wrażenie, że przykrywa go jak ciężki dywan, lecz już po chwili nie uświadamiał sobie niczego.

Kiedy nieco oprzytomniał, do jego uszu dotarł łoskot tysiąca stóp, tętent dzikiej hordy, wracającej, żeby mu pomóc. Ktoś ściągnął go z Araba, a gdy przewracał się na plecy, wydawało mu się, że widzi budzący się do życia las - setki przypominających cepy ramion otoczyło Końską Twarz i zaczęło wściekle młócić.

- Zawiadomcie mojego syna... zawiadomcie mojego syna... Niech ktoś zadzwoni do mojej żony i syna i powie, że jest ze mną dobrze...

Minęło mniej więcej dwadzieścia minut, David znalazł się na parkingu i zaczynał zapadać w delirium. Stracił dużo krwi, a sanitariusze z niepokojem rozmawiali o płynie, który wyciekał mu z uszu. Wszędzie stały karetki, radiowozy, furgonetki saperów, samochody elektrowni i gazowni, w górze krążyły helikoptery, kręcili się dziennikarze, nadjeżdżały kolejne wozy transmisyjne, rozstawiano talerze komunikacji satelitarnej, ale kogo to obchodziło...

- Niech ktoś zawiadomi mojego syna...

Przed oczami trzaskały mu migawki aparatów fotograficznych, gdzieś w oddali wyły syreny. David leżał na noszach pod opieką sprawnych mężczyzn w błękitnych kurtkach i białych koszulach. Jeden z nich, młody Murzyn o miłych oczach, trzymał go nieustannie za rękę i uśmiechał się.

- Nie martw się, człowieku. Nie pozwolimy ci umrzeć. David spróbował usiąść.

- A kto powiedział, że mam umierać?

- Nieważne. - Sanitariusz nie pozwolił mu unieść tułowia i sprawdził, czy odpowiednio ścieka płyn z kroplówki.

Gromadził się wokół niego coraz większy tłum - agenci FBI, dziennikarze, kamery. Robiło się coraz głośniejsze. Widział kątem oka inne ciała na noszach - mały Arab i wielki brodacz wyglądali na solidnie pobitych. Miał nadzieję, że nie trafi do tej samej karetki co oni. Dwóch ludzi niosło czarny worek z ciałem Nassera.

- Kto pana zastrzelił? - krzyknął ktoś do niego. Poznał głos Judy Mandell.

Kto mnie zastrzelił? Przecież jeszcze żyję. Ktoś wkładał mu na nogę nadmuchiwany rękaw, więc mruknął, że nie jest złamana. Mimo sporej ilości środków przeciwbólowych, które mu podano, głowę w dalszym ciągu rozsadzał ból. Kątem oka dostrzegł, jak Jim Lefferts z FBI odprowadza Elizabeth Hamdy.

- Niech ktoś zawiadomi mojego syna...

Nagle pojawiła się przed nim Donna Vitale. Podczas wydarzeń w stołówce musiała być w budynku.

- Co się stało? - spytała.

- Niech ktoś zawiadomi mojego syna... Powie mu, że jest ze mną dobrze. - W stanie, w jakim się znajdował, nie mógł się na niczym skoncentrować, więc powtarzał te same słowa jak katarynka.

- Uspokój się. Zadzwoń do niego.

Chciała go ująć za rękę, ale chwycił ją za łokieć detektyw Noonan i odprowadził.

Zapaliły się reflektory i oślepiły go, więc zamknął oczy. Po co komu reflektory? Przecież był dzień...

Chciał zawołać Donnę, przecież nie miała numeru telefonu Arthura. Poza tym nie wiedziała, co miał na myśli, mówiąc, że Jest z nim dobrze”. Fizycznie chyba wcale nie było z nim dobrze. Jeśli zapalały mu się w głowie reflektory, musiało być z nim całkiem kiepsko. Chciał jednak zawiadomić syna, że z ojcem jest wszystko dobrze, bo nie musi się go wstydzic.

Spróbował unieść się na łokciu i przywołać Donnę, by wyjaśnić, co trzeba, ale było już za późno. Leki w końcu zadziałały i zapadł w grubą ciepłą kołdrę. Chyba się domyśli, co ma powiedzieć...

- To co, zabieramy go? - spytał jeden z sanitariuszy.

- Lepiej późno niż wcale.

Unieśli go i popłynął. Wydawało mu się, że śni, w głowie zapalały się kolejne światła. Poruszał się na granicy realnego i nierealnego świata. Sunął i sunął, i ciągle go fotografowano. W ostatnim przeblysku świadomości zobaczył zwisający nad głową mikrofon i znajomy głos Sary Kidreaux zapytał:

- Davidzie, czy chce pan skomentować to, co się stało?

- Nnnnniiiiieeee...

Wsunięto go do karetki i zatrzaśnięto drzwi. Samochód ruszył i świat znów się zmienił. Pomknął przez światła, dźwięki, wirujący chaos miasta. Przeciął fale dźwiękowe, mikrofały, światłowody, piksele wysokiej rozdzielczości, wiązki sygnałów satelitarnych. Pomknął ku wielkiej pustej czarnej przestrzeni.

Zamknął oczy i ujrzał siebie - jasnowłosego chłopca, śledzącego wzrokiem łuk leżącej na tle zachodzącego słońca piłki, biegnącego, pędzącego, gnającego po miłość rodziców i przyjaciół, nurkującego w słomkowe chwasty i łapiącego piłkę końcem palców, a potem podnoszącego ją triumfalnie w górę, żeby każdy widział, czego dokonał.

64

Drogi Panie Fitzgerald.

Dziękuję za miły list, który agent Lejferts przekazał mi tam, gdzie teraz mieszkam. Niestety, nie wolno mi zdradzić adresu.

Cieszę się, że czuje się Pan lepiej. Modliłam się za Pana co dzień podczas moich tradycyjnych muzułmańskich modlitw, dopóki nie obudził się Pan ze śpiączki.

Nie wiem, co powiedzieć o tych strasznych rzeczach, które odbyły się w szkole z udziałem moim i mego brata. Ojciec mówi, że nie ma Boga prócz Allaha i wszystko, co się dzieje na Ziemi, to wyraz Jego woli i musimy się z tym pogodzić, nawet jeśli wiąże się z tym strata kogoś z rodziny. Z drugiej strony zawsze nas Pan uczył, że należy myśleć indywidualnie i brać swój los we własne ręce, więc nie do końca wiem, w co bardziej wierzę. Może taka była wola Boga, że Nasser ma zginąć, Pan zostać postrzelony,

a nasza rodzina żyć w ukryciu. Może to jednak wszystko moja wina, ponieważ jestem złym człowiekiem. Cały czas wydaje mi się, że musiało istnieć coś, co mogłam zrobić albo powiedzieć, żeby wszystko skończyło się inaczej. W każdym razie czuję smutek z powodu tego, co się stało i prawdopodobnie resztę życia spędzę na zastanawianiu się nad tym.

Nie wiem, co zrobić w sprawie college 'u. Moja obecna sytuacja życiowa może nieco mi utrudniać rozpoczęcie studiów. Ale ponieważ wiem, że bardzo Panu na tym zależało, to - Inszallah - kto wie, co będzie?

Możliwe, że przyjadę w czasie ferii na kilka dni do Brooklynu, choć z powodu zbliżającego się procesu przyjaciół mojego brata agenci prosili, żebym nie mówiła dokładnie ani kiedy przyjdę, ani gdzie będę mieszkać. Jeśli taka jest wola Boga, może się zobaczymy, jeśli nie, chcę Panu powiedzieć, że ma Pan w moim sercu specjalny kącik i niech Bóg uśmiechnie się do Pana w swej łasce.

Szczerze oddana Elizabeth Hamdy

Był ciepły kwietniowy dzień, David Fitzgerald siedział na kanapie w poczekalni fizjoterapeuty i po raz dziesiąty próbował zrozumieć napisane idealnie równym piśmem słowa.

Wola Boga. We własne ręce. Mój brat. Smutek z powodu. Resztę życia na zastanawianiu się. Choć obudził się ze śpiączki tuż przed Dniem Dziękczynienia, kula w głowie ciągle jeszcze powodowała przedziwne rzeczy. Słowa krążyły mu po głowie minutami, zanim ułożyły się w logiczny ciąg.

Fragment o smutku ciągle jednak powracał. Ostatnie miesiące nie były łatwe. Stracił częściowo sprawność w prawej ręce i musiał chodzić o lasce, co gorsza, otumaniające bóle głowy uniemożliwiały pracę. Obie próby poprowadzenia lekcji, jakie podjął od momentu rozpoczęcia rehabilitacji w grudniu okazały się groteskowymi upokorzeniami. Chciał, żeby pamiętano go jako człowieka mocnego i ciętego, jako dobrego nauczyciela, a nie wielkiego bełkoczącego inwalidę. Wszyscy udawali, że bardzo cieszy ich jego widok - Larry Simonetti uściśnął mu zdrową dłoń, a Michelle, sekretarka, cmoknęła nawet lekko w policzek, ale David wyczuwał, że się go nieco boją. Nie chodziło tylko o kuśtykanie i dziurę w twarzy, która zarosła, tworząc pod okiem promienistą bliznę, lecz o to, że kojarzył się ze zniszczeniem, przemocą i śmier-

cią. Chcieli, żeby zniknął im z oczu, ale nie umieli się do tego przyznać. W efekcie mieli do niego pretensję, że stawia ich w trudnej sytuacji.

Jeśli chodzi o plusy, dostawał nieco pieniędzy od miasta i widywał się z Donną. Niestety, stan psychiczny Renee ulegał pogorszeniu, od początku roku co chwila umieszczano ją w szpitalu i ciągle brała nowe leki. W efekcie opiekę nad Arthurem organizowano z dnia na dzień. David żył głównie chwilami spędzonymi z chłopcem - dni w muzeum, noce u niego w mieszkaniu - ale w dalszym ciągu, kiedy szedł spać i wsłuchiwał się w oddech śpiącego w śpiworze obok łóżka Arthura, nachodziły go koszmary.

Był to ten sam smutek, o którym napisała Elizabeth. Od miesięcy czuł, jak serce ściska mu ciemna dłoń i wiedział, że nie zniknie, dopóki nie zobaczy jej ponownie i nie powie, że to, co się stało, nie było jej winą. Potrzebował nawiązania z nią bezpośredniego kontaktu.

Ściskając podczas ćwiczeń fizykoterapeutycznych gumowe piłeczki i chodząc po równoważni, snuł plany, jak doprowadzić do ich spotkania. To nie zapowiadało się łatwo. Ostatni raz widzieli się tego tragicznego dnia w stołówce, potem Elizabeth została wraz z rodziną natychmiast włączona do programu ochrony świadków FBI. Próbował napisać do niej przez FBI, poinformować, że żyje i jest jako tako cały, a także zapytać, jakie ma plany, ale jej odpowiedź jedynie go zdezorientowała i wcale nie zadowolila.

Wola boska. Jak nawiązać z nią ponownie kontakt? Napisała, że może będzie w Brooklynie w czasie ferii, lecz nie rozumiał, dlaczego miałyby przyjeżdżać na Wielkanoc. Dopiero tydzień po otrzymaniu listu od niej usłyszał w radiu, że z okazji muzułmańskiego święta Id al-Adha, „święta poświęcenia”, planowany jest na nadmorskiej promenadzie na Coney Island wielki festiwal i spodziewany jest przyjazd tysięcy mieszkających w Ameryce Arabów.

Wola boska. Może to znak, że tam będzie. Reszta zależała jednak od niego, musiał jej poszukać. Zawahał się, nie tylko z powodu ryzyka, że wśród tysięcy pobożnych i praworządnych muzułmanów natknie się na wojowniczo nastawionych przyjaciół obu aresztowanych, lecz także z obawy, jak zniesie podróż do Brooklynu, jakie tkwią w nim ograniczenia.

Już samo wejście do metra będzie wymagało odwagi. A jeśli się zgubi albo przewróci na środku wagonu i nie potrafi sam się podnieść? Z drugiej strony, jeśli uda mu się dotrzeć samodzielnie do Coney Island i znaleźć Elizabeth, może to oznaczać, że ma dość siły, żeby żyć dalej.

Tak więc we wtorek po południu włożył starą tweedową marynarkę, znalazł laskę i zaczął przesiadać się z pociągu do pociągu, starając się dotrzeć z Upper West Side do ostatniej stacji w Brooklynie.

Zaraz po tym, jak wysiadł na nadziemnym peronie stacji Stillwell Avenue, jeszcze przed zejściem na ulicę, doleciał do niego wzmacniany przez stojące przy Steeplechase Pier głośniki śpiew muezina.

- Allahu akbar! Allahu akbar!

Zaczął się powoli zbliżać do sceny przypominającej fragment snu - przed rdzewiejącą wieżą do skoków na spadochronie klęczały na modlitewnych dywanikach tysiące bosych muzułmanów, za nimi toczył fale Atlantyk, od którego odbijało się słoneczne światło, rozsiewając promienie po ludzkim tłumie.

Coś w duszy Davida się skurczyło, instynkt przypomniawszy, że to muzułmanin strzelił mu w twarz i zrobił z niego dożywotniego inwalidę. Z drugiej strony uratowała go muzułmanka. Czyżby miał do końca życia kryć się za przesadami i wyskakiwać za każdym razem z wagonu na widok chusty na głowie?

Modlitwy zakończyły się i tłum ruszył w kierunku wesołego miasteczka. Było tu dość ludzi, by wypełnić średnich rozmiarów stadion: stare kobiety w czarczafach, które wyglądały, jakby właśnie przybyły z ulic Damaszku, młodzi mężczyźni w krawatach, którzy bez przebierania się mogliby iść na Wall Street, ojcowie rodzin o zmęczonych, obrzękniętych twarzach, szalejące dziewczynki w chustach na głowach.

Najwyraźniej wynajęli wesołe miasteczko na cały dzień i prawdopodobnie nikt tu nie miał wojowniczych zamiarów. Zamiast przebojów disco z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, z głośników dolatywała tradycyjna arabska muzyka. Robotnicy zakryli rysunki nagich kobiet, zdobiących „Piekło Dantego”. Zaczęto się rozchodzić do karuzeli, kobiety w czarczafach i brodaci mężczyźni w turbanach jeździli elektrycznymi samochodzikami. Dzieciaki piszczały z zachwytu w wagonikach diabelskiej ko-

lejki. Smagli mężczyźni siedzieli na konikach na karuzelach i wirowali w Break Dance. Zwykli ludzie, cieszący się wolnym dniem.

David nie widział nigdzie Elizabeth, ale czuł, że jest niedaleko. Poznawał to po świeżości powietrza. Kuśtykał przez tłum, czując, że znów włącza się w strumień życia. Zdecydowany ją znaleźć dotarł tak daleko, więc dalsze rozglądanie się traktował jak punkt honoru. Musiał zobaczyć japończyka raz ostatni i przekazać, że wszystko jest w porządku.

Po dwudziestu minutach dostrzegł w kolejce do magicznego koła dziewczynę podobną do niej. Stała oddalona o trzydzieści metrów, a przy szwankującym wzroku nie mógł mieć co do tego pewności. Miała na sobie ciemną workowatą sukienkę i biały hijab na głowie. Stała w osobnej kolejce dla dziewcząt i choć David zawołał japończyka imieniem, nie usłyszała przez hałas ludzkich głosów i wagoników. Z powodu dość wysokiej temperatury powietrza i ścisku panującego wokół, zaczynało mu się kręcić w głowie i robić słabo. Przebijał się przez tłum, używając laski, lecz posuwał się bardzo powoli i z wysiłkiem. Miał nadzieję, że nie zemdleje.

Kiedy minął stoisko z pamiątkami, zobaczył jak dziewczyna wygładza hijab z tyłu, zostawiając na chuście odcisk ręki. Elizabeth? Stał i zawołał japończyka imieniem, lecz nagle dotarło do niego, że jeśli to ona, mogła się w ciągu ostatnich miesięcy bardzo zmienić. Hijab i workowata sukienka... osobna kolejka dla dziewcząt... mogła odbywać pokutę za wszystko, co przebiegło nie tak jak należy.

Chciał powiedzieć, żeby nie obwiniała się o to, co się stało, ale czy jego słowa do niej dotrą? Jeśli związała się mocno z religią, kierowały nią teraz inne siły. Magiczne koło zatrzymało się i kolejka czekających dziewcząt ruszyła.

Wtedy bez najmniejszego ostrzeżenia odwróciła się i popatrzyła na niego. Jakby cały czas wiedziała, że tu stoi. Powoli na jej twarzy wypłynął uśmiech i David wiedział, że nie musi podchodzić bliżej. Patrzyła zza rzeki i tak było dobrze. Dłoń, którą przyciskała do serca, lekko się uniosła i wiedział, że może wracać do domu.

Zaczął unosić rękę, żeby odwzajemnić pozdrowienie, ale już się odwróciła i wsiadała do gondoli.

Stał przy kasie i patrzył, jak Elizabeth unosi się w górę. Była zbrukany aniołem,

unoszącym się nad budkami z hot dogami, sklepami z materacami i domami, wzlatającym w jaskrawe niebo popołudnia nad Coney Island.

Podziękowania

Książka ta jest fikcją literacką. Większość nowojorczyków z pewnością wie, że nie istnieje Coney Island High School.

Chciałbym wymienić kilka książek, które były dla mnie bezcennym źródłem wiedzy: *Understanding Islam* Thomasa W. Lippmana, wydanie drugie poprawione (Meridian, New York, 1995), *Two Seconds Under the World* Jima Dwyera, Davida Kocińskiego, Diedre Murphy i Peg Tyre, *Cry Palestine; Inside the West Bank* Saida K. Aburisha (Westview Press, Boulder, Colorado, 1993).

Jestem także ogromnie wdzięczny znakomitemu pisarzowi palestyńskiemu Izzatowi al-Ghazzawiemu, przewodniczącemu Związku Literatów Palestyńskich, który podczas pobytu na Bliskim Wschodzie szczerze poświęcał mi czas i udostępniał swą wiedzę, Jennifer Goldberg z Edward R. Murrow High School i - oczywiście - mojemu wujowi Arthurowi.

Dodatkowo dziękuję następującym osobom: Marcy Rutterman, Sandrze Abrams, Donowi Rothowi, Jimiemu Murphy'emu, Midge Herz Kosner, Kenowi Wassermanowi, Hubertowi Selby'emu juniorowi, Lenore Braverman, Nasserowi Ahmedowi, Jeffreyowi Goldbergowi, Alyson Lurie, Kim Bonheim, Gail Reisin, Jarekowi Alemu, Davidowi Ignatiusowi, Danowi Jugramowi, doktorowi Charlesowi Stone, Bartowi Gelmannowi, doktorowi Bernardowi Sabelli, Carol Storey, Danielowi Maksowi, Dougowi Pooleyowi, Erykowi Pooleyowi, Sonny'emu Mehcie, Alice Farkouh, Larry'emu Josephowi, Allenowi Leibowitzowi, Joemu Gallagherowi, Guyowi Renziemu, Donaldowi Sadowy'emu, J. J. Goldbergowi, Jimowi Yardleyowi, Joyce London, Sarah Piel, Lori Andiman, Melowi Glennowi, Ariemu Mientkovitchowi, Chiarze Coletti, Michaelowi Siegelowi, Larry'emu Schoenbachowi, Naomi Shore, Caroline Upcher i Joannę Gruger.

Na koniec chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi i agentowi Richardowi Pine'emu oraz redaktorowi Michaelowi Pietschowi za pomoc przy pisaniu tej książki - dzięki nim stała się lepsza.